

**C. S. LEWIS**



# **Ta ohydna Siła**

**Trylogia międzyplanetarna t. III**

**wydawnictwo II**

**Clive Staples Lewis**

# **Ta straszna siła**

*[współczesna baśń dla dorosłych]*

*Cień tej plugawej strasznej siły  
Mierzy ponad sześć i pół mili*

*Sir David Lindsay  
Fragment poematu Ane Dialog  
Opisujący Wieżę Babel*

*Dla J. McNeill*

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

# Rozdział 1

## *Sprzedaż uniwersyteckiej nieruchomości*

A po trzecie – powiedziała do siebie Jane Studdock – małżeństwo zostało ustanowione po to, aby małżonkowie obdarzali się wzajemnie swą obecnością, pomocą i pociechą.

To zdanie, które usłyszała sześć miesięcy temu podczas ceremonii zaślubin z Markiem, mocno utkwilo jej w pamięci. Była wówczas w kościele po raz pierwszy od wielu lat, chyba od dzieciństwa.

Przez otwarte drzwi widziała małą kuchnię ich czynszowego mieszkania i słyszała głośne, natarczywe tykanie zegara. Dopiero co opuściła kuchnię i dobrze wiedziała, że łś ni czystością.

Naczynia pozmywane po śniadaniu, ściereczki do naczyń rozwieszane nad piecem, podłoga przetarta mopem. Pokoje też już „zrobione”, łóżka posłane. Już po codziennych zakupach, a dopiero jedenasta. Poza przygotowaniem lunchu i herbaty dla siebie – żadnej roboty aż do szóstej, nawet gdyby Mark wrócił do domu na obiad. A przecież miał dzisiaj to swoje posiedzenie. Prawie na pewno zadzwoni około piątej i powie, że zebranie potrwa dłużej, niż przypuszczał, i że będzie musiał zjeść obiad w kolegium. A przed nią wypełnione pustką godziny w pustym mieszkaniu.

Słońce świeciło, zegar tykał.

– Obecność, pomoc i pociecha – powtórzyła z goryczą.

W rzeczywistości jej małżeństwo okazało się bramą, przez którą opuściła świat pracy naukowej, koleżeńskich znajomości, śmiechu i tylu innych rzeczy sprawiających jej radość, aby znaleźć się w miejscu, którego nie wahała się już nazwać samotnym więzieniem. Przez te kilka lat przed ślubem częściej widywała Marka niż w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Nawet wtedy, gdy był w domu, prawie w ogóle się nie odzywał. Zawsze był albo śpiący, albo zajęty swoją pracą.

Kiedy się poznali i później, kiedy zostali kochankami, życie wydawało się zbyt krótkie na to, co chcieli sobie powiedzieć. A teraz... Dlaczego w ogóle się z nią ożenił? Czy jeszcze ją kocha? Jeśli tak, to miłość musi oznaczać coś zupełnie innego dla mężczyzn i dla kobiet. A może okrutna prawda polega na tym, że te ich wszystkie niekończące się rozmowy, które dla niej przed ślubem były samym wyrazem, samym spełnieniem się miłości, dla niego były zawsze tylko konwencjonalną grą wstępną?

– Jane Studdock, coś mi się zdaje, że jesteś na dobrej drodze, aby zmarnować jeszcze jedno przedpołudnie – skarciła się ostrym tonem. – Musisz się zabrać do pracy.

Mówiąc o „pracy”, miała na myśli swoją rozprawę doktorską na temat Donne'a. Po ślubie nadal chciała pracować naukowo; był to jeden z powodów, dla których wciąż nie mieli dzieci. Nie łudziła się, że jej praca będzie wybitnym dziełem z jakąś oryginalną tezą: zamierzała skupić się na modnym wówczas problemie „rehabilitacji ciała” u Donne'a. Wciąż jeszcze wierzyła, że gdy tylko wyciągnie wszystkie notatki i książki i zabierze się na serio do pisania, zdoła odzyskać dawno utracony zapał. Zanim jednak to uczyniła, odwróciła gazetę leżącą na stole – być może po to, by odwlec początek pracy – i wówczas jej spojrzenie padło na zdjęcie na ostatniej stronie.

Natychmiast przypomniała sobie swój sen. Nie tylko sen, ale i chwile po przebudzeniu, gdy wysliznęła się z łóżka i usiadła w fotelu, by doczekać świtu. Nie zapalała światła ze strachu, że Mark się obudzi i zrobi jej awanturę, a jednocześnie czuła się trochę urażona, słysząc jego regularny oddech. Nigdy nie miał najmniejszych problemów ze spaniem. Tylko jedno mogło go powstrzymać od natychmiastowego zaśnięcia po wejściu do łóżka, a i to zwykle nie trwało zbyt długo.

Był to koszmarny sen. Przerażenie, jakie czasem ogarnia nas we śnie, zwykle słabnie, gdy taki sen opowiadamy, trzeba jednak w tym miejscu przytoczyć jego treść ze względu na to, co się miało

wydarzyć później.

Najpierw przyśniła się jej po prostu jakaś twarz – brodata twarz o cudzoziemskich rysach, z pożółkłą skórą i haczykowatym nosem, zastygła w ś miertelnym przerażeniu. Jane dobrze zapamiętała te otwarte usta i wytrzeszczone oczy. Takie oczy widzi się przez sekundę lub dwie u ludzi, którzy doznali jakiegoś szoku. Ale ta twarz sprawiała wrażenie, jakby zastygła w panice po szoku, który trwał przez wiele godzin. Stopniowo wyłaniał się cały obraz. Twarz należała do człowieka, który siedział zgarbiony w rogu małego pokoju o białych ścianach, czekając – jak jej się wydawało – na kogoś, kto miał nad nim władzę, na kogoś, kto miał przyjść i zrobić mu coś strasznego. W końcu drzwi się otworzyły i wszedł przystojny mężczyzna z ostro przystrzyżoną szarą bródką. Więzień najwyraźniej dobrze go znał i zaczął z nim rozmawiać. We wszystkich dotychczasowych snach Jane albo rozumiała, co mówią postacie ze snu, albo ich w ogóle nie słyszała. W tym śnie było zupełnie inaczej. Rozmowa toczyła się po francusku, co sprawiało, że sen stawał się niezwykle realistyczny, bo Jane rozumiała z niej tylko niektóre słowa, zupełnie tak, jak mogło to być na jawie. Przybysz powiedział coś, co najwyraźniej miało być dla więźnia dobrą wiadomością. Ten wyprostował się z błyskiem nadziei w oczach, powiedział: *Tiens... ah... ca marche...*, lecz po chwili opadł z powrotem, jakby nadzieja go opuściła. Przybysz mówił dalej cichym głosem, pełnym łagodnej perswazji. Był to przystojny opanowany mężczyzna, lecz na Jane sprawiał bardzo nieprzyjemne wrażenie, być może dlatego, że nosił binokle, które odbijały światło i nigdy nie pozwalały zobaczyć jego oczu. Było też coś prawie nienaturalnego w doskonałości jego uzębienia. Nie mogła zrozumieć, do czego chce przekonać więźnia, który najwyraźniej wpadał w coraz większą panikę, ale uświadomiła sobie, że ciąży na nim wyrok śmierci. Nagle sen zamienił się w koszmar. Przybysz, wciąż z chłodnym uśmiechem na twarzy, poprawił sobie binokle na nosie, ujął głowę więźnia w obie ręce i gwałtownie skrzywił wokół osi. Przypominało to scenę, jaką Jane widziała minionego lata nad morzem, gdy odkręcano nurkowi hełm. W podobny sposób nieznajomy „odkręcił” więźniowi głowę i odrzucił ją na bok. A potem – jak to we śnie – wszystko się pomieszało. Głowa wciąż była najważniejszą częścią snu, ale teraz zupełnie się zmieniła. Miała rdzawobiałą brodę i należała do starca, którego ciało wykopywali jacyś ludzie. Starzec przywodził na myśl starożytnego druida. Ubrany był w długą opończę lub płaszcz, a scena odbywała się na jakimś przykościelnym cmentarzu. Nagle Jane dostrzegła, że ciało ożywa. „Uważajcie!”, krzyknęła we śnie. „Przecież on żyje! Przestańcie! Przestańcie! Budzicie go ze snu!” Ale ludzie nie zwracali na nią uwagi. Starzec usiadł i zaczął mówić w dziwnym języku, trochę przypominającym hiszpański. Jane opanowało takie przerażenie, że się przebudziła.

Taki był ten sen i mogłoby się wydawać, że nie był ani bardziej ani mniej przerażający od wielu podobnych nocnych koszmarów. Ale nie samo wspomnienie owego kosmaru spowodowało, że teraz cały pokój zawirował jej w oczach, tak że szybko usiadła, bojąc się przewrócić. Oto na ostatniej stronie gazety ujrzała tę samą twarz, którą widziała we śnie – tę pierwszą twarz (jeśli to były dwie twarze) twarz więźnia. Z lękiem podniosła gazetę i przeczytała nagłówek EGZEKUCJA ALCASANA i podtytuł: UCZONY SINOBRODY IDZIE NA GILOTYNĘ. Przypomniała sobie, że śledziła tę sprawę choć bez specjalnego zainteresowania. Alcasan był znanym radiologiem z sąsiedniego hrabstwa (mówiono, że z pochodzenia był Arabem). Jego błyskotliwą karierę przerwał proces, w którym udowodniono mu, że otrul swą żonę. Ach, więc stąd ten makabryczny sen!

Musiała spojrzeć na zdjęcie przed położeniem się do łóżka i zapamiętać tę odrażającą twarz. Nie, to niemożliwe! Przecież to poranna gazeta. No tak, ale na pewno jego zdjęcie było wcześniej w prasie.

Proces zaczął się wiele tygodni temu. Zobaczyła któreś z tych zdjęć, a później o nim zapomniała.

Co za głupota przejmować się czymś takim! Trzeba się zabrać do Donne'a.

„Zaraz... na czym to ja skończyłam?“, pomyślała, przeglądając notatki. „Ach, tutaj, na tym dwuznacznym zakończeniu *Alchemii miłości*“:

*Nie chciej duszy w kobietach; przy całym rozumie  
Są, gdy się je posiędzie, już tylko jak mumie*”.

[J. Donne, *Alchemia miłości*, przeł. S. Barańczak.]

„Nie chciej duszy w kobietach“... A czy któryś z nich kiedykolwiek naprawdę chciał duszy w kobietach?

„No dobrze, ale przecież nie o to chodzi“, pomyślała.

– Muszę odzyskać zdolność koncentracji – powiedziała na głos.

Ale... czy naprawdę było już w prasie jakieś zdjęcie Alcasana? A jeśli...

Pięć minut później odłożyła książki, podeszła do lustra, włożyła kapelusz i wyszła. Nie była pewna, dokąd właściwie idzie. Dokądkolwiek, byle wyjść z tego pokoju, z tego mieszkania, z tego całego domu.

\* \* \*

W tym samym czasie Mark szedł w kierunku Bracton College i rozmyślał o zupełnie innych sprawach, nie zwracając uwagi na poranne piękno uliczki, która wiodła go z położonej na zboczu podmiejskiej dzielnicy do środkowej, uniwersyteckiej części Edgestow.

Chociaż sam wychowałem się w Oksfordzie i kocham Cambridge, uważam, że Edgestow jest od nich piękniejsze. Przede wszystkim dlatego, że jest takim małym miasteczkiem. Uroczę wiejskie okolice nie zostały jeszcze zaanektowane przez żadnych producentów samochodów, kiełbasek czy dżemów, a sam uniwersytet należy do najmniejszych w Anglii. Prócz Bracton College i dziewiętnastowiecznego kolegium żeńskiego, położonego za torami kolejowymi, należały do niego tylko dwa kolegia: Northumberland College nad rzeką Wynd i Duke's College naprzeciw opactwa.

Kolegium braktońskie nie przyjmuje studentów. Założono je w 1300 roku dla dziesięciu uczonych mężów, do których obowiązków należało zanoszenie modłów za duszę Henry'ego de Bractona i studiowanie praw Anglii. Liczba członków kolegium stopniowo urosła do czterdziestu, z których obecnie tylko sześć ciu studiowało prawo i prawdopodobnie żaden nie modlił się za duszę Bractona.

Mark Studdock był socjologiem, a członkiem kolegium został pięć lat temu. Właśnie zaczynał pewniej czuć grunt pod nogami. Gdyby nawet miał co do tego jakieś wątpliwości (a nie miał), to pozbyłby się ich całkowicie, kiedy tuż za pocztą spotkał Curry'ego i z satysfakcją zauważył, w jak naturalny sposób prodziekan kolegium zaproponował mu, by dalszą drogę odbyli razem i przedyskutowali porządek dzienny posiedzenia.

– Tak – powiedział Curry – zanoszą się na piekielną nasiadówkę. Założę się, że nie skończymy przed obiadem. Nasi obstrukcyjniści ci już się o to postarają. Na szczęście, jedyne co mogą osiągnąć, to zmarnowanie wszystkim czasu.

Ton odpowiedzi Studdocka nie zdradzał rozkoszy, jaką mu sprawiło użycie przez Curry'ego formy „my”. Jeszcze do niedawna był skromnym outsiderem, obserwującym z nabożnym podziwem niezbyt dla siebie zrozumiałe posunięcia „bandy Curry'ego”. Jego nieczyste wystąpienia na zebraniach kolegium były krótkie, nerwowe i nigdy nie miały żadnego wpływu na bieg wydarzeń. I oto nagle został włączony do ich gry, stał się częścią Postępowej Elity kolegium braktońskiego. Wciąż czuł słodycz tej wspaniałomyślności losu.

– A więc sądzisz, że wniosek przejdzie? – zapytał.

– Z całą pewnością – odrzekł Curry. – Już teraz mamy za sobą dziekana i kwestora, a także

wszystkich chemików i biochemików. Rozmawiałem z Pelhamem i Tedem, to rozsądni faceci.

Sprawiłem, że Sancho uwierzył w to i jest za. Bill Zawierucha bę dzie prawdopodobnie rozrabiał, ale gdy przyjdzie do głosowania, stanie po naszej stronie. Aha, jeszcze ci tego nie mówiłem: Dick będzie na zebraniu. Przyjechał wczoraj wieczorem i od razu zabrał się do roboty.

– Myśli Studdocka zaczęły miotać się gorączkowo w poszukiwaniu bezpiecznego sposobu ukrycia faktu, że nie miał pojęcia, kim jest Dick. Jedyłą osobą, z którą kojarzyło mu się to poufałe zdrobnienie imienia, był pewien mało znaczący kolega, Richard Telford.

– Telford? – zapytał zdziwionym tonem, dobrze wiedząc, że Curry'emu nie mogło o niego chodzić.

– Wielki Boże! Telford! – Curry parsknął śmiechem. – Nie. Mam na myśli lorda Feverstone'a, czyli Dicka Devine'a.

– Nie mam pojęcia, skąd mi ten Telford przyszedł do głowy – powiedział Studdock, śmiejąc się, jakby to był żart. – Cieszę się, że Feverstone będzie. Nie miałem jeszcze okazji go poznać.

– Och, musisz, koniecznie! Wiesz co, przyjdź dziś wieczorem do mnie na obiad. Zaprosiłem go.

– Będzie mi bardzo miło – rzekł Studdock, tym razem nie mijając się z prawdą, a po chwili dodał: – A propos, chyba jego pozycja nie jest zagrożona?

– Co masz na myśli? – zapytał Curry.

– No cóż, jak pamiętasz, było trochę wątpliwości, czy ktoś, kto tak długo przebywa poza Bractonem, może być nadal członkiem kolegium.

– Och, chodzi ci o Glossopa i jego pogrózki. Nic z tego nie wyjdzie. Przecież to farsa!

– Między nami mówiąc, jestem tego samego zdania. Ale muszę wyznać, że gdyby mi przyszło publicznie wyjaśnić, dlaczego facet, spędzający prawie cały czas w Londynie, ma być nadal członkiem kolegium braktońskiego, nie wiem, czybym sobie z tym poradził. Prawdziwe powody należą do kategorii, które doktor Watson nazwałby imponderabiliami.

– Nie masz racji. Ja nie miałbym żadnych oporów przed publicznym wyjaśnianiem prawdziwych powodów jego nieobecności. Czyż nie jest ważne, by mieć wpływowych łączników ze światem zewnętrznym? W końcu nie jest wcale powiedziane, że Dick nie wejdzie do przyszłego gabinetu. A nawet teraz może w Londynie zrobić dla kolegium więcej, niż zrobił Glossop i pół tuzina jemu podobnych, siedząc tu przez całe życie.

– Tak, oczywiście, na tym polega istota sprawy. Tylko że niezbyt zręcznie byłoby ujmować to w ten sposób na posiedzeniu kolegium.

– Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć o Dicku – rzekł Curry nieco mniej poufałym tonem.

– Co takiego?

– Że to dzięki niemu jesteś członkiem kolegium.

Mark nic nie odpowiedział. Przypominanie o tym, że w swoim czasie był nie tylko poza Postępową Elitą, ale w ogóle poza kolegium, nie sprawiło mu przyjemności. Prawdę mówiąc, nie zawsze sprawiało mu też przyjemność obcowanie z Currym, a w każdym razie nie był to ten rodzaj przyjemności, o którym marzył.

– Tak – rzekł Curry. – Twoim głównym rywalem był Denniston. Między nami mówiąc, wielu ludziom jego prace bardziej się podobały niż twoje. To Dick obstawał uparcie, że właśnie ty jesteś człowiekiem, jakiego naprawdę potrzebujemy. Pochodził po Duke's College i wszystkiego się o tobie dowiedział. Utrzymywał, że nieważne są te wszystkie papierkowe kwalifikacje, ważny jest charakter człowieka. I muszę przyznać, że się nie mylił.

– Dzięki, miło mi to słyszeć – powiedział Studdock z lekkim, ironicznym ukłonem.

Niespodziewany obrót rozmowy zaskoczył go. W Bractonie, jak w więk szości angielskich

kolegiów uniwersyteckich, obowiązywała stara zasada, że w obecność ci zainteresowanego nigdy nie porusza się okoliczności, w jakich został wybrany. Aż do tej chwili nie przychodziło mu do głowy, że Postępowa Elita gotowa była złamać i tę tradycję. I nie miał pojęcia, że jego wybór wcale nie zależał od wyników egzaminu, a tym bardziej, że mało brakowało, by członkiem kolegium został ktoś inny. Tak już przywykł do swojej obecnej pozycji, że poczuł się trochę jak człowiek, który nagle odkrywa, iż jego ojciec o mało co nie poślubił innej kobiety.

– Tak – ciągnął Curry, który myślał o czymś zupełnie innym. – Teraz już jest jasne, że Denniston byłby fatalną inwestycją. To nie ulega wątpliwości. Wtedy ś wietnie się zapowiadał, to fakt, ale z czasem zupełnie mu odbiło. Wplątał się w ten cały dystrybucywnizm i podobne bzdury.

Mówią, że może skończyć w jakimś klasztorze.

– No, ale głupi to on nie jest – zauważył Studdock.

– Cieszę się, że poznasz Dicka – rzekł Curry. – Nie ma teraz na to czasu, ale jest pewna sprawa, która go dotyczy, a którą chciałbym i z tobą przedyskutować.

Studdock spojrzał na niego pytająco.

– James, ja i jeszcze paru innych – rzekł Curry, nieco ściszej Sios – sądzimy, że to on powinien być nowym dziekanem. No, ale jesteśmy na miejscu.

– Jeszcze nie ma dwunastej – powiedział Studdock. – A może byśmy tak wpadli do „Bristolu” na szklaneczkę?

Curry nie miał nic przeciwko temu. Dostosowanie się do atmosfery, w której działała Postępowa Elita, nie mogło się obejść bez takich drobnych uprzejmości. Oczywiście związane z tym koszty były poważniejszym obciążeniem dla Studdocka niż dla Curry'ego, który był kawalerem i dostawał stypendium prodziekana. Ale „Bristol” był bardzo przyjemnym miejscem. Studdock zamówił podwójną whisky dla swojego towarzysza i małe piwo dla siebie.

\* \* \*

Byłem w Bractonie tylko raz. Namówiłem wówczas mojego gospodarza, aby zaprowadził mnie do lasu i zostawił tam samego na jakąś godzinę. Zgodził się, ale powiedział, że będzie mnie musiał tam zamknąć.

Niewielu ludzi dostępowało przywileju wstępu do Lasu Bragdon. Otoczony jest murem, a jedynym wejściem do niego jest ozdobna brama – dzieło Inigo Jonesa. Las ma z ćwierć mili szerokości i milę długości. Jeśli się doń wejdzie od strony ulicy, po przejściu przez czworoboczny dziedziniec kolegium, poczucie wkraczania do jakiegoś sanktuarium jest szczególnie silne.

Najpierw trzeba przejść przez pusty i ponury dziedziniec Newtona, otoczony bogato zdobionymi gregoriańskimi budynkami. Potem idzie się przez zimny, podobny do tunelu korytarz, prawie ciemny nawet w południe, chyba że pozostawiono otwarte drzwi do refektorium po prawej stronie lub do spiżarni po lewej: pozwala to uchwycić spojrzeniem światło rozlewające się wewnątrz na kasetonach i poczuć zapach świeżego chleba. Z tego korytarza wychodzi się na krużganki o wiele mniejszego dziedzińca zwanego Republiką. Po surowość ci dziedzińca Newtona zachwyca tutaj świeżość zielonej trawy. Niedaleko jest kaplica; gdzieś z góry dobiega ochryply, ciężki odgłos pracy wielkiego starego zegara. W krużgankach mija się tablice, urny i popiersia upamiętniające martwych braktończyków, a potem, po przejściu niskich schodów, wkracza się w pełne światło dziedzińca noszącego imię Lady Alice. Szare budynki po lewej i prawej stronie pochodzą z siedemnastego wieku: są skromne, przytulne, z mansardowymi oknami, porośnięte mchem. Czuje się tu błogość protestanckiego ś wiata, przywodzącą na myśl Bunyana albo Waltona. Dziedziniec jest zabudowany z trzech stron, z czwartej – na wprost – zamknięty rzędem starych wiązków i murem. Tu po raz pierwszy słyhać cichy plusk wody i gruchanie dzikich gołębi. Ulica jest



tak daleko, że nie dochodzą żadne inne odgłosy. Przez furtkę w murze wchodzi się do pokrytej dachem galerii z wąskimi oknami po obu stronach. Wyglądając na zewnątrz, nie dostrzegasz, że galeria jest w rzeczywistości mostem, pod którym przepływa ciemnobrązowa, pomarszczona rzeka Wynd.

Cel jest już bardzo blisko. Za furtką na końcu mostu rozpościera się zielona łąka do gry w krykieta, a za nią widać już wysoki mur otaczający Las Bragdon. Przez bramę Inigo Jonesa przezierna nasyciona słońcem zieleń zmieszana z głębokimi cieniami.

Już sam fakt, że las otoczony jest murem, nadaje mu ową szczególną cechę, odczuwaną jako „wyłączenie” z otaczającego świata. Wkraczając do niego po miękkim mchu, czułem, że jestem tu gościem. Drzewa rosły tak rzadko, że choć wokół siebie wszędzie widziałem zieloność, miałem wrażenie, jakbym szedł przez zalaną łagodnym blaskiem słońca polanę otoczoną łagodnymi cieniami. Prócz pasących się owiec, które od czasu do czasu unosiły swoje długie, głupkowate głowy, aby na mnie spojrzeć, nie było tu nikogo. Czułem się trochę tak, jakbym znalazł się w wielkiej sali jakiegoś opuszczonego domu. Pamiętam, że pomyślałem wówczas: „To takie miejsce, w którym dziecko poczułoby albo lęk, albo szczęście”. A w chwilę później pomyślałem: „Ale przecież każdy, kiedy jest sam, naprawdę sam, jest dzieckiem... a może nikim?” Młodość i wiek dotyczą tylko powierzchni naszego życia.

Pół mili to krótki spacer, a jednak wydawało mi się, że wędrówka do środka lasu trwała bardzo długo. Nie miałem wątpliwości, że jestem już w samym środku, bo w końcu zobaczyłem coś, co było moim głównym celem: obramowaną resztkami starożytnych kamiennych płyt studnię ze schodkami wiodącymi w głąb. Teraz jest już bardzo zniszczona. Położyłem się na trawie i dotknąłem chłodnych kamieni. Tu bije serce Bractonu, stąd wytryska źródło wszystkich legend związanych z Lasem Bragdon i, jak sądzę, tu miało początek całe kolegium. Archeologowie są zgodni co do tego, że obudowa studni jest dziełem rzemieślników brytyjskich z okresu rzymskiego, wykonano ją prawdopodobnie tuż przed inwazją Anglo-Saksonów. Pozostaje tajemnicą, co łączy Las Bragdon z prawnikiem Bractonem; mogę sobie tylko wyobrazić, że właśnie to przypadkowe podobieństwo nazw własnych przywiodło ród Bractonów do przekonania, iż łączy go z tym miejscem jakaś szczególna więź. W każdym razie, jeśli wierzyć pogłoskom, las jest starszy od rodu Bractonów. Sądzę, że obecnie nikt już nie przywiązuje większej wagi do wzmianki Strabona o *Balachthonie*, choć pozwoliła ona pewnemu szesnastowiecznemu dziekanowi Bracton College na stwierdzenie, że „starożytne zapiski nie znają Brytanii bez Bragdonu”. Średniowieczna pieśń prowadzi nas z powrotem do czternastego wieku:

*In Bragdon bricht this ende dai*

*Herde ich Merlin ther he lai*

*Singende woo and welawai.*

„W Bragdon już nadszedł koniec dnia / Merlinam słyszał, leżał tam / Zawodzą c smętne lamentacje”.

Są podstawy, by przypuszczać, że już w czternastym wieku miejsce to nosiło nazwę Studni Merlina, chociaż sama nazwa występuje w źródłach dopiero za czasów elżbietańskich, kiedy dziekan Shovel otoczył las murem, „aby położyć kres bluźnierczym i pogańskim przesądom i wszelkiego rodzaju prostackim zabobonom, takim jak nocne igry, nieprzystojne pląsy czy pieczenie chlebków Morgany, uprzednio pieniącym się przy wodotrysku zwanym chełpliwie Studnią Merlina, a zdemaskowanym jako obrzydliwa mieszanka papizmu, pogaństwa, lubieżnictwa i ciemnoty”. Nie znaczy to jednak wcale, by Bracton College wyrzekł o się roszczeń do tego miejsca.

Stary doktor Shovel, który dożył prawie stu lat, pewno jeszcze nie był w grobie, kiedy jeden z

generałów Cromwella uznał za swój obowiązek „zniszczenie pogańskich gajów i kopców” i wysłał kilku żołnierzy, by zbożnym działaniem wzbudzili szacunek okolicznych wieś niaków. Do zniszczenia studni jednak nie doszło. W starciu między żołnierzami i członkami kolegium zginął słynący z uczoności świątobliwy Richard Crowe, ugodzony kulą z muszketu na stopniach studni.

Trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł posądzić Crowe'a o papizm lub „pogaństwo”, ale legenda głosi, że jego ostatnie słowa brzmiały: „Miarkujcie sobie, panowie, że jeśli Merlin, syn diabła, był najprawdziwszym sługą króla, jaki kiedykolwiek jadł chleb na tym świecie, to czyż nie jest hańbą, że wy, sukinsyny, musicie być buntownikami i królobójcami?” I przez wieki każdy nowy dziekan Bractonu w dniu swojego wyboru wypijał ceremonialny puchar wody ze Studni Merlina – puchar, który ze względu na swój wiek i piękno był największym skarbem kolegium.

O tym wszystkim rozmyślałem, leżąc przy Studni Merlina – przy studni, która z całą pewnością musiała pochodzić z czasów Merlina, jeś li taki władca rzeczywiście kiedyś istniał – w miejscu, w którym Sir Kenelm Digby leż ał ongiś przez całą letnią noc i widział pewną dziwną zjawę, w miejscu, w którym leżał poeta Collins i gdzie płakał król Jerzy III, gdzie wspaniały, uwielbiany przez wszystkich Nathaniel Fox stworzył słynny poemat na trzy tygodnie przed swoją ś miercią we Francji. Było tak cicho i spokojnie, tak zielono wokół mnie i nade mną, że zasnąłem. Obudziło mnie dochodzące z oddali nawoływanie mojego przyjaciela.

\* \* \*

Najbardziej kontrowersyjnym punktem porządku dziennego plenarnego posiedzenia braktońskiego kolegium była sprawa sprzedaży Lasu Bragdon. Ofertę kupna złożył NIBS -

Narodowy Instytut Badań Skoordynowanych, który na tym terenie zamierzał wybudować swoją siedzibę. Instytut miał być jedną z pierwszych prób konstruktywnej współpracy państwa z ośrodkami badawczymi – współpracy, z którą wiele osób wiązało nadzieje na budowę lepszego świata. Miał być wolny od prawie wszys tkich męczących ograniczeń – jego zwolennicy nazywali je „czerwoną linią” – które tak bardzo utrudniają rozwój badań naukowych w Anglii. Zapewniono mu też prawie nieograniczoną swobodę materialną, bo – jak to ujęto – naród, który był w stanie wydawać tyle milionów dziennie na wojnę, z pewnością może wydać kilka milionów miesięcznie na produktywnie badania naukowe w czasie pokoju. Projektowany budynek miał być okazały, porównywalny z nowojorskimi drapaczami chmur. Planowano zatrudnienie imponującej liczby bardzo dobrze płatnych specjalistów i pracowników pomocniczych.

Nowo utworzony instytut poszukiwał miejsca na siedzibę. Myś lano kolejno o Oksfordzie, o Cambridge, o Londynie, natomiast senat Uniwersytetu Edgestow robił wszystko, by zwabić ów ośrodek badawczy do siebie, mając na uwadze nowe miejsca pracy. Stały nacisk i zabiegi dyplomatyczne ze strony niektórych członków senatu zostały w końcu uwieńczone sukcesem. Po wielu dramatycznych momentach, gdy wydawało się, że sprawa jest przegrana, Postępowa Elita mogła świętować swój triumf. Aby doprowadzić rzecz do końca, wystarczyło tylko zaoferować instytutowi odpowiedni teren. Curry wyraził nawet mniemanie, że jeśli już ta budząca tyle nadziei instytucja zakorzeni się w Edgestow, to Oksford i Cambridge mogą z czasem pożegnać się z mianem najlepszych uniwersytetów brytyjskich.

Gdyby Mark przyszedł na posiedzenie kolegium jeszcze trzy lata temu, mó głby mieć pewność, że samo postawienie takiej sprawy wywoła falę oburzenia. Minęły jednak czasy, gdy w Edgestow bardziej się liczyły sentymenty historyczne niż postęp nauk ścisłych oraz piękno bardziej niż praktyczna użyteczność. Dziś, gdy zajął swoje miejsce w Sali Tronowej, długim pomieszczeniu na piętrze Lady Alice, wiedział już więcej. Wiedział, że takie sprawy załatwia się zupełnie inaczej.

Postępowa Elita rozgrywała partię po mistrzowsku. Większość członków kolegium w ogóle nie

zdawała sobie sprawy, że chodzi o sprzedaż lasu. Punkt 15 porządku dziennego brzmiał:

„Sprzedaż gruntów należących do kolegium”, ale nie wzbudzało to w nikim większych emocji, jako że taki punkt pojawiał się na każdym posiedzeniu plenarnym. „Sprawy dotyczące Lasu Bragdon” widniały jako punkt 1, więc nikt nie wiązał ich ze sprzedażą gruntów. Curry jako prodziekan miał tu do odczytania kilka listów. Pierwszy został nadesłany przez jakieś stowarzyszenie zajmujące się ochroną zabytków. Sądzę, że autorom listu zabrakło wyobraźni (niewykluczone zresztą, że zostali do tego przez kogoś namówieni), gdy sformułowali dwa oskarżenia pod adresem administracji Bracton College. Gdyby ograniczyli się do zwrócenia uwagi na zły stan muru otaczającego las, mogliby liczyć na przychylne zrozumienie. Kiedy jednak po oskarżeniu członków kolegium o niefrasobliwość w sprawie muru zażądali zbudowania jakiejś osłony nad Studnią Merlina, a nawet ośmielili się przypomnieć, że już uprzednio się tego domagali, członkowie kolegium zmarszczyli czoła. A kiedy na końcu listu wyrazili życzenie, by kolegium okazało nieco większą przychylność poważnym znawcom starożytności, którzy pragnęli zbadać stan studni, na sali powiało pełnym urazy zniecierpliwieniem. Nie chciałbym oskarżać człowieka tego pokroju co Curry o błędne odczytanie listu, ale sposób, w jaki to uczynił, z całą pewnością nie osłabiał dość agresywnego tonu niektórych sformułowań, a raczej go podkreślał. Zanim usiadł, wszyscy pragnęli jednego: aby świat zewnętrzny przyjął do wiadomości, że Las Bragdon jest prywatną własnością Bracton College i że świat zewnętrzny zrobiłby lepiej, gdyby pilnował swojego nosa.

Następnie podniósł się ponownie, aby odczytać drugi list, tym razem od towarzystwa spirytystów, które prosiło o zgodę na zbadanie „pewnych zjawisk, o których krążą pogłoski”, mających podobno miejsce w Lesie Bragdon.

– Ten list – powiedział Curry – ma związek z innym, który teraz odczytam, jeśli dziekan pozwoli.

Trzeci list pochodził od wytwórni filmów, która dowiedziała się o zainteresowaniu, jakie Las Bragdon wzbudził wśród spirytystów, i chciała nakręcić film na temat ich badań.

Kolegium zaleciło Curry'emu wystosowanie krótkich odpowiedzi odmownych na wszystkie trzy listy.

Potem zabrał głos przedstawiciel zupełnie innej części kolegium. Lord Feverstone rozpoczął swoje wystąpienie od wyrażenia solidarności z reakcją kolegium na listy wś cibskich natrętów. Czy nie jest jednak faktem, że stan muru wokół lasu rzeczywiście jest wysoce niezadowolający? Wielu niewtajemniczonych członków kolegium – Studdock już do nich nie należał – odniosło wrażenie, że są świadkami rewolucyjnej zmiany w stosunkach między Feverstone'em a „bandą Curry'ego”.

Natychmiast podniósł się jednak kwestor, James Busby. Witając z satysfakcją głos lorda Feverstone'a, wyraził opinię, że określenie „stan niezadowolający” jest stanowczo zbyt łagodne.

Otrzymał właśnie wynik ekspertyzy stanu muru i może z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że właściwie jedynym rozwiązaniem problemu byłaby budowa zupełnie nowego muru. Długo opierał się przed wyjawieniem przewidywanych kosztów takiego przedsięwzięcia, a kiedy wreszcie wypowiedział sumę, członkowie kolegium wstrzymali oddechy. Lord Feverstone zapytał, czy kwestor poważnie proponuje zaakceptowanie tak wielkiego wydatku. Busby (były duchowny, olbrzym z krzaczastą czarną brodą) odpowiedział dość powściągliwie, że jeśli już miał coś zaproponować, to tylko radę, aby tego problemu nie rozważano w oderwaniu od pewnych ważnych okoliczności natury finansowej, których ujawnienie należy do jego obowiązków; uczyni to w stosownym punkcie porządku dziennego, "o tym nieco złowieszczym oświadczeniu nastąpiła krótka przerwa, po której zaczęli się wypowiadać „outsiderzy” i „obstrukcyjniści”, czyli ludzie nie należący do Postępowej Elity. Większość z nich nie tnoęła uwierzyć, że mur jest aż w tak złym stanie, że

trzeba go zastąpić nowym. Postępowa Elita pozwoliła im mówić przez blisko dziesięć minut. Potem ponownie wstał lord Feverstone i zapytał, czy to możliwe, by kwestor i Komisja Konserwacji naprawdę nie byli w stanie znaleźć innego rozwiązania poza budową nowego muru albo degradacją Lasu Bragdon do stanu zwykłego, publicznego lasu. Niektórzy „outsiderzy” odnieśli nawet wrażenie, że ton, w jakim Feverstone zwracał się do kwestora, był nieco zgryźliwy.

Kwestor odpowiedział cichym głosem, że jest pewna alternatywa, choć dotąd rozważał ją czysto teoretycznie. Na przykład ogrodzenie z drutu kolczastego. .. Reszta zdania utonęła w donośnym ryku oburzenia całej sali, w czasie którego dał się słyszeć głos starego kanonika Jewela, przysięgającego, że wolałby już ściąć w lesie wszystkie drzewa, niż zobaczyć las opasany drutem.

Ostatecznie sprawa została odłożona do rozważenia na następnym zebraniu plenarnym.

Kolejnego punktu obrad większość członków kolegium w ogóle nie była w stanie zrozumieć.

Curry przedstawił rekapitulację długiej korespondencji między kolegium a senatem na temat proponowanego wcielenia Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych do Uniwersytetu Edgestow. Następnie rozpoczęła się dyskusja, w której raz po raz odnoszono się do jakichś „zobowiązań”.

– Jako kolegium jesteśmy zobowiązani – mówił Watson – do udzielenia pełnego wsparcia nowemu instytutowi.

– Wygląda na to – mówił lord Feverstone – że mamy związane ręce i musimy dać uniwersytetowi *carte blanche*.

O co właściwie chodziło, tego niewtajemniczeni członkowie kolegium nie mogli dociec.

Pamiętali, że na poprzednim posiedzeniu zaciekle walczyli z pomysłem wsparcia instytutu i że przegrali, ale każda próba uzyskania informacji, co ta ich klęska naprawdę oznacza, kończyła się długimi wywodami Curry'ego naszpikowanymi całkowicie niezrozumiałymi cytacjami ze statutu uniwersyteckiego i dywagacjami na temat skomplikowanych relacji prawnych między uniwersytetem a kolegium. Po długiej dyskusji odnieśli wrażenie, że zainstalowanie Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych w Edgestow w niczym nie narusza honoru kolegium.

Podczas dyskusji nad tym punktem myśli niejednego członka kolegium zaczęły krążyć wokół lunchu. Gwałtowne ożywienie nastąpiło dopiero wówczas, gdy za pięć pierwsza Curry powstał, by przedstawić punkt 3, zapowiedziany w porządku dziennym jako „Korektura anomalii wysokości stypendiów dla młodszych członków kolegium”. Wolałbym nie wspominać, ile otrzymywał wówczas młodszy członek Bracton College – w każdym razie była to suma, która nawet nie pozwalała na pokrycie kosztów utrzymania. Studdock, który do niedawna sam należał do tej grupy, dobrze rozumiał wyraz twarzy młodszych kolegów. Zatwierdzenie „korektury” oznaczało dla nich zakup nowej odzieży, wakacje, mięso na lunch i szansę zakupu sobie połowy, a nie jednej piątej, książek, których potrzebowali. Wszystkie oczy utkwione były w Busbym, gdy podniósł się, aby odpowiedzieć na propozycje Curry'ego. Wyraził nadzieję, że chyba nikt nie wyobraża sobie, by on, kwestor, pochwalał ową anomalię, która począwszy od 1910 roku wykluczała najniższą kategorię członków kolegium z udziału w nowych, korzystniejszych warunkach, określonych w 18 paragrafie ustawy numer 17. Jest przekonany, że każdy obecny na tej sali pragnąłby zmiany tej sytuacji, jego obowiązkiem jest jednak zwrócić uwagę, że to już drugi wniosek na tym posiedzeniu zmierzający do zaakceptowania bardzo poważnych wydatków. Nie można go rozpatrywać w oderwaniu od problemu ogólnej sytuacji finansowej kolegium, którą ma nadzieję przedstawić po południu. Na ten temat wyrażono wiele opinii, ale gdy za kwadrans druga zebrani udali się na lunch, każdy młodszy członek kolegium wiedział jedno: budowa nowego muru wokół Lasu Bragdon i podwyższenie jego stypendium to dwa wykluczające się postulaty.

- Przez całe przedpołudnie błędziliśmy po tym cholernym lesie – powiedział jeden z nich.
- I jeszcze z niego nie wyszliśmy – dodał drugi.

W tym stanie umysłów kolegium zebrało się ponownie po lunchu, aby rozpatrzyć swoją sytuację finansową. Głównym mówcą był, oczywiście, kwestor Busby. Popołudnie było słoneczne, a potoczyste przemówienie kwestora, a nawet błysk jego równych, białych zębów (miał rzeczywiście godne podziwu uzębienie) wprawiało zebranych w hipnotyczny trans. Dla przeciętnego członka kolegium uniwersyteckiego sprawy finansowe przeważnie nie są łatwe do zrozumienia; gdyby były, to prawdopodobnie należałoby do tego rodzaju ludzi, którzy nie zostają członkami kolegium. W każdym razie do świadomości zebranych dotarło, że sytuacja jest zła, jeśli nie katastrofalna. Niektórzy najmłodszy i najmniej doświadczeni członkowie kolegium przestali się zastanawiać, czy w końcu zostanie wybudowany nowy mur, czy nastąpi podwyżka stypendium, bo zaczęli się zastanawiać, czy kolegium będzie w ogóle dalej istniało. Czasy, jak słusznie przypominał kwestor, były nadzwyczaj trudne. Starsi członkowie kolegium często słyszeli o nadzwyczaj trudnych czasach z ust poprzednich kwestorów, więc mniej się tym przejęli. Nie sugeruję tu bynajmniej, że Busby przedstawiał sytuację w nieprawdziwym świetle. Kondycja finansowa jakiegokolwiek dużej instytucji zajmującej się wyłącznie sprawami nauki bardzo rzadko może być określona jako przynajmniej zadowolająca. Mowa kwestora była świetnie przygotowana. Każde zdanie można było uznać za model klarowności, a jeśli nawet słuchacze uznali, że sens całego jego wystąpienia jest mniej jasny od poszczególnych części, to już ich wina. Zaaprobowano nieznaczne ograniczenia budżetowe i przesunięcia środków, po czym kolegium udało się na herbatę w bardziej potulnym usposobieniu. Studdock zadzwonił do Jane i powiedział, że nie wróci do domu na obiad.

Dopiero o szóstej wszystkie myśli i uczucia, wzniecone uprzednio przy omawianiu różnych punktów porządku dziennego, pozornie niewiele mających ze sobą wspólnego, zbiegły się przy sprawie sprzedaży Lasu Bragdon. Nie określił tego zresztą jako „sprzedaż Lasu Bragdon”, lecz – jak to ujął kwestor – „sprzedaż terenu zabarwionego na różowo na planie, który, za zgodą dziekana, puszcza teraz w obieg wokół stołu”. Busby nadmienił tylko, że sprzedaż owego terenu pociągnęłaby za sobą utratę „części lasu”. W rzeczywistości proponowane usytuowanie instytutu pozostawiało przy Bracton College jedynie południowy skraj lasu, szerokości zaledwie pięciu metrów, ale nie był to żaden podstęp, bo przecież każdy członek kolegium widział ów plan na własne oczy. Był to plan w dość małej skali i chyba nie za bardzo dokładny, bo miał dać tylko ogólny pogląd. Odpowiadając na pytania, Busby przyznał, że niestety – albo na szczęście – sama studnia znajduje się wewnątrz terenów interesujących NIBS. Oczywiście kolegium będzie miało zagwarantowane prawo dostępu do studni, natomiast cały zabytek zostanie otoczony opieką przez instytut, i to w sposób satysfakcjonujący wszystkich archeologów na całym świecie. Kwestor powstrzymał się od wyrażenia swojej opinii, wymieniając jedynie zapierającą oddech w piersiach sumę, jaką Narodowy Instytut Badań Skoordynowanych gotów był zapłacić za „teren zabarwiony na różowo”.

Atmosfera wyraźnie się ożywiła. Wciąż nowe i nowe korzyści płynące ze sprzedaży lasu ujawniały się same, jak dojrzałe owoce spadające prosto w ręce. Zaakceptowanie transakcji rozwiązywało problem muru, rozwiązywało problem konserwacji starożytnego zabytku, rozwiązywało problemy finansowe kolegium, ba, wydawało się rozwiązywać problem stypendiów dla młodszych członków kolegium. Okazało się też, że NIBS zainteresowany jest jedynie owym „terenem zabarwionym na różowo”. Inne lokalizacje w Edgestow nie wchodziły w grę, tak więc, gdyby Bracton nie zechciało tego terenu sprzedać, instytut bez wątpliwości znalazłby siedzibę w Cambridge. Po długich oporach wyciągnięto nawet z kwestora poufną wiadomość, że jego odpowiednik w Cambridge dałby wiele, aby tak się stało.

Kilku prawdziwych zatwardziały konserwatystów, którym Las Bragdon wypełniał niemal całą treść życia, nie było w stanie zorientować się w sytuacji. Kiedy doszli do głosu, ich wystąpienia były niemiłym dysonansem w ogólnym aplauzie. Zostali wmanewrowani w sytuację, w której reszcie zgromadzenia jawili się jako grupka zagorzałych zwolenników otoczenia Lasu Bragdon drutem kolczastym. Kiedy w końcu powstał niewidomy, trzęsący się, stary Jewel i powiedział coś, prawie łkając, prawie nikt go nie usłyszał. Ludzie odwrócili się ku niemu, podziwiając jego szlachetną, nieco dziecinną twarz i białe włosy, które stały się jeszcze bardziej widoczne w zapadającym zmroku, ale tylko siedzący najbliżej niego mogli dosłyszeć jego słowa.

Po chwili wstał lord Feverstone, skrzyżował ręce na piersi i patrząc starcowi prosto w oczy, powiedział mocnym głosem:

– Jeżeli kanonik Jewel pragnie, abyśmy nie usłyszeli jego poglądu na tę sprawę, to łatwiej osiągnie cel, jeśli zamilknie.

Jewel był stary już przed pierwszą wojną światową, gdy ludzi w jego wieku traktowano z należnym szacunkiem, i dotąd nie udało mu się przywyknąć do obyczajów nowoczesnego świata.

Przez chwilę stał z podniesioną głową, tak jakby zamierzał odpowiedzieć na tę impertynencję, ale nagle rozłożył ręce w geście bezradności i cofnął się, by z trudem zająć miejsce w swoim krześle.

Wniosek przeszedł.

\* \* \*

Opuściwszy dom tego przedpołudnia, Jane również skierowała swe kroki do Edgestow, gdzie kupiła sobie kapelusz. Do tej pory trochę pogardzała kobietami, które kupują kapelusze – tak jak mężczyźni idą się napić – aby poprawić sobie nastrój. Prawdę mówiąc, nie przyszło jej do głowy, że właśnie to zrobiła. Lubiła proste stroje w kolorach, którym z czysto estetycznego punktu widzenia nie można było nic zarzucić – stroje, które miały świadczyć, że jest inteligentną dorosłą kobietą, a nie modnisią zwracającą na siebie uwagę kolorami przywodzącymi na myśl pudełko czekoladek.

Zachowując taki styl, uważała, że w ogóle nie interesuje się strojami. Poczula się więc lekko rozdrażniona, gdy wychodząc ze sklepu Sparrowa, spotkała panią Dimble, która na jej widok zawołała:

– Ach, witaj, moja kochana! Co, kupiłaś nowy kapelusz? Chodź do nas na lunch, musimy go razem obejrzeć. Cecil ma samochód tuż za rogiem.

Cecil Dimble, członek Northumberland College, był adiunktem opiekującym się Jane podczas ostatniego roku jej studiów, a pani Dimble (większość studentów nazywała ją spontanicznie Mamą Dimble) była kimś w rodzaju uniwersalnej ciotki dla wszystkich dziewcząt z jej roku. Myślę, że obdarzanie sympatią studentek własnego męża nie jest zbyt częstym zjawiskiem wśród żon wykładowców, ale pani Dimble naprawdę lubiła wszystkich studentów doktora Dimble'a niezależnie od płci, a dom Dimble'ów, położony po drugiej stronie rzeki, był przez cały rok akademicki czymś w rodzaju hałaśliwego salonu towarzyskiego. Do Jane czuła ową szczególną sympatię, jaką takie dobroduszne i obdarzone dużym poczuciem humoru bezdzietne kobiety obdarzają czasem dziewczęta uważane przez nie za ładne i trochę głupie. W ciągu ostatniego roku Jane straciła z nią kontakt i miała z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia.

Przejechali przez most do północnej części Bractonu, potem skierowali się na południe, mijając rząd domków letniskowych na brzegu rzeki Wynd, przy kościele normańskim skręcili w lewo, na wschód, aż wreszcie, prostą drogą, obrzeżoną z jednej strony topolami, a z drugiej murem Lasu Bragdon, dojechali przed dom Dimble'ów.

– Och, jak tu cudownie! – zawołała Jane po wyjściu z samochodu.

Ogród Dimble'ów był słynny na całe Edgestow.

– A więc korzystaj z okazji i dobrze się wszystkiemu przyjrzyj – powiedział doktor Dimble.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytała Jane.

– Nie mówiłaś jej? – Dimble zwrócił się do żony.

– Jeszcze nie nabrałam odwagi – odpowiedziała pani Dimble.

– A poza tym... biedaczka jest żoną jednego z tych drani. Zresztą chyba sama wie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówicie!

– Twoje kolegium, moja kochana, staje się troszkę uciążliwe. Wyrzucają nas stąd. Nie chcą odnowić dzierżawy.

– Och, pani Dimble! – zawołała Jane. – Nie miałam pojęcia, że to należy do Bractonu.

– No proszę! Jedna połowa świata nie wie, jak żyje druga. A ja sobie wyobrażałam, że i ty, i pan Studdock użyjecie wszelkich swoich wpływów, by nas ratować, podczas gdy w rzeczywistości...

– Mark nigdy ze mną nie rozmawia o sprawach kolegium.

– Dobrzy mężowie nigdy tego nie robią – powiedział doktor Dimble. – Chyba że chodzi o jakieś inne kolegium. Dlatego Margaret wie wszystko o Bractonie, a nie ma pojęcie, co się dzieje w Northumberlandzie. Czy nikt nie ma zamiaru wejść do środka, żeby zjeść lunch?

Dimble domyślał się, że Bracton College zamierza sprzedać las i resztę terenów po tej stronie rzeki. Okolice, w której mieszkał, jeszcze bardziej wydawała mu się rajem teraz niż przed dwudziestoma pięcioma laty, gdy się tu osiedlił. Czuł, że jest zbyt mocno poruszony tą sprawą, by o niej rozmawiać z żoną jednego z bractonczyków.

– Będziesz musiał poczekać na lunch, aż obejrzę nowy kapelusz Jane – oświadczyła Mama Dimble i bezzwłocznie porwała Jane do swojej sypialni.

Teraz nastąpiło kilka minut ścisłej kobiecej konwersacji (w starożytnym znaczeniu tego słowa), które sprawiło, że Jane poczuła się o wiele lepiej, a choć pani Dimble miała całkowicie odmienne poglądy na te sprawy, trudno było zaprzeczyć, że pewna drobna sugestia z jej strony okazała się całkiem sensowna. W końcu pani Dimble odłożyła kapelusz i nagle zapytała:

– Czy coś się stało, moja kochana?

– Nie, dlaczego pani pyta?

– Wyglądasz jakoś nieswojo.

– Och, nie, wszystko w porządku – odpowiedziała Jane, a w myślach dodała: „Umiera z ciekawości, czy nie jestem w ciąży. To właśnie ten rodzaj kobiet”.

– Nie znosisz całowania? – zapytała całkiem nieoczekiwanie pani Dimble.

„Czy nie znoszę całowania?“, powtórzyła Jane w myślach. „To dopiero pytanie! Czy nie znoszę całowania... Chyba nie na kobiecy rozum...” Zamierzała odpowiedzieć: „Ależ skąd!

Oczywiście, bardzo lubię!”, ale zamiast tego, ku swemu wielkiemu zdumieniu i zażenowaniu, rozplakała się. A potem przez chwilę poczuła, że jest małym dzieckiem, a pani Dimble po prostu osobą dorosłą: tym kimś dużym i ciepłym, do kogo można pobiec, kiedy się stukło kolano albo kiedy zepsuła się zabawka. Kiedy Jane myślała o swoim dzieciństwie, zwykle przypominała sobie sytuacje, w których gwałtowne uściski niani czy matki odczuwała jako zamach na swoją dojrzałość; teraz, przez chwilę, powróciła myślą do tych zapomnianych, nielicznych momentów, w których strach lub rozżalenie wzbudza w dziecku chęć rzucenia się w ramiona dorosłego. To, że nie buntowała się przeciw próbom utulenia jej i pocieszenia, było sprzeczne z jej filozofią życia, a jednak zanim zeszły na dół, wyznała pani Dimble, że nie spodziewa się dziecka, lecz bardzo dokucza jej samotność, a poza tym miała tej nocy koszmarne sen.

Podczas lunchu doktor Dimble zaczął rozmawiać z Jane o legendzie arturiańskiej.

– Naprawdę to zachwycające, jak bardzo cała ta opowieść wydaje się spójna i wiarygodna, nawet w późniejszych wersjach, na przykład u Malory'ego. Zauważyłaś chyba, że są tam dwie grupy charakterów. Mamy więc Ginewrę, Lancelota i inne postaci z otoczenia Artura, wszystkie bardzo szlachetne, ale właściwie trudno powiedzieć, żeby było w nich coś specyficznie brytyjskiego. Natomiast w tle są te wszystkie mroczne postacie, jak Morgana czy Morgause, naprawdę bardzo brytyjskie i zwykle bardziej lub mniej wrogie. Wszystkie mają coś wspólnego z magią. Pamiętasz tę cudowną frazę, kiedy królowa Morgana „razem z innymi czarodziejkami wznieciła pożogę w całym kraju”? Oczywiście Merlin też ma cechy brytyjskie, choć nie jest postacią wrogą. Czy nie sprawia to wrażenia bardzo prawdopodobnego obrazu Brytanii tuż przed inwazją Germanów?

– W jakim sensie, panie doktorze? – zapytała Jane.

– No cóż, zapewne w ówczesnym społeczeństwie istniała silnie zromanizowana i schryścianizowana elita. Ludzie noszący togi i mówiący jakąś celtycką odmianą łaciny... myślę, że w naszych uszach brzmiałoby to trochę podobnie do hiszpańskiego... ale jednak chrześcijaństwo.

Natomiast w głębi kraju, w różnych mało dostępnych rejonach, odciętych od reszty wyspy puszciami, znajdowały się niewielkie księstwa rządzone przez prawdziwych, starych Brytów, mówiących jakąś odmianą walijskiego i wciąż praktykujących dawną religię druidów.

– A do której grupy należał Artur? – zapytała Jane.

Nie wiadomo, dlaczego jej serce zamarło na sekundę po słowach „trochę podobnie do hiszpańskiego”.

– Dobre pytanie. Można sobie wyobrazić, że był potomkiem starej linii brytyjskiej. Tak, Bryt, ale już chrześcijanin, dobrze wyszkolony w rzymskiej technice dowodzenia, próbuje scalić tworzące się społeczeństwo. I prawie mu się udało. Na pewno spotykał się z zawiścią ze strony swojego brytyjskiego rodu, a owa zromanizowana elita, ci wszyscy Lanceloci i Lionele, patrzyła na Brytów z góry. Właśnie dlatego Kej jest zawsze przedstawiany jako gbur: jest częścią rodzimego środowiska. No, a w tle mamy wciąż cofającą się falę druidyzmu.

– A Merlin?

– Tak... Merlin to naprawdę ciekawa postać. Może cały ten śmiały plan nie powiódł się, bo Merlin umarł za wcześnie? Czy nigdy nie uderzyło cię, jak bardzo dziwne elementy skupiał w sobie? On nie należy do mrocznego świata, a jednocześnie nie wciąż pozostaje magiem. Nie ulega wątpliwości, że jest druidem, a jednak zna tajemnicę Graala. Jest „synem diabła”, ale przecież Layamon nie omieszkał zauważyć, że ta istota, która wychowała Merlina, wcale nie była zła.

Pamiętasz? „Albowiem niebiosa zamieszkują różne rodzaje istot. Jedne z nich są dobre, a inne są sprawcami zła”.

– Tak, to rzeczywiście zadziwiające. Nigdy tak o tym nie myślałam.

– Często się zastanawiam – ciągnął doktor Dimble – czy Merlin nie jest ostatnim przedstawicielem czegoś, o czym późniejsza tradycja zupełnie zapomniała, czegoś, co stało się niemożliwe od czasu, gdy każdy, kto jeszcze miał kontakt ze światem nadprzyrodzonym, musiał być już albo biały, albo czarny: musiał być albo chrześcijańskim kapłanem, albo czarnoksiężnikiem.

– Cóż za okropny pomysł! – wtrąciła pani Dimble. – W każdym razie Merlin żył dawno, dawno temu, jeśli w ogóle żył, a teraz na szczęście jest martwy i pochowany w Lesie Bragdon, o czym wszyscy dobrze wiemy.

– Pochowany, zgoda, ale nie martwy, jeśli wierzyć legendzie – poprawił ją doktor Dimble.

– Och!... – wyrwało się Jane, ale doktor Dimble nie zwrócił na to uwagi i dalej snuł swoje rozważania.

– Ciekaw jestem, co naprawdę znajdą, kiedy zaczną rozkopywać las pod fundamenty tego ich



instytutu.

– Najpierw błoto, a potem wodę – powiedziała pani Dimble. – I dlatego nie mogą tam niczego zbudować.

– Tak by się wydawało. Więc dlaczego chcą kupić las? Nie przypuszczam, aby taki londyński cwaniak jak Jules przejmował się jakimiś poetyckimi fantazjami o płaszczu Merlina.

– Oni i płaszcz Merlina! A to dopiero! – prychnęła pani Dimble.

– Tak – powiedział doktor Dimble z powagą. – To mało prawdopodobne. Ale śmiem twierdzić, że są tacy, którym marzy się zdobycie tego płaszcza. Inna sprawa, czy znalazłby się wśród nich ktoś tak w ielki, by płaszcz na niego pasował ! No i na pewno nie byłiby zachwyceni, gdyby w tym płaszczu ożył sam Merlin.

– To dziecko zaraz zemdleje! – przerwała mu żona, podrywając się z miejsca.

– Hej, co się dzieje? – zapytał jej mąż, patrząc ze zdumieniem na twarz Jane. – Czy w pokoju jest za gorąco?

– Och... to śmieszne, ale... – zaczęła Jane i urwała.

– Przejdźmy do salonu. O, tak. Oprzyj się na mnie.

Nieco później, w salonie, siedząc przy oknie, za którym widać było trawnik zasłany już żółtymi liśćmi, Jane próbowała wytłumaczyć swoje zachowanie, opowiadając im o dziwnym śnie.

– Chyba się strasznie skompromitowałam – powiedziała na zakończenie. – Możecie mnie zaraz poddać psychoanalizie.

Patrząc na twarz doktora Dimble'a, Jane mogła sądzić, że jej sen naprawdę go zaintrygował.

– To niesłychane... to zupełnie niesamowite... – mruczał pod nosem. – Dwie głowy. I jedna z nich to głowa Alcasana... Czyżby fałszywy trop?...

– Cecilu, proszę cię, przestań – powiedziała pani Dimble.

– Czy uważacie, że powinnam się poddać psychoanalizie? – zapytała Jane.

– Psychoanalizie? – powtórzył doktor Dimble, jakby nie bardzo rozumiał, o co chodzi. – Ach, rozumiem. Masz na myśli wizytę u kogoś takiego jak Brizeacre?

Jane zdała sobie sprawę, że jej pytanie przywołało go z bardzo odległych rejonów myśli.

Najwidoczniej opowieść o dziwnym śnie nie wiązała się z jakimś innym problemem, o wiele ważniejszym od stanu jej zdrowia. Z jakim, nie miała pojęcia.

Doktor Dimble wyrzwał przez okno.

– O, mój najnudniejszy student właśnie dzwoni do drzwi – powiedział. – Muszę was opuścić.

Pójdę do gabinetu i wysłucham eseju o Swifcie, który na pewno będzie się zaczynał od „Swift urodził się. – – Będę musiał się na tym skupić, a to nie będzie łatwe.

Wstał i położył rękę na ramieniu Jane.

– Posłuchaj – rzekł. – Nie będę ci dawał żadnych rad. Ale jeżeli naprawdę zdecydujesz się pójść do kogoś ze swoim snem, bardzo bym chciał, żebyś najpierw porozmawiała z pewną osobą, której adres da ci Margery albo ja.

– Nie ma pan zaufania do doktora Brizeacre'a?

– Nie mogę tego wyjaśnić. Nie teraz. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Staraj się tym nie przejmować. Ale jeśli ci się nie uda, skontaktuj się z nami. Do widzenia.

Prawie natychmiast po jego odejściu przyszli inni goście, tak więc Jane nie miała już sposobności, by porozmawiać z Mamą Dimble. Pół godziny później pożegnała się i ruszyła w stronę domu – nie tą drogą obrosniętą topolami, ale ścieżką wiodącą przez miejskie błonia, na których pasły się osiołki i gęsi, mając po lewej stronie iglice kościołów i wieże Edgestow, a po prawej majaczący na horyzoncie stary młyn.

## Rozdział 2

### *Kolacja u prodziekana*

Co za cios! – powiedział Curry, stojąc przed kominkiem w swoim wspaniałym salonie z oknami wychodzącymi na dziedziniec Newtona.

– Coś ze strony NO? – zapytał Busby.

Siedzieli we czwórkę w mieszkaniu Curry'ego – Busby, lord Feverstone, Mark i gospodarz – popijając sherry przed kolacją. Skrót NO, czyli Non Olet, był kryptonimem Charłesa Place'a, dziekana Bracton College. Jego wybór przed piętnastoma laty był jednym z najwcześniej niejszych triumfów Postępowej Elity. Używając argumentów o potrzebie „nowej krwi” i wyrwania kolegium z „akademickiego zaścianka”, udało im się wprowadzić na to stanowisko podstarzałego urzędnika państwowego, który z pewnością nigdy nie zbrukał się pracą naukową od czasu, gdy jeszcze w poprzednim stuleciu opuścił któreś z najgorszych kolegiów Cambridge, ale który napisał monumentalny raport o stanie warunków sanitarnych w Anglii. Temat ten najwidoczniej zafascynował Postępową Elitę. Uznała go za policzek wymierzony wszystkim „dyletantom” i „twardogiowym”, którzy zareagowali nadaniem mu przezwiska Non Olet. Z biegiem czasu zaczęli go tak nazywać nawet ci, którzy go popierali. Place najwyraźniej nie sprostał ich oczekiwaniom.

Okazał się cierpiącym na niestrawność tetrykiem, interesującym się wyłącznie filatelistyką, a głos zabierał tak rzadko, że niektórzy z młodszych członków kolegium w ogóle nie wiedzieli, jak ten głos brzmi.

– Tak. A niech go wszyscy diabli! – zaklął Curry. – Chce mnie widzieć w związku ze „sprawą największej wagi”. Dziś wieczorem. Mam do niego zadzwonić zaraz po kolacji.

– To znaczy, że Jewel i spółka nie zasypiają gruszek w popiele – powiedział kwestor. – Dotarli do niego, chcąc znaleźć jakiś sposób na wycofanie się z tej całej transakcji.

– Nie dałbym za to złamanego grosza – obruszył się Curry. – Niby jak miałby unieważnić przyjęty już wniosek? To nie przejdzie. Tyle, że zapaskudził nam cały wieczór.

– Tylko tobie – odezwał się Feverstone. – Zanim wyjdiesz, nie zapomnij wyciągnąć tej swojej specjalnej brandy.

– Jewel! Dobry Boże! – zawołał kwestor, zagłębiając lewą dłoń w swojej brodzie.

– Trochę mi było żal starego Jewela – powiedział Mark.

Motywy, które go skłoniły do wypowiedzenia tego zdania, były dość złożone. Aby oddać mu sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, że był zniesmaczony całkiem nieoczekiwaną i wyraźnie niepotrzebną brutalnością, z jaką Feverstone potraktował starego kanonika. Z drugiej strony, wciąż nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia, jakim była dla niego wiadomość, że swoją obecną pozycję zawdzięcza właśnie Feverstone'owi. Kim ten Feverstone naprawdę był? A jednak paradoksalnie – nawet jeśli czuł, że nadszedł czas, by potwierdzić swoją niezależność i zaznaczyć, że jego zgoda na metody stosowane przez Postępową Elitę nie jest bezwarunkowa – czuł również, że wyrażenie takiej opinii może mu zapewnić jeszcze lepszą pozycję wewnątrz tej wpływowej grupy. Gdyby te dość mętne odczucia skryształizowały się w krótkim zdaniu: „Feverstone bardziej mnie doceni, jeśli pokażę zęby”, zapewne taką myśl by odrzucił jako zbyt serwilistyczną. Ale tak się nie stało.

– Żal ci było Jewela? – spytał Curry, obracając się od okna.

– Szkoda, że go nie znałeś u szczytu jego kariery.

– Masz rację – rzekł Feverstone do Marka – ale jestem zwolennikiem Clausewitza. W ostatecznym rozrachunku najbardziej humanitarnym sposobem pokonania przeciwnika jest wojna

totalna. Uciszyłem go natychmiast. I jak się otrząśnie z szoku, powinien być zadowolony, bo w końcu potwierdziłem tylko to, co on sam głosi o młodszym pokoleniu od czterdziestu lat. A jaki mieliśmy wybór? Pozwolić mu pleść bzdury, dopóki by go nie uciszył napad kaszlu lub atak serca, i jeszcze na dodatek sprawić mu zawód uprzejmym traktowaniem?

– No tak, to z pewnością jest jakiś punkt widzenia – powiedział Mark.

– Do wszystkich diabłów! – wybuchnął Feverstone. – Przecież nikt nie lubi, kiedy się go pozbawia ulubionych argumentów i frazesów. Co by, na przykład, zrobił nasz biedny Curry, gdyby pewnego dnia zatwardziali konserwatyści przestali się sprzeciwiać wszelkim innowacjom? Nie mógłby już odgrywać roli Otella.

– Kolację podano, sir – oznajmił „szeregowiec” Curry'ego. W Bractonie nazywano tak służących członków kolegium.

– Nie pleć bzdur, Dick – powiedział Curry, gdy zasiedli do stołu. – Niczego tak nie pragnę jak tego, żeby ci wszyscy konserwatyści i zatwardziali przestali wreszcie wtrącać swoje trzy grosze.

Chcę mieć warunki, żeby ostro zabrać się do roboty. Chyba nie uważasz, że sprawia mi przyjemność marnowanie czasu na samo oczyszczanie drogi?

Mark zauważył, że gospodarz jest trochę urażony kpinkami lorda Feverstone'a. Ten ostatni wybuchnął głośnym, zaraźliwym śmiechem. Mark zaczął czuć do niego sympatię.

– A tą robotą jest...? – zapytał Feverstone, nie patrząc wyraźnie na Marka, a tym bardziej do niego nie mrugając, ale dając mu do zrozumienia, że w jakiś sposób został wciągnięty do gry.

– No cóż, niektórzy z nas mają jeszcze do zrobienia to i owo na tym ś wiecie – odpowiedział Curry, zniżając głos, by dodać swojej wypowiedzi powagi, podobnie jak niektórzy ludzie zniżają głos, kiedy mówią o sprawach medycznych lub religijnych.

– Nigdy nie podejrzewałem, że należysz do tego rodzaju osób – kpił nadal Feverstone.

– Na tym właśnie polega bagno tego całego systemu – rzekł Curry. – W takim miejscu jak to trzeba albo siedzieć cicho i patrzeć, jak wszystko się wali, albo poświęcić swoją karierę naukową dla tej całej piekielnej polityki uniwersyteckiej. Ale już niedługo rzucę to wszystko w diabły i zabiorę się do mojej książki. Przecież dobrze wiesz, Feverstone, że mam tu wszystko pod ręką.

Wystarczą jedne długie wakacje i nadam mojemu dziełu kształt.

Mark, który nigdy wczes nie widział drażniącego się z kimś Curry'ego, zaczynał się dobrze bawić.

– Rozumiem – powiedział Feverstone. – Aby utrzymać naukową rangę tego ośrodka wiedzy, wszystkie jego najlepsze mózgi muszą całkowicie zrezygnować z nauczania...

– Właśnie! – zawołał Curry. – Otóż właśnie... – i urwał, bo nagle zaczął podejrzewać, że nie jest traktowany poważnie.

Feverstone wybuchnął śmiechem. Kwestor, który do tej pory zajmował się wyłącznie jedzeniem, wytarł pieczołowicie brodę i przemówił poważnym tonem:

– To wszystko jest piękne w teorii, ale myślę, że Curry ma rację. Przypuśćmy, że zrezygnuje ze stanowiska prodziekana i wycofa się do swojej jaskini. Jestem pewien, że spłodzi świetną książkę o ekonomii ..

– O ekonomii? – przerwał mu Feverstone, unosząc brwi.

– Tak się składa, James, że zajmuję się historią wojskowości – wycedził Curry.

Curry często cierpiał z powodu trudności, jaką mieli jego koledzy z zapamiętaniem uprawianej przez niego dziedziny wiedzy.

– Ależ oczywiście, historią wojskowości – zgodził się Busby. – A więc, jak powiedziałem, Curry mógłby nas uraczyć wystrzałową książką o historii wojskowości. Ale wszyscy wiemy, że

nawet najlepsza praca zdezaktualizuje się w ciągu... no, powiedzmy, dwudziestu lat. Natomiast to, co obecnie robi dla całego kolegium, będzie owocowało przez stulecia. Weźmy ten cały interes ze ściągnięciem do Edgestow Narodowego Instytutu Badań Skoordinowanych. Pomyślałeś o tym, Feverstone? I nie mówię o samej finansowej stronie tego przedsięwzięcia, choć jako kwestor bardzo wysoko ją cenię. Pomyśl tylko o nowym życiu, o pobudzeniu nowych wizji, o poruszeniu drzemających impulsów... Czy można jakkolwiek książkę o ekonomii...

– O historii wojskowości – wtrącił łagodnie Feverstone, ale Busby tego nie dosłyszał.

– ... czy można jakkolwiek książkę o ekonomii – ciągnął – porównać z takim osiągnięciem? Ja, w każdym razie, widzę w tym największy w naszym stuleciu triumf praktycznego idealizmu!

Dobre wino zaczynało działać. Wszyscy znamy ten rodzaj duchownych, którzy zapominają o koloratce po trzecim kieliszku wina. Z Busbym było odwrotnie. Kiedy wino rozwiązywało mu język, utajony w nim pastor budził się do dziwnego, galwanicznego życia, mimo trzydziestu lat apostazji.

– Nie roszczę sobie pretensji do ortodoksji – perorował – ale jeśli li religię rozumieć w jej najgłębszym znaczeniu, to śmiem twierdzić, iż przez ś ciągnięcie NIBS-u do Edgestow Curry uczynił dla niej więcej niż Jewel w ciągu całego swojego żywota.

– No cóż – powiedział skromnie Curry – to może budzić takie nadzieje, chociaż ja nie ująłbym tego w taki sposób...

– Ależ oczywiście cie! – zgodził się kwestor. – Każdy z nas mó wi innym językiem, ale w sumie mówimy o tym samym.

– Czy ktoś z was wł aściwie wie – zapytał nagle Feverstone – czym dokładnie jest ten cały instytut i co zamierza robić?

Curry spojrział na niego z lekkim zdumieniem.

– Dziwię się trochę, Dick, że właśnie ty zadajesz to pytanie. Sądziłem, że jesteś w całą sprawę bardzo wciągnięty.

– Czy nie trąci naiwnością przypuszczenie – zaczął Feverstone – że jeśli ktoś zaangażował się w coś takiego, to tym samym musi znać oficjalny program w szczegółach?

– Och, oczywiście, jeśli masz na myśli szczegóły... – zaczął Curry i urwał.

– Śmiem twierdzić, Feverstone – odezwał się Busby – że robisz wielką tajemnicę z czegoś, co jest proste i oczywiste. Ja cel działań NIBS-u widzę całkiem jasno. Chodzi o pierwszą próbę poważnego potraktowania nauk stosowanych z punktu widzenia całego państwa. Różnica między skalą tego przedsięwzięcia a skalą tego wszystkiego, co mieliś my dotąd, staje się zasadniczą różnicą jakościową. Już sam rozmach architektoniczny, jakoś aparatu badawczego... Wystarczy pomyśleć, co już to dało naszemu przemysłowi. Pomyślcie, jak zmobilizuje się wszystkie ukryte talenty w tym kraju! I nie mam na myśl li jedynie naukowych talentów, w wąskim znaczeniu tego słowa. Piętnastu dyrektorów wydziałów z pensją piętnaście tysięcy na rok każdy! Własna służba prawnicza! Własna policja, jak mi powiedziano! Własny stały personel techniczny, architekci, rzeczoznawcy, inżynierowie! To niesamowite przedsięwzięcie!

– Niesamowita droga do kariery dla naszych synów – mruknął Feverstone. – Rozumiem.

– A ja nie bardzo rozumiem, co lord Feverstone chciał przez to powiedzieć – oznajmił Busby, zdejmując okulary.

– Lord! – zawołał Feverstone z kpiącym uśmieszkiem. – James, zupełnie zapomniałem, że masz rodzinę!

– James ma rację – odezwał się Curry, który od pewnego czasu wyraźnie chciał dojsć do głosu.

Powstanie NIBS-u to początek nowej ery, prawdziwej ery nauki. Do tej pory mieliśmy do

czynienia z chaosem. Teraz mamy szansę uprawiania nauki w sposób naukowy. Ma tam być czterdzieści powiązanych ze sobą zespołów naukowych, obradujących dzień w dzień. Będą dysponowali wspaniałym urządzeniem... pokazali mi jego model... dzięki któremu osiągnięcia badawcze każdego zespołu zostaną zanotowane i wyświetlone na specjalnej tablicy analitycznej.

Raporty będą notowane co pół godziny, przy czym owo urządzenie będzie automatycznie ustawiało wydruki na właściwym miejscu i łączyło je strzałkami z odpowiednimi fragmentami raportów innych zespołów. Wystarczy jedno spojrzenie na tablicę i polityka badawcza całego instytutu będzie jak na dłoni. Na szczycie budynku, w pomieszczeniu przypominającym sterownię kolei podziemnej, będzie pracowało nad tym przynajmniej dwudziestu specjalistów. To zupełnie niesamowite urządzenie! Wydruki różnych problemów będą miały różne kolory. Musi kosztować z pół miliona funtów. Nazywają je pragmatometrem.

Możecie więc już teraz wyrobić sobie opinię – dodał Busby co do wartości pracy NIBS-u dla całego kraju. Pragmatometria to wielka przyszłość! W jej rozwój zaangażowane są już setki ludzi.

Ta tablica analityczna może już być przestarzała, zanim skończą wznosić ten budynek!

– Tak, tak, zaiste – zakpił Feverstone. – A sam NO powiedział mi dziś rano, że warunki sanitarne instytutu będą zdumiewające.

– A żebyś wiedział – rzekł z naciskiem Busby. – Nie rozumiem, dlaczego miałyby to nie być ważne.

– Studdock, a ty co o tym myślisz? – zagadnął Feverstone.

– Myślę, że James dotknął bardzo ważnego problemu, gdy powiedział, że NIBS będzie miał swoją własną służbę prawniczą i swoją policję. Prawdę mówiąc, te wszystkie pragmatometry i luksusowe warunki sanitarne niewiele mnie obchodzą. Najistotniejsze, że mamy do czynienia z pierwszą próbą wykorzystania prawdziwej nauki do rozwiązywania problemów społecznych, i to przy wsparciu całej siły państwa. Jak dotąd, znamy tylko jeden przykład takiej koncentracji siły państwa i nauki: podczas wojny. Można, oczywiście, mieć nadzieję, że w ten sposób odkryje się więcej rzeczy, niż było to możliwe w warunkach samotnej pracy uczonych, ale jedno nie ulega już wątpliwości – na pewno więcej się zrobi.

– Psiakrew! – zaklął Curry, patrząc na zegarek. – Muszę iść na rozmowę z NO. Moi drodzy, jeśli po winie chcecie się napić brandy, jest w tym kredensie. Na wyższej półce są kieliszki do koniaku. James, chyba nie zamierzasz nas opuszczać?

– Zamierzam – odparł kwestor. – Chciałbym położyć się wcześniej. Mam nadzieję, że wy dwaj będziecie się świetnie bawili beze mnie. Cały dzień na nogach. Tylko głupiec może przyjąć jakąś poważną funkcję w tym kolegium... Ustawiczne kłopoty... Przygniatająca odpowiedzialność. .. I człowiek ma do czynienia z ludźmi, którzy uważają, że te wszystkie mole książkowe, nie wyściubiające nosa z bibliotek i laboratoriów, naprawdę wiedzą, co to jest ciężka praca! Chciałbym widzieć, jak wyglądałby Glossop albo któryś inny, gdyby mu kazano zrobić to wszystko, z czym ja dzisiaj musiałem się uporać. Curry, miałbyś o wiele łatwiejsze życie, gdybyś zajął się tylko tą swoją ekonomią.

– Mówiłem ci przedtem... – zaczął Curry, ale kwestor już pochylał się nad lordem Feverstone'em, opowiadając mu jakiś dowcip.

Gdy tylko Curry i Busby opuścili pokój, lord Feverstone utkwiał znaczące spojrzenie w Marku, potem zachichotał, a wreszcie wyciągnął swoje szczupłe, muskularne ciało w fotelu i wybuchnął głośnym śmiechem. Był to bardzo zaraźliwy śmiech i Mark nie mógł się oprzeć, aby mu nie zawtórować.

– Pragmatometry... pałacowe łazienki... praktyczny idealizm! – wydyszał Feverstone, nie

przestając się śmiać.

Mark poczuł nagle wielką ulgę, jakby się wyzwolił z ciasnego gorsetu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w zachowaniu i słowach Curry'ego i Busby'ego było wiele rzeczy, których dotąd nie potrafił albo nie chciał zauważyć. Jak mógł być tak ślepy, by nie dostrzec, że są po prostu śmieszni?

– To naprawdę katastrofalne – powiedział Feverstone, gdy zdołał wreszcie opanować wesołość – że ludzie, których musimy wykorzystywać do tego, aby nasze sprawy jakoś szły, mogą pleść takie bzdury o tychże sprawach.

– A przecież to oni są, w pewnym sensie, mózgi Bractonu – zauważył Mark.

– Wielki Boże, nie! Glossop, Bill Zawierucha, nawet stary Jewel są od nich dziesięć razy inteligentniejsi!

– Nie sądziłem, że tak o nich myślisz.

– Myślę, że Glossop i spółka całkowicie się mylą. Myślę, że ich koncepcja kultury, wiedzy i lichy wie jeszcze czego, jest całkowicie nierealistyczna. Nie pasuje do świata, w którym żyjemy.

Ale w każdym razie jest to koncepcja jasna, a oni konsekwentnie się jej trzymają. Wiedzą, czego chcą. Natomiast nasi biedni dwaj koledzy nie mają zielonego pojęcia, dokąd właściwie zmierzają.

Staną na głowie, aby się ciągnąć NIBS do Edgestow, i dlatego są nam bardzo potrzebni. Ale nie pytaj ich, jakie są cele NIBS-u, jakie w ogóle są cele... Pragmatometria! Piętnastu dyrektorów wydziałów!

– No cóż, wygląda na to, że i ja jadę na tym samym wózku.

– Ależ skąd! Ty od razu się połapałeś, o co chodzi. Przeczytałem wszystko, co napisałeś. I o tym właśnie chciałem z tobą pomówić.

Mark zamilkł. Poczucie gwałtownego przenoszenia się z jednego poziomu wtajemniczenia na następny oszołomiło go i zbiło z tropu.

– Chcę, żebyś przeniósł się do NIBS-u – powiedział po chwili Feverstone.

– To znaczy... żebym opuścił Bracton?

– A co w tym takiego nadzwyczajnego? Nie sądzę, żebyś tu zrobił karierę. Kiedy NO odejdzie na emeryturę, zrobimy dziekanem Curry'ego, a potem...

– Słyszałem, że to ciebie chcą zrobić dziekanem.

– O Boże! – jęknął Feverstone i wytrzeszczył oczy.

Mark zrozumiał, że dla lorda Feverstone'a brzmi to jak propozycja, by został przełożonym zakładu dla obłąkanych, i dziękował Bogu, że nie wypowiedział tego zbyt poważnym tonem. Potem obaj znowu wybuchnęli śmiechem.

– Jeśli chodzi o ciebie – przemówił w końcu Feverstone – nie możemy sobie pozwolić na takie marnotrawstwo. To jest zajęcie w sam raz dla Curry'ego. Potrzebujemy tu człowieka, który uwielbia samo zarządzanie i pociąganie za sznurki, i nie będzie pytał, o co w tym wszystkim chodzi.

Bo gdyby zaczął pytać, zechciałby wprowadzać swoje własne pomysły... A jemu wystarczy tylko podpowiadać, że jest taki-a-taki człowiek, o którym kolegium marzy, i że musi zrobić wszystko, aby taki-a-taki został członkiem kolegium. W końcu całe to kolegium ma pełnić funkcję sieci... biura zatrudnienia...

– Biura zatrudnienia dla NIBS-u?

– Tak, przede wszystkim. Ale to tylko część o wiele większej sprawy.

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

– Niedługo zrozumiesz. Zobaczysz, po której stronie warto być! Używając stylu Busby'ego, powiedziałbym tak: ludzkość znalazła się na rozdrożu i w tym momencie historii podstawową

sprawą jest dokonanie właściwego wyboru. Trzeba się opowiedzieć po jednej z dwu stron: po stronie obskurantyzmu lub po stronie ładu. Wydaje się, że naprawdę mamy teraz możliwość, jako gatunek, przejęcia kontroli nad naszym losem. Jeśli nauka rzeczywiście uzyska wreszcie swobodę działania, może zapanować nad rodzajem ludzkim i cała kowicie go odnowić. Człowiek ma po raz pierwszy szansę, aby stać się zwierzęciem działającym skutecznie. Jeśli nie wykorzystamy tej szansy... no cóż, będzie po nas.

– Powiedz coś więcej.

– Są trzy podstawowe problemy. Pierwszy ma charakter międzyplanetarny.

– Co, u diabła, przez to rozumiesz?

– No cóż, to na razie nie jest aż tak ważne. Niestety, to problem, którego jeszcze nie potrafimy rozwiązać. Jedynym człowiekiem, który mógł nam pomóc, był Weston.

– To ten facet, który zginął podczas bombardowania?

– Został zamordowany.

– Zamordowany?

– Jestem tego pewny i mam podstawy, by twierdzić, że wiem, kto to uczynił.

– Wielki Boże! I nic nie można z tym zrobić?

– Brak dowodów. Mordercą jest pewien ogólnie szanowany wykładowca z Cambridge. Ma słaby wzrok, wspaniałą brodę i kuleje. Jeśli chcesz wiedzieć, to miał gościnne wykłady w naszym kolegium.

– Dlaczego Weston został zamordowany?

– Ponieważ był po naszej stronie. Morderca należy do obozu wroga.

– Chcesz powiedzieć, że to wystarczy, aby kogoś zabić?

– Tak – odpowiedział Feverstone, kładąc rękę na stole wytwornym gestem. – O to właśnie chodzi. Ludzie pokroju Curry'ego czy Jamesa paplają o „wojnie z reakcją”. Nie wpadną na to, że chodzi o prawdziwą wojnę z prawdziwymi ofiarami. Sądzą, że stosowanie przemocy przez tamtą stronę zakończyło się wraz z prześladowaniem Galileusza. Nie wierz im. To dopiero początek.

Tamci doskonale wiedzą, że w końcu uzyskaliśmy prawdziwą potęgę, że w ciągu następnych sześćdziesięciu lat rozstrzygnie się, czym ma być nowa ludzkość. Będą walczyć o każdy cal pola. I nie cofną się przed niczym.

– Nie mogą zwyciężyć.

– Mamy nadzieję, że nie. Sądzę, że nie są w stanie. Właśnie dlatego jest tak niezwykle ważne, aby każdy dokonał wyboru, po której jest stronie. Jeśli spróbujesz zachować neutralność, staniesz się po prostu pionkiem.

– Och, nie mam najmniejszej wątpliwości, po której stronie jestem! – zawołał Mark. – Do diabła, w końcu chodzi o przetrwanie ludzkiego gatunku! To do czegoś zobowiązuje!

– Osobiście nie pozwalam sobie na żaden „busbyizm” w tej sprawie. Tylko jakiś fantasta opierałby swoje działanie na założeniu, że kogoś będzie obchodzić, co się stanie z ludzkością za milion lat, a musisz pamiętać, że ta druga strona również będzie utrzymywać, iż chodzi jej o przetrwanie ludzkiego gatunku. Jeśli na to pójdą, trzeba będzie sięgnąć do argumentów natury psychologicznej. Ale spójrz – my na to od strony praktycznej. Ani ja, ani ty nie chcemy być w tej grze pionkami. Wolimy walczyć... zwłaszcza po zwycięskiej stronie.

– Jakie ma być pierwsze praktyczne posunięcie?

– Otóż to! Oto właściwe pytanie. Jak powiedziałem, aspekt międzyplanetarny musimy na razie pominąć. W tych warunkach niczego nie zdziałamy. Drugim problemem są nasi rywale na tej planecie. Nie mam na myśl li jedynie owadów czy bakterii. Wciąż jest jeszcze zbyt wiele z ycia

wszelkiego rodzaju, roślinnego i zwierzęcego. Jeszcze nie oczyściliśmy dostatecznie środowiska, w którym ma żyć człowiek. Po pierwsze dlatego, że nie byliśmy w stanie, po drugie, wciąż mamy estetyczne i humanitarne skrupuły, no i nadal nie rozwiązaliśmy problemu równowagi w przyrodzie. To wszystko przed nami. A trzecim problemem jest sam człowiek.

– Mów dalej. To mnie najbardziej interesuje.

– Człowiek musi wziąć za siebie odpowiedzialność. I pamiętaj: to oznacza, że niektórzy ludzie muszą wziąć odpowiedzialność za resztę, i jest to jeszcze jeden powód, dla którego trzeba się tym szybko zająć. A kierować tym wszystkim muszą tacy ludzie, jak ty i ja, a nie ci, którymi trzeba pokierować. Dokładnie.

– Co właściwie przez to rozumiesz?

– Mam na myśli całkiem proste i oczywiste sprawy. Najpierw sterylizacja osób upośledzonych, likwidacja ras zacofanych, tego zbędnego balastu, selektywne rozmnażanie. Potem prawdziwe wychowanie, włączając w to wychowanie prenatalne. Nie chodzi tu o żadne nonsensy w rodzaju woluntarystycznej zasady „mogę bez tego żyć”. Przez prawdziwe wychowanie rozumiem takie, które nieodwołalnie czyni z pacjenta osobę, o jaką nam chodzi – bez względu na to, co on sam czy jego rodzice próbują w tym kierunku zrobić. Oczywiście cie, na początku będzie to sprawa samej psychologii. Niebawem przejdziemy jednak do metod stymulacji biologicznej i bezpośredniej manipulacji w mózgu...

– Ależ... Feverstone, to wszystko jest niesamowite!

– I wreszcie całkiem realne. Nowy typ człowieka, rozumiesz, Mark? I właśnie ludzie tacy jak ty muszą rozpocząć to dzieło.

– Mam wiele wątpliwości. Nie sądzę, że to fałszywa skromność, ale ja jeszcze nie widzę, na czym ma polegać moja rola.

– Ty nie, ale my to widzimy. Jesteś tym, kogo nam potrzeba: wykwalifikowanym socjologiem z radykalnie realistycznym poglądem na świat, nie lękającym się odpowiedzialności. No i potrafisz pisać.

– Chyba nie chcecie, żebym o tym wszystkim napisał?

– Nie. Ale chcemy, żebyś pisał. Będę szczery. Chodzi o kamuflaż. Oczywiście, tylko przez pewien czas. Kiedy sprawy ruszą z miejsca, nie będziemy się musieli przejmować sentymentalną opinią publiczną. Opinię publiczną sami sobie ukształtujemy. Na razie jest jednak bardzo ważne, jak będziemy to wszystko przedstawiać. Dam ci przykład. Gdyby na tym etapie pojawił się choćby tylko pogłoski, że NIBS chce uzyskać zezwolenie na użycie kryminalistów do swoich eksperymentów, mielibyśmy natychmiast przeciw sobie całe pospolite ruszenie wszystkich starych bab płci obojga, wrzeszczących o humanizmie. Ale nazwij to reedukacją jednostek zdeprawowanych, a wszyscy będą się śmiać z rozkoszy, sądząc, że w końcu nadszedł kres epoki brutalnej kary naprawczej. To zadziwiające, że słowo „eksperyment” budzi tyle obaw, natomiast nikt nie ma zastrzeżeń wobec przymiotnika „eksperymentalny”. Nikt się nie zgodzi na przeprowadzanie eksperymentów na dzieciach, ale zaproponuj tylko darmowe wychowanie naszych kochanych maluchów w eksperymentalnej szkole prowadzonej przez NIBS, a wszystko będzie w porządku!

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że miałbym być odpowiedzialny za... no... dziennikarski aspekt całego przedsięwzięcia?

– To nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem. Twoimi czytelnikami będą przede wszystkim członkowie różnych komisji Izby Gmin. Zresztą, mówimy tu jedynie o czymś ubocznym. Co się tyczy twojej zasadniczej funkcji, trudno w tej chwili określić, w jakim kierunku będzie się kształtować. A jeśli chodzi o stronę finansową, dla człowieka twojego pokroju nie jest to chyba najważniejsze.



Powinieneś zacząć od całkiem umiarkowanego wynagrodzenia... powiedzmy około tysiąca pięciuset funtów rocznie.

– Przecież nie to miałem na myśli – odpowiedział skwapliwie Mark, rumieniąc się z podniecenia.

– Oczywiście powinienem cię ostrzec, że może ci coś grozić. Może jeszcze nie teraz, ale kiedy sprawy ruszą z kopyta, mogą próbować i ciebie zlikwidować, tak jak biednego Westona.

– O tym też nie myślałem.

– Posłuchaj – rzekł Feverstone. – Chciałbym cię jutro zabrać do Johna Withera. Na cały weekend. Sam mnie o to prosił. Spotkasz tam wszystkie najważniejsze osoby i będziesz miał sposobność wyrobienia sobie jaśniejszej opinii o całej sprawie.

– Wither? Myślałem, że szefem NIBS-u jest Jules...

Jules był słynnym pisarzem i popularyzatorem nauki. Jego nazwisko pojawiało się zawsze, gdy była mowa o Narodowym Instytucie Badań Skoordynowanych.

– Jules! Uwierzyłeś w to? – zawołał Feverstone. – Do licha! Chyba nie sądzisz, że ta marionetka ma cokolwiek do powiedzenia! Jules nadaje się do robienia instytucji dobrej prasy w niedzielnych dodatkach do gazet. Zresztą dostaje za to grubą forszę. Do prawdziwej pracy kompletnie się nie nadaje. Głowę ma napchaną jakąś socjalistyczną sieczką rodem z ubiegłego wieku i sloganami o prawach człowieka. Wciąż jest na etapie Darwina!

– Och, rozumiem – powiedział Mark. – Zawsze było dla mnie zagadką, dlaczego jest tak eksponowany. Wiesz, jeśli już jesteś taki uprzejmy, chętnie skorzystam z twojej propozycji i odwiedzę Withera podczas weekendu. O której się tam wybierasz?

– Chcę wyjechać za kwadrans jedenasta. Mówiono mi, że mieszkasz przy trasie do Sandown.

Mogę tam podjechać i zabrać cię swoim wozem.

– Bardzo dziękuję. A teraz powiedz mi coś o tym Witherze.

– John Wither... – zaczął Feverstone i nagle urwał. – Cholera! Wraca Curry. Zaraz usłyszymy, co powiedział NO i jak sprytnie go zał atwił nasz superpolityk. Nie uciekaj. Bę dę potrzebował twojego moralnego wsparcia.

\* \* \*

Ostatni autobus odjechał na długo przed wyjściem Marka z gmachu kolegium. Poszedł do domu pieszo, wspinając się na wzgórze zalane blaskiem księżyca. Kiedy wszedł do mieszkania, zdarzyło się coś niezwykłego. Otworzył drzwi i zanim zdolał wejść do ś rodka, rzuciła mu się w ramiona drżąca, przerażona – nawet pokorna – Jane, witając go szlochem i okrzykiem:

– Och, Mark, tak strasznie się bałam!

Przywarła do niego. W jej ciele był o coś , co go całkowicie zaskoczyło. Nie wyczuł owej nieuchwytniej, trudnej do okreś lenia sztywności czy obronności ci, które tak dobrze znał. Zdarzało się to już dawniej, ale rzadko, a ostatnio coraz rzadziej, i zwykle, jak pamiętał, następnego dnia owocowało trudnymi do wytłumaczenia kłótniami. To go zawsze bardzo dziwiło, ale nigdy nie wyraził owego zdumienia słowami.

Wątpliwe, czy zdołałby zrozumieć jej uczucia nawet wó wczas, gdyby mu o nich opowiedziała, a Jane i tak nie była w stanie tego zrobić. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. Tego wieczoru przyczyna jej niezwykłego zachowania była jednak dość prosta. Wróciła od Dimble'ów około pół do piątej, bardzo zmęczona pieszą wędrówką, głodna i przekonana, że ma już za sobą przykre przeżycia związane z owym koszmarnym snem. Zanim skończyła pić herbatę, zrobiło się już ciemno, więc musiała zapalić światło i zaciągnąć zasłony. Przyszło jej do głowy, że lęk towarzyszący wspomnieniu owego dziwnego snu, a także wzmiankom o płaszczu, o starcu pochowanym, lecz nie umarłym, o

języku przypominającym hiszpański – że ten lęk jest równie irracjonalny jak strach dziecka przed ciemnością. Zaczęła sobie przypominać momenty, w których bała się ciemności. Trwało to trochę za długo i poczuła, że ten wieczór staje się nieznośnie przykry.

Nie mogła się skupić na swojej pracy, a kiedy dała sobie z nią spokój, okazało się, że żadna książka też nie przykuwa jej uwagi. Znowu ogarnęła ją fala niepokoju, a po niej nastąpił długi okres, w którym się nie bała, ale czuła, że w każdej chwili może się zacząć panicznie bać, jeśli nie będzie nad tym lękiem panować. Potem stwierdziła, że odczuwa dziwny opór przed pójściem do kuchni, aby sobie przygotować kolację, a kiedy wreszcie to zrobiła, zrozumiała, że nie jest w stanie przełknąć ani kęsa. W chwilę później nie mogła już dłużej ukrywać przed sobą samą, że jest śmiertelnie przerażona. W rozpaczy zadzwoniła do Dimble'ów.

– Chyba jednak powinnam pójść do tej osoby, o której mi wspominałaś – powiedziała.

Po nieco dziwnej, krótkiej pauzie pani Dimble podała jej nazwisko:

– Ironwood. – Jane była przekonana, że to mężczyzna, i trochę się skrzywiła, gdy pani Dimble dodała: – Pani Ironwood, mieszka w St Anne's-on-the-Hill.

Jane zapytała, czy musi się uprzednio umówić.

– Nie – odpowiedziała pani Dimble. – Będą... nie, nie musisz się umawiać.

Jane przedłużała rozmowę, jak tylko mogła, bo w końcu zadzwoniła głównie po to, by usłyszeć głos Mamy Dimble, a nie po to, aby uzyskać ten adres. Miała skrytą nadzieję, że pani Dimble wyczuje jej stan i powie: „Zaraz do ciebie przyjadę”. Ale zamiast tego usłyszała bliższe informacje o adresie i pospieszne:

– Dobranoc.

W głosie pani Dimble było coś dziwnego. Jane miała wrażenie, że jej telefon przerwał jakąś rozmowę Dimble'ów, może nawet o niej samej, a może o czymś ważniejszym, ale w jakiś sposób z nią związanym. I co właściwie miało oznaczać to „będą...”? Będą cię oczekiwać? To dziwne, bezosobowe „oni” obudziło w niej dziecięce lęki związane z opowieściami o duchach i czarownicach. Oczami wyobraźni ujrzała panią Ironwood w czarnej sukni, siedzącą z rękami złożonymi na kolanach. Ktoś prowadził ją ku tej złowieszczej postaci i zostawił ją przed nią ze słowami: „Przyszła”.

– Do diabła z tymi Dimble'ami! – powiedziała na głos i natychmiast to w duchu odwołała, nie tyle z powodu wyrzutów sumienia, ile ze strachu.

Teraz, kiedy wykorzystwała już jedyną możliwość pomocy, przerażenie powróciło ze zdwojoną mocą, jakby obrażone jej bezskutecznym oporem. Nie wiedziała już, czy ów straszny starzec w płaszczu rzeczywiście pojawił się w jej śnie, czy też tylko rozpalala w sobie dziką nadzieję (i modliła się, choć nie wierzyła w nikogo, do kogo mogłaby się modlić), że to się nie powtórzy.

Właśnie dlatego Mark zastał ją w drzwiach domu w tak niezwykłym stanie. Szkoda, pomyślał, że musiało się to zdarzyć akurat dziś, gdy wrócił późno, zmęczony i prawdę mówiąc, niezupełnie trzeźwy.

\* \* \*

– Dobrze się dzisiaj czujesz? – zapytał Mark.

– Tak, dzięki za troskę.

Mark leżał w łóżku i pił herbatę. Jane siedziała przy toalecie, jeszcze niecałkowicie ubrana, i czesała się. Przyglądał się jej z błogim, porannym rozleniwieniem. Nie był świadom tego, co się w niej teraz działo, i miał tylko jakieś niejasne podejrzenia, że w ich wzajemnych stosunkach coś się popsuło. Ludzie mają zwyczaj dokonywania „projekcji”. Sądzymy, że jagnię jest łagodne, bo ma takie miękkie futro; mężczyzna mówi o kobiecie, że „jest ponętna”, bo budzi w nim pożądanie. Dla Marka

ciało Jane było delikatne, a jednocześnie nie mocne, wysmukłe, choć jednocześnie krągłe i pełne, i te same przymioty nieuchronnie przypisywał jej osobowości.

– Jesteś pewna, że nic ci nie dolega? – zapytał ponownie.

– Jestem pewna.

Czuła narastające rozdrażnienie. Fryzura nie układała się tak, jak chciała, a Mark zupełnie niepotrzebnie powracał do jej zachowania wczorajszego wieczoru. Wiedziała, oczywiście, że jest również bardzo zła na siebie z powodu słabości, która doprowadziła ją w nocy do przeistoczenia się w coś, czego nie znosiła: w rozhisteryzowaną, skłoną do płaczu „małą kobietkę” z sentymentalnej powieści, szukającą pociechy w mięsnych ramionach. Sądziła jednak, że owa złość kryje się jedynie w najgłębszej sferze jej świadomości i nie podejrzewała, iż pulsuje w jej żyłach, powodując sztywność palców układających włosy.

– Bo jeśli czujesz się nie najlepiej – ciągnął Mark – mogę zrezygnować z poznania tego Witherera.

Jane milczała.

– Gdybym pojechał, to nie byłoby mnie przez całą dobę, może dwie.

Jane jeszcze mocniej zacisnęła wargi i milczała.

– A jeżeli już tam pojedę – powiedział po chwili – może należałoby poprosić Myrtle, aby tu przyjechała?

– Nie, dzięki – odparła Jane z naciskiem. – Jestem przyzwyczajona do samotności.

– Wiem – przyznał Mark nieco przeproszającym tonem. Wszystko przez tę parszywą sytuację w kolegium. To jeden z głównych powodów, dla których myślę o zmianie pracy.

Jane nadal milczała.

– Posłuchaj, kochanie – rzekł Mark, nagle siadając i opuszczać nogi na podłogę – nie ma sensu owijać wszystkiego w bawełnę. Nie chciałbym jechać, dopóki jesteś w takim stanie...

– W jakim stanie? – zapytała Jane, obracając się i po raz pierwszy patrząc na niego.

– No cóż, uważam, że... że jesteś trochę zdenerwowana... Każdemu to się czasem zdarza.

– A ja nie sądzę, żebyś musiał mówić do mnie takim tonem, jakbym była neurasteniczką, tylko dlatego, że miałam koszmarne sen, kiedy wróciłeś do domu wczoraj w nocy... a raczej dzisiaj rano.

Zaraz pożałowała tych słów.

– No, chyba nie osiągniemy niczego, rozmawiając w ten sposób... – zaczął Mark, lecz Jane przerwała mu:

– To znaczy w jaki sposób? – zapytała lodowatym tonem, a potem, zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: – Jeśli uznałeś, że jestem – na granicy obłędu, to może lepiej sprowadź tu od razu Brizeacre'a, żeby mnie zbadał. Myślę, że dla wszystkich byłoby najwygodniej, jeśli cię przy tym nie będzie. Mogą mnie stąd zabrać, podczas gdy ty będziesz w gośćcinie u pana Witherera, więc unikniesz całego tego zamieszania. A teraz idę zająć się śniadaniem. Jeśli się szybko nie ogolisz i nie ubierzesz, to możesz nie być gotowy, kiedy zadzwoni lord Feverstone.

Mark paskudnie się zaciął przy goleniu (i natychmiast ujrzał siebie, jak rozmawia z tym ważniakiem Witherem z wielką pacyną waty nad wargą), podczas gdy Jane, powodowana całą mieszaniną motywów, postanowiła przygotować mu wyjątkowo wymyślne śniadanie, po czym w ostatniej chwili wywróciła zawartość tacy na nową kuchenkę. Kiedy przybył Feverstone, oboje siedzieli jeszcze przy stole, udając, że czytają gazety. Na nieszczęście w tym samym momencie pojawiła się pani Maggs. Pani Maggs była tym elementem w gospodarstwie domowym Jane, który kryje się pod wyrażeniem: „Mam dziewczynę, która przychodzi dwa razy w tygodniu”.

Dwadzieścia lat temu matka Jane zwracałaby się do takiej osoby po imieniu, a ta mówiłaby do

niej „mamo”, podczas gdy dla Jane była to „pani Maggs”, a ona sama była dla niej „panią Studdock”.

Obie były mniej więcej w tym samym wieku, a w oczach profesora uniwersytetu ich stroje niewiele się różniły. Można więc uznać za usprawiedliwione, że kiedy Mark chciał przedstawić lorda Feverstone'a swojej żonie, ten uściśnął rękę pani Maggs. Nieporozumienie pozostało niewyjaśnione w ciągu kilku minut poprzedzających odjazd obu mężczyzn.

Jane prawie natychmiast wyszła z domu pod pretekstem zrobienia zakupów.

– Naprawdę nie jestem dziś w stanie znieść paplaniny pani Maggs – powiedziała do siebie, zamykając drzwi.

A więc tak wygląda lord Feverstone – facet z ustami rekina, śmiejący się głośno i nienaturalnie.

Od razu widać, że to jeszcze jeden błazen! I co temu głupiemu Markowi przyjdzie z zadawania się z takim człowiekiem?

Jego twarz nie wzbudziła w niej zaufania. Była to twarz krętacza. Prawdopodobnie zwodzi Marka. Mark tak łatwo daje się nabrać. Och, dlaczego musi siedzieć w tym okropnym Bractonie?!

Co Mark widzi w ludziach takich jak Curry czy ten odrażający stary klecha z brodą? Jaki dzień ją czeka... jaka noc, ta – i następne? Bo jeśli mężczyzna mówi, że nie będzie go dwa dni, oznacza to „minimum dwa dni”, a tak naprawdę ma nadzieję, że nie będzie go przez tydzień. Wystarczy przysłać telegram (nie telefon, broń Boże!) i sprawa załatwiona. Przynajmniej dla niego.

Musi coś z tym zrobić. Może nawet posłucha rady Marka i zaprosi Myrtle? Ale Myrtle była jej szwagierką, jego bliźniaczą siostrą, adorującą swojego wspaniałego brata w sposób trudny do wytrzymania. Zanudzałyby ją rozmowami o zdrowiu Marka, o jego koszulach i skarpetkach, a we wszystkim kryłoby się stałe, niewyrażone, ale dość jawne zdumienie, że Mark ją poślubił. Nie, nie ma mowy o Myrtle. Potem pomyślała o wizycie u doktora Brizeacre'a. Pracował w Bracton College, więc prawdopodobnie nie musiałaby mu nic płacić. Ale kiedy zaczęła sobie wyobrażać pytania, na które musiałaby odpowiedzieć, doszła do wniosku, że przekracza to jej aktualne możliwości. W końcu, trochę niespodziewanie dla samej siebie, zdecydowała, że pojedzie do St Anne's i zobaczy się z panią Ironwood. Pomyślała, że to najbardziej wariacka decyzja, ale postanowiła się jej trzymać.

\* \* \*

Ktoś, kto stanąłby tego dnia na wzgórzu wznoszącym się nad Edgestow i spojrzął na południe, mógłby zobaczyć ciemną plamkę poruszającą się po głównej drodze, a później, na wschodzie, bliżej srebrnej wstęgi rzeki Wynd, o wiele wolniej poruszający się kłęb dymu z parowozu ciągnącego pociąg.

Tą ciemną plamką był samochód, który wioził Marka Studdocka do Ośrodka Transfuzji Krwi w Belbury, gdzie znalazł czasową siedzibę Narodowy Instytut Badań Skoordynowanych. Już same rozmiary i kształty samochodu lorda Feverstone'a wywarły na nim duże wrażenie. Tapicerka była takiej jakości, że aż chciałoby się ją polizać. I cóż za doskonała, męska energia (Mark miał w tym momencie serdecznie dość kobiet) tryskała z Feverstone'a, gdy siedział za kierownicą z fajką w zębach, oparłszy łokieć na klaksonie! Mark podziwiał nonszalancką pewnością siebie, z jaką jego utytułowany znajomy prowadził wóz po wąskich uliczkach Edgestow, rzucając od czasu do czasu krótkie uwagi krytyczne pod adresem innych kierowców i pieszych. Ale dopiero gdy wyjechali z miasteczka i minęli stare kolegium Jane (St Elizabeth's), Feverstone pokazał, co naprawdę jest wart jego samochód. Pędzili z taką szybkością, że nawet na raczej pustej drodze niewiarygodnie źli kierowcy, najwyraźniej tępi przechodnie i ludzie prowadzący konie, kury i psy, które nieopatrznie wybiegały na drogę (kwitowane przez Feverstone'a uwagą: „Znowu miały cholerne szczęście!”) – wszystko to przemykało obok nich jedno za drugim. Słupy telegraficzne migwały im w oczach, mosty rozstępowały się, dudniąc krótko echem silnika, wioski umykały chyżo w dal, łącząc się z

krajobrazem, który dopiero minęli, a Mark, odczuwając dziwną mieszaninę fascynacji i odrazy wobec nonszalancji i zuchwałości jazdy Feverstone'a, ograniczał się do lakonicznych reakcji na jego uwagi w rodzaju: „Tak”, „No jasne” czy „To była ich wina”, i kątem oka obserwował swojego towarzysza. Z całą pewnością cię różnił się od nadętego Curry'ego czy kwestora! Długi, prosty nos, zaciśnięte zęby, twarde, kościsty podbródek, styl ubioru – wszystko mówiło: oto wielki człowiek prowadzący wielki samochód, zmierzający tam, gdzie będzie się załatwiać wielkie sprawy. A on, Mark, bierze w tym wszystkim udział. Raz lub dwa serce podskoczyło mu do gardła, a przez głowę przemknęło pytanie, czy lord Feverstone naprawdę ma takie umiejętności jako kierowca, które usprawiedliwiałyby taką szybkość.

– Tutaj wcale nie trzeba zwalniać! – ryknął Feverstone, kiedy przemknęli przez jedno z bardziej niebezpiecznych skrzyżowań.

– No jasne – wybełkotał Mark.

– Przepisy są po to, aby je omijać! A ty często prowadzisz?

– Kiedyś często – mruknął Mark.

Pociąg, który nasz wyimaginowany obserwator mógłby widzieć na wschód od Edgestow, wiózł w tym czasie Jane Studdock powoli do St Anne's. Dla kogoś, kto przyjechał z Londynu, Edgestow mogło się wydawać ostatnią stacją, ale gdyby się uważniej rozejrzał, dostrzegłby stojący przy bocznym peronie niewielki pociąg miejscowy – dwa lub trzy wagony i buchającą parą lokomotywą – z rodzaju tych, w które rych większość pasażerów dobrze się zna. W niektóre dni zamiast trzeciego wagonu pasażerskiego doczepiano wagon do przewożenia koni, a na peronie było widać kosze z martwymi królikami lub żywym drobiem, mężczyzn w brązowych melonikach i getrach, czasem jakiegoś teriera lub owczarka, najwyraźniej oswojonego z pociągami.

O pół do drugiej taki właśnie pociąg szarpnął i zaczął się toczyć z hałasem po nadrzeczonym nasypie, najpierw wzdłuż nakrapianej żółtymi i czerwonymi liśćmi ściany Lasu Bragdon, a potem, za skrzyżowaniem przy Bragdon Camp, skrajem Brawl Park (w pewnym momencie poprzez gałęzie drzew mignął wielki budynek), aż do pierwszej stacyjki w Duke's Eaton. Tu, podobnie jak później w Woolham, Cure Hardy i Fourstones, zatrzymał się z lekkim westchnieniem, a peron wypełnił łoskot przetaczanych baniek z mlekiem i tupot roboczych butów. Ale trwało to krótko, po czym nastąpiła cisza, w której jesienne słońce nagrzewało powoli szyby wagonu, a spoza małej stacji napływały zapachy lasu i pól. Pasażerowie wchodzili i wysiadali na każdej stacji: mężczyźni o twarzach rumianych jak jabłka, kobiety w wysokich butach ze ściągaczami po bokach, uczniowie.

Jane prawie ich nie dostrzegała, bo chociaż teoretycznie była zagorzałą zwolenniczką demokracji, nie znała żadnej klasy społecznej poza własną, chyba że z książek. A pomiędzy stacjami przesuwały się za oknem różne rzeczy, tak wyrwane ze swojego prawdziwego kontekstu, że każda wydawała się obiecywać jakieś niezwykłe szczęście, gdyby tylko można było wyrwać się z pociągu w odpowiednim momencie: wiejski dom, a za nim kilka stogów siana pośród brązowych pól, dwa stare konie stojące jeden za drugim, królik z uszami postawionymi na sztorc, patrzący na pociąg oczami jak dwa paciorki. Kwadrans po drugiej pociąg dojechał do St Anne's. Tu linia kolejowa naprawdę się kończyła – tu kończyło się wszystko. Kiedy Jane opuszczała peron, przeniknęło ją rześkie, krzepiące powietrze.

Choć przez ostatnie pół godziny pociąg dyszał i sapał, pnąc się mozolnie pod górę, wciąż miała jeszcze przed sobą pieszą wspinaczkę, bo St Anne's jest jedną z tych osad – częstszych w Irlandii niż w Anglii – które zagnieździły się na szczycie wzgórza, a stację od wioski dzieli pewna odległość. Szła drogą wijącą się dnem głębokiego wąwozu. Tuż za kość ciołem, na rozstajach Saxon Cross, skręciła w lewo, tak jak ją pouczono. Po lewej stronie nie było domów, tylko rząd buków, za nim

nieogrodzone pola uprawne, opadające dość stromo w dół, a jeszcze dalej lesista równina rozciągająca się aż po horyzont, gdzie nabierała niebieskiej barwy. Znalazła się teraz w najwyższym miejscu w całej okolicy. Wkrótce odnalazła długi, wysoki mur po prawej stronie drogi, a w nim furtkę ze starym żelaznym dzwonkiem. Poczowała zniechęcenie. Była pewna, że cała ta wyprawa nie ma najmniejszego sensu, ale mimo to pociągnęła za dzwonek. Kiedy jego dźwięczny głos ucichł, nastąpiła cisza tak długa i tak przenikliwa, że Jane zaczęła się w końcu zastanawiać, czy ten dom w ogóle jest zamieszkały. A potem, gdy już stanęła przed wyborem, czy dzwonić jeszcze raz, czy odejść, usłyszała odgłos szybkich kroków po tamtej stronie muru.

Tymczasem samochód lorda Feverstone'a dawno już dotarł do Belbury – ozdobnego edwardiańskiego pałacyku zbudowanego ongiś dla pewnego milionera, którego zachwylił Wersal.

Po bokach wrosła w rozległy kompleks nowszych i niższych budynków z szarego cementu, mieszczących Ośrodek Transfuzji Krwi.

## Rozdział 3

### *Belbury i St Anne's-on-the-Hill*

Wchodząc po szerokich schodach, Mark uchwycił w lustrze swoje i swojego towarzysza odbicie. Feverstone wyglądał jak zawsze: nienaganny strój, nonszalancja człowieka, który panuje nad sobą i nad sytuacją. Kawalek waty nad górną wargą Marka przekrzywił się podczas jazdy, tak że przypominał teraz połówkę zadartych ostro do góry sztucznych wąsów nad czarną plamą zaschniętej krwi. W chwilę później znalazł się w pokoju z wielkimi oknami i płonącym kominkiem i został przedstawiony panu Johnowi Witherowi, wicedyrektorowi Narodowego Instytutu Badań Skoordinowanych.

Wither był starszym mężczyzną o siwych włosach i nienaganych manierach. W jego starannie wygolonej, wielkiej twarzy z wodnistymi, błękitnymi oczami było coś chaotycznego i nieokreślonego. Chyba właśnie te oczy sprawiały, że zdawał się nie poświęcać swoim gościom całej uwagi, choć jego słowa i gesty cechowała uprzejmość granicząca z wylewnością. Powiedział, że sprawia mu naprawdę wielką przyjemność powitanie pana Studdocka i natychmiast dodał, że w ten sposób powiększa i tak już bezmierny dług wdzięczności wobec lorda Feverstone'a. Wyraził też nadzieję, że mieli dobrą podróż. Był przekonany, że przylecieli samolotem, a kiedy to sprostowano, uznał, że przyjechali z Londynu pociągiem. Następnie zaczął dopytywać, czy pan Studdock jest w pełni zadowolony ze swojego apartamentu, i trudno było się zorientować, czy dociera do niego wyjaśnienie, że dopiero co tu przybyli. „Coś mi się zdaje, pomyślał Mark, że stary robi wszystko, żebym poczuł się swobodnie”. W rzeczywistości gadatliwość Withera miała całkiem odwrotny skutek. Mark marzył, by go poczęstowano papierosem. Narastało w nim przekonanie, że ten człowiek nic o nim nie wie i że wszystkie olśniewające perspektywy i obietnice Feverstone'a rozplývają się we mgle. Nie było to wcale przyjemne. W końcu zdecydował się skierować rozmowę na ten temat, mówiąc wprost, że nie jest dla niego całkiem jasne, w jakim charakterze miałby się włączyć w pracę instytutu.

– Zapewniam pana, panie Studdock – odrzekł wicedyrektor, a jego wodniste spojrzenie stało się jeszcze bardziej nieobecne – że nie ma powodu, by obawiał się pan jakichkolwiek... ee... jakichkolwiek trudności w tym względzie. Nigdy nie braliśmy pod uwagę takiej ewentualności, by w jakiś sposób ograniczać pańską działalność i pański konkretny wpływ na politykę instytutu, a tym bardziej pańskie stosunki z kolegami oraz to, co można by określić ogólnie układem kompetencji, w ramach którego mógłby pan z nami współpracować, a w każdym razie, by mogło się to odbywać bez najpełniejszego uwzględnienia pańskich własnych poglądów i, co pragnę podkreślić, pańskiej opinii. Zobacz pan, panie Studdock, że jesteśmy tu, jeśli tak można powiedzieć, bardzo szczęśliwą rodziną.

– Och, chyba mnie pan źle rozumiał – powiedział Mark. – Miałem jedynie na myśli... cóż, czuję... to znaczy chciałbym się chociaż bardzo ogólnie dowiedzieć, co właściwie miałbym robić, gdybym tu przeszedł.

– No, jeśli chodzi o przejść cie do nas – odrzekł wicedyrektor – to mam nadzieję, że nie doszło tu do jakiegoś nieporozumienia.

Chyba wszyscy się zgodziliśmy, że nie ma w ogóle potrzeby stawiania sprawy stałego pobytu... oczywiście na tym etapie. Uważamy... wszyscy uważamy, że jeśli zależy panu, by nadal mieszkać w Londynie lub w Cambridge...

– W Edgestow – wtrącił lord Feverstone.

– Ach tak, w Edgestow, oczywiście! – Wicedyrektor zwrócił się do Feverstone'a. – Właśnie wyjaśniałem panu... ee... Studdockowi, i jestem pewien, że w pełni podziela pan moje zdanie, że nic nie byłoby bardziej odległe zamiarom komitetu niż dyktowanie, a nawet tylko doradzanie panu... pańskiemu przyjacielowi, gdzie powinien mieszkać. To oczywiste, że gdziekolwiek będzie mieszkał, zapewnimy mu niezbędne środki transportu powietrznego i drogowego. Mam nadzieję, lordzie Feverstone, że wyjaśnił już pan swojemu znajomemu, iż wszystkie podobne problemy zostaną rozwiązane bez najmniejszych trudności.

– Proszę mi wierzyć – powiedział Mark – że nie to miałem na myśli. Nie mam... to znaczy, nie sądzę, bym miał jakiegokolwiek obiekcje co do miejsca zamieszkania. Chciałem tylko...

– Ależ zapewniam pana – przerwał mu wicedyrektor, jeśli li cokolwiek, co wypowiedział tak łagodnym głosem, można było w ogóle określić „przerwaniem” – panie... ee... zapewniam pana, drogi panie, że nic nie stoi na przeszkodzie, by mieszkał pan tam, gdzie będzie panu wygodnie.

Nigdy, na żadnym etapie, nie było najmniejszej sugestii...

W tym momencie Mark nie wytrzymał i sam ośmielił się mu przerwać.

– Interesuje mnie dokładny zakres badań prowadzonych w instytucie. Wiąże się z tym sprawa moich kwalifikacji do tej pracy.

– Drogi przyjacielu – odrzekł wicedyrektor – nie powinien pan mieć z tym najmniejszych problemów. Jak już powiedziałem, jesteś my tu bardzo szczęśliwą rodziną i może pan być całkowicie pewien, iż nikomu nawet nie przeszło przez głowę, by dyskutować sprawę pańskiej pełnej użyteczności. Nie proponowałbym panu miejsca wśród nas, gdyby istniała choć najmniejsza wątpliwość, czy zostanie pan zaakceptowany przez wszystkich członków, albo choć podejrzenie, że pańskie niezwykle wartości nie zostaną w pełni docenione. Jest pan... jest pan tutaj wśród przyjaciół, panie Studdock. Byłbym chyba ostatnią osobą, która mogłaby panu doradzać wiązanie się z jakąkolwiek instytucją, w której byłby pan narażony na ryzyko... ee... trudnych do zaakceptowania kontaktów osobistych.

Mark zrezygnował z kolejnej próby dowiedzenia się, czego właściwie NIBS od niego oczekuje. Zaczynał podejrzewać, iż jego znakomity rozmówca jest przekonany, że powinien już o tym wiedzieć. Poczł też, że postawienie bezpośredniego pytania na ten temat zabrzmiałoby w tym gabinecie niemal jak grubiańskie przekleństwo, a w każdym razie byłoby na pewno przejawem takiej niedelikatności, która mogłaby go wykluczyć z owej ciepłej, prawie narkotycznej atmosfery nieokreślonego, lecz mimo to bardzo poważnego zaufania.

– To bardzo uprzejme z pana strony – odparł. – Jediną sprawą, o której chciałbym wiedzieć nieco więcej, jest dokładny... ee... dokładny zakres moich kompetencji.

– Tak... – powiedział pan Wither głosem tak cichym i bezbarwnym, że zabrzmiało to prawie jak westchnienie. – Bardzo się cieszę, że postawił pan tę sprawę już teraz i to w tak nieformalny sposób. Jest oczywiście, że ani pan, ani ja nie chcielibyśmy my angażować się, tu, w tym pokoju, w sposób, który mógłby choć w znikomej mierze zaszkodzić integralności naszego komitetu. Dobrze rozumiem pana motywy i... ee... szanuję je. Oczywiście nie mówimy o stanowisku w quasitechnicznym znaczeniu, nie, to by było niestosowne zarówno dla mnie, jak i dla pana... choć może mi pan o tym w jakiś sposób przypomnieć... a w każdym razie mogłoby to prowadzić do pewnych nieporozumień. Mogę jednak pana zapewnić, – że nikt nie chce pana wcisnąć do jakiegoś ciasnego gorsetu lub proponować panu prokrustowego łoża. My tutaj nie operujemy kategoriami ściśle rozgraniczonych funkcji. Jestem pewien, że ludzie tacy jak pan i ja... no cóż, powiem szczerze: my chyba nie mamy zwyczaju operowania takimi kategoriami. W naszym instytucie każdy ma świadomość, że jego własna praca jest nie tyle jakimś wydziałowym wkładem w całokształt osiągnięć zespołu, ile raczej momentem lub



etapem procesu samookreślenia się pewnej organicznej całości.

A na to Mark odpowiedział – niech mu Bóg wybaczy, bo był młody, nieśmiały, próżny i bojaźliwy:

– Sądzę, że to jest bardzo ważne. Elastyczność waszej organizacji jest jedną z jej cech, która mnie najbardziej pociąga.

W ten sposób stracił na zawsze szansę uzyskania informacji na najbardziej dla siebie istotny temat i za każdym razem, gdy milkł ów łagodny, cedzący słowa głos, pozostawało mu tylko przeżuwanie w myśli dręczącego pytania: „O czym my właściwie rozmawiamy?”

Pod koniec rozmowy coś niecoś się wyjaśniło. Pan Wither wyraził przypuszczenie, że Mark uzna za wygodne dla siebie zapisanie się do klubu NIBS-u: to chyba zrozumiałe, że nawet tylko w ciągu najbliższych dni będzie się czuł swobodniej jako członek niż jako gość. Mark zgodził się, a potem oblał rumieńcem jak mały chłopiec, kiedy usłyszał, że najlepszym rozwiązaniem będzie dożywotnie członkostwo za jedyne dwieście funtów. Nie miał tyle na rachunku w banku.

Oczywiście, gdyby dostał tę nową posadę z wynagrodzeniem tysiąca pięciuset funtów rocznie, mógłby sobie na to pozwolić. Ale czy ją dostał? Czy ta posada w ogóle istnieje?

– Och, to głupio z mojej strony – powiedział głośno – ale nie zabrałem książeczki czekowej.

W chwilę później szedł po schodach z lordem Feverstone'em.

– No i co? – zapytał niecierpliwie Mark.

Feverstone zdawał się go nie słyszeć.

– I co? – powtórzył Mark. – Kiedy się dowiem, jak wypadłem? To znaczy... czy dostałem tę pracę?

– Cześć, Guy! – wrzasnął nagle Feverstone do jakiegoś mężczyzny w holu.

Zbiegł szybko po schodach, uściskał wylewnie rękę znajomego i zniknął. Mark, schodzący nieco wolniej, znalazł się w holu pośród grup i par gawędzących mężczyzn. Wszyscy zmiierzali ku wielkim rozsuwanym drzwiom po lewej stronie.

\* \* \*

Wydawało mu się, że czas płynie niemiłosiernie wolno, gdy tak stał, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, starając się wyglądać naturalnie i nie patrzeć ludziom w oczy. Sądząc po miłych zapachach, które napływały przez otwarte drzwi, wszyscy udawali się na lunch. W końcu uznał, że nie może dłużej stać jak głupiec, i wszedł za innymi.

Miał nadzieję, że w jadalni będzie kilkanaście małych stolików i że przy jednym z nich będzie mógł usiąść samotnie. Był tam jednak tylko jeden długi stół i prawie wszystkie miejsca były już zajęte. Mark, nie widząc nigdzie Feverstone'a, musiał usiąść przy kimś obcym.

– Mam nadzieję, że każdy siada, gdzie chce? – mruknął, ale jego sąsiad wyraźnie nie dosłyszał pytania, zajęty szybkim pochłanianiem jedzenia i jednoczesną rozmową z sąsiadem z drugiej strony.

– O to właśnie chodzi – mówił. – Powiedziałem mu, że nie obchodzi mnie, w jaki sposób to załatwią. Nie mam nic przeciwko temu, by całą sprawą zajęli się ludzie IJP, jeśli tego właśnie chce WD (tak mówimy na wicedyrektora), ale nie podoba mi się, kiedy jeden człowiek jest za coś odpowiedzialny, a połowę roboty odwała ktoś inny. Powiedziałem mu, że mamy teraz trzech facetów do roboty, którą tak naprawdę mogłby załatwić jeden zwykły urzędnik. To zaczyna być śmieszne. A jak pomyślę o tym, co się dzisiaj stało...

Rozmowa toczyła się dalej w podobnym tonie.

Choć potrawy i wina były wyborne, Mark poczuł ulgę, gdy zaczęto wstawać od stołu. Poszedł tam, gdzie kierowali się wszyscy, i znalazł się w wielkim pokoju, umeblowanym jak salon, w którym

podawano kawę. Tu wreszcie dostrzegł Feverstone'a. Prawdę mówiąc, trudno było go nie dostrzec, bo stał pośrodku małej grupki i zanosił się gromkim śmiechem. Mark chciał podejść do niego, aby dowiedzieć się przynajmniej, czy ma tu nocować, a jeśli tak, czy przydzielono mu jakiś pokój, ale krąg mężczyzn wokół jego znakomitego nowego znajomego promieniował tak poufną zażyłością, że nie ośmielił się do nich przyłączyć. Usiadł więc przy jednym ze stolików i zaczął przeglądać jakiś ilustrowany tygodnik. Co kilka sekund zerkał znad czasopisma, czy nadarza się szansa porozmawiania z Feverstone'em sam na sam. Za piątym razem, kiedy spojrzął w górę, znalazł się twarzą w twarz z jednym ze swoich kolegów z Bractonu, Williamem Hingestem.

Postępowa Elita nazywała go – oczywiście za plecami – Billem Zawieruchą.

Jak przewidział Curry, Hingest nie wziął udziału w ostatnim posiedzeniu kolegium i trudno było powiedzieć, czy zna bliżej Feverstone'a. Mark uświadomił sobie z pewnym przerażeniem, że oto stoi przed nim człowiek bezpośrednio związany z NIBS-em – ten, który, mówiąc sportowym językiem, wystartował tuż za Feverstone'em. Zajmował się chemią fizyczną i był jednym z dwóch uczonych w Bractonie, których znano poza granicami Anglii. Mam nadzieję, iż czytelnik nie odniósł wrażenia, że członkowie kolegium bracktońskiego byli jakimiś wybitnymi uczonymi.

Wybieranie do kolegium samych miernot na pewno nie było intencją Postępowej Elity, ale tak bardzo zależało im na wyborze „rozsądnych ludzi”, że mieli wyjątkowo ograniczone pole wyboru.

Jak powiedział kiedyś Busby, „nie można mieć wszystkiego na raz”. Bill Zawierucha miał staromodne, podkreślane do góry wąsy, w których białe włosy prawie zdominowały żółte, wielki nos przypominający ptasi dziób i łysą głowę.

– Och, co za miła niespodzianka – odezwał się Mark nieco oficjalnym tonem. Zawsze trochę się bał Hingesta.

– Hm – odchrząknął Hingest. – Och, to ty, Studdock? Nie wiedziałem, że i ciebie tu ściągnęli.

– Szkoda, że nie było cię wczoraj na posiedzeniu kolegium.

Było to kłamstwo. Postępowa Elita zawsze uważała obecność Billa za niewygodną. Jako uczony – i to jedyny prawdziwy uczony w Bractonie – należał do nich, ale był jednocześnie tą zniechęconą anomalią, tym złym rodzajem uczonego. Przyjaźnił się z Glossopem, klasykiem, i sprawiał wrażenie (Curry nazywał to „pretensjonalnością”) człowieka, który nie przywiązuje żadnej wagi do swoich własnych rewolucyjnych odkryć chemicznych, a w każdym razie o wiele wyżej ceni to, że nazywa się Hingest. Był to ród o niemal mitycznej starożytności, „nigdy nie skażony obecnością zdrajcy, renegata czy baroneta”, jak to ujął jeden z jego dziewiętnastowiecznych historyków. Bill naraził się Postępowej Elicie szczególnie przy okazji wizyty w Edgestow Louisa Victora de Broglie. Francuz spędził wtedy cały wolny czas w towarzystwie Billa Zawieruchy, ale kiedy pewien entuzjastycznie nastawiony młodszy członek kolegium wyraził przekonanie, że musiało to być wspaniałe sympozjum naukowe dwóch geniuszy, Bill zastanowił się przez chwilę, a potem odpowiedział, że o ile sobie przypomina, nie rozmawiali na ten temat. „Założę się, że głównym tematem ich rozmów był Almanach Gotajski”, skomentował to Curry, ale już nie w obecności Hingesta.

– E... ee... co takiego? Posiedzenie kolegium? A o czym tam mówili?

– O sprzedaży Lasu Bragdon.

– Co za bzdura! – mruknął pogardliwie Zawierucha.

– Przypuszczam, że zgodziłbyś się z decyzją, jaką podjęliśmy.

– Ich decyzje nie mają żadnego znaczenia.

Markowi wyrwał się okrzyk zaskoczenia.

– To wszystko bzdury – powtórzył Bill. – NIBS i tak dostałby ten las. Są na to wystarczająco

silni.

– To zadziwiające! Dano mi do zrozumienia, że wybiorą Cambridge, jeśli nie sprzedamy im lasu.

Hengist głośno pociągnął nosem.

– Nie ma w tym ani krzty prawdy. A czy to jest zadziwiające, to już zależy od tego, co masz na myśli. Nie ma nic zadziwiającego w tym, że członkowie kolegium braktońskiego przez całe popołudnie dyskutują o jakichś bzdurach. Nie ma też nic zadziwiającego w fakcie, że NIBS pragnie przenieść na Bracton całe odium zrobienia z serca Anglii czegoś w rodzaju skrzyżowania nieudanego amerykańskiego hotelu ze wspianą gazownią. Jediną zagadką jest to, dlaczego NIBS chce mieć właśnie ten kawałek ziemi.

– Mam nadzieję, że czegoś się tu dowiemy.

– Ty może tak, ja nie.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał Mark.

– Mam tego po prostu dosyć – odparł Hingest, zniżając głos. – Odjeżdżam dziś wieczorem. Nie wiem, co właściwie robisz w Bractonie, ale radziłbym ci tam wracać i trzymać się swojej starej posady.

– No wiesz! – zachnął się Mark. – A niby dlaczego?

– Bo, widzisz, ja jestem na to za stary, ale ciebie mogą nabrać. Oczywiście wszystko zależy od tego, co kto lubi.

– Prawdę mówiąc – rzekł Mark – nie bardzo mogę się w tym połapać. – Przywykł uważać Hengista za zakutego reakcjonistę. – Do tej pory nie wiem nawet, na czym by miała polegać moja praca, gdybym tu został.

– Czym się zajmujesz?

– Socjologią.

– Ho! Jeśli tak, to mogę ci wskazać człowieka, pod którym będziesz.

– Mógłbyś mnie przedstawić?

– A więc zostajesz, tak?

– No cóż, w każdym razie chyba powinienem z nim pogadać.

– Jak uważasz – odrzekł Hingest. – W końcu to nie mój interes. – I zawołał głośniej: – Steele!

Steele odwrócił się. Był to wysoki, ponury mężczyzna, który mimo długiej, końskiej twarzy miał grube i wydęte wargi.

– To jest Studdock – powiedział Hingest. – Nowy pracownik twojego wydziału.

Po czym odszedł.

– Och... – W głosie Steele'a dało się odczuć zdziwienie. – Czy on powiedział: mojego wydziału?

– Tak przynajmniej powiedział – odrzekł Mark, próbując się uśmiechnąć – ale może się myli.

Jestem socjologiem... jeśli to panu coś wyjaśni.

– To by się zgadzało, bo jestem kierownikiem wydziału socjologii. Szkoda tylko, że przed chwilą pierwszy raz o panu usłyszałem. Kto panu powiedział, że ma pan tu pracować?

– No cóż... prawdę mówiąc – odrzekł Mark – nie wiem jeszcze nic konkretnego. Miałem rozmowę z wicedyrektorem, ale nie mówiliśmy o szczegółach.

– A jak się panu udało go poznać?

– Przedstawił mnie lord Feverstone.

Steele zagwizdał.

– Hej, Cosser – zwrócił się do piegowatego mężczyzny, który akurat przechodził obok nich. -

Posłuchaj. Feverstone właśnie władował nam tego faceta do wydziału. Zabrał go prosto do WD i nie raczył mi o tym powiedzieć. Co o tym myślisz?

– Nie do wiary! – zawołał Cosser, prawie nie zwracając uwagi na Marka, za to wpatrując się w Steele'a.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Mark trochę głośniejszym i nieco chłodniejszym tonem niż poprzednio – ale zdaje się, że zostałem postawiony w fałszywej sytuacji. Nie ma powodów do niepokoju. To chyba jakieś nieporozumienie. Prawdę mówiąc, przyjechałem tu tylko po to, żeby się czegoś dowiedzieć. Wcale mi nie zależy na pracy w instytucie.

Żaden z jego rozmówców nie zwrócił uwagi na ostatnie zdanie.

– To typowe dla Feverstone'a – powiedział Cosser do Steele'a.

Steele zwrócił się do Marka. – Na pana miejscu nie przywiązywałbym większej wagi do tego, co mówi Feverstone. To w ogóle od niego nie zależy.

– Jest mi tylko niezręcznie – odrzekł Mark, marząc o tym, by się nie zarumienić – bo zostałem wmanewrowany w fałszywą sytuację. Przyjechałem tu tylko po to, żeby się rozejrzeć. W ogóle mi nie zależy na tym, czy dostanę pracę w NIBS-ie, czy nie.

– Chyba się zgodzisz – rzekł Steele do Cossera – że w naszym kramie nie ma już miejsca dla nikogo, a zwłaszcza dla kogoś, kto nie zna tej pracy. Chyba że dadzą go do biblioteki.

– Jasne – odparł Cosser.

– Pan Studdock, jeśli się nie mylę – rozległ się nowy głos tuż za Markiem, cienki i wysoki.

Ten głos zupełnie nie pasował do wielkiego mężczyzny, którego Mark ujrzał, gdy odwrócił głowę. Natychmiast go poznał. Trudno było nie rozpoznać tej smagłej, gładkiej twarzy, czarnych włosów i szczególnego akcentu. Był to profesor Filostrato, znany fizjolog, przy którym Mark siedział na jakimś obiedzie ze dwa lata temu. Był tak gruby, że mógłby występować w komediach, ale w prawdziwym życiu nie było to już takie śmieszne. Mark poczuł miłą satysfakcję, że został zapamiętany przez takiego człowieka.

– Bardzo się cieszę, że zechciał się pan do nas przyłączyć, panie Studdock – rzekł Filostrato, biorąc Marka za ramię i łagodnie wyprowadzając z towarzystwa Steele'a i Cossera.

– Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy już to zrobiłem. Przywiózł mnie tu Feverstone, ale gdzieś znikł, a ten Steele... chyba miałbym pracować w jego wydziale... sprawia wrażenie, jakby po raz pierwszy o mnie usłyszał.

– Och, Steele! – roześmiał się profesor. – Niech pan sobie nim nie zawraca głowy. Trochę już wyrósł ze swoich butów. Już niedługo trafi na właściwe miejsce i być może pan mu w tym pomoże. Przeczytałem pańskie prace, *si, si*. Niech pan nie zwraca na niego uwagi.

– Pod żadnym pozorem nie chciałbym się znaleźć w fałszywej sytuacji... – zaczął Mark.

– Niech pan posłucha, przyjacielu – przerwał mu Filostrato. – To są wszystkie sprawy niewarte uwagi. Przede wszystkim trzeba zdać sobie sprawę z powagi całego przedsięwzięcia. Od NIBS-u, od naszej pracy, zależy ni mniej, ni więcej, tylko egzystencja ludzkiej rasy. Od naszej konkretnej pracy, pojmujecie pan? Spotka się tu pan z różnymi tarciami, z impertynencjami ze strony tych *canaglia*, tego motłochu. Trzeba to wszystko traktować tak, jak urazę do towarzysza na wojnie, gdy bitwa osiągnie swój punkt krytyczny.

– Jeśli tylko będę mógł zrobić coś, co jest naprawdę tego warte powiedział Mark – to nie pozwolę, aby podobne sprawy miały na to jakikolwiek wpływ.

– Otóż to, o to właśnie chodzi. Ta praca jest ważniejsza, niż się panu wydaje. Sam pan zobaczy.

Ci wszyscy Steele'owie, Feverstone'owie... Proszę się nimi nie przejmować. Dopóki ma pan za sobą wicedyrektora, może pan sobie kpić z ich impertynencji. Tylko jego musi pan słuchać, rozumie

pan? Ach... i jest jeszcze ktoś. Dam panu dobrą radę: niech pan nigdy nie zrobi sobie wroga z Wróżki. A reszta może panu nakichać.

– Wróżki?

– Tak. Nazywają ją Wróżką. Och, mój Boże, ta straszliwa *Inglesaccia!* To szefowa naszej policji, policji NIBS-u. *Ecco*, właśnie tu idzie! Przedstawię pana. Pani Hardcastle, niech mi będzie wolno przedstawić pani pana Studdocka.

Uścisk, w którym znalazła się dłoń Marka, godny był palacza w hucie lub tragarza. A jednak stała przed nim kobieta – postawna kobieta w czarnym uniformie z krótką spódniczką. Mimo potężnego biustu, z jakiego byłaby dumna każda wiktoriańska bufetowa, nie była gruba, raczej silnie zbudowana. Miała szare, krótko ostrzyżone włosy, prostokątną twarz, surową i bladą, oraz głęboki głos. Gruba smuga szminki, położonej niedbale na wargach, była jedynym ustępstwem na rzecz mody. Między jej zębami tkwiło długie, nie zapalone cygaro, które podczas rozmowy wyjmowała co jakiś czas z ust, przyglądając się jego przeżutemu końcowi pokrytemu mieszaniną szminki i śliny.

Usiadła natychmiast w fotelu stojącym obok Marka, przerzuciła prawą nogę przez oparcie i utkwiała w Marku spojrzenie zabarwione chłodną poufałością.

\* \* \*

*Klip-klap... klip-klap...* rozlegały się w ciszy kroki po drugiej stronie muru. A po chwili drzwi się otworzyły i czekająca Jane ujrzała przed sobą wysoką kobietę w swoim wieku, która obrzuciła ją bystrym, ale nie agresywnym spojrzeniem.

– Czy tu mieszka pani Ironwood? – zapytała Jane.

– Tak – odpowiedziała dziewczyna, nie otwierając szerzej drzwi i nie odsuwając się z przejścia.

– Chciałabym się z nią zobaczyć.

– Czy jest pani umówiona?

– Ja... ściśle mówiąc, nie. Skierował mnie tutaj doktor Dimble, który zna panią Ironwood.

Powiedział, że nie muszę się umawiać.

– O, jeśli pani jest od doktora Dimble'a, to inna sprawa. Niech pani wejdzie. Proszę chwilę zaczekać, muszę dobrze zamknąć drzwi. O, tak. Możemy iść. Proszę wybaczyć, że pójde pierwsza, ale ta ścieżka jest bardzo wąska.

Poprowadziła ją wyłożoną ceglami ścieżką, wzdłuż muru, przy którym rosły owocowe drzewa, a potem w lewo, ścieżką porośłą mchem, między krzakami agrestu. Doszły nią do niewielkiego trawnika z huśtawką pośrodku, za którym była oszklona cieplarnia. Tu znalazły się w czymś w rodzaju folwarku, który spotyka się czasem na obrzeżach wielkich ogrodów. Poszły krótką uliczką ze stodołą i stajnią po jednej stronie, a ogrodową komórką i chlewem po drugiej. Pochrząkiwanie i niezbyt przyjemny zapach świadczyły o tym, że chlew jest zamieszkały. Uliczka doprowadziła je do wąskiej ścieżki wiodącej przez ogród warzywny, położony na dość stromym zboczu wzgórza.

Doszły nią do krzewów róż – teraz pozbawionych liś ci, ze sztywnymi, kolczastymi łodygami. W pewnym miejscu ścieżka była wyłożona pojedynczymi deskami. Idąc nią, Jane odniosła wrażenie, że to wszystko coś jej przypomina. Był to bardzo duży ogród. Był jak... jak... tak, teraz sobie przypomniała: jak ogród z *Powiastki o Króliku Piotrusiu*. Albo... z *Powieści o Róż y?* Nie, chyba nie. Może jak ogród Klingsora? Albo ogród z *Alicji w Krainie Czarów?* Albo jak ogród na szczycie jakiegoś mezopotamskiego zigguratu, który prawdopodobnie dał początek legendzie o Raju? Albo po prostu jak wszystkie ogrody otoczone murem? Freud twierdził, że lubimy ogrody, ponieważ są symbolami kobiecego ciała. No tak, ale to wyjątkowo męski punkt widzenia. W snach kobiet ogród na pewno znaczy coś innego. Ale... czy aby na pewno? A może kobiece ciało budzi ciekawość

zarówno w mężczyznach, jak i w kobietach, i do tego prawie w taki sam sposób?

Przypomniała sobie pewne zdanie. „Piękno kobiety jest źródłem radości zarówno dla niej samej, jak i dla mężczyzny, i nie jest przypadkiem, że bogini miłości jest starsza i silniejsza od boga miłości”.

Gdzie właściwie to przeczytała? I w ogóle, co za bzdury przychodzą jej do głowy? Otrząsnęła się z tych wszystkich myśli o ogrodach i postanowiła wziąć się w garść, bo miała dziwne poczucie, że znajduje się na wrogim, a w każdym razie na obcym gruncie. W tej samej chwili wynurzył się spomiędzy plantacji rododendronów i wawrzynów i znalazły przed małymi, bocznymi drzwiami wielkiego domu. Przy drzwiach stała beczka na deszczówkę. Z góry dobiegł Jane trzask zamykanego okna.

W chwilę później siedziała w przestronnym, skąpo umeblowanym pokoju z kafelkami i piecem.

Na podłodze nie było dywanu, a ściany ponad sięgającą pasa boazerią były pokryte białoszarym tynkiem, co nadawało pokojowi nieco surowy, klasztorny wygląd. Kroki wysokiej dziewczyny, która ją tu przyprowadziła, ucichły w korytarzu i pokój napełniła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu krakaniem gawronów.

„Będę musiała opowiedzieć tej kobiecie swój sen, a ona zada mi mnóstwo pytań”, pomyślała Jane. Zwykle uważała się za nowoczesną kobietę, która może bez oporu rozmawiać na każdy temat, ale teraz, gdy już znalazła się w tym pokoju, wszystko to zaczęło się jej jawić w nieco innym świetle. Najróżniejsze tajemne wyjątki w jej programie szczerości – sprawy, o których, jak teraz zdała sobie sprawę, nigdy i nikomu nie chciała mówić – wdarły się do jej świadomości. To zaskakujące, że tylko parę z nich miało związek z seksem. „U dentysty, pomyślała, mają przynajmniej w poczekalni ilustrowane czasopisma”. Wstała i otworzyła jedną z książek leżących na stole pośrodku pokoju. I nagle jej oczy zapłonęły, gdy przeczytała: „Piękno kobiety jest źródłem radości zarówno dla niej samej, jak i dla mężczyzny, i nie jest przypadkiem, że bogini miłości jest starsza i silniejsza od boga miłości. Pożądanie własnej piękności jest wyrazem próżności Lilith, natomiast pragnienie radowania się własną piękną jest wyrazem posłuszeństwa Ewy, a obie mogą jedynie poprzez kochanka poczuć smak własnej piękności. Posłuszeństwo wiedzie do rozkoszy, natomiast pokora...”

W tym momencie drzwi się nagle otworzyły. Jane oblała się rumieńcem, odłożyła książkę na stół i spojrzała. Ta sama dziewczyna, która ją tu przyprowadziła, właśnie otworzyła drzwi i nadal stała w progu. Jane nagle poczuła do niej prawie namiętny podziw, jaki kobiety – o wiele częściej, niż się tego spodziewamy – mają wobec innych kobiet, których typ piękna jest zupełnie różny od ich typu. „Chciałabym być taka, pomyślała, taka prosta, wysmukła, pewna siebie, tak pasująca do jazdy konno, tak bosko wysoka”.

– Czy... czy pani Ironwood jest w domu? – zapytała.

– Czy pani nazywa się Studdock?

– Tak.

– Zaraz panią do niej zaprowadzę. Czekaliśmy na panią. Nazywam się Camilla... Camilla Denniston.

Jane poszła za nią. Wąskie i skromne korytarze wskazywały, że wciąż znajdują się w tylnej części domu, a skoro tak, musiał to być bardzo duży dom. Długo trwało, zanim Camilla zapukała do jakichś drzwi, otworzyła je, usunęła się na bok, by przepuścić Jane, i powiedziała cichym, wyraźnym głosem („Jak służąca”, pomyślała Jane):

– Już przyszła.

Jane weszła do pokoju i zobaczyła panią Ironwood, całą w czerni, siedzącą w fotelu, z rękami złożonymi na kolanach, zupełnie tak, jak ujrzała ją w swoim śnie – jeśli to był sen – poprzedniej

nocy.

– Proszę usiąść, młoda damo – powiedziała pani Ironwood.

Złożone na kolanach dłonie były bardzo duże i kościste, ale nie kojarzyły się z szorstkością cią.

Nawet gdy siedziała, była niezwykle wysoka. Wszystko w niej było duże – nos, pozbawione uśmiechu usta, szare oczy. Mogła mieć pięćdziesiąt kilka lat, raczej bliżej sześćdziesięciu.

– Jak się nazywasz, młoda damo? – zapytała pani Ironwood, biorąc do ręki ołówek i notes.

– Jane Studdock.

– Czy jesteś zamężna?

– Tak.

– Czy twój mąż wie, że do nas przyszedłeś?

– Nie.

– A ile masz lat, jeśli można wiedzieć?

– Dwadzieścia trzy.

– Dobrze. Co masz mi do powiedzenia? Jane zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Mam złe sny i... i czuję się ostatnio fatalnie...

– Co to były za sny? – zapytała pani Ironwood.

Opowieść Jane – a nie wychodziło jej to zbyt dobrze – trwała dość długo. Mówiąc, utkwiała spojrzenie w dużych dłoniach pani Ironwood, w jej czarnej spódniczce, ołówku i notesie. Właśnie dlatego nagle przerwała, bo w pewnej chwili zauważyła, że pani Ironwood przestała notować, a jej palce zacisnęły się na ołówku. Musiała mieć bardzo silne palce. Uścisk był mocny, bo knykcie jej pobieleły, a żyły na wierzchu dłoni nabrzmiały, aż w końcu, jakby pod wpływem tłumionej emocji, palce zacisnęły się tak mocno, że ołówek złamał się na pół. Zdumiona Jane umilkła i spojrzała w jej twarz. Szare oczy patrzyły na nią nieruchomo, bez żadnej zmiany wyrazu.

– Proszę mówić dalej, młoda damo – powiedziała pani Ironwood.

Jane podjęła swoją opowieść. Kiedy skończyła, pani Ironwood zadała jej kilka pytań. Potem siedziała nieruchomo, nic nie mówiąc tak długo, że w końcu Jane zapytała:

– Czy pani sądzi, że ze mną jest coś nie w porządku? Czy to coś poważnego?

– Z tobą jest wszystko w porządku – odpowiedziała pani Ironwood.

– Sądzi pani, że to minie?

– Trudno powiedzieć, ale raczej nie. Na twarzy Jane pojawił się cień zawodu.

– Więc... czy można z tym coś zrobić? To były naprawdę okropne sny... straszliwie realistyczne, w ogóle nie jak sny.

– Nie wątpię.

– Czy to coś takiego, z czego nie można się wyleczyć?

– Nie możesz się z tego wyleczyć, bo wcale nie jesteś chora.

– Ale przecież coś się ze mną dzieje. Przecież to nie jest naturalne, żeby mieć takie sny.

Po dłuższym milczeniu pani Ironwood powiedziała:

– Sądzę, że powinnam ci powiedzieć całą prawdę...

– Och, tak! Proszę mi wszystko powiedzieć! – przerwała jej Jane głosem pełnym napięcia.

– A muszę zacząć od tego – ciągnęła pani Ironwood – że jesteś osobą o wiele ważniejszą, niż sobie wyobrażasz.

Jane nic nie powiedziała, myśląc: „Kpi sobie ze mnie. Sądzi, że jestem pomyłona”.

– Jak brzmi twoje panięńskie nazwisko? – zapytała pani Ironwood.

– Tudor.

Jane zwykle niechętnie o tym wspominała, bojąc się, że ktoś może ją posądzić o snobizm.

– Tudorowie z Warwickshire?

– Tak.

– Czy czytałaś taką małą książeczkę... zaledwie czterdzieści stron... o bitwie pod Worcesterem, którą napisał jeden z twoich przodków?

– Nie, nie czytałam, ale wiem, że mój ojciec miał egzemplarz tej książki, chyba jedyny, jaki istnieje. Tak mówił. Zagięła gdzieś po jego śmierci.

– Twój ojciec się mylił. Są jeszcze przynajmniej dwa egzemplarze. Jeden jest w Ameryce, drugi w tym domu.

– I co z tego?

– Twój przodek dał w tej książce pełny i całkowicie poprawny opis bitwy pod Worcesterem, twierdząc przy tym, że sporządził go dokładnie w tym samym dniu, tuż po bitwie. Problem w tym, iż wcale nie brał w niej udziału. Był w tym czasie w Yorku.

Jane wpatrywała się w nią, nie bardzo śledząc jej słowa.

– Jeśli napisał prawdę – ciągnęła pani Ironwood – a my wierzymy, że tak, musiał to wszystko zobaczyć we śnie. Rozumiesz?

– Śnił o tej bitwie?

– Tak, ale śnił, jakby tam naprawdę był. W swoim śnie zobaczył prawdziwą bitwę.

– Nie widzę związku.

– Wizjonerstwo, zdolność oglądania rzeczywistości we śnie, to czasami cecha dziedziczna.

Coś zaczęło przeszkadzać Jane w swobodnym oddychaniu. Poczowała się słabo. Nienawidziła takich reakcji. Coś z przeszłości, coś irracjonalnego i z całą pewnością niechcianego wyłaziło ze swojego legowiska i próbowało zwrócić na siebie jej uwagę.

– Czy można to udowodnić? – zapytała. – Chodzi mi o to, że mamy tylko jego świadectwo.

– Mamy twoje sny – odpowiedziała pani Ironwood.

Jej głos, dotąd poważny, teraz zabrzmiał surowo. Fantastyczna myśl przemknęła Jane przez głowę. A może tej starej kobiecie chodzi przede wszystkim o to, by nie wspominać o kłamstwach nawet najdawniejszych przodków?

– Moje sny? – zapytała ostrym tonem.

– Tak.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Sądzę, że w swoich snach ujrzałaś rzeczywistość. Zobaczyłaś Alcasana w rzeczywistości, w jego celi. Zobaczyłaś też gościa, który naprawdę go odwiedził.

– Ale... ale... och, przecież to śmieszne – powiedziała Jane. – Ta część snu musiała być jakimś zbiegiem okoliczności, a reszta... to zwykły koszmar senny. Przecież to wszystko jest nieprawdopodobne. Mówiłam pani, że on odkręcił mu głowę... I... i oni odkopali tego człowieka.

Tego, który ożył.

– Nie ulega wątpliwości, że są tu punkty niejasne. Sądzę jednak, że nawet za tymi epizodami kryje się rzeczywistość.

– Obawiam się, że nie potrafię w coś takiego uwierzyć – powiedziała chłodno Jane.

– To zupełnie naturalne, biorąc pod uwagę twoje wychowanie. Oczywiście, jeśli już sama nie odkryłaś, że masz zdolność widzenia realnych sytuacji we śnie.

Jane pomyślała o leżącej na stole książce i o zdaniu, które sobie przypomniała, zanim tę książkę zobaczyła, a potem o samej pani Ironwood, którą też już widziała we śnie. Nie, to niemożliwe, to jakiś nonsens...

– A więc nie może mi pani pomóc?



– Mogę ci powiedzieć prawdę. Już próbowałam.

– To znaczy... nie może pani tego powstrzymać... wyleczyć mnie z tego?

– Wizjonerstwo nie jest chorobą.

– Ale ja tego nie chcę! – zawołała Jane. – Muszę to powstrzymać. Nienawidzę takich rzeczy.

Pani Ironwood milczała.

– I nie zna pani nikogo, kto by mi pomógł? Nie może mi pani kogoś polecić?

– Jeśli pójdziesz do psychoanalityka, potraktuje to zgodnie ze swoim założeniem, według którego sny są odbiciem twojej podświadomości. Będzie cię próbował wyleczyć. Nie wiem, jakie mogą być skutki leczenia przez kogoś, kto ma takie założenie. Obawiam się, że mogą być bardzo poważne. I z całą pewnością nie przestaniesz miewać tych snów.

– Ale o co w ogóle tu chodzi?! – wybuchnęła Jane. – Chcę prowadzić normalne życie. Chcę normalnie pracować. To jest nie do zniesienia! Dlaczego akurat ja mam być wybrana do takich okropnych rzeczy?

– Odpowiedź na to jest znana tylko tym, którzy stoją znacznie wyżej ode mnie.

Zapanowała krótka cisza. W końcu Jane poruszyła się na krześle i powiedziała nieco obrażonym tonem:

– No cóż, jeśli nie może pani dla mnie nic zrobić, to chyba już pójdę... – A potem nagle dodała:

-

Ale skąd właściwie pani wie o tym wszystkim? To znaczy... o jakich realnych wydarzeniach pani mówi?

– Myślę, że ty sama masz więcej powodów, by wierzyć w realność twoich snów, niż te, o których mi dotąd opowiedziałaś. A jeśli li nie, to wkrótce będziesz je miała. A tymczasem odpowiem ci na twoje pytanie. Wiemy, że twoje sny są przynajmniej częściowo prawdziwe, bo pasują do informacji, które już posiadamy. Właśnie dlatego doktor Dimble przysłał cię do nas.

– Chce pani powiedzieć, że przysłał mnie tu nie po to, żebym się wyleczyła, ale po to, żebym dostarczyła wam jakichś informacji?

To podejrzenie pasowało do jego reakcji, gdy po raz pierwszy powiedziała mu o swoich kłopotach.

– Dokładnie tak.

– Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej – powiedziała chłodno Jane i zdecydowanie podniosła się do wyjścia. – To chyba jakieś nieporozumienie. Wyobrażałam sobie, że doktor Dimble próbuje mi pomóc.

– I nie myliłaś się. Ale jednocześnie próbował zrobić coś o wiele ważniejszego.

– Chyba powinnam być wdzięczna, że zechciano poświęcić mi choć trochę uwagi – powiedziała oschle Jane – choć nie bardzo rozumiem, w jaki sposób miałabym uzyskać pomoc, biorąc pod uwagę te... to wszystko, co dotąd usłyszałam.

Miało to zabrzmieć ironicznie, ale gdy tylko to powiedziała, miejsce ironii zajęła złość, a na twarzy wykwitły rumieńce. Pod pewnymi względami była wciąż bardzo młoda.

– Młoda damo – powiedziała pani Ironwood – w ogóle nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. To, co zobaczyłaś, ma związek z czymś, przy czym takie sprawy jak szczęście cie, a nawet życie... twoje lub moje... tracą znaczenie. Proszę cię, żebyś zrozumiała, w jakiej sytuacji się znalazłaś. Nie uwolnisz się od swojego daru. Możesz próbować go stłumić, ale ci się to nie uda.

Jedynym skutkiem będzie coraz większy strach. Możesz jednak oddać ów dar do naszej dyspozycji. Jeśli to uczynisz, strach będzie coraz mniejszy, a jednocześnie pomożesz nam ocalić ludzkość od wielkiego nieszczęścia. Jest też trzecie wyjście: możesz powiedzieć o tym komuś

innemu. Jeśli to zrobisz, prawie na pewno wpadniesz w ręce ludzi, którzy tak jak my pragną wykorzystać twój dar, ale którzy o twoje szczęście i życie nie będą dbali bardziej niż o szczęście i życie muchy. Ludzie, których zobaczyłaś w swoim śnie, istnieją naprawdę. Prawdopodobnie już wiedzą, że niezależnie od swojej woli masz wgląd w to, co robią czy chcą zrobić. A jeśli tak, to nie spoczną, póki nie dostaną cię w swoje ręce. Radzę ci, nawet tylko ze względu na twoje własne bezpieczeństwo przyłącz się do nas.

– Mówi pani wciąż: my, nas. Czy to coś w rodzaju stowarzyszenia?

– Tak. Można to tak nazwać.

Od kilku minut Jane stała, prawie już wierząc tej dziwnej kobiecie w czerni. A potem nagle znowu ogarnęła ją fala niechęci. Powróciła cała zraniona próżność, złość na bezsensowną sytuację, w jakiej się znalazła, i odraza do wszystkiego, co tajemnicze i nieznanne. W tym momencie liczyło się tylko jedno: pragnęła wyjść z tego pokoju i nie słyszeć już pełnego powagi, cierpliwego głosu pani Ironwood. „Miała mnie wyleczyć, a czuję się coraz gorzej”, pomyślała. Wciąż uważała się za chorą.

– Muszę już iść – powiedziała. – Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. I nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

\* \* \*

Mark odkrył w końcu, że oczekiwano, by pozostał w Belbury przynajmniej do jutra, i kiedy poszedł na górę, aby przebrać się do kolacji, poczuł się raźniej. Dobry nastrój był po części skutkiem kilku szklaneczek whisky z wodą sodową, wypitych dopiero co z Wróżką Hardcastle, a także spojrzenia w lustro, bo stwierdził, że może już pozbyć się tego okropnego kawałka waty z górnej wargi. Miała też z tym coś wspólnego luksusowa sypialnia z płonącym kominkiem i osobną łazienką. Dzięki Bogu uległ Jane i kupił ten nowy garnitur! Wyglądał bardzo dobrze, gdy leżał rozłożony na łóżku. Przy okazji stwierdził, że stary garnitur można by śmiało wyrzucić. Najbardziej podniosła go jednak na duchu rozmowa z Wróżką.

Trudno powiedzieć, by mu się spodobała. Prawdę mówiąc, wzbudziła w nim niechęć, jaką młody mężczyzna odczuwa zwykle wobec kobiety wyzywającej, nawet bezwstydną, a jednocześnie całkowicie niepociągającej. Jej zimne oczy zdawały się mówić: „Jestem świadoma twojej reakcji i bawi mnie to”. Opowiedział a mu mnóstwo zabawnych historyjek. Do tej pory często się wzdrygał, obserwując niezdarne wysiłki wyzwolonych kobiet, które chciały dorównać mężczyznom, opowiadając takie dowcipy, ale tej reakcji towarzyszyło pewne poczucie wyższości.

Tym razem miał poczucie, że to on jest kimś godnym wzruszenia ramion. Ta kobieta drażniła męską pruderię. Później zaczęła snuć swoje reminiscencje policyjne. Mimo początkowego sceptycyzmu Mark był coraz bardziej przerażony, Wróżka bowiem twierdziła, iż około trzydziestu procent spraw o morderstwo kończy się powieszeniem niewinnego człowieka. Mówiła też o pewnych szczegółach dotyczących samej egzekucji, o których nigdy przedtem nie słyszał.

Wszystko to nie było przyjemne, a jednak Mark rozkoszował się intymnym, ezoterycznym charakterem tej rozmowy. Wielokrotnie w ciągu tego dnia czuł się tu obco, ale kiedy rozmawiał z panią Hardcastle, poczucie to całkowicie znikło. Z jej słów wynikało, że miała ekscytujące życie. W różnych okresach była sufrażystką, pacyfistką, brytyjską faszystką. Sama bywała maltretowana i więziona przez policję. Ale też spotykała się z premierami, dyktatorami i słynnymi gwiazdami filmowymi, a wszystko to otoczone było jakąś tajemnicą. Wiedziała dobrze – i to z obu stron – co policja może zrobić, a czego nie; zresztą według Wróżki policja mogła prawie wszystko.

– A zwłaszcza teraz – powiedziała. – Tu, w instytucie, ochramiamy krucjatę przeciwko Czerwonej Linii.

„Policyjny aspekt” pracy NIBS-u jawił się w jej wynurzeniach jako bardzo ważny. Istniał po to,

by uwolnić zwykłych pracowników od troski o – jak to nazywała – „higienę pracy”, co obejmowało bardzo szeroki zakres spraw, od szczepień ochronnych po tropienie nienaturalnych skłonności, bo – jak twierdziła – wszelkie „zbożenia” to pole do rozmaitych prób szantażu. Jeśli idzie o problem przestępstwa jako takiego, kierownictwo instytutu popularyzowało już w prasie ideę, by dano mu swobodę eksperymentowania na ludziach. Chodziło o uzyskanie odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu humanitarne, „lecnicze” traktowanie przestępców, zmierzające do ich resocjalizacji, może wyprzeć dawne pojęcie kary „naprawczej” czy „restrykcyjnej”. Tu właśnie pojawiała się bariera prawna, owa Czerwona Linia.

– Na szczęście pozostały już tylko dwie gazety, których nie kontrolujemy, a i te dwie zniszczymy bez trudu. Trzeba doprowadzić do tego, by zwykły człowiek automatycznie kojarzył karę z sadyzmem.

Wtedy będziemy mieć *carte blanche*.

Mark nie od razu pojął, o co chodzi. Wróżka zaczęła mu więc tłumaczyć, że tym, co od dawna krępuje działanie angielskiej policji, jest właśnie pojęcie „zasłużonej kary”. Jest to sztywne ograniczenie: z kryminalisty można zrobić tylko to i to, nic więcej. Natomiast „lecnicze traktowanie” nie stwarza żadnych ograniczeń: może trwać, dopóki nie osiągnie się ostatecznego celu, jakim jest „wyleczenie” przestępcy. Kto o tym decyduje? Oczywiście ci, którzy leczą. A jeśli sama kuracja jest tak humanitarna, to co dopiero prewencja! Wkrótce każdy, kto kiedykolwiek trafił w ręce policji, znajdzie się pod kontrolą NIBS-u. Tak, chodzi o każdego obywatela.

– I w tym momencie zaczyna się nasza rola: twoja i moja – dodała, stukając Marka palcem w pierś. – Na dłuższą metę nie ma różnicy między pracą policji a socjologią. Musimy pracować ręką w rękę.

To zdanie kazało Markowi wyjawic swoje wątpliwości, czy rzeczywiście otrzymał tu pracę, a jeśli tak, to na czym ona ma polegać. Wróżka ostrzegła go, że Steele może być niebezpieczny.

– I jest dwóch ludzi, co do których musisz zachować ostrożność.

Jednym jest Frost, a drugim stary Wither.

Ale wyśmiała jego obawy.

– Jesteś już z nami, chłopcze. Radzę ci tylko, żebyś na razie nie dopytywał się o szczegóły.

Wither nie znosi ludzi, którzy próbują go przyszpilić konkretnymi pytaniami. Nie mów, że przyszedłeś tu, żeby zrobić „to”, a nie będziesz robił „tamtego”. Teraz wszystko za szybko się dzieje, żeby myśleć takimi kategoriami. Musisz po prostu dowieść, że jesteś potrzebny. I nie wierz we wszystko, co ci tu będą mówić.

Przy kolacji Mark siedział obok Hingesta.

– No i co – zapytał Hingest – już cię zwabili?

– Chyba tak.

– Dobrze się zastanów, bo mam samochód i wracam jeszcze dziś. Mogę cię zabrać.

– Nie powiedziałeś mi jeszcze, dlaczego odjeżdżasz.

– Och, wszystko zależy od tego, co kto lubi. Jeśli bawi cię towarzystwo tego włoskiego eunucha, tego zwariowanego pastora i tej wścieklej Wróżki... jej babka natarłaby jej zdrowo uszu, gdyby żyła... to oczywiście nie ma o czym mówić.

– Myślę, że trudno to wszystko oceniać na płaszczyźnie czysto towarzyskiej. Przecież tu chodzi o coś więcej niż zwykły klub.

– Co? Oceniać? – zaśmiał się Hingest. – Ja nigdy niczego nie oceniam, chyba że jestem na wystawie kwiatów. To wszystko kwestia gustu. Przyjechałem tu, bo sądziłem, że to ma coś wspólnego z nauką. Teraz, kiedy stwierdziłem, że mam do czynienia z czymś w rodzaju konspiracji

politycznej, pakuję manatki i wracam do domu. Jestem za stary na takie zabawy, a gdybym już chciał przyłączyć się do jakiejś konspiracji, to na pewno nie do tej.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie interesuje cię planowanie społeczne? Rozumiem, jesteś chemikiem i takie nauki jak socjologia...

– Po pierwsze, socjologia nie jest żadną nauką – przerwał mu Hingest. – A po drugie, gdybym stwierdził, że chemia pasuje do tajnej policji kierowanej przez podstarzałą megierę, która nie nosi biustonosza, i do projektu odebrania każdemu Anglikowi jego farmy, jego sklepu i jego domu, to rzuciłbym chemię w diabły i wrócił do ogrodnictwa.

– Chyba rozumiem ten sentyment do zwykłych, prostych ludzi, ale kiedy zacznie się studiować rzeczywistość, tak jak ja...

– To zaczyna się mieć ochotę, żeby wszystko rozwalić i zaproponować coś zupełnie innego.

Oczywiście. Tak się dzieje, kiedy przedmiotem badań są ludzie: znajduje się coś, co nie istnieje.

Osobiście uważam, że ludzie nie mogą być przedmiotem badań naukowych. Ludzi można tylko poznawać, a to już zupełnie coś innego. Pseudonaukowe badanie ludzi prowadzi do tego, że chce się, aby niższe klasy rządziły państwem i słuchały muzyki klasycznej, a to przecież bzdury. Chce się też pozbać ich wszystkiego, co nadaje wartość ich życiu, zresztą nie tylko ich, ale każdego, z wyjątkiem grupki skromnisiów i profesorów.

– Bill! – zawołała nagle pani Hardcastle z drugiego końca stołu. Hingest spojrzał na nią i twarz mu nabiegła krwią.

– Czy to prawda, że odjeżdżasz po kolacji?

– Tak, to prawda, droga pani.

– Czy mogłabym się z tobą zabrać?

– Byłbym szczęśliwy – odparł Hingest tonem nie ukrywającym cym prawdziwych uczuć. – Jeśli tylko jedziemy w tym samym kierunku.

– Jedziesz przez Brenstock?

– Niestety, jadę przez Potter's Lane.

– A niech to diabli! Zupełnie mi nie pasuje. Równie dobrze mogę tu zostać do rana.

W tym czasie Mark zajął się rozmową z sąsiadem z lewej strony i Billa Zawieruchę zobaczył ponownie już po kolacji, w holu, gotowego do wyjazdu.

– Posłuchaj mojej rady, Studdock – zaczął Hingest, otwierając drzwi i zmuszając go w ten sposób, by mu towarzyszył do samochodu – albo przynajmniej dobrze to przemyśl. Nie wierzę w socjologię, ale myślę, że jeśli pozostaniesz w Bractonie, masz przed sobą całkiem przyzwoitą karierę. Przyłączając się do tego towarzystwa, nie uczynisz nic dobrego dla siebie i, na Boga, nie uczynisz nic dobrego dla nikogo!

– Wydaje mi się, że na wszystko zawsze można spojrzeć z dwóch punktów widzenia – odparł Mark.

– Co? Dwa punkty widzenia? A to dopiero! Jest przynajmniej tuzin punktów w widzenia na cokolwiek, dopóki nie znasz właściwej odpowiedzi. A wtedy jest już tylko jeden. Dobranoc.

– Dobrej nocy, Hingest – odrzekł Mark.

Bill Zawierucha wszedł do samochodu, uruchomił starter i odjechał.

Zapowiadała się mroźna noc. Ramię Oriona – choć Mark nie znał tej tak bardzo rzucającej się w oczy konstelacji – połyskiwało ku niemu znad wierzchołków drzew. Z niechęcią pomyślał o powrocie do tego domu. Mógł tam mieć okazję poznania innych ciekawych i wpływowych ludzi, ale równie dobrze mógł znowu poczuć się kręcącym się bez celu outsiderem, łowiącym strzępy rozmów,

w których nie dane mu będzie uczestniczyć. Był już jednak bardzo zmęczony. Idąc wzdłuż frontu domu, natrafił na jakieś mniejsze drzwi, przez które, jak uznał, można było wejść do środka, nie przechodząc przez hol czy salon. Zrobił tak i od razu poszedł na górę do swojej sypialni.

\* \* \*

Camilla Denniston odprowadziła Jane do wyjścia – tym razem nie była to furka w murze, ale główna brama otwierająca się na tę samą drogę jakieś sto metrów dalej. Żółte promienie ze szpary rozrywającej szare niebo na zachodzie zalały na krótko cały krajobraz chłodną jasnością. Jane starała się nie okazać przed Camillą swojego wzburzenia i niepokoju, co przyniosło taki skutek, że pozbyła się jednego i drugiego, zanim się pożegnały. Pozostała tylko odraza do tego, co w myślach nazywała „tymi wszystkimi bzdurami”. Prawdę mówiąc, nie była do końca przekonana, że to bzdury, ale już postanowiła tak to traktować. Nikt jej w to nie wmiesza, nie da się w to wciągnąć.

Trzeba żyć własnym życiem. Zawsze pragnęła zachować niezależność – to była jedna z jej głównych zasad. Nawet wtedy, gdy uświadomiła sobie, że poślubi Marka, jeśli ją o to poprosi, natychmiast pomyślała: „ale nie zrezygnuję ze swojego własnego życia” i odtąd ta myśl prawie zawsze czaiła się w jej świadomości, będąc utajonym źródłem pewnych oporów wobec miłości jako takiej, a więc i rozzalenia na Marka, który wtargnął w jej życie. Teraz wiedziała już bardzo dobrze, ile wyrzeczeń kosztuje kobietę małżeństwo. A Mark zdawał się zupełnie tego nie dostrzegać. Choć nie sformułowała tego w sobie wyrażenie, lęk przed utratą wolności był najgłębszym powodem oporu przed urodzeniem dziecka. Jeszcze nie teraz. Każdy ma swoje życie.

Gdy tylko weszła do domu, zadzwonił telefon.

– Czy to ty, Jane? – usłyszała kobiecy głos. – To ja, Margaret Dimble. Stało się coś strasznego.

Opowiem ci, jak przyjadę. Jestem tak wściekła, że aż nie mogę mówić. Czy masz jakieś wolne łóżko? Co? Twojego męża nie ma w domu? Jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie ani trochę.

Wysłałam Cecila na noc do kolegium. Na pewno nie będę przeszkadzać? Jestem ci strasznie wdzięczna. Będę za pół godziny.

## Rozdział 4

### *Likwidacja anachronizmów*

Pani Dimble, obarczona wieloma paczkami, zjawił a się, gdy Jane koń czyła zmieniać poś ciel na łóżku Marka.

– Jesteś aniołem, że zgodziłaś się mnie przenocować – powiedziała. – Próbowaliśmy znaleźć pokój we wszystkich hotelach Edgestow. To miasto staje się nie do wytrzymania! Wszędzie ta sama odpowiedź! Wszystko zajęte przez pieczeniarzy i markietanki tego okropnego NIBS-u. Tu sekretarki... tam maszynistki... poś rednicy pracy... coś okropnego! Naprawdę gdyby Cecil nie miał pokoju w kolegium, chybaby musiał spać w poczekalni na dworcu. Mam nadzieję, że ktoś mu przewietrzył pościel.

– Ale co się właściwie stało?

– Wyrzucono nas z domu, moja kochana!

– Ależ to niemożliwe! Przecież to niezgodne z prawem!

– To samo powiedział Cecil... Wyobraź sobie, Jane, z samego rana zobaczyliś my przez okno olbrzymią ciężarówkę i grupę jakichś typów o twarzach kryminalistów, z kilofami i szpadlami. Był tam taki dziwny, niski facet w czapce z daszkiem, który oświadczył, że nie będzie się sprzeciwiał, byśmy pozostali w domu... pomyśl tylko, w domu, nie w ogrodzie!... do ósmej rano następnego dnia. Nie będzie się sprzeciwiał!

– Ale przecież to na pewno... to musi być jakaś pomyłka!

– Oczywiście Cecil zadzwonił do kwestora. No i oczywiście kwestora akurat nie było.

Wydzwaniał do niego przez całe przedpołudnie, a w tym czasie na naszych oczach ścięto ogromny buk w naszym ogrodzie, który tak ci się podobał. Gdybym nie była taka wściekła, to chybabym tam usiadła i wypłakała sobie oczy. Tak parszywie się czułam. W końcu dodzwonił się do pana Busby'ego, który mu powiedział, że to jakieś nieporozumienie, ale on nie ma na to wpływu, żebyśmy raczej zadzwonili do NIBS-u, do Belbury. Oczywiście okazało się to niemożliwe. Kiedy nadeszła pora lunchu, stwierdziliśmy, że po prostu nie możemy tam dłużej zostać.

– Dlaczego?

– Moja kochana, nie masz nawet poję cia, co tam się dzieje. Wielkie ciężarówki i traktory jeżdżą przez cały czas tam i z powrotem. I wielki dźwig na czymś takim jak lokomotywa. Nasi dostawcy nie mogli się do nas przebić! Nie mieliśmy mleka do jedenastej. Mięso w ogóle nie dojechało.

Zadzwonili po południu, że nie mogą się do nas dostać. Błyski reflektorów, hałas, cała droga niemal zrujnowana. Mnóstwo blaszanych baraków, aż do samego parku. A ci ludzie! Okropni! Nie wiedziałam, że mamy w Anglii takich robotników. To jest straszne, straszne!

Pani Dimble zaczęła się wachlować kapeluszem, który zdjęła z głowy.

– I co zamierzacie robić?

– Bóg jeden wie! Na razie zamknęliśmy dom, a Cecil poszedł do swojego doradcy prawnego, Rumbolda, żeby się dowiedzieć, czy możemy dom opieczętować do czasu, kiedy coś znajdziemy i będziemy mogli pozabierać rzeczy. Mecenas sprawiał wrażenie, jakby sam nie mógł się w tym połapać. Plóttł coś, z czego wynikało, że NIBS jest w jakiejś szczególnej sytuacji prawnej. Nic nie wiemy. Coś mi się wydaje, że wkrótce w Edgestow w ogóle nie będzie normalnych domów. W każdym razie na tamtym brzegu rzeki po prostu nie można już mieszkać, nawet gdyby nam na to pozwolono. Co mówisz? Och, to nie do opisania. Wycinają wszystkie topole. Burzą te wszystkie

śliczne domki koło kościoła. Spotkałam biedną Ivy... no wiesz, twoją panią Maggs... całą we łzach.

Biedacy! Naprawdę, to okropny widok: ludzie pł aczący na kupie gruzu, tam, gdzie jeszcze wczoraj był ich dom. Bo ich też wyrzucono. Ivy i tak dość już w życiu przeszła. Poczułam ulgę, jak stamtąd odeszłam. Ci ludzie są straszni! Trzech takich przyszło do nas od kuchni i poprosiło o ciepłą wodę.

Przestraszyli Marthę tak, że nie wiedziała, co się z nią dzieje. Cecil wyszedł, żeby z nimi pomówić.

Myślałam, że go pobiją, naprawdę. To było okropne! Potem przyszedł policjant, taki jakiś dziwny, i kazał im się wynosić. Co? Ależ tak, pełno tam takich, co wyglądają na policjantów, ale muszę wyznać, że oni też mi się nie podobają. Łażą i wymachują takimi wielkimi pałkami, zupełnie jak w amerykańskim filmie. Wyobraź sobie, że Cecil i ja pomyśleliśmy jednocześnie to samo: to wszystko wygląda tak, jakbyśmy przegrali wojnę. Och, herbata! Dobra z ciebie dziewczyna.

Bardzo mi tego brakowało.

– Może pani zostać tak długo, jak pani zechce, pani Dimble – powiedziała Jane. – Mark będzie po prostu spał w kolegium.

– Wybacz mi, kochana, ale w tej chwili jestem tak wściekła, że... że żadnemu członkowi Bracton College nie powinno się pozwolić nigdzie spać! No, może z wyjątkiem pana Studdocka.

Naprawdę, nie powinnam się zachowywać jak miecz Zygryda... nawiasem mówiąc, byłby to jakiś obrzydliwy, tłusty miecz. Jestem ci bardzo wdzięczna, ale nie będę musiała skorzystać z twojej propozycji. Przenosimy się z Cecilem do St Anne's. No wiesz, i tak musimy tam teraz częściej bywać.

– Och! – wyrwało się Jane mimo woli, gdyż w tej chwili przypominała sobie o własnych problemach.

– Ojej, ale ze mnie za samolubne prosię! – zawołała Mama Dimble. – Plotę o moich kłopotach, a zupełnie zapomniałam, że tam byłeś i masz mi na pewno dużo do opowiedzenia. Czy widziałas się z Grace? Spodobała ci się?

– Czy Grace to pani Ironwood?

– Tak.

– Rozmawiałam z nią. Trudno powiedzieć, czy mi się spodobała, czy nie. Ale nie chcę o tym wszystkim mówić. Nie potrafię myśleć o niczym, tylko o tym, co was spotkało. To pani jest prawdziwą męczennicą, nie ja.

– Nie, moja kochana – powiedziała pani Dimble. – Nie jestem żadną męczennicą. Jestem tylko rozwścieczoną, starą kobietą, którą pieką odciski i której pęka głowa. Zresztą z głową już coraz lepiej. Ostatecznie nie straciliśmy wszystkiego, jak ta biedna Ivy Maggs. Naprawdę, nie ma co rozpaczać tylko dlatego, że musimy się wynieść z *tego* starego domu. Dobrze się nam tam mieszało, ale było w tym trochę melancholii... Nawiasem mówiąc, zastanawiam się, czy ludzie w ogóle lubią być szczęśliwi? Tak, trochę melancholii. Te wielkie pokoje na górze... Kiedyś myśleliśmy, że będą potrzebne, bo chcieliśmy mieć dużo dzieci. No i nie mamy dzieci. Może za bardzo polubiłam to swoje pochlipywanie za nimi, kiedy Cecila nie był o w domu. To rozżalenie się nad sobą. Może lepiej mi będzie gdzieindziej. Mogłabym skończyć jak ta okropna baba ze sztuki Ibsena, która wciąż bawiła się lalkami. Z Cecilem to gorsza sprawa. On tak uwielbia mieć wszystkich swoich studentów wokół siebie. Jane, ziewnęłaś już po raz trzeci. Oczy ci się kleją, a ja zagadam cię na śmierć, tak to bywa, kiedy się jest mężatką od trzydziestu lat. Mężowie są stworzeni do tego, żeby do nich mówić. To im pomaga skoncentrować się na tym, co właśnie czytają. O, znowu ziewnęłaś!

W końcu położyły się do łóżek i Jane doszła do wniosku, że dzielenie pokoju z Mamą Dimble jest trochę krępujące: przed zaśnięciem zmówiła pacierz. Jane nie wiedziała, jak się zachować.

Trudno jej było rozmawiać znowu normalnie z panią Dimble, gdy ta wstała z klęczek.

\* \* \*

– Nie śpisz?... – rozległ się w środku nocy cichy głos pani Dimble.

– Nie – odpowiedziała Jane. – Przepraszam. Obudziłam panią? Krzyczałam?

– Krzyczałaś. O kimś, kogo uderzono w głowę.

– Widziałam, jak kogoś mordują... jakiegoś człowieka, który jechał dużym samochodem wiejską drogą. Dojechał do rozdroża, skręcił w prawo, wzdłuż kilku drzew, i tam ktoś stał pośrodku drogi. Machał latarką, żeby go zatrzymać. Nie słyszałam, co mówił, było za daleko.

Musieli go jakoś przekonać, żeby wysiadł z samochodu. Było ich kilku, rozmawiał z jednym z nich. Światło padło na jego twarz. To nie był ten starzec, wie pani, z tamtego snu. Nie miał brody, tylko wąsy. I takie szybkie ruchy... tak się poruszał, jakby... jakby się nikogo nie bał. Nie spodobało mu się, co tamten powiedział, i nagle wymierzył mu silny cios, tak że tamten się przewrócił. Wtedy jakiś inny mężczyzna zamierzył się na niego z tyłu... w głowę... ale ten stary był szybki, odwrócił się i zdołał uniknąć ciosu. A potem... to było straszne, ale i wspaniałe. Rzuciło się na niego aż trzech, a on dzielnie walczył. Czytałam o czymś takim, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak to naprawdę wygląda i co się wtedy czuje. Oczywiście w końcu powalili go na ziemię i... tłukli go czymś po głowie. Pochylili się, żeby sprawdzić, że ma już dość. Zabili go. Światło z latarni było jakieś dziwne... to były jakby długie promienie... jakby takie pręty świetlne... oświetlały całe miejsce. Nie, dziękuję, nic mi nie jest. To było straszne, ale teraz już się nie boję... a przynajmniej nie tak, jak wtedy. Bardziej mi po prostu żal tego starca.

– Myślisz, że znowu zaśniesz?

– O, chyba tak! A co z pani głową, pani Dimble? Już lepiej?

– Już mnie prawie nie boli. Dobranoc, Jane.

\* \* \*

„To musi być ten zwariowany pastor, o którym wspominał Bill Zawierucha”, pomyślał Mark.

Zebranie komitetu miało się rozpocząć dopiero o 10.30, więc mimo chłodnej i mglistej pogody spacerował po ogrodzie w towarzystwie wielebnego Straika. Od pierwszego momentu, gdy tylko przyczepił się do niego ten mężczyzna w wyświechtanym garniturze, ciężkich butach i wytartej koloratce, jego posępna, wychudła, tragiczna twarz, źle ogolona i poznaczona bliznami, a także szorstka bezpośredniość zachowania budziły w Marku kontrowersyjne uczucia. Kogoś takiego nie spodziewał się spotkać w Narodowym Instytucie Badań Skoordynowanych.

– Niech pan nie myśli – mówił Straik – że pozwalam sobie na jakieś mrzonki o wcieleniu w życie naszego programu bez użycia przemocy. Tak, spotkamy się z oporem. Będą z bólu gryźć języki, ale od swych czynów się nie odwrócą. My jednak nie ustąpimy. Tak, będzie opór i będą zamieszki, lecz stawimy im czoło z taką stanowczością, że ci oszczercy oskarżą nas o wywoływanie zamętu. Niech tam mówią. W pewnym sensie tak jest. Nasza misja nie polega na dalszym utrzymywaniu całej tej instytucji zorganizowanego grzechu, którą się nazywa społeczeństwem. Dla niej mamy tylko jedno przesłanie: czeka was czarna rozpacz.

– To właśnie miałem na myśli – zauważył Mark – kiedy powiedziałem, że nasze punkty widzenia nie dadzą się pogodzić, przynajmniej w dalszej perspektywie. Moim celem jest właśnie zachowanie społeczeństwa poprzez skrupulatne planowanie jego rozwoju. Nie sądzę, by był, lub by w ogóle mógł być, inny cel, inna perspektywa. Dla pana cały ten problem wygląda inaczej, bo pan jest zapatrzony w coś lepszego niż społeczeństwo ludzkie, w coś, co czeka nas w innym świecie.

– Każdą myślą, każdym drgnieniem serca i każdą kroplą swej krwi – odparł Straik – odrzucam



tę przekłętą doktrynę. To jest właśnie ów chytry wybieg, który służy Światu, czyli organizacji i ciału Śmierci, do zmarginalizowania i okastrowania nauczania Jezusa, do zamienienia w urząd kapłański i mglisty mistycyzm Jego wyraźnego żądania, by tu i teraz odbyć sąd i zaprowadzić sprawiedliwość. Królestwo Boże ma być zbudowane tu, na tym świecie. I tak się stanie. Na dźwięk imienia Jezus zegnije się każde kolano. I w to właśnie Jmię odzegnuję się od wszystkich form zorganizowanej religii, jakie Zaistniały na tym świecie.

Mark, który potrafił z całym spokojem prowadzić wykłady dla młodych kobiet na temat aborcji i różnych form perwersji, na dźwięk imienia Jezus poczuł się tak zażenowany, że policzki mu poróżkowały, a złość na siebie samego i na Straika sprawiła, że zarumienił się jeszcze bardziej. Tego rodzaju rozmów po prostu nie potrafił znieść i jeszcze nigdy od czasów lekcji religii w szkole nie poczuł się tak zmieszany. Wymamrotał pod nosem, że nie zna się na teologii.

– Teologia! – prychnął Straik z głęboką pogardą. – Nie mówię o żadnej teologii, młody człowieku, mówię o Panu Jezusie! Teologia to puste słowa, to mydlenie oczu, to zaś ona dymna, to gra dla bogatych. Nie na salach wykładowych spotkałem Jezusa! Spotkałem go w kopalniach węgla i przy trumnie mojej córki. Jeśli oni wszyscy myślą, że teologia jest rodzajem waty, która ich ochroni w ów wielki i straszliwy dzień sądu, to gorzko się rozczarują. I niech pan sobie zapamięta: to właśnie ma się stać. Nadchodzi Królestwo Boże. Tu, w tym świecie, w tym kraju. Nauki ścisłe to tylko narzędzie. Niezawodne narzędzie, jak wszyscy w NIBS-ie wiemy. A dlaczego jest niezawodne?

– Ponieważ nauki ścisłe opierają się na doświadczeniu.

– Są niezawodnym narzędziem – wrzasnął Straik – bo są narzędziem w Jego rękach! Są narzędziem sądu i uzdrowienia! A tego właśnie nie znajduję w żadnym istniejącym Kościele. Oni wszyscy są ślepi. Na oczach mają brudne szmaty humanizmu, kultury, humanitaryzmu i liberalizmu, a na barkach ohydny ciężar jeszcze większych grzechów. Właśnie dlatego działałam samotnie... ja, człowiek biedny, słaby i niegodny... jedyny prorok, jaki im się ostał. Bo poznałem, że Pan jest blisko, że nadchodzi w chwale swojej mocy. I dlatego mogę się przyłączyć do komunistów i materialistów, ba, do wszystkich, którzy wiedzą, że Pan jest blisko i że świat należy przygotować na Jego przyjście. Nawet najsłabszych z nich cechuje wprost dramatyczne poczucie życia i prawdy, totalne zaangażowanie, gotowość poświęcenia wszystkich ludzkich wartości. Tego nie odnalazłem w tych wszystkich wywołujących mdłości zawodzeniach żadnej z istniejących zorganizowanych religii.

– A więc dla pana – powiedział Mark – nie istnieją żadne ograniczenia w bezpośredniej współpracy z programem NIBS-u?

– Odrzuć pan całe to pojęcie współpracy! – zagrzemiał Straik. – Czy glina współpracuje z garncarzem? Czy Cyrus współpracował z Panem? Oni wszyscy będą użyci. Ja będę użyty.

Staniemy się narzędziami. I tu pojawia się problem, który dotyczy pana, młody człowieku. Nie ma pan wyboru. Nie można odwrócić się tyłem, kiedy już się przyłożyło dłonie do pług. Z NIBS-u nikt nie odchodzi. Ci, którzy spróbują, zgina, przepadną na pustkowiach. A więc, czy chcesz być tylko jednym z tych narzędzi, które Pan odrzuci, gdy staną mu się już bezużyteczne, kimś, kto sprawując sąd nad innymi, sam będzie sądzony, czy też pragniesz znaleźć się pośród tych, którzy obejmą dziedzictwo? Albowiem wszystko to jest prawdą. Tak, powiadam ci, otoś więc odziedziczą Ziemię, tu, w Anglii. A stanie się to, być może, w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. Tylko święci i nikt więcej. Czy nie wiesz, że będziemy sędzić anioły?

Niespodziewanie ściszył głos i dodał:

– Prawdziwe zmartwychwstanie już się rozpoczęło. Prawdziwe życie wieczne. Tu, na tym świecie. Sam pan to zobaczy.

– O, już prawie dwadzieścia po dziesiątej – powiedział Mark. – Chyba powinniśmy wrócić na

posiedzeniu komitetu.

Straik zawrócił wraz z nim w milczeniu. Częściowo po to, aby zapobiec dalszej rozmowie na ten sam temat, a częściowo dlatego, że naprawdę chciał poznać odpowiedź, Mark powiedział:

– Wie pan, przykra sprawa, zgubił em portfel. Nie było w nim wiele, może ze trzy funty, ale były listy i różne dokumenty, to dla mnie kłopot. Sądzi pan, że powinienem komuś o tym powiedzieć?

– Niech pan powie kierownikowi klubu – odpowiedział Straik.

\* \* \*

Posiedzeniu, które trwało już od dwu godzin, przewodniczył wicedyrektor instytutu. Prowadził zebranie w sposób rozwlekły i zagmatwany i dla Marka szybko stało się oczywiste, iż prawdziwe kierowanie NIBS-em jest dyskutowane w innym gronie. Nie było to dla niego zaskoczeniem; miał już pewne podstawy, by żywić nadzieję, że on sam znajdzie się wkrótce w owym wewnętrznym kręgu wtajemniczonych, odpowiadającym w Belbury temu, co w Bractonie nazywano Postępową Elitą. Tematem posiedzenia były głównie szczegóły prac już rozpoczętych w Edgestow. Instytutowi najwyraźniej udało się uzyskać prawo do zburzenia małego normańskiego kościoła.

Oczywiście zwykłe obiekcje zostaną przedyskutowane – dodał Wither.

Mark, którego architektura w ogóle nie interesowała i który nie znał miasta po drugiej stronie rzeki Wynd tak dobrze, jak jego żona, pozwolił swoim myślom błądzić.

Dopiero na samym końcu spotkania Wither poruszył bardziej sensacyjny temat. Wyraził przypuszczenie, że większość zebranych już słyszała („Dlaczego wszyscy przewodniczący zebrań muszą zaczynać w ten sposób?”, pomyślał Mark) bardzo przygnębiającą wiadomość, którą ma jednak obowiązek obecnie zakomunikować wszystkim w półoficjalnej formie. Ma na myśli mord popełniony na osobie Williama Hingesta. Z niezwykle mętnych i pełnych aluzji wywodów Withera Mark zdołał wywnioskować, że Bill Zawierucha został znaleziony przy Potter's Lane obok swego samochodu, z głową rozbitą jakimś tępym przedmiotem. Znalaziono go o czwartej nad ranem i nie żył już wówczas od kilku godzin. Wither wyraził nadzieję, iż dla komitetu będzie pewną smutną satysfakcją informacja, że policja NIBS-u była na miejscu zbrodni już przed piątą oraz że ani miejscowe władze, ani Scotland Yard nie wyraził y najmniejszego sprzeciwu wobec propozycji pełnej z nią współpracy. Gdyby okoliczności na to pozwalały, ciągnął Wither, powitałby z uznaniem każdy gest zmierzający do publicznego wyrażenia wdzięczności, jaką niewątpliwie wszyscy czują wobec pani Hardcastle, i do pogratulowania jej sprawnego współdziałania kierowanych przez nią sił porządkowych z policją państwową. Jest to bez wątpienia pozytywny element w całej tej ponurej sprawie, stanowiący, jak mu się wydaje, dobrą prognozę na przyszłość.

Po tych słowach rozbrzmiały umiarkowane oklaski. Potem Wither powiedział kilka słów o zamordowanym. Stwierdził, że wszyscy bardzo ubolewają nad tym, że pan Hingest postanowił wycofać się z NIBS-u, jednocześnie w pełni doceniając motywy, które nim kierowały. Wyraził przekonanie, że to formalne rozejście się w żadnej mierze nie zakłóciło serdecznych stosunków łączących zmarłego i prawie wszystkich, a może nawet wszystkich bez wyjątku jego kolegów.

Następnie wygłosił pośmiertną laudację, a trzeba przyznać, że ten rodzaj literacki najwyraźniej mu odpowiadał, więc przemawiał dość długo. Zakończył wezwaniem do uczczenia pamięci ci Williama Hingesta minutą ciszy.

Uczyniono to i podczas gdy sekundy upływały niemiłosiernie wolno, słychać było tylko dziwne trzaski i westchnienia, a spod masek zeszywniałych twarzy o zaciśniętych ustach wypelzały nieśmiało myśli nie mające nic wspólnego z czią pamięci zmarłego – podobnie jak ptaki i myszy powracają bojaźliwie na leśną polanę po odejściu wycieczkowiczów – a każdy krzepił się w duchu pewnością, że, dzięki Bogu, on jeszcze żyje i nie musi myśleć o śmierci.

A potem wybuchł gwar, zrobił się ruch i posiedzenie komitetu zostało przerwane.

\* \* \*

Jane szybko doszła do przekonania, że w towarzystwie Mamy Dimble cały proces wstawania i wykonywania „porannych czynności” sprawia jej o wiele większą przyjemność niż zazwyczaj.

Mark zwykle jej w tym pomagał, ale jego pomoc była jedną z najczęstszych przyczyn kłótni między nimi, bo uważał – a Jane czuła to nawet wówczas, gdy nie wyraził tego słowami – że „można się obyć bez tego czy owego”, że Jane robi mnóstwo zupełnie niepotrzebnych rzeczy i że mężczyźni potrafiliby prowadzić dom bez całej tej babskiej krzątaniny i zamieszania. Natomiast z panią Dimble doskonale się rozumiały. Był jasny, słoneczny poranek i kiedy zasiadły w kuchni do śniadania, poczuła się zupełnie dobrze. W nocy wypracowała sobie wygodną teorię, według której sam fakt rozmowy z panią Ironwood i „wyrzucenia z siebie tego wszystkiego” może zaowocować przerwaniem jej koszmarnych snów. Będzie to miała za sobą, a przed sobą ekscytujące perspektywy związane z nową pracą Marka. Już zaczęła sobie wyobrażać szczegóły.

Pani Dimble bardzo chciała się dowiedzieć, jak przebiegła wizyta Jane w St Anne's i kiedy wybiera się tam po raz drugi. Jane odpowiedziała wymijająco na pierwsze pytanie, a pani Dimble była zbyt dobrze wychowana, by naciskać. Jeśli chodzi o drugie pytanie, to Jane ograniczył a się do stwierdzenia, że chyba nie będzie już „zawracać głowy” pani Ironwood swoimi snami. Dodała, że „była głupia”, ale czuje, że teraz już wszystko będzie dobrze. Potem zerknęła na zegar i wyraziła zdziwienie, że pani Maggs jeszcze nie ma.

– Obawiam się, moja kochana, że Ivy Maggs już straciłaś – powiedziała pani Dimble. – Nie mówiłam ci wczoraj, że zniszczyli jej dom? Chyba to oczywiste, że już do ciebie nie przyjdzie. Dla niej w Edgestow już nie ma miejsca.

– A niech to wszyscy diabli! – zawołała Jane, a potem dodała, bez widocznego zainteresowania odpowiedzią: – Czy pani wie, co ona zamierza zrobić?

– Pojechała do St Anne's.

– Ma tam znajomych?

– Będzie mieszkać we Dworze, tak jak Cecil i ja.

– To znaczy, że dostała tam pracę?

– No... tak. Można to tak ująć.

Pani Dimble wyszła około jedenastej. Wybierała się do St Anne's, ale najpierw miała się spotkać na lunchu z mężem w kolegium Northumberland. Jane poszła z nią do miasteczka, żeby zrobić zakupy. Rozstały się na początku Market Street. W chwilę później Jane spotkała Curry'ego.

– Zna już pani nowinę, pani Studdock? – zapytał.

Curry zwykle zachowywał się tak, jakby miał coś ważnego do powiedzenia, ale tym razem ton jego głosu sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście zaszło coś niezwykłego.

– Nie. Co się stało?

Uważała Curry'ego za nadętego głupca i nie potrafiła zrozumieć, jak Mark może być pod jego wrażeniem. Ale gdy tylko Curry zaczął mówić, na jej twarzy odmalowało się zdumienie i zaskoczenie, o jakie mogło mu chodzić. I tym razem nie było to udawane. Powiedział jej, że pan Hingest został zamordowany, w nocy albo wczesnym rankiem. Jego ciało o znaleziono na Potter's Lane; leżało z rozbitą głową przy jego samochodzie. Jechał z Belbury do Edgestow. Curry był przed chwilą na posterunku policji i wracał pospiesznie do kolegium, żeby porozmawiać o tym z dziekanem. Widać było, że to morderstwo stało się już jego własnością. „Sprawa” była – w jakimś niezbyt określonym sensie – „w jego rękach” i czuł się za nią odpowiedzialny. W innych okolicznościach Jane pomyślałaby, że to dość dziwne. Pozbyła się jego towarzystwa pod pierwszym

lepszym pretekstem i wstąpiła do „Blackie's" na filiżankę kawy. Czowała, że musi usiąść.

Sama śmierć Hingesta niewiele dla niej znaczyła. Spotkała go tylko raz i zgodziła się z opinią Marka, że to nieznośny stary snob. Lecz teraz pewność, że we śnie była świadkiem rzeczywistego morderstwa, zniszczyła ową nadzieję, jaką się pocieszała dzisiejszego ranka. Z porażającą jasnością rozumiała, że cała ta afera z jej koszmarnymi snami nie tylko się nie skończyła, ale dopiero rozpoczęła. Koniec z marzeniami o normalnym życiu. To straszne, przecież zwariuje, jeśli nikt jej nie pomoże. Czy nie powinna zwrócić się do pani Ironwood? Nie, to by było dobrowolnym zanurzaniem się coraz głębiej w ciemność. Ten cały Dwór w St Anne's, ci ludzie... nie, nie może pozwolić, aby ją w coś wciągnięto. To nieuczciwe. Chce tylko, ż eby ją zostawiono w spokoju. J w ogóle to wszystko jest absurdalne! Według autorytetów, którym dotychczas wierzyła, takie rzeczy w ogolenie powinny się zdarzać!

\* \* \*

Cosser – ów piegowaty facet z małym, czarnym wąsikiem – podszedł do Marka, gdy ten wychodził z posiedzenia komitetu.

– Mamy robotę, ty i ja – powiedział. – Musimy sporządzić raport o Cure Hardy.

Mark z ulgą przyjął konkretne zadanie, ale wciąż czuł się trochę urażony wczorajszą rozmową z Cosserem.

– Czy to oznacza, że jednak mam być w wydziale Steele'a?

– Zgadza się – odparł Cosser.

– Pytam, bo ani on, ani ty nie okazywaliście większego entuzjazmu. Nie chcę żadnych nieporozumień. Ja się nigdzie nie wpycham na siłę. Bo, widzisz, ja w ogóle nie muszę pracować w NIBS-ie, jeśli miałyby to tak wyglądać.

– Nie rozmawiajmy na ten temat tu, w holu – odpowiedział Cosser. – Chodźmy na górę.

Mark zauważył Withera wolno przemierzającego hol w ich kierunku.

– Może powinienem z nim pomówić na temat tej pracy? – zapytał Mark.

Ale wicedyrektor, zbliżywszy się do nich na jakieś trzy metry, nagle skręcił w inną stronę, mamrocąc coś pod nosem, najwidoczniej tak pogrążony w myślach, że Mark zrezygnował z próby nawiązania z nim rozmowy. Cosser, chociaż nic nie powiedział, najwidoczniej też tak uważał i poszli razem na trzecie piętro, do biura wydziału Steele'a.

– Chodzi o tę wioskę, Cure Hardy – zaczął Cosser, gdy usiedli. – Kiedy zabiorą się do roboty, cały teren wokół Lasu Bragdon przestanie być jałowym bagnem. Po jakiego diabła tam się pchamy, to już inna sprawa. Tak czy owak, ostatni projekt polega na zmianie biegu rzeki Wynd przez zablokowanie starego kanału przecinającego Edgestow. Popatrz. Tu jest Shillingbridge, dziesięć mil na północ od miasta. Tu ma być zmiana biegu rzeki, która popłynie sztucznym kanałem... o tutaj, na wschód, gdzie ta niebieska linia – a dalej już starym korytem.

Uniwersytet nigdy się na to nie zgodzi – zauważył Mark. Edgestow bez rzeki? To nie przejdzie.

– Mamy ich w garści – odrzekł Cosser. – O to nie musisz się martwić. W każdym razie to nie nasza sprawa. Dla nas jest istotne, że ta nowa Wynd musi popłynąć tu, przez Cure Hardy, tą wąską doliną. Co? Aha, znasz te okolice, tak? No to będzie jeszcze łatwiej. Ja ich nie znam. Plan polega na zbudowaniu tamy u południowego wylotu doliny i stworzeniu wielkiego zbiornika wody.

Edgestow będzie potrzebowało nowego źródła wody. Zwłaszcza teraz, kiedy s tanie się drugim miastem w kraju.

– Ale co się stanie z Cure Hardy?

– Cure Hardy czeka wspaniała przyszłość. Zbudujemy nową, modelową wioskę... ma się nazywać Jules Hardy albo Wither Hardy... cztery mile dalej. O, tutaj, przy linii kolejowej.

– Ostrzegam, będzie piekielna awantura na cały kraj. Cure Hardy słynie z malowniczych widoków. Są tam szesnastowieczne przytułki, normański kościół, wiele innych zabytków.

– Zgadza się. Tu właśnie zaczyna się nasza rola. Musimy sporządzić naukowy raport na temat Cure Hardy. Przyjrzymy się temu na miejscu jutro, ale już dzisiaj możemy napisać większą część raportu. To nie powinno być trudne. Jeśli ta miejscowość słynie z malowniczości, to trzeba dowieść, że jest niekorzystna dla zdrowia. Trzeba też zająć się jej ludnością. Chyba nie będzie to dla Ciebie trudne, żeby wykazać, że to przeważnie element niepożądany: drobni rentierzy i robotnicy rolni.

– Zgadzam się, że drobni rentierzy to element niepożądany, ale robotnicy rolni to już trochę inna sprawa.

– Instytut ocenia ich krytycznie. W planowanym społeczeństwie to element krnąbrny i z natury zacofany. Nie przepadamy za angielskim rolnictwem. Więc sam widzisz: musimy tylko zweryfikować parę faktów, a raport będziemy mieć z głowy.

Mark milczał przez chwilę, a potem rzekł:

– Tak, to nie będzie trudne. Ale zanim zabiorę się do pracy, wolałbym wiedzieć coś więcej na temat mojej pozycji. Czy nie powinienem porozmawiać ze Steele'em? Nie zamierzam zabierać się do pracy w tym wydziale, jeśli on mnie nie chce.

– Ja bym tego nie robił.

– Dlaczego?

– No cóż, przede wszystkim Steele nie jest w stanie ci zaszkodzić, jeśli popiera cię WD. Poza tym Steele może być trochę groźny. Jeśli zabierzesz się spokojnie do roboty, może się do Ciebie w końcu – przekona, ale jeśli zechcesz teraz porozmawiać z nim na temat pracy, może się to źle skończyć. I jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. – Zamilkł, postukał się znacząco w nos i powiedział: – Między nami mówiąc, nie sądzę, aby obecną sytuację na tym wydziale można było uznać za trwałą.

Doświadczenie, jakiego Mark nabył w Bractonie, pozwoliło mu natychmiast zrozumieć tę aluzję. Cosser miał nadzieję, że Steele nie zagrzeje długo miejsca na stanowisku kierownika wydziału. Mark uznał, że panuje nad całą sytuacją. Steele jest niebezpieczny, dopóki rządzi wydziałem, ale może nim długo nie porządzić.

– Odniosłem wczoraj wrażenie – powiedział – że ty i Steele dość dobrze się ze sobą zgadzacie.

– Tu, w instytucie – odrzekł Cosser – jest bardzo ważne, żeby się z nikim nie kłócić. Ja w ogóle nie znoszę kłótni. Mogę pracować z każdym. Ważne, żeby robota dobrze szła.

– Naturalnie. A propos, jeśli mamy być jutro w Cure Hardy, to chyba mógłbym pojechać do Edgestow i przespać się w domu?

Odpowiedź była dla Marka bardzo ważna, bo mógłby z niej wywnioskować, czy Cosser jest jego szefem. Gdyby odpowiedział: „Nie sądzę”, Mark wiedziałby przynajmniej, na czym stoi.

Gdyby powiedział, że Mark jest tutaj potrzebny, byłoby jeszcze lepiej. Mógłby też powiedzieć, że musi to skonsultować z WD, co również pozwoliłoby Markowi poczuć się pewniej. Ale Cosser zareagował na to tylko krótkim: „Och!”, pozostawiając go w całkowitej niepewności, czy to znaczy, że nikt tutaj nie musi tłumaczyć się ze swojej nieobecności, czy też że Mark nie jest jeszcze pełnoprawnym członkiem instytutu i wobec tego jego wyjazd nie wiąże się z żadnymi konsekwencjami.

Zabrali się do pracy nad raportem. Pracowali nad nim przez resztę dnia, więc poszli na kolację, nie przebierając się w garnitury. Mark poczuł się o wiele swobodniej, a jedzenie też było znakomite.

Choć tych ludzi dopiero co poznał, już po pięciu minutach rozmawiał ze wszystkimi tak, jakby ich znał dobrze. Uczył się szybko.

– Ach, jak tu pięknie! – powiedział sobie następnego ranka, kiedy w Duke's Eaton samochód zjechał z szosy, tocząc się z wyboistej wiejskiej drogi w dolinę, w której leżała wioska Cure Hardy.

Mark nie był z zasady zbyt czuły na piękno, ale Jane i miłość, jaką do niej czuł, pobudziły już w nim pewną wrażliwość. Być może miało też na to wpływ zimowe słońce o poranku, bo nikt mu przedtem nie mówił, że trzeba się czymś takim zachwycać, więc teraz działało to na niego bezpośrednio, bez estetycznych pouczeń. Ziemia i niebo wyglądały, jakby je niedawno obmyto, brązowe pola – jakby nadawały się do zjedzenia, a te porośnięte trawą podkreślały łagodne krzywizny niskich wzgórz jak krótko obcięta grzywa konia podkreśla łuk jego szyi. Niebo wydawało się jakby bardziej odległe niż zazwyczaj, ale i czystsze, tak że długie smugi chmur – o barwie ciemnego łupku na tle bladego błękitu – miały krawędzie tak ostre, jakby je wycięto z kartonu. Każdy zagajnik był niemal czarny i najeżony jak szczotka do włosów, a kiedy samochód zatrzymał się w samym Cure Hardy, ciszę, jaka nastąpiła po wyłączeniu silnika, wypełniło krakanie gawronów, zdających się budzić całą wioskę.

– Ale te cholerne ptaki hałasują! – powiedział Cosser i od razu zabrał się do roboty. – Masz mapę? No więc...

Obeszli wioskę w ciągu dwóch godzin, wynajdując wszystkie przejawy marnotrawstwa i wszelkie anachronizmy, które należało zniszczyć. Zobaczyli krnąbrnego i zacofanego robotnika rolnego i wysłuchali jego opinii o pogodzie. Spotkali rozrzutnie utrzymywanego nędzarza, wlokącego się przez podwórze przytułku, aby napełnić zupą garnek, i starszą rentierkę (co gorsza, miała starego, tłustego psa) rozmawiającą z listonoszem. Mark czuł się tak, jakby był na wakacjach, bo tylko w czasie wakacji zdarzało mu się wędrować po angielskiej wsi. Dlatego sprawiało mu to teraz taką przyjemność. Nie uszło jego uwadze, że twarz robotnika była trochę bardziej interesująca niż twarz Cossera, a jego głos o wiele miłszy. Podobieństwo starej rentierki do ciotki Gilly („Kiedy ja ją ostatni raz widziałem? Boże, jakie to stare czasy!”) pozwolił o mu zrozumieć, że i do takich ludzi można poczuć sympatię. Wszystko to nie wpłynęło jednak na odrzucenie wcześniej przyjętych socjologicznych założeń. I nie wpłynęłoby nawet wówczas, gdyby w ogóle nie poznał ludzi z Belbury i nie miał żadnych ambicji, ponieważ jego wykształcenie kazało mu uważać to, co czytał i pisał, za bardziej realne od tego, co widział. Realne były dane statystyczne o robotnikach rolnych, natomiast każdy prawdziwy kopacz rowów, oracz czy syn farmera byli tylko cieniami ludzi. Choć sam nigdy tego nie zauważył, w swojej pracy miał wielkie opory nawet przed używaniem takich słów, jak „mężczyzna” czy „kobieta”. Wolał pisać o „grupach zawodowych”, o „elementach” i o „ludności”. Na swój własny sposób Mark wierzył silnie, niczym mistyk, że rzeczy, których się nie widzi, są bardziej realne od tych, które nas otaczają.

A jednak ta wioska bardzo mu się spodobała. Kiedy o pierwszej namówił Cossera, żeby wpadli do pubu „Dwa Dzwony”, nawet to powiedział. Zabrali ze sobą kanapki, ale Mark miał ochotę na kufel piwa. W pubie było bardzo ciepło i ciemno, bo jedyne okienko było małe. Dwóch robotników rolnych (bez wątpienia krnąbrnych i zacofanych) siedziało nad glinianymi kuflami, przeżuwając bardzo grube kanapki, a trzeci stał przy ladzie, gawędząc z właścicielem.

– Dzięki, ale dla mnie piwa nie zamawiaj – powiedział Cosser. – Nie możemy tutaj za długo siedzieć. Co mówiłeś?

– Mówiłem, że w takie pogodne przedpołudnie jest w tym miejscu jakiś urok... pomimo jego wszystkich oczywistych absurdalności.

– Tak, pogoda rzeczywiście jest piękna. Trochę słońca i każdy od razu lepiej się czuje.

– Miałem na myśli to miejsce.

– To miejsce? – Cosser rozejrzał się po wnętrzu gospody. – Ja bym raczej powiedział, że

właśnie takich miejsc powinniś my jak najszybciej się pozbyć. Ciemno jak w grobie, brak wentylacji. Ja osobiście nie jestem wielkim zwolennikiem picia alkoholu... czytałem raport Millera... ale jeśli już ludzie muszą mieć jakieś środki pobudzające, to wolałbym, żeby je podawano w bardziej higieniczny sposób.

– Nie znam się na tym, ale nie sędzę, żeby ten środek pobudzający – Mark spojrzał na swoje piwo – był tu najważniejszy.

Cała ta scena przypomniała mu dawne czasy – picie i długie rozmowy, dowcipy i gorące spory – kiedy był w liceum. Wtedy jakoś łatwiej nawiązywało się przyjaźnie. Zaczął się zastanawiać, co się z nimi wszystkimi stało – z Careyem, z Wadsdenem, z Dennistonem... z tym Dennistonem, któ ry o mało co nie został członkiem kolegium zamiast niego.

– Ja też się nie znam – powiedział Cosser. – Żywnienie to nie moja specjalność. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć na ten temat, zapytaj Stocka.

– Prawdę mówiąc, nie miałem na myśli tego pubu, ale całą wioskę. Oczywiście, zgadzam się: nie ma racji bytu. Ale ma swoją przyjemną stronę. Musimy bardzo uważać, czy to, co zamierzamy zbudować w miejsce tej wioski, będzie w stanie przewyższyć ją pod każdym względem – nie tylko pod względem efektywności.

– Och, chodzi ci o architekturę i to wszystko! – odparł Cosser. – No cóż, mnie to po prostu nie bierze. To są raczej sprawy dla kogoś takiego jak Wither. No co, kończysz już?

Mark zdał sobie nagle sprawę z tego, jakim strasznym nudziarzem jest ten czł owiek i jak bardzo jest ograniczony. I w tym samym momencie poczuł, że ma już serdecznie dość tego całego NIBS-u. Oczywiście natychmiast pouczył się w duchu, że nie należy od razu spodziewać się samych plusów, na pewno z czasem pojawią się ciekawsze tematy i pozna ciekawszych ludzi. W każdym razie nie spalił jeszcze za sobą mostów. Może rzuci to wszystko i wróci do Bractonu za dzień lub dwa, ale jeszcze nie teraz. Nie od razu. Trzeba wziąć na wstrzymanie i zobaczyć, jak się sprawy potoczą.

W drodze powrotnej Cosser podrzucił go w pobliże stacji Edgestow. Kiedy Mark szedł do domu, zaczął się zastanawiać, co powie Jane o Belbury. Byłoby niesprawiedliwe sądzić, że świadomie obmyślał kłamstwa. Gdy tylko wyobraził sobie siebie wchodzącego do mieszkania i pytającą minę Jane, prawie bez udziału swojej woli usłyszał, jak jej opowiada konspiracyjnym tonem o budzących wielkie nadzieje perspektywach pracy w Belbury. A ta wyimaginowana przemowa stopniowo wyparła z jego ś wiadomości prawdziwe odczucia, których doznał. Po prostu własne lęki i wątpliwości wzmocniły w nim naturalne pragnienie, by wypaść dobrze w oczach żony. Prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, kiedy postanowił , że nie wspomni jej o Cure Hard y.

Jane zawsze rozplęwała się nad starymi budowlami i innymi takimi gł upstwami. W rezultacie, kiedy Jane usłyszała otwieranie drzwi i odwróciła się, by spojrzeć na Marka, ujrzała człowieka uśmiechniętego i pełnego animuszu. Tak, to już prawie pewne, że dostał tę pracę. Wysokość uposażenia nie została jeszcze ustalona, będzie o tym mowa jutro. Ale już zdążył poznać naprawdę wybitnych ludzi. Liczą się przede wszystkim Wither i pani Hardcastle.

– Muszę ci koniecznie opowiedzieć o tej kobiecie – dodał. – Jest niesamowita.

Jane musiała o wiele szybciej od niego postanowić, co mu powiedzieć o swoich sprawach. I postanowiła nie mówić mu nic o swoich snach i o wizycie w St Anne's. Mężczyźni nie znoszą kobiet, z którymi „coś się dzieje”, zwłaszcza jeśli oznacza to coś dziwnego i niezwykłego. Nie sprawiło jej to trudność ci, bo Mark był tak zajęty sobą, że nie zadawał jej żadnych pytań. To, co mówił, nie bardzo ją przekonywało. Za dużo w tym było ogólników, za mało szczegółów. Już dość wcześnie, na początku rozmowy zapytała ostrym, pełnym niepokoju tonem (nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Mark nie lubi takiego tonu):

– Mark, chyba nie zamierzasz rezygnować z członkostwa w Bracton College?

– Ależ nie, skądże znowu – odrzekł i opowiadał dalej.

Nie słuchała go zbyt uważnie. Wiedziała, że Mark ma często trochę zbyt wygórowane ambicje, a coś w jego twarzy mówiło jej, że w czasie tego wyjazdu pił o wiele więcej niż zwykle. I tak przez cały wieczór puszył się i chwalił, a ona zadawała pytania, śmiała się i udawała zainteresowanie.

Oboje byli młodzi, a jeśli nawet nie bardzo się kochali, każde wciąż chciało być podziwiane.

\* \* \*

Tego wieczoru członkowie kolegium bractonńskiego zebrali się w salonie wypoczynkowym przy winie i deserze. Wojna przyzwyczaiła ich do tego, by nie przebierać się do kolacji, więc ich sportowe kurtki i swetry trochę razily na tle starych boazerii, srebnej zastawy z różnych epok. Feverstone i Curry siedzieli obok siebie. Od prawie trzech stuleci salon wypoczynkowy w Bractonie był jednym z najspokojniejszych i najprzyjemniejszych miejsc w Anglii. Mieść cił się na parterze Lady Alice, pod Salą Tronową, a okna po wschodniej stronie wychodziły na niewielki taras, na którym w letnie wieczory podawano deser. Widać było stąd rzekę i Las Bragdon. O tej porze okna były, jak zawsze, zamknięte i zasłonięte, lecz mimo to z zewnątrz wdzierały się dźwięki, jakich tu jeszcze nigdy nie słyszano: krzyki, przekleństwa, gwizdki, dudnienie wielkich ciężarówek zmieniających z jazgotem biegi, brzęk łańcuchów, ogłuszający warkot pneumatycznych świdrów, szczęk żelaza, a wszystkiemu towarzyszyła przenikliwa wibracja. *Saeva sonare verbera, tum stridor ferri tractaeque catenae*, [Z *Eneidy* Wergiliusza (opis bramy piekła): „Zgrzyta żelazo i szczeka łańcuch wleczony” przekładzie T. Kubiaka.] jak siedzący przy kominku Glossop mruknął do Jewela. Poza oknami, zaledwie kilkadziesiąt metrów stąd, po drugiej stronie rzeki Wynd, dokonywała się przemiana prastarego lasu w piekło biota, stali i betonu. Nawet niektórzy członkowie Postępowej Elity zaczęli głośno okazywać niezadowolenie. Sam Curry był nieco zaskoczony formą, w jaką jego wizja zamieniała się teraz w rzeczywistość, ale robił, co mógł, aby zbagatelizować to, co się działo, i choć obaj z Feverstone'em musieli krzyczeć, aby prowadzić rozmowę, unikali aluzji na ten temat.

– A więc to już pewne – wrzeszczał Curry – że młody Studdock do nas nie wróci?!

– Tak, to pewne! W każdym razie powiadomił mnie przez kogoś, że zamierza odejść.

– Kiedy złoży formalną rezygnację?

– Nie mam pojęcia! Ci młodzi mają w nosie formalności. Nawiasem mówiąc, im później to zrobi, tym lepiej.

– Żebyśmy mogli się trochę rozejrzeć, tak?

– No właśnie. Nie ma pośpiechu. Zanim złoży rezygnację, trzeba przecież obgadać, kto ma być jego następcą.

– Oczywiście. To najważniejsze. Gdybyśmy postawili sprawę wakatu bez przygotowania, to ci wszyscy ludzie, którzy nie mają pojęcia, o co chodzi, i w ogóle nie potrafią myśleć, mogliby nas wpędzić w nie lada kabałę.

– Tak jest. Tego właśnie chcemy uniknąć. I jest tylko jeden na to sposób. Trzeba przedstawić naszego kandydata na dwie minuty przed ogłoszeniem, że jest wakat. Trzeba go wyciągnąć jak królika z kapelusza.

– Warto już teraz zacząć się nad tym zastanawiać.

– Uważasz, że też powinien być socjologiem? Czy to wakujące miejsce w kolegium związane jest z socjologią?

– Och, nie sądzę. To jedno z tych miejsc Pastona. Dlaczego pytasz? Masz na myśli jakąś konkretną dyscyplinę?

– Już od dawna nie mamy nikogo z nauk politycznych.



– Hm... to prawda. Wciąż pokutuje przekonanie, że polityka nie może być przedmiotem akademickim. A propos, Feverstone, czy nie są dzisz, że powinniśmy wesprzeć tę nową dyscyplinę?

– Jaką nową dyscyplinę?

– Pragmatometrię.

– No wiesz, zabawne, że to mówisz, bo człowiek, o którym pomyślałem w związku z odejściem Studdocka, zajmuje się właśnie pragmatometrią. Można by to nazwać pragmatometrią społeczną albo coś w tym rodzaju i zaproponować mu członkostwo w kolegium.

– O kim myślisz?

– O Lairdzie. Z Leicesteru w Cambridge.

Curry nigdy nie słyszał o Lairdzie, ale zareagował automatycznie:

– Ach, ten Laird. Przypomnij mi jakieś szczegóły.

– No więc, jak pamiętasz, w okresie egzaminów końcowych miał jakieś kłopoty ze zdrowiem i niespecjalnie mu poszło. Egzaminy w Cambridge są ostatnio cholernie ostre. Każdy wiedział, że Laird był najlepszym studentem na roku. Był prezesem Sfinksa i wydawcą „The Adult”. David Laird, chyba pamiętasz?

– Tak, tak, pamiętam. David Laird. Ale posłuchaj, Dick...

– No co?

– Nie bardzo mi się podobają jego końcowe wyniki. Oczywiście nie mam jakichś staroświeckich poglądów na te sprawy, podobnie jak ty, ale... Trzeba pamiętać, że wyboru ostatnich dwu członków kolegium nie można nazwać najszcześniejszym.

Powiedziawszy to, Curry prawie bezwiednie zerknął w drugi koniec pokoju, gdzie siedział Pelham – tęgi mężczyzna z pulchną twarzą i małymi, krągłymi ustami. Pelham był dość rozsądnym facetem, ale nawet Curry miał trudności z przypomnieniem sobie, co ten facet zrobił albo co kiedykolwiek powiedział.

– Tak, wiem – rzekł Feverstone – ale nawet nasze najgorsze wybory są lepsze od tych, których dokonuje kolegium, kiedy pozostawiamy sprawy samym sobie.

Być może dlatego, że nieznośny hałas szarpał mu nerwy, Curry przez chwilę poczuł wątpliwość. Niedawno jadł kolację w Northumberland College i natknął się tam na Telforda.

Zdumiał go kontrast między bystrym, dowcipnym i przyciągającym uwagę wszystkich Telfordem, którego tam zobaczył, a cichym i potulnym Telfordem z salonu w Bractonie. Czy to możliwe, by milczenie tych outsiderów w jego własnym kolegium, monosylabiczne odpowiedzi, gdy raczył ich o coś zapytać, i pobladłe, puste twarze, gdy przybierał wobec nich konfidencjonalną pozę, można było wyjaśnić w sposób, który nigdy nie przyszedł mu do głowy? Fantastyczne przypuszczenie, że on, Curry, może być nudziarzem, przemknęło mu przez głowę tak szybko, że sekundę później już o nim na zawsze zapomniał. Pozostało o wiele mniej bolesne przypuszczenie, że ci wszyscy tradycjoniści i te wszystkie mole książkowe trochę nim pogardzają, i że ktoś musiał mieć na to wpływ. Ale Feverstone znowu do niego wrzasnął:

– W przyszłym tygodniu będę w Cambridge! Zapraszam parę osób na obiad. Prawdopodobnie będzie premier, paru ludzi z prasy i Tony Dew. Co?! Przecież znasz Tony'ego. Ten mały, smutny gość z banku. Laird też będzie. Wiesz, jest spokrewniony z premierem. Zastanawiałem się, czy też mógłbyś przyjechać. Wiem, że David bardzo chciał by cię poznać. Dużo o tobie słyszał od jakiegoś faceta, który chodził na twoje wykłady. Nie pamiętam nazwiska.

– No, to chyba będzie bardzo trudne. Zależy od tego, kiedy będzie pogrzeb biednego Billa.

Oczywiście powinienem na nim być. Czy w popołudniowych wiadomościach mówili coś o śledztwie?

– Nie słyszałem! – odpowiedział Feverstone. – Ale, ale! Wyłania się kolejny problem. Skoro Zawierucha przeniósł się do lepszego świata, to mamy już dwa wakaty!

– Nic nie słyszę! Czy hałas jest coraz większy, czy ja zaczynam głuchnąć?

– Hej, dyrektorze! – wrzasnął nagle Brizeacre, siedzący gdzieś za Feverstone'em. – Co, u diabła, wyczyniają ci pańscy znajomi tam, na zewnątrz?

– Czy oni muszą tak wrzeszczeć przy pracy?! – zapytał ktoś inny.

– To w ogóle nie przypomina pracy! – zawołał ktoś trzeci.

– Posłuchajcie! – ryknął nagle Glossop. – To coś innego! Jaki tupot! To mi bardziej przypomina mecz rugby!

– I jest coraz głośniejsze! – zauważył Raynor.

W następnej chwili prawie wszyscy poderwali się z foteli.

– Co tam się dzieje?! – krzyknął ktoś.

– Tam kogoś mordują – odpowiedział Glossop. – Jest tylko jeden sposób, żeby wydobyć taki dźwięk z ludzkiego gardła.

– Dokąd idziesz? – zapytał Curry.

– Idę zobaczyć, co tam się dzieje – odrzekł Glossop. – Curry, idź i pozbieraj wszystkich strzelców! Niech ktoś zadzwoni po policję!

– Ja bym tego nie robił – powiedział Feverstone, który nadal siedział i spokojnie dolewał sobie wina. – Sądząc po odgłosach, policja już tam jest.

– Co masz na myśli?

– Posłuchaj! O, teraz!

– To chyba ten ich piekielny świder.

– Posłuchajcie!

– O Boże!... Czy... czy to nie karabin maszynowy?

– Uwaga! Uwaga! – zabrzmiało jednocześnie kilkanaście głosów, gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a na podłogę salonu posypał się grad kamieni. W chwilę później wielu członków kolegium – rzuciło się do okien i uniosło zasłony, a potem wszyscy stanęli jak wryci, wytrzeszczając na siebie oczy. Zrobiło się tak cicho, że słychać było tylko ciężkie oddechy. Glossop miał rozcięte czoło, a na podłodze leżały szczątki owego słynnego wschodniego okna, na którym Henrietta Maria wycięła kiedyś diamentem swoje imię.

## Rozdział 5

### *Elastyczność*

Następnego ranka Mark pojechał do Belbury pociągiem. Obiecał żonie wyjaśnić sprawę związane ze swoim uposażeniem i mieszkaniem, co trochę zmąciło mu dobry nastrój. Ten powrót do Belbury – wejście wolnym, swobodnym krokiem, nonszalanckie powieszenie kapelusza i zamówienie drinka – stanowił przyjemny kontrast z jego pierwszym przybyciem do kwatery głównej NIBS-u. Służący, który przyniósł mu drinka, najwidoczniej go poznał. Filostrato skinął mu głową. Mark wypił i poszedł na górę do Cossera. Zabawił tam tylko pięć minut, a kiedy wyszedł, stan jego ducha uległ całkowitej zmianie.

Prócz Cossera był tam Steele. Popatrzyli na niego jak na obcego. Obaj milczeli.

– Och... dzień dobry – powiedział niezbyt pewnie Mark.

Steele skończył pisać ołówkiem na jakimś wielkim dokumencie.

– O co chodzi, panie Studdock? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– Chciałem się zobaczyć z Cosserem – odrzekł Mark. – Właśnie przemyślałem ostatnią część raportu i...

– Jakiego znowu raportu? – Steele zwracał się do Cossera.

– Och, pomyślałem sobie – odrzekł Cosser, uśmiechając się nieznacznie – że byłoby dobrze skleić w wolnym czasie jakiś raport o Cure Hardy, a ponieważ wczoraj akurat nic innego nie był o do roboty, zrobiłem to. Pan Studdock mi pomógł.

– No cóż, chyba teraz nie musisz mi tym zawracać głowy – powiedział chłodno Steele. – Panie Studdock, może pan porozmawia na ten temat z panem Cosserem kiedy indziej. Obawiam się, że obecnie jest zajęty.

– Niech pan posłucha, Steele – rzekł Mark. – Sądzę, że powinniśmy się wzajemnie zrozumieć.

Czy mam uważać ten raport za prywatne hobby Cossera? A jeśli tak, to chyba powinienem o tym wiedzieć, zanim poświęcę na to osiem godzin, prawda? I kto właściwie jest moim szefem?

Steele patrzył na Cossera, bawiąc się ołówkiem.

– Zadałem panu pytanie na temat mojego stanowiska na tym wydziale, panie Steele – powiedział Mark.

– Nie mam teraz czasu na takie sprawy – odparł Steele. – Może pan nie ma nic do roboty, ale ja akurat mam. I nie mam pojęcia o pana stanowisku.

Mark przez chwilę chciał zwrócić się do Cossera, ale jego gładka, piegowata twarz i obojętne spojrzenie wzbudziły w nim taką odrazę, że odwrócił się na pięcie i opuścił gabinet, trzaskając drzwiami. Zamierzał odbyć rozmowę z wicedyrektorem.

Przed drzwiami gabinetu Withera zawahał się, bo z wewnątrz dobiegły go jakieś głosy. Był jednak zbyt wściekły, aby poczekać. Zapukał i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Ach, to pan, drogi chłopcze – powiedział Wither, patrząc w jego kierunku, ale z pewnością nie na jego twarz. – Cieszę się, że pana widzę.

Mark spostrzegł, że w pokoju jest jeszcze ktoś – niejaki Stone, którego przedwczoraj poznał podczas kolacji. Stone stał przed biurkiem Withera, zwijając i rozwijając kawałek bibuły. Miał otwarte usta, a oczy utkwione w wicedyrektorze.

– Bardzo się cieszę, że pana widzę – powtórzył Wither. – A cieszę się tym bardziej, że... hm... przerwał mi pan rozmowę, którą muszę, niestety, określić jako przykrą. Właśnie mówiłem biednemu panu Stone'owi, że nic nie jest bliższe memu sercu niż pragnienie, by w tym wielkim instytucie

wszyscy pracowali jak jedna rodzina... W najściślejszym zespole woli i celu, panie Stone, w najgłębszym wzajemnym zaufaniu... Tego właśnie oczekuję po moich kolegach. Ale z całą pewnością, panie... ee... Studdock, nawet w najlepszej rodzinie zdarzają się napięcia i nieporozumienia. I właśnie dlatego, mój drogi chłopcze, nie mam w tej chwili czasu... Niech pan nie odchodzi, Stone. Mam panu o wiele więcej do powiedzenia.

– Może powinienem przyjść później? – zapytał Mark.

– No cóż... może w tych okolicznościach... a biorę pod uwagę przede wszystkim pańskie uczucia, panie Stone... może... najbardziej naturalnym sposobem umówienia się ze mną, panie Studdock, jest rozmowa z moją sekretarką. Oczywiście chyba pan wie, że absolutnie nie jestem przywiązany do wszelkich formalności i że z wielką przyjemnością porozmawiałbym z panem o każdej porze. Chodzi mi wyłącznie o pana, aby pan nie marnował swego drogiego czasu...

– Dziękuję, panie dyrektorze – powiedział Mark. – Zamelduję się u pana sekretarki.

Sekretarka urzędowała w sąsiednim pokoju. Ścisłej mówiąc, nie była to sekretarka, ale kilka jej podwładnych, urzędujących za czymś w rodzaju lady. Mark został umówiony nazajutrz o dziesiątej rano; niestety, wcześniej nie było to możliwe. Kiedy wychodził, natknął się na Wróżkę Hardcastle.

– Cześć, Studdock! Co, próbujemy się dostać do WD? Nie widzę w tym większego sensu.

– Postanowiłem – odparł Mark – że albo otrzymam jasną odpowiedź na temat mojego stanowiska, albo opuszczę instytut.

Popatrzyła na niego z trudnym do określenia wyrazem twarzy, w którym dominowało rozbawienie, i nagle wzięła go pod rękę.

– Posłuchaj, synku. Daj sobie z tym wszystkim spokój. Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie.

Chodźmy gdzieś i porozmawiajmy.

– Naprawdę nie ma o czym rozmawiać, pani Hardcastle. Już postanowiłem. Albo dostanę konkretne stanowisko, albo wracam do Bractonu. To chyba proste. Nie zależy mi na niczym.

Wróżka nic nie odpowiedziała, lecz stały nacisk jej ramienia zmusił Marka do pójścia z nią korytarzem. W sposobie, jakim trzymała go pod rękę, intymność mieszała się z poczuciem władzy: pasowałyby to prawie dokładnie do stosunku łączącego policjanta i więźnia, kochanki i kochanka, niani i dziecka. Mark poczuł, że wyglądałby głupio, gdyby ktoś ich teraz zobaczył.

Zaprowadziła go do swojego biura na drugim piętrze. Pierwszy pokój pełen był funkcjonariuszek Pomocniczej Policji Żeńskiej. Mężczyźni z instytutowej służby policyjnej, choć bardziej liczni, rzadko mieli kontakt z pracownikami, natomiast policjantki – zwane potocznie pepeżetkami – pojawiały się wszędzie tam, gdzie znalazła się akurat pani Hardcastle. Dalekie od tego, by dzielić ze swoją szefową męskie cechy, były przeważnie istotami drobnymi, roztrzepanymi i rozchichotanymi, „kobiecyymi do granic imbecyilizmu”, jak to kiedyś określił Feverstone. Pani Hardcastle zachowywała się wobec nich tak, jakby był y mężczyznami, a w tonie, jakim się do nich zwracała, dźwięczała dziwna mieszanina jowialnej i drapieżnej jednocześnie galanterii.

– Dolly, dwa koktajle! – ryknęła od progu.

Kiedy weszli do jej gabinetu, kazała Markowi usiąść, a sama stanęła rozkraczona tyłem do kominka. Dolly przyniosła drinki i szybko wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Przestań się tym wszystkim przejmować, Studdock – powiedziała pani Hardcastle. – I cokolwiek będziesz robił, nie zwracaj tym głowy WD. Już ci mówiłam, że nie musisz się przejmować tymi karzełkami z drugiego piętra, dopóki masz jego poparcie. A masz je. Możesz je jednak stracić, jeśli będziesz do niego łąził, żeby się użalać.

– Byłaby to na pewno dobra rada, pani Hardcastle, gdybym był przekonany, że tu zostaję. A nie jestem. Trochę już poznałem to miejsce i muszę wyznać, że wcale mi się tu nie podoba. Szczerze

mówiąc, jestem bardzo bliski powrotu do Bractonu. Chciał em tylko najpierw spotkać się z nim i postawić sprawę jasno.

– Stawianie spraw jasno jest czymś , czego WD nie potrafi znieść . Prowadzi ten interes w zupełnie inny sposób. I możesz być pewien, że wie, co robi. To po prostu działa, mój chłopcze. Nie masz pojęcia, jak to dobrze działa. A jeśli chodzi o twoją decyzję... chyba nie jesteś przesądny, co?

Bo ja jestem. I myślę, że porzucenie NIBS-u nie przyniesie ci szczęścia. Nie powinieneś sobie zawracać głowy tymi wszystkimi Steele'ami i Cosserami. To po prostu część twojej praktyki w instytucie. Musisz przez to przejść, ale jeśli wytrzymasz, będziesz mógł na nich nakichać. Teraz musisz tylko siedzieć cicho. Kiedy naprawdę ruszymy z miejsca, żadnego z nich już tutaj nie będzie.

– Taką właśnie linię przyjął Cosser wobec Steele'a – powiedział Mark – i nic nie wskazuje, żeby mi to pomogło, kiedy doszło do zasadniczej rozmowy.

– Wiesz, Studdock – przerwała mu pani Hardcastle – polubiłam cię. I dobrze, bo gdyby nie to, byłabym skłonna obrazić się za tę ostatnią uwagę.

– Nie miałem zamiaru nikogo obrazić, ale... do diabła, proszę na to spojrzeć z mojego punktu widzenia!

– To nie ma sensu, synku – powiedziała pani Hardcastle, kręcąc głową. – Wiesz jeszcze tak mało, że twój punkt widzenia niewart jest sześciu pensów. Jeszcze sobie nie zdałeś sprawy z tego, w co wszedłeś. Zaoferowano ci szansę. Zaoferowano ci coś , co jest o niebo ważniejsze od fotela w jakimś gabinecie. Musisz pamiętać, że jest tylko jedna alternatywa: być w instytucie albo poza nim.

A ja wiem lepiej od ciebie, co będzie najlepsze.

– Rozumiem, tylko że wszystko jest lepsze od sytuacji, w której niby nominalnie tu pracuję, a nie mam co robić. Proszę mi dać konkretną pracę w wydziale socjologicznym, a będę...

– Bzdury! Cały ten wydział pójdzie na szmelc. Musiał być na początku, ale tylko dla celów propagandowych. Ich wszystkich wywalą na zbity łeb.

– Jaką jednak mogę mieć pewność, że będę jednym z ich sukcesorów?

– Wcale nim nie będziesz. Prawdziwa robota, jaka nas czeka, nie ma nic wspólnego z tymi wszystkimi wydziałami. Ten rodzaj socjologii, jaki nas interesuje, będą uprawiali moi ludzie.

Policjanci.

– A więc co właściwie miałbym tu robić?

– Jeżeli mi zaufasz – odpowiedziała Wróżka, odstawiając pustą szklankę i wyjmując cienkie cygaro – mogę cię zaraz wprowadzić w twoją prawdziwą pracę, w to, po co zostałeś tu ściągnięty.

– Więc co to jest?

– Alcasan – wycedziła przez zęby pani Hardcastle.

Zaciągnęła się głęboko, a potem, patrząc na Marka z lekką pogardą, zapytała:

– Czy do ciebie dociera, o czym mówię?

– Masz na myś li tego radiologa... tego, który skończył karierę na gilotynie?... – zapytał zupełnie oszołomiony Mark.

Wróżka skinęła głową.

– On ma być zrehabilitowany – powiedziała. – Stopniowo. Mam w jego dossier wszystkie fakty. Zacziesz od niewielkiego, spokojnego artykułu, nie kwestionując jego winy, a tylko napomykając, że oczywiście, tak, był podczas wojny członkiem tego ich kolaboracyjnego rządu Quislinga i stąd te wszystkie uprzedzenia. Ze nie wątpisz w sprawiedliwość werdyktu sądu, ale niepokoi cię, że z całą pewnością zapadłby ten sam wyrok i wtedy, gdyby był niewinny. A potem, za dzień lub dwa, napiszesz zupełnie inny artykuł. Taki popularny wykład o jego pracy. Zebranie danych na ten temat, przynajmniej na taki artykuł, nie zajmie ci więcej niż jedno popołudnie. A potem napiszesz pełen

oburzenia list do gazety, która ten artykuł opublikuje. I w nim już dociśniesz do dechy. Ta egzekucja to pogwałcenie sprawiedliwości. Do tego czasu...

– Ale jaki jest cel tego wszystkiego?!

– Przecież ci mówię, Studdock. Alcasan ma być zrehabilitowany. Ma zostać męczennikiem.

Niepowetowaną stratą dla ludzkości.

– Ale po co?

– A ty znowu swoje! Narzekasz, że nie ma tu dla ciebie pracy, a jak tylko podsuwam ci kawałek prawdziwej roboty, żądasz, żeby ci – najpierw przedstawić plan całej kampanii. To przecież nie ma sensu. Tak się tutaj nie pracuje. Trzeba robić to, co ci każą. Jeśli się okaże, że będzie z ciebie pożytek, wkrótce sam zrozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi. Musisz jednak zacząć od konkretnego zadania. Właśnie tego. Zdaje się, że nie masz pojęcia, czym my właściwie jesteś my. A jesteśmy armią.

– W każdym razie – rzekł Mark – nie jestem dziennikarzem. Nie przyszedłem tutaj, żeby pisać artykuły do gazet. Już na samym początku próbowałem to wyjaśnić Feverstone'owi.

– Im szybciej przestaniesz gadać, po co tu przyszedłeś, tym więcej zyskasz. Mówię to dla twojego własnego dobra, Studdock. Potrafisz pisać. I między innymi właśnie do tego jesteś nam potrzebny.

– A więc zaszło jakieś nieporozumienie – powiedział Mark. Jej słowa mile połechtaly jego próżność, ale nie zagłuszyły poczucia urazy z powodu ukrytej w nich implikacji, że jako socjolog się nie liczy. – Nie zamierzam spędzić życia na pisaniu artykułów do gazet. A gdyby nawet, to musiałbym wiedzieć o wiele więcej o generalnej strategii NIBS-u, żeby się angażować w coś takiego.

– Czy ci nie powiedziano, że NIBS nie ma nic wspólnego z polityką?

– Powiedziano mi tyle rzeczy, że nie wiem już, czy stoję na nogach, czy na głowie. Ale nie bardzo rozumiem, jak można uprawiać dziennikarstwo, nie angażując się w politykę. Czy te wszystkie bzdury o Alcasanie mają drukować gazety lewicowe czy prawicowe?

– I jedno, i drugie, mój kochany – odpowiedziała pani Hardcastle. – Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? Podstawową sprawą jest utrzymanie równowagi między ekstremistami z lewicy i z prawicy, i to tak, żeby się nawzajem paraliżowali. To właśnie robimy. Każda krytyka NIBS – u ma być przedstawiana jako lewicowe oszustwo w prawicowej prasie, a jako prawicowe oszustwo w prasie lewicowej. Jeśli to się dobrze zrobi, każda strona będzie się prześcigać w popieraniu nas, żeby dać odpór wrogim oszczerstwom. Ale, oczywiście, nie jesteśmy organizacją polityczną. Ten, kto ma prawdziwą władzę, nie musi się bawić w politykę.

– Nie wierzę, by udało się wam tego dokonać. W każdym razie nie w gazetach, które czytają inteligenci.

– To tylko dowodzi, że wciąż jesteś w złości, mój kochany – powiedziała pani Hardcastle. -

Nie pojąłeś jeszcze, że jest akurat całkiem odwrotnie?

– Nie rozumiem...

– No to zrozum, głupcze, że wystrychnąć na dudka można właśnie inteligenta. Z nim nie ma kłopotu, kłopoty mamy z innymi. Spotkałeś kiedy robotnika, który wierzyłby w to, co piszą gazety?

Robotnik po prostu wie, że to wszystko propaganda, i w ogóle nie czyta wstępniaków. Kupuje gazety dla wyników meczów futbolowych i dla wzmianek o dziewczynach, które wypadły z okna albo o trupach znalezionych w apartamentach w Mayfair. Tak, z nim mamy problem. Musimy nad nim popracować. Wymaga remontu.

Ale ludzie wykształceni, ci, którzy czytają cotygodniowe tasiemce dla intelektualistów... ich nie trzeba remontować. Uwierzą we wszystko.

– Jako jeden z nich po prostu w to nie wierzę.

– O Boże! Gdzie ty masz oczy? Nie widzisz, co się dzieje w tych czasopismach? Przyjrzyj się „Weekly Question”. To pismo akurat dla ciebie. Kiedy pewien śmiały profesor z Cambridge wynalazł to, co nazwał *Basic English*, wychwalali to pod niebo. Gdy tylko poparł to torysowski premier, *Basic English* stał się nagle zagrożeniem dla czystości języka. Przez dziesięć lat monarchia była droгим absurdem. I co? Kiedy tylko książę Windsoru zrzekł się tronu, „Weekly Questions” stało się nagle monarchistyczne i legitymistyczne. I nie stracili ani jednego czytelnika. Czy nie rozumiesz, że inteligent po prostu nie potrafi przestać czytać tych cotygodniowych intelektualnych bzdetów? Nie może przestać. To coś w rodzaju odruchu warunkowego.

– No cóż – rzekł Mark – to wszystko jest bardzo interesujące, pani Hardcastle, ale nie ma nic wspólnego ze mną. Nie mam zamiaru zostać dziennikarzem, a nawet gdybym miał, wolałbym być raczej dziennikarzem uczciwym.

– Bardzo pięknie. A wiesz, co osiągniesz z taką postawą? Pomożesz w całkowitym zniszczeniu tego kraju, a być może i całej ludzkości. A przy okazji zrujnujesz własną karierę.

Konfidencyjny ton, którym do tej pory mówiła, zniknął – w jej głosie brzmiała teraz bezwzględna groźba. Dobry i uczciwy obywatel, jaki obudził się w Marku podczas tej rozmowy, trochę się przestraszył, a do głosu doszła inna, o wiele silniejsza część jego osobowości – ta, która nade wszystko nie chciała znaleźć się poza kręgiem wtajemniczonych, decydujących o wszystkim.

– Nie chciałem przez to powiedzieć, że nie doceniam pani punktu widzenia. Zastanawiałem się tylko...

– Nie widzę różnicy, Studdock – powiedziała chłodno pani Hardcastle, siadając wreszcie przy biurku. – Jeś li ci się nie podoba ta praca, to już twoja sprawa. Idź i załatw to z WD. Uprzedzam, że nie lubi tych, którzy rezygnują, ale, oczywiście, to twoja sprawa. Obawiam się, że będzie miał coś do powiedzenia Feverstone'owi, który cię tu ściągnął. Byliśmy przekonani, że wszystko rozumiesz.

Wzmianka o Feverstone'u uświadomiła Markowi z całą ostrością ciążącą konsekwencję jego decyzji: powrót do Edgestow i zadowolenie się karierą zwykłego członka Bracton College. Na jakich warunkach mógłby tam wrócić? Byłby nadal członkiem kręgu wtajemniczonych, nawet tam, w Bractonie? Myśl, że miałby utracić zaufanie Postępowej Elity i znaleźć się pośród takich ludzi, jak Telford czy Jewel, była naprawdę trudna do zniesienia. A pensja zwykłego wykładowcy nijak się miała do marzeń, które snuł od paru dni. Już wiedział, że małżeństwo wymaga o wiele większych wydatków, niż kiedyś myślał. A potem przypomniał sobie nagle o tych dwustu funtach za członkostwo klubu NIBS-u. Ale nie... to byłby absurd. Przecież nie mogą go tym obciążyć.

– Tak, oczywiście – powiedział, siląc się na obojętność. – Najlepiej będzie, jak porozmawiam z WD.

– Skoro odchodzisz, to muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Wyłożyłam przed tobą wszystkie karty. Gdyby ci przypadkiem przyszło do głowy powtórzyć komuś z zewnątrz to, o czym tu rozmawialiśmy, radzę ci, nie rób tego. Nie byłoby to wcale dobre dla twojej przyszłej kariery.

– Ależ oczywiście... – zaczął Mark.

– Powinieneś już iść. Cóż, życzę miłej rozmowy z WD. Ty lko za bardzo go nie zdenerwuj. On tak nie znosi rezygnacji!

Mark próbował jeszcze przedłużyć rozmowę, ale pani Hardcastle na to nie pozwoliła. Musiał wyjść.

Resztę dnia spędził w dość żałosny sposób, starając się trzymać z dala od ludzi, żeby się nie wydało, że jest tutaj osobą, która nie ma co robić. Przed obiadem wybrał się na jedną z tych krótkich, bezsensownych przechadzek, które podejmuje czasem człowiek, kiedy znajdzie się w obcej dla

siebie okolicy, nie mając ani swojego starego ubrania, ani laski. Po obiedzie obszedł park, ale szybko stwierdził, że nie jest to ten rodzaj parku, po którym spaceruje się dla przyjemności.

Edwardiański milioner, który zbudował Belbury, otoczył jakieś dwadzieścia akrów ziemi niskim ceglany murkiem z żelazną balustradą na szczycie, tworząc wewnątrz coś, co pracujący dla niego przedsiębiorca budowlany nazwał Ozdobnym Parkiem Wypoczynku. Były tam różne drzewa i kręte ścieżki wyłożone okrągłymi białymi kamyczkami, po których z trudem można było chodzić.

Były rozległe klomby, jedne prostokątne, inne w kształcie rombu, a jeszcze inne półkoliste. Były plantacje – może lepiej byłoby je nazwać „plackami” – wawrzynu, który wyglądał, jakby jego liście zrobiono ze sprytnie pomalowanego i polakierowanego metalu. Wzdłuż ścieżek stały co jakiś czas jadowicie zielone ławki. Wszystko to przywodziło na myśl cmentarz komunalny. Mimo to Mark udał się tam również po popołudniowej herbacie, paląc papierosa za papierosem, choć wiatr zdmuchiwał mu żar na usta i miał już całkiem przepalony język.

Wąłęsając się bez celu, zawędrował na tyły budynku, gdzie wyrosły już nowe, niższe przybudówki. Tu zaskoczył go zapach przywodzący na myśl stajnię i mieszanina zwierzęcych odgłosów – warczenie, szczekanie i skomlenie – wszelkie oznaki dość dużego ogrodu zoologicznego. W pierwszej chwili nie wiedział, o co chodzi, ale później przypomniał sobie, że w jednym z programów badawczych NIBS-u wykorzystywano na szeroką skalę wiwisekcję, uwolnioną wreszcie od ograniczeń Czerwonej Linii i małostkowej ekonomii. Kiedy dowiedział się o tym po raz pierwszy, nie wykazał zbytniego zainteresowania – sądził, że chodzi o zwykłe przy takich doświadczeniach szczury, króliki, a w wyjątkowych wypadkach psy. Mieszanina zwierzęcych głosów, którą teraz słyszał, sugerowała coś zupełnie innego. I kiedy tak stał, rozmyślając nad tym wszystkim, rozległ się pojedynczy, przypominający potężne ziewnięcie skowyt, a natychmiast po nim rozbrzmiał przejmujący chór różnego rodzaju ujadań, pisków, trąbień, a nawet śmiechu. Trwało to krótko, a potem powoli ucichło, rozpluwając się w cichym, pełnym smutku skomleniu.

Mark nie miał skrupułów co do wiwisekcji. Ten chór zwierzęcych protestów uprzytomnił mu tylko doniosłość i skalę przedsięwzięcia, z którego najwyraźniej miał zostać wykluczony. Pomyślał o tysiącach funtów, jakie instytut bez wahania wydał na zakupienie i utrzymywanie całego tego zwierzyńca, tylko dlatego, że mogło to być szansą na dokonanie jakiegoś odkrycia naukowego.

Musi dostać tę pracę, musi jakoś rozwiązać problem Steele'a. Ale odgłosy, jakie wciąż dochodziły z tej menażerii, były nie do zniesienia. Odszedł stamtąd.

\* \* \*

Obudził się następnego ranka z poczuciem, że czeka go dzisiaj próba pokonania trudnej przeszkody, a może nawet dwóch. Pierwszą była jego rozmowa z wicedyrektorem. Jeśli nie uzyska jasnej odpowiedzi na temat swojego stanowiska i uposażenia, gotów był zerwać z instytutem.

Wtedy czekała go druga przeszkoda: powrót do domu i wyjaśnienie Jane, że trzeba się pożegnać ze wszystkimi marzeniami.

Tego ranka Belbury spowiła pierwsza prawdziwa jesienna mgła. Mark zjadł śniadanie przy sztucznym świetle. Nie dotarła poczta i gazety. Był piątek i służący wręczył mu rachunek za dotychczasowy pobyt w instytucie. Mark rzucił okiem na sumę i włożył papier do kieszeni z postanowieniem, że pod żadnym pozorem nie wspomni o niej Jane. Ani końcowa suma, ani wyszczególnienie należności nie należały do spraw, które żony potrafią zrozumieć. Osobiście miał pewne wątpliwości, czy w rachunku nie ma żadnych pomyłek, ale wciąż jeszcze był w wieku, w którym prędzej odda się ostatniego pensa, niż zakwestionuje wysokość rachunku. Wypił drugą filiżankę herbaty, poszukał w kieszeni papierosów, stwierdził, że wszystkie już wypalił, i zamówił nową paczkę.



Do spotkania z wicedyrektorem pozostało pół godziny. Czas dłużył mu się nieznośnie. Nikt z nim nie rozmawiał. Wydawało się, że każdy gdzieś się spieszy, by załatwić jakieś bardzo ważne i ściśle określone sprawy. Wkrótce wszyscy wyszli i został sam w sali, czując, że kelnerzy patrzą na niego tak, jakby uważali, że nie powinno go tutaj być. Z ulgą zapukał w końcu do drzwi gabinetu Wither'a.

Został od razu przyjęty, ale początek rozmowy nie był łatwy. Wither milczał, a chociaż podniósł głowę znad biurka z dość uprzejmą miną, gdy tylko Mark wszedł do jego gabinetu, nie spojrzał wyraźnie na niego i nie poprosił, by usiadł. W pokoju, jak zwykle, było bardzo gorąco i Mark, rozdarty między chęcią wyrażenia swego kategorycznego sprzeciwu wobec niejasności sytuacji a równie gorącym pragnieniem otrzymania stanowiska – jeśli tylko naprawdę było dla niego jakieś stanowisko – nie był zadowolony z tego, co mówił, w każdym razie wicedyrektor nie ułatwiał mu zadania, wysłuchując jego chaotycznych powtórzeń bez słowa i milcząc nawet wówczas, gdy Mark tracił wątek i na długie chwile przerywał swą tyradę. Siedział z lekko nadąsaną miną, rozchyliwszy nieco usta, jakby coś nucił pod nosem.

– Tak więc, panie dyrektorze, sądzę, że lepiej będzie, jeśli odejdę powiedział w końcu Mark.

– Pan się nazywa Studdock, jeśli li dobrze pamiętam? – zapytał Wither niezobowiązującym tonem po dłuższej chwili milczenia.

– Tak – odpowiedział niecierpliwie Mark. – Kilka dni temu rozmawiałem z panem przez telefon... razem z lordem Feverstone'em. Dał mi pan do zrozumienia, że proponuje mi pan pracę socjologa w instytucie. Ale, jak już mówiłem...

– Chwileczkę, panie Studdock – przerwał mu wicedyrektor. – Chciałbym, żeby wszystko było całkowicie jasne. To bardzo ważne. Jest pan bez wątplenia świadomy, że w pewnym sensie mówienie o mnie, jakobym mógł proponować komukolwiek stanowisko w instytucie, grzeszy bardzo przykrym brakiem precyzji. Nie powinien pan sobie wyobrażać, że zajmuję tu jakąś autokratyczną pozycję, a z drugiej strony, że relacja między moją sferą wpływów a władzą... czasową władzą, ma się rozumieć... komitetu albo samego dyrektora może być określona w terminach jakiegoś trwałego i sprawnego systemu o charakterze... ee... konstytucyjnym, albo nawet tylko konstytutywnym. Na przykład...

– Ale chyba może mi pan powiedzieć, panie dyrektorze, czy ktokolwiek zaproponował mi tutaj pracę? A jeśli tak, to czy ktoś podjął już decyzję?

– Och! – Wither zmienił ton i poruszył się w fotelu, jakby nagle coś przyszło mu do głowy. -

Nigdy nie ulegało wątpliwości, że pańska współpraca z naszym instytutem byłaby w pełni zaakceptowana. .. byłaby niezwykle cenna.

– A więc czy mógłbym... to znaczy, czy nie powinniśmy porozmawiać o szczegółach? Na przykład o wysokości stałego wynagrodzenia i... komu miałbym podlegać?

– Drogi przyjacielu – powiedział Wither, uśmiechając się wyrozumiale – nie przewiduję, aby pojawiły się jakiegokolwiek trudności, jeśli chodzi o... ee... finansowy aspekt tej sprawy. A co do...

– A więc jakie mi pan proponuje wynagrodzenie, panie dyrektorze? – przerwał mu ponownie Mark.

– No cóż, porusza pan sprawę, o której trudno mi decydować. Sądzę, że członkowie instytutu zajmujący stanowisko, na którym byśmy pana widzieli, otrzymują zwykle sumę... myślę, że jakieś tysiąc pięćset funtów rocznie... Oczywiście mogą tu być pewne różnice skalkulowane według... ee... bardzo liberalnych kryteriów. Nie widzę żadnych trudności w rozwiązaniu tego rodzaju problemów.

– Ale kiedy dowiem się czegoś konkretnego, panie dyrektorze?

– Nie powinien pan uważać, panie Studdock, że jeśli wspominałem o tysiącu pięciuset funtach,

to wykluczyłem przez to możliwość wyższej sumy. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek z nas...

– Byłbym w pełni usatysfakcjonowany tą sumą – przerwał Mark. – Nie w tym rzecz. Chodzi mi tylko... o... to znaczy... Wyraz twarzy wicedyrektora stawał się coraz bardziej uprzejmy, a nawet konfidenjonalny, tak że kiedy Mark wyrzucił wreszcie z siebie: – Sądzę, że powinienem otrzymać jakiś kontrakt czy coś w tym rodzaju – poczuł się tak, jakby powiedział coś bardzo grubiańskiego.

– No cóż – zaczął wicedyrektor, utkwivszy wzrok w suficie i zniżywszy głos prawie do szeptu, jakby poczuł się zbyt zażenowany – mówiąc ściśle, procedura wygląda trochę inaczej... to znaczy... bez wątpienia byłoby to możliwe...

– Ale nie to jest dla mnie najważniejsze, panie dyrektorze – przerwał mu znowu Mark, zdając sobie sprawę z tego, że się czerwieni. – Chodzi o mój status. Czy miałbym pracować pod kierownictwem pana Steele'a?

– Mam tutaj formularz – odrzekł Wither, wysuwając szufladę – który, jak mi się zdaje, nie jest aktualnie w użyciu, ale który był pomyślany dla tego rodzaju umów. Może go pan przestudiować w wolnej chwili i jeśli go pan zaakceptuje, możemy go podpisać w dowolnym czasie.

– A co z panem Steele'em?

W tym momencie weszła sekretarka i położyła na stole kilka listów.

– Ach! W końcu jest poczta! – ucieszył się Wither. – Mam nadzieję, panie Studdock, że... ee... i na pana czekają jakieś listy...

Jest pan żonaty, jak mniemam?

Na jego twarzy pojawił się ojcowski, wyrozumiały uśmiech.

– Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze – rzekł Mark – ale co z panem Steele'em? Byłbym zmuszony odrzucić każde stanowisko, o ile wiązałoby się z podległością panu Steele'owi.

– To otwiera przed nami bardzo interesujący problem, o którym chciałbym z panem kiedyś porozmawiać w sposób całkowicie nieformalny i poufny. Do tego czasu, panie Studdock, nie będę uważał tego, co pan powiedział, za ostateczną decyzję. Może pan zadzwoni do mnie jutro, co?

Po tych słowach zagłębił się w lekturze listu, który właśnie otworzył. Mark pomyślał, że osiągnął już wszystko, co mógł osiągnąć podczas pierwszej rozmowy i opuścił pokój. Było oczywiste, że naprawdę chcą go zatrudnić i są przygotowani, aby uczynić to w sposób formalny.

Rozwiązanie problemu Steele'a trzeba odłożyć na później. Na razie trzeba dokładnie przestudiować formularz umowy.

Zszedł na dół i w recepcji znalazł czekający na niego list. Otworzył kopertę i zaczął czytać:

*Bracton College*

*Edgestow*

*20 października 19'..*

*Drogi Marku, z żalem przyjęliśmy wiadomość o Twojej rezygnacji z godności członka kolegium, ale jesteśmy pewni, że podjąłeś słuszną decyzję, przynajmniej mając na uwadze swoją karierę. Jak już NIBS na dobre się tu zainstaluje, na pewno będziemy się widywać tak często, jak dotąd. Jeśli jeszcze nie posłałeś NO formalnej rezygnacji, radziłbym Ci się nie spieszyć. Lepiej wstrzymaj się do przyszłego semestru, tak że eby to wypadło w okresie naszego lutowego posiedzenia i że ebyśmy mieli czas na znalezienie odpowiedniego kandydata na Twoje miejsce. A może sam masz jakiś pomysł?*

*Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Jamesem i z Dickiem o Davidzie Lairdzie (James o nim nie słyszał). Na pewno znasz jego prace. Mógłbyś mi napisać o nich parę zdań? I w ogóle o jego kwalifikacjach? Mogę się z nim spotkać w przyszłym tygodniu w Cambridge, gdzie będę na obiedzie z premierem i paroma innymi osobami. Zresztą może Dick wcześ niej z nim porozmawia.*

*Wczoraj mieliśmy tu niezłą awanturę. Była jakaś rozróżba między tymi nowymi robotnikami a dawnymi mieszkańcami. Policja instytucyjowa popełniła błąd, strzelając ponad głowami tłumy.*

*Stłukli nam okno Henrietty Marii, do salonu posypały się kamienie. Glossop stracił głowę, chciał wyjść i przemówić do tego motłochu, ale udało mi się go jakoś uspokoić. Piszę to, oczywiście, w zaufaniu. Wielu chciałoby zbić na tym kapitał i zaatakować nas ostro za sprzedaż lasu. Spieszę się – muszę pędzić, żeby uzgodnić sprawy związane z pogrzebem Hingesta.*

*Pozdrawiam,*

*G. C. Curry*

Już przy pierwszych słowach listu przeszył Marka dreszcz strachu. Starał się uspokoić, przekonując samego siebie, że wszystko można jeszcze odwrócić – będzie tylko musiał jakoś się wytłumaczyć. Napisze, że to nieporozumienie, i natychmiast wyśle list. Przecież nie mogą odebrać komuś członkostwa jedynie na podstawie przypadkowego zdania wypowiedzianego przez lorda Feverstone'a w salonie wypoczynkowym! Ale natychmiast przyszła mu do głowy smutna refleksja, że to, co nazywa teraz „przypadkowym zdaniem”, było dokładnie tym, co – jak nie tak dawno się dowiedział – Postępowa Elita określała jako „załatwianie prawdziwych interesów na płaszczyźnie prywatnej” albo „wycinaniem Czerwonej Linii”. Próbował zlekceważyć tę refleksję, a potem uderzyła go inna myśl. Przypomniał sobie, że biedny Conington stracił posadę w bardzo podobny sposób. No tak, ale okoliczności ci były zupełnie inne... Conington był outsiderem, a on został już jednym z wtajemniczonych, może nawet jeszcze bardziej niż sam Curry. Ale... czy jest nim nadal?

Skoro nie jest już mile widziany w Belbury (a na to zaczyna wyglądać), to czy przypadkiem Feverstone nie utraci do niego zaufania? Czy odzyska swój dawny status, jeśli wróci do Bractonu?

Ależ oczywiście! Musi natychmiast napisać do Curry'ego, że nie złożył rezygnacji i nie zamierza jej złożyć. Usiadł przy stole we wspólnym gabinecie, wyciągnął wieczne pióro i nagle uderzyła go jeszcze inna myśl. Curry z pewnością pokaże list Feverstone'owi. Feverstone powie o tym Witherowi. Taki list zostanie uznany za definitywną rezygnację z Belbury. Cóż... niech tak będzie!

Pożegna się z krótkotrwałym marzeniem i powróci do swojego kolegium. A jeśli okaże się to niemożliwe? Cała ta afera mogła być specjalnie zaaranżowana, żeby usiadł pomiędzy dwoma stołkami... żeby go wykopano z Belbury, bo zachował członkostwo w kolegium braktońskim, i żeby go wykopano z Bractonu, bo postanowił przyjąć posadę w Belbury. Z jednym skutkiem: on i Jane pozostaną bez grosza przy duszy... a Feverstone już dopilnuje, żeby nie znalazł nigdzie pracy...

I gdzie jest Feverstone?

Trzeba to wszystko bardzo ostrożnie rozgrywać. Nacisnął przycisk dzwonka i zamówił dużą whisky. W Bractonie nigdy nie pił przed dwunastą, a jeśli nawet, to pozwalał sobie jedynie na piwo. Ale teraz... no, w każdym razie miał jakieś dziwne dreszcze. Tego by tylko brakowało, żeby przy tych wszystkich kłopotach jeszcze się rozchorował!

Zdecydował, że musi napisać bardzo ostrożny, bardzo wyważony ust. Nie powinien wyjaśnić Curry'emu tego wszystkiego dosłownie; Mogłoby to zostać wykorzystane jako dowód, że całkowicie zrezygnował z Belbury. Pierwszy szkic uznał za zbyt dosłowny. No tak, ale jeśli wyjaśnienia będą zbyt mętne, straci Bracton. A niech to wszyscy diabli! W niezłą kabałę się wpakował! Dwieście funtów za członkostwo w klubie, rachunek za pierwszy tydzień... I jak tu przekonać Jane, żeby nie dostała hysterii, żeby potrafiła spojrzeć na to wszystko we właściwym świetle? W końcu, z pomocą whisky i mnóstwa papierosów, napisał:

*Narodowy Instytut Badań Skoordynowanych*

*Belbury*

*21 października 19..*

*Drogi Curry,*

*Feverstone musiał mnie źle zrozumieć. Nigdy nawet nie wspomniałem o rezygnacji z członkostwa kolegium i wcale nie mam takiego zamiaru. Prawie już porzuciłem myśl o przyjęciu pełnego etatu w NIBS-ie i myślę, że pojawię się w Bractonie za dzień lub dwa. Po pierwsze, martwię się o zdrowie mojej żony i na razie nie mógłbym sobie pozwolić na wyjazd. Po drugie, choć wszyscy tutaj bardzo mi schlebiają i naciskają, żebym został, proponują mi pracę o charakterze administracyjnym, chcą, żebym pisał do gazet. Spodziewałem się czegoś innego, w końcu jestem naukowcem. Zaprzeczaj każdemu, kto opowiada, że myślę o porzuceniu Edgestow.*

*Mam nadzieję, że uda Ci się wypad do Cambridge. Do jakich kręgów dotarłeś!*

*Pozdrawiam,*

*Mark G. Studdock*

*PS. Laird nie nadaje się w żadnym wypadku. Dostał słabą ocenę, a jego jedyna publikowana praca była przedmiotem dowcipów poważnych recenzentów. On w ogóle nie ma zmysłu krytycznego. Możesz być pewien, że będzie wychwalał pod niebiosa każdą bzdurę.*

Ulga, jaką mu przyniosło skończenie listu, trwała bardzo krótko. Gdy tylko zakleił kopertę, powróciła udręka pytania, co robić z resztą dnia. W końcu postanowił spędzić ją w swoim pokoju, ale kiedy do niego wszedł, zobaczył, że z łóżka zdjęto pościel, a na środka stoi odkurzacz.

Najwyraźniej gości nie spodziewano się w ich pokojach o tej porze dnia. Zszedł na dół, chcąc usiąść w sali klubowej, ale akurat tam sprzątano. Zajrzał do biblioteki. Zastał tam tylko dwu mężczyzn, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami, a na jego widok przerwali rozmowę i popatrzyli wyczekująco, jawnie okazując, że im przeszkadza. W holu zobaczył Steele'a, który stał przy tablicy ogłoszeń i rozmawiał z jakimś mężczyzną ze spiczastą bródką. Żaden z nich nie spojrzał na Marka, ale kiedy obok nich przechodził, zamilkli. Przeszedł przez hol i udał, że sprawdza barometr. Wałęsał się tak bez celu przez jakiś czas, a zewsząd dochodziły odgłosy otwierania i zamykania drzwi, pospiesznych kroków w i telefonów – odgłosy, jakie się słyszy w każdej instytucji tętniącej życiem. Życiem, z którego został wykluczony. Otworzył frontowe drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Mgła była gęsta, mokra i zimna.

Każda narracja jest pod pewnym względem fałszywa – nie oddaje rzeczywistego upływu czasu.

Dzień dłużył się Markowi tak nieznośnie, że jego drobiazgowy opis byłby nie do czytania. Czasami siedział na górze – na szczęście skończono już sprzątać jego pokój – czasami wychodził na dwór w gęstą mgłę, czasami wałęsał się po holu czy bibliotece. Wszędzie napotykał grupki rozmawiających ze sobą ludzi i z początku próbował za wszelką cenę nie sprawiać wrażenia kogoś, kto nie ma żadnego zajęcia, nie mieć żalostnej, zakłopotanej miny, ale po kilku minutach wszyscy nagle gdzieś zniknęli, jakby ich wezwał do pilnych zajęć niewidzialny sygnał.

W jakiś czas po lunchu spotkał Stone'a. Nie myślał o nim od wczorajszego poranka, ale teraz, patrząc na jego minę i dostrzegając coś ukradkowego w jego sposobie bycia, zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z człowiekiem, który czuje się tutaj tak samo niepewnie jak on. Było w nim to coś, co często można dostrzec w niepopularnych lub nowych uczniach w szkole, w outsiderach w Bractonie – to coś, co dla Marka było symbolem jego najgorszych lęków, bo w jego skali wartości ktoś, kto tak wyglądał, był największym złem. Instynktownie poczuł, że nie powinien z nim rozmawiać. Wiedział z doświadczenia, jak niebezpiecznie jest przyjaźnić się – a nawet tylko być widzianym – z kimś, kto został uznany przez środowisko za tonącego: nie można go utrzymać na powierzchni, a samemu można się pogрузić. Doszedł jednak do takiego stanu, że w poszukiwaniu towarzystwa zrezygnował z ostrożności i pozdrowił go przyjaźnie.

Stone wzdrygnął się, jakby go przeraził sam fakt, że ktoś do niego zagadnął, i wyjąkał:

– Dobry wieczór.

– Chodźmy gdzieś i pogadajmy, jeśli masz chwilę czasu – zaproponował Mark.

– Ja... to znaczy... nie jestem pewny, ile mam wolnego czasu wyjął Stone.

– Co sądzisz o tym miejscu? Bo ja mam jak najgorsze wrażenia, ale jeszcze się nie zdecydowałem. Chodźmy do mojego pokoju.

– Wcale tak nie uważam – odrzekł szybko Stone. – Wcale. Kto powiedział, że tak uważam?

Mark nie zdążył jednak na to odpowiedzieć, bo w tym momencie dostrzegł zmierzającego ku nim Withera. W ciągu najbliższych kilku tygodni miał odkryć, że żaden korytarz lub pokój w Belbury nie był bezpiecznym miejscem, jeśli się chciało uniknąć spotkania z wicedyrektorem, który miał zwyczaj obchodzenia wszystkich pomieszczeń w czasie swoich długich spacerów. Trudno byłoby zresztą uznać to za szpiegowanie, bo donośny stukot jego butów i posępna melodia, jaką prawie zawsze buczał pod nosem, stanowiły wystarczające ostrzeżenie dla każdego. Słyszało się go z daleka, a często i dostrzegało, bo był wysoki (a byłby jeszcze wyższy, gdyby się tak nie garbił) i zwykle, nawet w tłumie, widać było z daleka jego twarz, a każdy odnosił dziwne wrażenie, że wicedyrektor patrzy akurat na niego. Dla Marka było to jednak pierwsze doświadczenie owej wszechobecności wicedyrektora i pomyślał, że ten zjawił się w najmniej sprzyjającym momencie.

Wither zbliżył się do nich powoli, patrząc w ich kierunku, ale w taki sposób, że trudno było się zorientować, czy ich rozpoznał, a potem przeszedł obok. Nie próbowali już wracać do rozmowy.

Podczas popołudniowej herbaty Mark dostrzegł Feverstone'a i natychmiast postanowił usiąść obok niego. Zdawał sobie sprawę, że dla człowieka w jego sytuacji najgorsze jest narzucanie się komukolwiek, ale teraz czuł się już tak zdesperowany, że machnął na to ręką.

– Cześć, Feverstone! – zaczął niefrasobliwym tonem. – Chciałbym się czegoś dowiedzieć... -

Poczuł ulgę, gdy zobaczył, że Feverstone się uśmiecha. – Muszę przyznać, że przyjęcie, jakie mi zgotował ten Steele, trudno nazwać ciepłym. WD nie chce jednak słyszeć o mojej rezygnacji. No i zdaje się, że Wróżka chce, żebym pisał do gazet. Może ty wreszcie wiesz, czego tu się ode mnie oczekuje?

Feverstone śmiał się głośno i długo.

– Bo gdy chodzi o mnie – ciągnął Mark – to niech mnie cholera weźmie, jeśli wiem, co mam tu robić. Próbowałem coś wydusić z tego starego...

– O Boże! – zawołał Feverstone, śmiejąc się jeszcze głośniej.

– Czy nigdy nie można z niego wyciągnąć czegoś konkretnego?

– Coś można, ale nigdy nie to, co by się chciało – odrzekł Feverstone, chichocząc.

– No to jak, do diabła, mam się dowiedzieć, czego ode mnie oczekują, skoro nikt nie chce mi udzielić żadnej informacji?

– No właśnie!

– Aha, i to mi coś jeszcze przypomniało. Skąd Curry'emu przyszło do głowy, że rezygnuję z kolegium?

– A nie rezygnujesz?

– Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

– Naprawdę? Bo Wróżka mi powiedziała, że już tam nie wracasz.

– Chyba nie sądzisz, że gdybym chciał złożyć rezygnację, to zrobiłbym to przez nią?

Promienny i szeroki uśmiech nie zniknął z twarzy Feverstone'a.

– Zrozum, to bez różnicy – powiedział. – Jeśli zechcą, żebyś miał jakąś nominalną posadę poza Belbury, to ją będziesz miał, a jeśli nie zechcą, to jej nie dostaniesz. To takie proste.

– A co to obchodzi NIBS? Ja tylko staram się zachować członkostwo kolegium, to, co już mam,

a im nie do tego. Nikt nie chce wpaść w dziurę między dwoma stołkami.

– Masz rację, nikt tego nie chce.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Posłuchaj mojej rady i postaraj się jak najszybciej odzyskać łaski Witherera. Dzięki mnie miałeś dobry start, ale zdaje mi się, że doprowadziłeś go do irytacji. Jego stosunek do ciebie trochę się zmienił od rana. Musisz go jakoś ugłaskać. I, między nami mówiąc, nie spoufalałbym się tak z Wrózką. W karierze ci to nie pomoże. Są tryby większe i są małe trybiki.

– W każdym razie – powiedział Mark – napisałem do Curry'ego, że pogłoski o mojej rezygnacji to czyste bzdury.

– Nie zaszkodzi, jeśli cię to bawi – wycedził Feverstone, wciąż się uśmiechając.

– No wiesz, nie sądzę, żeby kolegium chciało się mnie pozbyć tylko dlatego, że Curry coś źle zrozumiał. Coś, co pani Hardcastle powiedziała tobie.

– Jeśli dobrze znam statut, to nikt nie może cię pozbawić członkostwa, chyba że z powodu rażącej niemoralności.

– Oczywiście. Nie o tym myślałem. Chodzi mi o to, że mogą mnie nie wybrać ponownie, podczas najbliższych wyborów semestralnych.

– Och, teraz rozumiem.

– I właśnie dlatego liczę na ciebie, że wybijesz to Curry'emu z głowy.

Feverstone milczał.

– Na pewno ci się uda – nalegał Mark, choć tracił już nadzieję – przekonać go, że to jakieś nieporozumienie.

– Nie znasz Curry'ego? Przecież on już dawno uruchomił tę całą swoją kuglarską maszynę, żeby załatwić sprawę następstwa po tobie.

– Właśnie dlatego liczę na ciebie, że go powstrzymasz.

– Na mnie?

– Tak.

– Dlaczego na mnie?

– Do diabła, Feverstone, przecież to ty mnie do tego namówiłeś!

Lord Feverstone wziął z talerzyka płaską bułeczkę.

– Wiesz co, Studdock? – zaczął. – Twój sposób prowadzenia rozmowy nie bardzo mi odpowiada. Za parę miesięcy będą ponowne wybory. Kolegium może cię wybrać ponownie i, oczywiście, może tego nie zrobić. Jeśli dobrze rozumiem, próbujesz już teraz zapewnić sobie mój głos. Na co mam tylko jedną odpowiedź: idź do diabła!

– Wiesz doskonale, że nie miałbym żadnych kłopotów z ponownym wyborem, gdybyś nie szepnął o mnie paru słów Curry'emu!

Feverstone obejrzał bułeczkę krytycznym spojrzeniem.

– Nudzisz mnie – powiedział. – Jeśli sam nie wiesz, jak sobie dawać radę w takim miejscu jak Bracton, to po co mnie tym zadręczasz? Nie jestem twoją niańką. I dla twojego własnego dobra radziłbym ci rozmawiać tutaj z ludźmi w sposób bardziej możliwy do zaakceptowania. Jeśli się tego nie nauczysz, twoje życie może się stać – według słynnego powiedzenia – „przykre, nędzne, zbydlęcone i krótkie!” [Według T. Hobbesa opisującego społeczeństwo pierwotne w dziele *Leviathan*.]

– Krótkie? – powtórzył Mark. – To groźba? I czy masz na myśli moje życie w Bractonie czy w Belbury?

– Na twoim miejscu nie przywiązywałbym większej wagi do tego rozróżnienia.

– Zapamiętam to sobie – warknął Mark, powstając. Już miał odejść, ale nie mógł się powstrzymać, by jeszcze raz nie spojrzeć Feverstone'owi prosto w roześmianą twarz i nie dorzucić: – To ty mnie tu ściągnęłaś. Myślałem, że jesteś moim przyjacielem.

– Nieuleczalny romantyk! – powiedział lord Feverstone, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej i wsunął w otwarte usta bułeczkę.

I w ten sposób Mark dowiedział się, że jeśli utraci posadę w Belbury, to utraci też członkostwo w kolegium braktońskim.

\* \* \*

W ciągu tych dni Jane spędzała jak najmniej czasu w domu, a nocami starała się jak najdłużej nie zasnąć, czytając w łóżku książkę. Sen stał się jej wrogiem. W ciągu dnia często jeździła do Edgestow, żeby znaleźć jakąś „kobietę na dwa dni w tygodniu” na miejsce pani Maggs. Podczas jednego z wypadów do miasteczka spotkała Camillę Denniston. Sprawilo jej to prawdziwą radość.

Camilla właśnie wysiadała z samochodu i po chwili przedstawiła Jane swego męża, wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę. Jane od razu zauważyła, że Dennistonowie należą do tego rodzaju ludzi, który bardzo lubiła. Wiedziała, że Denniston przyjaźnił się kiedyś z Markiem, ale ona nigdy się z nim nie spotkała i teraz zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego dzisiejsi znajomi Marka tak bardzo ustępują dawnym. Carey, Wadsden czy Taylorowie, z którymi się przyjaźnił, kiedy go poznała, na pewno byli miłsi od Curry'ego i Busby'ego, nie mówiąc już o tym całym lordzie Feverstone. A Denniston był naprawdę dużo miłszy.

– Właśnie jechaliśmy po panią! – zawołała Camilla. – Niech pani posłucha, mamy ze sobą coś do jedzenia. Co by pani powiedziała na przejażdżkę do lasu, za Sandown? Możemy zjeść lunch w samochodzie. Jest wiele spraw do omówienia.

– A może pojedziemy do mnie i zjemy lunch? – zapytała Jane, zastanawiając się w duchu, jak sobie z tym poradzi. – To chyba nie jest pogoda na piknik.

– Żeby miała pani więcej zmywania? To już lepiej zjedzmy coś w mieście. Frank, co ty na to? Pani Studdock uważa, że na piknik jest za zimno i za mgliście.

– Restauracja to nie najlepszy pomysł, pani Studdock – powiedział Denniston. – Chcemy być sami. – To ostatnie zdanie odnosiło się najwyraźniej do nich trojga i od razu nawiązało między nimi miłą, rzeczową więź. – W taki jesienny, mglisty dzień las jest naprawdę piękny. I będzie nam całkiem ciepło w samochodzie, zobaczy pani.

– Jane odpowiedziała, że po raz pierwszy spotyka kogoś, kto lubi mgłę, ale może spróbować. Wsiadli do samochodu.

– Właśnie dlatego się pobraliś my – rzekł Denniston, kiedy ruszyli. – Oboje lubimy pogodę. Nie jakąś określoną pogodę, ale pogodę jako taką. To się przydaje, kiedy się mieszka w Anglii.

– Skąd wam się to wzięło? – zapytała Jane. – Bo mnie jakoś nikt nie nauczył lubić deszczu lub śniegu.

– To nie tak. Każdy jako dziecko lubi pogodę jako taką. Uczymy się nie lubić deszczu lub śniegu, w miarę jak dorastamy. Nie zauważyła pani tego w jakiś śnieżny dzień? Dorosli mają skwaszone miny, ale wystarczy spojrzeć na dzieci... albo na psy. One wiedzą, po co został stworzony śnieg.

– Jestem pewna, że jako dziecko nie znosiłam deszczowych dni.

– Bo wtedy dorośli nie wypuszczali pani na dwór – powiedziała Camilla. – Każde dziecko lubi deszcz, jeśli może wyjść i taplać się w kałużach.

Za Sandown zjechali z nieogrodzonej drogi i dotarli do zielonej łąki otoczonej z jednej strony bukami, a z drugiej gęstym zagajnikiem sosnowym. Pomiędzy gałęziami połyskiwały pajęczyny, a

wokoło mocno pachniało jesienią. Usiedli razem na tylnej kanapce samochodu, a Dennistonowie wyciągnęli koszyki. Były tam kanapki i sherry, gorąca kawa i papierosy. Jane poczuła się lepiej.

– No to do dzieła! – powiedziała Camilla, gdy skończyli.

– Chyba ja zacznę – rzekł Denniston. – Oczywiście wie pani, skąd przyjechaliśmy?

– Z domu pani Ironwood.

– No tak, z domu, w którym i ona mieszka. Ale rzecz przedstawia się trochę inaczej, niż pani myśli.

– Tak?

– Głową naszej małej wspólnoty czy rodziny – można to różnie nazwać – jest niejaki Fisher-King. W każdym razie takie nazwisko przybrał ostatnio. Jego prawdziwe nazwisko chyba pani nic nie powiedziało. To wielki podróżnik, ale teraz jest inwalidą. Podczas ostatniej podróży został zraniony w nogę i ta rana nie chce się zagoić.

– A dlaczego zmienił nazwisko?

– Miał zamężną siostrę w Indiach, panią Fisher-King, która umarła, pozostawiając mu wielką fortunę, pod warunkiem, że przybierze jej nazwisko. To była dość niesamowita postać. Przyjaźniła się z wielkim indyjskim mistykiem chrześcijańskim, Surą, może pani – o nim słyszała. Od tego wszystko się zaczęło. Sura miał powody, by wierzyć, że nad ludzkością zawisło wielkie niebezpieczeństwo. Tuż przed śmiercią doszedł do przekonania, że to zagrożenie ma związek z jakąś głową na tej wyspie. A kiedy odszedł...

– Umarł? – zapytała Jane.

– Tego nie wiemy – odpowiedział Denniston. – Niektórzy sądzą, że wciąż żyje, inni, że umarł.

W każdym razie zniknął. A pani Fisher-King przekazała to ostrzeżenie swojemu bratu. Właśnie dlatego zapisała mu cały majątek. Miał zebrać grupę zaufanych ludzi, czatować na to zagrożenie i uderzyć, gdy nadejdzie.

– To nie całkiem tak, Arthurze – powiedziała Camilla. – Ta grupa zaufanych ludzi miała się sama zebrać wokół niego, a on miał być ich przywódcą.

– To już są szczegóły. Ale zgoda, masz rację. No i tutaj, pani Studdock, dochodzimy do pani osoby.

Jane milczała.

– Sura powiedział, że kiedy nadejdzie czas, powinniśmy znaleźć wizjonera: osobę, która ma wewnętrzny wzrok.

– To nie my mamy znaleźć wizjonera, Arthurze – wtrąciła Camilla – ale raczej on nas. W każdym razie ma się pojawić i może trafić w ręce naszych przeciwników. Albo my, albo oni.

– I wszystko wskazuje na to – Denniston zwracał się teraz do Jane – że to pani jest owym oczekiwanym wizjonerem.

– Dajcie mi spokój! – powiedziała Jane ze śmiechem. – Wcale nie chcę być kimś tak ważnym.

– To zrozumiałe. Ale akurat na panią to trafiło. – W jego głosie można było wyczuć nutę współczucia.

Camilla spojrzała na nią i powiedziała:

– Dowiedziałam się od Grace Ironwood, że nie jest pani przekonana o swoich niezwykłych zdolnościach. Uznała pani, że to zwyczajne sny. Czy nadal pani tak sądzi?

– To wszystko jest takie dziwne i... wstrętnie... – powiedziała Jane. Znajomy wewnętrzny sufler szeptał: „Bądź ostrożna. Nie daj się wciągnąć. W nic się nie angażuj”. Ale jakiś impuls kazał jej dodać: – Prawdę mówiąc, od tego czasu znowu miałam sen. Sen, który okazał się rzeczywistością.

Zobaczyłam morderstwo... Zobaczyłam, jak zabito pana Hingesta.



– No widzi pani – powiedziała Camilla. – Och, pani Studock, przecież musi się pani do nas przyłączyć! Musi pani, naprawdę musi! Już jesteśmy tak blisko. Nie rozumie pani? Wciąż się głowiliśmy, jak odnaleźć to miejsce, gdzie ma się narodzić zagrożenie, a pani już coś zobaczyła, właśnie tu, kilka mil od Edgestow. Przecież my już jesteśmy w zasięgu tego... tej... cokolwiek to jest... I bez pani pomocy nie możemy nic zrobić. Jest pani naszą tajną służbą, naszymi oczami. To wszystko zostało już ułożone na długo przed naszym urodzeniem. Niech pani wszystkiego nie popsuje! Niech się pani do nas przyłączy.

– Nie, Cam, tak nie można – przerwał jej mąż. – Pendragon... to znaczy nasz przywódca... nie byłby z tego zadowolony. Pani Studdock musi sama dokonać wyboru. Może do nas przystać tylko z własnej woli.

– Ale przecież ja nic nie wiem o tym wszystkim – powiedziała Jane. – Nie chcę brać udziału w czymś, czego nie rozumiem.

– Nie pojmuje pani – wtrąciła Camilla – że nie może pani pozostać neutralna? Jeśli się pani nie odda nam, wróg panią wykorzysta.

Nie był to najszcześniejszy dobór słów: „jeśli się pani nie odda nam”. Jane poczuł a, że sztwywnieje. Gdyby nie powiedziała tego Camilla, którą już zdążyła polubić, pozostałaby głucha na wszelkie dalsze namowy. Denniston położył rękę na ramieniu żony.

– Musisz na to spojrzeć z punktu widzenia pani Studdock. Zapomniałaś, że właściwie nic o nas nie wie. I tu mamy kłopot, bo nie możemy powiedzieć jej zbyt wiele, dopóki się do nas nie przyłączy. Prawdę mówiąc, żądamy od niej, aby skoczyła w ciemność. Zwrócił się do Jane, uśmiechając się zagadkowo, choć mimo to na jego twarzy malowała się powaga: – To tak, jak wziąć z kimś ślub, zaciągnąć się do marynarki jako chłopiec albo wstąpić do klasztoru. Człowiek nie wie, jak to jest, dopóki nie skoczy głową naprzód.

Mówiąc to, nie zdawał sobie chyba sprawy (a może zdawał?) ze skomplikowanych resentmentów i oporów, jakie wzbudził w Jane jego wybór porównań, choć nie miała czasu, aby je teraz analizować. Odpowiedziała więc chłodnym tonem:

– W każdym razie trudno mi zrozumieć, dlaczego właściwie mam się w to wszystko angażować.

– Mówiąc szczerze, może pani tylko nam zaufać. Myślę, że tak naprawdę wszystko zależy od tego, jakie wrażenie wywarli na pani Dimble'owie, Grace i my. No i, oczywiście, nasz Przewodniczący, kiedy go pani pozna.

– Jane trochę zmiękła.

– Czego właściwie ode mnie oczekujecie? – zapytała.

– Przede wszystkim, żeby się pani zgodziła porozmawiać z naszym szefem.. nazywamy go Przewodniczącym. A potem.. no, ż eby się pani do nas przyłą czyła. Będzie to wymagać od pani złożenia mu pew nych przyrzeczeń. My wszyscy zgodziliśmy się słuchać jego poleceń. Och... i jest coś jeszcze. Jak pani myśli, co mógłby o tym wszystkim sądzić Mark? Jesteśmy starymi przyjaciółmi...

– Czy naprawdę musimy teraz o tym mówić? – zapytała Camilla.

– Wcześniej czy później będziemy musieli – odrzekł jej mąż.

Zapadło krótkie milczenie.

– Mark? – zapytała Jane. – A co on ma z tym wspólnego? Nie mam pojęcia, co by na to wszystko powiedział. Chyba pomyślałby, że wszyscy zwariowaliśmy.

– Ale czy mógłby mieć jakieś obiekcje? To znaczy... gdyby pani się do nas przyłączyła?

– Gdyby w ogóle był w domu, to pewnie by się bardzo zdziwił, gdybym mu oświadczyła, że zamierzam zamieszkać w St Anne's. Bo chyba to oznacza „przyłączenie się do was”?

– A Marka nie ma w domu? – zdziwił się Denniston.

– Nie. Jest w Belbury. Chyba zamierza pracować w tym NIBS-ie.

Powiedziała to z pewną satysfakcją, bo była już świadoma, jakie to może mieć dla nich znaczenie. Ale jeśli nawet na Dennistonie zrobiło to wrażenie, nie okazał tego po sobie.

– Nie sędzę – rzekł – aby „przyłączenie się do nas” musiało od razu oznaczać zamieszkanie pani w St Anne's, zwłaszcza że jest pani zamężna. Jeśli Marka to zainteresuje i sam do nas przyjedzie...

– To już zupełnie inna sprawa – przerwała mu Jane, myśląc w duchu: „On zupełnie nie zna Marka”.

– W każdym razie – ciągnął Denniston – to nie jest teraz sprawa najważniejsza. Czy miałyby jakieś obiekcje, gdyby się pani do nas przyłączyła, zgodziła słuchać poleceń Przewodniczącego, dokonała pewnych przyrzeczeń?

– Czy mógłby mieć jakieś obiekcje? – powtórzyła Jane. – A co on w ogóle mógłby mieć z tym wspólnego?

– Bo widzi pani... – zaczął Denniston i zawahał się lekko. "Przewodniczący... albo ci, którym podlega... mają raczej staroświeckie poglądy. Sędzę, że nie bardzo by mu się podobało, gdyby miała się do nas przyłączyć kobieta zamężna bez... bez zgody męża... bez konsultacji...

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że miałabym prosić Marka o pozwolenie? – spytała, parszkając ironicznym śmiechem.

Niechęć, która w ciągu ostatnich kilkunastu minut to wzbierała w niej, to znów opadała, teraz wybuchła ze wzmożoną siłą. Już cała ta mowa o przyrzeczeniach i posłuszeństwie jakiegoś bliżej nieznanemu Fisher-Kingowi budziła w niej odrazę, ale gdy usłyszała wiadomość, że ta sama osoba miałaby odesłać ją do Marka, aby uzyskać jego łaskawą akceptację, Jane miała tego zupełnie dosyć.

Popatrzyła na Dennistona z niechęcią. On, Mark i ten cały Fisher-King to po prostu mężczyźni, zadowoleni z siebie patriarchowie, rządzący kobietom życie, jakby były dziećmi, handlujący nimi jak bydłem. („I król obiecał, że odda swoją córkę temu, kto zabije smoka”). Poczuli, jak wzbiera w niej złość.

– Arthurze – odezwała się Camilla – czy widzisz ten blask? Myślisz, że to jakieś ognisko?

– Chyba tak.

– Nogi mi trochę zmarzły. Przejdźmy się trochę, żeby na nie popatrzeć! Szkoda, że nie mamy kilku kasztanów.

– Och tak, chodźmy – ucieszyła się Jane.

Wysiedli z samochodu. Okazało się, że na zewnątrz jest teraz cieplej niż w samochodzie.

Pachniało liśćmi i wilgocią, z gałęzi kapłała woda. Ognisko było duże, płomień nie strawił jeszcze nawet połowy drewna. Stanęli przy nim i gawędzili przez jakiś czas o innych sprawach.

– Powiem wam, co zrobię – powiedziała nagle Jane. – Nie przyłączę się do waszego... do waszej... no, cokolwiek to jest. Ale przyrzekam, że powiadomię was, jeśli znowu będę miała sny tego rodzaju.

– Wspaniale! – zgodził się Denniston. – Myślę, że to tyle, ile mieliśmy prawo oczekiwać.

Doskonale rozumiem pani punkt widzenia. Mogę poprosić o jeszcze jedno przyrzeczenie?

– O co?

– Żeby pani nikomu o nas nie wspominała.

– Och, oczywiście.

Kiedy wrócili do samochodu i ruszyli w drogę powrotną, Denniston rzekł:

– Pani Studdock, mam nadzieję, że te sny nie będą pani tak bardzo dręczyć. To nie oznacza, że już ich nie będzie, wręcz przeciwnie. Ale teraz, kiedy już pani wie, że nie biorą się z czegoś, co jest

w pani, ale pochodzą z zewnątrz, będzie pani o wiele łatwiej je znosić. Są okropne, w to nie wątpię, ale chyba nie gorsze od tego, o czym można codziennie przeczytać w gazetach. Im mniej będzie pani o nich myślała jako o pani snach, a bardziej jako o... no, wiadomościach... tym lepiej będzie je pani znosiła.

## Rozdział 6

### *Mgła*

Jeszcze jedna noc (prawie bezsenna) i pół następnego dnia minęły, wlokąc się niemiłosiernie, zanim Mark uzyskał możliwość rozmowy z wicedyrektorem. Poszedł do niego skruszony, pragnąc dostać posadę w instytucie na każdych warunkach.

– Odnoszę panu formularz, panie dyrektorze – powiedział.

– Jaki formularz? – zdziwił się Wither.

Mark stwierdził, że rozmawia z zupełnie innym, nieznanym mu dotąd Witherem. Wciąż sprawiał wrażenie nieobecnych myślami, ale przestał być uprzejmy. Patrzył na niego tak, jakby dzielił ich jakiś wielki dystans, ale i z taką niechęcią, która mogłaby się przerodzić w jawną nienawiść, gdyby ów dystans choć trochę się zmniejszył. Wciąż się uśmiechał, ale w tym uśmiechu było coś z kota szczerzącego zęby. Mark był wyraźnie myszą w jego pazurach. W Bractonie Postępowa Elita, mając do czynienia z innymi wykładowcami, starała się ich nie zrażać zbyt wyniosłym zachowaniem; tu, w Belbury, było zupełnie inaczej. Wither oświadczył, iż rozumiał, że Mark zrezygnował już z pracy w instytucie. Jako wicedyrektor nie widzi żadnej możliwości ponowienia propozycji. Mówił niezbyt jasno o jakichś napięciach i tarciach, o nierozważnym zachowaniu, o niebezpieczeństwie robienia sobie wrogów, a wreszcie wycedził, że NIBS nie może sobie pozwolić na zatrudnianie osób, które w ciągu pierwszego tygodnia potrafią zrazić do siebie wszystkich jego członków. Jeszcze bardziej mętnie wspominał o niepokojących rozmowach, które odbył z „pańskimi kolegami w Bractonie”, którzy całkowicie podzielili jego pogląd. Wyraził wątpliwość, czy Mark w ogóle nadaje się do kariery naukowej, ale nie zamierzał dawać mu żadnych rad w tym względzie. Kiedy już wprowadził Marka w stan kompletnego przygnębienia, rzucił mu, jak psu kość, luźną propozycję zatrudnienia na okres próbny z pensją sześciuset funtów rocznie. I Mark ją przyjął, choć nawet w tej sytuacji zaryzykował kilka pytań. Komu będzie podlegał? I czy ma rezydować w Belbury?

– O ile pamiętam, panie Studdock – odpowiedział Wither – wspomniałem już panu, że zasadą naszego działania jest elastyczność. Jeśli nie jest pan gotów traktować członkostwa instytutu jako... ee... bardziej powołania niż tylko zatrudnienia, to nie mógłbym panu doradzać z pełną odpowiedzialnością, aby pan z nami współpracował. Pracujemy tu na zasadzie naczyń połączonych.

Obawiam się, że nie byłbym w stanie przekonać członków komitetu, by zgodzili się na stworzenie panu takich warunków, w których wypełniałby pan sztucznie ograniczone obowiązki, a poza nimi miałby pan czas do swojej dyspozycji. Niech mi pan pozwoli skończyć, panie Studdock.

Tworzymy tu, jak już panu mówiłem, bardziej coś w rodzaju rodziny, albo nawet jednej osobowości. Nie ma mowy o „podleganiu” jakiemuś jednemu konkretnemu urzędnikowi, jak pan niefortunnie się wyraził, i zachowywaniu całkowitej niezależności wobec innych kolegów... Jestem zmuszony prosić, żeby mi pan nie przerywał... W ten sposób u nas się nie pracuje. Musi pan sam potwierdzić swoją użyteczność, panie Studdock, swoją ogólnie pojętą użyteczność. Nie sądzę, aby instytut mógł zaakceptować pozostawienie w nim kogoś, kto jest niechętny spełnianiu tej czy innej funkcji tylko dlatego, że wykraczają one poza pewien zakres obowiązków, które można by z góry zamknąć w ramach ścisłej definicji. Z drugiej strony, byłoby równie katastrofalne... dla pana, panie Studdock... równie katastrofalne, gdyby pan pozwolił sobie na oderwanie się od swoich prawdziwych obowiązków przez nieautoryzowaną, samowolną współpracę z innymi członkami instytutu... lub, jeszcze gorzej, ingerencję w ich sprawy. Nie może pan pozwolić na to, by jakieś przypadkowe sugestie odrywały pana od konkretnego zadania lub osłabiały pańskie zaangażowanie.

Koncentracja, panie Studdock, koncentracja. I gotowość do dawania i brania. Jeśli pan zdoła ustrzec się obu tych błędów, o których wspomniałem... ee... nie traciłbym nadziei na pozytywną korektę pewnych niezbyt szczęśliwych wrażeń, jakie wzbudziło w nas, muszę to powiedzieć, pańskie dotychczasowe zachowanie. Nie, panie Studdock, nie pozwolę na dalszą dyskusję. Jestem bardzo zajęty. Nie mogę być ustawicznie nękany takimi rozmowami. Do widzenia, panie Studdock, do widzenia. I proszę pamiętać, co panu powiedziałem. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc. Do widzenia.

Mark złagodził poczucie upokorzenia, jakie go spotkał o, refleksją, że gdyby nie był żonaty, nie zniósłby tego ani przez chwilę. Wydawało mu się (choć nie ubrał tego w słowa), że w ten sposób przerzuci ciężar porażki na Jane. Pozwoliło mu to również wyobrazić sobie, co by powiedział Witherowi, gdyby nie musiał się o nią troszczyć. W znacznie lepszym nastroju zszedł na herbatę i stwierdził, że rozpoczyna się wypłata premii za jego pokorę. Wróżka pomachała do niego ręką, dając mu znać, aby przy niej usiadł.

– Czy zająłeś się już Alcasanem? – zapytała.

– Nie – odparł Mark. – Ale mogę wpaść do ciebie dziś po południu i przejrzeć materiały... W każdym razie wydaje mi się, że mogę, bo wciąż nie jestem pewien, na czym mają polegać moje obowiązki.

– Elastyczność, mój drogi, elastyczność – powiedziała pani Hardcastle. – Tego nigdy nie będziesz pewny. Po prostu rób to, co ci każą, a przede wszystkim nie zwracaj głowy temu staruszkowi.

\* \* \*

Przez następne kilka dni gęstniała mgła, spowijająca zarówno Edgestow, jak i Belbury. W Edgestow twierdzono, że ta mgła „unoszą się nad rzeką”, ale w rzeczywistości zalegała nad całą środkową Anglią. W miasteczku wszystkie mury ociekały wodą, można było napisać palcem swoje nazwisko na wilgotnym blacie każdego stołu, a w południe ludzie pracowali przy sztucznym świetle. Tam, gdzie jeszcze niedawno był Las Bragdon, wciąż trwały roboty budowlane, ale już nie raziły oczu upartych konserwatystów; spoza tumanów mgły słychać było tylko huk, zgrzyty, łaskoty, metaliczne podzwanianie, okrzyki i przekleństwa.

Niektórzy byli radzi, że mgła ukryła ten ohydny widok, bo teraz wszystko to, co działo się za rzeką Wynd, budziło powszechną odrazę. NIBS panoszył się w Edgestow coraz bardziej.

Porośnięta na brzegach trzcinami rzeka, która do tej pory zachwycała grą barw – od brązozielonej, poprzez bursztynową do srebrzystej – teraz była mętna, gęsta od mułu, pełna pustych puszek, strzępów papieru, niedopałków i kawałków drewna, poznaczona plamami opalizującej ropy. Ale był to dopiero początek prawdziwej inwazji. Instytut zakupił tereny położone na lewym albo wschodnim brzegu rzeki. Teraz Busby został wezwany na spotkanie z Feverstone'em i profesorem Frostem i dowiedział się po raz pierwszy, że bieg rzeki Wynd zostanie zmieniony. Rzeka nie będzie już płynąć przez Edgestow. To ściśle poufna informacja, ale instytut ma już zapewnione poparcie dla tego przedsięwzięcia. Trzeba na nowo wytyczyć granice między NIBS-em a Bracton College. Busby'emu opadła szczęka, kiedy zdał sobie sprawę, że – tereny należące do instytutu mają sięgać aż do murów kolegium. Oczywiście wyraził swój sprzeciw, a wówczas po raz pierwszy dano mu do zrozumienia, że może dojść do zarekwirowania ziemi. Teraz kolegium może ją sprzedać i dostać za nią całkiem niezłą sumę, ale jeśli tego nie zrobi, w niedalekiej przyszłości będzie musiało się zadowolić symboliczną rekompensatą. Podczas tego spotkania stosunki między Feverstone'em i kwestorem wyraźnie się pogorszyły.

Zwołano nadzwyczajne posiedzenie kolegium i Busby musiał stawić czoło burzy, jaka

wybuchła. Spotkał się z takimi obelgami, że ledwo zdołał to wszystko wytrzymać fizycznie. Na próżno starał się wykazać, że ci, którzy go teraz oskarżają, sami głosowali za sprzedażą lasu.

Zresztą równie bezpłodne były oskarżenia pod jego adresem. Kolegium znalazło się w pułapce.

Sprzedano więc instytutowi wąski pas ziemi nad rzeką Wynd, między murami kolegium a brzegiem rzeki. Dwadzieścia cztery godziny później NIBS zamienił ten pas ziemi w olbrzymią hałdę. Przez cały dzień robotnicy krążyli po ułożonych deskach, zrzucając ziemię pod same mury Bractonu, aż w końcu przywalili nią okno Henrietty Marii, a wysypisko sięgnęło już prawie wschodniego okna kaplicy.

Wielu członków Postępowej Elity zmieniło front i przyłączyło się do opozycji. Ci, którzy zostali, jeszcze bardziej zwarli szeregi, znalazłszy się pod ostrzałem ogólnej opinii. I choć w ten sposób doszło do tak ostrych podziałów wewnątrz kolegium, z tego samego powodu zjednoczyło się ono w obronie swojego dobrego imienia na zewnątrz, bo za sprowadzenie NIBS-u do Edgestow obwiniano całe Bracton College. Było to niesprawiedliwe, jako że w swoim czasie wielu ważnych przedstawicieli uniwersytetu całkowicie poparło tę decyzję, teraz jednak, gdy jej oplakane skutki stały się tak widoczne, nie chciano o tym pamiętać. Kiedy Feverstone dał Busby'emu do zrozumienia, że może dojść do przymusowego wywłaszczenia, zaznaczył, iż mówi mu to w ścisłym zaufaniu, ale w obliczu takiej awantury Busby nie omieszkiał powtarzać we wszystkich salonach Edgestow:

– I tak nic by to nie dało, gdybyśmy odmówili sprzedaży tego skrawka ziemi.

Niestety, nikt mu nie wierzył, a niepopularność Bracton College wciąż narastała. Studenci skorzystali z okazji i przestali chodzić na wykłady członków kolegium. Busby, a nawet zupeł nie niewinny dziekan, spotykali się z obelgami na ulicach.

Zwykli mieszkańcy Edgestow, którzy przeważnie nie dzielali opinii uniwersytetu, też byli bardzo wzburzeni. Zamieszki, podczas których w Bracton College wybito szyby, nie zasłużyły sobie na większą uwagę londyńskich gazet, czy nawet „Edgestow Telegraph”, ale doszło jednak do dalszych incydentów. Na jednej z głównych ulic, za stacją, napadnięto na kobietę w sposób uznawany zwykle za obrazę moralności. Dwukrotnie pobito kogoś w pubie. Wzrosła liczba skarg na zagrażające bezpieczeństwu mieszkańców zachowanie robotników sprowadzonych przez NIBS.

Gazety jednak o tym milczały. Przypadkowi świadkowie tych paskudnych incydentów ze zdumieniem czytali w „Edgestow Telegraph”, że nowy instytut zadomowił się już dobrze w Edgestow, a między jego pracownikami i starymi obywatelami miasteczka panują serdeczne stosunki. Ci, którzy tych incydentów nie widzieli na własne oczy, a tylko o nich słyszeli, uznawali takie pogłoski za zwykłe plotki albo wyolbrzymianie faktów, bo nie pisano o tym w miejscowej gazecie. Świadkowie ślali listy do redakcji, ale ich nie publikowano.

Jeśli nawet można było wątpić w prawdziwość tych wszystkich incydentów, nie ulegało wątpliwości, że prawie wszystkie hotele w mieś cie przeszły w ręce instytutu, tak że teraz nie można już było wypić z przyjacielem szklaneczki whisky w ulubionym barze; że w znajomych sklepach tłoczyli się obcy z wypchanymi portfelami i że ceny znacznie wzrosły; że do każdego autobusu trzeba było czekać w długiej kolejce i że trudno było kupić bilet do każdego kina. Na spokojnych dotąd ulicach od rana do wieczora panował straszny ruch i nigdzie człowiek nie był wolny od agresywnego towarzystwa obcych. Dla mieszkańców małego, targowego miasteczka, jakim było Edgestow, gdzie zwykle nawet przybyszów z sąsiedniego hrabstwa uważano za obcych, rozbrzmiewająca od rana do późnej nocy we mgle mieszanina północnych, walijskich, a nawet irlandzkich akcentów, krzyków, gwizdów i ordynarnych piosenek była czymś nie do zniesienia.

– Będą poważne kłopoty – komentowali na początku sytuację obywatele miasta, aby po paru dniach stwierdzić: – Wygląda na to, że oni świadomie do tego dążą. W kronikach miasta nie

odnotowano, kto pierwszy powiedział: „Potrzeba nam więcej policjantów”. Po jakimś czasie nawet w „Edgestow Telegraph” zauważono, że coś jest nie w porządku, i zamieszczono niewielki artykuł zawierający nieśmiałe przypuszczenie, że lokalna policja nie daje sobie rady z przybyszami.

Jane nie zwracała na to wszystko uwagi. Dręczyła ją niepewność co do własnego losu. Może Mark ściągnie ją do Belbury? Może da sobie z tym spokój i wróci do domu? Jego listy były pełne niedomówień. Może powinna pojechać do St Anne's i zobaczyć się z Dennistonami? Dziwne sny nadal ją nawiedzały, ale Denniston miał rację: o wiele lepiej je znosiła, od kiedy zaczęła je traktować jak „wiadomości”. W jednym z nich, powtarzającym się co jakiś czas, nic się właściwie nie działo, a jednak zdawał się mieć głębokie znaczenie. W tym ś nie leżała w swoim łóżku, gdy pojawił się ktoś, kto przysunął do łóżka krzesło i usiadł na nim, najwyraźniej po to, aby ją obserwować. Miał notes, w którym od czasu do czasu coś zapisywał. Przeważnie jednak siedział w milczeniu, czujny, uważny – jak lekarz. Poznała tę bladą twarz tak dobrze, że mogłaby ją zawsze rozpoznać: binokle, spiczasta bródka, wyraźne, dość regularne rysy. Zresztą i jej twarz musiała mu być równie dobrze znana, skoro wszystko wskazywało na to, że właśnie ją studiuje. Kiedy ten sen nawiedził ją po raz pierwszy, nie napisała o tym do Dennistonów, a gdy się powtórzył, było już za późno, aby wysłać list tego samego dnia. Pragnęła pocieszenia, ale – jeśli tylko było to możliwe – pragnęła go bez konieczności odwiedzania St Anne's, bez konieczności spotkania się z tym Fisher-Kingiem i wciągnięcia w orbitę jego wpływów.

W tym samym czasie Mark zajął się rehabilitacją Alcasana. Po raz pierwszy miał w ręku policyjne dossier i trudno mu było je zrozumieć. Starał się to ukryć, ale Wróżka szybko się w tym połapała.

– Poznam cię z kapitanem – powiedziała – on cię we wszystko wprowadzi.

Mark zaczął więc spędzać wiele godzin w towarzystwie jej zastępcy, kapitana O'Hary, postawnego, siwego mężczyzny o przystojnej twarzy, mówiącego z dublińskim akcentem.

Utrzymywał, że pochodzi ze starożytnego rodu, którego siedzibą jest Castlemortle. Mark nie bardzo rozumiał jego wyjaśnienia na temat gromadzenia dossier, „rejestrów Q”, systemu „ruchomej kartoteki” i czegoś, co kapitan nazywał „melioracją”. Zresztą cała selekcja faktów pozostawała w rękach O'Hary; Mark przetwarzał tylko materiał w artykuły. Starał się ukryć to przed kapitanem i sprawiać wrażenie, że naprawdę ze sobą współpracują, co, oczywiście, udaremniało mu dalsze uskarżano się, że jest traktowany tylko jako dziennikarz. Miał bardzo dobry styl (który pomógł mu w karierze akademickiej w o wiele większym stopniu, niż się do tego przed samym sobą przyznawał) i na tym polu odnosił sukcesy. Jego artykuły i listy o Alcasanie ukazywały się w gazetach, do których nieznanemu jeszcze autorowi bardzo trudno byłoby się dostać. Oglądając na ich łamach swoje nazwisko, za każdym razem czuł dreszcz przyjemnego podniecenia.

Po jakimś czasie zwierzył się kapitanowi O'Hary ze swoich finansowych kłopotów. Kiedy tu się płaci? Bo ma już niewiele drobnych pieniędzy, a portfel ukradziono mu pierwszego wieczoru w Belbury i dotąd go nie odzyskał. O'Hara ryknął śmiechem.

– Zgłoś się do intendenta! Da ci tyle forsy, ile zażadasz!

– I później odpisuje się to przy wypłacie, tak?

– Człowieku, jak już jesteś w instytucie, nie musisz sobie zawracać głowy takimi sprawami.

Przecież to my będziemy rozwiązywać problemy walutowe w całym kraju! To my rządymy forszą!

– Tak myślisz? – zdumiał się Mark, a po chwili dodał: – No, ale jak się stąd odchodzi, to każą ci to wszystko zwrócić, prawda?

– O czym ty mówisz, człowieku? Stąd nikt nie odchodzi. Do tej pory słyszałem tylko o jednym: o

starym Hingeście.

W tym czasie dochodzenie w sprawie ś mierci Hingesta już się zakończyło. Werdykt brzmiał: zamordowany przez nieznaną sprawców. Ceremonia pogrzebowa odbyła się w braktońskiej kaplicy.

Było to trzeciego dnia owej okropnej mgły, w tym dniu chyba najgęstszej. Oczy piekły, gdy się na nią patrzyło, tłumiła wszelkie dalsze odgłosy, tak że w kaplicy słysząc było tylko kapanie kropli wody z okapów i drzew oraz krzyki robotników pracujących tuż za oknami. Świece płonęły prostymi płomieniami, każdy wewnątrz kuli mętnego blasku, nie oś wietlając całego wnętrza, tak że tylko z pokasywania i szurania stopami można było wywnioskować, że stalle są wypełnione. Curry, w czarnym garniturze, przechadzał się nerwowo po zachodniej części kaplicy, poszeptując coś pod nosem, zaniepokojony, że mgła może opóźnić przybycie tego, co nazywał „szczątkami”, i z wyraźną satysfakcją znosząc ciężar odpowiedzialności złożony na jego barkach. W uroczystościach pogrzebowych w Bractonie Curry sprawdzał się wyśmienie. Nie było w nim nic z przedsiębiorcy pogrzebowego, przeciwnie: promieniował powściągliwą życzliwością jak człowiek, który mężnie znosi utratę przyjaciela, a jednocześnie nie jest wciąż świadom swojej roli „ojca kolegium” i tego, że wobec takich przykrych przejawów przemijalności on przynajmniej musi zachować spokój i panować nad sytuacją. Obecni na tych pogrzebach ludzie z zewnątrz często mówili jeden do drugiego po odjeździe: „Widać było, jak prodiękan ciężko to przeżywa, chociaż starał się nie dać tego po sobie poznać”. I nie było w tym hipokryzji. Curry tak przywykł do kierowania życiem swoich kolegów, że kierowanie nimi również po śmierci wydawało mu się czymś całkiem naturalnym. Bardzo możliwe, że gdyby miał umysł analityczny, odkryłby w sobie poczucie, że jego wpływy, jego władza, jego zdolność do wygładzania ścieżek i pociągania za odpowiednie sznurki nie kończą się wraz z ostatnim oddechem uchodzącym z czyjś ciało.

Organy zaczęły grać, zagłuszając zarówno pokasywanie wewnątrz, jak i odgłosy z zewnątrz – gniewne okrzyki, szczęk żelaza i głucho dudnienie, z jakim coraz to nowe zwwały ziemi zsypywano wprost na ścianę kaplicy. Mgła, jak obawiał się Curry, rzeczywiście opóźniła przybycie trumny i organista musiał grać z pół godziny, zanim dał o się słyszeć zamieszanie przy drzwiach i do kaplicy wkroczyła rodzina zmarłego, wszyscy w czarnych strojach, barczyś ci, z rumianymi twarzami mieszkańców wsi. Potem wszedł rektor Uniwersytetu Edgestow poprzedzany przez cenzorów i pedli niosących buławy, za nim chór śpiewający stosowny hymn, a na końcu, w gęstych, chłodnych tumanach mgły, które wdarły się do kaplicy, sunęła obłożona kwiatami trumna.

Rozpoczęło się nabożeństwo pogrzebowe.

Przewodził jej wielebny kanonik Storey. Głos miał nadal silny i dźwięczny, a od całego tego towarzystwa dzieliła go zarówno głęboka wiara, jak i zwyczajna głuchota. Nie miał skrupułów co do stosowności słów, które odczytywał nad ciałem starego, dumnego bezbożnika, ponieważ nigdy nie podejrzewał, że Hengist jest ateistą, i był całkiem nieświadomy dziwnego asonansu między swoim głosem odczytującym święte wersety a ochrypłymi głosami dochodzącymi z zewnątrz.

Glossop skrzywił się, kiedy jeden z tych głosów wrzasnął:

– Zabieraj mi stąd tą swoją cholerną girę, bo ci na nią nawalę kupę ziemi!

Na co Storey, niewzruszony i głuchy jak pień, zagrzmiął:

„O, niemądry! Przecież to, co siejesz, nie ożyje, jeżeli wprzód nie obumrze”.

– Zaraz ci sypnę prosto w parszywą gębę, zobaczysz! – dobiegł głos z zewnątrz.

– „Zasiewa się ciało zmysłowe – powstaje ciało duchowe” – czytał dalej Storey.

– To skandaliczne, skandaliczne – mruknął Curry do siedzącego obok niego kwestora.

Niektórzy młodszy członkowie kolegium dostrzegli jednak humorystyczną stronę tego dwugłosu i



byli pewni, że Feverstone'a (który nie mógł przybyć) bardzo by to ubawiło.

\* \* \*

Najprzyjemniejszą nagrodą dla Marka za jego posłuszeństwo było jednak dopuszczenie go do biblioteki. Pokój ten, choć teoretycznie dostępny dla wszystkich, w praktyce był zarezerwowany dla wybranego grona, czegoś w rodzaju „złotej młodzieży” w szkole lub Postępowej Elity w Bractonie. To właśnie tam, na dywaniku przed kominkiem, między dziesiątą wieczorem a północą toczyły się poufne rozmowy o ważnych sprawach, więc trudno się dziwić, że gdy pewnego wieczoru Feverstone podszedł do niego i rzucił od niechcienia: „A może byśmy się czegoś napili w bibliotece?”, Mark zgodził się rozpromieniony, porzucając natychmiast urazę, jaką czuł do swego utytułowanego znajomego od czasu ich ostatniej rozmowy. I szybko stł umił w sobie poczucie upokorzenia, bo przecież pogarda wobec samego siebie jest przejawem niedojrzałości i braku realizmu.

Zbierające się w bibliotece grono wybranych składało się zwykle z Feverstone'a, Wróżki, Filostrata i – co było pewną niespodzianką – Straika. Balsamem na rany Marka był fakt, że Steele nigdy się tam nie pojawiał. Najwyraźniej, jak mu obiecywano, nie musiał się już Steele'a obawiać, a więc wszystko toczyło się zgodnie z planem. Natomiast nie bardzo rozumiał, dlaczego częstym gościem w bibliotece jest milczący mężczyzna w binoklach, z ostro zakończoną bródką, profesor Frost. Wicedyrektor – albo, jak go teraz Mark nazywał, WD czy „stary” – wpadał co jakiś czas, jak zwykle skrzypiąc butami i nucąc pod nosem swoją posępną melodię. Czasem podchodził do grupy stojącej przy kominku, z ojcowską miną przysłuchiwał się rozmowie, choć sam rzadko brał w niej udział, a potem powracał do swoich denerwujących obchodów instytutu, by po godzinie znowu wkroczyć do biblioteki, pospacerować po niej, przyjrzeć się obecnym i raz jeszcze odejść. Od czasu owej poniżającej rozmowy w jego gabinecie nigdy się do Marka nie odezwał, a według Wróżki Mark nadal był w niełasce.

– Staremu z czasem przejdzie – powiedziała mu Wróżka. – Po prostu, jak już ci mówiłam, nie lubi ludzi, którzy mówią o rezygnacji.

Najmniej przyjemnym bywalcem biblioteki był w oczach Marka Straik. „Zwariowany pastor” nie czynił żadnego wysiłku, by dostosować się do cynicznego i nieprzyzwoitego tonu, jakim rozmawiali jego koledzy. Nigdy nie pił ani nie palił. Zwykle siedział, masując sobie kolano i wodząc wzrokiem od jednego mówcy do drugiego, nie próbując włączyć się do rozmowy i nie reagując na dowcipy. Czasami – zdarzało się to najwyżej raz podczas całego wieczoru – ożywiał się nagle, sprowokowany czyjąś wypowiedzią na temat poczynań reakcjonistów wobec NIBS-u, i wybuchał głośną i długą tyradą, w której groził, oznajmiał i prorokował. Marka dziwiło, że nikt mu nie przerywał i nikt się z niego nie śmiał. Wyczuwał, że tego zbzikowanego starego gbura łączy z nimi jakaś tajemnicza więź, która ich powstrzymywała, choć najwyraźniej nie darzyli go sympatią.

Co to była za więź, tego nie potrafił dociec. Czasem Straik zwracał się bezpośrednio do niego, mówiąc – ku wielkiemu zdumieniu i zgorszeniu Marka – o zmartwychwstaniu.

– To ani nie fakt historyczny, ani nie wymysł, młody człowieku, ale prorocstwo... Wszystkie te cuda... to tylko cienie tego, co nadejdzie. Odrzuć fałszywą duchowość. Wszystko to się stanie, tu, w tym świecie, w jedynym świecie, jaki istnieje. Dokonamy tego. Syn Człowieczy. .. to znaczy sam Człowiek, sam w pełni dojrzały Człowiek... ma władzę sądu nad światem. On będzie dawcą nieskończonego życia i tym, który wymierza wieczną karę. Zobaczysz. Tu i teraz.

Mark wzdrygał się, słysząc te brednie.

W dzień po pogrzebie Hingesta Mark odważył się odwiedzić bibliotekę sam, bez Feverstone'a czy Filostrata, trochę niepewny, jak zostanie to odebrane, ale czując, że jeśli nie sprawdzi swojego prawa do *entree*, to owa skromność może go zgubić. Wiedział, że błąd w każdą stronę jest równie

fatalny w skutkach.

Odnosił sukces. Zanim zamknął za sobą drzwi, wszyscy zwrócili się w jego kierunku, witając go jak starego znajomego.

– *Ecco* – powiedział Filostrato, a Wróżka dodała:

– Oto i on we własnej osobie.

Mark poczuł, że przenika go dreszcz rozkoszy. Jeszcze nigdy ogień w kominku nie płonął tak jasno, a woń trunków tak miło nie drażniła nosa. Najwyraźniej na niego czekano. Był im potrzebny.

– Ile czasu potrzebujesz na napisanie dwu wstępniaków? – zapytał Feverstone.

– Możesz pracować przez całą noc? – dodała pani Hardcastle.

– Już mi się zdarzało – odrzekł Mark. – W czym rzecz?

– I wam to odpowiada – odezwał się Filostrato – że to... że te zamieszki... wybuchną już teraz?

– Sęk w tym – rzekł Feverstone – że Wróżka odwaliła swoją robotę aż za dobrze. Nie czytała Owidiusza. *Ad metam proparate simul.* [Ze *Sztuki kochania* Owidiusza: „Najmilej, gdy jednocześnie przybijecie do przystani” w przekładzie J. Ejsmonda.]

– Nie możemy tego opóźnić, nawet gdybyśmy chcieli – powiedział Straik.

– O czym właściwie mówimy? – zapytał Mark.

– O zamieszkach w Edgestow – odrzekł Feverstone.

– Och... Nie bardzo śledziłem rozwój wypadków. Zaczyna być groźnie?

– Może być groźnie – powiedziała pani Hardcastle. – O to właśnie chodzi. Planowaliśmy, że zamieszki wybuchną w przyszłym tygodniu. Te wszystkie drobne incydenty były po to, żeby przygotować grunt. Ale... do cholery, trochę za dobrze nam poszło! Bomba pójdzie w górę jutro albo najpóźniej pojutrze.

Mark przeniósł zdumione spojrzenie z jej twarzy na twarz Feverstone'a. Ten ryknął śmiechem, a Mark, prawie automatycznie, natychmiast pokrył swoje zdumienie wymuszoną żartobliwą uwagą:

– Wygląda na to, że mój mózg trochę za wolno pracuje.

– Chyba nie sądziłeś, że Wróżka pozwoli na to, by miejscowi przejęli inicjatywę, co?

– To znaczy, że ona sama...?

– Ależ tak, tak – zachichotał Filostrato, a oczy mu rozblęły znad tłustych policzków.

– Wszystko jest pod kontrolą – powiedziała pani Hardcastle. – Nie można wpuścić kilkuset ważnych robotników...

– Zwłaszcza tych, których sama zatrudniłaś! – przerwał jej Feverstone.

– ... do takiej sennej dziury jak Edgestow – ciągnęła pani Hardcastle – nie spodziewając się kłopotów. Bez kłopotów i tak by się nie obeszło. W każdym razie moi chłopcy nie musieli się zbytnio napracować. A skoro i tak miało dojść do zamieszek, to chyba nie zaszkodzi przypilnować, żeby do nich doszło we właściwym momencie.

– Czy chcecie w ten sposób powiedzieć, że te zamieszki zostały przez was zaaranżowane? – zapytał Mark.

– Wolałbym nie używać tak obcesowych wyrażeń – powiedział Feverstone.

– To bez różnicy – wtrącił Filostrato. – Po prostu tak trzeba było zrobić.

– No właśnie – powiedziała pani Hardcastle. – Tak zawsze się robi. Powie ci to każdy, kto zna się na policyjnym fachu. I, jak już mówiłam, poważne zamieszki muszą się zacząć w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

– Na pewno przyjemnie jest tak poluzować sobie uzdę, ale wolałbym najpierw wywieźć z miasta moją żonę – powiedział Mark.

– Gdzie ona mieszka? – zapytała Wróżka.

– W Sandown.

– Och, tam będzie spokojnie. A tymczasem ty i ja musimy się zająć relacją z tych wydarzeń.

– Ale... po co to wszystko?

– Przepisy stanu wyjątkowego – odpowiedział Feverstone. – Nigdy nie przejmujemy władzy w Edgestow, dopóki rząd nie dojdzie do wniosku, że trzeba tu wprowadzić stan wyjątkowy.

– O to właśnie chodzi – odezwał się Filostrato. – Cała ta gadanina o pokojowej rewolucji to bzdury dla naiwnych. Nie chcę przez to powiedzieć, że *canaglia* zawsze stawia opór, często trzeba ich w to wpędzić, ale dopóki są zamieszki, strzelanina, barykady, nikt nie może działać w sposób efektywny. Żeby sterować łodzią, nie wystarczy jej ładunek.

– Teksty muszą być gotowe do druku, żeby mogły się pojawić w prasie następnego dnia po zamieszkach – powiedziała pani Hardcastle. – To oznacza, że trzeba je wręczyć WD jutro rano przed szóstą.

– Ale jak mamy je napisać dziś w nocy, skoro to wszystko wydamy się jutro?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Jeżeli będziesz do tego tak podchodził – rzekł Feverstone – to jako dziennikarz nigdy nie zdobędziesz sławy. Przecież nie musisz czekać na to, żeby coś się stało, zanim o tym napiszesz!

– No cóż – powiedział Mark z uśmiechem na ustach – trochę to trudne, jeśli się nie żyje w wymyślonym przez Dunne'a świecie równoległych czasów albo po tamtej stronie lustra.

– Nie ma rady, synku – powiedziała pani Hardcastle – trzeba się od razu do tego zabrać.

Wypijemy jeszcze po jednym i idziemy na górę do roboty. Powiem, żeby nam podali o drugiej jakieś odgrzewane mięso i kawę.

Po raz pierwszy w życiu zażądano od Marka, by uczynił coś, co – jak dobrze wiedział – było zwykłym przestępstwem. Prawdę mówiąc, sam moment wyrażenia na to zgody jakoś umknął jego uwadze. Nie opierał się, nie miał poczucia, że znajduje się na zakręcie. Może w historii były takie momenty, których powagę od razu się wyczuwało – czarownice wieszczyły przy ognisku bliskość tragedii Makbeta, Cezar musiał podjąć decyzję o przejściu przez Rubikon. Ale dla niego to wszystko utonęło w odmętach beztroskiej gawędy i ś miechu, a jak wiadomo, taki ś miech w gronie bliskich sobie profesjonalistów jest najsilniejszym ś rodkiem znieczulającym sumienie, pozwalającym człowiekowi dokonywać bardzo złych czynów, zanim sam stanie się bardzo złym człowiekiem. W kilka minut później wchodził już po schodach za Wróżką. Po drodze minął ich Cosser. Mark, pochłonięty rozmową ze swoją towarzyszką, kątem oka dostrzegł, że Cosser bacznie się im przygląda. I pomyśleć, że kiedyś czuł przed nim respekt!

– Kto obudzi WD o szóstej? – zapytał Mark.

– To chyba nie bę dzie potrzebne – odpowiedziała Wróżka. – Przecież stary musi kiedyś spać.

Ale nie mam pojęcia, kiedy to robi.

\* \* \*

O czwartej nad ranem Mark siedział w gabinecie Wróżki, czytając dopiero co napisane przez siebie artykuły: jeden do najbardziej wpływowej gazety brytyjskiej, drugi do bardziej popularnej.

Praca nad tymi artykułami zajęła mu tylko część nocy i nie miała w sobie nic, co mogłoby mile polectać jego literacką próżność. Najpierw musiał się mocno natrudzić nad kompilacją samych faktów. Pierwszy z artykułów wstępnych brzmiał następująco: *Na ostateczny komentarz na temat zamieszek, do jakich doszło ostatniej nocy Edgestow, jest jeszcze za wcześnie. Już jednak teraz, na podstawie pierwszych doniesień, można zaryzykować dwie konkluzje, których oczywistość zapewne nie zostanie osłabiona przez dalszy rozwój wypadków. Po pierwsze, wydarzenia te muszą wywołać*

szok wstrząsający poczuciem błęgiego samozadowolenia ze stanu naszej „oświeconej” cywilizacji, jakie wciąż jeszcze wś ród nas pokutuje. Trzeba, rzecz jasna, pamiętać, że przemiana uniwersyteckiego miasteczka ui nowoczesny, sponsorowany przez państwo oś rodek badań naukowych nie może się odbyć bez pewnych tarć i utrudnień dla ludności miejscowej. Anglicy traktowali jednak zawsze podobne niedogodności ze spokojem i humorem. Nigdy nie odmawiali – jeśli tylko wyjaś niono im we właściwy sposób cel i sens jakiegoś przedsięwzięcia – ofiar, i to ofiar niejednokrotnie większych niż owe zmiany w zwyczajach i postawach obywateli Edgestow, jakich domaga się dziś wielka sprawa postępu. Nie ma najmniejszego powodu, by oskarżać NIBS o naduż ycie władzy lub o brak rozwagi i zwykłej uprzejmości. Nie ulega też wątpliwości, że punktem zapalnym zamieszek była zwykła sprzeczka w miejscowej gospodzie między jednym z robotników zatrudnionych przez NIBS a jakimś zbyt pewnym siebie mieszkańcem Edgestow. A łe, jak już dawno zauważył Stagiryta, drobne incydenty zawsze mają jakieś głębsze przyczyny i nie sposób wątpić, że ten mało znaczący epizod został rozdmuchany, jeśli nie wykorzystany świadomie, w imię grupowych interesów i szeroko rozprzestrzenionych uprzedzeń.

Byłoby głęboko niepokojące, gdybyśmy zostali zmuszeni podejrzewać, że tak łatwo (choć, mamy nadzieję, tylko czasowo) mogłaby odżyć stara nieufność do planowanej skuteczności działania i niechęć do tego, co bywa dość dwuznacznie nazywane „biurokracją”. Z drugiej strony, podejrzenie takie, Ujawniając luki i słabości naszego systemu edukacji, wskazuje jednocześnie na te właśnie choroby społeczne, do których uleczenia NIBS został powołany. I możemy być pewni, że się z tego zadania wywiąże. Naród popiera ow „wspaniały pokojowy wysiłek”, jak trafnie określił pan Jules projekt powołania Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych. Każda próba storpedowania tego wysiłku, na jaką odważ yłaby się opozycja, musiałaby zostać uznana za przejaw ignorancji i spotkałaby się – jak wolno mieć nadzieję – ze zdecydowanym sprzeciwem.

Druga refleksja, jaką budzą wydarzenia ostatniej nocy, jest bardziej krzepią ca. Pierwotna propozycja, by wyposażyć NIBS w coś, co bywa niezbyt trafnie nazywane jego własnymi „siłami policyjnymi”, spotkała się z nieufnością wielu ż ródeł informacji. Nasi czytelnicy zapewne pamiętają, e nie dzielając tej nieufności, podkreślaliśmy jednocześnie, iż biorąc pod uwagę kompleksową strukturę współczesnego społeczeństwa, byłoby anachronizmem powierzenie faktycznej egzekucji woli tego społeczeństwa zespołowi ludzi, którego naturalną funkcją jest zapobieganie i wykrywanie zbrodni. Wykazywaliś my, że policja powinna wczes niej czy póź niej zostać uwolniona od owego narastającego wciąż ciężaru przymusowych funkcji, jakie nie mieszczą się w ramach jej naturalnych zadań. Wszyscy pamiętamy, w jaki sposób rozwiązywano ten problem w innych krajach, tworząc prawdziwe „państwo w państwie”, co okazało się fatalne zarówno dla wolność ci, jak i dla sprawiedliwości. Tak zwana policja NIBS-u, którą powinno się raczej nazywać „sanitarną władzą wykonawczą”, jest specyficznie angielskim rozwiązaniem tego problemu. Jej stosunku do policji narodowej być może nie sposób okreś lić z doskonałą logiczną dokładnością, ale jako naród nigdy nie darzyliśmy logiki zbytnią sympatią. Przedstawiciele władzy wykonawczej w NIBS-ie nie mają żadnych związków z polityką, a jeś li zdarzy się, że mają do czynienia z przestępcami, wymierzają sprawiedliwość bardziej jako „ratownicy” niż jak „policjanci” – jako ratownicy, którzy nie wymierzają kary, tylko leczą. Jeżeli ktoś miał wątpliwości co do sensu powoływania takiej służby, to muszą się one rozwiać po ostatnich wydarzeniach w Edgestow. Obserwowaliśmy tam godną podziwu współpracę między funkcjonariuszami ochr ony NIBS-u i policji państwowej. Jak powiedział dziś rano naszemu korespondentowi jeden z wybitnych oficerów policji: „Gdyby nie policja NIBS-u, sprawy mogłyby przybrać zupełnie inny obrót”.

Jestem pewien, że e gdyby w ś wietle tych wydarzeń uznano za pożądane, aby cały rejon

Edgestow znalazł się przez jakiś określony czas pod wyłączną kontrolą sił porządkowych Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych, to Brytyjczycy nie mieliby co do tego najmniejszych obiekcji. Na szczególne uznanie zasługuje działanie kobiet pełniących służbę w tej formacji, bo był to ten typ działania, w którym odwaga wspaniale wspiera zdrowy rozsądek, a takiego właśnie działania oczekujemy już od angielskich kobiet po tych kilku dramatycznych latach ostatniej wojny. Trzeba włożyć między bajki kłamliwe pogłoski krążące dziś po Londynie o strzelaniu na ulicach Edgestow i setkach rannych. Prawdopodobnie okaże się, kiedy już wszystkie okoliczności tych wydarzeń zostaną wyjaśnione, że – używając słów naszego Premiera – „jeśli popłynęła krew, to na ogół z nosów”.

Drugi artykuł zawierał podobną treść, tyle że wyrażoną dosadniej: Co się wydarzyło w Edgestow?

Oto pytanie, na które zwykły obywatel chce uzyskać odpowiedź. Instytut, który znalazł siedzibę w Edgestow, jest instytutem narodowym, czyli moim i twoim. Nie jesteśmy naukowcami i nie udajemy, że wiemy, o czym myślą najtęższe mózgi w tym instytucie. Wiemy jednak, czego oczekują zwykli obywatele tego kraju. Oczekujemy rozwiązania problemu bezrobocia, skutecznej walki z rakiem, zapewnienia wszystkim mieszkań i skutecznej edukacji, naprawy chorej waluty, uporania się ze skutkami wojny. Oczekujemy lepszych, czystszych i bardziej wszechstronnych warunków w życiu dla naszych dzieci, w których będziemy razem z nimi maszerować zawsze naprzód, aby w pełni rozwinąć w sobie wolę życia zaszczepioną przez Boga w każdym z nas. A NIBS jest instrumentem spełnienia tego wszystkiego, o co walczymy.

Ale co się dzieje w Edgestow?

Czy można uwierzyć w to, że zamieszki wybuchły tylko z tego powodu, że właściciel sprzedał instytutowi grunt, na którym stał sklep lub domek pani Snooks czy pana Bugginsa? Zapytajcie obywateli Edgestow! Oni dobrze wiedzą, że obecność instytutu w ich mieście oznacza rozwój handlu i infrastruktury miejskiej, wzrost zaludnienia, jednym słowem – niebywały wzrost dobrobytu. Twierdzą, że te zamieszki zostały przez kogoś WYWOŁANE.

Może to dziwne oskarżenie, ale prawdziwe.

Dlatego pytam po raz wtóry: co się naprawdę dzieje w Edgestow?

Działają tam zdrajcy. Nie lękam się tego powiedzieć, bez względu na to, kim ci zdrajcy są. Być może są to ludzie uważani za religijnych. Być może są to jacyś finansjści. Być może są to profesorowie i filozofowie samego Uniwersytetu Edgestow. Może Żydzi. Może prawnicy. Nie dbam o to, kim są, ale mam im do powiedzenia jedno: strzeżcie się. Naród angielski nie zamierza wam tego puścić płazem. Nie pozwolimy, aby sabotowano NIBS.

Co trzeba zrobić w Edgestow?

Uważam, że trzeba zapewnić instytutowej policji pełną swobodę działania w tym mieście. Kto w któryś weekend odwiedził Edgestow, ten dobrze wie, jak tam jest – małe, senne miasteczko z sześcioma policjantami, których jedynym zajęciem od dziesięciu lat było zatrzymywanie rowerzystów za brak świateł. To absurd, by oczekiwać, że ci skromni stróże prawa poradzą sobie z czymś takim jak SZTUCZNIE WYWOŁANE ZAMIESZKI. Ubiegłej nocy policja NIBS-u udowodniła, że potrafi sobie z nimi poradzić. czapki z głów przed panią Hardcastle i jej dzielnymi chłopcami! Kwiaty "la jej dzielnych dziewcząt! Dajmy im wolną rękę, a oni już dadzą sobie z tym wszystkim radę. Precz z Czerwoną Linią!

Mam jedną radę. Jeśli usłyszycie, że ktoś podniósł rękę na policjantów z NIBS-u, powiedzcie mu, gdzie jest jego miejsce. Jeśli usłyszycie, że ktoś przyrównuje tych dzielnych chłopców do gestapo albo NKWD, powiedzcie mu, że już to kiedyś słyszeliście. Jeśli usłyszycie, że ktoś mówi o

angielskich swobodach (przez które rozumie wolność dla obskurantów, pań Grundy, biskupów i kapitalistów), pilnie mu się przyglądajcie. To wróg. Powiedzcie mu ode mnie, że NIBS to bokserka rękawica na pięści demokracji, i że jeśli mu się to nie podoba, to niech zjeżdża z drogi.

*W każdym razie – OBSERWUJCIE TO, CO SIĘ BĘDZIE DZIAŁO W EDGESTOW.*

Można by przypuszczać, że po ochłonięciu z ekscytującej gorączki, jaka go ogarnęła w trakcie pisania tych artykułów, Mark powinien odzyskać resztki zdrowego rozsądku i poczuć odrazę do samego siebie, kiedy przeczytał gotowe już teksty. Niestety, było odwrotnie. Im dłużej nad nimi pracował, tym bardziej wierzył w ich treść.

Uwierzył całkowicie, kiedy przepisał je na czysto. Tak to już bywa, że kiedy człowiek postawi wszystkie kropki nad „i” i doda wszystkie brakujące przecinki, nie chce wrzucić tekstu do kosza.

Im więcej razy odczytywał swoje artykuły, tym bardziej mu się podobały. A zresztą, przecież to tylko zabawa... W wyobraźni już widział siebie w starszym wieku, bogatego (prawdopodobnie z tytułem para, a już na pewno otaczanego powszechnym szacunkiem), kiedy bę dzie już dawno po wszystkim – kiedy już nikt nie będzie pamiętał o tych wszystkich niezbyt przyjemnych aspektach działania NIBS-u – karmiącego młodzież niesamowitymi opowieściami o czasach, w których żyje obecnie. („Ach... dziwne to były czasy... Pamiętam, jak pewnego razu...”). I odnajdywał też w sobie błogą satysfakcję, kiedy pomyś lał, że oto on, który do tej pory pisywał do uczonych periodyków, czytanych tylko przez garstkę innych wykładowców uniwersyteckich, pisze teraz do prasy codziennej... a przecież te dwa artykuły to dopiero początek... redaktorzy czekają niecierpliwie na jego teksty... czytelnicy w całej Europie sięgają po gazety, by odszukać jego nazwisko... coś naprawdę zależy od tego, co napisze. Czuł dreszcz dziwnego podniecenia, gdy pomyślał, że dano mu do ręki jakiś potężny instrument władania ludzkimi poglądami i zachowaniami. A przecież jeszcze nie tak dawno podniecał się tym, że dopuszczono go do Postępowej Elity w Bractonie... A czym była Postępowa Elita w porównaniu z tym wszystkim?

Pisał te artykuły z przymrużeniem oka – ta fraza bardzo mu odpowiadała, ponieważ pomagała mu uwierzyć, że całą tę sprawę można traktować w kategoriach dowcipu. Zresztą, gdyby on tego nie napisał, znalazłby się ktoś inny. A utajone w nim dziecko szeptał o, jak cudownie jest być dorosłym, który siedzi sobie w nocy pełen alkoholu, ale nie pijany, i pisze tak swobodnie (z przymrużeniem oka) dla znanych w całym kraju gazet, wyprzedzając to, co dopiero się stanie, ze świadomością, że na jego tekst czeka londyńska drukarnia i cała elita NIBS-u. I że nikt już nie będzie miał prawa uważać go za zero.

\* \* \*

Jane wyciągnęła rękę w ciemności, ale nie wyczuła stolika, który powinien stać przy łóżku.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wcale nie leży w łóżku, tylko stoi w ciemnoś ci i czuje dotkliwe zimno. Jeszcze raz wyciągnęła rękę i dotknęła chropowatej powierzchni kamiennej ściany.

Powietrze też było jakieś dziwne – martwe, nieco zatęchłe. Gdzieś z oddali, chyba z gó ry, ale jakby przez grubą warstwę ziemi, dochodziły jakieś stłumione odgłosy. A więc stało się to najgorsze: bomba spadła na jej dom, a ona jest pogrzebana żywcem. Ale zanim obudziło się w niej poczucie całej grozy tej sytuacji, przypomniał a sobie, że przecież wojna już się skończyła... och, i tyle się wydarzyło... poślubiła Marka... widziała Alcasana w celi... spotkała Camillę. A potem, z wielką ulgą, pomyślała: „To jeden z moich snów. To tylko jakieś nowe wiadomości. To się zaraz skończy.

Nie ma się czego bać”.

Nie wiedziała, gdzie jest, wyczuwała tylko, że w jakimś zamkniętym pomieszczeniu. Macając chropowatą ścianę, posunęła się kilka kroków i uderzyła boleśnie nogą w coś twardego. Pochyliła się i zaczęła badać to rękami. Jakaś platforma albo stół z kamienia, około metra wysokości. A na

niej? Czy ośmieli się to zbadać? Ale nie zrobić tego... nie, to jeszcze gorzej. Przesunęła dłonią po powierzchni kamiennego stołu i w następnej chwili przygryzła mocno wargi, aby nie krzyknąć, ponieważ dotknęła zimnej ludzkiej stopy nagiej i zapewne martwej. Dalsze macanie w ciemnościach wydawało się najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła, ale czuła, że musi to zrobić. Tkanina okrywająca leżące na kamiennej ławie ciało była bardzo szorstka i nierówna, jakby ją ozdobił bogatym haftem. Musiał to być wielki mężczyzna. Na jego piersiach wyczuła coś, co przypominało skórę jakiegoś włochatego zwierzęcia. Dopiero po chwili zrozumiała, że to długa broda. Zawahała się przed dotknięciem twarzy, bojąc się, że ten człowiek może się poruszyć albo przebudzić, albo do niej przemówić. Znieruchomiała na chwilę. To tylko sen, przecież nic się jej nie stanie... ale jaki straszny... jakby oglądała coś, co wydarzyło się bardzo dawno temu, jakby przez jakąś szczelinę w czasie wpadła w ciemną, zimną studnię odległej przeszłości. Miała tylko nadzieję, że to nie będzie trwało zbyt długo. Och, gdyby tylko ktoś szybko przyszedł i pozwolił jej stąd wyjść! I nagle ujrzała wizję kogoś brodatego, ale (to było dziwne) bosko młodego, kogoś złościstego, silnego i ciepłego, nadchodzącego zdecydowanym krokiem, od którego dygotała ziemia. Sen stał się jeszcze bardziej chaotyczny. Czuła, że powinna skłonić się przed tą osobą (która wcale się nie pojawiła, ale której obecność wyraźnie wyczuwała) i bardzo się zmieszała, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że mgliste wspomnienia z lekcji tańca w szkole wcale jej w tym nie pomogą. W tym momencie się obudziła.

Zaraz po śniadaniu poszła do Edgestow, aby raz jeszcze spróbować znaleźć kogoś na miejsce pani Maggs. Na Market Street wydarzyło się coś, co zmusiło ją w końcu do postanowienia, że musi pojechać do St Anne's jeszcze tego samego dnia, pociągiem o dziesiątej dwadzieścia trzy.

Zobaczyła zaparkowany przy chodniku wielki samochód należący do NIBS-u. Kiedy była blisko, ze sklepu wyszedł jakiś mężczyzna, przeciął jej drogę i wsiadł do samochodu. Przez chwilę był tak blisko, że pomimo mgły zobaczyła wyraźnie jego twarz, jakby wyskakującą z szarego tła pośród hałaśliwego zgiełku, który teraz wciąż rozbrzmiewał na ulicach Edgestow. Poznałaby ją wszędzie; nawet twarz Marka, nawet jej własna twarz w lustrze nie byłaby jej teraz tak dobrze znana, jak ta.

Zobaczyła ostro zakończoną bródkę, binokle, twarz przywodzącą na myśl figury woskowe. Nie musiała się zastanawiać, co zrobić. Zdecydowało o tym jej ciało, jej nogi zmierzające szybko w kierunku stacji. I to nie strach (choć była tak przerażona, że ogarnęły ją mdłości) kazał jej wsiąść do pociągu jadącego do St Anne's. Wszystkie poziomy jej osobowości odrzucały tego człowieka w taki sposób, że nie musiała nimi rządzić wola czy rozum. Już nieważne były jej sny w porównaniu z oślepiającą rzeczywistością obecności tego człowieka. Wzdrygała się na myśl, że ich ręce mogłyby się zetknąć, kiedy go mijają.

W pociągu było ciepło, przedział był pusty. Usiadła i poczuła ulgę. Powolna podróż przez mgłę prawie ją uspiła. Nawet nie myślała o St Anne's, dopóki się tam nie znalazła. Wspinając się na wzgórze, nie snuła żadnych planów, nie zastanawiała się, co powie, myślała tylko o Camilli i o pani Dimble. Cała jej osobowość została przeorana panicznym strachem, ujawniając podglebie dziecięcych lęków i pragnień. Chciała po prostu być z „miłymi ludźmi”, z dala od „brzydkich ludzi” – to podstawowe rozróżnienie z przedszkola było teraz ważniejsze od wszystkich późniejszych kategorii dobra i zła, przyjaciela i wroga.

Z tego stanu wyrwało ją spostrzeżenie, że zrobiło się jaśniej. Spojrzała przed siebie. Ten zakręt drogi jest bardziej widoczny, niż powinien być w takiej mgle... A może wiejska mgła różni się od tej miejskiej? W każdym razie z całą pewnością to, co było szare, stawało się białe, oślepiająco białe. W chwilę później nad głową ujrzała cudowny błękit. Drzewa rzucały cienie (nie widziała cieni od wielu dni) i nagle rozwinął się nad nią przepych całego nieba z bladym słońcem, a kiedy na

zakręcie spojrzała za siebie, zobaczyła, że stoi na brzegu zielonej, zalanej słońcem wysepki pośród morza białej mgły, zmierzwionego i postrzępionego na krawędziach, ale płaskiego, rozciągającego się tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem. I były tam inne wyspy. Ta ciemna, na zachodzie, to zalesione wzgórza nad Sandown, gdzie wyprawiał a się na piknik z Dennistonami, a ta o wiele większa i jaśniejsza na północy to skaliste wzgórza – prawie góry – z których wypływała rzeka Wynd. Wzięła głęboki oddech. To rozmiary tego świata ponad mgłą tak ją wstrząsnęły. Tam, w dole, w Edgestow, nawet po wyjściu z domu czuła się ostatnio jak w zamkniętym pomieszczeniu, bo widziała tylko najbliższe obiekty. Prawie już zapomniała, jak wielkie jest niebo, jak daleki może być horyzont.



## Rozdział 7

### *Pendragon*

Zanim dotarła do furtki w murze, spotkała Dennistona, który wprowadził ją do środka główną bramą, otwierającą się na tę samą drogę kilkaset metrów dalej. Opowiedziała mu wszystko. W jego towarzystwie miała to dziwne uczucie, jakie zna większość małżonków, spotykając kogoś, kogo (z zupełnie nieznanego powodu) nigdy by się nie poślubiło, ale kto jednak w jakiś sposób jest bardziej bliski od osoby, którą się poślubiło w rzeczywistości. Kiedy weszli do domu, spotkali panią Maggs.

– Co? Pani Studdock? Niemożliwe!

– Tak, Ivy – powiedział Denniston. – I w dodatku z bardzo ważnymi wiadomościami. Musimy natychmiast zobaczyć się z Grace. MacPhee jest gdzieś w pobliżu?

– Od dawna pracuje w ogrodzie. A doktor Dimble wybrał się do swojego kolegium. Camilla jest w kuchni. Przysłać ją?

– Tak. I jeśli zdołasz, to przekonaj Pana Bultitude'a, żeby nam nie przeszkadzał.

– Dobrze, dobrze. Już ja zadbam, żeby nie napsocił. Napije się pani herbaty, pani Studdock? Po tej jeździe pociągiem i tym wszystkim...

Po kilku minutach Jane znalazła się ponownie w pokoju Grace Ironwood. Pani Ironwood i Dennistonowie usiedli naprzeciw niej, tak że poczuła się, jakby miała zdawać jakiś egzamin ustny.

A kiedy Ivy Maggs wniosła herbatę, nie odeszła, lecz także usiadła.

– No więc! – powiedziała Camilla, a jej oczy rozblęły czymś w rodzaju mentalnego głodu, zbyt skoncentrowanego, by nazwać go podnieceniem.

Jane rozejrzała się po pokoju.

– Nie krępuj się obecnością Ivy – powiedziała pani Ironwood.

– Należy do naszej grupy.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Otrzymaliśmy twój list – ciągnęła po przerwie pani Ironwood – z opisem snu o mężczyźnie ze spiczastą bródką, siedzącym w twojej sypialni i robiącym notatki. Powinam ci chyba powiedzieć, że nie było go tam w rzeczywistość ci, w każdym razie Przewodniczący sądzi, że to niemożliwe. Ale studiował cię naprawdę. Zbierał o tobie informacje z innych źródeł, których, niestety, nie widziałas w swoim śnie.

– Czy mogłabyś jeszcze raz opowiedzieć to, o czym mi mówiłaś, gdy tutaj szliś my? – zapytał Denniston.

Jane opowiedziała o ostatnim śnie z martwym ciałem na kamiennym katafalku i o spotkaniu mężczyzny z bródką na Market Street. Natychmiast spostrzegła, że jej słowa wzbudziły najwyższe zainteresowanie.

– Nie do wiary! – zawołała Ivy Maggs.

– Więc mieliśmy rację co do Lasu Bragdon! – zawołała Camilla.

– To naprawdę Belbury – powiedział jej mąż. – Ale jeśli tak, to jak się tam znalazł Alcasan?

– Wybaczcie – odezwała się pani Ironwood spokojnym głosem, a wszyscy natychmiast umilkli – ale nie możemy teraz o tym mówić. Pani Studdock jeszcze się do nas nie przyłączyła.

– Więc niczego się nie dowiem? – zapytała Jane.

– Młoda damo, musisz mi wybaczyć. Nie byłoby to rozsądne i szczerze mówiąc, nie wolno nam tego zrobić. Czy pozwolisz, że zadam ci dwa pytania?

– Proszę bardzo – odparła Jane trochę obrażonym tonem, choć wcale nie poczuła się obrażona,

bo obecność Camilli i jej męża w jakiś sposób działała na nią kojąco.

Pani Ironwood otworzyła szufladę, wyjęła jakąś fotografię i wręczyła ją Jane z zapytaniem:

– Czy poznajesz tę osobę?

– Tak – odpowiedziała cicho Jane. – To ten człowiek, który pojawia się w moich snach, ten sam, którego widziałam dziś rano w Edgestow.

Była to dobra fotografia. U dołu widniało imię i nazwisko: Augustus Frost oraz kilka innych danych, na które Jane w tym momencie nie zwróciła uwagi.

– Wobec tego zadam ci drugie pytanie – powiedziała pani Ironwood, wyciągając rękę po fotografię. – Czy jesteś gotowa zobaczyć SIC z Przewodniczącym... teraz?

– No... tak, jeśli to potrzebne.

– A więc, Arthurze, chyba byłoby lepiej, żebyś poszedł do niego i sprawdził, czy czuje się na tyle dobrze, aby porozmawiać z panią Studdock.

Denniston natychmiast wstał.

– A ja tymczasem chciałabym porozmawiać z panią Studdock w cztery oczy – powiedziała pani Ironwood.

Wszyscy wyszli z pokoju. Wielki kot, którego Jane dotąd nie zauważyła, wskoczył na krzesło, które przed chwilą zwolniła Ivy Maggs.

– Jestem prawie pewna, że Przewodniczący będzie chciał cię przyjąć.

Jane milczała.

– A to oznacza, że będziesz musiała, jak sędzę, podjąć ostateczną decyzję.

Jane zakaszłała, a zrobiła to tylko po to, żeby zakłócić nieznośną dla niej atmosferę uroczystej powagi, która zapanowała w pokoju, kiedy zostały same.

– Zanim zobaczysz się z Przewodniczącym, powinnaś się o nim czegoś dowiedzieć. Wyda ci się bardzo młody, ale to tylko pozory. W rzeczywistość ci bliżej mu do pięćdziesiątki niż do czterdziestki. To człowiek, który wiele przeżył. Podróżował do miejsc, do których nikt przed nim nie zawitał, i poznał społeczności, o których ty czy ja nie mamy najmniejszego pojęcia.

– To bardzo ciekawe – rzuciła Jane, nie okazując większego zainteresowania.

– Muszę cię również prosić, abyś pamiętała, że często ma bardzo silne bóle. Ufam, że bez względu na to, jaką decyzję ostatecznie podejmiesz, zrobisz to w taki sposób, by nie narażać go na niepotrzebne napięcia.

– Jeżeli pan Fisher-King nie czuje się na tyle dobrze, by przyjmować gości... – zaczęła Jane, ale pani Ironwood nie pozwoliła jej skończyć.

– Musisz mi wybaczyć, że mówię ci o tych sprawach. Jestem tu jedynym lekarzem i moim obowiązkiem jest dbanie o jego zdrowie. Muszę go ochraniać. A teraz pozwól, że zaprowadzę cię do Niebieskiego Pokoju.

Wstała i otworzyła drzwi. Poprowadziła ją wąskim, jasnym korytarzem, a potem po kilku stopniach w górę, do wielkiego holu, skąd wiodły szerokie, georgiańskie schody na wyższe piętra.

Dom okazał się większy, niż Jane z początku sądziła. Było w nim ciepło i bardzo cicho, a po tyłu dniach spędzonych w gęstej mgie jesienne słońce, padające na miękkie dywany i ściany, wydało się jej ożywczo jasne i złociste. Na pierwszym piętrze znalazły się w niewielkim westybulu z białymi kolumnami. Były tam drzwi, przy których czekała Camilla.

– Pragnie ją zobaczyć – powiedziała do pani Ironwood.

– Bardzo cierpi?

– Bóle nie są ciągłe. To jeden z jego dobrych dni.

Pani Ironwood uniosła rękę, żeby zapukać do drzwi, a Jane pomyślała: „Bądź ostrożna. Nie daj

się w nic wciągnąć. Te wszystkie długie korytarze i przyciszone głosy mogą oglupić każdego, jeśli się nie ma na baczności. Nie stań się jeszcze jedną wielbicieleką tego mężczyzny".

Pokój okazał się bardzo jasny i ciepły. Na kominku płonął ogień. Przeważał kolor niebieski.

Pani Ironwood oznajmiła jej przybycie i wykonała głęboki ukłon, co wprowadziło Jane w zmieszanie.

„Nie zrobię tego”, pomyślała. „Nie mogę”. I natychmiast sobie przypomniała: tak było w jej śnie.

– To jest ta młoda dama – powiedziała pani Ironwood.

Jane spojrzała i w tej samej chwili jej świat rozleciał się na kawałki.

Na sofie, z jedną nogą obandażowaną, jakby był ranny, leżał młodzieniec wyglądający na dwadzieścia lat.

Po długim parapecie jednego z wielu okien spacerowała oswojona kawka. Na suficie mieszały się ze sobą refleksy promieni słońca i blasku ognia na kominku, ale całe światło w pokoju zdawało się biec ku złotym włosom i złotej brodzie leżącego na sofie rannego.

Oczywiście nie był chłopcem – jak mogła tak pomyśleć?! To przez tę gładkość skóry na czole, na policzkach i przede wszystkim na rękach. Ale żaden chłopiec nie mógł mieć takiej bujnej brody.

I żaden chłopiec nie mógł być tak... tak silny. Spodziewała się zobaczyć inwalidę, ale teraz nie miała wątpliwości, że nikt nie wyrwałby się z uścisku tych rąk, a wyobraźnia podpowiadała jej, że te ramiona mogłyby podtrzymać cały dom. Pani Ironwood, stojąca u jej boku, wyglądała teraz jak pomarszczona, blada staruszka, jak ktoś, kogo można odepchnąć jednym mocnym dmuchnięciem.

Sofa, na której leżał, stała na czymś w rodzaju niskiego podium. Jane miała wrażenie, że za nią zwisają jakieś niebieskie draperie (dopiero później spostrzegła, że to parawan), więc poczuła się trochę tak, jakby się znalazła w sali tronowej. Gdyby ktoś jej o tym opowiadał, gdyby nie widziała tego na własne oczy, uznałaby to za głupotę. Za oknami nie widać było drzew czy wzgórz ani zarysów innych budynków, tylko płaski kobierzec mgły, jakby ten mężczyzna i ona sama znajdowali się na szczycie niebieskiej wieży ponad całym światem.

Przez jego twarz przemknął grymas bólu. Ale podobnie jak błyskawica rozdziera ciemności, a potem ciemności zwierają się ponownie bez blizny światła, tak spokój na jego twarzy pochłonął krótki wstrząs fizycznej męki. Jak mogła pomyśleć, że jest młody? Ale czy był stary? Poczuła krótki dreszcz lęku, gdy przemknęło jej przez głowę, że ta twarz w ogóle pozbawiona jest oznak wieku. Dotychczas nie lubiła (albo tak się jej wydawało) brodatych twarzy, chyba że były to twarze siwych starców. A wszystko dlatego, że już dawno zapomniała o baśniowym Arturze swojej młodości – i o Salomonie. Tak... o Salomonie... bo oto po raz pierwszy od wielu lat pojawił się w jej świadomości jaśniejące, słoneczne połączenie króla, kochanka i maga, związane z tym imieniem.

Po raz pierwszy od wielu lat poczuła smak słowa „Król”, ze wszystkimi skojarzeniami, jakie ono budziło: bitwa, małżeństwo, kapłaństwo, łaska i moc. W chwili, w której spoczęło na niej jego spojrzenie, zapomniała, kim sama jest i gdzie się znajduje, zapomniała o swoich żalach i urazach wobec Grace Ironwood, wobec Marka, wobec swojego dzieciństwa i wobec domu swojego ojca.

Trwało to, oczywiście, bardzo krótko. W następnej chwili była już znowu zwykłą Jane, czującą gwałtowną falę zażenowania na myśl, że od kilku minut gapi się w nieokrzesany sposób (a w każdym razie miała nadzieję, iż przede wszystkim nieokrzesanie widoczne jest na jej twarzy) na zupełnie nieznanego mężczyznę. Ale jej świat legł w gruzach, wiedziała o tym. Teraz wszystko mogło się zdarzyć.

– Dziękuję ci, Grace – powiedział mężczyzna, a jego głos również przywodził na myśl słoneczne światło i złoto.

Tak, złoto, i to nie tylko dlatego, że jest złote, ale i ciężkie. Tak, światło słońca, i to nie tylko dlatego, że jesienią pada łagodnie na mury angielskich domów, ale i dlatego, że smaga dżunglę lub pustynię, pobudzając w nich życie albo to życie niszcząc. A teraz padało na nią.

– Proszę mi wybaczyć, pani Studdock, że nie wstaję. Mam zranioną stopę.

A Jane usłyszała swój własny głos:

– Tak, proszę pana.

Był to głos cichy, pełen szacunku, jak głos pani Ironwood. Chciała powiedzieć: „Dzień dobry, panie Fisher-King”, i to swobodnym tonem, którym by pokryła zmieszanie, jakie ją ogarnęło, gdy weszła do tego pokoju. Nic z tego nie wyszło. Po chwili siedziała już przed Przewodniczącym.

Była wstrząśnięta, nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Miała rozpaczliwą nadzieję, że się nie rozplacze, że będzie w stanie mówić, że nie robi czegoś głupiego. Bo jej świat legł w gruzach teraz wszystko mogło się zdarzyć. Och, gdyby już było po tej rozmowie! Żeby już mogła wyjść z tego pokoju, nie zbłaźniwszy się uprzednio do końca, wyjść stąd i odejść gdzieś daleko – nie na zawsze, ale na długo.

– Czy życzy pan sobie, żebym została? – zapytała pani Ironwood.

– Nie, Grace – odpowiedział Przewodniczący. – Nie sądzę, żebyś musiała zostać. Dziękuję.

„I teraz, pomyślała Jane, teraz to nadchodzi... nadchodzi... teraz to się zacznie”.

W głowie kłębiły się jakieś najbardziej nieznośne pytania, które mógł jej teraz zadać, wizje najbardziej szalonych czynów, do których mógłby ją zmusić. Poczula, że nie jest w stanie mu się przeciwstawić, że nie ma siły na żaden opór, że jest całkowicie bezbronna.

\* \* \*

Przez kilka pierwszych minut po odejściu pani Ironwood do Jane nie bardzo docierało, co Przewodniczący mówi. Nie oznacza to, że nie mogła się skupić, przeciwnie, jej uwaga była tak na nim skoncentrowana, że niszczyła samą siebie. Każdy ton głosu, każde spojrzenie (jak mogli sądzić, że uzna go za kogoś młodego?), każdy gest wyciskał swoje piętno na jej pamięci, i dopiero kiedy przestał mówić i najwyraźniej czekał na odpowiedź, zdała sobie sprawę, że zupełnie nie wie, o czym mówił.

– Proszę... proszę mi wybaczyć... czy mógłby pan powtórzyć? – spytała, modląc się w duchu, żeby nie spłonęła rumieńcem jak uczennica.

– Mówiłem, że już wiele pani dla nas zrobiła. Wiedzieliśmy, że wkrótce na tej wyspie rozpocznie się najgroźniejszy w dziejach atak na ludzką rasę. Podejrzewaliśmy, że Belbury może mieć z tym coś Wspólnego. Ale nie mieliśmy pewności. Nie wiedzieliśmy, że Belbury jest aż tak ważne. Właśnie dlatego pani informacje są tak cenne – Z drugiej jednak strony, z pani osobą wiążą się pewne trudności. Mieliśmy nadzieję, że będzie pani mogła przyłączyć się do nas... że zaciągnie się pani do naszej małej armii.

– A nie mogę? – zapytała Jane.

– To dość trudne – odpowiedział po chwili milczenia. – Widzi pani, pani mąż jest w Belbury.

Jane podniosła głowę i spojrzała na niego. Już miała na końcu języka zdanie: „Czy uważa pan, że Mark jest w niebezpieczeństwie?”, gdy zdała sobie sprawę, że tak naprawdę niepokój o Marka wcale nie jest częścią emocji, które nią teraz owładnęły, i że takie pytanie byłoby przejawem hipokryzji. Był to ten rodzaj skrupułów, które nieczęsto odczuwała.

– Co pan ma na myśli? – zapytała w końcu.

– To oczywiste, że trudno się zgodzić, by ta sama osoba była żoną jednego z członków NIBS-u i jednocześnie należała do naszej grupy.

– Chce pan powiedzieć, że nie możecie mieć do mnie zaufania?

– Chcę powiedzieć, że biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, pani, ja i pani mąż nie możemy sobie wzajemnie ufać.

Jane przygryzła wargi ze złości – nie na Przewodniczącego, ale na Marka. Dlaczego Mark i jego ciemne sprawy z tym całym Feverstone'em muszą pojawić się właśnie w takim momencie?

– Powinnam robić to, co uważam za słuszne, prawda? – zapytała cicho. – To znaczy... jeśli Mark... jeśli mój mąż... jest po złej stronie, taka sytuacja nie może mieć wpływu na to, co ja zrobię.

– A myśli pani o tym, co jest słuszne? – zapytał Przewodniczący.

Jane drgnęła i oblała się rumieńcem. Wcale o tym nie myślała.

– Oczywiście – mówił dalej Przewodniczący – sprawy mogą dojść do takiego punktu, w którym będzie pani usprawiedliwiona, przychodząc do nas nawet wbrew jego woli, nawet w tajemnicy przed nim. To zależy od tego, jak blisko jest zagrożenie... dla nas wszystkich i dla pani osobiście.

– Myślałam, że to zagrożenie już nad nami wisi... w każdym razie tak wynikało ze słów pani Denniston.

– To wciąż nie jest takie oczywiste – odrzekł z uśmiechem Przewodniczący. – Nie wolno mi być zbyt ostrożnym, ale nie wolno mi też stosować ostatecznych środków, dopóki objawy krytycznego stanu nie będą naprawdę oczywiste. Bo w przeciwnym razie upodobnimy się do naszych wrogów: będziemy łamać wszelkie zasady gdy tylko sobie wyobrazimy, że przyczyni się to do jakiegoś bliżej nieokreślonego dobra w odległej przyszłości.

– Ale gdybym tu została, to czy komuś bym tym zaszkodziła?

Nie odpowiedział bezpośrednio na to pytanie. Po chwili milczenia rzekł:

– Wygląda na to, że będzie pani musiała wrócić, w każdym razie teraz. Bez wątpienia zobaczy się pani wkrótce ze swoim mężem. Sądzę, że powinna pani dokonać jeszcze jednej próby wyrwania go z NIBS-u.

– Ale jak to zrobić? Co mam mu powiedzieć? Przecież on uzna to wszystko za kompletny nonsens. Nie uwierzy w to wszystko, w ten atak na ludzkość, w to zagrożenie.

Kiedy to powiedziała, zastanowiła się, czy nie zabrzmiało to jak chytry wybieg. A może to był chytry wybieg?

– Nie – rzekł Przewodniczący. – I proszę mu o tym nie mówić. Proszę mu w ogóle nie wspominać ani o mnie, ani o całej naszej grupie. Nasze życie jest w pani rękach. Musi pani po prostu go poprosić, żeby opuścił Belbury. Musi go pani poprosić, żeby zrobił to dla pani. Jest pani jego żoną.

– Mark nigdy nie zwraca uwagi na to, co ja mówię.

Podobnie myślał o niej Mark.

– Może jeszcze nigdy nie prosiła go pani o coś tak, jak powinna to pani uczynić teraz. Czy nie chce pani uratować i jego, i siebie?

Jane zignorowała pytanie. Teraz, kiedy już zrozumiała, że zbliża się chwila opuszczenia tego domu, ogarnęła ją rozpacz. Nie zważając na wewnętrzny głos, który w ciągu tej rozmowy już niejedną raz ukazywał jej własne słowa i pragnienia w całkiem nowym świetle, wybuchnęła potokiem słów:

– Nie odsyłajcie mnie stąd! Jestem tam taka samotna, z tymi okropnymi snami. Z Markiem rzadko się widzimy. Jestem taka nieszczęśliwa... Jemu w ogóle jest obojętne, czy wrócę do domu, czy nie. Wyś miałby mnie, gdybym mu o tym powiedział a. Czy to sprawiedliwe, że bym miała zatrute całe życie tylko dlatego, że on wdał się w jakieś okropne towarzystwo? Przecież chyba pan nie myśli, że zameżna kobieta nie ma prawa do własnego życia?

– A czy teraz jesteś nieszczęśliwa?

Już miała zawołać: „Tak! Tak! Oczywiście cie!”, ale ugryzła się w język. Nagle ogarnął ją dziwny spokój, jakby w samym środku straszego wiru odnalazł a jego nieruchome centrum – prawdę.

Przestała się zastanawiać, jak zabrzmia jej słowa, jak on je oceni, i powiedziała:

– Nie. – A po chwili milczenia dodała: – Ale... ale teraz będzie jeszcze gorzej... jeśli wrócę.

– Na pewno?

– Nie wiem. Nie. Chyba nie.

I przez chwilę zapomniała o wszystkim, czuła tylko bezbrzeżny spokój i błogą wygodę, z jaką siedziało się jej w tym fotelu, w tym pokoju, którego barwy i proporcje odznaczały się tak dziwnym, czystym pięknem. Ale trwało to krótko, bo wnet pojawiła się w jej świadomości myśl:

„To już koniec. Za chwilę przywoła panią Ironwood, żeby mnie stąd zabrała”. I uwierzyła, że jej los zależy od tego, co teraz powie.

– Ale... czy to naprawdę konieczne? Chyba nie patrzę na małżeństwo tak jak pan. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszystko ma zależeć od tego, co powie Mark... na temat czegoś, czego nie rozumiem.

– Moje dziecko – rzekł Przewodniczący – nie jest ważne, jak ty czy ja patrzymy na małżeństwo. Ważne jest, jak patrzą na to moi zwierzchnicy.

– Ktoś powiedział, że są bardzo staroświeccy, ale...

– To był żart. Nie są staroświeccy, są tylko bardzo, bardzo starzy.

– I nigdy nie pomyślą najpierw o tym, czy Mark i ja podzielamy ich poglądy na małżeństwo?

– Cóż... raczej nie – odpowiedział Przewodniczący z zagadkowym uśmiechem. – Nie. Z całą pewnością o tym nie pomyślą.

– I nie wezmą pod uwagę, jakie to małżeństwo jest teraz... czy się udało, czy żona kocha swojego męża? – Wcale nie zamierzała tego powiedzieć, a już na pewno nie takim patetycznym tonem. – Pewnie powie mi pan, że nie powinnam tego mówić.

– Drogie dziecko – rzekł Przewodniczący – mówisz mi to od chwili, gdy po raz pierwszy wspomniałaś o swoim mężu.

– Czy nie należy tego wziąć pod uwagę?

– Przypuszczam, że to zależy od tego, w jaki sposób utracił twoją miłość.

Jane milczała. Nie potrafiła powiedzieć temu człowiekowi prawdy i, szczerze mówiąc, sama jej nie znała, lecz teraz, kiedy spróbowała zgłębić powody swojej urazy do Marka, poczuła nagle, że nie była wobec niego sprawiedliwa, i nawet zrobiło się jej go trochę żal. I ogarnęła ją rozpacz, bo wydało się jej teraz, że ta rozmowa, po której skrycie spodziewała się rozwiązania wszystkich problemów, w rzeczywistości jeszcze bardziej skomplikowała jej sytuację.

To nie jego wina – powiedziała w końcu. – Myślę, że nasze małżeństwo było po prostu pomyłką.

Przewodniczący nic na to nie powiedział.

– Co by pan... co ci, o których pan wspomniał... powiedzieliby o takim przypadku?

– Powiem ci, jeśli naprawdę chcesz to wiedzieć.

– Tak – odpowiedziała Jane bez przekonania.

– Powiedzieliby, że nie tyle wyrzekłaś się posłuszeństwa z powodu braku miłości, ile straciłaś miłość, bo nigdy nie próbowałaś być posłuszna.

To coś w Jane, co normalnie zareagowałoby na taką uwagę gniewem lub śmiechem, zostało uciszone (choć gdzieś z oddali wciąż słyszała ten głos), a powodem był fakt, że słowo „posłuszeństwo” – choć z pewnością nie posłuszeństwo akurat wobec Marka – spłynęło na nią tu, w tym pokoju, jak jakieś dziwne orientalne perfumy, groźne i zarazem uwodzące.

– Dość! – powiedział Przewodniczący ostrym tonem.

Jane spojrzała na niego z otwartymi ustami. Egzotyczna wonność odpłynęła.

– Co chciałaś powiedzieć, moje dziecko? – zapytał Przewodniczący.

– Myślałam, że miłość oznacza równość. I bycie ze sobą na zasadzie wolnego wyboru.

– Ach, równość! Musimy o tym kiedyś porozmawiać. Tak, równe prawa muszą nas strzec przed żądzą innych ludzi, ponieważ żyjemy w stanie upadku. Z tego samego powodu nosimy ubrania. Ale pod ubraniem jest nagie ciało, wyczekujące dnia, w którym ubrania nie będą nam już potrzebne. Równość nie jest czymś najgłębszym.

– Zawsze myślałam, że równość to po prostu równość. Myślałam, że ludzie są równi w swoich duszach.

– I myliłaś się – powiedział z powagą. – Dusza to ostatnie miejsce, w którym ludzie są równi.

Równość przed prawem, równość w zysku – zgoda. Równość strzeże życia, ale go nie tworzy. To lekarstwo, a nie pokarm. To tak, jakby próbować ogrzać się raportem Parlamentu.

– Ale przecież w małżeństwie...

– Jeszcze gorzej... Nie znają jej zaloty, nie ma jej w spełnieniu. A co ma z tym wspólnego wzajemne obdarzanie się swoją obecnością? Towarzyszami życia są ci, którzy razem się radują albo razem cierpią. Nie są nimi ci, których cieszy druga osoba albo którzy cierpią z powodu drugiej osoby. Nie wiesz, jak wstydliva jest przyjaźń? Przyjaciele... współtowarzysze... nie patrzą nawzajem na siebie. Przyjaźń...

– Myślałam... – powiedziała Jane i umilkła.

– Rozumiem. To nie twoja wina. Nikt cię przed tym nie ostrzegł. Nikt ci nie powiedział, że posłuszeństwo, a więc pokora, jest erotyczną koniecznością. Próbujesz wcisnąć równość tam, gdzie jej wcale nie powinno być. To stwarza pewne wątpliwości co do twojej obecności tutaj. Na razie muszę cię odesłać do domu. Możesz nas odwiedzać. Porozmawiaj ze swoim mężem, a ja porozmawiam ze swoimi zwierzchnikami.

– Kiedy pan się z nimi zobaczy?

– Odwiedzą mnie, kiedy zechcą. Ale przez cały czas rozmawialiśmy o posłuszeństwie trochę zbyt poważnie. Chciałbym teraz pokazać ci jego niektóre śmieszne strony. Nie boisz się myszy, co?

– Czego? – zapytała zaskoczona Jane.

– Myszy.

– Nie – odpowiedziała zdumiona Jane.

Przewodniczący potrząsnął małym dzwonkiem wiszącym obok sofy.

– Zjadłbym teraz obiad, jeśli pani pozwoli – powiedział. Pani podadzą obiad na dole, pani Studdock, i na pewno będzie to coś bardziej treściwego niż to, czym ja się żywię. Ale jeśli dotrzyma mi pani towarzystwa, pokażę pani pewne udogodnienia tego domu.

Pojawiła się pani Maggs z tacą, na której znajdowała się szklanka, mała karafka czerwonego wina i kromka chleba. Postawiła tacę na stoliku przy sofie i wyszła.

– Widzi pani – rzekł Przewodniczący – że żyję jak król z „Księżniczki i Curdiego”. [*Princess and Curdie* – jedna z powieści fantastycznych Georgea Macdonalda, w której chłopcu o imieniu Curdie podawano przez długi czas zaprawione narkotykiem wino.] To zaskakująco przyjemna dieta.

Ułamał kawałek chleba i nalał sobie wina.

– Nie czytałam książki, o której pan wspomniał – powiedziała Jane.

Podczas gdy on jadł i pił, rozmawiali trochę o tej książce, a potem wziął talerz i wysypał okruszki chleba na podłogę.

– A teraz, pani Studdock, zobaczy pani coś ciekawego. Proszę tylko być cicho i się nie ruszać.

Wyjął z kieszeni mały srebrny gwizdek i zagwizdał. Jane siedziała nieruchomo, w pokoju zapadła głucha cisza. I w tej ciszy usłyszała najpierw jakiś szelest, potem cichy chrobot i nagle zobaczyła trzy pulchne myszy maszerujące po puszystym dywanie jak po sawannie. Węszą tu i tam, posuwały się ku nim krętym szlakiem, aż znalazły się tak blisko, że widziała błyski w ich czarnych oczkach i drganie węszących nosków. Pomimo tego, co powiedziała, w rzeczywistości nie przepadała za obecnością myszy blisko swoich stóp, więc siedzenie nieruchomo wymagało od niej pewnego wysiłku. Dzięki temu po raz pierwszy w życiu zobaczyła myszy takimi, jakie naprawdę są – nie skradającymi się, odrażającymi gryzoniami, ale delikatnymi czworonogami, przypominającymi, gdy siadały na tylnych nóżkach, maleńkie kangury, z czułymi przednimi łapkami w gienzowych rękawiczkach i bystrymi, przejrzystymi oczkami. Myszkowało y po dywanie szybkimi, bezszelestnymi ruchami, dopóki nie znalazły i nie zjadły wszystkich okruszków, a wówczas Przewodniczący ponownie zagwizdał i wszystkie trzy machnęły nagle ogonami, po czym pobiegły w stronę skrzyni z węglem, za którą zniknęły. Popatrzył na nią, a oczy mu się śmiały.

(„To niedorzeczne, pomyślała, uważać, że jest stary”).

– Oto przykład – rzekł – bardzo prostego wzajemnego uzgodnienia. Ludzie chcą, żeby na dywanie nie było okruszków, a myszy aż się palą, żeby je usunąć. Nie ma mowy o żadnej wojnie.

Widzi pani jednak, że posłuszeństwo i reguły współżycia bardziej przypominają taniec niż dryl.

Zwłaszcza między mężczyzną i kobietą, a więc w związku, w którym role wciąż się zmieniają.

– Dla tych myszy musimy być olbrzymami – powiedziała Jane.

Bardzo dziwny był powód, dla którego wypowiedziała tę z pozoru nieistotną uwagę. Miała na myśli wielkość ciała i przez chwilę pomyślała o tym, jak sama jest wielka w porównaniu z myszą.

Ale trwało to krótko, bo natychmiast stwierdziła, że tak naprawdę myśli o wielkości jako takiej. O czymś ogromnym. Nie, właściwie nie myśl, raczej doświadcza tego w jakiś przedziwny sposób.

Coś nieznośnie wielkiego, coś z Brobdingnagu [Brobdingnag – kraina olbrzymów z *Podróży Gulliweru J. Swifta*.] napierało na nią, przybliżało się, wypełniało pokój. Poczowała, że się wzdryga, dusi, że ucieka z niej siła i odwaga. Rzuciła Przewodniczącemu spojrzenie, które było krzykiem o pomoc, i to spojrzenie w jakiś niewytłumaczalny sposób ujawniło jej, że i on – podobnie jak ona sama – jest bardzo mały. Zresztą cały pokój był maleńki, był mysią norką, a w dodatku zdawał się nieco przechylony, jakby go zdeformowała trudna do zniesienia masa i świetność owego bezkształtnego ogromu, który nadchodził.

Usłyszała głos Przewodniczącego.

– Szybko – powiedział łagodnie. – Musisz teraz odejść. To nie jest miejsce dla nas, maluczkich.

Ja już się zahartowałem. Odejdź!

\* \* \*

Jane zeszła ze wzgórza, na którym leżała wioska St Anne's, i zobaczyła, że nawet u jego stóp, na stacji kolejowej, mgła zaczęła się już podnosić. Tu i tam przezierało przez nią niebo, a kiedy pociąg ruszył, co jakiś czas przejeżdżał przez połacie popołudniowego słońca.

Podczas drogi powrotnej Jane czuła się tak podzielona wewnątrz, że można by powiedzieć, iż w przedziale podróżują trzy – jeśli nie cztery – młode kobiety o tym samym imieniu i powierzchowności.

Pierwszą była Jane poddająca się wpływowi Przewodniczącego, wspominająca czule każde jego słowo i każde spojrzenie, Jane całkowicie bezbronna, odarta ze złudzeń współczesnych idei, które do tej pory uznawała za mądrość, porwana przez potężną falę przeżycia, którego nie rozumiała i nad którym utraciła kontrolę, choć się przeciwko temu buntowała. Ale ten bunt podejmowała inna Jane. Ta druga Jane odczuwała wobec pierwszej odrazę, widząc w niej ten rodzaj kobiety, jakim



zawsze szczególnie pogardzała. Kiedyś, wychodząc z kina, usłyszała, jak jakaś dziewczyna o wyglądzie ekspedientki powiedziała do swojej przyjaciółki: „Och, czyż to nie było cudowne?”

Gdyby ktoś spojrział na mnie tak, jak on na nią patrzył, poszłabym z nim na koniec świata!" Taka zwykła, prosta dziewczyna, ssąca miętówkę... Można powątpiewać, czy ta druga Jane miała rację, porównując pierwszą Jane z tą dziewczyną, ale tak było. I poczuła wś ciekłość na samą siebie.

Poddawać się bezwarunkowo samemu głosowi i spojrzeniu tego obcego mężczyzny, rezygnować (prawie bezwiednie) z tak jej drogiej pedantycznej kontroli nad własnym losem, ze stałego dystansu wobec innych ludzi, który uważała za istotną cechę dorosłej, dojrzałej, inteligentnej osoby... to upodlenie, to stoczenie się do poziomu prostactwa... barbarzyństwa!

Trzecia Jane była zupełnie nieoczekiwanym gościem. Pierwsza miała swoje korzenie w dzieciństwie, druga wydawała się jej tą „prawdziwą”, normalną Jane. Natomiast istnienia tej trzeciej, tej „moralnej”, nigdy nie podejrzewała. Wyłoniona z jakichś nieznanych obszarów łaski lub dziedziczności, mówiła rzeczy, które Jane często przedtem słyszała, ale których nigdy nie uważała za związane z realnym życiem. Nie byłaby bardzo zaskoczona, gdyby ta nowa Jane powiedziała jej, że uczucia, jakimi obdarza Przewodniczącego, są czymś złym lub niestosownym. Uznałaby to za głos tradycji. Ale ta trzecia Jane wcale jej tego nie powiedziała. Potępiała ją za to, że nie żywi podobnych uczuć wobec Marka. Pobudzała w niej całkiem nowe uczucia wobec męża, poczucie winy i żal, a zdarzyło się to po raz pierwszy w gabinecie Przewodniczącego. To Mark popełnił fatalną pomyłkę i trzeba mu „okazać serce”. Przewodniczący wyraźnie na to nastawał. I w tym samym momencie, w którym jej świadomość całkowicie pochłaniał inny mężczyzna, zrodziło się w niej postanowienie, by dać z siebie Markowi o wiele więcej, niż dała mu kiedykolwiek przedtem, a towarzyszyło temu poczucie, że tak naprawdę będzie to dar zł ożony Przewodniczącemu. W efekcie doznała takiego pomieszania uczuć, że cała ta wewnętrzna debata została zmacona i ostatecznie pochłonął ją rozleglejszy świat przeżyć czwartej Jane – Jane, która była nią samą i która bez specjalnego wysiłku, a nawet bez świadomego wyboru, zaczęła dominować nad Jane pierwszą, drugą i trzecią.

Ta czwarta, „najważniejsza” Jane, znajdowała się po prostu w stanie radosnego uniesienia.

Tamte trzy nie miały nad nią władzy, ponieważ bytowała w sferze Jowisza, poś ród światła, muzyki i odświeżonego przepychu, promieniująca życiem i zdrowiem, pogodna, ubrana w jaś niejące szaty.

Nie myślała już o tym dziwnym doznaniu, które poprzedzało jej wyjście z gabinetu Przewodniczącego i które sprawiło, że wychodząc, poczuła prawie ulgę. Wszystkie myśli wiodły ją do samego Przewodniczącego, a w nim – do radosnego uniesienia. Przez okno wagonu widział a co jakiś czas wyraźnie zarysowane promienie słońca padające na rzyska lub lasy i zdawały się jej one dźwiękami trąbki. Na widok migających za oknem królików i krów wzbierała w niej radosna, świąteczna miłość. Radowało ją to, co od czasu do czasu mówił pomarszczony staruszek, który siedział w tym samym co ona przedziale, podziwiał a piękno jego bystrego, jasnego umysłu, przywodzącego na myśl słodycz orzechów i starą, dobrą Anglię. Zdała sobie sprawę, od jak dawna muzyka nie odgrywała żadnej roli w jej życiu, i postanowiła, że tego wieczoru zrobi wreszcie użytek z gramofonu i posłucha chorałów Bacha. Albo... może poczyta sonety Szekspira. Cieszyło ją, że jest głodna i spragniona, i obiecywała sobie, że po powrocie zrobi sobie dobrą herbatę i całą furę grzanek z masłem. Radowała ją też świadomość własnej piękności, ponieważ miała poczucie – które mogło być błędne, ale nie miało nic wspólnego z próżnością – że z każdą minutą rozkwita jak zaczarowany kwiat. Trudno więc się dziwić, że kiedy staruszek wysiadł w Cure Hardy, wstał a i przejrzała się w lusterku osadzonym w ścianie przedziału. Tak, wygląda dobrze, jest naprawdę piękna... I powtórzmy jeszcze raz: nie był to wcale przejaw próżności. Jej piękność należała do

Przewodniczącego. Należała do niego tak bezgranicznie, że mógł zażądać, by oddała ją innemu w akcie posłuszeństwa, które było wyższej rangi, bardziej bezwarunkowe, a więc i bardziej radujące serce, niż gdyby zażądał jej dla siebie.

Kiedy pociąg wjechał na stację Edgestow, zdecydowała, że nie będzie próbowała złapać autobusu. Z przyjemnością cię przejdzie się pieszo. I wtedy... o Boże, co to wszystko znaczy? Zwykle opustoszały o tej porze peron przypominał londyński dworzec przed wolną sobotą.

– Hej, laleczko! – wrzasnął ktoś, kiedy otworzyła drzwi, i z pół tuzina mężczyzn wtargnęło do jej przedziału, tak że przez chwilę nie mogła się wydostać. Peron był zatłoczony, ludzie miotali się we wszystkie strony – źli, wulgarni i podnieceni.

– Wracaj do pociągu, szybko! – zawołał ktoś.

– Jeśli nie wsiadasz, zjeżdżaj ze stacji! – zawołał ktoś inny.

– Co za piekło! – krzyknął ktoś tuż obok niej, na co kobiecie głos odpowiedział:

– Och, naprawdę, dlaczego ktoś coś z tym nie zrobi!

A z zewnątrz dochodził potężny zgiełk, przypominający ryk tłumu na meczu piłki nożnej. I płonęły jakieś dziwne, oślepiające światła.

\* \* \*

W parę godzin później, posiniaczona, przerażona i zmęczona Jane znalazła się na jakiejś nieznanym sobie ulicy, otoczona przez umundurowanych funkcjonariuszy policji NIBS-u. Szła jak człowiek, który stara się wrócić do domu, zmierzając brzegiem morza w czasie gwałtownego przypływu. Na Warwick Street plądrowano sklepy i rozpalano ogniska, więc szybko postanowiła wybrać okreśną drogę wiodącą koło szpitala psychiatrycznego, ale i ta trasa okazała się nie do przebycia z tego samego powodu. Znowu zoczyła z drogi i znowu napotkała tłum, który za każdym razem zdawał się ją wyprzedzać. W końcu skręciła w pustą i cichą Bonę Lane, uznając, że to jedyna szansa dostania się tego wieczoru do domu, i natychmiast zobaczyła grupkę policjantów NIBS-u. Zauważyła już, że można spotkać ich wszędzie, z wyjątkiem tych miejsc, w których zamieszki uliczne były najbardziej gwałtowne.

– Nie przejdzie pani tędy! – zawołał jeden z nich.

Kiedy się odwrócili, zrozpaczona Jane popełniła błąd: zaczęła uciekać. Złapali ją natychmiast i w ten sposób znalazła się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, przesłuchiwana przez umundurowaną policjantkę z krótko ostrzyżonymi, szarymi włosami, ostro zarysowaną, kwadratową twarzą i zgasłym cygarem w zębach. W pokoju panował bałagan, jakby jakiś prywatny dom nagle i bezpardonowo zamieniono w posterunek policji. Jane nie wzbudziła w tej kobiecie większego zainteresowania, dopóki nie usłyszała jej nazwiska. Wówczas pani Hardcastle spojrzała jej w twarz po raz pierwszy, a Jane doznała zupełnie nowego uczucia. Była już zmęczona i przerażona, ale to uczucie było czymś innym. Twarz tej kobiety wywołała w niej takie wrażenie, jak twarze niektórych mężczyzn: grubych mężczyzn z małymi, zachłannymi oczami i dziwnym, budzącym niepokój uśmieszkiem, których spotykała nieraz, gdy była młodą dziewczyną. Była to twarz przeraźliwie spokojna, a jednocześnie wyraźnie nią zafascynowana. Jane dostrzegła w tej twarzy dziwną grę uczuć: najpierw satysfakcję, potem wahanie, znowu satysfakcję, aż w końcu – a towarzyszyło temu lekkie westchnienie – przyzwolenie. Pani Hardcastle zapaliła cygareto i dmuchnęła jej w twarz dymem. Gdyby Jane wiedziała, że pani Hardcastle bardzo rzadko zapala cygareto, byłaby jeszcze bardziej zaniepokojona. Otaczający ją policjanci i policjantki chyba o tym wiedzieli.

Atmosfera wyraźnie się zageściła.

– Jane Studdock – powtórzyła Wróżka. – Wiem o tobie wszystko, zł otko. Jesteś żoną mojego znajomego, Marka. – Mówiąc to, pisała coś na zielonym formularzu. – Świetnie. Niedługo zobaczysz

się ze swoim mężulkiem. Zabierzemy cię do Bel bury. A teraz tylko jedno pytanie, moja droga. Co tutaj robiłaś o tej porze?

– Właśnie wysiadłam z pociągu.

– A gdzie byłaś, złotko?

Jane milczała.

– Pojechałaś sobie gdzieś pofiglować, gdy mężulka nie było w domu, co?

– Proszę mnie wypuścić! – zawołała Jane. – Chcę iść do domu. Jestem zmęczona i jest bardzo późno.

– Ale nie wrócisz do domu – oznajmiła pani Hardcastle. – Pojedziesz do Belbury.

– Mój mąż nie mówił mi, że mam do niego przyjechać. Pani Hardcastle pokiwała głową.

– To jeden z jego błędów. Ale my cię tam zabierzemy.

– Co to ma znaczyć?

– Jesteś aresztowana, moja droga – oświadczyła pani Hardcastle, wyciągając ku niej zielony formularz.

Formularz był taki, jak wszystkie urzędowe formularze: mnóstwo rubryk, niektóre były puste, inne wypełnione drobnym drukiem, jeszcze inne wypełnione ołówkiem, a w jednej Jane dostrzegł a swoje imię i nazwisko.

– Ooch! – krzyknęła nagle Jane, czując, że otacza ją jakiś koszmar, i rzuciła się w stronę drzwi.

Oczywiście do nich nie dobiegła. Gdy w chwilę później przyszła do siebie, dwie młode policjantki trzymały ją mocno za ręce.

– Co za nieznośny charakter! – powiedziała pani Hardcastle kpiącym tonem. – A może pozbędziemy się tych wstrętnych mężczyzn, co?

Na jej znak policjanci opuścili pokój. Jane poczuła się pozbawiona ostatniej szansy obrony.

– No, moje kochane – pani Hardcastle zwracała się do dwu dziewcząt w mundurach, spoglądając na zegarek. – Tak... jest za piętnaście pierwsza... i wszystko idzie jak po maś le... Myślę, Daisy, że możemy sobie pozwolić na rozrywkę. Uważaj, Kitty, i trzymaj ją trochę mocniej. O tak, świetnie.

Mówiąc to, rozpiniała swój szeroki, skórzany pas. Kiedy skończyła, ściągnęła bluzę i rzuciła ją na sofę, ujawniając swój wybujały, rozlazły biust okryty tylko cienką halką, bez biustonosza (na co uskarżał się Bill Zawierucha); coś takiego mógł w napadzie delirium namalować Rubens. Potem usiadła, wyjęła cygaro z ust, ponownie wydmuchała dym prosto w twarz Jane i zapytała:

– Skąd wracałaś tym pociągiem?

Jane nie odpowiedziała – i nie tylko dlatego, że nie była w stanie wydobyć głosu. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości, że jest w rękach tych wrogów ludzkość ci, z którymi walczył Przewodniczący, i że nie wolno jej niczego zdradzić. Nie czuła się bohaterką. Cała ta scena stawała się dla niej coraz bardziej nierealna, jakby z pogranicza snu i jawy.

– Myślę, Kitty – usłyszała głos pani Hardcastle – że lepiej będzie, jak mi ją dacie trochę bliżej.

Dwie policjantki zmusiły ją do okrążenia stołu. Tuż przed sobą ujrzała panią Hardcastle siedzącą z szeroko rozstawionymi nogami w wysokich, skórzanych butach. Poczowała łagodny, ale stanowczy nacisk trzymających ją rąk i znalazła się między tymi nogami, które ścisnęły jej kostki.

Bliskość tej kobiety-potwora napełniła Jane takim przerażeniem, że nie miała już siły lękać się tego, co ją czeka. Pani Hardcastle obserwowała ją z lekkim uśmiechem, pociągając cygaro i wydmuchując dym w jej twarz.

– Wiesz, moja mała – powiedziała w końcu – na swój sposób jesteś nawet całkiem ładna.

Jane milczała.

– Skąd wracałaś tym pociągiem? – zapytała ponownie pani Hardcastle.

Nagle wyciągnęła rękę, powoli rozchyliła dekolt sukienki Jane i przycisnęła rozżarzony koniec cygara do nagiej skóry nad piersią.

– Skąd wracałaś tym pociągiem? – powtórzyła, odejmując cygaro.

Jane nie pamiętała później, ile razy powtórzyła się ta sama procedura. W końcu zdała sobie sprawę, że pani Hardcastle nie mówi już do niej, lecz do jednej z policjantek.

– O co znowu chodzi, Daisy?

– Powiedziałam tylko, że jest pięć po pierwszej, proszę pani.

– Jak ten czas leci, prawda, Daisy? Coś nie tak? Chyba się nie zmęczyłaś, trzymając tę małą?

– Nie, proszę pani. Ale pani mówiła, że ma się spotkać z kapitanem O'Harą punktualnie o pierwszej.

– Z kapitanem O'Harą?... – powtórzyła pani Hardcastle, najpierw cicho, jakby w rozmarzeniu, a potem kończąc frazę głośno i gwałtownie, jak ktoś, kto budzi się ze snu. Zerwała się z krzesła i zaczęła wkładać bluzę.

– A niech to diabli! – zawołała. – Co za tępaki z was! Dlaczego nie przypomniałaś mi wcześniej?

– No bo... nie chciałam, proszę pani...

– Nie chciałaś?! A niby po co wy tu jesteście?

– Pani nie lubi, jak jej przeszkadzać... podczas przesłuchania...

– Nie dyskutuj! – przerwała jej pani Hardcastle, wymierzając dziewczynie policzek otwartą dłoń. – Weź się w garść. Zabierzcie aresztowaną do samochodu. Nie traćcie czasu na zapinanie jej guzików, kretynki! Zaraz do was przyjdę, tylko obmyję twarz zimną wodą.

W kilkanaście sekund później Jane znalazła się między Daisy i Kitty na tylnym siedzeniu wielkiego samochodu (z tyłu było miejsce dla pięciu osób) toczącego się cicho przez ciemność.

– Lepiej unikaj jak możesz przejazdu przez centrum, Joe – rozległ się głos pani Hardcastle. -

Musi tam być niezłe piekło. Jedź do psychiatryka, a potem w dół tymi małymi uliczkami z tyłu dziedzińca.

Z ciemności dobiegały dziwne odgłosy; raz po raz błyskały jakieś światła. Od czasu do czasu mijali duże grupy ludzi. Nagle samochód zatrzymał się, silnik zgasł.

– Do jasnej cholery, dlaczego się zatrzymałeś?! – zawołała pani Hardcastle.

Kierowca nie odpowiedział, słychać było tylko zgrzyt rozrusznika towarzyszący bezskutecznym próbom uruchomienia silnika.

– Co się stało? – zapytała pani Hardcastle.

– Nie wiem, proszę pani – odpowiedział kierowca, wciąż starając się uruchomić motor.

– Na Boga! Nie potrafisz nawet zadbać o swój wóz? Niektórym z was też by się przydało jakieś leczenie.

Ulica była pusta, ale sądząc po odgłosach, gdzieś blisko gromadził się rozwścieczony tłum.

Kierowca wysiadł, klnąc pod nosem, i podniósł maskę samochodu.

– Wy dwie, wyskakujcie – poleciła pani Hardcastle. – Rozejrzyjcie się za innym samochodem... gdzieś niedaleko... i zarekwirujcie go. Jak nie znajdziecie żadnego, wracajcie tu za dziesięć minut, choćby nie wiem co się działo. Szybko.

Obie policjantki wysiadły i znikły za rogiem. Pani Hardcastle nie przestawała miotać obelg.

Hałas przybliżał się. Nagle kierowca wyprostował się i zwrócił do pani Hardcastle. W świetle latarni Jane dostrzegła pot na jego twarzy.

– Pani słucha, pani Hardcastle – powiedział. – Mam już tego dość. Albo pani przestanie się na

mnie wydzierać, albo niech pani wyjdzie i sama naprawi ten cholerny wóz, jeśli pani taka mądra!

– Nie próbuj takiego tonu, Joe. Chyba nie chcesz, żebym szepnęła o tobie parę słów zwykłej policji?

– Może mi pani naskoczyć! Coś mi się widzi, że pobyt w kiciu wcale nie jest gorszy od roboty dla tej waszej bandy. Niech mnie szlag! Służyłem w żandarmerii wojskowej, byłem w Irlandii i w BUF, [British Union of Fascists.] ale w porównaniu z tym wszystkim tutaj to były pikniki.

Człowiek zasługuje na przyzwoite traktowanie! I tam miałem nad sobą chłopów, a nie jakieś cholerne stare baby!

– Tak, Joe – wycedziła pani Hardcastle – ale tym razem, jeśli doniosę na ciebie zwykłej policji, to czeka cię nie tylko więzienie.

– Tak?! Tak?! A może ja też im coś o pani opowiem, co?

– O Boże, niech go pani nie drażni – jęknęła Kitty. – Oni są już blisko. Zaraz się do nas dobiorą. Rzeczywiście na ulicy pojawiły się pierwsze grupki biegnących mężczyzn.

– Dziewczęta, idziemy – zdecydowała pani Hardcastle. Szybko! Tędy!

Jane została wyciągnięta z samochodu, a Daisy i Kitty wzięły ją z obu stron pod rękę. Pani Hardcastle kroczyła z przodu. Przeszły przez ulicę i skręciły w pierwszą napotkaną przecznicę.

– Czy któraś z was wie, gdzie jesteśmy? – zapytała po chwili pani Hardcastle.

– Nie mam pojęcia, proszę pani – odpowiedziała Daisy.

– Ja tu jestem obca, proszę pani – dodała Kitty.

– Ale mi się trafiło towarzystwo – mruknęła pani Hardcastle. – A w ogóle coś wiecie?

– Tędy chyba nigdzie nie dojdziemy – powiedziała Kitty roztrzęsionym głosem.

Rzeczywiście, alejka okazała się ślepą uliczką. Pani Hardcastle zatrzymała się, nic nie mówiąc.

W przeciwieństwie do swoich podwładnych nie wyglądała na przerażoną, co więcej – sytuacja najwyraźniej wprawiała ją w przyjemne podniecenie.

– Nie wytykałyście nigdy nosa z domu po zmierzchu? – zakpiła – Ej, Daisy, widzisz tu kogoś?

Bo mnie się zdaje, że te wszystkie domy są puste. W każdym razie pozamykane. Może po prostu zatrzymamy się tutaj, co?

Z ulicy, którą dopiero co opuściły, dobiegały coraz głośniejsze wrzaski. Zobaczyły skłębiony tłum ludzi biegnących gdzieś na zachód. Potem rozległy się jeszcze głośniejsze pojedyncze okrzyki.

– Złapali Joego – powiedziała pani Hardcastle. – Jeżeli dadzą mu dojść do słowa, skieruje ich za nami. Psiakrew! Stracimy naszą zdobycz! Przestań beczeć, Daisy, ty kretynko! Szybko. Musimy się rozdzielić i wmieszać w tłum. Jakoś się stąd wydostaniemy. Nie traćcie głowy. I nie strzelajcie, cokolwiek by się działo. Na skrzyżowaniu starajcie się kierować na Billingham. Pa, pa, dziewczyny! Zachowajcie zimną krew, jeśli mamy się jeszcze spotkać.

I natychmiast oddaliła się spokojnym krokiem. Przez chwilę zatrzymała się na rogu, a potem wmieszała w tłum. Dwie policjantki zawahały się, po czym uczyniły to samo. Jane usiadła na schodkach jakiegoś domu. Przypalenia na piersi bolały przy każdym ruchu, ale bardziej niepokoiło ją to, że czuła się słabo. Miała dreszcze i zbierało się jej na wymioty. A przede wszystkim poczuła się potwornie zmęczona, tak zmęczona, że prawie natychmiast zamknęła oczy...

Otrząsnęła się. Naokoło panowała cisza. Przemarzła tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Dygotała i szczękała zębami. „Chyba musiałam zasnąć”, pomyślała. Wstała, przeciągnęła się i ruszyła słabo oświetloną alejką ku ulicy. Tu napotkała tylko jakiegoś mężczyznę w kolejarskim mundurze, który pozdrowił ją krótkim „Dzień dobry”, kiedy ją mijał. Przez chwilę stała nieruchomo, niezdecydowana, a potem zaczęła wolno iść w prawą stronę. Wsadziła rękę do kieszeni płaszcza, który narzuciły na nią Daisy i Kitty, kiedy wychodziły z mieszkania, i natrafiła na spory kawałek czekolady. Poczuła

straszny głód, więc zaczęła ją żarłocznie gryźć. Właśnie skończyła, gdy tuż przed nią zatrzymał się jakiś samochód.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał kierowca, wychylając głowę przez okno.

– Może panią zraniono w zamieszkach? – rozległ się kobiecy głos z wnętrza wozu.

– Nie... to nic takiego... ja nie wiem... – wybełkotała Jane.

Mężczyzna popatrzył na nią uważnie i wysiadł z samochodu.

– Halo, proszę pani! Nie wygląda pani za dobrze. Naprawdę nic pani nie jest?

Potem odwrócił się i powiedział coś do kobiety w samochodzie.

Nieznajoma para umieściła Jane w samochodzie. Podano jej trochę brandy, a potem kanapkę.

Kiedy przyszła do siebie, mężczyzna zapytał:

– Gdzie pani mieszka?

I Jane, trochę niespodziewanie dla samej siebie, usłyszała swój głos odpowiadający:

– W St Anne's, we Dworze.

– Wspaniale! – ucieszył się mężczyzna. – Jedziemy do Birmingham i bę dziemy tamtędy przejeżdżać.

Jane natychmiast usnęła. Odzyskała świadomość, przekraczając oświetlony próg domu, podtrzymywana przez kobietę w piżamie i narzuconym na ramiona płaszczu. Dopiero po chwili rozpoznała panią Maggs. Była jednak zbyt zmęczona, aby zapamiętać, jak znalazła się w łóżku.

## Rozdział 8

### *Belburg w świetle księżyca*

Jestem ostatnią osobą, pani Hardcastle – powiedział wicedyrektor – która chciałaby się wtrącać w pani... ee... prywatne przyjemności. Ale... naprawdę!...

Rozmowa odbywała się w jego gabinecie, w kilka godzin przed ś niadaniem. Starszy pan był ubrany, ale nieogolony. Stali przed wygasłym kominkiem, co było dziwne, jeśli założyć, że nie spał tej nocy.

– Ona nie może być daleko – stwierdziła pani Hardcastle. – Dostaniemy ją innym razem. Warto było spróbować. Zabrakło mi pięciu minut, żeby z niej wydusić, skąd wracała. A mogło się okazać, że trafiliśmy na główną kwaterę wroga. Moglibyśmy wyłapać całą tę bandę.

– Nie sądzę, aby to była najlepsza okazja do... – zaczął Wither, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– Jak się pan orientuje, nie mamy zbyt wiele czasu. Frost skarż y się, że ś wiadomość tej kobiety jest coraz trudniej dostępna. A zgodnie z tą całą waszą metapsychologią, czy jak wy to tam nazywacie w tym swoim cholernym żargonie, to oznacza, że dostaje się w sferę wpływów tamtej strony. Sam mi to pan mówił! Co będzie, jeśli stracie kontakt z jej świadomością, zanim ja zawładnę jej ciałem?

– Oczywiście zawsze jestem gotów wysłuchać pani opinii i... ee... szczerze mnie one interesują .

Nigdy by mi nie przyszło do głowy, by zaprzeczyć, że mają one... ee... w pewnym sensie, jeśli nawet nie bez zastrzeżeń, naprawdę wielką wartość. Z drugiej jednak strony, pani Hardcastle, są pewne sprawy, przy których pani... ee... wąsko wyspecjalizowane kwalifikacje nie do końca wystarczają, aby... Cóż, na tym etapie nie rozważaliśmy aresztowania. Obawiam się, że Głowa może być skłonna do oskarżenia pani o przekroczenie swoich kompetencji. Nie twierdzę, że podzielam bez zastrzeżeń taką opinię, ale wszyscy musimy się zgodzić, że takie nieautoryzowane działanie...

– Och, daj spokój, Wither! – przerwała mu znowu Wróżka, siadając na blacie biurka. -

Zachowaj pan sobie te gierki dla ludzi pokroju Steele'a lub Stone'a. Do cholery, czy pan myśli, że dam się – nabrać na te kawały z elastycznością? Trafiła się znakomita okazja, ta mała sama wpadła nam w ręce. Gdybym nie zechciała tego wykorzystać, prawilby mi pan teraz kazania o braku inicjatywy, a jak to wykorzystał am, to słyszę o przekroczeniu moich kompetencji. Ale mnie nie tak łatwo postraszyć. Wiem dobrze, że jeśli NIBS zawiedzie, wszyscy oberwiemy, a bardzo jestem ciekawa, jakbyście sobie poradzili beze mnie. Przecież musimy dostać tę dziewczynę w swoje ręce, tak czy nie?

– Ale nie w taki sposób. Zawsze byliśmy przeciwni stosowaniu przemocy. Gdyby zwykłe aresztowanie dało nam w efekcie... ee... zgodę pani Studdock na współpracę z nami, to nie musielibyśmy robić sobie tyle kłopotów ze ś ciągnięciem tutaj jej męża. I obawiam się, pani Hardcastle, że nawet zakładając... oczywiście tylko teoretycznie... możliwość usprawiedliwienia takich drastycznych metod, to obawiam się, że pani zachowanie po fakcie aresztowania zasługuje na poważną krytykę.

– Przecież nie mogłam przewidzieć, że ten cholerny samochód nawali właśnie w takim momencie!

– Nie sądzę – odparł Wither – aby Głowa była skłonna rozpatrywać to jedynie w kategoriach zwykłego niepowodzenia. Gdy tylko napotkała pani opór ze strony tej kobiety, nie można było... taka jest przynajmniej moja opinia... spodziewać się sukcesu przy zastosowaniu metod, jakie zostały przez panią użyte. Chyba pani wie, że zawsze ubolewam nad wszystkim, co nie jest doskonale ludzkie, lecz zgadzam się ze sprawdzoną opinią, według której, jeś li już zachodzi konieczność zastosowania

bardziej drastycznych środków, to należy je zastosować konsekwentnie i w sposób do końca przemyślany. Umiarkowany ból, taki, któremu może się oprzeć człowiek o przeciętnym stopniu wytrzymałości, zawsze jest błędem. Tak nie powinno się traktować więźnia.

Otrzymała pani instrukcje stosowania bardziej naukowych i chyba bardziej cywilizowanych metod represyjnego przesłuchania i jestem pewien, że dałyby one o wiele lepsze rezultaty. Nie mówię tego oficjalnie, pani Hardcastle, i w ż adnym sensie nie próbuję antycypować reakcji naszej Głowy.

Zlekceważyłbym jednak swoje obowiązki, gdybym w tym miejscu nie wspomniał, iż w łonie kierownictwa pojawiła się już opinia... choć nie została jeszcze, rzecz jasna, zaprotokołowana. .. że pani skłonność do pozwalania sobie na pewne... ee... emocjonalne podniecenie w zakresie dyscyplinarnego aspektu pani obowiązków odrywa panią od wymogów naszej strategii.

– Nie znajdziecie nikogo, kto by potrafił dobrze odwalać tę robotę, jeśli li nie dacie mu się trochę wyżyć – powiedziała pani Hardcastle obrażonym tonem.

Wicedyrektor spojrzał na zegarek.

– W każdym razie chciałabym wiedzieć, dlaczego Głowa chce mnie widzieć właśnie teraz?

Przez tę całą cholerną noc byłam na nogach. Chyba należy mi się kąpiel i jakieś śniadanie.

– Ścieżka wypełniania obowiązków, droga pani Hardcastle, nigdy nie będzie łatwa. Nie może pani zapominać, że punktualność jest jednym z tych wymogów, na które czasami kładziemy szczególny nacisk.

Pani Hardcastle wstała i roztarła sobie twarz dłońmi.

– No dobra, ale muszę się czegoś napić, zanim tam wejdę. Wither uniósł ręce w geście potępienia.

– Wither, ja muszę się napić.

– Nie boi się pani, że poczuje?

– Mów pan sobie, co chcesz, ale nie wejdę tam, jeśli się nie napiję.

Wicedyrektor otworzył kredens i nalał jej whisky. Potem oboje opuścili gabinet i przeszli długimi korytarzami tam, gdzie stary budynek łączył się z nowo wybudowanym skrzydłem, mieszczącym Ośrodek Transfuzji Krwi. O tej porze wszędzie było ciemno i pani Hardcastle przyświecała latarką, kiedy szli najpierw przez korytarze wyłożone dywanami i ozdobione obrazami, potem przez korytarze zaśmieczone, z obdrapanymi ś cianami, przez drzwi, które musieli otworzyć kluczem, potem przez drugie drzwi. Sł ychać było tylko stukot obcasów wysokich butów pani Hardcastle, bo wicedyrektor szedł w bamboszach. W końcu dotarli do jasno oświetlonego pomieszczenia wypełnionego mieszaniną zwierzęcych i chemicznych zapachów. Były tam drzwi, które otworzyły się przed nimi po wymianie zdań przez specjalną tubę. Na progu stał Filostrato w białym fartuchu.

– Wejść – powiedział do pani Hardcastle. – Czeka na ciebie od pewnego czasu.

– Jest w złym nastroju?

– Sza! – syknął Wither. – W każdym razie, droga pani, nie sądzę, by można było używać takiego języka wobec Głowy. Jak pani wie, jego przypadłości... jego szczególny stan...

– Masz wejść natychmiast, gdy tylko będziesz gotowa – przerwał mu Filostrato.

– Chwileczkę! Poczekał. Tylko chwilę.

– Co jest z tobą? Pospiesz się, błagam!

– Chyba zwymiotuję.

– Tylko nie tu! Wracaj. Zaraz ci dam trochę X54.

– Już dobrze. – Pani Hardcastle oddychała głęboko. – To tylko chwilowa słabość. Trzeba



czegoś gorszego niż to, żeby mnie zmogło.

– Teraz cisza – powiedział Włoch. – Nie otwieraj drugich drzwi, dopóki mój asystent nie zamknie za tobą pierwszych. Mów tylko tyle, ile konieczne. Nie mó w nawet: „Tak jest”, jeśli otrzymasz jakieś polecenie. Głowa ma prawo oczekiwać, że będziesz posłuszna. Nie wykonuj gwałtownych ruchów, nie podchodź zbyt blisko, nie krzycz, a przede wszystkim nie sprzeczasz się.

Wchodź!

\* \* \*

Długo po wschodzie słońca uśpiona świadomość Jane zarejestrowała dziwne odczucie, które – gdyby zechciała je ubrać w słowa – mogłaby oddać pieśń: „Bądź szczęśliwy, o śpiący, niech twój smutek pierzchnie. Jam jest bramą do wszelkiej radosnej przygody”. [Z poematu Chaucera, *The Parliament of Fowles*, 131-132.] Kiedy się obudziła i zobaczyła, że leży w łóżku zalanym zimowym, porannym słońcem, ogarnięta miłym rozmarzeniem, ten nastrój nadal się utrzymywał.

„Musi mi pozwolić tu zostać”, pomyślała. W jakiś czas później przyszła pani Maggs, rozpałała ogień w kominku i podała jej ś niadanie. Jane skrzywiła się, siadając w łóżku, bo poparzone miejsca przykleiły się jej do dziwnej koszuli nocnej (raczej na nią za dużej), w którą ją ubrano. W zachowaniu pani Maggs zaszła trudna do określenia zmiana.

– Och, jak to cudownie, że jesteśmy tu razem, prawda, pani Studdock? – powiedziała, a w tonie jej głosu dało się wyczuć jakąś bliskość, której wcześniej między nimi nie było.

Jane czuła się zbyt rozleniwiona, aby się nad tym zastanawiać. Po ś niadaniu odwiedziła ją pani Ironwood. Zbadała i opatrzyła oparzenia, które okazały się niegroźne.

– Może pani wstać dopiero po południu, jeśli pani chce, pani Studdock – powiedziała. – Będę miała spokojny dzień. Co chciałaby pani poczytać? Mamy tu całkiem sporą bibliotekę.

– Jeśli można prosić, to książki o Curdiem i może *Mansfield Park*, i... sonety Szekspira.

Przyniesiono jej książki, lecz wkrótce znowu zapadła w sen. Dopiero o czwartej po południu oświadczyła pani Maggs, że chce wstać.

– Dobrze, pani Studdock – odpowiedziała pani Maggs. – Jak pani sobie życzy. Zaraz pani przyniosę filiżankę dobrej herbaty i przygotuję kąpiel. Łazienka jest tuż obok, tylko będę musiała wyprosić z niej Pana Bultitude'a. Okropny z niego leniuch i siedziałby tam przez cały dzień, kiedy jest zimno.

Jane zdecydowała się jednak wstać, nie czekając na herbatę. Czuła się na tyle dobrze, że postanowiła zaryzykować spotkanie nawet z owym ekscentrycznym Panem Bultitude'em. Miała wrażenie, że gdy tylko wstanie i ogarnie się, mogą się w tym domu wydarzyć same przyjemne niespodzianki. Narzuciła na ramiona płaszcz, wzięła ręcznik i wyruszyła na poszukiwanie łazienki.

W ten sposób doszło do sceny, w której pani Maggs, wchodząc chwilę później po schodach z herbatą, ujrzała ją z twarzą białą jak papier, wybiegającą z łazienki, a potem gwałtownie zatrząskującą za sobą drzwi do sypialni.

– Och, moja kochana! – zawołała pani Maggs, wybuchając ś miechem. – Powinnam panią uprzedzić. Ale proszę się nie martwić. Zaraz go wyrzucę.

Postawiła tacę na podłodze i skierowała się do łazienki.

– Czy to bezpieczne? – zapytała Jane.

– Ależ oczywiście, jest łagodny jak baranek – odpowiedziała pani Maggs. – Tylko niełatwo ruszyć go z miejsca. W każdym razie pani albo mnie, bo pani Ironwood i Przewodniczący to już inna sprawa.

Otworzyła drzwi łazienki. Wewnątrz, tuż obok wanny, siedział na tylnych łapach wielki, brzuchaty, z oczkami jak paciorki i z miętko pofałdowanym futrem brunatny niedźwiedź, który po

wielu wymówkach, zaklinaniach, popychaniach i klapsach pani Maggs uniósł wreszcie swój wielki brzuch i z godnością, bardzo powoli wyszedł na korytarz.

– Czemu nie wyjdiesz na dwór i nie pobiegasz sobie trochę w takie piękne popołudnie, leniuchu? – zawołała pani Maggs. Niech się go pani nie boi, pani Studdock. Można go pogłaskać.

No, chodź, Panie Bultitude. Chodź i przywitaj się z tą panią!

Jane wyciągnęła ostrożnie rękę, by dotknąć grzbietu zwierzęcia, ale Pan Bultitude wyraź nie się dąsał i nie racząc nawet obdarzyć jej spojrzeniem, kontynuował powolny marsz korytarzem, aby po przejściu jakichś ośmiu metrów nagle usiąść. Nie ulegało wątpliwości, że piętro niżej wszyscy się dowiedzieli, że Pan Bultitude właśnie usiadł.

– Czy to naprawdę bezpieczne trzymać takie stworzenie w domu i pozwalać, żeby swobodnie łąziło, gdzie ma ochotę? – zapytała Jane.

– Pani Studdock – odrzekła uroczystym tonem pani Maggs – gdyby Przewodniczący zechciał, aby po domu chodził sobie tygrys, też byłoby to zupełnie bezpieczne. On już tak ma ze zwierzętami.

Żadne stworzenie w tym domu nie zaatakuje nikogo, jeśli Przewodniczący pomówi z nim na osobności. To samo dotyczy nas wszystkich. Sama pani zobaczy.

– Będę wdzięczna, jeśli zanieś mi pani herbatę do mojego pokoju – powiedziała Jane nieco chłodnym tonem i skierowała się do łazienki.

– Dobrze, proszę pani, ale może pani się przy nim kąpać... chociaż jest taki wielki i taki ludzki, że chyba sama nie najlepiej bym się przy tym czuła.

Jane chwyciła za klamkę, żeby zamknąć drzwi od łazienki.

– No to panią z nim zostawiam – powiedziała pani Maggs, nie ruszając się z progu.

– Dziękuję.

– Na pewno nic więcej pani nie potrzeba?

– Na pewno.

– To ja już idę – powiedziała pani Maggs, ale prawie natychmiast znowu się do niej odwróciła i dodała: – Jakby pani chciała, to znajdzie nas pani w kuchni, Mamę Dimble, mnie i resztę.

– Czy pani Dimble też tutaj przebywa? – zapytała Jane, kładąc nacisk na słowo „pani”.

– My tutaj nazywamy ją Mamą Dimble. I jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciw temu, żeby i pani tak ją nazywała. Za dzień lub dwa przywyknie pani do naszych zwyczajów, zobaczy pani. Tak sobie myślę, że to trochę śmieszny dom. No dobrze. To ja już idę. Niech pani za długo tam nie siedzi, bo herbata pani ostygnie. A w ogóle, to nie radziłabym pani się kąpać. Przez te okropne oparzenia. Niczego pani nie potrzeba?

Jane umyła się, napiła herbaty, ubrała się i uczesała dziwną szczotką przed jeszcze dziwniejszym lustrem, po czym wyruszyła na zwiedzanie domu. W długim korytarzu panowała owa jedyna w swoim rodzaju cisza górnego piętra w dużym domu, w pogodne zimowe popołudnie. Doszła do miejsca, od którego odchodził drugi korytarz, i tutaj ciszę zakłócił lekki, nieregularny stukot: *pob-pob-pob-pob*. Spojrzała w prawo i na końcu korytarza ujrzała Pana Bultitude'a, siedzącego na tylnych łapach w wykuszu okna i spokojnie uderzają cego przednimi łapami w gruszkę bokserką. Skręciła więc w lewo i wkrótce znalazła się na podeście, z którego wiodły schody na dół, do wielkiego holu, gdzie światło dzienne mieszało się z blaskiem kominka.

Po drugiej stronie majaczył mroczny korytarz, prowadzący – jak pamiętała – do pokoju Przewodniczącego. Promieniowała stamtąd jakaś dziwna powaga, więc zeszła na palcach do holu, przeniknięta narzucającym się gwałtownie wspomnieniem przedziwnej atmosfery tego niebieskiego pokoju – tak silnym, że dominującym nawet nad myślą o samym Przewodniczącym. W holu nabrała pewności, gdzie w tym domu koncentruje się życie. Wiedziona głosami i innymi dźwiękami zeszła

dwa stopnie w dół, potem długim, wyłożonym kamiennymi płytami korytarzem, mijając gablotkę z wypchanym szczupakiem i stary zegar – do kuchni.

W wielkim, otwartym kominku płonęło drewno, oświetlając miłą postać pani Dimble, która siedziała w pobliżu na kuchennym krześle i obierała jakieś jarzyny. Pani Maggs i Camilla stały przy piecu kuchennym – kominek najwidoczniej nie służył do gotowania i pieczenia – a w drzwiach prowadzących zapewne do zmywalni stał wysoki, szpakowaty mężczyzna w gumowych butach, wycierający ręce w ścierkę. Wyglądał, jakby właśnie przyszedł z ogrodu.

– Wejdz, Jane – powitała ją serdecznie Mama Dimble. – Dzisiaj nie oczekujemy jeszcze od ciebie żadnej pomocy. Wejdz i usiądź sobie z drugiej strony przy kominku, to porozmawiamy. To jest pan MacPhee. Co prawda nie powinno go tutaj być, ale skoro już jest, to ci go przedstawiam.

Pan MacPhee, zakończywszy wycieranie rąk i powiesiwszy z namaszczeniem ścierkę za drzwiami, podszedł do Jane i przywitał się z nią trochę ceremonialnie. Miał dużą, szorstką dłoń i bystrą twarz o twardych rysach.

– Bardzo mi miło panią poznać, pani Studdock – powiedział.

Mówił z akcentem, który Jane wzięła za szkocki, ale który w rzeczywistości ci świadczył, że pan MacPhee pochodzi z Ulsteru.

– Nie wierz w ani jedno jego słowo, Jane – powiedziała Mama Dimble. – To twój największy wróg w tym domu. Nie chce uwierzyć w twoje sny.

– Pani Dimble! – odezwał się MacPhee. – Już wielokrotnie wyjaśniałem pani różnicę między osobistym poczuciem zaufania a uznaniem logicznej wymowy ś wiadectw. W tym pierwszym przypadku chodzi o pewne przeżycie psychologiczne...

– A w drugim o zwykłe nudziarstwo – wtrąciła pani Dimble.

– Pani Studdock, proszę nie zwracać na nią uwagi – powiedział MacPhee. – Jak już powiedziałem, bardzo mi miło powitać panią wśród nas. To, że uznałem za swój obowiązek przy wielu okazjach podkreślać, iż żaden *experimentum crucis* nie potwierdził jeszcze hipotezy, wedle której pani sny są wiarygodne, nie ma żadnego związku z moim osobistym do pani stosunkiem.

– Oczywiście – powiedziała Jane wymijająco, nieco zmieszana tą wymianą zdań. – Jestem przekonana, że ma pan prawo do własnej opinii.

Wszystkie kobiety roześmiały się, kiedy MacPhee odpowiedział, nieco podnosząc głos:

– Pani Studdock, ja nie mam żadnej opinii na żaden temat. Stwierdzam tylko fakty i odkrywam ich implikacje. Gdyby każdy był bardziej oszczędny w wyrażaniu swoich opinii – ostatnie słowo zostało wypowiedziane z wyraźną odrazą – na świecie byłoby o wiele mniej głupich rozmów i druków.

– Ja natomiast wiem, kto w tym domu najwięcej mówi – wtrąciła pani Maggs, co trochę Jane zaskoczyło.

MacPhee popatrzył na panią Maggs z kamienną twarzą, wyjmując jednocześnie tabakierkę i zażywając z niej spory niuch.

– Tak czy owak, na co pan jeszcze czeka? – zapytała pani Maggs. – Dziś jest kobiecy dzień w kuchni.

– Właśnie się zastanawiam – odparł MacPhee z godnością – czy zostawiono dla mnie filiżankę herbaty.

– Tak? A dlaczego nie było pana o właściwej porze?

Jane zauważyła, że pani Maggs zwraca się do niego w podobny sposób jak do niedźwiedzia.

– Byłem zajęty – oświadczył MacPhee, siadając w końcu stołu. – Okopywałem seler – dodał po pauzie. – Ta mała robi co może, ale nie ma pojęcia o pracy w ogrodzie.

– Co to znaczy „kobiety dzień w kuchni”? – zapytała Jane panią Dimble.

– Nie ma tu służby i sami wszystko robimy. W jednym dniu kobiety, w drugim mężczyźni. Co?

Nie, to bardzo rozsądna umowa. Przewodniczący uważa, że mężczyźni i kobiety nie są w stanie pracować razem w kuchni bez kłótni. Coś w tym jest. Oczywiście w dzień męski staramy się nie przyglądać zbyt uważnie filizankom, ale na ogół jakoś dajemy sobie radę.

– Ale skąd to przekonanie, że mężczyźni i kobiety muszą się kłócić? – zapytała Jane.

– Chodzi o różne metody, moja kochana. Mężczyźni nie potrafią pomagać. Mogą coś zrobić, jak się ich do tego nakłoni, ale niech nam nie pomagają. Okropnie przy tym zrzędzają.

– Podstawową trudnością – odezwał się MacPhee – we współpracy między odmiennymi płciami jest to, że kobiety mówią językiem bez rzeczowników. Kiedy dwóch mężczyzn robi coś razem, jeden mówi do drugiego: „Włóż tę miskę do tej większej miski, którą znajdziesz na najwyższej półce zielonego kredensu”. Natomiast kobiecym odpowiednikiem tej informacji jest: „Włóż to do tamtego tam”. A jeśli zapytasz: „Do czego?”, odpowiadają: „No przecież do tego!” W rezultacie powstaje fatyczny hiatus.

– Tu jest herbata, a ja zaraz pójdę i przyniosę panu kawałek ciasta – powiedziała Ivy Maggs. -

To o wiele więcej, niż pan na to zasługuje. A jak już pan zje i wypije, to może pan iść na górę i gadać sobie o rzeczownikach przez resztę popołudnia.

– Nie o rzeczownikach, ale o znaczeniu rzeczowników – oświadczył z naciskiem MacPhee, ale pani Maggs już opuściła kuchnię.

Jane wykorzystała okazję, aby powiedzieć cicho do Mamy Dimble:

– Pani Maggs zdaje się tu czuć jak u siebie w domu.

– Ależ kochana, ona tu jest u siebie w domu.

– Jako służąca?

– Jeśli bywa służącą, to nie bardziej niż każdy z nas. Jest tu przede wszystkim dlatego, że zabrano jej własny dom. Nie miała gdzie się podziąć.

– To znaczy, że jest... jednym z dobrych uczynków Przewodniczącego? ...

– Oczywiście. Dlaczego o to pytasz?

– No... nie wiem. Trochę to dziwne, że mówi do pani „Mamo Dimble”. Mam nadzieję, że nie jestem snobką, ale...

– Zapominasz, że Cecil i ja też jesteśmy jednymi z dobrych uczynków Przewodniczącego.

– Czy to nie jest tylko gra słów?

– Ależ skąd! I Ivy, i Cecil, i ja jesteśmy tutaj dlatego, że wyrzucono nas z naszych domów. W każdym razie Ivy i ja. Z Cecilem to trochę inna sprawa.

– A Przewodniczący wie, że pani Maggs tak się do wszystkich odzywa?

– Moje dziecko, nie pytaj mnie, co wie Przewodniczący.

– Bo zastanawia mnie, że kiedy się z nim widziałam, mówił coś o równości... że nie jest taka ważna. A w jego własnym domu panują... no, bardzo demokratyczne zasady.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, co on mówi na ten temat – odpowiedziała Mama Dimble. -

Zwykle mówi albo o duchowym aspekcie... a przecież chyba nie uważasz, że akurat twoja duchowość jest lepsza od duchowości Ivy... albo o małżeństwie.

– A dla pani jego poglądy na małżeństwo są zrozumiałe?

– Moja kochana, Przewodniczący jest bardzo mądrym człowiekiem. Ale w końcu to mężczyzna, w dodatku nieżonaty. Czasami mi się wydaje, że i on, i Zwierzchnicy, robią dużo zamieszania wokół sprawy, która jest tak prosta i naturalna, że w ogóle nie powinno się o niej mówić. Ale chyba w naszych czasach jest wiele młodych kobiet, którym trzeba o tym mówić.

– Widzę, że nie ma pani zbyt dobrego zdania o współczesnych młodych kobietach.

– No, może jestem niesprawiedliwa. My miałyśmy łatwiej. Wychowano nas na opowieściach ze szczęśliwym zakończeniem i na modlitewnikach. Naszymi ideałami były miłość, szacunek i posłuszeństwo, dbałyśmy o swój wygląd, nosiłyśmy szlafrociki i lubiłyśmy walca...

– Walc to bardzo przyjemny taniec – powiedziała pani Miggs, która właśnie wróciła z ciastem dla pana MacPhee. – Taki staroświecki...

W tym momencie otworzyły się drzwi i rozległ się głos:

– No, jeśli chcesz wejść, to wchodź.

Zaproszony w ten sposób, wkroczył do kuchni wspaniały gawron, a za nim najpierw Pan Bultitude, a potem Arthur Denniston.

– Arthurze, przecież cię prosiłam – powiedziała Ivy Maggs Żebyś nie przyprowadza! tego niedźwiedzia do kuchni, kiedy przygotowujemy kolację.

Pan Bultitude, najwyraźniej niezbyt pewny, jak go tutaj przyjmą, przeszedł przez kuchnię w sposób, który uważał (błędnie) za nierzucający się w oczy i usiadł za krzesłem pani Dimble.

– Doktor Dimble właśnie wrócił – oznajmił Denniston. – Musiał jednak pójść prosto do Niebieskiego Pokoju. Przewodniczący chce też widzieć ciebie, MacPhee.

\* \* \*

Tego dnia Mark zasiadł do obiadu w dobrym nastroju. Wszyscy wyrażali satysfakcję ze sposobu, w jaki zostały uś mierzone zamieszki, a jemu przyjemnie było czytać swoje własne doniesienia w porannej prasie. Zrobiło mu się jeszcze przyjemniej na duszy, kiedy usłyszał, jak Steele i Cosser komentują te artykuły, najwyraźniej nie mając pojęcia, w jaki sposób i przez kogo zostały napisane. Przed południem uczestniczył też w rozmowie między Frostem, Wrózką i Witherem na temat przyszłości Edgestow. Byli zgodni co do tego, że rząd przychylił się do opinii społecznej (ogólnie nastawionej do NIBS-u przychylnie, jak wynikało z prasy) i odda czasowo Edgestow pod kontrolę policji instytutu. Powinien zostać wyznaczony nadzwyczajny komisarz miasteczka. Lord Feverstone jest oczywistym kandydatem. Jako członek parlamentu reprezentuje społeczeństwo, jako członek Bracton College reprezentuje uniwersytet, jako członek instytutu reprezentuje instytut. Jego osoba gwarantowała, że nie będzie żadnych niepotrzebnych tarć.

Artykuł, który Mark ma po południu napisać na ten temat, po prostu napisze się sam! Ale na tym nie koniec. W trakcie tej rozmowy wyszł o na jaw, że wybór Feverstone'a na to niewdzięczne stanowisko ma drugie dno – w odpowiednim czasie, kiedy NIBS znajdzie się w ogniu krytyki, właśnie z niego będzie można zrobić kozła ofiarnego. Oczywiście nie powiedziano tego wyraźnie, ale Mark zrozumiał, że Feverstone nie należy już do Wewnętrznego Kręgu. Wróзка stwierdziła, że stary Dick tak naprawdę jest tylko politykiem i zawsze nim będzie. Wzdychając, Wither przyznał, że talenty lorda były bardziej użyteczne we wcześniejszej fazie, a teraz chyba już nie będzie z niego większego pożytku. Sam Mark nie zamierzał podkopywać pozycji Feverstone'a, a nawet nie przyznawał się przed samym sobą, że byłoby mu to na rękę, ale ogólna atmosfera tej rozmowy całkiem mu odpowiadała, zwłaszcza od chwili, gdy połapał się w sytuacji. No i „rozgryzł” wreszcie Frosta. Wiedział z dość wiadczenia, że w prawie każdej organizacji istnieje jakaś cicha, niepozorna osoba, którą drobne plotki lekceważą, a która w rzeczywistości jest jednym z głównych rozgrywających. Już samo rozpoznanie takich ludzi wskazuje, że człowiek robi postępy. Co prawda we Froście było coś zimnego, rybiego, co niezbyt się Markowi podobało, a regularność jego rysów wydawała się prawie odpychająca, ale to, co mówił (a mówił niewiele), zawsze trafiało w sedno dyskutowanego tematu. Mark był naprawdę rad, że może z nim rozmawiać.

Przyjemność, jaką Mark czerpał z rozmowy z takimi ludźmi, coraz bardziej traciła związek z

tym, czy ich lubił, czy nie lubił. Był świadom tej zmiany – a zaczęło się to wówczas, gdy dostał się do Postępowej Elity w kolegium – i uznawał ją za oznakę swojej dojrzałości.

Stosunek Withera do Marka zmienił się w sposób budzący w nim zadowolenie i otuchę. Pod koniec narady wicedyrektor wziął go pod ramię i konfidencjonalnie (choć ze swoim zwykłym paternalizmem) zapewnił o powadze, z jaką traktuje jego aktualną pracę, po czym zagadnął go o żonę. Wyraził przy tym nadzieję, że nie mają nic wspólnego z rzeczywistością pogłoski, które do niego dotarły, jakoby wpadła w... ee... jakiś rozstrój nerwowy. „Kto, u diabła, naopowiadał mu takich bzdur?”, zastanawiał się Mark.

– Mówię o tym – dodał Wither – bo doszedłem do wniosku, że mając na uwadze poważny ciężar obowiązku, jaki obecnie na panu spoczywa, i wiążącą się z tym trudność w tak częstym bywaniu w domu, jakbyśmy sobie wszyscy, dla pańskiego dobra, życzyli, w pana wypadku instytut byłby skłonny... mówię to zupełnie nieoficjalnie... a więc bylibyśmy wszyscy szczęśliwi, mogąc powitać tutaj panią Studdock.

Dopiero po usłyszeniu tych słów Mark zdał sobie sprawę, że nic mu mogło być dla niego bardziej przykre, jak myśl o zamieszkaniu w Belbury razem z Jane. Tylu spraw na pewno by nie rozumiała! Nie tylko tego, że nabrał zwyczaju częstego zaglądania do kieliszka, ale... och, wszystkiego, od rana do wieczora! Nie wyobraził sobie, by w jej obecność mógł prowadzić wiele z tych rozmów, których wymagało życie w Belbury. Już sama jej obecność uczyniłaby intymną, żartobliwo-cyniczną atmosferę Wewnętrznego Kręgu czymś sztucznym, nierealnym, a to, co on sam obecnie uważał za zwykłą roztropność, ona z pewnością nazwałaby pochlebstwem, oszczerstwem i lizusostwem. Jane w Belbury... to nie do pomyślenia! Belbury stałoby się podejrzanym ośrodkiem wulgarności i pochlebstwa. Niedobrze mu się robiło na samą myśl, że musiałby nakłaniać Jane do pomocy w podtrzymywaniu przychylności Witherera i do zachowywania dobrej miny wobec Wróżki. W końcu nie odpowiedział wicedyrektorowi nic konkretnego, wyraził wdzięczność i uciekł z pokoju przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Podczas popołudniowej herbaty podeszła do niego pani Hardcastle i przechylając się przez oparcie jego fotela, powiedziała mu do ucha:

– No, Studdock, sam się wykończyłeś.

– O co ci znowu chodzi, Wróżko?

– Rzecz w tym, że nie mogę zrozumieć, o co chodzi tobie, młodzieńcze. Czyżbyś postradał zmysły? Czemu dręczysz starego? Pamiętaj, to niebezpieczna zabawa.

– O czym ty, do diabła, mówisz?!

– Posłuchaj, my tu wszyscy działamy, żeby ci pomóc, i dziś rano już się zdawało, że jest po kłopotach. Już mówił o daniu ci angażu i skróceniu okresu próbnego. Wszystko grało, a tobie wystarczyło zaledwie pięć minut beztraskiej paplaniny, żeby to wszystko rozwalić. Zaczynam myśleć, że po prostu brak ci piątej klepki.

– Do cholery, a co mu się nie podobało tym razem?!

– No, chyba sam wiesz najlepiej! Czy nie wspominał o sprowadzeniu tu twojej żony?

– Tak, wspominał. No i co z tego?

– A ty co mu odpowiedziałeś?

– Odpowiedziałem, żeby sobie tym nie zawracał głowy... i... oczywiście cie podziękowałem mu za troskę...

Wróżka gwizdnęła cicho.

– Czy nie rozumiesz, skarbie – powiedziała, pukając go łagodnie w głowę – że nie mogłeś palnąć gorszej gafy? Przecież ta propozycja to z jego strony najpiękniejsze ustępstwo od ustalonych

zasad! Nigdy tego nikomu nie zaproponował. A teraz łązi i mamrocze o braku zaufania. Mówi, że został „boleśnie zraniony”. Twoją odmowę uważa za dowód, że tak naprawdę nie „zainstalowałeś się” w instytucie.

– Ale to czyste szaleństwo! Przecież...

– Dlaczego, do cholery, nie mogłeś mu powiedzieć, że o niczym tak nie marzysz?!

– Czy to nie jest moja prywatna sprawa?

– Chcesz ją tutaj mieć czy nie, Studdock? Coś nie bardzo jesteś miły dla swojej żonki. A mówili mi, że jest cholernie ładna.

W tym momencie oboje zauważyli Withera zbliżającego się ku nim swoim powolnym krokiem i przerwali rozmowę.

Podczas obiadu Mark siedział obok Filostrata. W zasięgu głosu nie było innych członków Wewnętrznego Kręgu. Włoch był w dobrym nastroju i gadatliwy. Właśnie kazał wyciąć kilka starych buków.

– Dlaczego pan to zrobił, profesorze? – zapytał siedzący naprzeciw pan Winter. – Komu szkodziły te stare drzewa, rosące tak daleko od domu? Bo ja, na przykład, kocham drzewa.

– Och, tak, tak! – odrzekł Filostrato. – Piękne drzewa, parkowe drzewa. Ale nie dzikie. W ogrodzie sadi się róże, a nie polne różyczki. Dzikie, leśne drzewo to chwast. I powiem panu coś: cywilizowane drzewa to ja widziałem w Persji. Miał je francuski attache, bo tam, gdzie mieszkał, w ogóle nie rosły drzewa. Były z metalu. Toporne, okropne. Ale gdyby wykonano je bez zarzutu?

Gdyby były lekkie, z aluminium? Tak doskonałe, że można by je pomylić z prawdziwymi?

– Sztuczne drzewo nigdy nie zastąpi prawdziwego – odrzekł Winter.

– Ale niech pan pomyśli o zaletach! Kiedy się znudzi w jednym miejscu, robotnicy mogą je przenieść tam, gdzie sobie zażycysz. I nigdy nie umiera. Nie opadają żadne liście, nie ma suchych gałązek, ptaki nie budują sobie w nim gniazd, nie trzeba nawozu, nie ma bałaganu.

– No, może jedno albo dwa w ogrodzie byłyby zabawną ciekawostką, ale...

– A dlaczego jedno lub dwa? Teraz musimy jeszcze mieć lasy, bo produkują tlen. Ale wkrótce wynajdziemy chemiczne środki wzbogacania naszej atmosfery. A wtedy drzewa staną się bezużyteczne. Wszędzie będą tylko te sztuczne. Prawdziwe dzieła sztuki. W ten sposób oczyścimy naszą planetę.

– Więc pan uważa, profesorze – wtrącił niejaki Gould – że w ogóle nie będzie roślinności?

– Dokładnie. Przecież się golimy, nieprawdaż? A w Anglii golą się codziennie. Nastanie czas, gdy ogolimy naszą planetę.

– A co z ptakami?

– Nie będzie żadnych ptaków. Na sztucznych drzewach będą sztuczne ptaki. Zaś piewają, kiedy naciśnie pan w domu guzik. A kiedy znudzi się panu ich śpiew, po prostu je pan wyłączy. I warto pomyśleć o innych zaletach. Żadnych piórek zaśmiecających ogród, żadnych gniazd, jajek, całego tego brudu.

– To brzmi tak – powiedział Mark – jakbyśmy chcieli się pozbyć całego życia organicznego.

– A dlaczego nie? To po prostu kwestia higieny. Posłuchajcie mnie, drodzy przyjaciele. Kiedy podniesiesz coś zgniłego i zobaczysz pełzające po nim życie organiczne, to co mówisz? „Och, jakie to okropieństwo”, prawda? I co robisz? Odrzucasz to, prawda?

– I co z tego? – zapytał Winter.

– A to, że ludzie, a już szczególnie wy, Anglicy, tolerują życie organiczne tylko w swoim własnym ciele. Ale już nie na nim. Stąd zwyczaj codziennych kąpieli.

– To prawda.

– A co to jest brud? Czyż to nie jest właśnie życie organiczne? Minerale to czysty brud. Ale prawdziwy brud pochodzi z żywych organizmów. Pot, ślina, ekskrementy. Czyż cała wasza koncepcja czystości nie jest tego najlepszym przykładem? Nieczystości i życie organiczne to jedno i to samo.

– Do czego pan zmierza, profesorze? – zapytał Gould. – Ostatecznie my też jesteśmy żywymi organizmami.

– Zgoda. W tym rzecz. W nasze życie organiczne wytworzyło Umysł. Wykonało dobrą robotę. I na tym koniec, już go nie potrzebujemy. Nie chcemy już świata zapaskudzonego życiem organicznym, tą całą pleśnią, która kiełkuje, pączkuje, mnoży się i gnije. Musimy się tego pozbyć.

Oczywiście pomału, pomału. Powoli uczymy się, jak tego dokonać. Uczymy się, jak sprawić, by nasze mózgi potrzebowały coraz mniej ciała, jak budować nasze ciała za pomocą chemicznych bodźców, żeby nie trzeba było już dłużej napychać ich martwymi zwierzakami i roślinami. Uczymy się, jak rozmnażać się bez kopulacji.

– Nie sądzę, by to było przyjemne – powiedział Winter.

– Mój drogi przyjacielu, już dokonaliśmy rozróżnienia między przyjemnością a płodnością.

Sama przyjemność zaczyna schodzić na dalszy plan. Ba! Wiem, że pan się z tym nie zgadza. Ale pomyślcie, panowie, o kobietach. O waszych angielskich kobietach. Sześć z nich na dziesięć to kobiety seksualnie oziębłe. Może się mylę? Widzicie? Sama przyroda zaczyna odrzucać ten anachronizm. A kiedy go na dobre odrzuci, powstaną warunki dla prawdziwej cywilizacji.

Zrozumielibyście to łatwo, gdybyście byli wieśniakami. Po co się użerać – z ogierami i bykami?

Nie, lepiej mieć wałachy i woły. Dopóki będzie seks, nie będzie spokoju, ładu i dyscypliny. Kiedy ludzkość na dobre odrzuci seks, będzie można ją sterować.

Obiad dobiegł końca. Powstając, Filostrato szepnął Markowi do ucha:

– Odradzam dziś bibliotekę. Rozumiemy się? Niech pan do mnie wpadnie na małą pogawędkę.

Mark przyjął zaproszenie, pocieszając się, że w tym najnowszym kryzysie jego stosunków w wicedyrektorem Filostrato najwyraźniej pozostaje jego sprzymierzeńcem. Poszli do saloniku Włocha na pierwszym piętrze. Mark usiadł przy kominku, ale jego gospodarz nie przerywał krążeń po pokoju.

– Bardzo mi przykro, młody przyjacielu – zaczął wreszcie – słyszeć o pańskich nowych kłopotach. Trzeba coś z tym zrobić, rozumie pan? Jeżeli wicedyrektor zaprasza pańską żonę do Belbury, to dlaczego jej pan tu nie sprowadza?

– Ależ... naprawdę... nigdy by mi do głowy nie przyszło, że przywiązuje do tego taką wagę.

Myślałem, że po prostu stara się być uprzejmy.

Jego wewnętrzny sprzeciw wobec obecności Jane w Belbury został znacznie osłabiony winem, które wypił podczas obiadu, i udręką możliwości wykluczenia go z bibliotecznej elity.

– Samo w sobie nie jest to takie ważne – odpowiedział Filostrato. – Mam jednak powody, by wierzyć, że to wyszło nie od Withera, ale od Głowy.

– Od Głowy? Ma pan na myśli Julesa? Sądziłem, że to tylko figurant. I niby dlaczego miałoby mu zależeć na tym, abym sprowadził tu moją żonę?

– Myli się pan. Głowa nie jest żadnym figurantem.

Było coś dziwnego w tonie jego głosu. Przez chwilę obaj milczeli.

– To, co mówiłem przy kolacji – powiedział w końcu Filostrato – to wszystko prawda.

– Ale wróćmy do Julesa. Jaki on ma w tym interes?

– Julesa? – zdziwił się Filostrato. – Czemu pan o nim wspomina? Powtarzam, to wszystko prawda. Świat, którego wyczekuję, to świat doskonałej czystości. Czysty umysł i czyste minerały.



Co najbardziej obraża godność człowieka? Narodziny, rozmnażanie się i śmierć. A jeśli stoimy na progu odkrycia, że człowiek może żyć bez narodzin, rozmnażania się i śmierci?

– Mark wytrzeszczył oczy. Sposób prowadzenia rozmowy przez Filostrata był tak chaotyczny, a jego zachowanie tak dziwaczne, że zaczął się zastanawiać, czy profesor jest przy zdrowych zmysłach albo czy nie jest pijany.

– Jeśli chodzi o pańską żonę, nie sędzę, żeby to było w istocie ważne. Co mnie w końcu obchodzi czyjeś żony? Takie problemy wzbudzają we mnie najwyżej odrazę. Ale jeśli już robią z tego problem... Posłuchaj, przyjacielu, prawdziwy problem polega na tym, czy naprawdę chce pan być jednym z nas, czy nie.

– Nie bardzo rozumiem – rzekł Mark.

– Chce pan być tylko zwykłym najemnikiem? A nawet gdyby pan się godził na taką rolę, to niechże pan pamięta, że za daleko już pan w to wszedł. Jest pan w zwrotnym punkcie kariery, panie Studdock. Jeśli spróbuje pan teraz zrejterować, skończy pan tak, jak ten gł upiec Hingest. Jeśli naprawdę chce pan w to wejść... cały świat... ba, co mówię, cały wszechświat będzie miał pan u stóp.

– Ależ to oczywiste, że chcę – powiedział Mark, czując, że ogarnia go fala dziwnego podniecenia.

– Głowa uważa, że nie może pan być jednym z nas, jeśli nie sprowadzi pan tutaj swojej żony.

Albo przyjmie pana całego ze wszystkim, co do pana należy, albo nie zechce pana w ogóle. Musi pan sprowadzić tu swoją żonę. Ona też musi być jedną z nas.

Ostatnia uwaga zaszokowała Marka, ale w tym momencie, widząc utkwione w sobie małe, błyszczące oczy profesora, nie bardzo potrafił myśleć o Jane jako o realnej istocie.

– Usłyszy to pan z ust samej Głowy – powiedział Filostrato.

– Jules jest teraz tutaj? – zapytał Mark.

Niespodziewanie Filostrato odwrócił się do okna i zamaszystym ruchem rozsunał kotary, po czym zgasił światło. Mgły już nie było, zerwał się wiatr. Małe obłoczki pędziły po niebie, przysłaniając gwiazdy. Jaśniała olbrzymia tarcza Księżycy w pełni. Kiedy przesuwają się przez nią chmurki, wyglądała jak wielka, tocząca się po niebie piłka. Jej zimne, bezkrwiste światło zalało pokój.

– Oto świat dla ciebie! – zawołał Filostrato. – Oto czystość, nieskazitelność. Tysiące mil kwadratowych gładkich, łs niących skał, bez jednego źdźbła trawy, bez jednego włókienka porostu, bez jednego ziarenka pyłku. Bez powietrza. Czy pomyślał pan kiedy, mój przyjacielu, jak by to było, gdyby mógł pan postawić stopę na Księżycu? Chodzić po gładkiej powierzchni nie podlegającej erozji?

Szczyty tych gór to prawdziwe szczyty, ostre jak iglice, przecięt yby dłoń. Klify wysokie jak Everest i proste jak ściany domu, rzucające całe akry cieni czarnych jak heban. A w tych cieniach kilkaset stopni mrozu. I wystarczy tylko zrobić jeden krok, by blask poraził gałki oczne jak stal, a skały poparzyły stopy. Gorąco sięga tam temperatury wrzenia. Pewna śmierć, prawda? Ale nawet po śmierci nie staniesz się tam brudem. Po paru sekundach zamienisz się w kupkę popiołu, czystego, białego proszku. I nie ma tam wiatru, który rozwiałby ten proszek. Każde ziarenko popiołu w tej małej kupce pozostanie na wieki w tym samym miejscu, w któ rym spotkała cię nagła śmierć. Na wieki, do końca ś wiata... ale co ja mówię, przecież to nonsens! Wszechświat nie będzie miał końca.

– Tak. Martwy świat – powiedział Mark, wpatrując się w Księżyc.

– Nie! – Filostrato zbliżył się do Marka i mówił prawie szeptem, przywodzącym na myśl szept nietoperza, który zwykle wydaje z siebie pisk. – Nie. Tam jest życie.

– Czy to pewne? – zapytał Mark.

– Och, *si*. Inteligentne życie. Pod powierzchnią. Wspaniała rasa, bardziej rozwinięta od nas. Inspiracja. Czysta rasa. Oczyszczili swój świat, uwolnili go od tego, co organiczne.

– Ale w jaki sposób...

– Nie muszą się rodzić, rozmnażać, umierać. To jest udziałem tylko ich prostych poddanych, ich *canaglia*. Rasa panów po prostu żyje. Zachowują inteligencję, utrzymują ją sztucznie po rozkładzie organicznego ciała, wykorzystując... cud biochemii stosowanej... Nie potrzebują organicznego pokarmu. Rozumie pan? Można powiedzieć, że prawie uniezależnili się od natury. Łączy ich z nią tylko najcieńsza, najwspanialsza nić.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że to wszystko – Mark wskazał na pokryty plamami krąg Księżyca – jest ich dziełem?

– Dlaczego nie? Jeżeli wypleni się całkowicie roślinność, bardzo szybko nie będzie żadnej atmosfery, żadnej wody.

– Ale po co?

– Higiena. Po co im świat przepelniony tymi wszystkimi organizmami? Zwłaszcza że oni zamierzają się pozbyć szczególnie jednego organizmu. To, co pan widzi, to nie cały Księżyc. Żyją tam nadal na powierzchni dzikusy. Na wielkiej połaci brudu po drugiej stronie, gdzie wciąż jest woda, powietrze, lasy... tak, zarazki i śmierć. A prawdziwi panowie powoli rozprzestrzeniają swoją higienę na cały glob. Dezynfekują go. Dzikusy z nimi walczą. Są tam granice, toczą się okrutne wojny, tam, głęboko, w jaskiniach i podziemnych korytarzach. Ale ta wielka, wspaniała a rasa wciąż prze do przodu. Gdybyśmy mogli zobaczyć drugą stronę Księżyca, dostrzeżlibyśmy, że rok po roku poszerza się zasięg nagiej, czystej skały, a ta organiczna rdza, te wszystkie zielone, błękitne i mgliste plamy zanikają. To jak czyszczenie zaśniedziałego srebra.

– A skąd o tym wszystkim wiadomo?

– Powiem panu innym razem. Głowa ma wiele źródeł informacji. Mówię panu o tym, żeby pana zainspirować. Żeby pan wiedział, co można zrobić. Co będzie zrobione tutaj. Ten instytut...

*Dio meo!*... ten instytut to coś większego niż te budynki, coś większego niż szczepionki, szybkie pociągi, leczenie raka... Ten instytut jest po to, żeby zwyciężyć śmierć... albo organiczne życie, jeśli pan woli. To jedno i to samo. Instytut jest po to, aby z kokonu organicznego życia, które jest tylko osłoną umysłu ludzkiego w jego dzieciństwie, wywieść Nowego Człowieka. Człowieka nieśmiertelnego, człowieka sztucznego, człowieka uwolnionego od natury. Natura jest drabiną, do której szczytu właśnie dochodzimy i którą można będzie odepchnąć.

– I sądzi pan, że pewnego dnia naprawdę znajdziemy sposób na utrzymanie przy życiu... samego mózgu, i to przez nieokreślony czas?

– To się już zaczęło. Głowa...

– Niech pan mówi – zachęcił go Mark, widząc jego wahanie.

Serce biło mu jak szalone, zapomniał o Jane i o Witherze. W końcu usłyszał coś konkretnego.

– Ten, który jest naszą Głową, przeżył już swoją śmierć. Dziś wieczór będzie pan z nim rozmawiał.

– Chce pan przez to powiedzieć, że Jules umarł?!

– Och, Jules! On nic nie znaczy. To nie on jest Głową.

– A więc kto?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– Czy ten młody człowiek jest gotów? – Mark rozpoznał głos Straika.

– O, tak. Jest pan gotów, panie Studdock, prawda?

– A więc wyjaśniłeś mu wszystko, tak? – zapytał jeszcze Straik.

Zwrócił się w stronę Marka. Światło Księżycy było tak jasne, że Mark częściowo rozpoznawał rysy jego twarzy: gęste brwi, podkreślone zimnym światłem i cieniem.

– Czy naprawdę chce pan się do nas przyłączyć, młody człowieku? – zapytał Straik. – Bo kiedy się przyłoży dłonie do pługa, nie ma już odwrotu. I nie ma miejsca na zastrzeżenia. Głowa chce z panem rozmawiać. Rozumie pan? Głowa! Stanie pan przed kimś, kto został zabity, a jednak wciąż żyje. Zmartwychwstanie Jezusa, opisane w Biblii, było symbolem. Dziś ujrzy pan na własne oczy, czego to był symbol. Chodzi o prawdziwego Człowieka, który żąda od nas całkowitego posłuszeństwa.

– O czym pan, do diabła, mówi? – zapytał Mark ochryłym głosem.

– Mój przyjaciel ma całkowitą rację – powiedział Filostrato. – Głowa to pierwszy Nowy Człowiek, pierwszy, który żyje poza życiem zwierzęcym. Gdyby natura miała nad nim władzę, jego mózg rozsypywałby się teraz w proch. A jednak w ciągu najbliższej godziny będzie do pana mówił.

I powiem panu w zaufaniu: będzie pan posłuszny, niech mi pan wierzy.

– Ale kto to jest? – zapytał Mark.

– To Francois Alcasan – odrzekł Filostrato.

– Ma pan na myśli tego człowieka ściętego na gilotynie?... – wyrzucił z siebie Mark zduszonym głosem.

Obie głowy skinęły potakująco. Obie twarze były tuż przed nim. W bladym świetle wyglądały jak wiszące w powietrzu maski.

– Przeraziło to pana? – zapytał Filostrato. – Niech pan się nie lęka. Chcemy, żeby pan był jednym z nas. Gdyby pan był kimś z zewnątrz, jednym z tych *canaglia*, miałby pan powody. To jest początek najwyższej potęgi i władzy. On żyje wiecznie. Gigant czasu został zwyciężony. I gigant przestrzeni też został zwyciężony. Jeden z nas już odbył podróż przez przestrzeń kosmiczną.

To prawda, został zdradzony i zamordowany, a jego zapiski są w fatalnym stanie i jeszcze nie zdołaliśmy odtworzyć statku kosmicznego, którym się posłużył. Ale zrobimy to.

– To początek Człowieka Nieśmiertelnego, Człowieka Wszechobecnego – dodał Straik. – To o tym mówiły wszystkie proroctwa.

– Najpierw, oczywiście – powiedział Filostrato – potęga będzie zastrzeżona dla niewielkiej liczby jednostek. Tych, którzy zostali wybrani do wiecznego życia.

– A później rozprzestrzeni się na wszystkich ludzi?

– Nie – odparł Filostrato. – Później zostanie skupiona w jednym człowieku. Przecież nie jesteś głupcem, młodzieńcze, prawda? Wiesz równie dobrze jak ja, że władza człowieka nad naturą oznacza władzę niektórych ludzi nad innymi ludźmi. Cała ta gadanina o władzy człowieka nad naturą jest tylko dla *canaglia*. Natura jest tylko instrumentem. Nie ma czegoś takiego jak Człowiek w ogóle, Człowiek przez duże C. To tylko słowo. Są tylko ludzie. Nie! To nie Człowiek będzie wszechmocny, ale jeden określony człowiek, jeden nieśmiertelny człowiek. Alcasan, nasza Głowa, jest pierwszym szkicem tego, co kiedyś nadejdzie. Ostateczny, doskonały produkt może być kimś innym. To może być pan. To mogą być ja.

– Oto król będzie panował sprawiedliwie nad wszechświatem i zgodnie z prawem nad niebiosami – rzekł Straik. – Myślałeś, synu, że to tylko mitologia, prawda? Myślałeś tak, bo określenie „Syn Człowieczy” obrosło baśniami, które głosiły, że Człowiek nigdy nie będzie miał syna posiadającego pełnię władzy. Ale on będzie ją miał.

– Nie rozumiem, nie rozumiem – wymamrotał Mark.

– Ależ to proste – powiedział Filostrato. – Odkryliśmy, jak uczynić martwego człowieka

żywym. Alcasan był mądrym człowiekiem już za swego naturalnego życia. Teraz żyje na wieki i staje się jeszcze mądrzejszy. Na razie to drugie życie nie jest jeszcze doskonałe, pracujemy nad tym.

Rozumie pan? W przyszłości będzie lepiej. W przyszłości to wieczne życie będzie przyjemne dla wybranych i... może niezbyt przyjemne dla innych. Możemy ożywić zmarłych, kiedy tego chcą i kiedy tego nie chcą. Ten, który ostatecznie będzie królem wszechświata, może dać życie tym, którym zechce. Nie są w stanie mu odmówić.

– I w ten sposób – dodał Straik – powracają nauki, jakie poznawałeś na kolanach matki. Bóg będzie miał władzę udzielania wiecznej nagrody i wiecznej kary.

– Bóg? – zdziwił się Mark. – A co ma z tym wszystkim wspólnego Bóg? Nie wierzę w Boga.

– Ależ, mój przyjacielu – rzekł Filostrato – czy z tego, że nie było Boga w przeszłości, wynika od razu, że nie będzie Go również w przyszłości?

– Czy nie rozumiesz – odezwał się Straik – że oferujemy ci niewypowiedzianą chwałę obecności przy stworzeniu wszechmogącego Boga? Tutaj, w tym domu, ujrzysz pierwszy szkic prawdziwego Boga. To człowiek... albo istota stworzona przez człowieka... ostatecznie zasiądzie na tronie wszechświata. I będzie panował na wieki.

– Więc idzie pan z nami? – zapytał Filostrato. – Posiał po pana!

– To oczywiście, że idzie – dodał Straik. – Przecież wie, że nie można się wycofać i żyć dalej.

– No i ta drobna sprawa z pańską żoną – dodał Filostrato. – Nie wolno panu wspominać o czymś tak trywialnym. Zrobi pan, co panu powie. Z Głową się nie dyskutuje.

Mark poczuł się przyparty do muru. Pozostało mu już tylko powracające falami ożywienie alkoholem wypitym podczas obiadu i jakieś słabe przebłyski pamięci owych godzin spędzonych z Jane i przyjaciółmi, zanim przeniósł się do Bractonu, gdy świat wyglądał zupełnie inaczej. Tylko to i instynktowna odraza do tych dwu skąpanych w bladym świetle księżyca twarzy. Po drugiej stronie był strach. Co z nim zrobią, jeśli odmówi? Ale był młody i skłonny wierzyć, że nawet jeśli ktoś ulegnie wieczorem, to rano sprawy same się jakoś wyprostują. A zresztą dreszcz, jaki go przenikał na myśl o tym, do jakich niesłychanych tajemnic został dopuszczony, nie był wcale przykry.

– Tak – wyrzucił z siebie z trudem, jakby zabrakło o mu powietrza. – Tak... oczywiście... Pójdę tam.

Wyprowadzili go z pokoju. W korytarzach panowała teraz cisza, z dołu nie dochodziły już rozmowy i śmiechy. Potknął się i poczuł, że biorą go pod ramiona. Szli długo, korytarz za korytarzem, otwierając zaopatrzone w solidne zamki drzwi, aż doszli do jasno oświetlonego miejsca, w którym czuło się dziwne zapachy. Filostrato powiedział coś przez tubę i otworzyły się drzwi. Mark znalazł się w pomieszczeniu przypominającym gabinet chirurgiczny. Było tu mnóstwo jarzących się lamp, zlewów, butelek i błyszczących instrumentów. Przyjął ich nieznany mu młody człowiek w białym fartuchu.

– Rozbierz się do bielizny – zwrócił się Filostrato do Marka.

Przeciwnie ściana pomieszczenia pokryta była zegarami i wskaźnikami, pod którymi ze ściany wychodziły przewody i rurki ginące w podłodze. Słabo pulsujące tarcze wskaźników z wiązkami rurek pod nimi sprawiały wrażenie jakiegoś potwora z wieloma oczami i czułkami.

Młody człowiek wpatrywał się uważnie w drgające wskazówki przyrządów. Wszyscy trzej rozebrali się, umyli ręce i twarze, nałożyli białe ubrania, które Filostrato wyjął szczypcami ze szklanego pojemnika. Dał im też rękawice i maski, jakie noszą chirurdzy. Nastąpiła chwila milczenia, gdy studiował wskaźniki.

– Tak, tak – powiedział. – Trochę więcej powietrza. Nie za dużo, jest ich trzech. Otwórz dopływ powietrza do komory... Powoli... na pełną moc. Teraz powietrze we włązie. Trochę mniej

roztworu.

No to co – zwrócił się do Straika i Studdocka – jesteście gotowi wejść?  
Podprowadził ich do drzwi w ścianie pokrytej wskaźnikami.

## Rozdział 9

### *Głowa Saracena*

To był najgorszy sen ze wszystkich, jakie dotąd miałam – powiedziała Jane następnego rana. Siedziała w Niebieskim Pokoju, z Przewodniczącym i Grace Ironwood.

– Znajdowałam się w ciemnym pomieszczeniu pełnym dziwnych zapachów i buczących dźwięków. Potem zapaliło się światło... ale takie słabe... i przez długi czas nie mogłam zrozumieć, na co patrzę. A kiedy to do mnie dotarło... chyba bym się przebudziła, gdybym tak bardzo nie starała się dalej śnić. Zdawało mi się, że widzę przed sobą twarz unoszącą się w powietrzu. Twarz, nie głowę, rozumiecie? Widziałam brodę, nos i kolorowe okulary... ale nad nimi, nad tymi okularami, nie było nic... Tak mi się zdawało na początku. Kiedy przyzwyczaiłam się do światła, doznałam szoku. Zobaczyłam więcej i wtedy pomyślałam, że to jest maska naciągnięta na coś w rodzaju balona. Właściwie nie... to nie była maska... to wyglądało trochę tak jak głowa w turbanie... och, źle to opowiadam... Naprawdę to była głowa, ale brakowało jej górnej części, jakby ją odcięto. A potem... potem... jakby coś wykijało z tej głowy. Jakaś masa wybrzuszała się z tego, co zostało z czaszki... ale tę masę okrywała bardzo cienka błona. To drgało... pulsowało. Pamiętam, że pomyślałam: „Och, trzeba ją zabić. Przecież to musi sprawiać jej potworny ból. Trzeba to przerwać”. Ale zaraz potem zrozumiałam, że ta twarz jest martwa naprawdę. Była zielonkawa, usta szeroko otwarte, zupełnie suche. Patrzyłam na nią długo, nic się nie działo. I wkrótce spostrzegłam, że wcale nie unosi się w powietrzu. Była umocowana na czymś w rodzaju klamry, konsoli albo półki, z której zwisały jakieś rurki. To znaczy... nie... one wychodziły z szyi, z karku. Tak, był a szyja, ale pod nią już nic, nie było ramion ani ciała. Tylko te zwisające przewody. W tym śnie pomyślałam, że to jakiś nowy rodzaj człowieka, który ma tylko głowę i wnętrze... że te wszystkie przewody to jego wnętrze. Ale wkrótce... nie bardzo wiem jak, zrozumiałam, że one są sztuczne. Gumowe rurki, jakieś baniaste zbiorniki, małe metalowe urządzenia... Nie mogłam tego zrozumieć. Wszystkie rurki ginęły w ścianie. I wtedy w końcu coś się stało.

– Dobrze się czujesz, Jane? – przerwała jej pani Ironwood.

– Och, tak... tylko czuję jakiś opór, kiedy o tym opowiadam. To bardzo trudne... No więc nagle, jakby włączono jakąś maszynę, z tych ust wydobyło się powietrze... tak, poczułam je i usłyszałam taki głośny, suchy, chrapliwy dźwięk. I potem znowu... i jeszcze raz... i w końcu to coś zaczęło rytmicznie sapać... uff... uff... uff... jakby naśladowało oddychanie. A potem... och, to było najgorsze. Usta zaczęły się ślinić. Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale zrobiło mi się żal tej głowy, bo nie miała rąk, więc nie mogła sobie obetrzeć ust. To taka drobnostka w porównaniu z całą tą resztą, ale wtedy to poczułam. Usta zaczęły się poruszać, widziałam język liżący wargi. To było tak, jakby włączono jakąś maszynę. Jakby to ożyło, a przecież widziałam ślinę spadającą w sztywną, martwą brodę... Nagle do pokoju weszli trzej mężczyźni w białych ubraniach i w maskach. Szli ostrożnie... jak koty po szczycie muru. Jeden był wielki, gruby, drugi chudy, kościsty. A trzeci... – Jane odruchowo przerwała. – Trzeci... myślę, że to był Mark! To znaczy... mój mąż...

– Jesteś pewna? – zapytał Przewodniczący.

– Tak. To był Mark. Poznałam go po krokach... I po butach. I po głosie. To był Mark.

– Przykro mi, Jane – powiedział Przewodniczący.

– Wszyscy trzej stanęli przed Głową. Skłonili się przed nią. Trudno powiedzieć, czy na nich patrzyła, okulary były za ciemne. Wciąż dyszała rytmicznie. A potem przemówiła.

– Po angielsku? – zapytała Grace Ironwood.

– Nie, po francusku.

– Co powiedziała?

– No cóż, mój francuski... Wiele nie rozumiałam. Mówiła w dziwny sposób. Jak ktoś, komu brakuje oddechu. Bez odpowiedniego akcentowania. No i oczywiście nie poruszała się jak... jak głowa żywej osoby, kiedy mówi.

– Czy cokolwiek rozumiałaś? – zapytał Przewodniczący.

– Niewiele. Wyglądało to tak, że ten gruby mężczyzna przedstawił Marka. Głowa coś mu powiedziała, a potem Mark próbował odpowiedzieć. Rozumiałam go dobrze, bo jego francuski nie jest dużo lepszy od mojego.

– Co powiedział?

– Mówił coś takiego... że... zrobienie czegoś w kilka dni jest możliwe.

– I to wszystko?

– Prawie tak. Mark nie mógł tego znieść. Wiedziałam, że nie jest w stanie tego znieść... pamiętam... to głupie, ale we śnie chciałam go ostrzec. Wiedziałam, że za chwilę zemdleje. Chyba próbowałam zawołać do tych dwóch: „On zaraz upadnie!” Ale, oczywiście, nie mogłam.

Zwymiotował. Wyprowadzili go z pokoju.

Przez długą chwilę panowała cisza.

– To wszystko? – zapytała pani Ironwood.

– Tak – odpowiedziała Jane. – To wszystko, co pamiętam. Chyba się wtedy obudziłam.

Przewodniczący odetchnął głęboko.

– No tak – powiedział, patrząc na panią Ironwood. – Wszystko staje się coraz bardziej jasne.

Musimy natychmiast zebrać się na naradę. Wszyscy są?

– Nie. Doktor Dimble musiał pojechać do Edgestow, do kolegium, po swoich studentów.

Wróci dopiero wieczorem.

– Więc narada będzie wieczorem. Przygotuj wszystko. – Zamilkł na chwilę, a potem zwrócił się do Jane:

– Myślę, że to dla ciebie ciężkie przeżycie, moje dziecko. Ale dla niego jeszcze cięższe.

– Mówi pan o Marku?

– Tak. Nie myśl o nim źle. On cierpi. Jeśli przegramy, podzielimy jego los. Jeśli zwyciężymy, uratujemy go. Nie sądzę, aby zaszedł za daleko. – Przerwał, uśmiechnął się i dodał: – Widzisz, my tu jesteśmy przyzwyczajeni do martwienia się o mężów. Mąż Ivy, biedak, jest w więzieniu.

– W więzieniu?

– Tak. Za zwykłą kradzież. Ale to całkiem porządny człowiek. Jeszcze do nas wró ci. Wszystko będzie dobrze.

Jane była tak przerażona wspomnieniem snu, w którym ujrzała swojego męża w takim miejscu i z takimi ludźmi, że ogarnęły ją mdłości, ale ten koszmar miał w sobie coś wielkiego i tajemniczego. niespodziewane zrównanie jego losu z losem zwykłego przestępcy sprawiło, że zbladła jak kreda. Milczała.

– I jeszcze coś – dodał Przewodniczący. – Chyba mnie zrozumiesz, jeśli ci powiem, że nie możesz wziąć udziału w naszej wieczornej naradzie.

– Oczywiście – powiedziała Jane, chociaż nie bardzo rozumiała.

– Bo, widzisz, MacPhee uważa, że gdybyś usłyszała, o czym mówimy, mogłabyś nieświadomie przenieść te informacje do swoich snów, a to by znacznie osłabiło ich faktyczną wiarygodność. I trudno się z nim nie zgodzić. Jest naszym sceptykiem, a to bardzo ważne stanowisko.

– Rozumiem.

– To oczywiście dotyczy tylko naszych przypuszczeń – ciągnął Przewodniczący. – Ich właśnie nie powinnaś słyszeć. Nie powinno cię być przy tym, jak zastanawiamy się nad znaczeniem faktów.

Nie mamy jednak przed tobą innych tajemnic, zwłaszcza co do historii naszej rodziny. I to właśnie MacPhee nalega, by ci to wszystko opowiedzieć. Uważa, że moja lub Grace opowieść nie byłaby dostatecznie obiektywna.

– Rozumiem.

– Chciałbym, żebyś go polubiła. To jeden z moich najstarszych przyjaciół. I chyba będzie najlepszym towarzyszem, jeśli mamy przegrać. Trudno sobie wyobrazić lepszego towarzysza u boku podczas przegranej bitwy. Natomiast nie potrafię sobie wyobrazić, co zrobi, jeśli zwyciężymy.

\* \* \*

Mark obudził się następnego ranka, czując, że głowa mu pęka, zwłaszcza z tyłu. Pamiętał, że upadł – w ten sposób uderzył się w tył głowy – upadł w tamtym drugim pomieszczeniu... gdzie był Filostrato i Straik... a potem, jak mówi poeta, „odkrył w swej jaźni ranę, obrzękłą i gorejącą, swoją pamięć”. Och, ale przecież to niemożliwe, nie do przyjęcia, to musiał być tylko koszmarny sen!

Trzeba go wymazać z pamięci, niech zniknie, skoro jest już dzień. To czysty absurd. Kiedyś, w malignie, zobaczył przednią część konia, bez tułowia i tylnych nóg, biegnącą przez łąkę. Była straszna, choć w chwili, gdy na nią patrzył, wydawała się śmieszna. To był absurd tego samego rodzaju. Głowa bez reszty ciała. Głowa, która mówiła, gdy podłączono do niej powietrze. Sztuczna ślina pompowana z drugiego pokoju. Jego własna głowa zaczęła pulsować takim bólem, że musiał przestać myśleć.

Wiedział jednak, że to nie był sen, i nie potrafił tego znieść. Wstydził się tego, bo chciał uchodzić za człowieka twardego, o nerwach jak postronki, choć tak naprawdę było to tylko pobożne życzenie, a cnoty, które mu się udało prawie całkowicie wyprzeć ze świadomości, wciąż gdzieś w nim tkwiły, choćby jako ich zaprzeczenie lub słabości. Pochwalał wiwisekcję, ale nigdy sam jej nie dokonał. Uważał, że niektóre grupy ludzi powinno się stopniowo eliminować, ale nigdy nie był świadkiem, jak jakiś drobny sklepikarz wędruje do przytułku albo jak jakaś wygłodniała staruszka o wygładzie guwernantki kończy swój żywot na zimnym strychu. Nie wiedział nic o ostatniej filizance kakao, wypitej przez nią powoli dziesięć dni wcześniej.

Trzeba wstać. Trzeba coś zrobić z Jane. To oczywiste, że będzie musiał sprowadzić ją do Belbury. Jego świadomość podjęła już tę decyzję, nie pamiętał tylko, kiedy to się stało. Musi ją tu ściągnąć, aby uratować swoje życie. Przybladły wszystkie lęki o stanowisko czy o dostanie się do elity. Teraz była to kwestia życia i śmierci. Zabiją go, jeśli ich rozgniewa. Może odetną mu głowę... och, Boże, gdyby tylko naprawdę zabili tę potworną, umęczoną resztkę ciała, tę twarz, którą wyhodowali na stalowej konsoli... Wszystkie lęki w Belbury – bo teraz już wiedział, że w tym strasznym miejscu bali się wszyscy prócz ścisłego kierownictwa – były tylko emanacją tego podstawowego koszmaru. Musi ściągnąć tu Jane. Już się nie opierał.

Trzeba pamiętać, że w umyśle Marka nawet strzęp szlachetnej myśli – chrześcijańskiej czy pogańskiej – nie miał trwałego, bezpiecznego gniazda. Wykształcenie, jakie zdobył, nie było ani „naukowe”, ani „klasyczne”, było jedynie „nowoczesne”. Nie przeżył nigdy przejmującej powagi abstrakcyjnego myślenia lub surowej głębi najlepszych ludzkich tradycji. Nie miał też ani przenikliwości wieśniaka, ani poczucia honoru arystokraty. Był człowiekiem, na którym trudno polegać, marionetką, kimś, kto gładko zdaje egzaminy z tych przedmiotów, które nie wymagają konkretnej wiedzy (zawsze radził sobie znakomicie z pisaniem esejów i wypracowań na tematy ogólne). Pierwszy sygnał realnego zagrożenia życia doczesnego rozłożył go na obie łopatki. Głowa pękała mu z bólu i czuł okropne mdłości. Na szczęście miał już w pokoju butelkę whisky. Dopiero



kiedy się napił, zdołał się ogolić i ubrać.

Spóźnił się na śniadanie, co nie miało większego znaczenia, bo i tak nie byłby w stanie nic zjeść. Wypił kilka filiżanek czarnej kawy i poszedł do pokoju cichej pracy. Chciał napisać list do Jane, ale zmarnował tylko mnóstwo czasu, bazgrząc coś półświadomie. Teraz, kiedy wiedział już, że musi to zrobić, napisanie tego listu wydało mu się czymś zupełnie niemożliwym. I dlaczego tak im zależy na sprowadzeniu tu Jane? Ogarnął go lęk, którego nie potrafił ubrać w słowa. Dlaczego akurat Jane? Chcą ją zaprowadzić przed Głowę? Chyba po raz pierwszy w życiu poczuł coś w rodzaju całkowicie bezinteresownej miłości – żałował, że w ogóle się z nią ożenił, bo w ten sposób wciągnął ją w ten cały koszmar, którym najwidoczniej miało odtąd być jego życie.

– Cześć, Studdock! – rozległ się nad nim głos pani Hardcastle. – Co, piszemy do żonki?

– Psiakrew! – zaklął Mark. – Pióro mi spadło przez ciebie.

– To je podnieś, synku – powiedziała pani Hardcastle, przysiadając na stole.

Mark zrobił to, a potem usiadł, nadal na nią nie patrząc. Takiej nienawiści i strachu, jakie wzbudzała w nim ta kobieta, nie czuł od czasu, gdy bywał ofiarą szkolnych gangów.

– Mam dla ciebie złe nowiny, synku – powiedziała po chwili milczenia, a jemu serce załomotało w piersi. – Przyjmij to jak mężczyzna.

– Mianowicie?

Nie odpowiedziała od razu. Czuł, że bada go spojrzeniem, oceniając, czy instrument wydaje właściwe tony.

– Rzecz w tym, że martwię się o twoją żonkę – powiedziała w końcu.

– O co ci właściwie chodzi? – zapytał Mark ostrym tonem, teraz już na nią patrząc.

Nie zapaliła jeszcze cygara tkwiącego w jej ustach, ale wyjęła zapalki.

– Widziałam ją, zresztą z uwagi na ciebie. Nie sądzę, aby Edgestow było teraz najlepszym dla niej miejscem.

– Co jej się stało?! – zawołał Mark.

– Ciszej! Chyba nie chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli.

– Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, co się stało? Odczekała chwilę, po czym odpowiedziała:

– Co ty w ogóle wiesz o jej rodzinie, Studdock?

– Wiem sporo. A co to ma do rzeczy?

– Nic... ee... Po obu stronach?

– O czym ty, do diabła, mówisz?

– Nie krzycz, skarbie. Martwię się o ciebie. To tylko... no cóż, odniosłam wrażenie, że kiedy ją widziałam, zachowywała się bardzo dziwnie.

Mark dobrze pamiętał rozmowę z Jane tego ranka, gdy wyjeżdżał do Belbury. Przeszył go nowy dreszcz strachu. A może ta odrażająca kobieta mówi prawdę?

– Co mówiła? – zapytał.

– Jeśli z nią jest coś nie w porządku, a na to wygląda, to posłuchaj mojej rady, Studdock, i jak najszybciej ją tu sprowadź. Tutaj będzie miała właściwą opiekę.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, co powiedziała albo zrobiła.

– Ja bym nie chciała, żeby zapakowano kogoś mi bliskiego do szpitala wariatów w Edgestow.

Zwłaszcza teraz, gdy mamy tu stan wyjątkowy. Wiesz, zwykli pacjenci mogą być wykorzystywani do doświadczeń. Podpisz zaraz ten formularz, a ja zajmę się tym po obiedzie i przywiozę ją tu wieczorem.

Mark cisnął pióro na biurko.

– Niczego takiego nie zrobię, zwłaszcza że nie usłyszałem jeszcze ani słowa o tym, co jej właściwie jest.

– Próbuję ci to powiedzieć, ale mi nie pozwalasz. No więc... ona bez przerwy opowiada, że ktoś włamał się do waszego mieszkania... albo napadł na nią na stacji, choć trudno się zorientować, gdzie to miało być, i poparzył ją cygarem. Potem zauważyła moje cygaro i, nie uwierzysz, nagle stwierdziła, że to ja jestem tym wyimaginowanym prześladowcą. Chyba rozumiesz, że nie mogłam ciągnąć tej rozmowy.

– Muszę natychmiast jechać do domu – powiedział Mark, wstając.

– Ej... hola! Nie możesz tego zrobić! – zawołała Wróżka, również wstając.

– Nie mogę pojechać do domu?! Więc przyjmij do wiadomości ci, że mogę, jeśli li to wszystko jest prawdą.

– Nie bądź głupcem, skarbie. Uwierz mi, że wiem, co mówię. Już i tak wpakowałeś się w cholernie groźną sytuację. Będziesz miał jeszcze większe kłopoty, jeśli teraz opuścisz Belbury bez pozwolenia. Ja to załatwię. Podpisz tylko ten formularz. To naprawdę najrozsądniejsze, co można zrobić.

– Chwilę temu mówiłaś, że ona nie może znieść twojej obecności!

– Och, to mi nie przeszkadza. Oczywiście ci byłoby mi łatwiej, gdyby się na mnie tak nie uwzięła. Słuchaj, Studdock, chyba nie myślisz, że twoja żonka jest zazdrosna, co?

– Zazdrosna? O ciebie?! – zawołał Mark z nieukrywaną odrazą.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała Wróżka ostrym tonem.

– Do WD, a potem do domu.

– Chwileczkę! Nie zrobisz tego, chyba że chcesz mieć we mnie ś miertelnego wroga... a mam wrażenie, że wrogów już i tak ci nie brakuje.

– Och, idź do diabła!

– Wracaj, Studdock! – krzyknęła. – Poczekaj! Nie bądź przeklętym durniem!

Ale Mark był już w holu. Przez chwilę wszystko wydawało mu się jasne. Pójdzie do Withera i po prostu mu oznajmi, że musi natychmiast wrócić do domu z powodu nagłej i ciężkiej choroby żony. Wyjdzie, zanim Wither będzie w stanie mu odpowiedzieć. I w drogę. Nie zastanawiał się, co się stanie potem. Włożył płaszcz i kapelusz, popędził schodami na górę i zapukał do gabinetu wicedyrektora.

Nie usłyszał odpowiedzi, ale zauważył, że drzwi nie są domknięte. Odważył się lekko je uchylić. Zobaczył wicedyrektora siedzącego plecami do drzwi.

– Przepraszam, panie dyrektorze – powiedział. – Czy mógłbym prosić o chwilę rozmowy?

Nie było odpowiedzi.

– Przepraszam, panie dyrektorze – powtórzył Mark trochę głośniejszym głosem, ale postać ani się nie odezwała, ani nie poruszyła.

Zdecydował się wejść. Obszedł biurko, spojrzał na Withera i wstrzymał oddech: patrzył w twarz trupa. Chwilę później zrozumiał, że się mylił: w ciszy gabinetu słyszał jego oddech. Nawet nie spał, oczy miał otwarte. Zdawało się, że jest przytomny, bo spojrzał na Marka, po czym popatrzył gdzieś w bok.

– Niech mi pan wybaczy, panie dyrektorze... – zaczął Mark i urwał.

Wither nie słuchał go. Można było zwątpić, czy w ogóle tu jest, może na było pomyśleć, że jego dusza błądzi gdzieś po bezkształtnych, cienistych światach, po jałowych ziemiach i graciarniach wszechświata, powoli rozplywając się w nicość jak obłoczek gazu. W jego bladych, wodnistych oczach malowało się coś, co można by nazwać nieskończonością – bezkształtną i ponadczasową. W

pokoju było cicho i chłodno. Nie tykał zegar, ogień na kominku wygasł. Mark poczuł, że nie potrafi mówić do takiej twarzy, ale nie mógł też po prostu wyjść z pokoju, bo przecież Wither już go zobaczył. Przestraszył się. Czegoś takiego jeszcze nigdy w życiu nie przeżył.

Kiedy Wither w końcu przemówił, jego spojrzenie utkwione było w jakimś odległym punkcie gdzieś za oknem, może w niebie.

– Wiem, kim jesteś – powiedział bezbarwnym głosem. – Nazywasz się Studdock. Jak śmiesz tutaj przychodzić?! Powinieneś zostać na zewnątrz. Odejdź.

Nagle Mark przestał panować nad sobą. Wszystkie lęki, gromadzące się w nim stopniowo przez ostatnie dni, skumulowały się w jednym odruchu determinacji. Wypadł z pokoju i zbiegł po schodach po trzy stopnie naraz. Przebiegł przez hol, wydostał się na zewnątrz i ruszył dalej podjazdem. Wiedział, dokąd ma iść. Naprzeciw bramy wyjść ciowej wyrastał szeroki pas drzew przebity polną drogą. Idąc nią, za pół godziny dotrze do Courthampton, a tam złapie autobus do Edgestow. Zupełnie nie myślał o przyszłości. Teraz liczyły się tylko dwie sprawy: musi wydostać się z tego domu i wrócić do Jane. Ogarnęła go wprost fizyczna, ale całkowicie pozbawiona zmysłowości tęsknota, jakby to jej ciało o tchnęło pociechą i męstwem, jakby sam dotyk jej skóry mógł go oczyścić z brudu, który zdawał się go oblepiać. Nie myślał już o tym, że Jane mogła postradać zmysły. I był wciąż na tyle młody, że nie mógł uwierzyć w ostateczną klęskę. Nie potrafił wyzbyć się do końca nadziei, że wystarczy tylko chcieć, wystarczy tam pobiec, a sieć pęknie, niebo zajaśnieje i cały ten koszmar zakończy się sceną, w której on i Jane piją razem herbatę, jakby nic się nie stało.

Był już za murami Belbury, przeszedł przez pas drzew. Nagle zatrzymał się. Zrobił to nie z własnej woli. Stało się coś, co było czystym absurdem, co było niemożliwe. Ujrzał przed sobą postać: wysoką, lekko zgarbioną, zbliżającą się do niego wolnym krokiem i nucącą pod nosem jakąś posępną melodię. Był to wicedyrektor Wither we własnej osobie. W jednej chwili opuścił cała Marka cała krucha determinacja. Odwrócił się. Przez chwilę stał na drodze, czując straszliwy ból. A potem zbolewały i zmęczony, tak zmęczony, że poczuł łzy pod powiekami, powoli, z trudem stawiając stopy, powrócił do Belbury.

\* \* \*

Pan MacPhee miał na parterze mały pokój, przyjemnie urządzone, choć nieco zakurzone, który nazywał swoim „biurem” i do którego nie miała wstępu żadna kobieta, jeśli jej sam tam nie wprowadził. Tam właśnie zaprosił Jane Studdock przed kolacją, aby przedstawić jej, jak to określił, „związy, obiektywny zarys sytuacji”.

– Chciałbym na wstępie zaznaczyć, pani Studdock, że znam Przewodniczącego od wielu lat i że przez większość swego życia był filologiem. Nie sądzę, by filologia w pełni zasługiwała na miano nauki, ale wspominam o tym, by nakreślić pani jego intelektualne horyzonty. I, nie przesadzając niczego, nie powiem, jak bym to może uczynił w zwykłej pogawędce, że zawsze był człowiekiem obdarzonym twórczą wyobraźnią. Jego pierwotne nazwisko brzmiało Ransom.

– Czyżby ten Ransom od *Dialektyki i semantyki*? – zapytała Jane.

– Zgadza się. To on. A więc jakieś sześć lat temu... wszystkie daty są tu, w tym notesie, ale to w tej chwili nie jest takie ważne... zniknął po raz pierwszy. Po prostu przepadł bez śladu. Tak to było. Zniknął na jakieś dziewięć miesięcy. Już myślałem, że utopił się podczas kąpieli albo spotkał go jakiś inny nieszczęśliwy wypadek. Aż potem, pewnego dnia, zjawił się znowu w Cambridge.

Chory, bardzo chory. I nie powiedział nikomu... prócz najbliższych przyjaciół... gdzie był.

– No więc gdzie?... – zapytała niecierpliwie Jane.

– Powiedział – odrzekł MacPhee, przesadnie akcentując to słowo i wyjmując tabakierkę – powiedział, że był na planecie, którą nazywamy Marssem.

– To znaczy... powiedział to... kiedy był chory, tak?

– Nie, to nie to. Powtarza to do dziś. Może pani wierzyć albo nie, ale tak to wygląda.

– Wierzę w to – powiedziała Jane.

MacPhee wyjął z pudełka szczyptę tabaki, a zrobił to z taką uwagą, jakby właśnie te konkretne ziarenka różniły się od całej reszty w tabakierce, po czym przemówił, zanim podsunął sobie tę uprzywilejowaną szczyptę do nosa:

– Przedstawiam pani fakty. Powiedział nam, że był na Marsie, porwany tam przez profesora Westona i pana Devine'a. Ten ostatni jest dziś lordem Feverstone'em. Według opowieści Przewodniczącego uciekł im, na Marsie, ma się rozumieć, i samotnie tam wędrował.

– Mars, jak sądzę, nie jest zamieszkanym?

– Nie mamy innych świadectw poza jego opowieścią. Chyba pani wie, pani Studdock, że nawet na naszej planecie człowiek przebywający długo w samotności, na przykład odkrywca, osiąga szczególne stany świadomości. Mówią, że może nawet zapomnieć o własnej tożsamości.

– Chce pan przez to powiedzieć, że mógł wyobrażać sobie coś, czego tam w rzeczywistość ci nie było?

– Nie komentuję niczego – oznajmił MacPhee z godnością. – Ja tylko odnotowuję fakty. Według jego opowieści jest tam wiele różnych rodzajów stworzeń. Może dlatego zamienił ten dom w coś w rodzaju menażerii, ale mniejsza z tym. Mówi jednak również, że spotkał tam pewien gatunek istot, który ma z nami szczególny związek. Nazywa je eldilami.

– To jakiś rodzaj zwierząt, tak?

– Czy próbowała pani kiedykolwiek zdefiniować słowo „zwierzę”, pani Studdock?

– Chyba nie. Chodzi mi o to, czy one są... no, rozumne? Czy potrafią mówić?

– Tak. Potrafią mówić. A w każdym razie były rozumne, co nie zawsze musi oznaczać, że są.

– A więc to właśnie byli Marsjanie?

– Otóż według Ransoma wcale nie. Te eldile przebywały na Marsie, ale właściwie stamtąd nie pochodzą. Przewodniczący twierdzi, że żyją w pustej przestrzeni między planetami.

– Ale tam przecież nie ma powietrza!

– Powtarzam tylko jego słowa. Twierdzi, że one nie oddychają. Mówi też, że nie rozmnażają się i nie umierają. Ale nawet jeśli uznamy, że reszta jego opowieści ci jest prawdziwa, to takie stwierdzenie nie może się opierać na obserwacji.

– Więc czym w końcu są te istoty?

– Mówię pani, jak on je opisywał.

– To jak one wyglądają?

– Nie bardzo potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

– Czy są wielkie? – zapytała Jane prawie bezwiednie.

MacPhee wydmuchał nos w chustkę, zanim odpowiedział.

– Rzecz w tym, pani Studdock, o czym zaraz powiem. Doktor Ransom twierdzi, że te istoty odwiedzają go tu, na Ziemi, od kiedy stamtąd wrócił. To tyle, jeśli chodzi o jego pierwsze zniknięcie. Bo potem było drugie. Zniknął na ponad rok. Tym razem po powrocie oświadczył, że był na planecie Wenus, zabrany tam przez owe eldile.

– To na Wenus one też mieszkają?

– Niech mi pani wybaczy, jeśli zauważę, że to zdanie wydaje się świadczyć, iż nie zrozumiała pani tego, co mówię. Te istoty nie mieszkają na planetach. Zakładając, że w ogóle istnieją, można je sobie wyobrazić jako istoty szybujące w przestrzeni kosmicznej, chociaż mogą wylądować na jakiejś planecie, jeśli zechcą, tak jak ptak, który siada sobie na gałęzi. Niektóre z nich, jak on mówi, są

mniej lub bardziej związane z poszczególnymi planetami, ale z nich nie pochodzą. Są po prostu zupełnie innym rodzajem bytu.

Zapanowało krótkie milczenie, a potem Jane zapytała:

– Domyślam się, że są raczej przyjazne?

– Tak utrzymuje Przewodniczący, chociaż z jednym wyjątkiem.

– To znaczy?

– Z wyjątkiem eldilów, które od wieków skoncentrowały się na naszej planecie. Wygląda na to, że nie mieliśmy szczęścia w naszym szczególnym przydziale pasożytów. I to właśnie, pani Studdock, prowadzi nas do sedna sprawy.

Jane czekała w milczeniu. Sposób, w jaki MacPhee przedstawiał „zarys sytuacji”, prawie neutralizował dziwaczność tego, co mówił.

– Krótko rzecz ujmując, pani Studdock, ten dom jest opanowany albo przez te istoty, o które rycy mówiłem, albo przez zwykłe iluzje. W każdym razie Przewodniczący wierzy, że to właśnie dzięki kontaktom z eldilami odkrył spisek przeciw gatunkowi ludzkiemu i że zgodnie z instrukcjami eldilów kieruje walką z tym spiskiem... jeśli w ogóle można to nazwać kierowaniem! To po prostu zadziwiające, jak ktoś może myśleć, że zniszczy spisek przeciwko ludzkości, hodując w zimie warzywa i tresując niedźwiedzie. Podnosiłem tę kwestię nie raz i nie dwa. Odpowiedź jest zawsze taka sama: czekamy na rozkazy.

– Od eldilów? To ich ma na myśli, mówiąc o Zwierzchnikach?

– Na to by wyglądało, chociaż nie użył tego słowa, kiedy ze mną rozmawiał.

– Ale, panie MacPhee, nie bardzo rozumiem. Przecież chyba sam pan powiedział, że te żyjące na Ziemi są wrogie?!

– Bardzo dobre pytanie. Otóż Przewodniczący utrzymuje, że to nie z nimi ma stały kontakt, ale ze swoimi przyjaciółmi z przestrzeni kosmicznej. Ziemskie eldile popierają spisek, o którym mówiłem. Proszę sobie wyobrazić, pani Studdock, że żyjemy na planecie, na której owa przestępcza grupa eldilów założyła sobie kwaterę główną. A jeśli Przewodniczący ma rację, ich szlachetni ziomkowie odwiedzają tę planetę, żeby z nimi walczyć.

– To znaczy... że te inne eldile, te z przestrzeni kosmicznej... odwiedzają ten dom?

– Tak przynajmniej twierdzi Przewodniczący.

– Ale pan... przecież musi pan wiedzieć, czy to prawda, czy nie.

– Niby w jaki sposób?

– Czy pan je widział?

– Na to pytanie nie można odpowiedzieć „tak” lub „nie”. W swoim czasie widziałem wiele różnych rzeczy, których tak naprawdę nie było albo które nie były tym, czym zdawały się być: tęczę, refleksy światła, zachodzące słońce, nie mówiąc o snach. No i jest coś takiego jak sugestia.

Nie przeczę, że byłem świadkiem pewnych zjawisk w tym domu, których nie potrafię w pełni wyjaśnić. Nigdy jednak nie doszło do nich w chwili, gdy miałem przy sobie notes albo jakiś inny środek weryfikacji faktów.

– Nie wystarczy, że pan to widział?

– Samo widzenie może wystarczyć dzieciom albo zwierzętom.

– Ale nie rozsądnym ludziom, tak?

– Mój wuj, doktor Duncanson... pewnie zna pani to nazwisko... który był moderatorem Zgromadzenia Ogólnego Kościoła Prezbiteriańskiego w Szkocji, zwykł był mówić: „Pokaż mi to w księdze Słowa Bożego”. I walił Biblią w stół. W ten sposób zamykał usta ludziom, którzy przychodzili do niego, plotąc o szczególnych przeżyciach religijnych. I zgodnie z przyjętymi przez

niego założeniami, miał rację. Nie podzielałam jego poglądów, pani Studdock, ale postępuję według podobnych metod. Jeśli Andrew MacPhee ma uwierzyć w istnienie czegoś, to to coś musi mu się pokazać w pełnym świetle dnia, w obecności wystarczającej liczby świadków. Najlepiej z aparatem fotograficznym czy termometrem w garści.

Spojrzał z namysłem na swoją tabakierkę.

– A więc coś pan jednak widział?

– Tak. Trzeba jednak zachowywać otwarty umysł. To mogły być halucynacje. Mogły to być jakieś sztuczki magiczne...

– Wyczarowane przez Przewodniczącego? – zapytała Jane ze złością, a MacPhee ponownie zajął się tabakierką. – Czy naprawdę wyobraża pan sobie, że uwierzę, że Przewodniczący jest szarlatanem?

– Życzyłbym sobie, szanowna pani – odpowiedział MacPhee aby zechciała pani rozważać tę sprawę bez ustawicznego używania takich terminów, jak „wierzyć”. Sztuczki magiczne to jedna z hipotez, którą każdy bezstronny badacz musi wziąć pod uwagę. Fakt, że jest to hipoteza szczególnie niemiła uczuciom tego badacza, nie powinien mieć żadnego znaczenia. No, może tylko takie, że istnieje wówczas niebezpieczeństwo negowania jej z czysto psychologicznych względów.

– Ale przecież istnieje coś takiego jak lojalność – oburzyła się Jane.

MacPhee, który ostrożnie zamykał tabakierkę, spojrzał na nią wzrokiem, w którym zapłonęła godność niezłomnych obrońców prezbiterianizmu.

– Tak, szanowna pani, istnieje coś takiego – powiedział. – Kiedy będzie pani nieco starsza, z pewnością nauczy się pani, że jest to cnota zbyt wielkiej wagi, aby ją trwonić na indywidualne osobowości.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść – powiedział MacPhee.

Weszła Camilla.

– Czy skończył pan już rozmowę z Jane, panie MacPhee? – zapytała. – Jane obiecała, że wyjdzie ze mną trochę się przewietrzyć przed kolacją.

– Och, przewietrz swoją babkę! – zawołał MacPhee z gestem desperacji. – Wspaniale, moje panie, wspaniale. Byle się wyrwać do ogrodu. Wątpię, czy robi się tu coś więcej w walce ze spiskiem przeciwko ludzkości. W ten sposób opanują cały kraj, zanim się obejrzymy!

– Bardzo bym chciała, żeby pan przeczytał poemat, który właśnie czytam – powiedziała Camilla. -

Bo jest w nim takie zdanie, które bardzo mi teraz pasuje: „Głupcze, wszystko zależy od cnoty cierpliwości, której mój pan hołduje”. [Cytat z arturiańskiego poematu *Taliessin through Logres* pióra Charlesa Williama, jednego z członków grupy Inkling.]

– Z czego to jest? – zapytała Jane.

– Z *Taliesina*.

– Pewnie pan MacPhee uznaje tylko Burnsa.

– Burns! – zawołał MacPhee z głęboką pogardą, po czym energicznym ruchem otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej stos papierów. – Jeśli wybierają się panie na przechadzkę, to nie zatrzymuję.

– Powiedział ci? – zapytała Camilla, gdy szły korytarzem.

Wiedziona impulsem, który był obcy całemu jej dotychczasowemu doświadczeniu, Jane schwyciła ją za rękę.

– Tak!

Obie czuły, że przepełnia je jakaś żarliwa pasja, ale nie potrafiły jej bliżej określić. Doszły do drzwi frontowych, a kiedy je otworzyły, widok, który ukazał się ich oczom – choć był tak naturalny – dla nich przez chwilę miał jednak w sobie coś apokaliptycznego.

Wiatr wzmagał się przez cały dzień i teraz patrzyły na prawie czyste niebo. Powietrze było przejmująco zimne, a gwiazdy wyraźne i jasne. Wysoko, nad ostatnimi strzędziami unoszonej przez wiatr chmury, wisiał Księżyc w całej swojej dzikiej krasie: nie był to ów zmysłowy Księżyc z tysiąca południowych pieś ni miłosnych, ale łowczym, nieujarzmiona dziewica, ostrze szaleństwa.

To szaleństwo zdawało się przenikać do krwi Jane.

– Ten MacPhee... – zaczęła, gdy podchodziły zboczem na szczyt ogrodu.

– Wiem, wiem. Ale... czy ty w to uwierzyłaś?

– Oczywiście.

– W jaki sposób MacPhee wyjaśnia wiek Przewodniczącego?

– Chodzi ci o to, że wygląda... albo jest... tak młodo... jeśli to można tak określić?

– Tak. Tak wyglądają ludzie, którzy wrócili z gwiazd. A w każ dym razie z Perelandry. Tam wciąż jest raj. Poproś go kiedyś, żeby ci o tym opowiedział. On już nigdy się nie zestarzeje choćby o rok, czy nawet miesiąc.

– Ale przecież kiedyś umrze...

– Myślę, że zostanie stąd zabrany. Wróci do Głębin Niebios. To się już zdarzyło na Ziemi, z dwoma, może nawet sześcioma osobami od początku świata.

– Camillo!

– Co?

– Kim... kim on jest?

– Jest mężczyzną, moja droga. I jest Pendragonem, wł adcą Logresu. Ten dom, my, którzy w nim mieszkamy, Pan Bultitude i Szczyпка, to wszystko, co zostało z Logresu. Cała reszta stała się po prostu Brytanią. Chodźmy. Wejźmy na sam szczyt. Och, jak tu wieje! Tej nocy mogą go odwiedzić!

\* \* \*

Tego wieczoru Jane myła się pod czujnym okiem gawrona Corvo, podczas gdy reszta mieszkańców Dworu zebrała się na naradzie w Niebieskim Pokoju.

– Tak, moi drodzy – powiedział Ransom, kiedy Grace Ironwood skoń czyła czytać swoje notatki. – To jest sen, a jednak wszystko w nim wydaje się obiektywne.

– Obiektywne? – powtórzył Dimble. – Nie rozumiem. Przecież chyba pan nie sądzi, że mogliby mieć coś takiego.

– A co ty o tym myślisz, MacPhee? – zapytał Ransom.

– O tak, to możliwe. Takie rzeczy robi się w laboratoriach dość często. Można odciąć kotu głowę i utrzymać ją w ruchu przez jakiś czas, jeśli się jej dostarcza krwi pod odpowiednim ciśnieniem.

– Niesamowite! – zawołała Ivy Maggs.

– Utrzymać przy życiu? – upewnił się Dimble.

– Życie to pojęcie niejednoznaczne. Można utrzymać wszystkie funkcje organizmu. W tym wypadku chodzi o to, co potocznie nazywa się życiem. Ale ludzka gł owa... i ś wiadomość... Nie wiem przewidzieć wyniku takiego eksperymentu.

– Dokonano już takiej próby – powiedziała pani Ironwood. – Zrobił to pewien Niemiec przed pierwszą wojną. Posłużył się głową kryminalisty.

– Naprawdę? – zdziwił się MacPhee. – A jaki był rezultat tego eksperymentu?

– Nic z tego nie wyszło. Głowa po prostu uległa rozkładowi.

– Ja mam już tego dosyć – oświadczyła Ivy Maggs, po czym wstała i szybko wyszła z pokoju.

– A więc ta obrzydliwość – odezwał się doktor Dimble – nie jest tylko snem.

Na jego pobladłej twarzy malowało się napięcie. Natomiast jego żona okazywała tylko kontrolowaną odrazę, jaką może okazywać pani starej daty, wysł uchując odrażających szczegółów, których w rozmowie nie można pominąć.

– Nie mamy na to dowodu – stwierdził MacPhee. – Ja mówię tylko o faktach. To, o czym śniła ta dziewczyna, jest możliwe.

– A co z tym... jakby turbanem? – zapytał Denniston. – Z tym rodzajem balonu na szczycie czaszki?

– Chyba rozumiesz, czym to mogło być – odpowiedział Przewodniczący.

– No... nie bardzo.

– Zakładając, że sen jest zgodny z rzeczywistością – rzekł MacPhee – można podejrzewać coś takiego. Kiedy już udało im się utrzymać głowę przy życiu, no cóż, takie typy spróbowałyby przede wszystkim powiększyć mózg. Zastosowałyby najróżniejsze czynniki pobudzające. A potem, być może, doszłoby do wniosku, że trzeba otworzyć czaszkę i po prostu... po prostu pozwolić, by ten rosnący mózg wykijał z niej, jeśli tak można powiedzieć. Nie wątpię, że na tym to polega.

Wywołana sztucznie hipertrofia mózgową, żeby wesprzeć nadludzką zdolność ideacji.

– Czy jest w ogóle możliwe – zapytał Przewodniczący – by podobna hipertrofia fizyczna doprowadziła do spotęgowania władz umysłowych?

– W tym widzę słaby punkt – odezwała się pani Ironwood. – Raczej bym sądziła, że coś takiego dałoby w rezultacie śpiączkę. Ale... zawsze jest możliwy efekt zupełnie przeciwny.

Zapanowała pełna zadumy cisza.

– A więc mamy do czynienia – powiedział Dimble – z mózgiem kryminalisty rozdętym do nadludzkich rozmiarów i mającym taki rodzaj świadomości, jakiego nie możemy sobie wyobrazić, ale jest to prawdopodobnie świadomość potwornej męki i nienawiści.

– Wcale nie jest pewne – zauważyła pani Ironwood – że coś takiego jest w stanie odczuwać ból. No, może ból karku.

– Ale nas powinno bardziej obchodzić co innego – powiedział MacPhee. – Musimy określić, jakie konkluzje możemy z tego wyciągnąć i jakie kroki praktyczne powinniśmy my przedsięwziąć, oczywiście zakładając roboczo, że ten sen poddaje się weryfikacji.

– W każdym razie jednego możemy być pewni – stwierdził Denniston.

– Mianowicie? – zapytał MacPhee.

– Że działania naszych wrogów mają zasięg międzynarodowy. Aby dostać tę głowę, musieli pozyskać do współpracy przedstawicieli policji przynajmniej jednego obcego kraju.

MacPhee zatarł ręce.

– Człowieku – rzekł – widzę, że zaczynasz myśić logicznie. Tyle, że taka dedukcja nie musi być do końca nieomylna. W tym wypadku realna współpraca nie jest konieczna. Wystarczy dać łapówkę.

– Ale otrzymaliśmy w ten sposób jeszcze jedną informację, Ważniejszą w perspektywie czasu – powiedział Przewodniczący. – Wszystko się wiadczy o tym, że jeśli takie zabiegi techniczne okażą się rzeczywiście skuteczne, ludzie z Belbury odkryją sposób uczynienia się nieśmiertelnymi. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – To początek czegoś, co można naprawdę nazwać nowym gatunkiem: gatunkiem Wybranych Główn, które nigdy nie umierają. Nazwą to następną fazą ewolucji. A stąd wniosek, że wszystkie istoty, które my nazywamy ludźmi, dla nich są jedynie albo kandydatami do tego nowego gatunku, albo jego niewolnikami. Może... jego pożywieniem.



– Ależ to... pojawienie się cyborgów! – zawołał Dimble.

– Bardzo możliwe, bardzo możliwe – rzekł MacPhee, wyciągając do niego tabakierkę. Doktor Dimble odmówił, więc sam zażył z namaszczeniem niuch tabaki i ciągnął dalej: – Nie ma jednak większego pożytku z napędzania sobie strachu za pomocą wyrafinowanych figur retorycznych albo tracenia głowy tylko dlatego, że jacyś ludzie zrezygnowali z karków, na których osadzone są ich głowy. Będę stawiał na głowę Przewodniczącego, pana, doktorze, i moją własną przeciw głowie tego nieszczęśnika, bez względu na to, czy kipi z niej mózg, czy nie kipi. Pod warunkiem, że będziemy tych głów używać. Byłbym rad usłyszeć jakieś bardziej praktyczne wnioski.

Po tych słowach postukał lekko knykциями w kolana, spojrzał twardo na Przewodniczącego i dodał:

– I to właśnie już wcześniej ośmieliłem się zaproponować.

Twarz Grace Ironwood nagle zapłonęła gniewem; przywodziło to na myśl i płomień, który nagle buchnął wśród rozżarzonych węglików.

– Panie MacPhee, czyżby pan nie darzył zaufaniem Przewodniczącego na tyle, by wolno mu było ujawnić swój plan wówczas, gdy uzna to za stosowne?

– A czy doradcy Przewodniczącego nie zasługują na takie zaufanie, by w końcu usłyszeć, na czym ten plan polega?

– O co ci chodzi, MacPhee? – zapytał Dimble.

– Panie Przewodniczący – powiedział MacPhee – niech mi pan wybaczy szczerą. Wrogowie dysponują tą Głową. Opanowali Edgestow i są na dobrej drodze, by zawiesić prawa Anglii. A pan, panie Przewodniczący, wciąż nam powtarza, że jeszcze nie czas na ruch z naszej strony. Gdyby pan posłuchał mojej rady sześć miesięcy temu, dziś mielibyśmy już organizację na całej wyspie i być może przedstawiciele w Izbie Gmin. Wiem dobrze, co mi pan odpowie, że – to nie są właściwe metody. Może i nie są. Ale jeśli pan ani nie chce przyjąć tej rady, ani nie mówi nam, żebyśmy coś konkretnego zrobili, to po co tu w ogóle siedzimy? Czyżby pan poważnie rozważał możliwość odesłania nas do domów i sprowadzenia zupełnie innych towarzyszy, takich, z którymi może pan współpracować?

– Masz na myśli rozwiązanie Stowarzyszenia? – zapytał Dimble.

– Tak, to mam na myśli – odparł MacPhee.

Przewodniczący popatrzył na nich z uśmiechem.

– Ale ja nie mam takiej władzy, by je rozwiązać.

– Jeśli tak – powiedział MacPhee – to muszę zapytać, jaką władzę pan miał, aby je powołać?

– Nigdy niczego nie powoływałem – odpowiedział Przewodniczący. Popatrzył po wszystkich i dodał: – To jakieś dziwaczne nieporozumienie! Czyżbyście wszyscy odnieśli wrażenie, że was wybrałem? Czy tak?

– No cóż – odezwał się w końcu Dimble – jeśli chodzi o mnie, to zdaję sobie sprawę, że stało się to mniej lub bardziej nieświadomie... a nawet przypadkowo. Nigdy pan nie zapytał mnie, czy chcę się przyłączyć do jakiegoś konkretnego ruchu czy czegoś podobnego. I dlatego zawsze uważałem siebie za kogoś w rodzaju markietana. Zakładałem, że inni odgrywają tu bardziej istotną rolę.

– Przecież pan wie, panie Przewodniczący, dlaczego Camilla i ja tu jesteśmy – powiedział Denniston. – Z pewnością nie zastanawialiśmy się w ogóle, czy znajdziemy tu jakieś zatrudnienie.

Grace Ironwood podniosła głowę i spojrzała na Ransoma. Jej twarz pobladła.

– Czy pan chce... – zaczęła. Ransom położył jej rękę na ramieniu.

– Nie. Nie ma potrzeby opowiadania tych wszystkich historii. Przez chwilę trwała cisza, którą przerwał MacPhee. Jego surowe rysy rozluźniły się w ironicznym grymasie.

– Widzę, do czego pan zmierza – rzekł. – Obawiam się, że wszyscy bawimy się w ciuciubabkę.

Ośmielałam się jednak zauważyć, doktorze Ransom, że troszkę pan przeholował. Nie mogę sobie przypomnieć, jak to się stało, że nazywa się pana Przewodniczącym, ale biorąc pod uwagę ten tytuł i parę innych sugestii, może na by pomyśleć, że zachowuje się pan bardziej jak przywódca jakiejś organizacji, a nie gospodarz na wydanym przez siebie przyjęciu.

– Jestem Przewodniczącym – powiedział Ransom z uśmiechem. – Czy myślicie, że rościłbym sobie jakieś pretensje do władzy, gdyby stosunki między nami zależały od waszych lub moich wyborów? Wy nigdy mnie nie wybieraliście. Ja nigdy nie wybierałem was. Nawet wielki Ojarsa, któremu służę, nigdy mnie nie wybrał. Trafiłem do ich ś wiatów dzięki czemuś, co z początku wyglądało na zwykły przypadek, podobnie jak wy trafiliście tutaj... jak trafiły do tego domu zwierzęta. Ani wy, ani ja tego nie rozpoczęliśmy. Nie my to wymyśliliśmy. To na nas spadło.

Można powiedzieć, że to nas samo wciągnęło. Tak, to jest bez wątpienia organizacja, ale nie my ją założyliśmy. I dlatego nie mam żadnej władzy, aby udzielić komukolwiek z was pozwolenia na opuszczenie mojego domostwa.

Zapanowało głucho milczenie, słysząc było tylko trzaskanie ognia w kominku.

– Jeśli nie ma już więcej tematów do dyskusji – odezwała się w końcu Grace Ironwood – to może lepiej pozwolimy Przewodniczącemu odpocząć.

MacPhee wstał i strząsnął szczyptę tabaki z wypchanych na kolanach spodni, bezwiednie przygotowując w ten sposób nie lada niespodziankę dla myszy w czasie ich następnej wizyty.

– Nie mam nic przeciwko pozostaniu w tym domu – oświadczył z godnością – jeśli ktoś zechce, bym w nim pozostał. Co się jednak tyczy ogólnej hipotezy, zgodnie z którą Przewodniczący wydaje się działać, i jego bardzo szczególnego zwierzchnictwa, które sobie przypisuje, to stanowczo zachowuję sobie prawo do własnej oceny. Wie pan dobrze, panie Przewodniczący, w jakim sensie mam i w jakim sensie nie mam do pana całkowitego zaufania.

Ransom roześmiał się.

– Zapomniałem – powiedział – że powinienem wiedzieć, co się dzieje w każdej z dwóch połówek twojej głowy, MacPhee, i w jaki sposób łączysz je ze sobą. Ale o wiele ważniejsze jest to, że dobrze wiem, jakim rodzajem zaufania mnie obdarzasz. Może byś jednak usiadł? Mamy jeszcze wiele do omówienia.

MacPhee opadł z powrotem na swoje krzesło, Grace Ironwood, która siedziała wyprostowana, rozluźniła się, a Przewodniczący mówił dalej:

– Dziś wieczór czegoś się dowiedzieliśmy. Jeśli nawet jeszcze nie wiemy, do czego dąży i co czyni prawdziwa siła ukrywająca się za plecami naszych wrogów, to w każdym razie wiemy już, w jaką postać wcieliła się w Belbury. Tak więc wiemy już coś o jednym z dwóch ataków, jakie są przygotowywane, aby zniszczyć ludzkość. Teraz myślę jednak o tym drugim.

– Tak – odezwała się żywo Camilla. – O tym drugim. – To znaczy?... – zapytał MacPhee.

– To znaczy o tym, co spoczywa pod Lasem Bragdońskim.

– Wciąż pan myśli o tym? – zapytał Ulsterczyk.

– Myślę właściwie tylko o tym – odrzekł Przewodniczący. – Wiemy już, że przeciwnikowi zależy na tym lesie. Niektórzy z nas podejrzewają, dlaczego. A Jane w swojej wizji zobaczyła... albo raczej odczuła... czego oni tam szukają. Być może jest to większe zagrożenie od pierwszego.

Jedno jest pewne: największym niebezpieczeństwem byłoby połączenie sił wrogów. Kiedy nowa potęga z Belbury połączy się ze starą potęgą z Bragdonu, wówczas naprawdę Las Bragdon, Logres... ba, sama ludzkość... będą już prawie otoczeni. Wszystko zależy teraz od niedopuszczenia do tego połączenia. To sprawa, dla której musimy być gotowi zabijać i umrzeć. Nie możemy jednak

dostać się do lasu i sami rozpocząć wykopaliska. Nastąpi moment, w którym oni go odnajdą. Nie wątpię, że zostaniemy o tym w jakiś sposób powiadomieni. Do tego czasu musimy czekać.

– Nie wierzę w ani jedno słowo z całej tej historii z lasem – oświadczył MacPhee.

– Wydawało mi się – powiedziała z przekąsem pani Ironwood – że nie mieliśmy używać takich słów, jak „wierzę”. Sądziłam, że mieliśmy tylko stwierdzać fakty i wykrywać ich konsekwencje.

– Jeśli wy dwoje będziecie się wciąż kłócić – rzekł Przewodniczący – to chyba będę musiał doprowadzić do waszego ślubu.

\* \* \*

Dla stowarzyszenia przez długi czas pozostawało zagadką, dlaczego nieprzyjaciel stara się o uzyskanie prawa do Lasu Bragdon. Teren był nieuzbrojony i jego przygotowanie do budowy obiektu o takiej skali musiałyby bardzo dużo kosztować; zresztą samo Edgestow też trudno było nazwać wygodnym miejscem. Wnikliwe studia, prowadzone we współpracy z doktorem Dimble'em, pozwoliły jednak Przewodniczącemu – mimo nieprzejednanego sceptycyzmu MacPhee – dojść do pewnej konkluzji. On sam, Dimble i Dennistonowie mieli bogatą wiedzę na temat Brytanii arturiańskiej – wiedzę daleko wykraczającą poza to, co głosiła współczesna historia ortodoksyjna.

Wiedzieli, że Edgestow leży w samym sercu s tarożytnego Logresu, że Cure Hardy to dawne Ozana le Coeur Hardi, a w Lesie Bragdon przebywał kiedyś historyczny Merlin.

Co właściwie Merlin tam robił, tego jeszcze nie wiedzieli, ale wszyscy, dochodząc do tego różnymi drogami, już dawno odrzucili popularne w ów wiecie historyków przekonanie, że jego niezwykle zdolności były legendą, a on sam szarlatanem; nie zadowalała ich również inna hipoteza, głosząca, iż zajmował się tym, co w czasach Renesansu nazywano magią. Według doktora Dimble'a wystarczy przyjrzeć się krytycznie świadectwom literackim, by wykryć zasadnicze różnice między barwnymi opisami owych „magów” i alchemików, a tym, co wiemy o Merlinie.

– Co może łączyć takich rytualistycznych okultystów – pytał doktor Dimble – jak Faust, Prospero czy Archimag, studiujących po nocach zakazane księgi, zgłębiających tajemnice żywiołów i korzystających z pomocy demonów, z postacią taką jak Merlin, który dokonuje niezwykłych czynów, po prostu będąc Merlinem?

Ransom zgadzał się z nim. Wszystko wskazywało na to, że Merlin był ostatnim dziedzicem prastarej wiedzy, przyniesionej do zachodniej Europy po upadku Numinoru, a pochodzącej z epoki, w której na naszej planecie ogólnie relacje między duchem a materią były zupełnie inne niż te znane dzisiaj. Prawdopodobnie wiedza ta różniła się zasadniczo od renesansowej magii. Można mniemać (choć nie jest to pewne), że była mniej grzeszna i diaboliczna, natomiast z całą pewnością – bardziej skuteczna. Paracelsus i Agryppa, jak również cała reszta alchemików właściwie niewiele osiągnęli: sam Bacon – który przecież nie był wrogiem magii – stwierdził, że dokonania owych magów „nie są ani wielkie, ani pewne”. Cały ten renesansowy wybuch zakazanych nauk wydaje się jedynie skuteczną metodą zaprzędania duszy diabłu na wyjątkowo niekorzystnych warunkach.

Skoro jednak jedyna możliwa atrakcyjność Lasu Bragdon polegała na jego związkach z ostatnimi śladami pradawnej atlantyckiej magii, miało to poważne konsekwencje dla ujawnienia prawdziwego charakteru Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych. Wynikało z tego, że instytut nie jest – przynajmniej w swoim kierowniczym rdzeniu – skoncentrowany na zdobyciu wyłącznie nowoczesnych, materialistycznych środków władzy. Przewodniczący doszedł do wniosku, że za celami i działalnością NIBS-u kryje się energia i wiedza skrzywionych eldów. Czy jego członkowie zdają sobie sprawę z tego, że służą ciemnym siłom, to już inna kwestia, w dalszej perspektywie być może wcale nie najważniejsza.

– Niezależnie od tego, czy o tym wiedzą, czy nie wiedzą – mówił sobie co jakiś czas Ransom – stanie się to, co ma się stać. Nie chodzi o to, jak ludzie z Belbury zamierzają działać – ciemne eldile już o to zadbają – ale o to, co ci ludzie będą sądzić o celach swoich działań. Wiemy, że przejmą Bragdon, ale jeszcze nie wiemy, czy którykolwiek z nich będzie świadom, po co naprawdę się tam pakują, czy też wszyscy będą przekonani, że jest tam jakaś nadzwyczajna gleba, powietrze czy eteryczne napięcia.

Do pewnego momentu Ransom tylko podejrzewał, że siła, do której wzdychał wróg, była w jakiś sposób powiązana z samym Lasem Bragdon; istnieje bowiem stare i szeroko rozprzestrzenione przeświadczenie, iż miejsca odgrywają w takich sprawach ważną rolę.

Opowiedziany przez Jane sen o śpiącym starcu utwierdził go w tym. Pod Lasem Bragdon musi być coś, co ma duże znaczenie, coś, co należy odkopać. Wszystko przemawiało za tym, że chodzi o ciało Merlina. To, co powiedziały mu o moż liwości takiego odkrycia eldile, nie był o niespodzianką ani dla niego, ani dla nich. Ziemskie formy narodzin, śmierci i rozkładu były dla nich nie mniej cudowne niż inne, niezliczone wzorce istnienia, jakie nieustannie poznawały ich rozbudzone świadomości. Dla tych wyższych istot, których aktywność tworzy to, co my nazywamy Naturą, nic nie jest „naturalne”. Nieustannie postrzegają zasadniczą „dowolność” każdego stworzenia, nie uznają żadnych sztywnych założeń: dla nich wszystko wykwita spontanicznie jak dobry ż art czy melodia w owym cudownym momencie samoograniczenia, w któ rym Nieskończoność, odrzuciwszy miliardy możliwości, wyrzuca z siebie ten, a nie inny pozytywny wzór. Zupełnie ich nie dziwiło, że ciało może leżeć nie zepsute przez piętnaście stuleci: znały światy, w których w ogóle nie było rozkładu. Nie widziały też nic nadzwyczajnego w tym, że życie takiego ciała może być przez cały ten czas w fazie uśpiania: widziały niezliczone inne formy, w których dusza i materia mogą się łączyć i rozdzielać – rozdzielać również bez utraty wzajemnego wpływu, łączyć bez konieczności realnego wcielenia, w krótkotrwałej unii, niekiedy tak krótkiej, jak ślubny pocałunek.

To, co przekazały Ransomowi, nie brzmiało jak zadziwiający fakt z zakresu filozofii przyrody, lecz po prostu jako rzeczowa informacja przekazana w czasie wojny. Merlin nie umarł . Jego życie zostało skierowane na boczny tor, wyłączone na piętnaście stuleci spod praw naszego jednowymiarowego czasu. Wystarczy spełnienie pewnych warunków, aby powróciło do swego ciała.

Eldile powiedziały mu to dopiero teraz, bo przedtem same o tym nie wiedziały. Jedną z największych trudności w dyskusji Ransoma z takim sceptykiem jak MacPhee (który nieustannie przeczył możliwości istnienia eldilów) było wyrażane przez niego dość popularne, choć dziwne przekonanie, że gdyby istniały takie istoty, mądrzejsze i potężniejsze od człowieka, to musiałyby być wszechwiedzące i wszechmocne. Ransom na próż no usiłował mu wyjaś nić, jak jest naprawdę.

Nie ulega wątpliwości, że te istoty, które ostatnio tak często go odwiedzają, obdarzone są taką mocą, że mogłyby bez trudu zmieść Belbury z powierzchni Anglii, Anglię z powierzchni Ziemi, a być może unicestwić cały nasz glob. Rzecz w tym, że nigdy by czegoś takiego nie zrobiły. Nie mają również jakiegoś bezpoś redniego wglądu w ludzkie umysły. Stan Merlina odkryły w zupełnie innym miejscu, sięgając po wiedzę z zupełnie innej rzeczywistości – nie badały szczątków spoczywających pod Lasem Bragdon, ale zauważyły pewną wyjątkową konfigurację w miejscu, w którym przebywają byty wzięte z głównej drogi czasu, poza niewidzialnymi żywopłotami, pośród trudnych do wyobrażenia pól. Dla nich czas, który nie jest czasem teraźniejszym, nie musi być czasem przeszłym czy przyszłym.

To właśnie nie pozwalało Ransomowi zasnąć w czasie tych chłodnych godzin przed świtem, gdy inni opuścili go po naradzie. Uważał, że nie ulegało wątpliwości, iż wróg kupił Bragdon, aby odnaleźć ciało Merlina, a po odnalezieniu – obudzić go do drugiego ż ycia. Stary druid mógłby się z

nimi sprzymierzyć – cóż mogłoby go powstrzymać? Połączenie dwu tak potężnych sił, dwu różnych form władzy, mogło przynieść tylko jedno: uzyskanie całkowitego wpływu na los naszej planety. I taki był, bez wątpienia, pradawny plan czarnych eldilów. Nauki przyrodnicze, same w sobie dobre i niewinne, za życia Ransoma zaczynały podlegać subtelnym wpływom, wiodącym je w określonym kierunku. Utrata nadziei na osiągnięcie obiektywnej prawdy stawała się coraz bardziej powszechną chorobą uczonych; rezultatem było zlekceważenie prawdy i skoncentrowanie się na poszukiwaniu energii i władzy. Paplanie o *elan vital* i ciągoty do panpsychizmu przybliżały odrodzenie się starej idei magów o *Anima Mundi*. Wizje świetlanej przyszłości człowieka pozwalały na odgrzebanie pradawnego marzenia o Człowieku jako Bogu. Doświadczenia, przeprowadzane w laboratoriach instytutów patologii, rodziły przekonanie, iż pierwszą podstawową zasadą wiodącą ku postępowi jest odrzucenie dawnych, głęboko zakorzenionych uprzedzeń i sentymentów. A teraz wszystko to weszło w fazę, którą ciemne siły uznały za dogodną, by cały ten proces nagiąć wstecz, tak aby można było przejść do sojuszu nowej wiedzy ze starymi potęgami. Wybierały właśnie pierwszy moment, w którym powinno to się stać. Trudno było dokonać tego z dziewiętnastowiecznymi uczonymi! Przeszkodą był ich niewzruszony, obiektywny materializm, a odziedziczona zdrowa moralność nie pozwalała na kontakt z brudem. MacPhee był spadkobiercą tej tradycji.

Teraz sytuacja uległa zmianie. Być może w Belbury tylko parę osób (a może żadna?) wie, o co naprawdę chodzi, a kiedy już to się stanie, wszyscy ulegną owym ciemnym planom jak słoma, w którą wrzucono płonącą zapalkę. Cóż może być dla nich niewiarygodnego, skoro nie wierzą już w rozumny wszechświat? Co mogą uznać za zbyt wstrętne, skoro utrzymują, iż cała moralność jest tylko subiektywnym produktem ubocznym fizycznej i ekonomicznej sytuacji człowieka? Z diabelskiego punktu widzenia cała historia Ziemi prowadziła do tego momentu. Nadszedł wreszcie czas prawdziwej szansy dla upadłego Człowieka, by otrząsnął się z ograniczeń swej potęgi, narzuconych mu przez Łaskę dla ochrony przed ws zystkimi skutkami jego upadku. Jeś li to się uda, nastąpi w końcu wcielenie piekła. Żli, skrzywieni ludzie, nadal w ciałach, nadal pełzając po tym małym globie, osiągną stan, który dotąd mogli osiągnąć jedynie po ś mierci, osiągając długowieczność i moc złych duchów. Na całej Ziemi Natura stanie się ich niewolnicą, a trudno przewidzieć, czy ich panowanie osiągnie kres przed końcem samego czasu.

## Rozdział 10

### *Podbite miasto*

A z dotąd, niezależnie od TEGO, co się wydarzyło w ciągu dnia, Mark zwykle nie miał kłopotów z zasypianiem, ale tej nocy sen go zawiódł. Nie napisał do Jane, cały dzień wałęsał się bez celu, unikając ludzi. Lęki, jakie ostatnio przeżywał, w nocy osiągnęły nowy poziom.

Teoretycznie był materialistą i – również teoretycznie – przekroczył już wiek, w którym miewa się nocne lęki. Teraz jednak, słysząc łomotanie wiatru w okna, poczuł, że powracają dawne dreszcze strachu, podobne dotykowi zimnych palców przebiegających po plecach. Bo w praktyce materializm nie daje żadnej ochrony przed lękiem. Ci, którzy szukają w nim takiej nadziei (a jest ich wielu), będą zawiedzeni. To, czego człowiek się lęka, jest niemożliwością. Koniec, kropka. Ale czy takie przeświadczenie wystarczy, by przestać się bać? Niestety nie. I co wtedy? Skoro musisz widzieć duchy, to już lepiej w nie uwierzyć.

Mark został obudzony wcześniej niż zwykle. Wraz z poranną herbatą podano mu liścik od wicedyrektora, który przesyłał mu pozdrowienia i prosił, by pan Studdock zgłosił się do niego niezwłocznie w bardzo pilnej sprawie. Mark ubrał się i poszedł do gabinetu wicedyrektora.

U Withera zastał już panią Hardcastle. Ku zaskoczeniu Marka, ale i ogromnej uldze, Wither nie dawał po sobie poznać, że pamięta o ich ostatniej rozmowie. Przeciwnie, odnosił się do niego uprzejmie, nawet z pewnym szacunkiem, choć był niezwykle poważny.

– Dzień dobry, dzień dobry, panie Studdock – powiedział. – Z największą przykrością... ee... a więc, mówiąc krótko, nie pozwoliłbym sobie na opóźnianie pańskiego śniadania, gdybym nie był przekonany, że w pańskim własnym interesie leży możliwie wczesne poznanie pewnych faktów.

Oczywiście, proszę zachować wszystko, co panu powiem, w ścisłej tajemnicy. Sprawa jest nieprzyjemna, a w każdym razie kłopotliwa. Jestem pewny, że w trakcie naszej rozmowy... proszę, niech pan siądzie, panie Studdock... doceni pan w pełni naszą przezorność, gdy od samego początku powołaliśmy nasze własne... ee... siły policyjne... żeby użyć tego niezbyt szczęśliwego terminu.

Mark obliznął wyschnięte wargi i usiadł.

– Mój opór przed poruszaniem tej sprawy – ciągnął Wither byłby jednak o wiele silniejszy, gdybym nie czuł się gotów do zapewnienia pana, od samego początku, ma się rozumieć, o całkowitym zaufaniu, jakim wszyscy pana darzymy, zaufaniu, które, żywię głęboką nadzieję – tu po raz pierwszy spojrzał Markowi prosto w oczy – zaczął pan odwzajemniać. Uważamy się tutaj za jedną rodzinę, składającą się z wielu braci i... ee... siostr, więc to, co zostanie powiedziane w tym pokoju, należy traktować jako poufne w pełnym znaczeniu tego słowa i jestem pewien, że wszyscy czujemy się powołani do przedyskutowania tej sprawy w sposób jak najbardziej ludzki i możliwie najmniej formalny...

– Zgubiłeś portfel, Studdock – przerwała mu nagle pani Hardcastle, co miało efekt przypominający nagły wystrzał z pistoletu.

– Mój... mój portfel? – wyjąkał Mark.

– Tak, portfel. To coś takiego, w czym trzyma się banknoty i listy.

– Tak, zgubiłem. Czyżby się odnalazł?

– Czy zawierał trzy funty i dziesięć pensów, przekaz pocztowy na pięć szylingów, listy od kobiety podpisującej się imieniem Myrtle, od kwestora z Bractonu, od G. Hernshawa, F. A.

Browne'a, M. Belchera oraz rachunek za ubranie z firmy Simonds i Syn, 32 A Market Street, Edgestow?

- Chyba wszystko się zgadza.
- Oto on – powiedziała pani Hardcastle, wskazując na stół.
- Nie, nie! – dodała, gdy Mark zrobił krok w jej kierunku i wyciągnął rękę.
- O co tu w ogóle chodzi? – zapytał Mark tonem, którego użyłby chyba każdy w takich okolicznościach, ale który policjanci uznają zwykle za „napastliwy”.
- Nic z tego. Ten portfel został znaleziony przy drodze, jakieś pięć metrów od ciała Hingesta.
- Na Boga! – zawołał Mark. – Chyba nie myślisz... przecież to absurd!
- Nie ma sensu pytać o moje zdanie. Nie jestem adwokatem, sędzią czy lawą przysięgłych. Jestem tylko policjantką. Zapoznaję cię z faktami.
- Mam rozumieć, że jestem oskarżony o zamordowanie Hingesta?!
- Naprawdę nie sędzę – odezwał się wicedyrektor – by mógł pan mieć najmniejsze obiekcje co do tego, że na tym etapie istnieje jakaś zasadnicza różnica między panem a pańskimi kolegami w kwestii płaszczyzny, na której należy rozpatrywać tę bardzo bolesną sprawę. Ma ona raczej charakter konstytucyjny...
- Konstytucyjny?! – powtórzył Mark z oburzeniem. – Jeśli dobrze rozumiem, pani Hardcastle oskarża mnie o morderstwo.

Wither spojrzał na niego tak, jakby patrzył z nieskończonego dystansu.

- Och, naprawdę nie sędzę – powiedział – by to, co pan przed chwilą wyraził, oddawało stanowisko pani Hardcastle. Czynniki, którymi ona reprezentuje, znalazłby się w pozycji ściśle *ultra vires*, [Poza legalną kompetencją danego urzędu.] gdyby doszło do czegoś podobnego wewnątrz NIBS-u. Założywszy, ale oczywiście tylko na użytek naszej dyskusji, że chcieliby albo powinni zechcieć to uczynić w późniejszej fazie sprawy, musimy pamiętać, że jej funkcja w odniesieniu do władzy zewnętrznej, jakkolwiek byś my ją zdefiniowali, byłaby całkowicie niespójna z tego rodzaju działaniem, przynajmniej w tym sensie, jaki chyba i pan, i ja nadajemy tym słowom.

- Rzecz w tym, że – jak mi się wydaje – wkroczyliśmy już w fazę kompetencji władzy zewnętrznej – przerwał mu Mark, mówiąc z trudem, bo zrobiło mu się sucho w ustach. – Jeśli dobrze zrozumiałem, pani Hardcastle sugeruje, że mam być aresztowany.

- Nic podobnego – zaprzeczył Wither. – Mamy tu do czynienia z jednym z tych przypadków, które pozwalają dostrzec wszelkie korzyści z posiadania przez nas własnej władzy wykonawczej.

To jest właśnie przypadek, w którym istotnie znalazłby się pan w bardzo nieprzyjemnej sytuacji, gdyby ten portfel odnalazła zwykła policja, albo gdyby znalazł się on w rękach jakiegoś zwykłego obywatela, który poczułby się w obowiązku... jak każdy z nas w podobnej sytuacji... przekazania portfela policji. Nie wiem, czy pani Hardcastle wyjaśniła panu do końca, iż to jej funkcjonariusze, i wyłącznie oni, dokonali tego... ee... kłopotliwego odkrycia.

- Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał Mark. – Jeśli pani Hardcastle nie uważa, że jest to *prima facie* sprawa przeciwko mnie, to dlaczego w ogóle mnie oskarża? A jeśli tak uważa, to jak mogłaby zrezygnować z poinformowania o tym władz zewnętrznych?

- Drogi przyjacielu – rzekł Wither namaszczonym tonem – nasz komitet nie przejawia choćby najslabszej tendencji do wywierania jakiegokolwiek nacisku, przynajmniej w sprawach tego rodzaju, w kierunku wyznaczania granic działania naszej wewnętrznej policji, a tym bardziej określania jej możliwości zaniechania działań. Nie sędzę, by kiedykolwiek wyrażono sugestię, że pani Hardcastle powinna być zobowiązana, w jakimkolwiek znaczeniu, które by ograniczało jej własną inicjatywę, do informowania władz zewnętrznych, które, choćby ze względu na swoją strukturę, są mniej przygotowane do prowadzenia takich niejasno określonych i quasitechnicznych spraw, jakie często mogą tutaj mieć miejsce, o jakichkolwiek faktach ustalonych przez jej podwładnych w trakcie

rutynowych działań wewnątrz NIBS-u.

– Czyżbym miał rozumieć, że pani Hardcastle jest w posiadaniu faktów pozwalających na aresztowanie mnie pod zarzutem morderstwa pana Hingesta, lecz łaskawie proponuje ich zatajenie?

– Wreszcie to do ciebie dotarło, Studdock – mruknęła pani Hardcastle.

Chwilę później, po raz pierwszy w obecności Marka, zapaliła swoje cygaro, wydmuchała kłąb dymu i uśmiechnęła się, a w każdym razie rozciągnęła usta, ukazując zęby.

– Ale ja wcale tego nie chcę – oświadczył Mark.

Nie było to całkiem zgodne z prawdą. Myśl o tym, że cała sprawa zostanie wyciszona w jakikolwiek sposób i na jakichkolwiek warunkach, podziałała na niego jak maska tlenowa na człowieka, który się dusi. Jakieś miazmaty postawy obywatelskiej wciąż jednak w nim drzemały, więc ciągnął dalej, podnosząc głos:

– Nie chcę tego! Jestem niewinny. Sądzę, że powinienem zgłosić się na policję, na prawdziwą policję, i to natychmiast.

– Jeśli chcesz dostać karę śmierci – wtrąciła Wróżka – to już całkiem inna sprawa.

– Chcę dowieść swojej niewinności. Oskarżenie nie ma żadnych podstaw. Brak przekonującego motywu. Mam też alibi. Każdy potwierdzi, że spałem tutaj przez całą noc.

– Czyżby?

– O co ci chodzi?

– Przecież wiesz, że zawsze jest jakiś motyw – powiedziała pani Hardcastle. – Policjanci są tylko ludźmi. Kiedy machina już raz ruszy, będą chcieli mieć winnego.

Mark zapewniał siebie w duchu, że nie jest przerażony. Gdyby tylko w tym pokoju nie buchał taki żar z kominka i gdyby otworzono choć jedno okno!

– Jest list, który napisałeś – dodała Wróżka.

– Jaki list?

– List do pana Pelhama z twojego kolegium, datowany sześć tygodni temu, w którym piszesz: „Oby Bill Zawierucha został przeniesiony do lepszego świata”.

Wspomnienie tego naprędce nabazgranego zdania przeszło Marka jak ostry, fizyczny ból.

Było to jedno z owych głupich, żartobliwych powiedzeń, które krążyły wśród Postępowej Elity i które w Bractwie powtarzało się czasem tuzin razy w ciągu jednego dnia pod adresem jakiegoś oponenta czy nudziarza.

– W jaki sposób ten list wpadł w wasze ręce? – zapytał.

– Myślę, panie Studdock – odezwał się wicedyrektor – że byłoby całkiem niewłaściwe sugerowanie pani Hardcastle, by ujawniła jakiegokolwiek szczegóły z dochodzenia prowadzonego obecnie przez naszą instytucyjną policję. Mówiąc to, nie chcę ani przez chwilę zaprzeczać, że możliwie najpełniejsze zaufanie, jakim obdarzamy się wszyscy w NIBS-ie, jest jedną z jego najbardziej cennych cech i czymś w rodzaju *sine qua non* owego naprawdę solidnego i organicznego życia społecznego, jakie zamierzamy promować. Są jednak pewne sfery, oczywiście niezbyt ostro zdefiniowane, ale w sposób nieuchronny ujawniające się jako reakcja na środowisko i posłuszeństwo wrodzonemu etosowi czy też dialektyce całości, w których zaufanie, domagające się werbalnej wymiany konkretnych danych, doprowadziłoby do swojego samounicestwienia.

– Chyba nie sądzicie, że ktokolwiek mógłby potraktować ten list poważnie? – zapytał Mark.

– A czy kiedykolwiek próbowałeś doprowadzić do tego, żeby policjant coś zrozumiał? – zakpiła Wróżka. – Mam na myśli prawdziwego policjanta.

Mark milczał.

– I nie wydaje mi się, abyś miał szczególnie mocne alibi. Widziano cię, jak rozmawiałeś z



Billem podczas kolacji. Widziano cię, jak wychodziłeś z nim przez frontowe drzwi, zanim odjechał.

Nie widziano cię, jak wracałeś. Zupełnie nie wiadomo, co robiłeś do śniadania następnego ranka.

Jeśli pojechałeś z nim samochodem aż do miejsca zbrodni, miałbyś wystarczająco dużo czasu, by wrócić pieszo i położyć się do łóżka jakiś kwadrans po drugiej. Noc była mroźna, jak pamiętasz, nie było więc powodu, abyś musiał sobie zabłócić buty.

– Jeśli wolno mi podchwycić punkt widzenia zaprezentowany przez panią Hardcastle – odezwał się Wither – jest to bardzo dobra ilustracja nieocenionej roli naszej instytucyjnej policji. W tej sprawie jest wiele niejasnych momentów, które, jak długo sprawa pozostaje w naszym rodzinnym kręgu... a wie pan, panie Studdock, że patrzę na NIBS jak na jedną wielką rodzinę... a więc które wcale nie muszą być równoznaczne z tendencją prowadzącą w efekcie do jakiejś fatalnej pomyłki sądowej.

Na skutek jakiegoś mentalnego zawirowania, które do tej pory nawiedzało go jedynie u dentysty albo w gabinetach dyrektorów szkół, Mark zaczął prawie utożsamiać sytuację, niedwuznacznie grożącą mu więzieniem, z rzeczywistym uwięzieniem w czterech ścianach tego niemiłosiernie nagrzanego pokoju. Och, zrobiłby wszystko, gdyby tylko mógł się stąd wyrwać na świeże powietrze, na słońce, na wieś, jak najdalej od nieznośnego trzeszczenia kołnierzyka wicedyrektora, czerwonego żaru na końcu cygara pani Hardcastle i portretu króla wiszącego nad kominkiem!

– Czy pan naprawdę odradza mi, panie dyrektorze, pójście na policję?

– Na policję? – powtórzył Wither, jakby ten pomysł całkowicie go zaskoczył. – Nie sądzę, panie Studdock, aby ktokolwiek rozważał na serio podjęcie przez pana takiej nieodwracalnej akcji. Można by się nawet spodziewać, że taka akcja zostanie uznana za przejaw pewnego rodzaju braku lojalności wobec pańskich kolegów, a szczególnie wobec pani Hardcastle, choć, muszę dodać, braku lojalności niekoniecznie intencjonalnie uświadomionego. Oczywiście w ten sposób znalazłby się pan poza granicami naszego wsparcia i ochrony...

– W tym rzecz, Studdock – wtrąciła Wróżka. – Kiedy raz dostaniesz się w łapy policji, będziesz już w łapach policji.

Mark nie potrafił sobie uświadomić, w którym momencie podjął decyzję.

– No dobrze, a więc możesz mi powiedzieć, co mam robić? – zapytał.

– Ja? Siedzieć na tyłku. Masz szczęście, że to my, a nie ktoś z zewnątrz, znaleźliśmy ten portfel.

– To okoliczność szczęśliwa nie tylko dla... ee... pana Studdocka – dodał łagodnie Wither – ale i dla całego NIBS-u. Nie moglibyśmy pozostać obojętni...

– Jest tylko jeden szkopuł – powiedziała Wróżka. – Nie mamy twojego listu do Pelhama. Mamy tylko kopię. No, ale przy odrobinie szczęścia, może to ci nie zaszkodzi.

– A więc nic nie trzeba na razie robić? – zapytał Mark.

– Nic – odpowiedział Wither. – Zupełnie nic. Żadnych pochopnych kroków noszących znamiona oficjalnej akcji. Byłoby, rzecz jasna, pożądane... jeśli można panu doradzić... aby zachował pan jak największą rozwagę i... ee... ostrożność w ciągu kilku następnych miesięcy.

Dopóki jest pan z nami, Scotland Yard raczej nie będzie próbował podejmować żadnych kroków wobec pana, nie dysponując żadnymi poważnymi poszlakami. Nie ulega wątpliwości, że w ciągu najbliższych sześciu miesięcy dojdzie do jakiegoś ... ee... do jakiejś próby sił między organami władzy a naszą organizacją, ale sądzę, iż nie uznają tego za dogodny dla siebie przypadek testujący możliwość ingerencji w nasze sprawy.

– Ale czy to oznacza, że już mnie podejrzewają?

– Mamy nadzieję, że nie – odpowiedziała Wróżka. – Oczywiście chcieliby mieć podejrzanego

w więzieniu, to naturalne, ale założę się, że woleliby mieć takiego, który nie ma nic wspólnego z NIBS-em.

– Ale, do diabła, czy nie uważacie, że tego złodzieja można złapać w ciągu jednego lub dwu dni?! Czy nie zamierzacie podejmować żadnych kroków?

– Złodzieja? – zdziwił się Wither. – Jak dotąd brak jest podstaw, aby przypuszczać, że ciało zostało obrabowane.

– Mówię o złodzieju, który ukradł mój portfel.

– Och... ach... pański portfel – powiedział wicedyrektor, gładząc swą szlachetną, przystojną twarz. – Rozumiem. Chciałby pan wystąpić z oskarżeniem o kradzież przeciw nieznanej osobie albo osobom...

– Ależ... wielki Boże! – zawołał Mark. – Czyżby pan nie wierzył, że ktoś mi go ukradł?! Czy pan uważa, że ja tam byłem?! Czy i pan sądzi, że jestem mordercą?!

– Bardzo proszę – rzekł Wither – bardzo proszę, panie Studdock. Naprawdę nie musi pan krzyżeć. Dowodzi to braku roztropnej dyskrecji, a prócz tego, panie Studdock, muszę zwrócić panu uwagę, że jest pan w obecności damy. Jeżeli dobrze pamiętam, to w ogóle nie wspominaliśmy o morderstwie, nie zostało też sformułowane żadne oskarżenie. Pragnę jedynie, abyśmy zdawali sobie jasno sprawę, co tu wszyscy robimy. Istnieją, oczywiście, pewne rodzaje zachowań i procedur, które teoretycznie mógłby pan uznać za stosowne w pańskiej sytuacji, ale wówczas byłoby nam bardzo trudno kontynuować tę rozmowę. Jestem przekonany, że pani Hardcastle podziela moje stanowisko.

– Dla mnie to wszystko jeden czort – odpowiedziała Wróżka.

– Nie mam pojęcia, dlaczego Studdock zaczyna na nas wrzeszczeć, kiedy próbujemy ochronić go przed ławą oskarżonych. Ale to jego sprawa. Mam dziś mnóstwo roboty i nie zamierzam siedzieć tu do południa.

– Naprawdę – zaczął Mark – chyba wolno mi mniemać, że było to wybaczone...

– Niech pan weźmie się w garść, panie Studdock – przerwał mu Wither. – Jak już powiedziałem wcześniej, uważamy się tu za jedną wielką rodzinę i nie wymagamy żadnych formalnych usprawiedliwień. Wszyscy dobrze się rozumiemy i nie lubimy... ee... scen. Być może wolno mi nadmienić, w całkiem przyjacielskiej formie, że jakakolwiek chwiejność nastrojów zostałaaby przez komitet uznana za... no, podstawę do niezbyt przychylnego dla pana rewizji oceny pana przydatności w instytucji. Ta rozmowa, oczywiście, jest całkowicie poufna...

Mark wyzbył się już lęku o swoje stanowisko, ale zdał sobie sprawę, że tym razem zagrożenie utraty pracy jest równoznaczne z zagrożeniem utraty życia.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli byłem niegrzeczny. Co mi pan radzi?

– Nie wystawiaj nosa poza Belbury, Studdock – powiedziała Wróżka.

– Sądzę, że pani Hardcastle nie mogła udzielić panu lepszej rady – rzekł Wither. – Zresztą teraz, kiedy zamierza pan sprowadzić tu panią Studdock, takie czasowe uwięzienie... używam tego słowa jak pan rozumie – wyłącznie w metaforycznym znaczeniu... nie bę dzie specjalnie uciążliwe.

Powinien pan uważać Belbury za swój dom, panie Studdock.

– Och... dobrze, że mi pan przypomniał, panie dyrektorze powiedział Mark. – Nie jestem pewien, czy będę mógł sprowadzić tu żonę. Prawdę mówiąc, nie czuje się dobrze...

– No właśnie, jeśli tak, to chyba tym bardziej chciałby pan mieć ją przy sobie?

– Nie przypuszczam, aby jej to odpowiadało, panie dyrektorze.

Wicedyrektor rozejrzał się po pokoju.

– Prawie bym zapomniał, panie Studdock – powiedział, ścisząc głos – pogratulować panu osobistej rozmowy z Głową. To bardzo ważny moment w pańskiej karierze. Teraz wszyscy czujemy,

że naprawdę jest pan jednym z nas, i to w najgłębszym znaczeniu. Jestem pewny, że nic nie jest tak dalekie od pańskich intencji, jak odrzucenie tego przyjacielskiego... prawie ojcowskiego... zainteresowania Głowy pańską osobą. Wiem, że pragnie powitać tu panią Studdock, i to możliwie jak najszybciej.

– Dlaczego? – zapytał nagle Mark.

Wither spojrział na niego z trudnym do opisania uśmiechem.

– Drogi chłopcze – powiedział. – Jedność, rozumie pan?

Krąg rodzinny. Pańska żona będzie dobrą towarzyszką... ee... pani Hardcastle!

Zanim Mark zdążył ochłonąć po usłyszeniu tej zdumiewającej nowej koncepcji, Wither wstał i powłócząc nogami, poszedł w kierunku drzwi. Zatrzymał się z jedną ręką na klamce, a drugą położył na ramieniu Marka.

– Podejrzewam, drogi przyjacielu, że myśli pan już o śniadaniu.

Nie chcę pana dłużej zatrzymywać. Proszę zachować jak największą ostrożność... i... i...

Nagle urwał, a jego twarz gwałtownie się zmieniła. Szeroko otwarte usta przywodziły na myśl jakieś zwierzę, a w pogodnym, choć raczej nieobecny dotąd spojrzeniu wodnistych oczu trudno było doszukać się jakiegokolwiek ludzkiego wyrazu.

– I sprowadź tu dziewczynę. Rozumiesz? Sprowadź tu swoją żonę. Głowa... nie należy do zbyt cierpliwych.

\* \* \*

Gdy Mark zamknął za sobą drzwi, pomyślał: „Teraz! Oboje są w gabinecie. Mam przynajmniej minutę”. Nie tracił czasu na zabranie kapelusza, zbiegł po schodach i wypadł na zewnątrz. Nic, prócz fizycznej niemożności, nie mogło go teraz powstrzymać przed powrotem do Edgestow i ostrzeżeniem Jane. Nie zastanawiał się, co zrobi później. Nie mógł nawet marzyć o ucieczce do Ameryki, która ongiś budziła nadzieję w tyłu nieszczęśnikach. Już nieraz czytał w gazetach o poparciu NIBS-u i jego planów przez rządy Stanów Zjednoczonych i Rosji. Autorami tych komentarzy byli na pewno tacy głupcy jak on sam. NIBS miał już swoich popleczników w każdym kraju; jeśli nawet uda mu się dostać na pokład jakiegoś parowca, agenci NIBS-u będą już tam na niego czyhać, lub w pociągu, jeśli uda mu się dopłynąć do jakiegoś portu.

Przeciął drogę i znalazł się w pasie drzew. Upłynęła zaledwie minuta od czasu, gdy opuścił gabinet Withera, i nikt go jeszcze nie ścigał. Ale wczorajsza przyгода powtórzyła się i tym razem.

Wysoka, przygarbiona, koś cista postać powłócząca nogami i bucząca coś pod nosem, zagroziła mu drogę. Mark nigdy się z nikim nie bił. Jakiś odziedziczony po przodkach impuls kierował jego ciałem – ciałem pod wieloma względami mądrzejszym od jego mózgu – gdy wymierzył cios w zgrzybiałego przeciwnika. Ale pięść trafiła w próżnię. Postać nagle znikła.

Ci, którzy wiedzą więcej, nigdy nie zdołali jednoznacznie wyjaśnić tego wydarzenia. Być może Mark, będąc w stanie szoku nerwowego, zarówno wówczas, jak i poprzedniego dnia, miał halucynacje. Może postać Withera, całymi dniami włóczącego się po pokojach i korytarzach Belbury, była (w weryfikowalnym sensie tego słowa) „duchem” – jednym z owych odbieranych przez zmysły wrażeń, które może odcisnąć w samej strukturze budynku jakaś silna osobowość, najczęściej po śmierci, ale niekiedy i przed nią, i których można się pozbyć nie dzięki egzorcyzmom, lecz dokonując pewnych zmian architektonicznych. Można też ostatecznie przyjąć hipotezę, że dusze, które utraciły swoje intelektualne dobro, otrzymują w zamian – na krótki czas – pożałowania godny przywilej powielania swej postaci w różnych miejscach jako widma. W każdym razie, czymkolwiek ta zjawia była, znikła.

Ścieżka wiodła ukośnie przez pokrytą szronem łąkę. Niebo było bladoniebieskie, przesłonięte lekką mgłą. Doszedł do przełazu; za nim ścieżka biegła przez trzy pola wzdłuż zagajnika. Potem skręciła nieco w lewo, na tyłach jakiejś farmy i wkrótce zagłębiła się w las, za którym ujrzał iglicę wieży w Courthampton. Zaczęły go piec stopy i poczuł głód. Przeciął jakąś drogę, dostał się między stado krów, które na jego widok zwiesiły głowy i prychnęły gniewnie, potem przeszedł po kładce na drugą stronę strumienia i dotarł do polnej drogi, której zamrznięte koleiny doprowadziły go do Courthampton.

Pierwsze, co zobaczył, gdy tylko wszedł do wioski, był wiejski wóz. Powoził jakiś mężczyzna, obok niego siedziała kobieta i troje dzieci, a z tyłu piętrzyły się skrzynie, komody i materace oraz klatka z kanarkiem. Zaraz potem nadeszła para z dzieckiem, pchająca dziecięcy wózek wypełniony drobnymi sprzętami domowymi. Później pojawiła się rodzina, ciągnąca wózek gospodarczy, a za nią obładowana dwukółka i stary samochód, którego kierowca bez przerwy naciskał klakson, usiłując bezskutecznie wydostać się z tej procesji. Przez wioskę przepływał prawdziwy strumień dziwnych pojazdów i ludzi. Mark nigdy nie widział wojny; gdyby widział, rozpoznałby od razu oznaki zbiorowej ucieczki i hasło: „Wróg jest za nami”.

Z trudem dotarł do skrzyżowania, gdzie opodal miejscowego pubu odnalazł przystanek autobusowy. Obejrzał oszklony rozkład jazdy, ale autobus do Edgestow miał nadjechać dopiero kwadrans po dwunastej. Powąłęsał się tu i tam, nie podejmując, co się tu właściwie dzieje, bo Courthampton było zwykle bardzo spokojną wioską. Łatwo poddał się tak często spotykanej iluzji, że jest bezpieczniejszy, skoro stracił już z oczu Belbury. To dziwne, ale nie zaprzętał sobie głowy przyszłością. Od czasu do czasu myślał o Jane, ale chyba częściej o jajkach na bekonie, smażonej rybie i ciemnym, wonnym strumieniu kawy lejącym się do wielkich kubków. Pub otworzono o wpół do dwunastej. Wszedł do środka i zamówił piwo, trochę chleba i sera.

Z początku był jedynym gościem w barze. W ciągu pół godziny zebrało się czterech mężczyzn.

Przez dłuższy czas nikt nic nie mówił, popatrując na przewalający się za oknem tłum. Potem jeden z nich, niski mężczyzna o twarzy przypominającej stary kartofel, odezwał się:

– Widziałem wczoraj wieczorem starego Rumbolda.

Przez następne pięć minut nikt nie zareagował na to oświadczenie, po czym zabrał głos jakiś młodzieniec w getrach:

– Po mojemu, to on teraz żałuje, że tego spróbował.

Dopiero wówczas, gdy temat starego Rumbolda został całkowicie wyczerpany, rozmowa zaczęła rzucać nieco światła na zjawisko strumienia uciekinierów.

– Wciąż idą – rzekł jeden z mężczyzn.

– Aha – zgodził się drugi.

– Chyba niewielu już zostało.

– Niech skonam, jeśli wiem, gdzie oni wszyscy się podzieją.

Powoli wszystko się wyjaśniło. Przez wioskę ciągnęli uciekinierzy z Edgestow. Niektórzy zostali wyrzuceni ze swoich domów, inni uciekali przed zamieszkanymi, jeszcze inni – tych było najwięcej – przed tymi, którzy przywracali porządek. Wszystko wskazywało na to, że w mieście panuje terror.

– Słyszałem, że wczoraj aresztowano dwieście osób – powiedział właściciel baru.

– No, te gliny z NIBS-u to twarde sztuki – odezwał się młodzieniec. – Jeden lepszy od drugiego.

Mojego starego popędzili jak kota. – I wybuchnął śmiechem.

– Z tego, co słyszałem, ci robociarze to takie samo plugastwo, jak ta ich policja. Nie powinni nam tu sprowadzać Walijczyków i Irlandczyków.

Marka uderzyło, że mężczyźni nie przejawiają ani oburzenia, ani współ czucia wobec uciekinierów. Każdy z nich wiedział o przynajmniej jednym przypadku brutalnej przemocy w Edgestow, ale wszyscy zgadzali się, że uciekinierzy mocno przesadzają.

– W porannej gazecie piszą, że przywracają spokój w mieście – powiedział właściciel pubu.

– Zawsze znajdą się jacyś niezadowoleni – rzekł facet z twarzą jak kartofel. – I co im z tego przyjdzie? Kijem rzeki nie zatrzymasz.

– Święta racja – burknął barman.

W tej rozmowie Mark odnajdywał argumenty ze swoich artykułów. Najwyraźniej dobrze wykonał polecenia pani Hardcastle, dla której cały ten robotniczy sprzeciw był skutkiem wrogiej propagandy.

Nie miał trudności z dostaniem się do autobusu, bo wszyscy kierowali się w przeciwną stronę.

Wysiadł na Market Street i poszedł do domu. Miasteczko sprawiało przygnębiające wrażenie. Co trzeci dom był opuszczony, w połowie sklepów okna zabezpieczono żaluzjami. Kiedy doszedł na szczyt wzgórza, do dzielnicy willowej, zauważył, że na wielu domach białe świeże plakietki z symbolem NIBS-u – muskularnym nagim mężczyzną dzierżącym piorun. Na każdym rogu stali lub przechadzali się policjanci z instytutu, w hełmach, z rewolwerami wiszącymi przy czarnych, lśniących pasach, z długimi pałkami w rękach. Zapadły mu w pamięć ich krągłe, białe twarze, półotwarte usta i szczęki poruszające się przy żuciu gumy. Wszędzie było też mnóstwo obwieszceń z nagłówkiem: „Nadzwyczajne przepisy porządkowe”, podpisane przez Feverstone'a.

Nie zatrzymywał się, by odczytać ich treść.

Czy zastanie Jane w domu? Nie zniósłby jej nieobecności. Wymacał klucz w kieszeni i zacisnął na nim palce na długo przed dojściem do domu. Frontowe drzwi były zamknięte, co oznaczało, że zajmujący parter Hutchinsonowie gdzieś wyszli. Otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka. Na schodach było zimno, wilgotno i ciemno.

– Ja-ane! – zawołał, ale gdy tylko otworzył drzwi, już stracił nadzieję, bo zorientował się szybko, że w mieszkaniu od dawna nie było nikogo. W przedpokoju, na macie przy drzwiach, leżała kupka nieotwartych listów. Panowała głucha cisza, nie było nawet słyszeć tykania zegara.

Wszędzie był porządek; najwidoczniej Jane opuściła dom któregoś ranka, tuż po „zrobieniu” wszystkich pokojów. W kuchni odkrył zeschnięty chleb i garnek skwaś niałego mleka. Krążył długo po pustych, dusznych pokojach, chociaż już znał prawdę, wchłaniając w siebie panującą w nich atmosferę smutku i opuszczenia. Ale co mu z tego przyjdzie? Narastał w nim irracjonalny gniew.

Dlaczego, do diabła, Jane nie powiedziała mu, że dokądś wyjeżdża?! A może ktoś ją stąd zabrał?

Może jest gdzieś kartka z wiadomością dla niego? Przejrzał stos listów leżący na stoliku pod wieszakiem, ale nie znalazł niczego ciekawego – były to listy, które sam tam położył, żeby kiedyś na nie odpowiedzieć. Potem dostrzegł na stole kopertę zaadresowaną do pani Dimble. A więc ta przeklęta baba musiała tu być! Czuł, że Dimble'owie nie darzą go sympatią. Prawdopodobnie zaprosili Jane do siebie. Zawsze przejawiali ochotę do wściubiania nosa w ich sprawy. Musi pojechać do Northumberland College i zobaczyć się z Dimble'em.

Uraza, jaką poczuł do Dimble'ów, podziałała na niego jak ożywczy bodziec. Pozycja zranionego męża poszukującego żony – tak, to była całkiem niezła zmiana w porównaniu z tym, co tak niedawno zmuszony był zaakceptować. Idąc do miasta, postanowił czegoś się napić. Kiedy doszedł do „Bristolu” i zobaczył na budynku plakietkę NIBS-u, zaklął pod nosem i już miał odejść, gdy nagle uświadomił sobie, że przecież sam jest wysokiej rangi pracownikiem instytutu i nie należy już do zwykłej „publiki”, która obecnie miała tu wstęp wzbroniony. Przy drzwiach zapytano go, kim jest, a

kiedy powiedział, zaproszono do środka wśród służalczych ukłonów. Na kominku płonął miły ogień. Po tym ponurym dniu nie mógł sobie odmówić dużej whisky, a potem zamówił drugą. Alkohol zrobił swoje, utrwalając tę zmianę w jego nastawieniu do świata, która zaszła, gdy poczuł żal do Dimble'ów. Miała z tym coś wspólnego cała atmosfera panująca obecnie w Edgestow. Było w nim coś, co mu podpowiadało, że wobec tych przejawów twardej władzy mimo wszystko lepiej być częścią NIBS-u niż outsiderem. Nawet teraz... ale, zaraz, czy aby nie potraktował zbyt poważnie tych wszystkich *demarche* na temat procesu o morderstwo? Wither po prostu tak rządzi: lubi mieć haka na każdego. Na pewno chodziło mu tylko o to, żeby go zatrzymać w Belbury i skłonić do sprowadzenia tam Jane. A jakby się tak zastanowić, to właściwie... dlaczego nie? Przecież i tak nie mogłaby dłużej mieszkać sama. A żona człowieka, który zamierza zrobić karierę i być w samym centrum najważniejszych spraw, musi się nauczyć być kobietą światową. W każdym razie przede wszystkim trzeba się zobaczyć z tym Dimble'em.

Opuścił „Bristol”, czując się innym człowiekiem. I rzeczywiście zaszła w nim głęboka zmiana.

Odtąd, aż do chwili, gdy będzie musiał dokonać ostatecznego wyboru, ten inny człowiek będzie w nim raz po raz dochodził do głosu, próbując zapanować nad nim całkowicie. I tak, miotając się gwałtownie między dwoma biegunami, jego młodość osiągnęła ów znaczący poziom rozwoju, w którym człowiek zaczyna być prawdziwą osobą.

\* \* \*

– Proszę wejść – rozległ się głos Dimble'a, kiedy zapukał do jego mieszkania w Northumbland College.

Właśnie pożegnał się z ostatnim w tym dniu studentem i zamierzał pojechać do St Anne's.

– Ach, to ty, Studdock – powiedział, gdy Mark otworzył drzwi. – Proszę, wejdź.

Starał się zachowywać naturalnie, ale był zaskoczony tą wizytą i wstrząśnięty tym, co zobaczył.

Studdock bardzo się zmienił od czasu, gdy go widział ostatnio. Twarz miał bardziej nalaną, bardziej bladą i czaiła się w niej jakaś niewidziana dawniej prostackość.

– Przyjechałem, żeby się zapytać o Jane – powiedział Mark. – Czy wiesz, gdzie ona jest?

– Przykro mi, ale nie mogę ci podać jej adresu.

– Czy to znaczy, że go nie znasz?

– Nie mogę ci go podać.

Zgodnie z planem, jaki sobie Mark ustalił, w tym punkcie powinien okazać twardość i zdecydowanie. Teraz, gdy już znalazł się w gabinecie Dimble'a, jego nastrój nie bardzo zgadzał się z tym planem. Dimble zawsze odnosił się do niego z przesadną uprzejmością, a Mark zawsze czuł, że nie jest przez niego lubiany. Nie oznaczało to jednak, że Mark nie lubił Dimble'a. W jego obecność ci zwykle mówił za dużo, mniej lub bardziej świadomie zabiegając o jego względy. Mściwość nie należała do cech Marka. Bardzo chciał być lubiany. Kiedy spotykał go jakiś afront, nie marzył o tym, by się odegrać, ale o tym, by jakimiś wspaniałymi dowcipami lub osiągnięciami zyskać sobie przychylność i podziw człowieka, który go obraził. Jeśli bywał okrutny, to nie wobec tych, którzy go zlekceważyli, ale wobec tych, którzy pragnęli zwrócić na siebie jego uwagę, a więc wobec ludzi „z zewnątrz”. W jego charakterze było coś ze spaniela.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał. – Nie rozumiem.

– Jeżeli choć trochę zależy ci na bezpieczeństwie twojej żony, nie prosz mnie, abym ci powiedział, gdzie jest.

– Na jej bezpieczeństwie?

– Tak, na jej bezpieczeństwie – powtórzył Dimble surowo.

– A co jej grozi?

– Nie wiesz, co się stało?

– Co się stało?

– Tej nocy, kiedy wybuchły zamieszki, policja NIBS-u próbowała ją aresztować. Uciekła im, ale przedtem ją torturowali.

– Torturowali? O czym ty mówisz?

– Przypalali ją cygarami.

– No tak. Właśnie dlatego jej szukam. Jane... obawiam się, że ona jest na progu poważnego załamania nerwowego. To, o czym mówisz, w rzeczywistości się nie zdarzyło.

– Lekarz, który opatrywał oparzenia, jest innego zdania.

– O Boże! A więc naprawdę to zrobili?... Ale... posłuchaj...

– Spokojny wzrok Dimble'a sprawiał, że trudno mu było mówić.

– Dlaczego mi nie powiedziano o tym bestialstwie?! – zawołał.

– A niby kto miał ci powiedzieć? Twój koledzy? – Głos Dimble'a był oschły. – To dziwne, że pytasz o to mnie. Powinieneś wiedzieć lepiej niż ja, co dzieje się w NIBS-ie.

– Ale dlaczego wy mi nie powiedzieliście? Dlaczego nic się w tej sprawie nie robi? Czy byliście na policji?

– Policji instytucyjnej?

– Nie, na zwykłej policji.

– Czy naprawdę nie wiesz, że w Edgestow nie ma już zwykłej policji?

– Przecież muszą być jacyś sędziowie magistracy.

– Jest tylko komisarz nadzwyczajny, lord Feverstone. Zdaje się, że w ogóle nie rozumiesz, co się stało. Edgestow jest podbitym, okupowanym miastem.

– Więc dlaczego, na Boga, nie porozumieliście się ze mną?

– Z tobą?

Przez chwilę, po raz pierwszy od wielu lat, Mark ujrzał siebie takim, jakim widział go Dimble. Doznał szoku.

– Posłuchaj... – wyjąkał wreszcie. – Przecież ty chyba nie...

Nie, to zbyt fantastyczne! Przecież nie wyobrażasz sobie, że mogłem o tym wiedzieć! Chyba nie wierzysz, że wysłałem policjantów, żeby maltretowali moją własną żonę!

Zaczął z nutą oburzenia, ale skończył, siląc się na ironię. Gdyby tylko ten Dimble choć słabo się uśmiechnął, gdyby zrobił coś, żeby zmienić grobową atmosferę tej rozmowy!

Ale Dimble milczał, a na jego twarzy nadal malował się surowa powaga. Prawdę mówiąc, nie był do końca pewny, czy Mark nie stoczył się aż tak nisko, ale litość nie pozwalała mu tego powiedzieć na głos.

– Wiem, że nigdy mnie nie lubiłeś – powiedział Mark. – Nie wiedziałem jednak, że aż tak.

Dimble nadal nic nie odpowiadał, ale powodu tego milczenia Mark nie mógł się domyślać. A prawda była taka, że Mark trafił w jego czuły punkt. Przez całe lata oskarżał się o brak współczucia wobec Marka, starał się to w sobie przezwyciężyć. I robił to teraz.

– No cóż – powiedział w końcu oschle Mark po milczeniu, które trwało dobre kilkanaście sekund – chyba niewiele już można powiedzieć. Ale nalegam, żebyś mi wyjawiał, gdzie jest Jane.

– Chcesz ją zabrać do Belbury?

Mark skrzywił się. Poczł się tak, jakby jego rozmówca w jakiś dziwny sposób poznał jego zamiar, który narodził się w nim pół godziny wcześniej w Bristolu.

– Posłuchaj, Dimble, nie widzę powodu, dla którego miałbyś mnie przesłuchiwać. Gdzie jest moja żona?

– Nie pozwolono mi udzielić ci tej informacji. Nie ma jej w moim domu i nie jest pod moją opieką. Jeżeli wciąż ci na niej zależy, na jej szczęściu, powinieneś przestać jej szukać.

– Mówisz tak, jakbym był kryminalistą lub trędowatym, nie zasługującym choćby na tyle zaufania, by znać adres własnej żony!

– Przykro mi. Jesteś członkiem NIBS-u, instytucji, która ją znieważyla, torturowała, aresztowała. Odkąd uciekła, ma spokój tylko dlatego, że twoi koledzy nie wiedzą, gdzie jest.

– Jeżeli to rzeczywiście była policja instytutu, to czy przypuszczasz, że nie będę żądał od nich wyjaśnień? Do cholery, za kogo ty mnie uważasz?!

– Mam tylko nadzieję, że nie dali ci żadnej władzy. Jeśli nie masz władzy, nie jesteś w stanie obronić Jane. Jeśli masz, identyfikujesz się z ich polityką. W żadnym przypadku nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest twoja żona.

– To przecież absurd! Nawet gdybym miał jakieś stanowisko w NIBS-ie, to przecież mnie znasz...

– Nie znam ciebie – przerwał mu Dimble. – Nie mam pojęcia, jakie są twoje motywy i cele.

Markowi zdawało się, że Dimble patrzy na niego nie z gniewem lub potęgą pieniem, lecz z tym rodzajem odrazy, który łączy się z pewnym zażenowaniem. Jakby był jakimś plugastwem, na widok którego przyzwoity człowiek zmuszony jest udawać – po prostu ze wstydu – że go nie zauważa. Mylił się. W rzeczywistość ci jego obecność działała na Dimble'a jak wezwanie do surowej samokontroli. Dimble po prostu starał się nie poddać fali nienawiści i pogardy, nie zdając sobie sprawy, że wysiłki te nadają jego twarzy wyraz martwej powagi. To nieporozumienie wpłynęło na całą resztę rozmowy.

– Musiała zajść jakaś ś mieszna pomyłka – spróbował jeszcze raz Mark. – Dokładnie to wszystko zbadam. Zrobię awanturę. Na pewno jakiś świeżo upieczony policjant upił się albo coś w tym rodzaju. Zniszczę go. Ja...

– To nie był świeżo upieczony policjant. To była szefowa waszej policji, pani Hardcastle.

– A więc zniszczę ją. Myślisz, że puszczę to płazem? Ale to musiało być jakieś nieporozumienie. Nie mogę...

– Czy dobrze znasz panią Hardcastle? – przerwał mu Dimble.

Mark umilkł. Odniósł wrażenie (całkiem mylne), że Dimble czyta w jego myślach i właśnie odnalazł tam oczywistą prawdę, iż pociągnięcie do odpowiedzialności pani Hardcastle jest dla Marka równie nieosiągalne, jak zatrzymanie obrotu Ziemi.

Nagle twarz Dimble'a zmieniła się i przemówił innym tonem:

– Czy rzeczywiście możesz ją oskarżyć? Czy jesteś już tak blisko prawdziwego kierownictwa Belbury? Jeśli tak, to musiałeś wyrazić zgodę na zamordowanie Hingesta, na zamordowanie Comptona. Jeśli tak, to za twoim przyzwoleniem zgwałcono i zatłuczono na śmierć Mary Prescott, porzucając jej ciało w krzakach za stacją. To za twoją zgodą zwykli skazańcy zostali zabrani z więzień, do których ich posłali brytyjscy sędziowie, i przewiezieni do Belbury, aby tam, przez nieokreślony czas, poza zasięgiem prawa, poddawano ich torturom, aby im odbierano tożsamość pod szyldem waszej „leczniczej metody reedukacyjnej”. To ty wyrzuciłeś dwa tysiące rodzin z ich własnych domów, wysyłając ich na śmierć z wyziębienia w licznych rowach przydrożnych od Edgestow do Birmingham czy Worcesteru. To ty możesz nam odpowiedzieć na pytanie, dlaczego aresztowano Place'a, Rowleya i Cunninghama... miał osiemdziesiąt lat... i gdzie oni teraz są. A jeśli już zabrnąłeś w to tak głęboko, nie powierzyłbym ci bezpieczeństwa nie tylko Jane, ale nawet mojego psa.

– Ależ... naprawdę... – wyjąkał Mark. – To absurd. Wiem o paru przypadkach użycia przemocy... W każdej policji zawsze znajdują się jacyś zwyrodnialcy... zwłaszcza na początku, kiedy



się ją tworzy... Ale... co ja takiego zrobiłem, że obarczasz mnie odpowiedzialnością za to, co uczynili jacyś urzędnicy NIBS-u... lub raczej, co zarzuca im brukowa prasa?

– Brukowa prasa! – zagrział Dimble, który w oczach Marka był teraz nawet fizycznie większy niż przed paroma minutami. – Przestań wygadywać bzdury! Czy uważasz mnie za takiego durnia, który nie wie, że kontrolujecie wszystkie gazety poza jedną? A ta jedna nie ukazała się dziś rano.

Drukarze zastrajkowali. Ci biedni naiwniacy twierdzą, że nie będą już drukować artykułów atakujących ludzi z instytutu. A sam wiesz o wiele lepiej ode mnie, kto wypisuje te wszystkie kłamstwa w innych gazetach.

Może to dziwne, ale Mark, żyjąc tak długo w ś wiecie, w którym nie było miejsca na miłość bliźniego, nigdy nie spotkał się z prawdziwym gniewem. Często miał do czynienia ze złą wolą, lecz przejawiała się ona w drwinach, afrontach, w intrygach i nieuczciwej walce. Czoło, spojrzenie i głos tego starszego mężczyzny podziały na niego tak, że zeszywniał i stracił panowanie nad sobą.

W Belbury na określenie wszelkich przejawów opozycji, z jaką NIBS spotykał się z zewnątrz, używano słów „skomlenie” i „ujadanie”. A Markowi zawsze brakowało wyobraźni, by zdać sobie sprawę z tego, na czym naprawdę polega to „ujadanie”, jeśli spotka się z nim twarzą w twarz.

– Mówię ci, że nic o tym nie wiedziałem! – zawołał. – Do cholery, przecież to mnie skrzywdzono! A ty mówisz tak, jakby to twoją żonę potraktowano w taki sposób!

– Mogło tak być. I wciąż jej to grozi. To grozi każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie w Anglii. Jane to kobieta i obywatelka tego kraju. Czy to takie ważne, czyją była żoną?

– Przysięgam, że zrobię z tego powodu piekło! Zniszczę tę diabelską sukę, która ośmieliła się to uczynić, choćby to oznaczało rozwalenie całego instytutu.

Dimble milczał. Mark nie miał złudzeń: Dimble dobrze wiedział, że są to tylko pogrożki. Nie mógł się jednak pohamować. Gdyby teraz nie wybuchnął, nie wiedziałby, co powiedzieć.

– A zanim to zrobię – wrzasnął – odejdę stamtąd!

– Mówisz poważnie? – zapytał Dimble, patrząc mu badawczo w oczy.

Dla Marka, miotanego mieszaniną zranionej próżności, chwytających za gardło lęków i dojmującego wstydu, było to spojrzenie pełne oskarżenia i odrazy. W rzeczywistość ci była w nim obudzona nadzieja, bo miłosierdzie nigdy nadziei do końca nie traci. Była w nim jednak również ostrożność. Rozdarty między nadzieją i ostrożnością, Dimble raz jeszcze zamilkł.

– Widzę, że mi nie ufasz – rzekł Mark, instynktownie robiąc tę żalostną minę zbitego psa, która często pomagała mu w gabinetach dyrektorów szkoły.

Dimble był człowiekiem prawdomównym.

– Masz rację – przyznał po dłuższej pauzie. – Zupełnie ci nie ufam.

Mark wzruszył ramionami i odwrócił się.

– Posłuchaj mnie, Studdock – powiedział Dimble. – Nie pora ani na błazeństwa, ani na uprzejmości. Być może za kilka minut obaj umrzemy. Prawdopodobnie przysłano cię do naszego kolegium na przespiegi. A ja, w każdym razie, nie mam zamiaru umierać ze słowami nieszczerzej uprzejmości na ustach. Nie ufam ci. Dlaczego miałbym ci ufać? Jesteś , przynajmniej w jakimś stopniu, współnikiem najgorszych na świecie ludzi. Twoje odwiedziny też mogą być podstępem.

– Czy nawet na tyle mnie nie znasz?

– Przestań wygadywać bzdury! Przestań pozować i grać, choćby przez minutę. Lepsi od ciebie czy ode mnie dali się kupić. Straik był kiedyś przyzwoitym człowiekiem. Filostrato... no, w każdym razie był geniuszem. Nawet Alcasan... tak, tak, wiem, kto jest waszą Głową... był tylko zwykłym mordercą, a więc kimś lepszym od potwora, którego z niego zrobili. A kim ty jesteś, żeby uważać się za wyjątek?

Mark patrzył na niego z otwartymi ustami. Odkrycie, że Dimble aż tyle wie, nagle przewróciło mu świat do góry nogami. Zawiodła wszelka logika.

– Mimo to – ciągnął Dimble – wiedząc o tym wszystkim, wiedząc, że możesz być tylko przynętą, zaryzykuję. Zaryzykuję, choć w porównaniu z tym, co wystawiam na ryzyko, życie twoje czy moje jest niczym. Jeśli naprawdę chcesz odejść z NIBS-u, pomogę ci.

Przez moment Mark poczuł się tak, jakby ujrzał otwarte bramy raj, lecz po chwili wróciła dławiąca fala ostrożności i chęci opóźnienia decyzji. Szczelina ponownie się zamknęła.

– Muszę... muszę to przemyśleć – wymamrotał.

– Nie ma na to czasu. I naprawdę nie ma się nad czym zastanawiać. Proponuję ci powrót do ludzkiej rodziny. Musisz jednak zdecydować się teraz.

– Od tego zależy cała moja kariera...

– Twoja kariera! – zawołał Dimble. – Nie kariera, lecz potępienie lub... ostatnia szansa! Musisz zdecydować natychmiast.

– Chyba nie bardzo rozumiem – odparł Mark. – Wciąż mówisz o jakimś zagrożeniu. O co właściwie chodzi? I jaką władzę dysponujesz, żeby ochronić mnie... lub Jane... jeśli od nich ucieknę?

– Musisz podjąć ryzyko. Nie mogę ci obiecać bezpieczeństwa. Nie rozumiesz? Nie ma już bezpieczeństwa dla nikogo. Bitwa się rozpoczęła. Oferuję ci miejsce po właściwej stronie. I nie wiem, która strona zwycięży.

– Prawdę mówiąc – powiedział Mark – już wcześniej myślałem o odejściu z NIBS-u. Muszę jednak to wszystko przetrwać. Dość dziwnie przedstawiasz całą sytuację.

– Nie ma już czasu.

– A może mógłbym spotkać się z tobą jutro?

– Jesteś pewien, że będziesz mógł?

– To może za godzinę? Posłuchaj, to jest naprawdę sensowne. Będziesz tu za godzinę?

– Co ci da ta godzina? Chcesz tylko trochę odczekać, łudzisz się, że za godzinę przestaniesz już trzeźwo myśleć.

– Ale będziesz tu?

– Jeśli nalegasz. Ale nic z tego nie wyjdzie.

– Muszę pomyśleć. Muszę pomyśleć – powiedział Mark i opuścił pokój, nie czekając na odpowiedź.

W rzeczywistości pragnął alkoholu i papierosa. Myśli kłębiło mu się w głowie mnóstwo – na pewno o wiele więcej, niż chciał. Miał wielką ochotę przyłgnąć do Dimble'a jak zagubione dziecko do byle jakiego dorosłego. A na to jakiś inny głos szeptał mu w duszy: „To szaleństwo. Nie zrywaj z NIBS-em. I tak cię dopadną, Dimble cię przed nimi nie uratuje! Zabiją cię”. Kolejny głos podpowiadał mu, że jeszcze nie wszystko stracone, że nie powinien spisywać na straty swojej tak ciężko wypracowanej pozycji w Wewnętrznym Kręgu Belbury. Musi, musi być jakieś pośrednie wyjście! Wzdrygał się też na myśl o ponownym zobaczeniu się z Dimble'em; zżymał się już na samo wspomnienie tonu jego głosu. Chciał być znowu z Jane i chciał ją ukarać za przyjaźnienie się z Dimble'em, chciał już nigdy nie zobaczyć Witherera i chciał wrócić, żeby jakoś załagodzić wszystko z Witherem. Chciał być absolutnie bezpieczny, a jednocześnie nonszalancki i śmiały, poważany przez Dimble'ów za ludzką uczciwość, a także za realizm i inteligencję w Belbury. I bardzo chciał wypić jeszcze ze dwie duże whisky, a także przemyśleć to wszystko na trzeźwo. A niech to wszyscy diabli! Cholera, jasna cholera! Dlaczego odziedziczył tak zgniłe cechy? Dlaczego go tak źle wychowano? Dlaczego cały system społeczny jest tak irracjonalny? Dlaczego ma takie parszywe szczęście?

Ruszył spiesznym krokiem przed siebie.

Rozpadało się, gdy dotarł do Bracton College. Przed wejściem stał duży samochód, przy którym kręciło się kilku ludzi w mundurach. Później pamiętał, jak mokre od deszczu kaptury ich płaszczy lśniły w świetle latarni. Ktoś oślepił go latarką.

– Pan wybaczy – zwrócił się do niego jeden z mundurowych – ale muszę pana zapytać o nazwisko.

– Studdock.

– Mark Gainsby Studdock, zgadza się? Mam obowiązek aresztowania pana pod zarzutem morderstwa na osobie Williama Hingesta.

\* \* \*

Doktor Dimble pojechał samochodem do St Anne's, niezadowolony z siebie, drę czony podejrzeniem, że gdyby był mądrzejszy, gdyby okazał temu nieszczęśliwemu młodzieńcowi więcej serca, mógłby mu jakoś pomóc. „Straciłem nerwy? Byłem zbyt zadufany w sobie? Za dużo mu nagadałem?“, pytał sam siebie. A potem pojawiły się charakterystyczne dla niego poważniejsze wyrzuty sumienia. „Może nie wyjaśniłem mu wszystkiego dokładnie, bo tak naprawdę wcale tego nie chciałem? Może pragnąłem tylko ranić go i poniżyć? Żeby zadowolić swoją pychę? Czyżby i mnie opanowała już zaraza Belbury?“ Ogarnął go jakiś nieznanym dotąd smutek. „I tak zawsze czynię, zacytował Brata Wawrzyńca, kiedy pozostawisz mnie, Panie, samemu sobie“.

Wyjechawszy z miasta, zwolnił bardzo, aż samochód zaczął się toczyć w tempie pieszego. Na zachodzie niebo poczerwieniało, pojawiły się też pierwsze gwiazdy. Daleko, w dolinie, zobaczył światła Cure Hardy. „Dzięki Bogu leży tak daleko od Edgestow, że można się tam czuć bezpiecznie“, pomyślał. Po lewej stronie pomiędzy drzewami śmignęła nisko biała sowa. Bliskość nocy sprawiła mu ulgę. Był już porządnie zmęczony, tęsknił za miłym wieczorem wśród przyjaciół i wygodnym łóżkiem.

– Już jest! Doktor Dimble już jest! – zawołała Ivy Maggs, gdy podjechał pod drzwi wejściowe Dworu.

– Nie odstawiaj samochodu, Dimble – powiedział Denniston.

– Och, Cecil! – krzyknęła cicho jego żona.

W jej oczach wyczytał strach. Czyżby wszyscy na niego czekali?

W kilka minut później, mrużąc oczy w jasno oświetlonej kuchni, zrozumiał, że nie będzie to zwykły wieczór. Przy palenisku siedział sam Przewodniczący, z gawronem na ramieniu i Panem Bultitude'em u stóp. Wyglądało na to, że wszyscy zjedli kolację wcześniej, i Dimble został natychmiast posadzony przy końcu stołu, a jego żona i pani Maggs w nieco natarczywy sposób b zmusiły go, by zabrał się do jedzenia i picia.

– Nie przerywaj jedzenia, aby zadawać pytania, kochanie – powiedziała pani Dimble. – Jedz, jedz, oni ci wszystko powiedzą. Smacznego.

– Będzie pan musiał zaraz znowu wyjechać – dodała Ivy Maggs.

– Tak – potwierdził Przewodniczący. – W końcu zaczynamy działać. Przykro mi, że muszę cię wysłać, choć dopiero przyjechałeś, ale bitwa się rozpoczęła.

– Już wielokrotnie wskazywałem – odezwał się MacPhee – na absurdalność wysyłania tam starszego człowieka, podczas gdy ja, w końcu chyba kawał chłopca, siedzę tu i nic nie robię.

– Nic z tego, MacPhee – powiedział Przewodniczący. – Ty nie możesz tam iść. Przede wszystkim nie znasz języka. A poza tym.. w końcu nadszedł czas na szczerą... jak dotąd nie oddałeś się pod opiekę Maleldila.

– Wobec tych nadzwyczajnych okoliczności – odrzekł MacPhee – jestem już całkowicie gotów zgodzić się na istnienie twoich eldilów i istoty zwanej Maleldilem, którą uznają za swojego króla.

I...

– Nie możesz tam pójść – przerwał mu Przewodniczący. – Nie wyślę cię tam. To by było tak, jakbym wysłał trzyletnie dziecko do walki z czołgiem. Rozłóż mapę na stole, tak żeby Dimble mógł na nią rzucić okiem, nie przerywając posiłku. A teraz uciszcie się. Posłuchaj, Dimble. Pod Lasem Bragdon leży żywy Merlin. Tak, uspiiony, jeśli chcesz nazwać to snem. Nie wydarzyło się jeszcze nic, co by wskazywało, że nieprzyjaciel go odnalazł. Rozumiesz? Nie, nic nie mów, jedz. Zeszłej nocy Jane Studdock miała sen, najważniejszy ze wszystkich dotychczasowych. Pamiętasz, że w jednym z wcześniejszych snów widziała... a w każdym razie ja tak myślałam... miejsce, w którym Merlina pochowano, pod lasem. A jednak, i to jest bardzo ważne, do tego miejsca nie prowadzi jakiś szyb albo schody. Jane śniła, że idzie długim, nieznacznie obniżającym się tunelem. Ach, widzę, że już zaczynasz rozumieć, o co chodzi. Masz rację. Jane sądzi, że może rozpoznać wejście do tego tunelu, pod stosem kamieni, na końcu zagajnika, i... co tam było, Jane?

– Białe wrota, panie Przewodniczący. Zwykle, pomalowane na biało polne wrota z pięciu desek poziomych i jednej pionowej. Ta pionowa była złamana, niecałe pół metra od szczytu. Poznałabym je natychmiast.

– Rozumiesz, Dimble? Jest duża szansa, że wejście do tego tunelu znajduje się poza terenem wykupionym przez NIBS.

– To znaczy – rzekł Dimble – że możemy dostać się pod Las Bragdon, nie wchodząc do niego.

– Dokładnie tak. Ale to nie wszystko.

Dimble spojrzał na niego, powoli przeżuując kęs chleba.

– Wiele przemawia za tym, że się spóźniliśmy. Prawdopodobnie już się przebudził.

Dimble przerwał jedzenie.

– Jane mówiła, że to miejsce jest puste – rzekł Ransom.

– Czy to znaczy, że wróg już go odnalazł?

– Nie. Nie jest aż tak źle. Nikt się tam nie włamał. To raczej sam Merlin obudził się z własnej woli.

– O Boże! – zawołał Dimble.

– Jedz, jedz, kochanie – powiedziała jego żona.

– Ale co to wszystko znaczy? – spytał, kładąc dłoń na dłoń żony.

– Myślę, że wszystko zostało zaplanowane dawno, bardzo dawno temu – odpowiedział Ransom.

– Ze znalazł się poza czasem, w parachronicznym stanie, aby powrócić tu właśnie w tym momencie.

– Stał się kimś w rodzaju bomby zegarowej – zauważył szybko MacPhee. – I właśnie dlatego...

– Ty nie możesz tam pójść – przerwał mu Ransom.

– A więc teraz jest poza grobem? – zapytał Dimble.

– Prawdopodobnie tak. Opowiedz mu, co widziałaś, Jane.

– To było to samo miejsce. Ciemne, kamienne, jak piwnica. Od razu je poznałam. I była tam ta kamienna płyta, ale tym razem nikt na niej nie leżał i nie było tak zimno. Potem śnił mi się ten tunel... wychodził z komory i łagodnie się podnosił. W tunelu był jakiś człowiek. Oczywiście nie widziałam go w tych ciemnościach, ale był naprawdę wielki. Ciężko oddychał. Z początku nawet myślałam, że to zwierzę. W miarę posuwania się do góry, robiło się coraz zimniej. Powiało powietrzem z zewnątrz. Tunel kończył się stosem luźno leżących kamieni. Ten człowiek odgarniał je, gdy nagle sen się zmienił. Byłam na zewnątrz, przed białymi wrotami, padał deszcz.

– A więc, jak widzisz – powiedział Ransom – wygląda na to, że jeszcze nie nawiązali z nim kontaktu, przynajmniej do tamtej pory. Naszą jedyną szansą jest odnalezienie go przed nimi.

– Wszyscy wiemy, że Bragdon leży na bardzo podmokłym terenie – wtrącił MacPhee. – Warto

zadać sobie pytanie, gdzie można tam znaleźć suchą pieczarę, w której ciało zachowałoby się przez kilkaset lat. Oczywiście, jeśli nadal interesują was fakty.

– O to chodzi – rzekł Przewodniczący. – Komora musi leżeć pod wzniesieniem, pod zwirowatym grzbietem na południe od lasu, tam, gdzie wznosi się on ku Eaton Road. Blisko miejsca, w którym mieszka! niegdyś Storey. Tam wł aśnie trzeba szukać owych białych wrót, które widziała Jane. Przypuszczam, że wychodzą właśnie przy Eaton Road. Albo przy tej drugiej drodze, tej żółtej, biegnącej do rozwidlenia w Cure Hardy.

– Możemy tam być w pół godziny – powiedział Dimble, trzymając rękę na dłoni żony.

Wszyscy poczuli dreszcz podniecenia i lęku, tak częsty w ostatnich minutach przed bitwą.

– I to musi się stać dziś w nocy, tak? – odezwała się nieśmiało pani Dimble.

– Przykro mi, Margaret, ale tak – odpowiedział Przewodniczący. – Liczy się każda minuta. Jeśli nieprzyjaciel nawiąże z nim kontakt, to moż emy się pożegnać z nadzieją na zwycięstwo w tej wojnie. Prawdopodobnie na tym polega cały ich plan.

– Oczywiście. Rozumiem. Przepraszam.

– A jaki jest nasz plan działania, panie Przewodniczący? – zapytał Dimble.

– Pierwszy problem: czy Merlin wydostał się z tunelu. Wydaje się mało prawdopodobne, by przez tyle stuleci wejście do tunelu zakryte było tylko stosem luźnych kamieni. A nawet jeś li tak, to te kamienie nie muszą być teraz luźne. Może mu to zająć wiele godzin.

– Będzie potrzeba przynajmniej dwu silnych mężczyzn z kilofami... – zaczął MacPhee.

– Nic z tego, MacPhee – przerwał mu Ransom. – Ty tam nie pójdziesz. Jeśli wejście do tunelu nadal jest zamknięte, musisz po prostu czekać tutaj. Ale Merlin może dysponować siłami, których nie znamy. Jeśli już się wydostał, przydasz się do odnalezienia śladów. Dzięki Bogu, grunt jest błotnisty. Musisz go wytropić.

– Jeśli idzie Jane – odezwała się Camilla – to czy ja nie mogł abym jej towarzyszyć? Mam więcej doświadczenia w tego rodzaju sprawach niż...

– Jane musi iść, bo jest naszym przewodnikiem. Ty musisz zostać. Mieszkańcy tego domu są wszystkim, co pozostało z Logresu. Nosisz jego przyszłość w swoim łonie. Jak powiedziałem, Dimble, czeka cię polowanie. Nie sądzę, żeby odszedł daleko. Ten kraj tak zmienił się od jego czasów, że niełatwo będzie mu się poruszać, nawet za dnia.

– A... jeśli go odnajdziemy?

– Właśnie dlatego wybrałem ciebie. Tylko ty znasz Wielki Język. Jeśli za tradycją, którą reprezentuje, kryła się moc eldilów, może go zrozumie. A nawet jeśli nie zrozumie, to chyba go rozpozna. To mu podpowie, że ma do czynienia z przedstawicielem Władców. Mam – nadzieję, że uzna was za ludzi z Belbury, czyli jego przyjaciół. Wówczas przywieziecie go tutaj.

– A jeśli nie?...

– Wówczas musisz okazać stanowczość – odrzekł z powagą Ransom. – Tu zaczyna się niebezpieczeństwo. Nie wiemy, jakimi siłami władano w starym atlantydzkim kręgu.

Prawdopodobnie posługiwali się czymś w rodzaju hipnozy. Nie bój się, ale nie pozwalaj mu na żadne sztuczki. Trzymaj rękę na rewolwerze. Ty też, Denniston.

– Bardzo dobrze znam się na broni – wtrącił MacPhee. – I dlaczego, w imię zdrowego rozsądku...

– Ty nie możesz tam pójść, MacPhee. Uśpiłby cię w dziesięć sekund. Ci, których wysyłam, są uzbrojeni w coś , czego tobie brakuje. A więc c, rozumiesz, Dimble? Rewolwer w rę ku, modlitwa na ustach, myśli skupione na Maleldilu. A potem zacznij go czarować.

– Co mam powiedzieć w Wielkim Języku?

– Powiedz, że przychodzisz w imię Boga i wszystkich aniołów, w imię potęgi planet, a posyła cię ten, kto zasiada dziś na tronie Pendragona. I rozkaż mu udać się z tobą. Powiedz to teraz.

I Dimble, który do tej pory siedział z pobladłą twarzą między dwiema kobietami o równie bladych twarzach, ze wzrokiem utkwionym w stole, podniósł głowę i zaczął mówić, a słowa, które płynęły z jego ust, zdawały się warowniami mocy. Serce Jane zabiło szybciej. Wszyscy wsłuchiwali się w nie z napięciem, nawet zwierzęta – ptak, niedźwiedź i kot – zamarły, wpatrując się w mówcę. Jego głos nie brzmiał jak głos Dimble'a: wydawało się, że słowa płyną przez niego z jakiegoś odległego, tchnącego mocą miejsca albo że to w ogóle nie są słowa, lecz działanie Boga, planet, Pendragona. Był to bowiem język, jakim mówiono przed Upadkiem i poza Księżycem, i to nie przypadek, talent lub długa tradycja nadały sylabom znaczenie; mieściło się ono w nich samo z siebie, podobnie jak kształt wielkiego Słońca mieś ci się w maleńkiej kropelce wody. Był to sam Język, który narodził się z woli Maleldila z płynnej rtęci planety zwanej Merkurym na Ziemi, a Viritrilbią w Głębinach Niebios.

– Dziękuję ci – rzekł Przewodniczący po angielsku i nagle ogarnęła ich z powrotem ciepła, domowa atmosfera kuchni. – Jeśli pójdzie z tobą, wszystko będzie w porządku. Jeśli nie... no cóż, Dimble, wówczas będziesz musiał polegać na swojej chrześcijańskiej wierze. Nie próbuj żadnych chytrych sztuczek. Nie ustawaj w modlitwie i skup swą wolę w woli Maleldila. Nie wiem, co Merlin uczyni, ale ty się nie poddawaj. Cokolwiek się stanie, nie trać ducha, w każdym razie nie pod jego wpływem.

– Tak – powiedział Dimble. – Rozumiem.

Zapadło długie milczenie.

– Rozchmurz się, Margaret – odezwał się w końcu Ransom. – Jeśli zabiją Cecila, to i nam nie pozostanie już wiele godzin z ycia po jego śmierci. Rozstanie będzie krótsze niż to, którego moglibyście się spodziewać zgodnie z prawami Natury. A teraz, moi panowie, macie jeszcze trochę czasu, by się pomodlić i pożegnać z żonami. Jest już prawie ósma. Myślę, że za dziesięć minut wrócicie tu wszyscy, gotowi do walki, co?

– Oczywiście – zabrzmiały głosy.

Po chwili w kuchni pozostała tylko Jane z panią Maggs, zwierzętami i Przewodniczącym.

– Dobrze się czujesz, moje dziecko? – zapytał Ransom.

– Chyba tak.

Nie potrafiła określić, co się z nią naprawdę dzieje. Miotają ją silne, sprzeczne uczucia, przesycone jakąś dziką, trudną do wyrażenia nadzieją: coś, co można by nazwać przerażeniem, gdyby nie radość, i radość cią, gdyby nie przerażenie, gorączkowe podniecenie i spokój poddania się cudzej woli. Wszystko inne w jej życiu wydawało się jakieś małe i ś miesznie zwykłe w porównaniu z tym, co teraz czuła.

– Czy oddajesz się posłusznie woli Maleldila?

– Niech mi pan wybaczy, ale ja nic nie wiem o Maleldilu. Oddaję się pana woli.

– To na razie wystarczy. Takie jest dobrodziejstwo Głębin Niebios, że kiedy masz dobrą wolę, On zawsze sprawia, iż zmierzasz ku dobru większemu, niż ci się wydaje. Ale to nie wystarczy na zawsze. On jest bardzo zazdrosny. W końcu będzie chciał mieć ciebie tylko dla siebie. Ale na tę noc wystarczy.

– To najbardziej zwariowana sprawa, o jakiej kiedykolwiek słyszałem – mruknął MacPhee.

## Rozdział 11

### *Bitwa się zaczyna*

Zupełnie nic nie widzę – powiedziała Jane. – Trudno się dziwić w tym deszczu. Trochę nam krzyżuje plany – odezwał się Dimble z tylnego siedzenia. – Arthurze, wciąż jesteśmy na Eaton Road?

– Myślę, że... tak, to jest rogatka – odpowiedział Denniston zza kierownicy.

– I co z tego? – zapytała Jane. – Ja nic nie widzę, nawet kiedy opuszczę szybę. Możemy minąć te wrota nie wiem ile razy. Lepiej wysiadźmy i idźmy pieszo.

– Panie doktorze, to chyba dobra propozycja – powiedział Denniston.

– Uwaga! – zawołała nagle Jane. – Spójrzcie! Co to jest? Zatrzymaj.

– Nie widzę żadnych białych wrót.

– Och nie, nie o to chodzi. Spójrz tam.

– Nic nie widzę – powiedział Dimble.

– Mówisz o tym świetle? – zapytał Denniston.

– Tak, oczywiście. To ogień.

– Jaki ogień?

– To światło, ogień w zagłębieniu, w tym lasku. Zupełnie o tym zapomniałam. Tak, teraz wiem.

Nie mówiłam o tym Grace ani Przewodniczącemu. Aż do tej chwili ten fragment snu wyleciał mi z pamięci. Tak, teraz pamiętam. To było zakończenie snu. Najważniejsza jego część. Właśnie tu go spotkałam... Merlina. Siedział przy ognisku w niewielkim lasku. Wtedy, jak wyszłam z tego podziemia. Och, idźmy tam, szybko!

– Co o tym myślisz, Arthurze? – zapytał Dimble.

– Myślę, że musimy pójść wszędzie tam, dokąd prowadzi Jane.

– Pospieszcie się! – przynagliła Jane. – Tam są te wrota. Szybko! Jedno pole dalej!

Wysiedli z samochodu, otworzyli wrota i weszli na pole. Dimble milczał. W głębi duszy czuł dojmujący wstyd z powodu obojętności go w tej chwili strachu. Prawdopodobnie lepiej od pozostałych wiedział, co może się zdarzyć, gdy odnajdą to, czego szukali.

Jane, jako przewodnik, szła pierwsza, obok niej Denniston, podtrzymują ją od czasu do czasu i przyświecający latarką. Dimble kroczył z tyłu. Nikt się nie odzywał.

Przejście z drogi na pole było jak przejście od stanu jawy do sennego świata ułudy, o wiele bardziej ciemnego, wilgotnego i nieprzewidywalnego. Każda pochyłość gruntu wydawała się zapowiedzią krawędzi przepaści. Szli ścieżką wzdłuż żywopłotu, którego mokre i kłujące odrosty czepiały się ich ramion. Za każdym razem, gdy Denniston poświecił latarką, wszystko, co pojawiał się w kręgu światła – kępy trawy, koleiny pełne wody, pokurczone żółte liście, zwisające z mokrych, rosnących pod różnymi kątami czarnych gałązek, a raz para zielonawożółtych płomyków w oczach jakiegoś zwierzątka – nabierało nagle cech zwyczajności, jakby przez tę krótką chwilę wydobycia z ciemności przybierało maskę, by zrzucić ją natychmiast, gdy przestaną je oglądać ludzkie oczy. I wszystko to wyglądało na dziwnie małe, a gdy tylko światło zgasło, stawało się ponownie jedną wielką, zimną, zgiełkliwą ciemnością.

Lęk, który od początku odczuwał Denniston, zaczął powoli przenikać w umysły innych – jak woda sącząca się do wnętrza statku przez słaby przeciek. Zdali sobie sprawę, że aż do tej chwili tak naprawdę nie bardzo wierzyli w istnienie Merlina. Podczas rozmowy w kuchni tylko im się wydawało, że wierzą w słowa Przewodniczącego. Nie doznali jeszcze wstrząsu – ten dopiero ich czekał. Dopiero tutaj, w ciemności, mając przed sobą to migocące, czerwone światełko, zaczęli

uznawać za rzeczywistość to umówione spotkanie z kimś umarłym, a jednak żyjącym, z kimś ekshumowanym z ciemnej otchłani historii, mieszczącej się między nadejściem starożytnych Rzymian a początkiem Anglii. „Ciemne Wieki...”, myślał Dimble. „Jak to się lekko czyta i pisze...”

„Teraz mieli sami wkroczyć w tę Ciemność. W strasznej, ciemnej norze czekała na nich inna epoka, nie człowiek.

I nagle cała ta pradawna Brytania, z którą tak długo obcował jako uczonego, zmartwychwstała przed nim jako coś namacalnego, realnego. Widział to wszystko. Niewielkie, chylące się ku upadkowi miasteczka, w których tliło się jeszcze światło Rzymu – małe osady chrześcijańskie, Camalodunum, Kaerleon, Glastonbury – kościół, jedna czy dwie wille, skupisko domostw, jakieś nasypy czy wały. A dalej, na rzut kamieniem, za wrotami, wilgotna, gęsta, niekończąca się puszcza, zamulona warstwami rozkładu nagromadzonymi w niej przez te wszystkie jesienie, które upłynęły od czasu, gdy Brytania stała się wyspą; kluczące między zaroślami wilki, bobry zajęte budową tamy, rozległe bagna, dalekie dźwięki rogów i bębnow, oczy w gęstwinie, oczy ludzi pochodzących nie tylko z czasów przedrzymskich, ale i przedbrytyjskich, oczy starożytnych istot, nieszczęśliwych i wydziedziczonych, które stały się elfami, ogrami i wilkami późniejszej tradycji. A wśród nieprzebytej puszczy – polany. Małe grodziska bezimiennych królów. Małe kolegia spiskujących druidów. Domy, w których do zaprawy murarskiej dodawano krew niemowląt. Próbowano to również zrobić z małym Merlinem. I oto teraz cała ta epoka, wyrwana ze swojego miejsca w pochodzie czasu, zmuszona do powrotu i ponownego przejścia przez wszystkie swoje etapy ze zdwojoną potwornością, napływała ku nim, by wchłonąć ich za kilka minut.

Wizja pierzchła, bo wpadli na żywopłot. Zmarnowali minutę, zanim wyplątali włosy Jane spod gałązek, przyświecając sobie latarką. Doszli do końca pola. Stąd ledwo było widać blask ogniska, który to wzmacniał się, to przygasał. Musieli zboczyć i po długim marszu wreszcie odnaleźli wrota. Były zamknięte. Pokonali je górą i szli dalej podmokłym polem, po kostki w wodzie. Przez kilka minut, wlokąc się nieco pod górę, stracili ognisko z oczu, a kiedy znowu się pojawiło, było już dobrze na lewo od nich i o wiele dalej, niż się spodziewali.

Aż dotąd Jane nawet nie próbowała myśleć, co może być przed nimi. Teraz zaczęło do niej docierać prawdziwe znaczenie tamtej sceny w kuchni. Powiedział mężczyznom, żeby się pożegnali ze swoimi żonami. Pobłogosławił ich wszystkich. A więc już wtedy było prawdopodobne, że właśnie to – ten mozolny nocny marsz przez błotniste, zaorane pole – może oznaczać śmierć. Śmierć – coś, o czym często się słyszy (podobnie jak o miłości), coś, o czym piszą poeci. A więc tak to będzie wyglądać... Ale przecież nie to było najważniejsze. Jane spróbowała spojrzeć na śmierć w nowym świetle tego wszystkiego, co usłyszała od opuszczenia Edgestow. Już dawno przestała się buntować przeciw skłonności Przewodniczącego do dysponowania jej osobą: raz oddawał ją Markowi, innym razem – i w innym sensie – Maleldilowi, lecz nigdy, w żadnym sensie, nie próbował zatrzymać jej dla siebie. Pogodziła się z tym. O Marku zbyt wiele nie myślała, bo oznaczało to wezbranie w niej poczucia litości i winy. Ale ten Maleldil... Aż do tej chwili nie myślała o nim wiele. Nie wątpiła w istnienie eldilorów, nie wątpiła też w istnienie owej potężniejszej i bardziej tajemniczej istoty, której były posłuszne... której był posłuszny Przewodniczący, a poprzez niego wszyscy mieszkańcy Dworu, nawet MacPhee. Gdyby przedtem zadała sobie pytanie, czy te wszystkie sprawy mogą być rzeczywistością wykraczającą poza to, czego ją uczono w szkole jako „religii”, odrzuciłaby tę myśl. Dystans między tymi niepokojącymi i najwyraźniej działającymi rzeczywistościami a wspomnieniem, dajmy na to, grubej pani Dimble odmawiającej pacierz był zbyt duży. Dla Jane te rzeczy należały do różnych światów. Z jednej strony były te straszne sny, zachwyty posłuszeństwem, wzbudające dreszcze światło i dźwięki spod drzwi pokoju Przewodniczącego oraz zażarta walka z



nadciągającym zagrożeniem; z drugiej – zapach kościelnych ławek, okropne wielkie litografie przedstawiające Zbawiciela (z twarzą suchotniczej dziewczyny), nerwowa życzliwość duchownych. Ale teraz, jeśli naprawdę miała nadejść śmierć, nie mogła tej myśli odrzucić. Bo teraz już wszystko mogło być prawdą. Już się okazało, że świat wcale nie jest taki, jak dotąd myślała. Można się zgodzić na wszystko. Maleldil może być – całkiem po prostu i lapidarnie – Bogiem. Po śmierci może istnieć życie: niebo, piekło. Ta myśl rozjarzyła się w niej jak iskra, która upadła na suche wióry, a w sekundę później, podobnie jak te wióry, cała jej świadomość zapłonęła ogniem... no, może poza tym ogniem pozostał jeszcze jakiś skrawek, w którym mogło się narodzić coś w rodzaju protestu. „Ale... ale to jest nie do zniesienia... Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?” W tym momencie nie przyszło jej nawet do głowy wątpić w to, że skoro takie rzeczy istnieją, to są całkowicie i niezmiennie niezgodne z jej osobowością.

– Spójrz, Jane – usłyszała głos Dennistona. – To chyba drzewo.

– Nie... To chyba... krowa.

– Nie, to drzewo. Zobacz, tam jest drugie.

– Ciiiszej – syknął Dimble. – To jest ten lasek, o którym mówiła Jane. Jesteśmy już blisko.

Przed nimi teren podnosił się, tworząc garb zasłaniający blask ogniska. Teraz widzieli już całkiem wyraźnie lasek i swoje twarze, blade, z mrugającymi oczami.

– Pójdę pierwszy – powiedział Dimble.

– Zazdroszczę ci odwagi – powiedziała Jane.

– Cicho – powtórzył Dimble.

Podeszli powoli na szczyt i stanęli. Poniżej nich, na dnie niewielkiego jaru, płonęło wielkie ognisko. Naokoło zwieszały się jakieś zarośla, których cienie, drgające wraz z ruchami płomieni, nie pozwalały widzieć wyraźnie całej sceny. Za ogniskiem majaczyło coś przypominającego prymitywne szalas z worków i przewróconej dwukółki. Na pierwszym planie stał spory kocioł.

– Czy widzisz kogoś? – szepnął Dimble do Dennistona.

– Nie wiem. Oczekajmy chwilę.

– Popatrzcie! – powiedziała nagle Jane. – Tam! Kiedy płomień rozwiewa się na boki.

– Co tam jest? – zapytał Dimble.

– Nie widzisz go?

– Nie.

– Chyba widziałem jakiegoś mężczyznę – szepnął Denniston.

– To zwykły włóczęga – powiedział Dimble. – Chodzi o to, że ma zwykłe, współczesne ubranie.

– Jak wygląda?

– Trudno powiedzieć.

– Musimy tam zejść – oświadczył Dimble.

– Myślisz, że da się to zrobić? – zapytał Denniston.

– Nie z tej strony. Zdaje mi się, że tam, na prawo, jest coś w rodzaju ścieżki. Musimy przejść kawałek po krawędzi jaru, aż ją odnajdziemy.

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami. Deszcz przestał padać, słychać było tylko trzask płonących bierwion. Ruszyli ostrożnie krawędzią parowu, skradając się od drzewa do drzewa.

– Stop! – szepnęła nagle Jane.

– Co się stało?

– Tam coś się rusza.

– Gdzie?

– Tam, w dole. Blisko.

– Nic nie słyszałem.

– Nic tam teraz nie ma.

– Idziemy.

– Jane, nadal uważasz, że coś tam jest?

– Już się nie porusza. Ale coś tam na pewno było.

Przeszli kilka kroków dalej.

– Psst! – szepnął Denniston. – Jane ma rację. Tam coś jest.

– Mam przemówić? – zapytał Dimble.

– Zaczekaj – odrzekł Denniston. – To jest tam... O... patrzcie! A niech to diabli, to tylko stary osioł!

– A nie mówiłem? – zaczął Dimble. – To żaden Merlin, tylko jakiś Cygan, wędrowny druciarz albo coś w tym rodzaju. To jego osioł. No, ale musimy tam zejść.

Po chwili schodzili już poślubioną koleinami ścieżką, wijącą się po zboczu parowu. Teraz ognisko nie było już między nimi a namiotem.

– Jest tam – szepnęła Jane.

– Widzisz go? – zapytał Dimble. – Nie mam takich dobrych oczu jak ty.

– Ja go widzę całkiem wyraźnie – powiedział Denniston. – To naprawdę włóczęga. Nie widzisz go, Dimble? Starzec z potarganą brodą, w czymś przypominającym złachaną kurtkę wojskową i w czarnych spodniach. Nie widzisz jego lewej stopy? Wystaje, czubek buta trochę uniesiony do ogóry.

– To? Myślałem, że to kłoda. Ale ty też masz lepsze oczy ode mnie. Arthurze, naprawdę kogoś widzisz?

– Tak mi się wydawało, ale teraz nie jestem już pewny. Chyba już mi się oczy męczą. Siedzi nieruchomo. Jeśli to człowiek, to chyba śpi.

– Albo jest martwy – odezwała się Jane, nagle wzdrygając ramionami.

– No dobra – powiedział Dimble. – Musimy tam zejść.

W ciągu minuty znaleźli się na dnie parowu. Za ogniskiem był szalas, a wewnątrz jakieś legowisko, cynowy talerz, kilka zapalek, trochę niedopalonego tytoniu z fajki. Nigdzie jednak nie dostrzegli żadnego człowieka.

\* \* \*

– Zupełnie nie rozumiem, Wither – powiedziała Wróżka Hardcastle – dlaczego nie pozwala mi pan pobawić się trochę z tym szczeniakiem. Wszystkim pańskim pomysłem brakuje zdecydowania: podrzucanie mu zarzutu morderstwa, aresztowanie go, zostawianie na noc w celi, żeby sobie to wszystko przemyślał. Po co wymyślać takie cuda, nie mając pewności, czy poskutkują? Wystarczy dwadzieścia minut moich metod, a wszystko wyśpiewa. Znam ten typ.

Pani Hardcastle mówiła to około dziesiątej wieczorem tej samej deszczowej nocy. W gabinecie wicedyrektora obecna była trzecia osoba: profesor Frost.

– Zapewniam panią, Hardcastle – odparł Wither, utkwivszy spojrzenie nie w niej, lecz w czole Frosta – że nie powinna pani mieć żadnych wątpliwości co do tego, iż pani poglądy na tę czy jakąkolwiek inną sprawę zawsze będą traktowane przez nas z najwyższą uwagą. Ale niech mi będzie wolno zauważyć, że ten przypadek należy do takich, przy których... ee... jakiś wyższy stopień przesłuchania może oznaczać klęskę.

– Niby dlaczego? – burknęła Wróżka.

– Musi mi pani wybaczyć przypomnienie... oczywiście nie oznacza to w żadnej mierze, abym sądził, iż lekceważy pani ten aspekt, wspominał o tym jedynie z metodologicznego punktu widzenia... bo przecież jest tak ważne, aby wszystko było dostatecznie jasne... że ta kobieta jest nam

potrzebna... mam na myśli, że powitanie wśród nas pani Studdock miałyby dla nas nieocenioną wartość... głównie ze względu na jej godne uwagi zdolności psychiczne. Jeśli używam terminu „psychiczne”, nie oznacza to bynajmniej, chyba pani rozumie, że angażuję się po stronie jakiejś określonej teorii.

– Chodzi panu o te sny?

– Jest bardzo wątpliwe – ciągnął Wither – czy osiągnęlibyśmy pożądaną skutek, gdyby została tu sprowadzona pod przymusem i gdyby znalazła swego męża... ee... w wyrażnie, choć czasowo, nienormalnej kondycji, którą można przewidywać jako rezultat pani naukowych metod przesłuchiwania. Można się nawet spodziewać głębokiego emocjonalnego kryzysu, który mógłby sprawić, że na długo utraciłaby owe niezwykle zdolności.

– Nie mamy jeszcze raportu major Hardcastle – zauważył spokojnie profesor Frost.

– Niewiele nam wyszło – odpowiedziała Wróżka. – Śledziliśmy go aż do Northumberland. Po nim opuściło kolegium tylko trzech: Lancaster, Lyly i Dimble. Wymieniam ich w porządku prawdopodobieństwa. Lancaster jest chrześcijaninem i ma duże wpływy. Jest członkiem Izby Niższej Synodu. Ma dużo kontaktów z Repton Conference. To na pewno ktoś bardzo zaangażowany po ich stronie. Lyly to podobny typ, ale nie taki organizator. Warto pamiętać, że to on tak narozrabia! w tej reakcyjnej komisji do spraw edukacji w ubiegłym roku. Obaj są niebezpieczni. To takie typy, które zwykle – osiągają swoje cele, naturalni przywódcy. Dimble to zupełnie inna postać. Nie mamy na niego nic prócz tego, że też jest chrześcijaninem. To naukowiec z krwi i kości. Nie sądzę, by prócz kolegów zajmujących się tą samą dziedziną ktokolwiek kojarzył jego nazwisko. Tacy ludzie nie bywają osobami publicznymi. Niepraktyczny... zbyt pełen skrupułów, żeby miał być dla nich pożyteczny... Tamtych dwóch, zwłaszcza Lancaster, to zupełnie co innego. Tak, to facet, który mógłby zdobyć godną pozycję wśród nas, gdyby tylko miał właściwe poglądy.

– Major Hardcastle powinna wiedzieć, że mamy już dostęp do większości tych faktów – zauważył sucho Frost.

– Może – odezwał się Wither – zważywszy na późną godzinę... nie będziemy już korzystać z imponujących zasobów pani energii, pani Hardcastle. Proponuję, abyśmy przeszli do ściśle opisowych części pani raportu.

– No więc – zaczęła Wróżka – musiałam śledzić wszystkich trzech, mając do dyspozycji ograniczone środki. Warto pamiętać, że Studdocka zauważono tylko przez szczęśliwy przypadek, kiedy wsiadał do autobusu. To była bomba! A wówczas połowa moich ludzi była już zajęta.

Musiałam łapać każdego, kto mi się nawinął. Kazałam wystawić posterunek i miałam jeszcze sześciu ludzi ukrytych tak, że z kolegium ich nie widziano, oczywiście cie w cywilu. Jak tylko wyszedł Lancaster, kazałam trzem najlepszym nie tracić go z oczu. Pół godziny temu dostałam od nich depeşe z Londynu, gdzie Lancaster wysiadł z pociągu. Może to jakiś trop. Lyly narobił nam od cholery kłopotów. Wygląda na to, że kontaktował się z około piętnastoma różnymi osobami w Edgestow. Wszystkich mamy zanotowanych. Wysłałam za nim kolejnych dwóch ludzi. Dimble wyszedł na końcu. Posłałabym za nim swojego ostatniego człowieka, ale akurat zgłosił się kapitan O'Hara, który potrzebował na gwałt samochodu. Postanowiłam więc na noc zostawić Dimble'a w spokoju i podesłać tego człowieka kapitanowi. Ale to nie problem, Dimble'a możemy mieć w każdej chwili. Przychodzi do kolegium niemal regularnie każdego dnia, zresztą to zero.

– Nie mogę pojąć – powiedział Frost – dlaczego nie miała pani nikogo wewnątrz kolegium, żeby zaobserwować, w którą klatkę schodową wszedł Studdock.

– Przez waszego cholernego komisarza nadzwyczajnego – odparła Wróżka. – Nie mamy zezwolenia na operowanie w kolegiach, – jeśli chce pan wiedzieć. Ostrzegalam, że Feverstone nie

jest odpowiednim człowiekiem. Próbuje grać na obie strony. Popiera nas przeciwko władzom miejskim, ale kiedy chodzi o stosunki z uniwersytetem, staje się nieobliczalny. Zapamiętaj sobie, Wither, moje słowa: jeszcze będziemy mieć z nim sporo kłopotów.

Frost spojrzął na wicedyrektora.

– Daleki jestem od negocjowania – rzekł Wither – nie zamykając jednocześnie nie umysłu na inne możliwe wyjaśnienia, że niektóre z przedsięwzięć lorda Feverstone'a mogą się wydawać niedostatecznie usprawiedliwione. Byłoby dla mnie bolesnym ciosem, gdybym był zmuszony przypuszczać...

– Czy major Hardcastle jest nam jeszcze potrzebna? – przerwał mu Frost.

– A niech mnie kule biją ! – zawołał Wither. – Jakież to rozsądne! Prawie bym zapomniał, droga pani, jak bardzo musi pani być zmęczona i jak cenny jest pani czas. Musimy starać się oszczędzać pani energię, tak cenną w tej szczególnej pracy, w której nikt nie mógłby pani zastąpić. Nie powinna pani nam pozwolić na wykorzystywanie pani niezwykłych cech charakteru i gotowości do poświęceń. Jest mnóstwo o wiele nudniejszej i bardziej rutynowej pracy, którą tylko pani może dla nas wykonać.

Wstał i otworzył przed nią drzwi.

– A nie uważa pan – powiedziała – że powinnam pozwolić moim chłopcom choć trochę popracować nad Studdockiem? Wydaje mi się nieco absurdalne robienie sobie tylu kłopotów ze zdobyciem jednego adresu.

Nagle, gdy Wither tak stał z ręką na klamce, cały ugrzeczniony, cierpliwy, z uśmiechem, z jego twarzy zniknął jakikolwiek wyraz. Poblądłe usta rozwarły się tak, że widać było dziąsła, a podpuchnięte oczy wpatrzone były w przestrzeń. Pani Hardcastle miała wrażenie, że patrzy na siwowłosą maskę ze skóry i mięsa. W chwilę później wyszła z pokoju.

– Zastanawiam się – rzekł Wither, siadając z powrotem w fotelu – czy nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do tej kobiety Studdocka.

– Działamy zgodnie z rozkazem z pierwszego października – odpowiedział Frost.

– Och... przecież tego nie kwestionuję – powiedział Wither, machając lekceważąco ręką.

– Pozwól, że przypomnę ci fakty. Nasze władze miały dostęp do jej świadomości przez bardzo krótki czas. Skontrolowały tylko jeden sen, ten najważniejszy, który ujawnił, choć z pewnymi niejasnościami, zasadniczy element naszego programu. To nas ostrzegło, że ta kobieta mogłaby stać się bardzo niebezpieczna, gdyby znalazła się w zasięgu jakichś źle usposobionych osób, które będą wiedziały, jak wykorzystać jej zdolności.

– Och, z pewnością, z pewnością. Nigdy nie miałem zamiaru zaprzeczać...

– To był punkt pierwszy – ciągnął Frost. – Drugi sprowadza się do tego, że natychmiast potem jej mózg stał się niedostępny dla naszych władz. W dzisiejszym stanie naszej wiedzy znamy tylko jedną przyczynę takiej okultacji. Zachodzi ona wówczas, gdy infiltrowana świadomość odda się dobrowolnie pod kontrolę wrogiego organizmu. A więc ta okultacja udaremniła nam dostęp do jej snów i jednocześnie ujawniła, że dziewczyna, w taki lub inny sposób, dostała się w sferę wpływów wroga. Już samo w sobie stanowi to dla nas poważne zagrożenie. Ale oznacza również, iż odnalezienie jej będzie prawdopodobnie równoznaczne z odkryciem kwatery głównej przeciwnika.

Pani Hardcastle ma chyba rację, upierając się przy tym, że tortury bardzo szybko skłoniłyby Studdocka do ujawnienia miejsca pobytu jego żony. Zgadzam się jednak z tobą, że gdyby ta kobieta przeżyła najazd na ich siedzibę i aresztowanie, a w dodatku później odnalazła męża w kondycji, w jakiej znajdowałby się po torturach, to wszystko mogłoby wywołać w niej taki kryzys psychiczny, że obawiałbym się nawet utraty jej nadzwyczajnych zdolności. W ten sposób sami udaremnilibyśmy

osiągnięcie celu, dla którego chcemy dostać ją w nasze ręce. To jest pierwsza obiekcja. Druga wiąże się z dość dużym ryzykiem ataku na główną kwaterę przeciwnika. Prawie na pewno mają jakąś ochronę, i to taką, na jaką możemy nie być przygotowani. W takim wypadku...

– Och – przerwał mu Wither – prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie w tej chwili, co mogłoby wywołać we mnie głębszy sprzeciw. Zastosowanie metody naukowych... nie chcę w tym kontekście używać terminu „tortury”... w sytuacji, gdy pacjent nie zna odpowiedzi, jest zawsze fatalnym błędem. Jako humaniści nie powinniśmy... a z drugiej strony, jeśli badanie się przedłuża, pacjentowi jest trudno powrócić do pierwotnego stanu... a jeśli je się przerwie, nawet doświadczonego operatora dręczą zwykle obawy, że pacjent jednak nie powiedział tego, co wiedział. Oba wyjścia są niezadowolające.

– Realnie na rzecz patrząc, nie ma innej drogi wcielenia w życie naszych planów poza nakłonieniem Studdocka, by sam dobrowolnie sprowadził tu swoją żonę.

– Albo też – powiedział Wither tonem nieco bardziej marzycielskim niż zwykle – gdyby to było możliwe, trzeba wzbudzić w nim o wiele bardziej zdecydowany entuzjazm dla naszej sprawy, niż dotychczas okazał. Mówię, drogi przyjacielu, o prawdziwej przemianie ducha.

Frost rozchylił nieco wąskie wargi, ukazując białe zęby.

– To właśnie jest częścią planu, o którym mówiłem. Powiedziałem, że Studdocka trzeba nakłonić, żeby sam sprowadził żonę. Oczywiście cie, można to osiągnąć na dwa sposoby. Pierwszy polega na dostarczeniu mu jakiegoś motywu na poziomie instynktów, takiego jak strach przed nami lub tęsknota za żoną. Drugi to wzbudzenie w nim poczucia takiej identyfikacji ze Sprawą, aby zrozumiał i zaakceptował prawdziwe motywy ochrony jej osoby i współdziałał z nami.

– Tak... właśnie tak – powiedział Wither. – Używasz, jak zwykle, sformułowań, które różnią się nieco od tych, których sam bym użył, ale...

– Gdzie teraz jest Studdock?

– W jednej z cel... po drugiej stronie.

– Wciąż jest przekonany, że aresztowała go zwykła policja?

– Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że tak. Ale to chyba nie robi większej różnicy.

– Co proponujesz?

– Proponuję zatrzymać go w celi na kilka godzin i poczekać, aż dojrzeją psychologiczne efekty aresztowania. Podjąłem ryzyko... z zachowaniem szacunku dla humanitarnych norm, rzecz jasna... ryzyko zaufania do wartości ci pewnych drobnych... ee... fizycznych niedogodności... takich jak brak posiłku, na przykład. Kazałem opróżnić mu kieszenie. Nie można pozwolić, by ten młody człowiek próbował łagodzić ewentualne napięcie nerwowe paleniem tytoniu. Świadomość człowieka powinna korzystać jedynie z własnych źródeł.

– Oczywiście. Co dalej?

– No cóż, sugerowałbym jakiś rodzaj przesłuchania. Chętnie posłucham twojej rady w tym względzie. Osobiście skłaniam się ku temu, by pozory przesłuchania przez zwykłą policję utrzymać nieco dłużej. Później pozwolimy mu odkryć, że wciąż jest w naszych rękach. Byłoby pożyteczne, gdyby nie od razu, lecz stopniowo, zaczął zdawać sobie sprawę z oczywistego faktu, że to właśnie uwalnia go z... ee... kłopotów związanych ze śmiertelnością Hingesta. Sądzę, że później nastąpi pełniejsza realizacja jego spodziewanej solidarności z instytutem...

– A wtedy ponownie zachęcimy go do sprowadzenia tu żony, tak?

– Ja na to patrzę zupełnie inaczej – odrzekł Wither. – Ośmielam się zauważyć, że jedną z ujemnych stron owej niezwyklej, tak przez nas wszystkich podziwianej prostoty i celności twoich wypowiedzi, jest to, że nie pozostawiają miejsca na subtelne niuanse. Trzeba raczej liczyć na

spontaniczny wybuch zaufania do nas ze strony tego młodzieńca. Jakakolwiek forma bezpośredniego nacisku...

– Słabością tego planu jest to, że całkowicie polegasz na strachu.

– Strachu? – powtórzył Wither, jakby usłyszał to słowo po raz pierwszy. – Nie bardzo rozumiem sens takiej asocjacji myślowej. Trudno mi przypuścić, abyś skłaniał się do sugestii poczynionej, jeśli dobrze pamiętam, przez panią Hardcastle.

– Jakiej sugestii?

– Jeśli dobrze ją zrozumiałem, myślała o zastosowaniu środków naukowych, które by wzmogły w nim pragnienie towarzystwa żony. Niektóre środki chemiczne...

– Masz na myśli jakiś afrodyzjak?

Wither westchnął łagodnie i nic nie odpowiedział.

– To nonsens – rzekł Frost. – Ona nie należy do kobiet, do których mężowie zaczynają tęsknić pod wpływem afrodyzjaków. Powiedziałem już, że błędem jest poleganie wyłącznie na strachu.

Obserwując to zjawisko przez wiele lat, doszedłem do przekonania, że jego skutki są nieprzewidywalne, zwłaszcza gdy sam strach jest uczuciem dość skomplikowanym. Pacjent może się tak bać, że nie będzie w stanie zrobić żadnego ruchu, nawet w pożądanym przez siebie kierunku.

Jeśli uznamy, że sprowadzenie tu tej kobiety może zależeć jedynie od dobrej woli jej małżonka, to musimy użyć tortur, ze wszystkimi ich niedogodnymi konsekwencjami. Są jednak inne możliwości.

Jest żądza.

– Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem. Odrzuciłeś pomysł jakiejś medycznej lub chemicznej stymulacji.

– Mam na myśli silniejszą żądzę.

Na żadnym etapie ich rozmowy wicedyrektor nie patrzył Frostowi w twarz. Jego oczy jak zwykle błędziły po całym pokoju albo wpatrywały się w przestrzeń. Czasami po prostu je zamykał.

A jednak albo Frost, albo Wither – trudno powiedzieć który – stopniowo przysuwał swój fotel, tak że w tym momencie ich kolana prawie się stykały.

– Rozmawiałem z Filostratem – powiedział Frost swoim cichym, ale wyraźnym głosem. -

Użyłem sformułowań, które musiały uczynić dość jasnym sens tego, co mówiłem, jeśli on ma jakieś pojęcie o prawdzie. Przy rozmowie był obecny jego asystent, Wilkins. Obaj nie są prawdziwie zaangażowani. Interesuje ich tylko fakt, że udało im się, jak sądzą, utrzymać Głowę przy życiu i spowodować, by mówiła. Natomiast co Głowa mówi, jest im raczej obojętne.

Posunąłem się dość daleko. Pytałem ich o sposób funkcjonowania jej świadomości, o to, co właściwie przez nią przemawia. Nie uzyskałem żadnej odpowiedzi.

– Jeśli dobrze rozumiem – rzekł Wither – sugerujesz postępowanie z panem Studdockiem według tych wytycznych. Jeśli dobrze pamiętam, odrzuciłeś strach, obawiając się, że jego skutków nie da się dokładnie przewidzieć. Ale... ee... czy jesteś pewny, że ta inna metoda jest bardziej godna zaufania? Nie potrzebuję chyba dodawać, że zdaję sobie w pełni sprawę z pewnego zawodu, jaki muszą odczuwać poważnie myślący ludzie wobec takich kolegów jak Filostrato i jego asystent Wilkins.

– W tym rzecz. Trzeba się wystrzegać błędu uważania politycznej i ekonomicznej dominacji NIBS-u nad Anglią za coś więcej niż cel drugorzędny. Nam zależy przede wszystkim na jednostkach. Mocny rdzeń jednostek w pełni oddanych naszej sprawie – oto czego potrzebujemy i co musimy, zgodnie z rozkazami, zapewnić. Jak dotąd nie udało się nam wprowadzić zbyt wielu ludzi. Naprawdę wprowadzić.

– Wciąż nie ma żadnych wiadomości z Lasu Bragdon?

– Nie.

– I sądzisz, że Studdock byłby odpowiednią osobą?

– Nie wolno zapominać – odpowiedział Frost – że jego wartość nie polega wyłącznie na jasnowidzeniu jego żony. Z eugenicznego punktu widzenia ta para jest dość interesująca. Nie sądzę też, by stawiał opór. Godziny strachu w celi, potem odwołanie się do pragnień, które niszczą strach, prawie na pewno wywołają pożądany skutek, biorąc pod uwagę charakter tego typu.

– Oczywiście – zgodził się Wither. – Niczego nie pożąda się tak, jak możliwie najgłębszego zjednoczenia. Nie podejrzewaj mnie – o lekceważenie tego aspektu poleceń, jakie otrzymaliśmy.

Każda świeża jednostka doprowadzona do owej jednoś ci byłaby źródłem największej satysfakcji dla... ee... dla wszystkich zainteresowanych. Ja sam pragnę najś ciślejszych więzi. Pragnę wzajemnej penetracji osobowości tak głębokiej, tak nieodwołalnej, że prawie niwelującej indywidualność. Chyba nie wątpisz, że otworzę szeroko ramiona, by przyjąć ... wchłonać... przyswoić sobie tego młodego człowieka.

Siedzieli teraz tak blisko siebie, że ich twarze prawie się stykały, jakby byli kochankami mającymi się pocałować. W binoklach Frosta odbijało się światło, więc jego oczy były niewidoczne; tylko usta, rozciągnięte w lekkim, pełnym napięcia uśmiechu, wyrażały to, co czuje.

Wither miał usta otwarte, dolna warga zwisała, oczy miał wilgotne, całe ciało zwiotczało, ramiona opadły, jakby nie miał siły wstać z fotela. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że wicedyrektor jest pijany.

Po chwili ramiona mu zadrgały i powoli zaczął się śmiać. Frost nie roześmiał się, ale jego uśmiech stawał się coraz wyraźniejszy, a jednocześnie nie coraz bardziej zimny. Wyciągnął rękę i poklepał Withera po ramieniu. Nagle rozległ się głośny trzask. Gruby tom *Who Is Who* zsunął się ze stołu i upadł na podłogę, gdy dwaj mężczyźni nagłym, szybkim, konwulsyjnym ruchem pochylili się ku sobie i zaczęli się kołysać w różne strony, uwięzieni we wspólnym uścisku, z którego każdy z nich zdawał się gwałtownie wyrwać. I kiedy tak się kołysali, walcząc ze sobą rękami i paznokciami, rozległ się chichot, najpierw piskliwy i słaby, a w końcu przypominający bardziej zwierzęcą niż starczą parodię śmiechu.

\* \* \*

Kiedy Marka wypchnięto z policyjnego furgonu w ciemność i deszcz, a potem zostawiono samego w małym, oświetlonym pokoju, nie miał pojęcia, że znajduje się w Belbury. Zresztą gdyby o tym wiedział, i tak nie przywiązywałby do tego większej wagi, ponieważ od momentu aresztowania stracił nadzieję na dalsze życie. Był przekonany, że zostanie powieszony.

Aż do tej pory nigdy nie znalazł się tak blisko śmierci. Teraz, spoglądając na swoje ręce (bo były zmarznięte i automatycznie je rozcierał), ze zdumieniem pomyślał, że ta właśnie ręka, z jej pięcioma paznokciami i żółtą plamą od tytoniu na wewnętrznej stronie palca serdecznego, stanie się pewnego dnia ręką trupa, a później szkieletu. Nie czuł właściwie strachu, choć coś dusiło go w gardle, szokowała go tylko groteskowość tej myśli. Było to coś zupełnie niewiarygodnego, a jednocześnie całkowicie pewnego.

Nagle stanęły mu przed oczami ponure szczegóły egzekucji, których mu od dawna nie szczędziła pani Hardcastle, i tego już jego ś wiadomość nie była w stanie zaakceptować. Przez ułamek sekundy wizja ta zagościła w jego wyobraźni, napawając go przerażeniem tak strasznym, że aż jęknął w myślach, po czym znikła, zepchnięta w odmęty podświadomości. Powróciła sama myśl o śmierci. Pojawił się problem nieśmiertelności. Nie był nią zainteresowany. Jakieś życie po śmierci? Szczęście w jakimś innym, bezcielesnym świecie (nigdy nie pomyślał o cierpieniu) nie miało żadnego znaczenia dla człowieka, który miał zostać zabity. Samo zabijanie – o tak, to było ważne.

Jedno było pewne: to ciało, to słabe, wiotkie, roztrzęsione, rozpaczliwie czepiające się życia ciało, tak nierozzerwalnie z nim związane, tak bardzo, ma się stać martwym ciałem. Jeśli nawet istnieje coś takiego jak dusza, to los ciała nie ma z nią nic wspólnego. Duszące, dławiące poczucie cielesności było tak silne, że nie pozostawiało miejsca na inne myśli i uczucia.

Miał wrażenie, że się dusi, więc rozejrzał się po pokoju, szukając śladów wentylacji. Nad drzwiami rzeczywiście widniała jakaś kratka. Ta kratka i same drzwi były jedynymi obiektami, na których mogło zatrzymać się oko. W tym pomieszczeniu wszystko było białe: podłoga, sufit, ściany, jedno jaskrawe białe światło w środku sufitu. Była to upiornie biała cela bez krzesła, bez stołu, bez jednego kołka w ścianie.

Coś w wyglądzie tego miejsca zaczęło mu podpowiadać, że może jest w Belbury, a nie na posterunku zwykłej policji. Błysk nadziei, towarzyszący temu podejrzeniu, zgasł jednak natychmiast. Cóż za różnica, czy Wither, pani Hardcastle i reszta postanowią się go pozbyć, wydając zwykłej policji, czy też skończą z nim sami na osobności, tak jak bez wątpienia zrobili z Hingestem? Zaczął rozumieć, że te wszystkie jego wzloty i upadki, jakich doświadczył w Belbury, były częścią planu. Wszyscy byli wrogami, wykorzystującymi jego nadzieje i lęki, aby go zredukować do roli sługi, aby go zabić, jeśli spróbuje wyrwać się spod ich wpływu, i aby się go pozbyć po tym, jak już wykorzystają go do swoich celów. Jak mógł do tej pory tego nie dostrzegać? Jak mógł przypuszczać, że zdoła w jakiś sposób zaskarbić sobie przychylność tych ludzi?

Jakim był głupcem – przeklętym, dziecinny, naiwnym głupcem! Usiadł na podłodze, bo w nogach poczuł słabość, jakby przeszedł ze dwadzieścia pięć mil. Po co w ogóle chciał dostać się do tego Belbury? Czy już pierwsza rozmowa z wicedyrektorem nie powinna go ostrzec? Przecież od samego początku powinien poznać prawdę, tak oczywistą, jakby ją ogłaszano przez megafon albo wydrukowano wielkimi literami na olbrzymim plakacie: że znalazł się w królestwie przenikających się spisków i podstępów, w świecie kłamstw, korupcji, ciosów w plecy, mordów i pogardliwych rehotów z takich jak on głupców, odrzucanych jak śmieci, gdy już przestali być potrzebni.

Przypomniawszy sobie rubaszny śmiech Feverstone'a tego dnia, gdy nazwał go „nieuleczalnym romantykiem”. Feverstone... Tak, w ten sposób zaczął wierzyć w Witherę: dzięki rekomendacji Feverstone'a. Najwyraźniej jego głupota ma wcześniejsze źródła. Jak mógł zaufać Feverstone'owi, człowiekowi o ustach rekina, z tymi jego manierami na pokaz, komuś, kto nigdy nie patrzył rozmówcy prosto w oczy? Jane czy Dimble przejrzeliby go od razu. Miał kręctwo wypisane na twarzy. Mógł nabrać tylko takie marionetki jak Curry czy Busby. Tak, tylko że w tym czasie, gdy on sam poznał Feverstone'a, wcale nie uważał Curry'ego i Busby'ego za marionetki... Z niezwykłą jasnością, ale i z ponownym zdumieniem przypomniał sobie, co czuł do Postępowej Elity w Bractonie, gdy po raz pierwszy dopuszczono go do jej zamkniętego kręgu, przypomniał sobie, z jeszcze większym niedowierzaniem, jak się czuł, będąc jeszcze tylko młodszym członkiem kolegium, poza tym kręgiem wybrańców, jak spoglądał z nabożnym lękiem na głowy Curry'ego i Busby'ego, pochylone ku sobie w salonie, jak chciwie wylapywał strzępy ich rozmów prowadzonych szeptem, udając, że jest pogrążony w lekturze jakiegoś czasopisma, a naprawdę marząc – och, jak bardzo marząc! – aby jeden z nich podszedł do niego, aby go zagadnął. A potem, po tylu miesiącach, wreszcie się to stało. Ujrzał samego siebie, obrzydliwego, nic nie znaczącego outsidera, tak bardzo pragnącego przestać nim być, infantylnego frajera, któremu wystarczyły rzucane mu przez nich nędzne ochłapy zaufania, by poczuł się tak, jakby go zaproszono do udziału w rządzie całej planety. Czy jego głupota nie miała początku? Czy był głupcem przez całe życie, od dnia swoich narodzin? Nawet w szkole, gdy zaniedbał naukę i prawie złamał sobie serce, próbując za wszelką cenę dostać się do szkolnego gangu nazywanego „Szpony” i stracił przez to jedyne przyjaciela? Nawet jako dziecko, bijąc się z



Myrtle tylko dlatego, że mogła wyjść i dzielić się sekretami z Pamelą z sąsiedniego domu?

Nie rozumiał, dlaczego to wszystko, co teraz dostrzegał z taką porażającą jasnością, nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy. Nie uświadamiał sobie, że takie myśli często pukały, by wejść, ale zawsze były odrzucane z tego prostego powodu, że gdyby je do siebie dopuścił, sieć jego życia zostałaby porwana na strzępy, a wszystkie decyzje, które kiedykolwiek podjął, byłyby unieważnione. Musiałby zaczynać wszystko od początku, jakby się na nowo urodził. Nieokreślona masa problemów, które musiałby rozwiązać, gdyby takie myśli dopuścił do siebie, te niezliczone „coś”, z czym „coś” trzeba by było zrobić, powstrzymywały go skutecznie od samego stawiania sobie takich pytań. Co wyłączyło teraz te wszystkie światła ostrzegawcze? Świadomość, że już nic nie mógł zrobić. Powieszają go. To już koniec. Sieć można porwać na strzępy, bo nie będzie mu już potrzebna; nie było już rachunków do zapłacenia (w postaci męczących decyzji i trudu przebudowy życia) za prawdę. To był skutek bliskości śmierci, którego Wither i Frost prawdopodobnie nie przewidzieli.

Na tym etapie Mark nie próbował jeszcze dokonywać żadnych ocen moralnych. Spoglądał na swoje dotychczasowe życie nie tyle ze wstydem, ile z pewną odrazą do jego przygnębiającej jakości. Ujrzał siebie jako małego chłopca w krótkich spodenkach, ukrytego w zaroślach przy ogrodzeniu i podsłuchującego, o czym rozmawia Myrtle z Pamelą, chociaż tak naprawdę nie było to wcale interesujące. Ujrzał siebie udającego, że rozkoszuje się niedzielnymi popołudniami spędzonymi w towarzystwie atletycznych herosów ze „Szponów”, gdy w głębi duszy za każdym razem (teraz to widział) tęsknił do dawnych spacerów z Pearsonem – Pearsonem, któremu sprawił taki ból, odrzucając jego przyjaźń. Ujrzał siebie jako nastolatka, wytrwale czytającego ordynarne powieści dla dorosłych i pijącego piwo, podczas gdy naprawdę lubił Johna Buchana i napój imbirowy. Godziny spędzane na nauce żargonu każdego nowego kręgu, do którego chciał się dostać, wieczne udawanie zainteresowania sprawami, które go nudziły, i wiedzą, o której nie miał pojęcia, poświęcanie prawie każdej osoby i rzeczy, jakie go w danym okresie naprawdę cieszyły, żalostne próby wmawiania sobie, że można się cieszyć z wejścia do zamkniętego kręgu „Szponów”, Postępowej Elity czy NIBS-u – wszystko to nagle powróciło, rozdzierając mu serce. Czy kiedykolwiek zrobił coś, czego naprawdę pragnął? Czy kiedykolwiek wybrał towarzystwo ludzi, których naprawdę lubił? Czy choćby jadł i pił to, na co miał ochotę? Skondensowana bezbarwność dotychczasowego życia napełniła go litością do samego siebie.

W normalnych warunkach pojawiłyby się w jego umyśle – i zostałyby natychmiast zaakceptowane – logiczne usprawiedliwienia, składające odpowiedzialność za to życie, pełne brudu i potłuczonych butelek, na jakieś bezosobowe siły z zewnątrz. Byłby to „system” albo jakiś „kompleks wewnętrzny”, którym obarczyli go rodzice, przywary charakterystyczne dla wieku.

Teraz już takich usprawiedliwień nie potrzebował. Jego „naukowy” światopogląd nigdy nie był jego prawdziwą filozofią życia, w którą by wierzył i którą by ukochał całym sercem. Był tylko w jego mózgu, był częścią jego tożsamości na pokaz, a teraz stał się całkowicie bezużyteczny.

Uświadomił sobie, nawet nie musząc się nad tym zastanawiać, że to on sam – a nie nikt inny w całym wszechświecie – wybrał ten brud i te potłuczone butelki, ten stos starych puszek, te wszystkie jałowe, duszne miejsca.

Przyszła mu do głowy nieoczekiwana myśl. Ta... ta jego śmierć... byłaby szczęściem dla Jane.

Dawno temu Myrtle, później w szkole Pearson, jeszcze później Denniston, a w końcu Jane – wszyscy czworo byli wysłańcami wkraczającymi w jego życie z jakiegoś innego świata, spoza tych jałowych i dusznych miejsc. Myrtle podporządkował sobie, stając się tym mądrym bratem, który zdobył stypendium i spotykał się z ważnymi ludźmi. Byli bliźniętami, ale po krótkim okresie w dzieciństwie, w którym wydawała mu się starszą siostrą, to on stał się starszym bratem i pozostał nim

aż do dziś. Całkowicie wciągnął ją w swoją orbitę: to jej wielkie, zdumione oczy i naiwne uwagi do jego opowieści o wyższych kręgach, w których się obracał, sprawiały mu taką rozkosz na różnych etapach kariery. Tak, ale z tego samego powodu przestała być dla niego wysłannikiem życia spoza tych jałowych miejsc. Kwiat, kiedyś bezpiecznie posadzony pośród blaszanych puszek, sam zamienił się w puszkę. Pearsona i Dennistona po prostu odrzucił. A teraz zrozumiał, po raz pierwszy w życiu, co chciał uczynić z Jane. Gdyby się wszystko udało, gdyby stał się mężczyzną, jakim pragnął być, ona miała zostać wzorową gospodynią – gospodynią nieznaną w tym sensie, że tylko bardzo wąskie grono wiedziałooby, kim jest ta uderzająco piękna kobieta i dlaczego jest tak bardzo ważne, by zapewnić sobie jej przychyłność. Tak... to szczęście dla Jane. Teraz, kiedy o niej myślał, zdawała się mieć w sobie głębokie studnie i ukwiecone łąki szczęścia, rzeki świeżości, zaczarowane ogrody wolnego czasu, do których nie miał dostępu, lecz które mógł zniszczyć. Była jedną z tych osób – jak Pearson, Denniston, Dimble'owie – które potrafiły się cieszyć rzeczami samymi w sobie. Nie była do niego podobna. To dobrze, że wreszcie się od niego uwolni.

W tym momencie usłyszał zgrzyt klucza obracającego się w zamku. Natychmiast wszystkie te myśli pierzchły, poczuł falę fizycznego strachu, wyschł o mu w gardle. Podźwignął się na nogi i oparł plecami o najdalszą od drzwi ścianę, wytrzeszczając oczy, jakby od tego, czy ujrzy wyraźnie wchodzącego, zależało jego życie.

Człowiek, który wszedł do celi, nie był policjantem. Miał na sobie szary garnitur, a w jego binoklach odbijało się światło, ukrywając oczy. Mark poznał go od razu i zrozumiał, że jest w Belbury. Ale nie to sprawiło, że jeszcze szerzej otworzył oczy i prawie zapomniał o strachu.

Zdumiała go zmiana w wyglądzie tego człowieka – a może raczej on sam inaczej na niego patrzył.

W pewnym sensie profesor Frost był taki jak zawsze: spiczasta bródka, wyjątkowa błądź czoła, jasny, lodowaty uśmiej. Mark nie potrafił jednak pojąć, jak przedtem mógł nie dostrzegać w tym człowieku czegoś tak oczywistego, że na jego widok każ de dziecko uciekłoby z wrzaskiem i każdy pies schowałby się w kącie z najeżoną sierścią i obnażonymi kłami. Sama śmierć nie zdawała się Markowi tak przerażająca jak fakt, że zaledwie przed sześcioma godzinami mógł ufać temu człowiekowi i wierzyć, że jego towarzystwo nie jest odrażające.

## Rozdział 12

### *Deszczowa i wietrzna noc*

No cóż – powiedział Dimble – tu nie ma nikogo.

– Przecież był tutaj jeszcze przed chwilą – powiedział Denniston.

– A jesteś pewien, że kogoś widziałeś?

– Wydawało mi się, że kogoś widziałem, ale teraz nie mam pewności.

– Jeśli ktoś tu był, to musi być gdzieś blisko.

– A może go zawołać? – zapytał Denniston.

– Cicho! Posłuchajcie! – przerwała im Jane. Przez parę chwil nasłuchiwali w ciszy.

– To tylko ten stary osioł – stwierdził w końcu Dimble.

Znowu zapadła cisza.

– W każdym razie ten ktoś używa zapalek dość rozrzutnie – rzekł Denniston, przyglądając się zdeptanej ziemi wokół ogniska. – Można by się spodziewać, że włóczęga...

– Z drugiej strony – przerwał mu Dimble – trudno przyjąć, by Merlin przyniósł ze sobą pudełko zapalek z piątego wieku.

– No dobrze, ale co robimy? – zapytała Jane.

– Aż przykro pomyś leć, co powie MacPhee, jeś li wrócimy z niczym – powiedział z uśmiechem Denniston. – Od razu nam wytknie, że powinniśmy postępować zgodnie z jego planem.

– Skoro deszcz przestał już padać, to lepiej wróćmy do samochodu i poszukajmy tych twoich białych wrót – zaproponował Dimble. – Czemu się tak przyglądasz, Denniston?

Denniston odszedł kilka kroków od ogniska w kierunku ścieżki, którą zeszli do zapadliny.

– Wiecie co, przyglądam się tej błotnistej ziemi i... – Nagle się wyprostował. – Popatrzcie! Tu było kilku ludzi. Uwaga, nie zdeptajcie tych śladów! O tu. Widzicie?

– Czy to nie są nasze ślady? – zapytał Dimble.

– Niektóre prowadzą w przeciwną stronę. Proszę spojrzeć na to... i na to.

– Może to właśnie ślady tego włóczęgi. Jeśli to w ogóle był włóczęga.

– Przecież nie mógł wyjść na górę tak, żebyśmy go nie zauważyli – zauważyła Jane.

– Chyba że to zrobił, zanim tu przyszliśmy – powiedział Denniston.

– Chodźcie, pójdziemy za tymi śladami – zdecydował Dimble. – Nie sądzę, by nas daleko zaprowadziły, a wtedy wrócimy do drogi, poszukamy tych wrót.

Ale kiedy weszli na krawędź parowu, błotnista ziemia ustąpiła miejsca trawie i ślady się urwały. Obeszli dwukrotnie zapadlinę, a potem wrócili do drogi. Zrobiła się piękna, gwiazdzista noc. Nad całym niebem dominował Orion.

\* \* \*

Wicedyrektor prawie nigdy nie sypiał. Kiedy odczuwał neodpartą potrzebę snu, brał środek nasenny, ale zdarzało się to rzadko, ponieważ stan świadomości, jakiego doświadczał przez większość dnia i nocy, już od dawna nie przypominał tego, co inni ludzie nazywają stanem jawy.

Nauczył się wyłączać większą część swojej świadomości, resztę utrzymując w stanie gotowości jedynie na użytek kierowania bieżącymi sprawami. Barwy, smaki, zapachy i wrażenia dotykowe niewątpliwie atakowały jego zmysły w normalny sposób, ale nie docierały do jego ego. Sposób zachowania się i zewnętrzna postawa, jakie przyjął pół wieku temu, stały się rodzajem zamkniętego systemu, który funkcjonował zupełnie niezależnie, jak gramofon, i który niemal automatycznie prowadził go od spotkania do spotkania, od posiedzenia do posiedzenia. Podczas gdy jego mózg i

wargi wykonywały mechaniczną pracę – dzień po dniu budując we wszystkich, którzy się z nim spotykali, nieco tajemniczy i groźny obraz dobrze im znanej osobowości – jego jaźń wiodła swoje własne życie. Oddzielenie ducha nie tylko od zmysłów, ale i od rozumu – rzadko osiągniany cel niektórych mistyków – jemu udało się całkowicie.

Dlatego też godzinę po odejściu Frosta Wither wciąż jeszcze nie spał. Każdy, kto by w tym czasie zajrzał do jego gabinetu, zobaczyłby go siedzącego przy stole nieruchomo, z opuszczoną głową i rękami założonymi na piersi. Ale oczy miał otwarte, twarz bez Wyrazu. Prawdziwy Wither był daleko stąd, doświadczając czegoś (trudno powiedzieć, czy było to bolesne, czy radosne), czego takie dusze mogą doświadczać – cierpiąc, radując się lub zawłaszczając innych – gdy nic wiążąca je z naturalnym podłożem naprężona jest do ostateczności. Kiedy zadzwonił telefon stojący przy jego łokciu, nawet nie drgnął, lecz natychmiast podniósł słuchawkę.

– Słucham – powiedział.

– Mówi Stone – rozległ się głos w słuchawce. – Znaleźliśmy komorę.

– Tak.

– Była pusta, panie dyrektorze.

– Pusta?

– Tak, panie dyrektorze.

– Czy jest pan pewny, drogi panie Stone, że znaleźliście właściwe miejsce? Możliwe, że...

– O tak, proszę pana. To coś w rodzaju małej krypty. Dobra robota kamieniarska i trochę rzymskiej cegły. Na środku coś w rodzaju ołtarza lub sarkofagu.

– I mam rozumieć, że nikogo tam nie było? Żadnego śladu?

– Przypuszczamy, że całkiem niedawno naruszono stan pierwotny.

– Czy mógłby pan wyrazić to jaśniej, panie Stone?

– No więc, panie dyrektorze, jest tam wyjście, rodzaj tunelu, prowadzi na południe. Zbadaliśmy go. Wychodzi na powierzchnię jakieś osiemset metrów dalej, już poza lasem.

– Wychodzi? Chce pan powiedzieć, że jest tam jakiś łuk... brama... wylot tunelu?

– No więc właśnie tu jest pewien szkopuł. Wydostaliśmy się tunelem na otwartą przestrzeń, ale wszystko wskazuje na to, że wylot tunelu został niedawno rozwalony. To wygląda tak, panie dyrektorze, jakby użyto materiału wybuchowego. Jakby koniec tunelu pierwotnie zabudowano kamieniami i przykryto kopcem ziemi, i jakby niedawno ktoś rozwalił to wszystko od wewnątrz, żeby zrobić wyjście. Na końcu jest tylko rumowisko.

– Niech pan mówi dalej, panie Stone. Co zrobiliście potem?

– Zgodnie z pana poleceniem zebrałem tylu policjantów, ilu się dało, i wysłałem grupy poszukiwawcze za człowiekiem, którego mi pan opisał.

– Rozumiem. A jak pan go opisał?

– Tak, jak pan to uczynił, panie dyrektorze: starzec z bardzo długą brodą albo z brodą byle jak przystrzyżoną, prawdopodobnie – w płaszczu, ale z pewnością w jakimś niezwykłym stroju. W ostatniej chwili zdecydowałem się dodać, że może w ogóle nie być ubrany.

– Dlaczego pan to dodał, panie Stone?

– Nie wiedziałem, jak długo tam przebywał, i to nie moja sprawa, ale słyszałem, że tkaniny przechowywane w takich miejscach rozsypują się w proch, gdy tylko dostanie się tam powietrze.

Mam nadzieję, że pan dyrektor ani przez chwilę nie posądza mnie, że próbuję się domyślić czegoś, czego pan nie zechciał mi powiedzieć. Pomyślałem jednak, że byłoby dobrze...

– Miał pan rację, panie Stone – przerwał mu Wither – uważając, iż wszystko, co mogłoby wskazywać na zbytnią ciekawość z pana strony, miałyby bardzo niefortunne konsekwencje.

Oczywiście dla pana, bo przy wyborze środków kierowałem się głównie pańskim dobrem.

Zapewniam, że może pan liczyć na moje poparcie w bardzo... ee... delikatnej sytuacji, w którą się pan... bez wątpienia mimowolnie... wpakował.

– Bardzo dziękuję, panie dyrektorze. Cieszę się, że pochwała pan to, iż powiedziałem, że ten człowiek może być nagi.

– Ach, jeśli chodzi o to, jest wiele możliwości, których w tej chwili nie będziemy rozważać. A jakie pan dał instrukcje grupom poszukiwawczym w razie odnalezienia takiej... eee... osoby?

– No więc, panie dyrektorze, tu pojawiła się inna trudność. Z jedną grupą wysłałem swojego asystenta, ojca Doyle'a. On zna łacinę. Dzwonek, który mi pan wręczył, dałem inspektorowi Wrenchowi i poleciłem mu pójść z drugą grupą. Jeśli chodzi o trzecią grupę, to upewniłem się, że będzie tam ktoś, kto zna walijski.

– I nie pomyślał pan, że dobrze by było, żeby pan sam poszedł z którąś grupą?

– Nie, proszę pana. Powiedział mi pan, żebym zadzwonił do pana niezwłocznie, gdybyś my coś znaleźli, a nie chciałem opóźniać wyjścia grup poszukiwawczych.

– Rozumiem. No cóż, pańskie działania, mówiąc bez żadnych uprzedzeń, można oceniać zgodnie z tymi kryteriami. I wyjaśnił pan swoim ludziom, że w przypadku odnalezienia tej... ee... osobistości... mają ją traktować z najwyższym szacunkiem i... mam nadzieję, że dobrze mnie pan rozumie... z należytą ostrożnością?

– Och, tak, panie dyrektorze.

– Tak, panie Stone, ogólnie rzecz biorąc, jestem – z pewnymi nieuniknionymi zastrzeżeniami – dość zadowolony z prowadzenia – przez pana tej akcji. Sądzę, że będę mógł przedstawić to w odpowiednim świetle moim kolegom, których przychylność do pana została, niestety, mocno osłabiona. Jeśli osiągnie pan sukces, bardzo pan wzmocni swoją nadwątloną pozycję. Jeśli nie... no cóż, bardzo boleję nad tym, że wśród nas dochodzi nieraz do napięć i wzajemnych oskarżeń, ale jestem pewien, drogi chłopcze, że mnie dobrze rozumiesz. Gdyby tylko udał o mi się skłonić... powiedzmy, panią Hardcastle i pana Studdocka... do podzielenia mojej dobrej opinii o pana użytecznych kwalifikacjach, to nie będzie pan musiał obawiać się o swoją karierę lub... ee... bezpieczeństwo.

– Czego pan ode mnie oczekuje, panie dyrektorze?

– Mój młody przyjacielu, złota zasada jest bardzo prosta. Istnieją tylko dwa błędy, które mogłyby okazać się fatalne dla kogoś w tak szczególnej sytuacji, jaką, niestety, stworzyły pewne godne pożałowania elementy pańskiego dotychczasowego zachowania. Z jednej strony, brak inicjatywy lub przedsiębiorczości byłby naprawdę zgubny. Z drugiej strony, każda próba podjęcia jakiejś samowolnej akcji... zrobienie czegoś, co mogłoby sugerować, że przypisuje pan sobie pełną swobodę w podejmowaniu decyzji, które, niezależnie od okoliczności, nie do pana należą, mogłoby mieć konsekwencje, przed którymi nawet ja nie mógłbym pana obronić. Jak długo zdoła się pan utrzymać z dala od tych dwu skrajności, tak długo nie ma powodu, mó więc nieoficjalnie, aby panu coś zagrażało.

I nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę i chwycił leżący przed nim dzwonek.

\* \* \*

– Chyba powinniśmy już być blisko tych wrót, przez które przechodziliśmy – odezwał się Dimble.

Ponieważ deszcz już nie padał, zrobiło się trochę jaśniej, ale zaczął wiać silny wiatr, więc musieli krzyczeć do siebie, żeby się porozumieć. Gałęzie żywopłotu kołysały się, przyginały do ziemi i znowu podnosiły, jakby smagały jasne gwiazdy na niebie.

– Idziemy już o wiele dłużej niż w tamtą stronę – odpowiedział Denniston.

– Ale nie jest tak grząsko – powiedziała Jane.

– Masz rację – rzekł Denniston, nagle się zatrzymując. – Grunt jest kamienisty. Tak nie było, jak szliśmy pod górę. Jesteśmy na innym polu.

– A ja sędzę, że idziemy dobrze – oznajmił spokojnie Dimble. – Skręciliśmy w lewo, wzdłuż tego żywopłotu, jak tylko wyszliśmy z zagajnika, a dobrze pamiętam, że...

– Ale może wyszliśmy zagajnika po zlej stronie? – przerwał mu Denniston.

– Jeśli raz zaczniemy zmieniać kierunek, będziemy krążyć w kółko przez całą noc. Idźmy prosto dalej. Musimy w końcu dojść do drogi.

– Posłuchajcie! – zawołała Jane. – Co to takiego?

Nad słuchiwali. Wiatr sprawiał, że trudne do zidentyfikowania dźwięki, które starali się dosłyszeć, zdawały się przez chwilę dochodzić z daleka, lecz już w następnej sekundzie wszyscy troje rzucili się gwałtownie do tyłu, do żywopłotu, z okrzykami: „Uwaga!”, „Precz, głupia bestio!” i „Do tyłu!”, kiedy tuż obok nich rozległ się tętent konia po miękkim, rozmokłym gruncie. Wielka, zimna pacyna błota uderzyła Dennistona w twarz.

– Hej! Widzicie?! – zawołała Jane. – Zatrzymajcie go! Szybko!

– Zatrzymać go? – zdziwił się Denniston, próbując oczyścić twarz z błota. – A niby po co?! Nie mam ochoty na nowe spotkanie z tym głupim czworonogiem!

– Doktorze Dimble, niech pan za nim woła! – krzyczała rozpaczliwie Jane. – Szybko! Za nim!

Czy pan nie widział?

– Czego? – wydyszał Dimble, kiedy wszyscy, ulegając natarczywym wezwaniom Jane, rzucili się w pościg za uciekającym koniem.

– Ktoś na nim jechał – wyrzuciła z siebie Jane, z trudem łapiąc oddech.

Okazało się też, że zgubiła pantofel.

– Człowiek?! – zawołał Denniston. – Na Boga, doktorze, Jane ma rację! Patrzcie! Patrzcie tam!

Na tle nieba... na lewo!

– Nie dogonimy go – wysapał Dimble.

– Heeeej! Zatrzymaj się! Wróć! Przyjaciele... *amis... amici...* – bełkotał Denniston.

Dimble nie mógł wydobyć z siebie głosu. Był już stary i odczuwał zmęczenie, zanim wyruszyli na tę wyprawę, a teraz jego serce i płuca dawały mu rozpaczliwe sygnały, których znaczenie poznał parę lat temu podczas wizyty u doktora. Nie czuł strachu, ale nie był w stanie krzyknąć (zwłaszcza w starym języku solarnym). Stał, próbując złapać oddech, gdy nagle dwoje pozostałych krzyknęło jeszcze raz: „Uwaga!”, ponieważ wysoko, na tle gwiazd, nienaturalnie wielki i zdający się mieć wiele nóg pojawił się kształt konia przesadzającego żywopłot jakieś dwadzieścia metrów od nich. A na jego grzbiecie, w obszernym, długim płaszczu powiewającym na wietrze, siedziała wielka postać mężczyzny. Jane wydawało się, że popatrzył na nich przez ramię, jakby kpiąco. Rozległ się plusk i głuchy odgłos, gdy koń wylądował po drugiej stronie, a potem... potem słyszeli już tylko wiatr i widzieli jaśniejące gwiazdy.

\* \* \*

– Jest pan w niebezpieczeństwie – powiedział Frost, gdy zamknął za sobą na klucz drzwi celi – ale również w zasięgu wielkich możliwości.

– Wnioskuje – rzekł Mark – że jestem w instytucie, a nie na posterunku policji.

– Tak. Jeśli chodzi o zagrożenie, niczego to nie zmienia. Instytut będzie miał wkrótce oficjalne uprawnienia do likwidacji niepożądanych osób. Tymczasem antycypujemy je. Hingest i Carstairs

zostali zlikwidowani. Tego się od nas oczekuje.

– Jeżeli chcecie mnie zabić, to po co ta cała farsa z oskarżeniem o morderstwo?

– Zanim przejdziemy do sedna – powiedział Frost – chciałbym pana prosić o pewien wysiłek.

Niech się pan postara zachować obiektywizm. Złość i strach są zjawiskami chemicznymi. Nasze reakcje na siebie są zjawiskami chemicznymi. Stosunki społeczne opierają się na reakcjach chemicznych. Powinien pan patrzeć na te emocje w sposób obiektywny. Niech pan nie pozwala, by odwracały pana uwagę od faktów.

– Rozumiem – odrzekł Mark.

Zdecydował się nadal grać rolę naiwnego i postarał się, aby w jego głosie obok rezygnacji zabrzmiała jednak słaba nadzieja. Nowe spojrzenie na Belbury nie pozwalało o mu już wierzyć w ani jedno słowo Frosta ani zaakceptować (choć mógł udawać akceptację) jakiegokolwiek jego oferty.

Czuł, że musi za wszelką cenę podtrzymywać w sobie przekonanie, iż ci ludzie są jego nieprzejednanymi wrogami, bo już odzywała się w nim dawna skłonność do uległości, do łatwowierności.

– Postawienie pana w stan oskarżenia o morderstwo oraz pewna zmiana w traktowaniu pańskiej osoby były elementami programu mającego jasno określony cel. Taką procedurę przechodzi każdy kandydat do Kręgu.

Mark ponownie poczuł atak retrospektywnego przerażenia. Jeszcze kilka dni temu natychmiast połknąłby przynętę i tylko bliskość śmierci pozwalała mu dostrzec tak wyraźny haczyk i fałszywość przynęty. W każdym razie przynęta nie pociągała go już tak, jak jeszcze przed kilkoma dniami, bo nawet teraz...

– Nie bardzo widzę cel tego wszystkiego – powiedział głośno.

– Celem jest, powtórzę, promocja obiektywizmu. Krąg ludzi związanych ze sobą subiektywnymi uczuciami wzajemnego zaufania i sympatii byłby bezużyteczny. Są to, jak już mówiłem, zjawiska chemiczne. Wszystkie uczucia można wywołać zastrzykami. Świadomie wzbudziliśmy w panu konfliktowe uczucia wobec wicedyrektora i innych spośród nas, aby pańskie przyszłe pełne członkostwo w Kręgu nie opierało się na żadnych uczuciach. Jeś li już pewne relacje społeczne między członkami Kręgu są konieczne, to lepiej, aby były to uczucia odrazy. Mniejsze wówczas ryzyko, że pomyli się je z prawdziwym *nexus*. [Nexus (łac. ) – więzy, zobowiązanie.]

– Moje pełne członkostwo? – powtórzył Mark, symulując drżącą gorliwość.

Nie sprawiło mu to żadnej trudności. Rzeczywistość mogła dać o sobie znać w każdej chwili.

– Tak. Wybrano pana na ewentualnego kandydata. Jeśli nie zostanie pan przyjęty lub jeśli pan odmówi, będziemy musieli pana zlikwidować. Nie próbuję, oczywiście, wzbudzić w panu strachu.

Strach mógłby tylko utrudnić panu świadomą decyzję. Sama procedura byłaby całkowicie bezbolesna, a pańskie terażniejsze reakcje na nią są jedynie zjawiskami czysto fizycznymi.

Mark udał, że dokładnie rozważa te słowa.

– To... to brzmi dość zachęcająco – powiedział w końcu.

– Na razie jest to tylko propozycja dotycząca stanu pańskiego ciała. Jeśli pan pozwoli, udzielę panu koniecznych informacji. Muszę zacząć od tego, że ani wicedyrektor, ani ja nie jesteśmy odpowiedzialni za kształtowanie polityki instytutu.

– To... Głowa?

– Nie. Filostrato i Wilkins nie znają prawdy o Głowie, choć niezależnie od wszystkiego przeprowadzają godny uwagi eksperyment, powstrzymując ją od rozkładu. Ale to nie z umysłem Alcasana kontaktujemy się, gdy Głowa przemawia.

– Czy to znaczy, że Alcasan jest naprawdę... martwy?

Tym razem Mark nie musiał udawać zaskoczenia.

– W obecnym stanie naszej wiedzy – odrzekł Frost – nie ma odpowiedzi na to pytanie.

Prawdopodobnie ten problem nie ma żadnego znaczenia. Z rdzenia mózgowego i organów głosowych w głowie Alcasana korzysta inny umysł. A teraz niech pan słucha uważnie.

Prawdopodobnie nie słyszał pan o makrobach.

– O mikrobach?! Ależ oczywiście...

– Nie powiedziałem „o mikrobach”, lecz „o makrobach”. Struktura tego słowa wyjaśnia wszystko. Od dawna wiemy, że poniżej życia zwierzęcego są mikroskopijne organizmy. Ich faktyczny wpływ na życie ludzkie, w aspekcie zdrowia i chorób, stanowi, jak pan wie, zasadniczy człon naszej historii. Tę tajemnicę odkryto po wynalezieniu mikroskopu.

– Niech pan mówi dalej – powiedział Mark.

Jego determinację, by mieć się na baczność ci i nie dać się zwieść, zaczęła tłumić jakaś żarłoczna ciekawość.

– Pragnę pana teraz poinformować, że podobne organizmy są również powyżej poziomu życia zwierzęcego. Mówiąc „powyżej”, nie używam języka biologii. Struktura makroba, jak ją dotychczas poznaliśmy, jest niezwykle prosta. Mówiąc, że makroby są powyżej życia zwierzęcego, chcę powiedzieć, że są one bardziej trwałe, dysponują większą energią i mają wyższą inteligencję.

– Są bardziej inteligentne od najwyższej rozwiniętych antropoidów? – zapytał Mark. – A więc muszą być bardzo bliskie ludzi?

– Nie rozumiał mnie pan. Kiedy powiedziałem, że przewyższają zwierzęta, włączyłem w to pojęcie najbardziej sprawne zwierzę, człowieka. Makroby są bardziej inteligentne od ludzi.

Mark zmarszczył czoło, zastanawiając się nad tą teorią.

– Jeśli tak, to dlaczego nie mamy z nimi kontaktu?

– Nie jest wcale takie pewne, że nie mamy. W prymitywnych czasach co jakiś czas do tego dochodziło, ale wzbraniały tego liczne przesady. Poza tym intelektualny rozwój człowieka nie osiągnął jeszcze takiego poziomu, przy którym kontakt z naszym gatunkiem – byłby atrakcyjny dla makroba. Trudno mówić o bezpośrednich relacjach, ale głęboki wpływ makrobów na ludzką historię jest niewątpliwy. Ten wpływ był i jest o wiele większy od wpływu, jaki wywarły i wywierają na nasze losy mikroby, choć i tego przez wieki nie dostrzegano. W świetle tego, co już wiemy, należałoby całą historię świata napisać na nowo. Prawdziwe przyczyny wszystkich wielkich wydarzeń są zupełnie nieznane historykom. Właśnie dlatego historia jeszcze nie zasługuje na miano prawdziwej nauki.

– Chciałbym usiąść, jeśli to panu nie przeszkadza – powiedział Mark, siadając na podłodze.

Frost wciąż stał nieruchomo, z rękami zwieszonymi po bokach. Od czasu do czasu podrywał lekko głowę i błyskał zębami na końcu jakiegoś zdania, ale poza tym nie wykonywał żadnych gestów.

– Narządy głosowe i mózg Alcasana – ciągnął – stały się przekąźnikami regularnych kontaktów między makrobami i naszym gatunkiem. Nie twierdzę, że odkryliśmy, na czym to polega; to one odkryły tę technikę, nie my. Krąg, do którego może pan być przyjęty, jest organem współpracy między dwoma gatunkami. Stwarza to całkowicie nową sytuację dla ludzkości. Jest to zmiana o wiele większa od tej, która oddzieliła formy przedludzkie od człowieka, porównywalna z pierwszym pojawieniem się życia organicznego.

– A więc te organizmy są przyjazne ludziom?

– Gdyby się pan przez chwilę zastanowił, zrozumiałby pan, że to pytanie nie ma sensu.

Odzwierciedla ono jedynie bardzo prymitywny, choć wciąż popularny sposób myślenia. Przyjaźń to zjawisko chemiczne, podobnie jak nienawiść. Oba uczucia zakładają organizmy naszego



typu.

Pierwszy krok ku nawiązaniu relacji z makrobami polega na zdaniu sobie sprawy z tego, że należy wyjść poza świat naszych subiektywnych emocji. Dopiero wówczas można odkryć, w jakim stopniu to, co błędnie uważa się za nasze myśli, jest jedynie produktem ubocznym układu krwionośnego i nerwowego.

– Och, oczywiście. Ja nie użyłem słowa „przyjazne” w tym sensie. Chodzi mi o to, czy ich cele są porównywalne z naszymi?

– Co pan rozumie przez „nasze cele”?

– No... przypuszczam, że... naukowa rekonstrukcja gatunku ludzkiego pod kątem jego większej skuteczności... eliminacja wojny i nędzy... pełniejsze wykorzystanie zasobów naturalnych... faktyczne zachowanie i dalszy rozwój naszego gatunku...

– Nie sądzę, by ten pseudonaukowy język naprawdę zasadniczo zmienił subiektywną i instynktowną podstawę etyki, jaką pan opisuje. Jeszcze do tego powrócimy. Na razie pragnę tylko zauważyć, że pański pogląd na wojnę i na zachowanie gatunków zdaje się polegać na głębokim nieporozumieniu. To są tylko uogólnienia wysnute z doświadczeń afektywnych.

– To chyba oczywiste – rzekł Mark – że potrzeba dużej populacji do pełnego wykorzystania zasobów przyrody, bo... po cóż innego? A trudno zaprzeczyć, że wojna redukuje populację i skuteczność działania. A nawet jeśli populacja wymaga zmniejszenia, to przecież wojna jest chyba najgorszą z metod przeprowadzenia tej operacji.

– Ta idea jest przeżytkiem z epoki, w której panowały zupełnie inne warunki. Kilka stuleci temu wielka rolnicza populacja była rzeczywiście niezbędna, a wojny eliminowały te jednostki, które wówczas były nadal użyteczne. Postęp w przemyśle i w rolnictwie ogranicza jednak liczbę potrzebnych pracowników. Wielka, mało inteligentna populacja staje się dziś balastem. Prawdziwa wartość wojny prowadzonej naukowymi metodami polega na tym, że ochrania się naukowców.

Wśród ofiar oblężenia Stalingradu nie było wielkich technokratów z Królewca czy Moskwy. Tam zginęli przesądni bawarscy chłopcy i zacofani rosyjscy kołchoźnicy. Rezultatem nowoczesnej wojny jest eliminacja typów retrogresywnych, przy jednoczesnej ochronie technokracji i wzroście jej wpływu na życie publiczne. W nowej epoce to, co dotychczas było jedynie intelektualnym rdzeniem gatunku, ma się stopniowo stać samym gatunkiem. Musi pan spojrzeć na nasz gatunek jak na zwierzę, które odkryło, jak uprościć odżywianie i lokomocję do tego stopnia, by dawny zł ożony organizm i wielkie ciało nie były mu już potrzebne. To wielkie ciało musi więc zginąć. Do podtrzymania pracy mózgu potrzebna będzie tylko jedna dziesiąta dawnego ciała. Jednostka ma stać się jedną głową. Ludzką rasą będzie jedynie Technokracja.

– Rozumiem – powiedział Mark. – A zawsze myślałem, że inteligentny rdzeń ludzkości ma się kształtować i rozwijać poprzez edukację.

– To czysta mrzonka. Olbrzymia część ludzkiego gatunku może skorzystać z edukacji tylko w tym zakresie, że dostarczy się jej wiedzy. Nie można jej wpoić totalnego obiektywizmu, który jest teraz niezbędny. Większość ludzi zawsze pozostanie zwierzętami, patrzącymi na świat przez mgłę swoich subiektywnych reakcji. A nawet gdyby to było możliwe, przeminęła już era wielkiej populacji. Spełniła ona funkcję czegoś w rodzaju kokonu, w którym dojrzewał technokratyczny i obiektywny Nowy Człowiek. Teraz makroby i wybrane, wspólnie pracujące z nimi jednostki, już jej nie potrzebują.

– A więc, z pańskiego punktu widzenia, dwie ostatnie wojny wcale nie były nieszczęściem dla ludzkości?

– Przeciwnie, były po prostu początkiem całego programu, dwiema z szesnastu wielkich wojen, jakie są zaplanowane jeszcze w tym stuleciu. Jestem ś wiadom, że to stwierdzenie wywołuje w panu

określone emocjonalne, czyli chemiczne, reakcje, i niech pan nie traci czasu, pró bując je przede mną ukryć. Nie oczekuję od pana, że zdoła je pan teraz opanować. To nie jest droga do prawdziwego obiektywizmu. Wzbudzam je w panu całą kłopotliwym świadomością, aby się pan przyzwyczaił do traktowania ich w sposób czysto naukowy i potrafił je wyraźnie odróżnić od faktów.

Mark siedział z oczami utkwionymi w podłogę. Cały ten program odnowy ludzkiej rasy nie wzbudzał w nim większych emocji; przeciwnie, prawie już odkrył, jak mało go tak naprawdę obchodziły owe przyszłe, uniwersalne dobrodziejstwa, na których od samego początku teoretycznie opierała się jego współpraca z instytutem. W tym momencie nie było po prostu miejsca na takie rozważania. Rozdzierał go konflikt między postanowieniem, aby nie ufać tym ludziom, nigdy nie ulegać ich sprytnym namowom i nie dać się wciągnąć do prawdziwej współpracy, a straszną siłą przeciwstawnej emocji, która pociągała go jak cofająca się fala porywa za sobą przybrzeżny żwir.

Bo oto dotarł wreszcie z całą pewnością (tak szeptało mu pożądanie) do prawdziwego Wewnętrznego Kręgu, którego centrum znajdowało się poza ludzkim gatunkiem, do ostatecznej tajemnicy, do najwyższej władzy, do ostatniego stopnia wtajemniczenia. To, że owa tajemnica okazała się tak przerażająca, bynajmniej nie osłabiała jej uwodzicielskiego czar. Nic, czemu by brakowało tego posmaku grozy, nie byłoby wystarczająco silne, aby zaspokoić oszałamiające podniecenie, jakie tętniło teraz w jego żyłach. Przyszło mu na myśl i, że Frost zdaje sobie w pełni sprawę zarówno z tego podniecenia, jak i z przeciwstawnej mu determinacji, i spokojnie czeka na to, by podniecenie zwyciężyło.

Rozlegające się od pewnego czasu pukanie stało o się tak natarczywe, że Frost podszedł do drzwi.

– Proszę odejść! – powiedział, podnosząc głos. – Co ma znaczyć ta impertynencja?

Za drzwiami dobiegł czyjś donośny głos, a potem znowu rozległo się pukanie. Frost uśmiechnął się, odwrócił i otworzył drzwi. Ktoś włożył mu do ręki kartkę. Przeczytał ją, wzdrygnął się i nie spojrzawszy nawet na Marka, opuścił celę.

Mark usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

\* \* \*

– Ale z nich przyjaciele! – powiedziała Ivy Maggs.

Ta uwaga odnosiła się do kotki Szczypki i Pana Bultitude'a, niedźwiedzia. Ten ostatni siedział przytulony grzbietem do ciepłej ściany kuchennego pieca. Policzki miał tak tłuste, a oczy tak małe, że wyglądał, jakby się uśmiechał. Przez jakiś czas Szczypka, chodząc w tę i z powrotem, ocierała się o jego brzuch z wyprostowanym ogonem, a potem zwinęła a w kłębek między jego tylnymi łapami i zapadła w drzemkę. Siedzący na ramieniu Przewodniczącego gawron już dawno wsunął łebek pod skrzydło.

Pani Dimble, która siedziała w głębi kuchni, zawzięcie coś cerując, zacisnęła usta. Nie mogła iść do łóżka i wołałaby, żeby wszyscy siedzieli cicho. Jej lęk osiągnął poziom, na którym prawie każde wydarzenie, nawet błaha, groziło wybuchem irytacji. Gdyby jednak ktoś obserwował wyraz jej twarzy, dostrzegłby, że lekki grymas szybko z niej zniknął. Miała za sobą całe lata praktyki w ćwiczeniu swojej woli.

– Użycie słowa „przyjaciele” w stosunku do tych dwóch stworzeń – odezwał się MacPhee – nie jest jedynie przejawem antropomorfizmu. Trudno oprzeć się iluzji, że mają ludzką osobowość. Ale nie ma na to żadnych dowodów.

– No więc co takiego pcha tę kotkę w jego objęcia? – zapytała Ivy.

– Prawdopodobnie zwykłe pragnienie ciepła. Między tymi łapami nie ma przeciągu. W grę wchodzi też poczucie bezpieczeństwa w bliskości kogoś znajomego. Być może odgrywają też pewną

rolę jakieś przeniesione impulsy seksualne.

– No wie pan, MacPhee! – oburzyła się Ivy. – Powiedzieć coś takiego o dwóch niemych zwierzakach! Jestem pewna, że nigdy nie widziałam tej kotki... albo tego biedaka Pana Bultitude'a...

– Użyłem przymiotnika „przeniesione” – przerwał jej chłodno MacPhee. – Niezależnie od tego, one lubią się ocierać ze względu na podrażnienia wywoływane przez pasożyty. Można zaobserwować...

– Jeśli chciał pan powiedzieć, że mają pchły, to wie pan równie dobrze jak każdy w tym domu, że nic podobnego im się nie przydarzyło.

Był to celny argument, bo to właśnie MacPhee raz w tygodniu wkładał kombinezon i prowadził Pana Bultitude'a do pralni, gdzie go mydlił od pyska po ogon, oblewał kubelkami wody i suszył, a zajmowało mu to prawie cały dzień.

– A pan co o tym sądzi, panie Przewodniczący? – spytała, patrząc na Ransoma.

– Ja? Myślę, że MacPhee wprowadza do życia zwierzęcego pewne rozróżnienie, którego tam w rzeczywistości nie ma, a potem próbuje określić, po której stronie tego rozróżnienia można umieścić uczucia Szcypki i Pana Bultitude'a. Trzeba stać się człowiekiem, aby możliwe było rozróżnienie między fizycznym pożądaniem a związkiem uczuciowym, tak jak trzeba być osobą uduchowioną, aby odróżnić związek uczuciowy od miłości bliźniego. To, co zachodzi w tych zwierzętach, nie jest ani jednym, ani drugim. Jest to coś, w czym można odnaleźć zarodek tego, co nazywamy przyjaźnią oraz potrzebą fizycznej bliskości, ale na tym poziomie jeszcze tym nie jest. To raczej jedna z „odwiecznych harmonii” Barfielda.

– Nigdy nie zaprzeczałem, że lubią być razem – mruknął MacPhee.

– Właśnie to powiedziałam – burknęła pani Maggs.

– Ale to dość istotny problem, panie Przewodniczący – rzekł MacPhee – bo pozwalałam sobie zauważyć, że wskazuje na zasadniczy błąd w całym systemie tego miejsca.

Grace Ironwood, która dotąd siedziała z przymkniętymi oczami, nagle je otworzyła i utkwiała w ulsterczyku, a pani Dimble pochyliła głowę ku Camilli i szepnęła:

– Bardzo bym chciała, żeby ktoś wysłał pana MacPhee do łóżka. W tych okolicznościach jest zupełnie nie do zniesienia.

– Co masz na myśli, MacPhee? – zapytał Przewodniczący.

– A to, że mamy tu do czynienia z nieco wymuszoną próbą traktowania tych nierozumnych stworzeń w sposób, którego nie da się logicznie uzasadnić. I niech mi będzie wolno stwierdzić, że nigdy pan tego nawet nie próbował. Ten niedźwiedź łązi sobie po całym domu, obżera się jabłkami i opija syropem klonowym, że o mało już nie pęknie...

– No nie! – zawołała pani Maggs. – A kto mu wciąż podsuwa te jabłka? Bardzo chciałabym to usłyszeć!

– Tego niedźwiedzia, jak już zauważyłem – ciągnął MacPhee – trzyma się tutaj w domu i najwyraźniej rozpieszcza. Świnie trzyma się w chlewie i zabija, żeby mieć bekon. Chciałbym poznać filozoficzne przesłanki takiego rozróżnienia.

Ivy Maggs przeniosła zdumione spojrzenie z uśmiechniętej twarzy Przewodniczącego na pełną powagi twarz ulsterczyka.

– To jakaś głupota – powiedziała. – Kto słyszał, żeby robić bekon z niedźwiedzia?

MacPhee tupnął lekko, okazując zniecierpliwienie, i odrzekł coś, co zostało zagłuszone najpierw przez donośny śmiech Ransoma, a potem przez silne uderzenie wiatru w okno.

– Ale mają okropną pogodę w tę noc! – westchnęła pani Dimble.

– A ja to lubię – powiedziała Camilla. – Bardzo bym chciała być na zewnątrz. Na jakimś

wysokim wzgórzu. Och, jakbym chciała być teraz razem z nimi, panie Przewodniczący!

– Ty to lubisz? – zdumiała się Ivy. – Och, ja nie! Nie wystawiłabym głowy za róg domu.

Gdybym była tutaj sama, to miałabym gęsią skórę. Nawet jakby pan był na górze, panie Przewodniczący. Zawsze sobie myślę, że właśnie w takie noce jak ta, oni... no wie pan... przychodzą do pana.

– Ivy, oni w ogóle nie zwracają uwagi na pogodę – odrzekł Ransom.

– Wie pan, jest coś, czego nie rozumiem – powiedziała cicho Ivy. – Oni są tacy dziwni, ci, co do pana przychodzą. Nie zbliżyłabym się na krok do tej części domu, gdybym myślała, że oni tam są, nawet gdyby mi pan zapłacił sto funtów. A nie czuję czegoś takiego do Boga, chociaż On jest chyba jeszcze straszniejszy... Chyba pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć.

– Kiedyś był – odrzekł Ransom. – Ale masz całkowitą rację co do Potęg. Ogólnie rzecz biorąc, aniołowie nie są dobrym towarzystwem dla ludzi, nawet w przypadku dobrego anioła i dobrego człowieka. To wszystko można znaleźć w Listach ś świętego Pawła. Ale wszystko to się zmieniło, jeśli chodzi o samego Maleldila. Zmieniło się przez to, co wydarzyło się w Betlejem.

– A Boże Narodzenie już za pasem – powiedziała Ivy, zwracając się do wszystkich.

– A więc będziemy tu niedługo gościć pana Maggsa – powiedział Ransom.

– Za dzień albo dwa – dodała Ivy.

– Czy to tylko wiatr? – zapytała nagle Grace Ironwood.

– To mi przypomina tętent konia – powiedziała pani Dimble.

– Och! – zawołał MacPhee, podrywając się z miejsca. – Z drogi, Panie Bultitude, bo muszę włożyć gumki. To pewnie znowu te dwa konie Broada trują moje selery. Gdyby tylko pozwolił mi pan najpierw pójść na policję... Dlaczego ten człowiek nie trzyma ich w stajni... – mrucał do siebie, wkładając nieprzemakalny płaszcz.

– Moja laska, Camillo – powiedział Ransom. – MacPhee, wracaj. Podejdziemy do drzwi razem, ty i ja. Panie zostaną na swoich miejscach.

Na jego twarzy pojawił się wyraz, jakiego nikt z obecnych jeszcze nie widział. Cztery kobiety zamarły, wytrzeszczając oczy. W chwilę później Ransom i MacPhee stali sami w sionce, która służyła za zmywalnię. Wiatr wstrząsał tylnymi drzwiami tak, że nie wiedzieli, czy ktoś puka, czy nie.

– Teraz – powiedział Ransom. – Otwieraj. I stań za drzwiami.

MacPhee mocował się przez chwilę z zasuwami, gdy nagle gwałtowne uderzenie wiatru pchnęło drzwi do ś rodka, przyciskając go do ś ciany. Ransom, wsparty na lasce, wychylił się do przodu i w padającym z sieni świetle ujrzał olbrzymiego konia, okrytego potem i pianą, z obnażonymi żółtymi zębami, uszami płasko przyklejonymi do czaszki i płonącymi oczami. Był tak blisko drzwi, że jego przednie kopyta opierały się o próg. Nie miał na sobie siodła ani uprząży, lecz właśnie w tym momencie z jego grzbietu zeskoczył jakiś mężczyzna. Wysoki i potężnie zbudowany, prawie olbrzym. Rudawosiwe włosy i długa broda przysłaniały mu twarz i dopiero gdy zrobił krok w kierunku drzwi, Ransom zauważył, że ma na sobie podarty, wyraźnie nie pasujący na niego płaszcz koloru khaki, workowate spodnie i buty z rozerwanymi noskami.

\* \* \*

W wielkim pokoju w Belbury na kominku płonął ogień, a na stolikach rozstawionych pod ścianami połyskiwały butelki z winem i srebrna zastawa. Pośrodku stało wielkie łóżko. Wicedyrektor obserwował czterech ludzi, którzy wnieśli nosze, obarczone jakimś ciężarem. Kiedy rozchylili prześcieradło i przenieśli ów ciężar na łóżko, Wither przyjrzał mu się z najwyższym zainteresowaniem. Przez chwilę znikł z jego twarzy chaos, który zwykle na niej gościł, i wyglądał jak

normalny człowiek. Było to nagie ludzkie ciało, najwyraźniej żywe, lecz pogrążone we śnie lub letargu. Wydał polecenie, by umieścili pod stopami termofory i podłożyli poduszki pod głowę.

Kiedy odeszli, przysunął krzesło do łóżka i usiadł, pogrążając się w studiowaniu ciała, zwłaszcza głowy, która wydawała się nienaturalnie wielka, być może dzięki długo nie strzyżonej, niechlujnej brodzie i potarganym siwym włosom. Twarz była porwana zmarszczkami, a szyja wychudzona i zwiotczała. Oczy były zamknięte, a usta lekko rozchylone, jakby w uśmiechu. Trudno było coś powiedzieć o tym człowieku. Wither przyglądał mu się długo, od czasu do czasu przekrzywiając głowę, aby spojrzeć na niego pod innym kątem, prawie tak, jakby szukał jakiejś szczególnej cechy i był zawiedziony. Siedział tak w skupieniu około kwadransa, po czym drzwi się otworzyły i wszedł profesor Frost.

Zbliżył się do łóżka, pochylił i popatrzył na twarz leżącego mężczyzny. Potem obszedł łóżko i zrobił to samo z drugiej strony.

– Czy on śpi? – zapytał szeptem Wither.

– Chyba nie. To raczej coś w rodzaju transu. Ale jakiego rodzaju, nie wiem.

– Nie masz żadnych wątpliwości?

– Gdzie go znaleźli?

– Ówmię mil od wejścia do tunelu. Szli po śladach nagich stóp.

– Komora była pusta, tak?

– Tak. Stone złożył mi raport w chwilę potem, jak ode mnie wyszedł.

– Zabezpieczyłeś się, jeśli chodzi o Stone'a?

– Tak. Ale co o tym myślisz? – Wither wskazał spojrzeniem na łóżko.

– Myślę, że to on – odparł Frost. – Miejsce się zgadza. Nagość trudno byłoby wyjaśnić w inny sposób. Czaszka jest taka, jakiej się spodziewałem.

– Ale twarz...

– Tak. Pewne cechy są trochę niepokojące.

– Mógłbym przysiąc – rzekł Wither – że zawsze rozpoznam jednego z Władców, a nawet kogoś, kto dopiero może zostać Władcą. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi... Moż na od razu stwierdzić, że Straiak czy Studdock odpowiadają kryteriom, natomiast pani Hardcastle, pomimo jej wszystkich wspaniałych zalet, na pewno nie.

– Tak. Ale może powinniśmy być przygotowani na dość wyraźne przejawy... braku ogłady, kiedy się przebudzi. W końcu niewiele wiemy o poziomie techniki w Kręgu Atlantydzkim.

– Z całą pewnością nie wolno nam myśleć... ee... zbyt ciasnymi kategoriami. Można przypuszczać, że w tamtej epoce różnica między Władcami a przeciętnymi ludźmi nie była tak ostra jak dziś. Być może w Wielkiej Atlantydzie wciąż tolerowano różne rodzaje czynników emocjonalnych, a nawet instynktownych. Tych, które my musimy odrzucić.

– Nie można tego tylko zakładać, trzeba to przyjąć za pewnik. Nie powinno się zapominać, że cały nasz plan polega na ponownym zjednoczeniu różnych rodzajów wiedzy.

– Właśnie. Może jeśli ktoś ma kontakt z Potęgami... biorąc pod uwagę ich odmienną skalę czasu i całą resztę... to czasem zapomina, że chodzi o wielką przepaść w upływie czasu... zgodnie z naszymi zwykłymi standardami.

– To, co tutaj mamy – rzekł Frost, wskazując na ścianę piątego – nie pochodzi z piątego wieku. To ostatnia pozostałość, która przetrwała aż do piątego wieku, czegoś o wiele starszego. Czegoś, co pochodzi sprzed Wielkiej Zagłady, nawet sprzed prymitywnego druidyzmu, czegoś z Numinoru, z epoki przedlodowcowej.

– Cały ten eksperyment jest chyba bardziej ryzykowny, niż przypuszczaliśmy.

– Miałem już nieraz sposobność – rzekł Frost – wyrazić życzenie, abyś nie wprowadzał takich pseudoemocjonalnych spostrzeżeń do naszych dyskusji naukowych.

– Drogi przyjacielu – odpowiedział Wither, nie patrząc na niego – wiem, że temat, o którym wspomniałeś, był przedmiotem twoich rozmów z samymi Potęgami. Jestem tego w pełni świadomy. Nie wątpię, że i ty jesteś w równym stopniu świadomy, iż ja rozmawiałem z nimi na temat pewnych aspektów twoich metod, które można oceniać krytycznie. Nic nie byłoby bardziej jałowe... a powiedziałbym nawet bardziej groźne... od prób wprowadzania między nami tych rodzajów dyscypliny perswazyjnej, które stosujemy wobec naszych współpracowników niższej rangi.

Ośmielam się zwrócić ci na to uwagę jedynie w trosce o nasz własny interes.

Zamiast odpowiedzi Frost dał mu znak głową. Obaj zamilkli, wpatrując się w łożo, bo śpiący otworzył oczy.

Otwarcie oczu spowodowało, że twarz nabrała wyrazu, ale ów wyraz trudno było zinterpretować. Starzec zdawał się na nich patrzeć, ale nie byli pewni, czy ich widzi. Mijały sekundy i Wither w końcu uznał, że ta twarz wyraża przede wszystkim czujność, której nie towarzyszył jednak jakiś wyraźny niepokój. Była to raczej zwykła, nie nerwowa czujność, nabyta przez lata ciężkich doświadczeń znoszonych spokojnie, a nawet może z pewnym humorem.

Wither powstał i odchrząknął.

– *Magister Merline – zaczął – Sapientissime Britonum, secreti secretorum possessor, incredibiliquodam gaudio affirmurquod te in domum nostram accipere nobis, .. ee... contingit.*

*Scito nos etiam haud imperitos esse magnae artis... et... ut ita dicam... [Mistrzu Merlinie najmędrszy z Brytów, dziedzicu najtajniejszych tajemnic, oto z trudną do opisania radość cią mamy możliwość powitania cię w naszym domu. Zrozumiesz, że i nam nie jest obca wielka wiedza... i ... jeśli wolno mi tak powiedzieć...]* Zamilkł. Było całkowicie oczywiste, że mężczyzna nie zwraca najmniejszej uwagi na jego przemowę. To niemożliwe, by tak uczony człowiek z piątego wieku nie znał łaciny.

– Może coś nie w porządku z moją wymową? – zaniepokoił się Wither.

Całkowity brak zainteresowania w twarzy tego człowieka upewnił go jednak w przeświadczeniu, że nie chodzi tu o trudności w zrozumieniu jego łaciny. Wyglądało raczej na to, że Mistrz wcale go nie słucha.

Frost wziął karafkę ze stołu i napełnił kielich czerwonym winem. Wrócił do łoża, skłonił się głęboko i wręczył kielich leżącemu mężczyźnie. Ten spojrzął na kielich z miną, która mogła (choć niekoniecznie) wyrażać chytrość, po czym nagle usiadł, obnażając szeroką, owłosioną pierś i chude, muskularne ramiona. Rozejrzał się po pokoju, a potem wskazał palcem na stół. Frost wrócił do stołu i dotknął innej karafki. Mężczyzna potrząsnął głową i wskazał jeszcze raz.

– Wydaje mi się – rzekł Wither – że nasz bardzo znakomity gość pragnie wskazać na dzbanek, Nie bardzo wiem, co w nim jest. Może...

– Jest w nim piwo – powiedział Frost.

– Cóż, może to nieoczekiwane... ale tak mało wiemy o zwyczajach tamtej epoki...

Frost napełnił piwem duży cynowy kubek i podał gościowi, na którego trudnej do odczytania twarzy po raz pierwszy pojawił się przeblysł zainteresowania. Schwycił łapczywie kubek, odgarnął splecione wąsy i zaczął pić, coraz bardziej odchylając siwą głowę do tyłu. Ruch grdyki i mięśni wychudłej szyi wskazywał na proces picia. W końcu wypił do dna, otarł mokre wargi wierzchem dłoni i westchnął głęboko – był to pierwszy odgłos, jaki z siebie wydał. Potem znowu popatrzył na stół.

Dwaj uczeni karmili go prawie dwadzieścia minut – Wither z nabożnym i ceremonialnym

szacunkiem, Frost wprawnymi, bezgłośnymi ruchami dobrego służącego. Przygotowano wszelkie rodzaje wymyślnych przysmaków, ale gość wykazywał zainteresowanie jedynie zimną wołowiną, kurczakiem, piklami, chlebem, serem i masłem. Masło jadł samo, końcem noża. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do używania widelca: brał kawałki kurczaka palcami, a po obgryzieniu kości chował je pod poduszkę. Kiedy się najadł, dał znak, że chce jeszcze jeden kubek piwa. Wypił go dwoma łykami, wytarł usta prześcieradłem, a nos ręką, i wyraźnie zabierał się do dalszego snu.

– Ach... ee... *domine* – odezwał się Wither nieco urażonym, natarczywym tonem – *nihil magis mihi displiceretquam ut tibi ullo modo... ee... molestior essem. Attamen, venia tua...* [Ach... eee... panie, nic nie byłoby bardziej dalekie od moich intencji niż sprawianie ci jakichkolwiek kłopotów.

Równocześnie jednak, jeśli pozwolisz...]

Ale mężczyzna nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Trudno był o powiedzieć, czy ma całkowicie zamknięte oczy, czy wciąż patrzy na nich spod półprzymkniętych powiek, ale z całą pewnością nie zamierzał z nimi rozmawiać. Frost i Wither wymienili pytające spojrzenia.

– Czy do tego pokoju można wejść tylko przez sąsiedni? – zapytał Frost.

– Tak.

– Wyjdźmy tam i przedyskutujmy sytuację. Możemy zostawić uchylone drzwi. Będziemy słyszeli, jak się poruszy.

\* \* \*

Kiedy Frost nagle opuścił celę, Mark odczuł najpierw niespodziewaną lekkość w sercu. Nie oznacza to, że uwolnił się od lęku o swoją przyszłość, ale gęste opary strachu przebiło dziwne poczucie wyzwolenia. Ulga, jaką mu przyniosła świadoma rezygnacja z dalszych prób zdobycia zaufania tych ludzi i z towarzyszącej dotąd takim próbom huśtawki nadziei i zwątpienia, wprowadziła go w stan graniczący z radością. Po długiej serii dyplomatycznych porażek nastąpił czas bezpośredniej walki. Bardzo go to pokrzepiło na sercu. Mógł przegrać walkę, ale w końcu wiedział, po której jest stronie. I w ogóle mógł teraz mówić o „swojej stronie”. A przecież oznaczało to, że znowu jest po stronie Jane i wszystkiego, co ona symbolizowała. I teraz to on był na pierwszej linii walki; Jane prawie nie brała w niej czynnego udziału...

Aprobata własnej ś wiadomości jest napojem bardzo silnie uderzającym do głowy, zwłaszcza dla tych, którzy nie są do tego przyzwyczajeni. W ciągu następnych dwóch minut Mark przeszedł od pierwszego mimowolnego poczucia wyzwolenia do świadomej postawy odwagi, którą wkrótce zamieniła fala niepokonanego bohaterstwa. W jego wyobraźni zagościła wizja samego siebie jako bohatera i męczennika, jako Jacka Pogromcy Olbrzymów, zachowującego zimną krew nawet w kuchni olbrzyma, pozwalająca mu żywić nadzieję, że wyprze te inne, nieznośne wizje, które go nawiedzały przez ostatnie kilka godzin. W końcu nie każdego stać na odrzucenie propozycji, jaką złożył mu Frost, na wzgardzenie zaproszeniem do przekroczenia granic ludzkiego życia... do udziału w czymś, o czym ludzie marzyli od początków świata... na odepchnięcie dotyku owej nieskończonej tajemnicy, rdzenia, przez który przebiegał nerw całej historii. Kiedyś tak go to pociągało!

Kiedyś tak go to pociągało!... Nagle, jak coś, co spada z nieskończonej odległości z szybkością światła, potężne pożądanie (słone, czarne, żarłoczne, nienasycone pożądanie) schwyciło go za gardło i zaczęło nim wstrząsać, tak jak pies potrząsa szczurem. Tym, którzy takiego uczucia doświadczyli, już samo wspomnienie przynosi smak jego siły, natomiast tym, którzy go nigdy nie doznali, nie pomoże żaden opis. Wielu pisarzy mówi o nim jak o zmysłowej żądzy; jest to opis wspaniale oświetlający rzecz od wewnątrz, lecz zaciemniający ją od zewnątrz. To pożądanie nie ma bowiem nic wspólnego z ciałem, choć w dwu aspektach przypomina żądzę zmysłową, tak jak jawi się ona w najgłębszym i najciemniejszym zakątku labiryntu ludzkiej świadomości. Podobnie jak żądza

odczarowuje świat. Wszystko inne, co Mark kiedykolwiek czuł – miłość, ambicja, głód, samo pożądanie zmysłowe – wydało mu się teraz czymś mdłym i nudnym, czymś, co człowiek dorosły odrzuca jak dziecinną zabawkę, niewartą jednego drgnienia nerwów. Nieskończony powab owej mrocznej siły wessał w siebie wszystkie inne namiętności: reszta świata zbladła, utraciła wyraz, stała się światem białych małżeństw i bezosobowych mas, potraw bez soli, hazardu bez ryzyka.

Teraz nie potrafił już myśleć o Jane inaczej, jak o obiekcie pożądania, a w tym świecie pożądanie już go nie pociągało. W obliczu prawdziwego smoka ten wąż stał się bezzębną glistą. Przypominała również żądzę cielesną w innym aspekcie. Zdeprawowany człowiek nie jest w stanie dostrzec okropności swojej perwersji: kiedy władza nim z całą dziką mocą, właśnie owa okropność nadaje żądzę smaku. To brzydota staje się w końcu celem rozpusty; piękno nie dojrzewa na tyle, by stało się bodźcem.

I tak właśnie było teraz. Istoty, o których mówił Frost – a Mark nie wątpił, że naprawdę są w jego celi – tchnęły śmiercią na całą ludzką rasę i na całą radość tego świata. I wcale nie pomimo to, lecz właśnie dlatego przyciągały go, wsysały, szarpały ku sobie ze straszną, przemożną siłą. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak przemożnej siły ruchu przeciwnego naturze, siły y, która teraz nim owładnęła, przymuszając do odrzucenia wszelkich oporów, do nakreślenia każdego koła na nowo, ruchem przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Teraz pojął znaczenie pewnych wizji, pojął, co miał na myśli Frost, mówiąc o „obiektywności”, pojął, co naprawdę robiły czarownice w dawnych czasach. Stała mu przed oczami twarz Withera i tym razem, oprócz odrazy, poczuł coś innego: jakąś budzącą dreszcz satysfakcję, gdy dostrzegł w niej oznaki wspólnoty ich doznań. Wither też wiedział. Wither pojmował...

W tej samej chwili przypomniał sobie, że prawdopodobnie go zabiją. Gdy tylko o tym pomyślał, dotarło do niego ponownie, że znajduje się w celi – w małym, nędznym pomieszczeniu oświetlonym nagą żarówką, w którym siedzi na podłodze. Zamrugał. Czyżby naprawdę nie widział tej celi przez ostatnie kilka minut? Gdzie wtedy był? Odzyskał jasność umysłu. Jego i Withera miałyby coś łączyć? Cóż za absurdalny pomysł! To przecież oczywiste, że zamierzają go w końcu zabić, jeśli sam nie uwolni się z tej pułapki. O czym myślał, co czuł, jeśli zapomniał o śmierci?

Stopniowo dotarło do niego, że doświadczył czegoś w rodzaju ataku i że nie stawiał żadnego oporu. Ogarnęło go przerażenie. Chociaż teoretycznie był materialistą, przez całe życie wierzył – bez zastanowienia i wbrew logice – w wolność swojej woli. Rzadko podejmował moralne postanowienia, a kiedy parę godzin temu zdecydował już więcej nie ufać ludziom z Belbury, niezłomność tej decyzji wydawała mu się oczywista. Nie brał w ogóle pod uwagę, że w jego świadomości może zajść tak gwałtowna zmiana w tak krótkim czasie. Jeżeli coś takiego mogło się zdarzyć... To niesprawiedliwe. Oto człowiek próbuje (po raz pierwszy w życiu) zrobić coś, co w sposób oczywisty jest słuszne – coś, co Jane i Dimble'owie na pewno by pochwalili. Można oczekiwać, że kiedy postanawia coś takiego, cały wszechświat powinien go w tym wesprzeć. Nie zdawał sobie sprawy z siły oddziaływania resztek prymitywnej wersji teizmu, które poznał w ciągu dotychczasowego życia, czuł tylko – choć nie potrafił tego ubrać w słowa – że wszechświat powinien nagradzać jego dobre postanowienia. A jednak w tym samym momencie, w którym spróbował być dobry, wszechświat odwrócił się od niego i pozwolił mu upaść. Oto nagroda za jego wysiłki.

A więc cynicy mieli rację! Ale gdy tylko tak pomyślał, wzdrygnął się. W tej myśli było coś, co wzbudziło w nim gwałtowny niepokój. Czyżby znowu zaczynało się tamto? Zacisnął pięści. Nie, tylko nie to, za żadną cenę. Zacisnął dłonie. Nie, nie, nie. Nie zniósłby tego dłużej. Chciał obecności Jane, pani Dimble, Dennistona. Chciał kogoś lub czegoś.

– Och, nie, nie, nie chcę, żeby to wróciło – powiedział cicho, a potem zawołał na głos: – Nie



chcę, nie chcę!

W tym okrzyku znalazło ujść cie wszystko, co można nazwać nim samym. Przeróżająca świadomość, że nie jest w stanie nic więcej uczynić, napełniła go powoli spokojem. Nic więcej już nie można uczynić. Bezwiednie rozluźnił mięśnie. Poczł straszliwe zmęczenie w całym ciele i położył się na twardej podłodze. Odniósł dziwne wrażenie, jakby i ta cela została w jakiś sposób opróżniona i oczyszczona, jakby i ona również zmęczyła się konfliktami, których była świadkiem – pusta i czysta jak niebo po deszczu, zmęczona jak dziecko płaczem. Przemknęło mu przez myśl, że noc chyba już się kończy. Zasnął.

### *Ściągnęli na swoje głowy gniew Głębin Niebios*

Stój! Stój tam, gdzie jesteś, i powiedz, jak się nazywasz i po co przychodzisz – powiedział Ransom.

Okryta łachmanami postać stojąca w progu przekrzywiła nieco głowę jak ktoś, kto nie najlepiej słyszy. W tym samym momencie powiał silny wiatr. Wewnętrzne drzwi, między zmywalnią a kuchnią, zatrzasnęły się z hałasem, oddzielając trzech mężczyzn od kobiet, a do zlewu spadła z hukiem wielka cynowa miednica. Przybysz postąpił krok do środka.

– *Sta!* – zawołał Ransom mocnym głosem. – *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, dic mihi qui sis etquam ob causam veneris.* [Stój! W imię Ojca i Syna, i Ducha Ś świętego, powiedz mi, kim jesteś i po co przybywasz.]

Przybysz podniósł rękę i odrzucił włosy spadające mu na czoło. Światło padło na jego twarz i pierwszym wrażeniem Ransoma był jej nieopisany spokój. Każdy mięsień ciała mężczyzny zdawał się rozluźniony, jak we śnie. Nie poruszał się: każda kropla deszczu opadająca z płaszcza w kolorze khaki uderzała w ceglana podłogę dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednia.

Przez chwilę jego oczy spoczęły na Ransomie bez widocznego zainteresowania. Potem odwrócił głowę w lewo, gdzie za odchylonymi do ściany drzwiami wciąż ukrywał się MacPhee.

– Wyjdź – powiedział po łacinie prawie szeptem, ale tak dźwięcznym i głębokim, że nawet w tym wstrząsanym wiatrem pomieszczeniu wywołały coś w rodzaju wibracji. Jeszcze bardziej zaskoczyło Ransoma to, że MacPhee natychmiast usłuchał, nie patrząc przy tym wcale na niego, lecz na przybysza. Potem, zupełnie nieoczekiwanie, potężnie ziewnął. Przybysz zwrócił się do Przewodniczącego.

– Człowieku – rzekł po łacinie – powiedz panu tego domu, że przybyłem.

Wiatr szarpał połami jego płaszcza i zwiewał mu włosy na czoło, ale masywna postać stała niewzruszenie, jak wrośnięte w ziemię drzewo, a jeśli ktoś mógłby sobie wyobrazić drzewo obdarzone głosem, to jego głos dobrze by do tego wyobrażenia pasował: mocny, powolny i cierpliwy, wydobyty poprzez korzenie, glinę i żwir z trzewi Ziemi.

– Ja jestem tutaj panem – odparł Ransom w tym samym języku.

– Już w to wierzę! A ten chłystek [*mastigia*] jest bez wątpienia twoim biskupem.

Nie uśmiechnął się, ale w jego bystrych oczach pojawił się wyraz kpiącego niedowierzania.

Nagłym ruchem wysunął głowę do przodu, tak że jego twarz znalazła się bliżej twarzy Przewodniczącego.

– Powiedz swojemu panu, że przybyłem – powtórzył.

Ransom wpatrywał się w niego bez drgnienia powiek.

– Czy naprawdę chcesz, abym wezwał tu swoich panów? – zapytał w końcu.

– Kawka mieszkająca w celi pustelnika może się nauczyć świergotać po łacinie – zauważył spokojnie przybysz. – Posłuchajmy twojego wezwania, człowieczyno [*homuncio*]

– Będę musiał użyć innego języka – rzekł Ransom.

– Kawka może mieć w dziobie również i grekę.

– To nie będzie greka.

– Posłuchajmy więc twojego hebrajskiego.

– To nie będzie hebrajski.

– Ha! – prychnął przybysz, a gdzieś głęboko w jego szerokich piersiach musiał zrodzić się

chichot, bo ramiona lekko zadrgały. – Jeśli nawet przejdiesz do beł kotu barbarzyńców, będzie ciężko, ale sądzę, że cię przegadam. Szykuje się niezła zabawa.

– Być może język, którego użyję, wyda ci się mową barbarzyńców – powiedział Ransom – ponieważ dawno już go tutaj nie słyszano. A nawet w Numinorze nie mówiono nim na ulicach.

Twarz przybysza pozostała niewzruszona, lecz kiedy się odezwał, w jego tonie można było wyczuć zainteresowanie.

– Twój panowie pozwolili ci igrać niebezpiecznymi zabawkami. Powiedz mi, niewolniku, co to jest Numinor?

– Prawdziwy Zachód – odrzekł Ransom.

– Tak... – powiedział tamten, a po chwili dodał: – Nie najlepiej traktuje się gości w tym domu. Zimny wiatr wieje mi w plecy, a długo leżałem w łóżku. Jak widzisz, przekroczyłem już próg.

– Niewiele mnie to obchodzi – odparł Ransom. – Zamknij drzwi, MacPhee – dodał po angielsku.

– Ale nie usłyszał odpowiedzi, więc po raz pierwszy się odwrócił i zobaczył, że MacPhee siedzi na jedynym w sionce krześle, pogrążony w głębokim śnie.

– Cóż to znowu za sztuczki? – zapytał Ransom, spoglądając ostro na przybysza.

– Jeśli naprawdę jesteś panem tego domu, powinieneś wiedzieć.

A jeśli nie, to nie muszę zwracać uwagi na kogoś takiego jak ty. Nie bój się, twemu parobkowi nic się nie stanie.

– Wkrótce się przekonamy. A tymczasem dowiedz się, że nie lękam się twojego wejścia do tego domu. Mam więcej powodów, by lękać się twego odejścia. Zamknij drzwi, jeśli łaska, mam chorą nogę.

Przybysz, nie spuszczać wzroku z Ransoma, wyciągnął lewą rękę i zatrzasnął drzwi.

MacPhee nawet nie drgnął.

– A teraz – powiedział przybysz – powiedz mi coś o twoich panach.

– Moimi panami są *Oyeresu*.

– Gdzie usłyszałeś to imię? A jeśli naprawdę jesteś członkiem kolegium, dlaczego ubierasz się jak niewolnik?

– Twój strój – odparł Ransom – też chyba nie jest strojem druidów.

– Dobrze odparowałeś cios. Skoro posiadasz wiedzę, odpowiedz mi na trzy pytania, jeśli się odważysz.

– Odpowiem na nie, jeśli będę potrafił. A co do odwagi, to zobaczymy.

Przybysz zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał nieco śpiewnym tonem, jakby recytował jakąś dawną lekcję, w dwu łacińskich heksametrach:

– Kogo nazywają *Sulvą*? Jaką drogę przemierza? Dlaczego łono jest bezpłodne z jednej strony? Gdzie są zimne małżeństwa?

Ransom nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

– *Sulva* to ta, którą śmiertelni nazywają *Księżycem*. Wędruje w najniższej strefie. Przebiega przez nią krawędź straconego świata.

Połowa jej kuli zawsze jest zwrócona ku nam i krąży razem z nami.

Druga połowa spogląda na Głębiny Niebios; szczęśliwi ci, którzy mogliby przekroczyć tę granicę i ujrzeć pola po tamtej stronie. Po tej stronie łono jest bezpłodne, a małżeństwa zimne.

Mieszka tam przeklęty lud, pełen pychy i żądy. Tam, gdy młodzieniec bierze dziewczynę za żonę, nie kładą się razem, lecz każde kładzie się z pomysłowo zrobionym wyobrażeniem drugiego, które mocą diabelskiej sztuki może się poruszać i jest ciepłe. Pr awdziwe ciało nie sprawia im

bowiem rozkoszy, tak są wybredni [*delicati*] w swoich rozpustnych marzeniach. A swoje prawdziwe dzieci wytwarzają za pomocą ohydnej sztuki w tajemnym miejscu.

– Dobrze odpowiedziałeś – rzekł przybysz. – Myślałem, że tylko trzej ludzie na świecie znają odpowiedź. Ale moje drugie pytanie może być trudniejsze. Gdzie jest pierścień króla Artura? Jaki pan ma taki skarb w swoim domu?

– Pierścień króla – odpowiedział Ransom – jest na palcu Artura, tam gdzie on zasiada, w kraju Abhalldzin, poza morzami Luru, na Perelandrze. Albowiem Artur nie umarł, lecz Pan nasz zabrał go stąd w ciebie, aż do końca wieków, wraz z Enochem, Eliaszem, Mojżeszem i królem Melchizedekiem. A Melchizedek to ten, w którego sali połyskuje ostro wyrzeźbiony pierścień na palcu Pendragona.

– Dobra odpowiedź – rzekł przybysz. – W moim kolegium sądzono, że tylko dwaj ludzie na świecie o tym wiedzą. Ale odpowiedzi na trzecie pytanie nie zna nikt oprócz mnie. Kto będzie Pendragonem w czasie, gdy Saturn zejdzie ze swojej sfery? W jakim świecie nauczył się wojny?

– Nauczyłem się wojny w sferze Wenus – odrzekł Ransom. – Lurga zstąpi w tej epoce. Ja jestem Pendragonem.

Kiedy to powiedział, cofnął się o krok, ponieważ olbrzym poruszył się, a jego oczy zabłyśły nowym wyrazem. A gdyby ktoś ich w owej chwili zobaczył, jak tak stali twarzą w twarz, pomyślałby, że w każdej chwili może dojść do walki. Lecz przybysz nie miał wrogich zamiarów.

Powoli, ociężale, ale z godnością, jakby góra zginała się w pokłonie, ukląkł na jednym kolanie. Gdy to uczynił, jego twarz nadal znajdowała się prawie na poziomie twarzy Przewodniczącego.

\* \* \*

– To stwarza zupełnie nieoczekiwany problem – powiedział Wither do Frosta, gdy usiedli w sąsiednim pokoju, pozostawiając drzwi uchylone. – Muszę przyznać, że nie przewidywałem poważniejszych trudności językowych.

– Musimy natychmiast zdobyć specjalistę od Celtów – rzekł Frost. – Filologia to nasz słaby punkt. Nawet nie wiem, kto teraz najlepiej zna się na starożytnej Brytanii. Ransom mógłby nam doradzić, gdyby był uchwytany. Czy w twoim wydziale już coś o nim wiedzą?

– Jestem zmuszony ci przypomnieć, że filologiczne osiągnięcia doktora Ransoma nie są jedynym powodem, dla którego tak gorliwie go poszukujemy. Możesz być pewny, że gdybyśmy wpadli na jego trop, już dawno miałbyś... ee... satysfakcję ujrzenia go tutaj osobiście.

– Oczywiście. Może w ogóle nie ma go na Ziemi.

– Kiedyś go spotkałem – odparł Wither, przymykając oczy. – Na swój sposób to niezwykła postać. Człowiek, którego penetracje i intuicje mogłyby mieć dla nas nieocenioną wartość, gdyby nie zorientował się w przyczynie reakcji. To smutna refleksja, ale...

– Oczywiście Straik zna walijski – przerwał mu Frost. – Jego matka była Walijką.

– Byłoby z pewnością o wiele bardziej pożądane, gdybyśmy mogli, że się tak wyrażę, zachować całą rzecz w rodzinie. Mogłoby okazać się bardzo trudne do zaakceptowania dla mnie... a jestem pewny, że i dla ciebie... wprowadzenie eksperta od Celtów z zewnątrz.

– I oczywiście taki ekspert byłby do wykorzystania dopiero po p okonaniu wielu trudności związanych z jego tu przeniesieniem. Nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu. Na jakim etapie jest Straik?

– Och, jest już prawie gotowy – odrzekł wicedyrektor. – Prawdę mówiąc, odczuwam nawet pewien zawód, bo mój uczeń robi tak szybkie postępy, że może się okazać konieczne porzucenie pewnego pomysłu, który, muszę wyznać, wydawał mi się bardzo pociągający. Kiedy wyszedłem z mojego gabinetu, pomyślałem sobie, że byłoby szczególnie pożądane i... ee... właściwe i miłe, gdyby twój uczeń i mój mogli być wtajemniczeni razem. Jestem pewien, że powinniśmy obaj czuć... Ale,

rzecz jasna, nie czuję się upoważniony do wstrzymywania Studdocka, jeśli li tylko będzie gotów przed Straikiem. Chyba rozumiesz, drogi przyjacielu, że nie chodzi mi o nic innego, jak tylko o test porównawczy bardzo różnych metod, jakie każdy z nas stosuje.

– Nie wydaje mi się to możliwe, bo ja rozmawiałem ze Studdockiem tylko raz, a już ta jedna rozmowa dała oczekiwany efekt. Wspomniałem o Straiku tylko po to, by dowiedzieć się od ciebie, czy jest już na tyle gotowy, by można go było przedstawić naszemu gościowi.

– Och... jeśli chodzi o gotowość... w pewnym sensie tak... jeśli li na razie pominąć pewne drobne cienie, oczywiście w pełni uznając – ich ostateczną wagę... Nie wzbraniałbym się... uważam, że istnieją rzetelne podstawy...

– Pomyślałem – powiedział Frost – że ktoś powinien pełnić tu dyżur. On może się obudzić w każdej chwili. Nasi uczniowie, Straik i Studdock, mogliby dyżurować na zmianę. Nie ma przecież powodu, aby ich nie wykorzystać już teraz, przed ich pełnym wtajemniczeniem. Oczywiście cie dostaną polecenie, by zadzwonić do nas, gdyby coś się wydarzyło.

– Myślisz, że ten... ee... Studdock jest już na takim etapie?

– To nie ma znaczenia. W czym może zaszkodzić? Nie będzie mógł stąd wyjść. Potrzebujemy tylko kogoś, kto będzie czuwał. To będzie pożyteczny sprawdzian.

\* \* \*

MacPhee, który właśnie zaprzeczał zarówno Ransomowi, jak i głowie Alcasana, używając obosiecznego argumentu, który we śnie nie wydawał się nie do odparcia, ale którego nigdy później nie mógł sobie przypomnieć, został gwałtownie obudzony przez kogoś, kto potrząsał go za ramiona.

Nagle zdał sobie sprawę, że przemarzł, a lewa noga całkiem mu zdrętwiała. Potem ujrzał przed sobą twarz Dennistona. Wydawało mu się, że w zmywalni jest pełno ludzi. Byli tam również Dimble i Jane. Wszyscy troje byli mokrzy, ubłoceni i obszarpani.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Denniston. – Próbowałem cię obudzić przez kilka minut.

MacPhee przełknął parę razy ślinę i zwilżył wargi językiem.

– Czy dobrze się czuję? – powtórzył. – Tak, nic mi nie jest. – Wyprostował się. – Tu był jakiś... ee... człowiek.

– Jaki człowiek? – zapytał Dimble.

– No... jeśli o to chodzi... Nie jest to takie łatwe... Prawdę mówiąc, zasnąłem, kiedy z nim rozmawiałem. Nie mogę sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy.

Tamci wymienili spojrzenia. MacPhee lubił sobie wypić trochę gorącego grogu z whisky w zimowe wieczory, ale znany był z trzeźwego umysłu. Jeszcze nigdy nie widzieli go w takim stanie.

Nagle zerwał się na nogi.

– Wielki Boże! – zawołał. – Przecież on... zaczął rozmawiać z Przewodniczącym. Szybko!

Musimy przeszukać dom i ogród! To jakiś oszust albo szpieg. Już wiem, co się ze mną stało.

Zostałem zahipnotyzowany. Był też jakiś koń. Pamiętam!

Ten ostatni szczegół wywarł na słuchaczach natychmiastowy skutek. Denniston skoczył do drzwi kuchni, otworzył je i wszyscy wpadli do środka. W ciemnoczerwonym śnie wietle dogasającego ognia na kominku majaczyły jakieś niewyraźne kształty, a kiedy Denniston znalazł kontakt i zapalił światło, ujrzeli cztery kobiety siedzące przy stole. Wszystkie były pogrążone w głębokim śnie. Spał gawron, usadowiony na oparciu pustego krzesła. Spał Pan Bultitude, przytulony do kominka, pochrapując cicho jak dziecko, co dziwnie kontrastowało z jego wielkim brzuchem. Pani Dimble, skrzyżowana w niezbyt wygodnej pozycji, spała z głową złożoną na stole; na jej kolanach wciąż leżała zacerowana do połowy skarpetka. Dimble spojrzał na nią z owym nieuleczalnym wzruszeniem, z jakim mężczyźni patrzą zwykle na śpiących, a zwłaszcza na żony. Camilla skuliła się z wdziękiem na krześle na

biegunach, jak zwierzę przywykłe do spania gdziekolwiek. Pani Maggs spała z otwartymi ustami, a Grace Ironwood, wyprostowana jakby nie spała, zwiesiła lekko głowę na bok, sprawiając wrażenie osoby cierpliwie znoszącej poniżenie nieświadomości.

– Nic im nie jest – powiedział MacPhee. – Zrobił im to samo, co mnie. Nie mamy czasu, żeby je budzić. Idziemy dalej.

Przeszli z kuchni do korytarza wyłożonego kamiennymi płytami. Po nocnych utarczkach z wiatrem i deszczem panująca w domu cisza zdawała się doskonała. Światła, które zapalali, ujawniały po kolei pokoje i korytarze, puste i jakby opuszczone, jak zwykle wygląda dom o północy – wygasłe kominki, wieczorna gazeta na sofie, zegar, który stanął. Nie spodziewali się jednak znaleźć kogoś na parterze.

– Teraz na górę – powiedział Dimble.

– Tam jest światło – zauważyła Jane, gdy stanęli u stóp schodów.

– Pewnie sami je zapaliliśmy z korytarza – powiedział Dimble.

– Nie wydaje mi się – powiedział Denniston.

– Przepraszam – zwrócił się Dimble do MacPheego – ale myślę, że powinienem pójść pierwszy.

Do pierwszego podestu schodów szli w ciemnościach, potem padło na nich światło z pierwszego piętra. Z dwu następnych podestów schody skręcały pod kątem prostym, więc zanim doszli do drugiego, nie widzieli holu na piętrze. Jane i Denniston, którzy szli na końcu, ujrzeli, jak MacPhee i Dimble zatrzymali się gwałtownie na drugim podeście. Ich twarze widziane z proflu były oświetlone, a tyły głów pogrążone w ciemności. MacPhee zacisnął szczęki, miał wojowniczą, choć nieco przestraszoną minę. Dimble zamarł z otwartymi ustami. Jane pokonując opór mięśni, podbiegła do nich po stopniach i zobaczyła to, co oni widzieli.

A tam, za balustradą, ujrzeli dwóch mężczyzn w powłóczyстых szatach. W jednym, ubranym w niebieską szatę, Jane z trudem rozpoznała Przewodniczącego. Te dwie postacie, jedna w czerwonej, druga w niebieskiej szacie, miały ze sobą coś bardzo wspólnego, coś, co sprawiło, iż przez chwilę pomyślała, że to znowu koszmar senny... Ale co właściwie wiedziała o tym Przewodniczącym, który zwabił ją do tego domu, skłonił do tego, by się niła, i właśnie tego wieczoru nauczył bać się piekła? Oto stali tam obaj, rozmawiając o tajemnych sprawach i robiąc coś, co mogą robić w takim domu ludzie tacy jak oni po uszu pienia jego mieszkańców. Człowiek odkopany z głębin czasu i człowiek, który powrócił z przestrzeni kosmicznej... I jeden z nich mówił im, że ten drugi to wróg, a teraz, zaledwie się spotkali, działali ręką w rękę, zdążając w jednym kierunku jak dwie krople rtęci. Przez cały czas prawie nie patrzyła na przybysza. Przewodniczący pozbył się laski, po raz pierwszy widział ją tak wyprostowanego i nieruchomego. Światło padało na jego brodę, rozświetlając ją jak aureolę, a szczyt głowy też jarzył się złotem. I nagle, gdy te myśli przebiegały jej przez głowę, zdała sobie sprawę, że patrzy prosto w oczy przybysza. Dopiero po chwili zauważyła jego wzrost. To był olbrzym. A ci dwaj mężczyźni byli sprzymierzeńcami. A przybysz coś mówił i wskazywał na nią palcem.

Jane nie rozumiała jego słów. Zrozumiał je Dimble, choć był to dla niego dość dziwny rodzaj łączyny.

– Panie – mówił Merhn – masz w swoim domu najbardziej fałszywą kobietę spośród tych, jakie żyją w tych czasach.

A Dimble usłyszał, jak Przewodniczący odpowiada w tym samym języku:

– Panie, mylisz się. Jest bez wątpienia grzesznikiem, jak my wszyscy, lecz jest kobietą cnotliwą.

– Panie – rzekł Merlin – wiem dobrze, że ta kobieta uczyniła w Logresie coś, z czego narodziło

się więcej smutku niż z ciosu, jaki zadał Balinus. Albowiem z woli Bożej ona i jej pan mieli spłodzić dziecię, przez które wrogowie zostaliby wypędzeni z Logresu na tysiąc lat.

– Niedawno została poślubiona – powiedział Ransom. – To dziecię może się jeszcze narodzić.

– Zapewniam cię, panie – rzekł Merlin – iż to dziecię nigdy się nie narodzi, czas jego spłodzenia bowiem minął. Ze swojej własnej woli są bezpłodni. Nie wiedziałem, aż do tej chwili, że nędzne obyczaje Sulvy są wśród was tak powszechne. Przez sto pokoleń w dwu liniach przygotowywano narodziny tego dziecięcia i jeśli Bóg nie odnowi pracy czasu, to nasienie i ta godzina nigdy już się nie powtórzą.

– Już dosyć zostało powiedziane – odparł Ransom. – Ta kobieta zauważyła, że o niej mówimy.

– Byłoby czynem wielce słusznym i zbawiennym – powiedział Merlin – gdybyś rozkazał odciąć jej głowę, albowiem samo patrzenie na nią sprawia mi mękę.

Jane знаła trochę łacinę, ale nie zrozumiała nic z tej wymiany zdań. Akcent był bardzo dziwny, a stary druid używał słownictwa, z którym nigdy się nie spotkała. Była to łacina człowieka uznającego za swoich mistrzów Apulejusza i Martianusa Capellę, język, którego wytworność przywołała na myśl wskazania zawarte w dziele *Hisperica famina*. Dimble zrozumiał jednak, co Merlin powiedział, więc pociągnął Jane za siebie i zawołał:

– Ransom! Powiedz nam, na Boga, co to wszystko znaczy?

Merlin znowu przemówił po łacinie i Ransom już miał mu odpowiedzieć, gdy Dimble mu przerwał.

– Odpowiedz nam! Co tu się wydarzyło? Dlaczego nosisz taki strój? Co cię łączy z tym krwiożerczym starcem?

MacPhee znał łacinę jeszcze gorzej niż Jane, ale przez cały czas wpatrywał się w Merlina jak rozwścieczony terier na nowofundlandczyka, który wtargnął do jego ogrodu. Teraz włączył się do rozmowy.

– Doktorze Ransom! Nie wiem, kim jest ten wielkolud, i nie jestem łacinnikiem. Wiem jednak, że pozwoliłeś, aby mnie zahipnotyzowano i wbrew mej woli trzymano w uśpieniu przez całą noc.

Z przykrością widzę cię wystrojonego jak do pantomimy i stojącego ramię w ramię z tym joginem, szamanem czy kapłanem, czy kim tam on naprawdę jest. I niech on nie patrzy na mnie w taki sposób, powiedz mu to. Wcale się go nie boję. I jeśli chodzi o moje życie i o moje członki... wiedz, doktorze Ransom, że jeśli zamierzasz zmienić szeregi po tym wszystkim, co się wydarzyło i jeszcze wydarzy, to ja przynajmniej nie dbam ani o jedno, ani o drugie. Mogę zginąć, ale nie dam się ogłupić. Czekaemy na wyjaśnienia.

Przewodniczący patrzył na nich w milczeniu przez jakiś czas.

– Czy naprawdę musiało do tego dojść? – zapytał w końcu. – Czy nikt z was mi nie ufa?

– Ja ci ufam, panie – powiedziała nagle Jane.

– Odwoływanie się do namiętności i emocji – odezwał się Mac-Phee – nic nie da. Ja też mógłbym się nagle rozplakać, gdybym tylko zechciał.

– No cóż – rzekł Przewodniczący po chwili milczenia – usprawiedliwia was to, że wszyscy się myliliśmy. Mylił się też nasz przeciwnik. Ten człowiek to Merlinus Ambrosius. Sądził, że gdy powróci, stanie po ich stronie. A jest po naszej stronie. Ty, Dimble, powinieneś wiedzieć, że zawsze było to możliwe.

– To prawda – przyznał Dimble. – W każdym razie, jak sądzę, tak mogło być... bo teraz... widząc, co się dzieje... No i ta jego krwiożerczość...

– Ja sam jestem tym zaskoczony – powiedział Ransom. – Ale ostatecznie nie mamy prawa oczekiwać, by jego kodeks karny przypominał ten z dziewiętnastego wieku. Mam też duże trudności z

wyjaśnieniem mu, że nie jestem monarchą absolutnym.

– Czy on... czy on jest chrześcijaninem? – zapytał Dimble.

– Tak. A jeśli chodzi o mój strój, to musiałem włożyć szatę odpowiadającą mojemu urzędowi, aby wyrazić mu swój szacunek, no i byłem trochę zawstydzony. Wziął mnie i MacPheego za służących albo stajennych. Za jego czasów ludzie na ogół nie chodzili w szarych, bezkształtnych workach.

W tym momencie Merlin znowu przemówił. Dimble i Przewodniczący, jako jedyni, którzy go rozumieli, usłyszeli, jak powiedział:

– Kim są ci ludzie? Jeśli to twoi niewolnicy, to dlaczego nie okazują ci należytego szacunku? A jeśli to wrogowie, dlaczego ich nie uśmiercisz?

– To moi przyjaciele... – zaczął Ransom po łacinie, ale przerwał mu MacPhee:

– Czy mam rozumieć, doktorze Ransom, że prosisz nas, abyśmy przyjęli tę osobę do naszej organizacji?

– Obawiam się – odrzekł Przewodniczący – że nie można tego tak ująć. On jest członkiem naszej organizacji. A ja muszę wam rozkazać, abyście go zaakceptowali.

– Czy jego referencje zostały zbadane?

– Z pozytywnym skutkiem. Mam do niego takie samo zaufanie jak do was.

– Na jakiej podstawie? – nalegał MacPhee. – Możemy to usłyszeć?

– Nie byłoby łatwo wyjaśnić wam powody, dla których ufam Merlinowi Ambrosiusowi. W każdym razie wcale nie łatwiej, niż wyjaśnić jemu, dlaczego ufam wam, mimo pewnych zewnętrznych pozorów, które mogą być źle rozumiane.

"Wokół jego ust pojawił się cień uśmiechu. Potem Merlin znowu przemówił do niego po łacinie, a on odpowiedział. Wówczas Merlin zwrócił się do Dimble'a.

– Pendragon mówi mi – zaczął swoim obojętnym tonem – że oskarżasz mnie o okrucieństwo i brak serca. To zarzut, jaki mnie jeszcze nigdy nie spotkał. Trzecią część mego majątku oddałem wdowom i biedakom. Nigdy nie szukałem śmierci dla nikogo, prócz złoczyńców i ciemnych Saksonów. Co do tej kobiety, to jeśli o mnie chodzi, może sobie żyć. Nie jestem panem tego domu.

Ale cóż by się takiego stało, gdyby odcięto jej głowę? Czyż królowe i szlachetne damy, które z pewnością nie wzięłyby jej nawet na służbę, nie ginęły na stosie za o wiele bardziej błahych przewinienia? I nawet tego szubienicznika [*cruciarus*] obok ciebie – tak, mówię o tobie, człowieku, chociaż mówisz tylko tym swoim barbarzyńskim językiem, ty z twarzą jak zsiadłe mleko i głosem jak piła rżnąca twardy pień, z nogami jak żuraw – nawet tego rzeźmieszka [*sectorzonarius*]... chociaż z chęcią zaprowadziłbym go do stróżówki, to jednak zarzuciłbym mu sznur na plecy, a nie na szyję.

MacPhee, który nie rozumiał tych słów, ale wyczuwał, że to on jest obiektem niezbyt przychylnych komentarzy, stał, przysłuchując się mu z miną człowieka czekającego na wyrok, którą częściej się widzi na twarzach mieszkańców Irlandii Północnej i Szkocji niż na twarzach Anglików.

– Panie Przewodniczący – powiedział, gdy Merlin skończył – byłbym bardzo zobowiązany, gdyby...

– Dość tego – przerwał mu nagle Ransom. – Nikt z nas nie spał jeszcze tej nocy. Arthurze, czy mógłbyś pójść i rozpaść dla naszego gościa ogień na kominku w tym dużym pokoju północnym? I niech ktoś obudzi kobiety. Powiedźcie im, żeby mu przyniosły coś do jedzenia i picia. Butelkę burgunda i coś na zimno. A potem – wszyscy do łóżek. Nie musimy zrywać się wcześniej.

Wszystko będzie dobrze.

\* \* \*



– Chyba będziemy mieć trochę kłopotów z naszym nowym kolegą – powiedział Dimble do żony następnego popołudnia. Byli sami w swoim pokoju w St Annes.

– Tak... – dodał po chwili. – Z naszym... hmm... dość wymagającym kolegą.

– Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Cecilu – powiedziała pani Dimble.

– Tak, to była raczej wyczerpująca narada. On jest... trochę męczący. Och, wiem, że wyszliśmy na głupców. Wszyscy sobie wyobrażaliśmy, że skoro powraca do dwudziestego wieku, będzie się zachowywał jak my. Czas jest po prostu o wiele ważniejszym czynnikiem, niż nam się wydawało.

– Czułam to samo podczas lunchu. To gł upio nie zdawać sobie sprawy z tego, że nie będzie potrafił posługiwać się widelcem. Ale to, co zaskoczyło mnie jeszcze bardziej po pierwszym szoku, to... jak... no, jak elegancko obywatel się bez widelca. No wiesz, chodzi mi o to, że nie wyglądało to wcale, jakby nie miał dobrych manier, tylko jakby miał inne maniery.

– Och, starszerek jest na swój sposób dżentelmenem.. To widać. Ale... no, nie wiem.. Chyba jest w porządku.

– Jak przebiegła narada?

– Cóż, musieliśmy mu wszystko tłumaczyć. Z trudem zrozumiał, że Ransom nie jest królem tego kraju i nie próbuje nim zostać. A potem musieliśmy w końcu wyznać, że nie jesteśmy Brytami, lecz Anglikami, a więc, według niego, Saksonami. Dość długo nie mógł się z tym pogodzić.

– Rozumiem.

– A później MacPhee musiał wybrać stosowny moment, żeby mu wyjaśnić stosunki między Szkocją, Irlandią i Anglią. Wszystko to trzeba było, rzecz jasna, tłumaczyć. Jak wielu ludzi, MacPhee wyobraża sobie, że Merlin jest Celtem, choć w rzeczywistości, poza imieniem, nie jest nim bardziej niż Pan Bultitude. A propos, Merlinus Ambrosius wygłosił prorocstwo o Panu Bultitude.

– Och! Co powiedział?

– Powiedział, że przed Bożym Narodzeniem ten miś dokona najwspanialszego wyczynu, jakiego nie dokonał jeszcze żaden niedźwiedź w Brytanii poza jednym, o którym nikt z nas nie słyszał.

Wciąż coś takiego wtrąca, kiedy mówimy o zupełnie innych sprawach, i wypowiada to całkiem innym głosem. Jakby niezależnie od swojej woli. I jakby nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co mówi.

Jakby coś w rodzaju migawki otwierał o się w jego mózgu i natychmiast zamykało. Trudno się do tego przyzwyczaić.

– Czy nie kłócili się znowu, on i MacPhee?

– Raczej nie. Według mnie, Merlinus Ambrosius nie traktuje MacPheego poważnie. Jak wiesz, MacPhee ma skłonność do zaprzeczania wszystkiemu, i to w dość bezceremonialny sposób, więc Merlinus doszedł chyba do wniosku, że jest on błaznem Przewodniczącego. I chyba go już polubił.

Natomiast nie sądzę, by MacPhee polubił Merlinusa.

– Czy w końcu doszliście do omówienia aktualnej sytuacji?

– Jak by to powiedzieć ... – Dimble zmarszczył czoło. – W pewnym sensie. Tylko że wciąż były nieporozumienia. Wynikła sprawa męża Ivy, no wiesz... który jest w więzieniu. Merlinus natychmiast oświadczył, że najprościej będzie wziąć więzienie szturmem. Wciąż mówi takie rzeczy.

– Cecilu – powiedziała nagle pani Dimble – czy sądzisz, że będzie z niego jakiś pożytek?

– Wydaje się, że jest w stanie wiele zrobić, jeśli o to ci chodziło. W tym sensie jest bardziej groźny, będąc bardziej użyteczny.

– Ale co konkretnie? – spytała jego żona.

– Wszechświat jest tak skomplikowany – zauważył nieoczekiwanie doktor Dimble.

– To powtarzasz dość często, kochanie.

– Tak? – Uśmiechnął się. – Ciekawe, jak często? Tak samo często jak ty opowiadasz tę historyjkę o kucyku i pułapce w Dawlish?

– Cecil! Nie opowiadałam jej od lat!

– Moja droga, słyszałem, jak przedwczoraj wieczorem opowiadałaś ją Camilli.

– Och, Camilii! To zupełnie co innego. Ona jej nigdy przedtem nie słyszała.

– Nie wiem, czy możemy być pewni nawet tego, że... że wszechświat jest tak skomplikowany.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Ale co z Merlinem? – zapytała w końcu pani Dimble.

– Czy nie zauważyłaś, że wszechświat, a nawet każda jego cząstka, wciąż jakby skupia się, zawęża, staje jednym punktem?

Jego żona czekała w milczeniu jak ktoś, kto na podstawie długiego doświadczenia dobrze zna procesy zachodzące w umyśle swojego rozmówcy.

– Chodzi mi o to – rzekł doktor Dimble, odpowiadając na pytanie, którego nie zadała – że jeśli człowiek poszpera w jakimś kolegium uniwersyteckim albo szkole, albo parafii, w czymkolwiek, w danym punkcie historii zawsze stwierdza, że przed tym punktem był czas, gdy było więcej swobody wyboru, kiedy kontrasty nie były tak ostre. I przeciwnie: że po tym punkcie nadejdzie czas, gdy wyboru trzeba będzie dokonywać o wiele szybciej, gdy będzie coraz trudniej się wahać, pozostawać na uboczu. Dobro wciąż staje się lepsze, a zło wciąż staje się gorsze. Możliwości zachowania neutralności coraz bardziej się kurczą. Wszystko polega na tym, by wciąż dokonywać swojego wyodrębnienia z czasu, by stawiać sprawy coraz ostrzej, coraz twardziej, aby sobie nie pobłażać. Jak w tym wierszu o niebie i piekle zmierzających do szczęśliwego Śródziemia z obu stron... Jak to brzmiało? Coś o „pożeraniu każdego dnia”... „aż wszystko się przemieni”?

„Zaniknie”? Bo nie „zostanie pożarte”, to by nie pasowało. Pamięć coraz bardziej ostatnio mnie zawodzi. Znasz ten wiersz, Margery?

– To, co mówiłeś, bardziej mi przypominało ten urywek z Biblii o przewiewaniu zboża. O oddzielaniu ziarna od plew. Albo jak u Browninga: „Życie to tylko sprawa strasznego wyboru”.

– Właśnie! Ale nie tylko w sensie moralnego wyboru. Wszystko coraz bardziej się różnicuje.

Ewolucja to nic innego jak coraz więk sze zróżnicowanie między gatunkami. Umysły stają się coraz bardziej uduchowione, materia coraz bardziej materialna. Nawet w literaturze – poezja i proza coraz bardziej oddalają się od siebie.

Pani Dimble, nauczona długoletnim doświadczeniem współżycia ze swoim mężem, szybko oddaliła zagrożenie sprowadzenia rozmowy na tematy czysto literackie.

– Tak – powiedziała. – Duch i materia, oczywiście. To wyjaśnia, dlaczego takim ludziom jak Studdockowie tak trudno o szczęście w małżeństwie.

– Studdockowie? – powtórzy! Dimble, patrząc na nią z lekkim roztargnieniem. Domowe problemy tej młodej pary interesowały go o wiele mniej niż jego żonę. – Ach, rozumiem. Tak, to chyba ma coś z tym wspólnego. Ale wróćmy do Merlina. A z tego wszystkiego moż na wysnuć następujące wnioski. Człowiek z jego epoki miał pewne prerogatywy, których my dzisiaj nie mamy. Sama Ziemia bardziej przypominała zwierzę, a procesy mentalne bardziej przypominały y działania fizyczne. No i byli wszędzie... jak by to nazwać... obojętni...

– Obojętni?...

– Nie chcę przez to powiedzieć, że może być coś naprawdę neutralnego. Byt obdarzony świadomością albo jest posłuszny Bogu, albo Mu się sprzeciwia. Mogą być jednak istoty neutralne wobec nas.

– Masz na myśli eldile... anioły?

– No cóż, słowo anioł jest zbyt ogólnikowe. Myślę o czymś innym. Nawet *Oyeresu* nie są aniołami w takim sensie jak nasi aniołowie stróże. Z formalnego punktu widzenia są Inteligencjami.

Rzecz w tym, że jeśli przy końcu świata stanie się jasne, który z eldilów jest aniołem, a który diabłem, i nawet jeśli dzisiaj potrafimy już dokonać takiej oceny, to nie był o to takie jasne w czasach Merlina. Na Ziemi istniały stworzenia zajmujące się tylko swoimi sprawami. Nie były ani duchami służebnymi, posłanymi, aby pomóc ludziom, ani wrogami próbującymi nam szkodzić...

Nawet u świętego Pawła można znaleźć odniesienia do istot, które nie pasują do naszych dwóch kolumn aniołów i diabłów. A jeśli się jeszcze bardziej cofniemy w czasie... Wszyscy ci bogowie... elfy, karły, wodniki i nimfy, *fate, longa-evi*... [Zob. CS. Lewis, *Odrzucony obraz*, rozdz. III i VI.] Ty i ja wiemy zbyt wiele, aby sądzić, że to tylko iluzje.

– Myślisz, że takie byty istnieją?

– Myślę, że istniały. Myślę, że wówczas było dla nich miejsce. Później wszechświat „wyostrzył się”... jakby skupił w sobie... Ale chyba nie wszystkie stworzenia rozumne. Niektóre zakorzeniły się w materii, półświadome, bardziej zdane na swą wolę niż umysł. Bardziej podobne do zwierząt.

Inne... zresztą naprawdę nie wiem. W każdym razie chodzi o sytuację, w której ma się do czynienia z kimś takim jak Merlin.

– To brzmi trochę strasznie.

– To było trochę straszne. Nawet za czasów Merlina... a pojawił się on już pod sam koniec epoki tych istot... chociaż można było wykorzystywać ten rodzaj życia do niewinnych celów, nie było to wcale bezpieczne. Te stworzenia nie były złe same w sobie, były złe dla nas. One... wypalały człowieka, który miał z nimi do czynienia. I nie było w tym ich złej woli. Nic na to nie mogły poradzić. Merlinus jest obumarły, wypalony. Jest bardzo pobożny, pokorny i tak dalej, ale coś mu zabrano. Ten jego spokój jest jakiś martwy, jak spokój opuszczonego, ogołoczonego budynku. To skutek otwarcia się wiadomości na coś, co trochę za bardzo poszerza środowisko, w którym się żyje. Jak poligamia. To nie było złe dla Abrahama, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że nawet on coś na tym stracił.

– Cecilu, czy sądzisz, że Przewodniczący dobrze robi, korzystając z pomocy takiego człowieka?

Czy to nie jest trochę tak, jakbyśmy chcieli zwyciężyć Belbury, posługując się ich bronią?

– Nie. Przemyślałem to. Merlin jest odwrotnością cią Belbury. Jest po zupełnie przeciwnej stronie.

On jest reliktem pewnego starego porządku, w którym materia i duch były pomieszane, przynajmniej z naszego punktu widzenia. Dla niego każde działanie wobec przyrody jest rodzajem osobowego kontaktu, jak łagodne perswadowanie czegoś dziecku albo pogłaskanie konia. Po nim przyszedł nowoczesny człowiek, dla którego przyroda jest czymś w rodzaju maszyny do pracy, którą można roztrzaskać, jeśli nie pracuje tak, jak on chce. A w końcu pojawili się ludzie z Belbury, zachowujący ten punkt widzenia, lecz pragnący dla swych celów zwiększyć moc przyrody przez wykorzystanie potęgi duchów, pozanaturalnych, antynaturalnych duchów. Mają nadzieję, że uda im się pogodzić te dwa porządki. Sądzą, że prastara magia Merlina, współpracująca z duchowymi pierwiastkami natury, przesycona miłością i szacunkiem do nich, znająca je od wewnątrz, może zostać połączona z nową *goeteia*, [*Goeteia* – tak w czasach Renesansu nazywano „czarną magię” w odróżnieniu od „białej magii”.] z brutalną ingerencją z zewnątrz, z czymś w rodzaju chirurgicznej operacji. Nie. W pewnym sensie Merlin reprezentuje coś, co musimy przywrócić w inny sposób.

Czy wiesz, że zgodnie z prawami jego zakonu nie wolno używać żadnego ostrego narzędzia wobec czegokolwiek, co rośnie?

– Wielki Boże! – zawołała pani Dimble. – Już szósta! Obiecałam Ivy, że będę w kuchni kwadrans temu. Ale ty nie musisz się ruszać, Cecilu.

– Wiesz co? Myślę, że jesteś cudowną kobietą.

– Dlaczego?

– Ile kobiet, które przez trzydzieści lat miało własny dom, potrafiłoby tak szybko przystosować się do zamieszkania w tej menażerii tak jak ty?

– Ja to nic. Przecież Ivy też miała swój dom. I jej jest o wiele trudniej. W końcu mój mąż nie siedzi w więzieniu.

– Ale szybko może do niego trafić, jeśli choć połowa z planów Merlinusa Ambrosiusa zostanie wcielona w życie.

\* \* \*

W tym samym czasie Merlin i Ransom rozmawiali w Niebieskim Pokoju. Ransom zdjął szatę oraz diadem i położył się na sofie. Druid zasiadł w fotelu naprzeciw niego, nie krzyżując nóg, z wielkimi bladymi rękami spoczywającymi nieruchomo na kolanach, co przywodziło na myśl konwencjonalny posąg jakiegoś króla. Wciąż miał na sobie czerwoną szatę, lecz pod nią zaskakująco niewiele, ponieważ ciepło panujące w domu wydawało mu się nadmierne, a w spodniach nie czuł się najlepiej. Jego głośnie narzekania na brak oliwy po kąpieli spowodowały w końcu pospieszną wyprawę do sklepu we wsi, skąd za radą Dennistona przyniesiono puszkę brylantyny. Merlinus użył jej rozrzutnie, tak że włosy i broda mu błyszczały, a pokój wypełniał słodki, duszący zapach. Być może dlatego Pan Bultitude tak długo drapał w drzwi, aż w końcu wpuszczono go do środka, a teraz siedział tak blisko maga, jak tylko mógł, z rozedrganymi nozdrzami. Jeszcze nigdy nie wahał tak ciekawego człowieka.

– Panie – odrzekł Merlin na pytanie Przewodniczącego – składam ci moje najszczerze dzięki.

Trudno mi, co prawda, zrozumieć twój sposób życia, a twój dom wydaje mi się dość dziwnym domostwem. Przygotowałaś mi kąpiel godną samego cesarza, lecz nikt mi podczas niej nie usługiwał. Łoże jest bardziej miękkie niż sam sen, lecz gdy wstałem, musiałem sam się przyodziać, jakbym był wieśniakiem. W mojej komnacie są okna z najczystszej krysztalu, tak że widzę niebo równie jasno, kiedy są zamknięte, jak wówczas, gdy są otwarte, i nie ma w niej przeciągu, który by zgasił nieosłonięty knot, lecz muszę w niej leżeć sam, jak więzień w lochu. Twój ludzie jedzą suche i pozbawione smaku mięso, lecz podawane jest ono na talerzach gładkich jak kość słoniowa i krągłych jak słońce. W całym domostwie jest tak ciepło, miękko i cicho, że przywodzi to na myśl raj ziemski, nie ma jednak kotar i ozdobnych posadzek, nie ma muzykantów, nie ma wonności, nie ma tronów, nie ma jastrzębi czy psów. Nie żyjesz ani jak bogacz, ani jak ubogi, ani jak pan, ani jak pustelnik. Mówię ci to, panie, bo mnie zapytałaś. Nie są to sprawy, którymi warto sobie zaprzętać głowę. A teraz, skoro nie słyszy nas nikt prócz tego ostatniego z siedmiu niedźwiedzi Logresu, czas na naradę.

Popatrzył bystro w twarz Przewodniczącego, a potem, jakby uderzony tym, co w niej ujrzał, wychylił się gwałtownie do przodu.

– Czy twoja rana sprawia ci ból? – zapytał. Ransom potrząsnął głową.

– Nie, to nie rana. To te straszne rzeczy, które musimy omówić. Olbrzym poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Panie – rzekł głębszym i łagodniejszym tonem – mogę odjąć niepokój z twojej stopy, jakbym wyciskał go z gąbki. Daj mi tylko siedem dni, żebym mógł wyjść i wejść, podejść i zająć, tu i tam, aby odnowić stare znajomości. Te pola i ja, te lasy i ja mamy sobie wiele do powiedzenia.

Pochylił się do przodu, tak że jego twarz i pysk niedźwiedzia znalazły się tuż obok siebie; wyglądało to tak, jakby człowieka i zwierzę łączyło jakieś tajemne, puszysto-mrukliwe porozumienie. Twarz druida miała w sobie coś dziwnie zwierzęcego: nie była zmysłowa ani dzika,

lecz pełna cierpliwej, spokojnej mądrości zwierzęcia. Natomiast na twarzy Ransoma malował się ból.

– Pewnie sądzisz, że ten kraj bardzo się zmienił – powiedział, zdobywając się na uśmiech.

– Nie – odparł Merlin. – Nie sądzę, aby się bardzo zmienił.

Coraz więcej ich dzieliło. W Merlinie było coś, co sprawiało, że chciałoby się go widzieć raczej w lesie lub na polu niż w domu. Chociaż wykąpany i namaszczony, budził skojarzenia z mchem, ze zwirom na dnie potoku, z wilgotnymi liśćmi, ze stawem porośniętym trzcinami.

– Nie zmienił się – powtórzył ledwo dosłyszalnym szeptem.

W owej pogłębiającej się wewnętrznej ciszy, której jego twarz dawała świadectwo, łatwo było uwierzyć, że wciąż wsłuchuje się w szept nieuchwytnych odgłosów: szelest przemykających myszy i gronostajów, ciche pacnięcia spadających orzechów, trzask gałązek, świrgot strumyka, samo rośnięcie trawy. Niedźwiedź zamknął oczy. Pokój coraz bardziej przesycala ciężka, wisząca w powietrzu senność.

– Dzięki mnie – rzekł Merlin – możesz wyssać z Ziemi zapomnienie wszelkiego bólu.

– Dość! – powiedział ostro Ransom.

Osuwał się na poduszki, głowa powoli opadała mu na piersi. I nagle otrząsnął się i usiadł.

Druid drgnął i też się wyprostował. Powiało świeżością. Nawet niedźwiedź otworzył oczy.

– Nie – powiedział Ransom. – Na miłość boską, czy sądzisz, że wykopano cię z głębin ziemi po to, abyś mi przyłożył plaster do rany na stopie? Mamy leki, które mogłyby przerwać ból równie skutecznie jak twoja magia. Uważam jednak, że znoszenie tego bólu do końca to moja sprawa. Nie chcę o tym więcej słyszeć. Zrozumiałeś?

– Wysłuchałem i będę posłuszny – odrzekł mag. – Nie miałem złych zamiarów. Ale moje spotkanie z polem i wodą będzie jednak potrzebne, jeśli nie do uzdrowienia twojej stopy, to do uzdrowienia Logresu. Będę musiał wejść i wyjść, tu i tam, odnawiając stare znajomości. To wszystko wcale się nie zmieniło. A w każdym razie nie w ten sposób, który ty nazwałbyś zmianą.

I znów ta słodka ociążałość, jak zapach głogu, zaczęła przesycać Niebieski Pokój.

– Nie – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem Przewodniczący. – Tego już nie można uczynić. Las i wodę opuściła już dusza. Och, śmiem wierzyć, że mógłbyś je przebudzić, ale tylko trochę. To za mało.

Burza, a nawet powódź, niewiele by wyrządziła złego naszemu obecnemu przeciwnikowi. Twój oręż złamałby ci się w rękach. Mamy bowiem przeciw sobie straszną siłę i jest tak jak za dni Nimroda, który zbudował wieżę, by dosięgnąć niebios.

– Może się ukryło – odrzekł Merlin – ale się nie zmieniło. Pozwól mi popracować, panie.

Obudzę to. Każde źdźbło trawy stanie się mieczem, który ich porani, a każda gruda ziemi trucizną dla ich stóp. Sprawię, że...

– Nie – powiedział Ransom. – Zabraniam ci o tym mówić. Nawet gdyby to było możliwe, nie byłoby zgodne z prawem. Cokolwiek z ducha mogło się jeszcze czaić w ziemi, ulotniło się piętnaście stuleci temu. Nie przemówisz do tego ani jednym słowem. Nie podniesiesz nawet małego palca, aby to przebudzić. To mój rozkaz. W naszych czasach jest to bezwzględnie zakazane. – Te słowa wypowiedział twardym, chłodnym głosem, lecz teraz nachylił się – do starca i dodał innym tonem: – To nigdy nie było zbyt zgodne z prawem, nawet za twoich dni. Pamiętaj, że kiedy po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o twoim rychłym przebudzeniu, sądziliśmy, iż staniesz po stronie wroga. A ponieważ Pan nasz czyni wszystko, co czyni, nie tyle dla wszystkich, ile dla każdego, jednym z powodów twojego przebudzenia jest zbawienie twojej własnej duszy.

Merlin opadł w fotelu, jakby pozbawiony sił. Niedźwiedź zaczął lizać jego rękę.

– Panie – powiedział cicho – jeśli nie wolno mi działać w ten sposób, to sprowadziłeś do

swego domu bezużyteczny worek mięsa, bo nie jestem już wojownikiem. Gdyby doszło do walki mieczem, niewielki byłby ze mnie pożytek.

– I to nie jest droga do zwycięstwa – odrzekł Ransom, wahając się nieco, jak człowiek, któremu trudno jest przejść do rzeczy. – Żadna ziemską potęgą nie wystarczy, aby zmierzyć się ze straszną siłą.

– A więc pozostaje nam tylko modlitwa. Lecz również i w tym.. nie zasłużyłem na wyróżnienie... Niektórzy nazywali mnie synem diabła. To kłamstwo, ale... Nie wiem, dlaczego zostałem przywrócony z powrotem do życia...

– Tak, modlitwa jest nam wszystk ich potrzebna, teraz i zawsze. Ale nie to miał em na myśli. Są jeszcze niebiańskie potęgi, stworzone moce, nie na Ziemi, ale w niebiosach.

Merlin popatrzył na niego w milczeniu.

– Wiesz dobrze, o czym mówię – ciągnął Ransom. – Czyż nie powiedziałem ci, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, że moimi panami są *Oyeresu*?

– Tak – przyznał Merlin. – Iw ten sposób poznałem, że należysz do kolegium. Czyż nie jest to nasze hasło?

– Hasło? – zdziwił się Ransom. – Nie wiedziałem o tym.

– Ale... ale jeśli nie znałeś hasła, to jak doszło do tego, że je wypowiedziałeś?

– Wypowiedziałem to zdanie, ponieważ jest prawdą.

Mag oblizał zbielełe wargi.

– Jest prawdą w tym samym znaczeniu – dodał Ransom w jakim prawdziwymi są rzeczy najbardziej oczywiste. Jest prawdą jak to, że siedzisz tutaj z moim niedźwiedziem przy boku.

Merlin wyciągnął obie ręce.

– Jesteś moim ojcem i moją matką. – Jego oczy, utkwione nieruchomo w Ransomie, były wielkie jak oczy przerażonego dziecka, ale nie wydawał się już takim olbrzymem jak wówczas, gdy Ransom ujrzał go po raz pierwszy. – Pozwól mi przemówić, bo jestem prochem w zagłębieniu twojej dłoni. Słyszałem o tym za moich dni, że byli tacy, co rozmawiali z bogami. Blaise, mój mistrz, znał kilka słów w ich języku. Lecz, ostatecznie, i oni należeli do potęg Ziemi. Nie muszę ci o tym mówić, wiesz lepiej ode mnie, panie, że najwięksi mistrzowie naszej sztuki nie spotykali się z samymi *Oyeresu*, prawdziwymi mocarzami Niebios, lecz tylko z ich ziemskimi widmami, z ich cieniami. Tylko z ziemską Wenus, z ziemskim Merkurym, nie z samą Perelandrą, nie z Viritrilbią.

To tylko...

– Nie mówiłem wcale o widmach – przerwał mu Ransom. – Stałem przed samym Marsem w sferze Marsa i przed samą Wenus w sferze Wenus. To ich moc, i moc kogoś większego od nich, zwycięży naszego wroga.

– Ależ, panie, jak to możliwe?! Czyż nie przeczy to Siódmemu Prawu?

– Co to za prawo?

– Czy nasz dobry Pan nie uczynił tego prawem nawet dla siebie, iż nie ześle Mocy, by naprawić lub zniszczyć Ziemię, dopóki nie nadejdzie koniec wszechrzeczy? A może to jest koniec?

– To może być początek końca – odrzekł Ransom. – Tego nie wiem. Maleldil mógł stworzyć prawo, by nie zsyłać na Ziemię Mocy. Lecz jeśli człowiek, dzięki swej inżynierii i filozofii przyrody, nauczył się, jak wzlecieć w niebiosa, i zjawił się, w swoim ciebie, wśród niebiańskich potęg, i zakłócił im spokój, czyż Pan zabronił im, by na to odpowiedzieli tak, jak zechcą? Bo wszystko to należy do porządku naturalnego. Oto nikczemny człowiek przybył na subtelnej maszynie tam, gdzie mieszka Mars w niebiosach i gdzie mieszka Wenus, i zabrał mnie tam bez mojej woli. Tam rozmawiałem z prawdziwymi *Oyeresu* twarzą w twarz. Rozumiesz?

Merlin pochylił głowę.

– Iw ten sposób ów niegodziwiec spowodował coś , czego wcale nie zamierzał . Jak Judasz. Bo odtąd zaistniał już jeden człowiek na świecie, którego *Oyeresu* poznali i który mówił ich językiem, i to nie dzięki boskiemu cudowi lub mocą magii Numinoru, lecz w sposób naturalny, jak dwóch ludzi spotykających się na drodze. Odtąd Siódme Prawo nie chroni już naszych wrogów.

Posługując się filozofią przyrody, przełamali barierę, której nie przełamałby Bóg własną mocą. Lecz na tym nie poprzestali i zapragnęli mieć ciebie za sojusznika, splatając bicz na samych siebie. Oto dlaczego Moce zstąpiły na Ziemię i tu, w te j komnacie, w tej, w której teraz rozmawiamy, Malakandra i Perelandra rozmawiali ze mną.

Twarz Merlina pobladła. Nie zwrócił uwagi, że niedźwiedź dotknął nosem jego dłoni.

– Stałem się mostem – rzekł Ransom.

– Panie, co teraz będzie? Jeśli okażą swą moc, zniszczą całe Śródziemie.

– Ich nagą moc... tak. Właśnie dlatego będą działać tylko poprzez człowieka.

Mag przyłożył wielką dłoń do czoła.

– Przez człowieka, którego umysł jest otwarty na takie wtargnięcie. Takiego, który już kiedyś otworzył swój umysł dobrowolnie.

Biorę naszego dobrego Pana na świadka, że nie odmówiłbym, gdyby to miało być moim zadaniem. Lecz On nie pozwoli, by umysł wciąż dziewiczy został w ten sposób zgwałcony. Ich czystość nie zechciałaby też... i zapewne nie byłaby w stanie... działać poprzez umysł kogoś , kto opanował czarną magię. Przez kogoś, kto się tylko zanurzył... i to w czasach, gdy nie było to jeszcze złem, gdy dopiero nim być zaczynało... Chrześcijanin i pokutnik... Narzędzie na tyle dobre, aby mogło zostać użyte, lecz nie nazbyt dobre. Muszę mówić jasno.

We wszystkich zachodnich krainach tego ś wiata był tylko jeden człowiek, który żył w tamtych czasach i wciąż mógł być wezwany. Ty...

Urwał, wstrząśnięty tym, co się działo. Olbrzym podniósł się z fotela. Z jego otwartych ust wydarł się jęk, który Ransomowi wydał się czysto zwierzęcy, choć był to tylko jęk prymitywnej celtyckiej lamentacji. Straszne było widzieć tę pomarszczoną, brodatą twarz całą we łzach. Cała rzymska powłoka Merlina została z niego zdarta. Stał się bezwstydnym, archaicznym monstrem, bełkocącym coś w języku przypominającym mieszaninę walijskiego i hiszpańskiego.

– Zamilknij! – zawołał Ransom. – Usiądź. Przynosisz wstyd nam obu.

Szaleństwo zakończyło się równie nagle, jak się rozpoczęło. Merlin opadł na fotel.

Współczesnemu człowiekowi może wydać się dziwne, że odzyskawszy panowanie nad sobą, druid nie okazał najmniejszego zakłopotania z powodu jego czasowej utraty. Ransom dowiedział się więcej o charakterze owego podzielonego, dwulicowego społeczeństwa, w którym ten człowiek kiedyś żył, niż gdyby przestudiował dziesiątki historycznych dzieł.

– Nie myśl – rzekł – że spotkanie z tymi, którzy tu zstąpią, aby udzielić ci swej mocy, to dziecinna igraszka.

– Panie – odpowiedział słabym głosem Merlin – ty byłeś już w niebiosach. Ja jestem tylko zwykłym człowiekiem. Nie jestem synem jednego z Powietrznych Ludzi. To był y kłamstwa. Jakże bym mógł? Ty nie jesteś taki jak ja. Patrzyłeś już w ich twarze.

– Nie widziałem wszystkich. Tym razem zstąpią duchy potężniejsze od Malakandry i Perelandry. Jesteśmy w rękach Boga. To może unicestwić nas obu. Nie obiecano, że ocalimy życie czy rozum. Nie wiem, jak ośmielimy się spojrzeć w ich twarze, ale wiem, że nie byłibyśmy godni spojrzeć w twarz Bogu, gdybyśmy odmówili udziału w tym przedsięwzięciu.

Nagle mag uderzył dłonią w kolano.

– *Mebercule!* – zawołał. – Czy nie za szybko żegnamy się z życiem? Jeśli ty jesteś Pendragonem, ja jestem członkiem Najwyższej Rady Logresu i będę ci służył radą. Jeśli Moce rozerwą mnie na strzępy, by złamać naszych wrogów, taka będzie wola Boga. Ale czy musi do tego dojść? A ten wasz saksoński król, który zasiada w Windsorze, czy on nie może nam pomóc?

– On nie ma nad tym władzy.

– Jeśli jest tak słaby, to czy nie warto go obalić?

– Nie jest to moim życzeniem. On jest królem. Koronował go i namaścił arcybiskup. W porządku Logresu mogę być Pendragonem, ale w porządku Brytanii jestem poddanym króla.

– Czyżby jego wielcy ludzie... hrabiowie, legaci i biskupi... czynili zło, podczas gdy on o tym nie wie?

– Można tak powiedzieć, choć oni nie są akurat tak wielkimi ludźmi, jakich masz na myśli.

– A my nie jesteśmy wystarczająco silni, by stawić im czoło w otwartej bitwie?

– Nasza armia to czterech mężczyzn, kilka kobiet i niedźwiedź.

– Był czas, gdy Logresem byłem tylko ja, jeszcze jeden mąż i dwóch chłopców, a jeden z nich był gburem. A jednak Zwyciężyliśmy.

– Teraz to niemożliwe. Oni mają maszynę, zwaną prasą, do oszukiwania ludzi. Zginęlibyśmy i nikt by się o tym nawet nie dowiedział.

– A prawdziwi urzędnicy? Czy oni nie mogą nam pomóc? Przecież to niemożliwe, by wasi wszyscy kapłani i biskupi byli zepsuci!

– Od twoich dni sama wiara rozpadła się na strzępy i przemawia podzielonymi głosami. A gdyby nawet chrześcijanie byli zjednoczeni, to stanowią zaledwie dziesiątą część tego ludu. Nie znajdziemy tu wsparcia.

– Szukajmy więc pomocy za morzem. Czy nie ma chrześcijańskich książąt w Neustrii lub w Irlandii, lub w Benwicku, którzy odpowiedzieliby na nasze wezwanie i pomogli nam oczyścić Anglię?

– Nie ma już żadnych chrześcijańskich książąt. Te inne kraje są takie jak Brytania, a nawet jeszcze bardziej pogrążone w chorobie.

– A więc musimy udać się do tego, do którego urzędu należy obalenie tyranów i przywracanie życia umierającym królestwom. Musimy wezwać cesarza.

– Nie ma już żadnego cesarza.

– Żadnego cesarza... – zaczął Merlin, lecz głos zamarł mu w gardle. Po długim milczeniu, gdy zmagął się ze światem, którego nigdy nie znał, rzekł: – Przyszła mi do głowy pewna myśl i nie wiem, czy jest dobra, czy zła. Skoro jednak jestem Najwyższą Radą Logresu, nie ukryję jej przed tobą. Zaprawdę, zimny jest wiek, w którym się przebudziłem. Lecz jeśli cała zachodnia część świata jest pogrążona w odstępstwie, to może będzie uprawnione w tak wielkiej potrzebie sięgnięcie jeszcze dalej... poza chrześcijański świat? Czy nie powinniśmy szukać pomocy nawet wśród pogan, tych, którzy nie są całkowicie pogrążeni w ciemności? Za moich dni opowiadano o takich: o ludziach, którzy nie znają artykułów naszej najświętszej wiary, lecz którzy oddają cześć Bogu tak, jak potrafią, i którzy uznają prawo natury. Panie, wierzę, że jesteśmy w prawie szukać pomocy nawet wśród nich... nawet poza Bizancjum. Krążyły pogłoski, że skarby prawdziwej wiedzy i mądrości, która przyszła na Zachód z Numinoru, przechowywane są na Wschodzie. W Babilonii, w Arabii albo w Kataju... Mówiłeś, że wasze statki okrążyły już całą Ziemię.

Ransom potrzęsął głową.

– Nie rozumiesz. Ta trucizna została nawarzona w krajach Zachodu, ale dziś rozlała się po całym świecie. Gdziekolwiek pójdziesz, znajdziesz maszyny, zatłoczone miasta, puste trony, fałszywe



pisma, ludzi opętanych kłamliwymi obietnicami i zgorzkniałych od prawdziwych nieszczęść, czczących stworzone własnymi rękami dzieła z żelaza, odciętych od Matki Ziemi i od Ojca w Niebie. Choćbyś zawędrował na Wschód tak daleko, że Wschód stałby się Zachodem, i powrócił do Brytanii poprzez wielki Ocean, to nigdzie nie znajdziesz ś wiatła. Cień czarnego skrzydła ogarnął cały Tellus.

– A więc nadszedł koniec? – zapytał Merlin.

– I dlatego – mówił Ransom, ignorując to pytanie – nie ma przed nami innej drogi prócz tej, o której ci powiedziałem. Ta straszna siła ściska w drapieżnej dłoni całą Ziemię. Lecz popełnili jeden błąd i nie ma już dla nich nadziei. Gdyby z wł asnej złej woli nie przełamali us więconej granicy i nie wpuścili tu niebiańskich Mocy, ich zwycięstwo byłoby tylko kwestią czasu. Ale zdradziła ich własna siła. Sięgnęli po bogów, którzy nie stanęli po ich stronie. Dlatego czeka ich śmierć. Bo chociaż szukasz szczeliny, przez którą mógłbyś się wymknąć, teraz, gdy już wiesz, że każda najmniejsza szczelina jest zamknięta, teraz będziesz mi posłuszny.

Bardzo powoli na bladą twarz Merlina powrócił dawny, niemal zwierzęcy wyraz, ziemski i zdrowy, z lekką domieszką nieco kpiącej przebiegłości. Oczy zapłonęły mu blaskiem.

– No cóż – powiedział – jeśli nora jest zasypana, lis stawia czoł o psom. Ale gdybym podczas naszego pierwszego spotkania wiedział, kim naprawdę jesteś, zesłałbym na ciebie sen, tak jak na twojego błazna.

– Trudno mi zasnąć od czasu, gdy podróżowałem po niebiosach – odpowiedział Ransom.

### *„Każde prawdziwe życie jest spotkaniem”*

[M. Buber, *Ja i Ty*, część 1, s. 45 w przekładzie J. Doktora.]

Różnica między dniem i nocą nie dawała o sobie znać w celi Marka, więc nie wiedział, czy upłynęły minuty, czy godziny, gdy Frost ponownie go obudził. Profesor przyszedł, aby go zapytać, czy przemyślał ich ostatnią rozmowę. Mark sądząc, iż pewne oznaki oporu uczynią jego ostateczną zgodę bardziej przekonującą, odpowiedział, że tylko jedno wciąż go niepokoi. Nie jest jeszcze dla niego jasne, co właściwie ludzkość i on sam w szczególności może osiągnąć, godząc się na współpracę z makrobami. Rozumie, że pobudki rządzące postępowaniem większości ludzi, nazywane przez nich szumnie patriotyzmem lub obowiązkiem wobec ludzkości, są jedynie produktami zwierzęcego organizmu, różniącymi się tylko wzorami zachowań w różnych społecznościach. Co jednak ma zmienić te irracjonalne motywy? Jakiego rodzaju będą kryteria oceny ludzkich działań?

– Jeśli już ktoś upiera się przy takim formułowaniu pytań – odrzekł Frost – to myślę, że Waddington dał na nie najlepszą odpowiedź. Kryterium oceny egzystencji jest ona sama. Jedynym kryterium oceny tendencji do zmian rozwojowych, którą nazywamy ewolucją, jest sam fakt, iż jest to ogólna cecha organizmów biologicznych. Nawiązanie kontaktu między najbardziej zaawansowanymi w rozwoju organizmami biologicznymi a makrobami nie podlega ocenie: do takiego kontaktu po prostu doszło i należy go dalej pogłębiać, ponieważ do takiego pogłębiania właśnie dochodzi.

– A więc sądzi pan, że nie ma sensu pytać, czy ogólna tendencja rozwojowa wszechświata zmierza w kierunku, który można nazwać złym?

– To absolutnie nie ma sensu. Stawiając takie pytanie, próbuje pan ocenić coś, co jest jedynie wyrazem emocji, niczym więcej. Sam Huxley, [T. H. Huxley (1825-1895), biolog, zagorzały zwolennik darwinizmu.] pisząc o tej tendencji, potrafił wyrazić jej cechy jedynie za pomocą takich czysto emocjonalnych terminów, jak „gladiatorska” czy „bezlitosna”. Nawiązuję do jego słynnego wykładu w serii odczytów zapoczątkowanych przez Romanesa. Kiedy tak zwaną walkę o egzystencję rozpatruje się po prostu jako pewien aktuarialny teoremat, mamy do czynienia, używając słów Waddingtona, z „konceptcją pozbawioną emocji i wzorcowo integralną”, co pozwala wyzwolić się z wszelkich emocji. A kiedy znikają emocje, znika również nedorzeczna idea jakiegoś zewnętrznego wzorca wartości będącego wytworem emocji.

– Ale aktualny kierunek rozwoju wydarzeń – powiedział Mark – nadal może podlegać ocenie, i w tym sensie może być „dobry”, jeśli zmierza do zaniku wszelkiego życia organicznego, jak to się obecnie dzieje, tak?

– Oczywiście, jeśli upiera się pan przy takim sformułowaniu tego problemu. W rzeczywistości jest to problem pozbawiony znaczenia. Zakłada on przyczynowo-skutkowy wzorzec myślenia, pochodzący od Arystotelesa, który dokonał po prostu hipostazy z ywiółów na kanwie doświadczeń rolniczej wspólnoty z epoki żelaza. Motywy nie są przyczynami działań, lecz ich produktami ubocznymi. Biorąc je pod uwagę, traci pan po prostu czas. Kiedy osiągnie pan prawdziwy obiektywizm, nie tylko w niektórych, ale we wszystkich motywach, rozpozna pan jedynie subiektywne epifenomeny. Pozbędzie się pan wówczas motywów i stwierdzi, że nie są już panu potrzebne. Ich miejsce zajmie coś innego, coś, co wkrótce zrozumie pan o wiele lepiej. A wówczas pańskie działania staną się bardziej skuteczne.

– Rozumiem – powiedział Mark.

Filozofia, którą Frost tu wykladał, nie była mu obca. Rozpoznał w niej logiczną konsekwencję

myśli, które sam kiedyś zawsze akceptował, a które w tym momencie nieodwołalnie odrzucił.

Odkrycie, iż jego własne założenia prowadziły do stanowiska Frosta, połączone z tym, co widział w jego twarzy, i z tym, czego sam doświadczył w tej celi, zaowocowało całkowitym nawróceniem.

Żaden filozof czy ewangelista nie odniósłby większego sukcesu.

– I właśnie dlatego – ciągnął Frost – będzie panu potrzebny systematyczny trening prowadzący do obiektywizmu. Jego celem jest eliminacja z pańskiego umysłu założeń, które do tej pory uznawał pan za podstawę swoich działań. To coś jak zatrucie nerwu. Cały system instynktownych preferencji – jakiegokolwiek przybierałby pozory: etyczne, estetyczne czy logiczne – musi po prostu zostać zniszczony.

– Chyba zaczynam to wszystko rozumieć – powiedział Mark, choć w tej chwili myśl o zniszczeniu czegokolwiek kojarzyła mu się – jedynie z instynktownym pragnieniem, by rozbić Frostowi twarz na miazgę.

Po tej rozmowie Frost wyprowadził Marka z celi i podał mu posiłek w sąsiednim pokoju, również ze sztucznym oświetleniem i pozbawionym okien. Kiedy Mark jadł, profesor stał nieruchomo, obserwując go w milczeniu. Mark nie wiedział, co je, i niezbyt mu to smakowało, ale był zbyt głodny, by odmówić, nawet jeśli odmowa byłaby możliwa. Następnie Frost zaprowadził go od razu do laboratorium przy hermetycznej kabine, w której przechowywano Głowę. Tu został ponownie rozebrany i ubrany w strój chirurga, założono mu maskę i wprowadzono do kabiny. Ku jego zaskoczeniu, Frost nie zwrócił najmniejszej uwagi na gapiącą się i śliniącą Głowę.

Poprowadził Marka przez kabinę i stanął przed małymi drzwiami zwieńczonymi łukiem. Tu zatrzymał się i rzekł:

– Wejść. Nie wolno ci nikomu powiedzieć o tym, co zobaczysz. Niedługo wrócę.

Na pierwszy rzut oka pomieszczenie w niczym nie przypominało sąsiednich. Była to pusta sala konferencyjna z długim stołem, ośmioma lub dziewięcioma krzesłami, kilkoma obrazami i (co było dość dziwne) wielką składaną drabiną w jednym rogu. Tu również nie było okien, lecz elektryczne oświetlenie dawało wyjątkowe złudzenie chłodnego, szarego popołudnia poza domem, co w połączeniu z brakiem kominka sprawiało wrażenie, że w pomieszczeniu jest zimno, choć w rzeczywistości temperatura nie była niska.

Ktoś o dobrze ukształtowanych poglądach estetycznych zauważyłby od razu, że pomieszczenie miało fatalne proporcje, może nie aż groteskowe, ale wzbudzające odrazę. Mark odczuł to bez analizowania przyczyny, a jego reakcja pogłębiała się w miarę upływu czasu. Siedząc i rozglądając się dookoła, zwrócił uwagę na drzwi i w pierwszej chwili pomyślał, że coś jest nie w porządku z jego wzrokiem. Dopiero po dłuższym czasie uznał, że nie jest to złudzenie optyczne. Stwierdził, że szczyt łuku nie znajduje się na osi, a cała konstrukcja sprawia wrażenie, jakby się lekko przechyliła.

Błąd nie był poważny, w każdym razie nie na tyle, by dostrzec go od razu; dopiero po jakimś czasie czuło się, że coś tu nie jest w porządku. Mimowolnie przechylił głowę, aby odnaleźć pozycję, z której drzwi wyglądałyby normalnie, ale po chwili odwrócił się i usiadł plecami do tych drzwi...

Nie może pozwolić, by ośwładnęła nim obsesja...

Potem zauważył plamy na suficie: niewielkie, okrągłe czarne plamy w nieregularnych odstępach na białym suficie. Nie było ich wiele... może trzydzieści... a może sto?

Postanowił, że nie wpadnie w pułapkę liczenia tych plam. Trudno byłoby je policzyć, tak nieregularnie były rozmieszczone. Ale... czy na pewno? Teraz, kiedy jego wzrok już się do nich przyzwyczaił (a trudno było nie zauważyć, że w tej małej grupie po prawej stronie jest ich na pewno pięć), wydało mu się, że układają się jednak w pewien wzór. Ich szczególna brzydota polegała

właśnie na tym, że rozmieszczenie sugerowało wzór, a potem niweczyło to oczekiwanie.

Nagle uświadomił sobie, że to jeszcze jedna pułapka. Utkwił spojrzenie w stole.

Na stole też były plamy: białe plamy. Błyszczące, białe plamy, nie całkiem okrągłe i wyraźnie ułożone w sposób odpowiadający plamom na suficie. Ale... czy a by na pewno? Nie, ależ skąd... ach, w końcu zrozumiał! Wzór (jeśli można to nazwać wzorem) plam na stole był dokładną odwrotnością wzoru plam na suficie. Z pewnymi wyjątkami. Przyłapał się na tym, że szybko przenosi wzrok ze stołu na sufit, próbując wychwycić te różnice. I po raz trzeci otrząsnął się, wstał i zaczął się przechadzać po sali. Musiał teraz przyjrzeć się obrazom.

Niektóre należały do szkoły, która nie była mu obca. Był tam portret młodej kobiety z szeroko otwartymi ustami. Wnętrze jamy ustnej w ypełniały włosy. Portret namalowano niezwykle sugestywnie, z niemal fotograficzną dokładnością, tak że „czuło się” te włosy; czuło się je nawet wówczas, gdy starało się ich nie czuć. Inny obraz przedstawiał olbrzymią modliszkę grającą na skrzypcach i pożeraną przez drugą. Był tam też mężczyzna z korkociągami zamiast ramion, kąpiący się w świetle zachodzącego słońca w płaskim morzu o ponurych barwach. Większość obrazów należała jednak do zupełnie innej szkoły. Na pierwszy rzut oka nie wyglądały zbyt ciekawie, choć Mark był nieco zaskoczony, stwierdziwszy, że dominują w nich tematy biblijne. Dopiero po dłuższej obserwacji odkrył pewne dziwne szczegóły – było coś niepokojącego w układzie stóp i palców rąk tych postaci, w połączeniu osób. Kim jest ta osoba stojąca między Chrystusem a Łazarzem? I dlaczego pod stołem Ostatniej Wieczerzy jest tyle robaków? Co oznacza to dziwne oświetlenie, jakby każdy z obrazów odtwarzał wizje doświadczone przez kogoś w stanie delirium?

Kiedy już raz sformułował te pytania, pierwotna „normalność” obrazów zaczęła przypominać złowieszczą niewinność początku koszmarnych snów. Każda fałda draperii, każdy szczegół architektury uzyskiwały ukryte znaczenie, którego nie można było uchwycić, lecz które zatruwało umysł. W porównaniu z tymi obrazami, te pierwsze, surrealistyczne, wydawały się po prostu głupie i naiwne. Dawno temu Mark czytał gdzieś o „reprezentacjach najwyższego zła, które osobie niewtajemniczonej wydają się całkiem niewinne” [G. K. Chesterton, *The Everlasting Man*, rozdz.

VI.] i zastanawiał się wówczas, o czym właściwie jest mowa. Teraz już wiedział.

Odwrócił się od obrazów i usiadł. W końcu zrozumiał. Frost wcale nie próbował doprowadzić go do obłąd, a w każdym razie nie w tym sensie, w jakim Mark rozumiał dotychczas słowo obłąd.

Siedzenie w tym pokoju miało być pierwszym krokiem do tego, co Frost nazywał obiektywizmem – procesem, w którym wszystkie specyficznie ludzkie reakcje miały zostać w człowieku wytępione, tak aby zaczął odpowiadać towarzystwu wybrednych makrobów. Później bez wątpienia nastąpią wyższe stopnie owego ascetyzmu anty natury: jedzenie wzbudzających wstręt potraw, taplanie się w brudzie i krwi, rytualne spełnianie wymyślnych perwersji. W pewnym sensie byli wobec niego uczciwi – proponowali mu wtajemniczenie, przez które sami przeszli i które oddzieliło ich od reszty ludzkości, rozdymając i rozmywając Withera w bezkształtną ruinę człowieka, a skupiając i wyostrzając Frosta w twardą, lśniącą igiełkę, jaką się stał.

Po upływie godziny ów długi, wysoki pokój przywodzący na myśl I trumnę, zaczął jednak wywierać na Marku wrażenie, którego jego instruktor prawdopodobnie nie przewidział. Nie powtórzył się już atak, który przeżył w nocy, siedząc samotnie w celi. Czy to dlatego, że zdołał się oprzeć temu atakowi, czy dlatego, iż poczucie bliskości śmierci wyostrzyło jego od dawna wyczuwaną tęsknotę za tajemnicą, a może dlatego, że tak rozpaczliwie (w pewien sposób) błagał o pomoc, ujawniająca się w samej strukturze tego pomieszczenia i w wiszących na ścianach obrazach perwersja wyczuliła go – i to w najwyższym stopniu, jakiego nigdy dotąd nie zaznał – na coś zupełnie odwrotnego. Podobnie jak najpierw pustynia uczy człowieka kochać wodę lub jak nieobecność

jakiejs osoby ujawnia prawdziwe do niej uczucie, w atmosferze goryczy i pokrętnych zaprzeczeń narodziła się w nim wizja czegoś prostego i miłego. Coś innego – coś, co bez zastanowienia nazwał „normalnością” – z całą pewnością istniało. Nigdy przedtem o tym nie myślał.

Teraz wiedział, że to istnieje: solidne, masywne, jak coś, co można dotknąć czy zjeść, w czym można się zakochać. Wszystko to wiązało się w jakiś sposób z Jane, z sadzonymi jajkami, z mydłem, promieniami słońca, gawronami kraczącymi w Cure Hardy, z myślą, że gdzieś na zewnątrz w tym samym momencie jest dzień. Nie myślał o tym w kategoriach moralnych, ale też (co w końcu oznacza prawie to samo) przeżywał swoje pierwsze głębokie doświadczenie moralne.

Dokonywał wyboru: stawał po stronie „normalności”. Wybrał „to wszystko”, jak to sobie teraz nazwał. Jeśli światopogląd naukowy prowadzi do wyzbycia się „tego wszystkiego”, to do diabła ze światopoglądem naukowym! Zachłysnął się gwałtownością tego wyboru: czegoś takiego jeszcze nigdy nie doznał. Przestało go w ogóle obchodzić, czy Frost i Wither go zabiją.

Trudno powiedzieć, jak długo to trwało, ale w samym środku owego zupełnie nowego przeżycia wrócił Frost. Zaprowadził Marka do innego pokoju, w który rym na kominku płonął ogień, a na ustawionym pośrodku łożu leżał jakiś starzec. Na srebrnej zastawie i szklach migotały świetlne refleksy. Mark był tak mile oczarowany łagodną wytwornością tego pokoju, że z trudem docierały do niego słowa Frosta, który mu oznajmił, że musi tu pozostać i zadzwonić do wicedyrektora, gdy tylko pacjent poruszy się lub przemówi. Nie powinien z nim roz mawiać, zresztą starzec i tak nie rozumie po angielsku.

Po odejściu profesora Mark rozejrzał się po pokoju. Nabral pewności siebie, był zdecydowany na wszystko. Stracił już nadzieję na opuszczenie Belbury, skoro postanowił, że nie zostanie wyzbytym człowieczeństwa sługą makrobów. Nieważne, co się z nim stanie. Przede wszystkim trzeba coś zjeść. Na stole było mnóstwo różnych przysmaków. A może najpierw zapalić, oparłszy stopy o kratę kominka?

– Psiakrew! – zaklął, gdy włożył rękę do kieszeni i stwierdził, że jest pusta. W tym samym momencie zauważył, że pacjent otworzył oczy i patrzy na niego.

– Przepraszam – powiedział Mark. – Nie chciałem... Mężczyzna usiadł i wskazał głową na drzwi.

– Eee? – stęknął pytająco.

– Nie rozumiem – odrzekł Mark.

– Eee? – powtórzył tamten. – Zagranicznacy, ee?

– A więc mówi pan po angielsku?

– No – odrzekł mężczyzna, a po dłuższej chwili dodał: – Ej, szefie!

Mark spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Szefuniu! – powtórzył pacjent z jeszcze większą energią. Masz może coś zafajczyć, ee?

\* \* \*

– Myślę, że to wszystko, co teraz mogliśmy zrobić – powiedziała Mama Dimble do Jane. - Kwiatami zajmiemy się po południu.

Siedziały w małym kamiennym domku zwanym Stróżówką, tuż obok bocznej furtki w murze, przez którą wpuszczono Jane, gdy po raz pierwszy przybyła do Dworu. Właśnie przygotowały Stróżówkę dla Maggsów, bo mężowi Ivy kończył się dziś wyrok, a ona sama poprzedniego dnia pojechała pociągiem do miasteczka, w którym znajdowało się więzienie, aby go powitać przed bramą. Na szczęście miała tam ciotkę, u której mogła zanoćować.

Kiedy pani Dimble powiedziała mężowi, czym zamierza się zająć przed południem, odrzekł:

– No przecież wystarczy zapalić w kominku i posłać łożko. To ci chyba zajmie niewiele czasu.

Jako osoba tej samej płci co doktor Dimble podzielałam jego ograniczenia. Nie mam pojęcia, co dwie kobiety mogły robić w Stróżówce przez tyle godzin. Nawet Jane tego nie przewidywała.

Natomiast dla pani Dimble zadanie przewietrzenia małego domku i przygotowanie łóżka dla Ivy Maggs i jej męża kryminalisty stało się czymś pomiędzy zabawą a rytuałem. Obudziło to w Jane jakieś niejasne wspomnienia z dzieciństwa, kiedy pomagała dekorować kościół na Boże Narodzenie lub Wielkanoc, ale przywiodło też na myśl wszystko, co kryło się w szesnastowiecznych epitalamiach – te wszystkie stare przesady, żarty i sentymentalizmy, związane z łożami dla nowożeńców i małżeńskimi alkowami, z wróżbami dotyczącymi przekraczania progu i elfami wyłaniającymi się z kominka. Była to atmosfera całkowicie obca tej, w której się wychowała, i jeszcze parę tygodni temu bardzo by jej nie odpowiadała. Czyż nie było czegoś absurdalnego w owym drętym, rozmigotanym, archaicznym świetle – w tej mieszaninie pruderii i zmysłowości, w tych wszystkich wyuczonych umizgach pana młodego i konwencjonalnej wstydlivosti jego świeżo poślubionej małżonki, w religijnym przyzwoleniu i „uświęceniu”, w fescenijskich przyśpiewkach weselnych, w oczekiwaniu na to, że wszyscy prócz odtwórców głównych ról będą wstawieni? Jak doszło do tego, że ludzie uwięzili w takiej ceremonii coś, co jest całkowitym zaprzeczeniem wszelkiej ceremonialności? Teraz jednak nie była już tak pewna swojej reakcji. Była tylko pewna, że jest w ścieżce jakaś linia, która włącza Mamę Dimble do tego świata, a ją z niego wyklucza.

Mama Dimble, z całym swoim dziewiętnastowiecznym wychowaniem, okazała się tego popołudnia osobą jeszcze bardziej archaiczną. W każdym momencie zdawała się jedną z owych poważnych, a jednocześnie rubasznych, kipiących energią starszych kobiet, które od początków świata wprowadzały młodożeńców do sypialni, pławiąc się w absurdalnej mieszaninie ukłonów, znaczących mrugnięć, błogosławieństw i łez – tych nieznośnych starszych kobiet w krykach i kwefach, sypiących dowcipami na temat intymnych męskich części garderoby i przyprawiania rogów, co im nie przeszkadzało w chwilę potem nabożnie klęczeć przed ołtarzem. Było to w sumie bardzo dziwne, jako że oczywiście w rozmowie Mama Dimble okazywała o wiele większą od niej powściągliwość. Jane, jako znawczyni historii literatury, mogła bez najmniejszego zażenowania rozmawiać o suspensoriach, natomiast Mama Dimble była a edwardiańską damą, która zmroziłaby milczącą dezaprobatą każdego silącego się na nowoczesność młodego bubka, gdyby ośmielił się poruszyć taki temat w jej obecności. Być może pogoda miała jakiś wpływ na te dziwne reakcje Jane. Mróz odpuścił i był to jeden z owych przejmująco łagodnych, miłych dni, jakie czasami zdarzają się na samym początku zimy.

Ivy zwierzyła się Jane ze swojej sytuacji zaledwie poprzedniego dnia. Pan Maggs ukradł pieniądze z pralni, w której pracował. Stało się to jeszcze przed poznaniem Ivy, gdy wpadł w złe towarzystwo. Odkąd postanowił rozpocząć wraz z Ivy nowe życie, stał się naprawdę uczciwym człowiekiem, jednak popełniona wcześniej kradzież została później wykryta i aresztowano go jakieś sześć tygodni po ich ślubie. Jane niewiele mówiła w czasie tych zwierzeń, a Ivy nie sprawiała wrażenia osoby świadomej społecznego stygmatu, jakim naznaczony jest zwykle drobny złodziejaskę po wyroku, tak że Jane nie miała okazji – nawet gdyby miała na to ochotę – okazania jej owej prawie formalnej „uprzejmości”, jaką niektórzy ludzie rezerwują dla nieszczęśliwych biedaków. Z drugiej strony, nie miała też szansy, by okazać się rewolucjonistką lub teoretykiem – by sugerować, że taka kradzież nie jest przestępstwem w większym stopniu niż bogactwo. Ivy zdawała się przyjmować tradycyjną moralność za coś zupełnie oczywistego. To ją zawsze „tak męczyło”. Tak więc moralny aspekt całej sprawy raz nabierał wielkiej wagi, a w innym kontekście jakby się nie liczył. Nigdy też nie przyszło jej do głowy, by mogło to w jakikolwiek sposób wpłynąć na jej stosunek do męża, jakby sam fakt, że był złodziejem – podobnie jak choroba – był wliczony w

normalne ryzyko, towarzyszące wstąpieniu w związek małżeński.

– Zawsze powtarzam, że nie pozna się chłopca do końca, dopóki się za niego nie wyjdzie – powiedziała do Jane.

– No... chyba nie – bąknęła Jane.

– Ale oni mają tak samo – dodała Ivy. – Mój ojczulek często mówił, że nigdy by się nie ożenił z mamą, gdyby wiedział, jak ona chrapie. A mama na to odpowiadała: „I miałbyś świętą rację!”

– To chyba jednak coś innego – powiedziała Jane.

– Ja tam uważam, że jak jedno szydło nie wylezie z worka, to wylezie drugie. Tak sobie m yślę.

I tu nie chodzi tylko o chłopów. Oni też muszą nas znosić. Bo oni już tacy są, biedacy, że ciągnie ich do ożenku, jeśli tylko wszystko z nimi w porządku, ale cokolwiek byśmy mówiły, Jane, z babami też czasem mają utrapienie. I nie mówię tu wcale o jakichś jędzach. Pamiętam jak raz... to było zanim do nas przystałaś... Mama Dimble powiedziała coś do doktora, a on sobie siedział i coś czytał, no wiesz, jak on to robi, palce wtyka między strony, ołówek w ręku, my tak nie czytamy.

No więc on na to: „Tak, kochanie”, a obie wiedziałyśmy, że w ogóle nie słuchał. To ja mówię: „No widzi pani, Mamó Dimble, jak oni nas traktują, jak już się z nami ożenią? Nawet im się nie chce nas wysłuchać”. I wiesz, co ona na to odpowiedział a? Ona na to: „ Ivy Maggs, a tobie kiedykolwiek przyszło do głowy zapytać, czy ktoś jest w stanie sł uchać tego wszystkiego, co my wygadujemy?”

Jej własne słowa. Oczywiście nie chciałam się tak łatwo poddać, nie w jego obecności, więc powiedziałam: „Mają słuchać i już”. Ale to mnie po prostu zważyło z nóg. I wiesz co? Często gadam i gadam coś do męża, a on w koń cu na mnie patrzy i pyta, co mó wiłam, a ja... niech skonam, ja już sama nie pamiętam, o czym mówiłam!

– Och, to zupełnie co innego – powiedziała Jane. – Tak bywa, kiedy ludzie się od siebie odwracają... zajmują zupełnie inne stanowiska w różnych sprawach... stają po innej stronie...

– Ty to musisz się bardzo zamartwiać o swojego męża – zauważyła Ivy. – Jakbym była tobą, to bym chyba oka nie zmrużyła. Ale Przewodniczący w końcu wszystko uładzi. Zobaczysz.

Pani Dimble wróciła do domu, by znaleźć kilka drobiazgów, które nadałyby ostateczny kształt sypialni przygotowywanej w Stróżówce. Jane, czując się trochę zmęczona, uklękła na ławeczce w wykuszu okiennym, łokcie oparłszy na parapecie, a brodę na dłoniach. Słońce mocno przygrzewało. Już dawno pogodziła się z myślą, że wróci do Marka, jeś li on zdoła uwolnić się z Belbury. Nie przerażało to jej, właściwie nie wywoływało w niej żadnych emocji. I wcale nie było tak dlatego, że w tym momencie w pełni wybaczyła mu znane małżeńskie przestępstwo polegające na tym, iż czasami wyraźnie wolał ją samą od rozmowy z nią, a czasami wolał przede wszystkim być sam na sam ze swoimi myślami. Bo niby dlaczego ktoś miałby jakoś szczególnie zainteresować się tym, co ona ma do powiedzenia? Ta zupełnie nowa postawa pokory byłaby nawet całkiem znośna, gdyby chodziło o kogoś bardziej ją pociągającego od Marka. Oczywiście, jeśli się ponownie spotkają, będzie musiała postępować z nim zupełnie inaczej. Lecz właśnie to „ponownie” odjęło smaku owemu dobremu postanowieniu – jak powrót do sumy, którą się kiedyś źle obliczyło, a teraz oblicza na nowo na tej samej pogryzmołonej stronie podręcznika. „Jeśli się ponownie spotkają...” Poczwała skrucę z powodu braku niepokoju i prawi e w tym samym momencie zaczął a się trochę niepokoić. Do tej pory zawsze była przekonana, że Mark wróci. Teraz nagle uświadomiła sobie możliwość jego śmierci. Nie zastanawiała się w ogóle nad tym, jak później będzie żyła samotnie, po prostu ujrzała Marka martwego – tę martwą twarz pośrodku poduszki, to sztywne ciało, te dłonie i ramiona (tak różne od wszystkich innych dłoni i ramion, na dobre i na złe) wyciągnięte prosto, bezużyteczne jak ręce lalki.

Zrobiło się jej bardzo zimno. A przecież słońce grzało mocniej niż kiedykolwiek, tak mocno, że wydawało się to zupełnie niemożliwe o tej porze roku. Było też bardzo cicho, tak cicho, że słyszała,

jak po ścieżce za oknem skacze jakiś ptaszek. Ścieżka wiodła do furtki w murze, tej samej, przez którą weszła tu po raz pierwszy. Ptaszek doskakał do progu tej furtki... Do czyichś stóp. Bo teraz Jane zobaczyła, że w zagłębieniu furtki ktoś siedzi. Furtkę dzieliło od okna zaledwie kilka metrów, więc ten ktoś musiał siedzieć bardzo spokojnie, skoro go dotąd nie zauważyła.

Była to kobieta. Ognista szata, w którą ukryła ręce, okrywała ją od stóp aż do karku, gdzie podnosiła się, tworząc szeroką kryzę, lecz z przodu była tak wycięta, że ukazywała bujne piersi. Jej skóra miała ciemny, południowy, prawie miodowy połysk. Jane widziała podobne suknie na minojskich kapłankach z waz odnalezionych w Knossos. Nieruchoma głowa, osadzona na mocnym filarze szyi, zwrócona była twarzą ku Jane. Czerwone policzki, wilgotne wargi, wielkie czarne oczy – prawie jak oczy krowy – i zagadkowy wyraz twarzy. Ta twarz – przynajmniej według zwykłych kryteriów – nie przypominała w niczym twarzy Mamy Dimble, a jednak Jane ją rozpoznała. Było to, używając języka muzyków, jakby pełne rozwinięcie tematu, który nawiedzał przelotnie twarz Mamy Dimble w ciągu ostatnich kilku godzin. Tak, to była twarz Mamy Dimble, której czegoś brakowało, a ów brak wstrząsnął Jane. „Jest zwierzęca”, pomyślała przytłoczona bijącą z niej energią, lecz zaraz się poprawiła: „To ja jestem słaba, to ja jestem niczym”. „Kpi sobie ze mnie”, pomyślała po chwili, lecz znowu się poprawiła: „Ignoruje mnie, w ogóle mnie nie dostrzega”, bo choć na tej twarzy malowała się jakaś prawie dzika wesołość, Jane nie był a zaproszona, by mieć w niej udział. Spróbowała oderwać spojrzenie od tej twarzy, a gdy to się udało, dostrzegła, że wokół zgromadziły się inne kobiety – ze cztery albo pięć... nie, cała gromada śmiesznych małych ludzików, krępych karłów czy gnomów, w czerwonych czapeczkach z pomponami, frywolnych, niepohamowanych, nie do zniesienia spoufalonych. Tu już nie miała wątpliwości: szydziły z niej, kiwały głowami, robiły miny, stawiały na głowie, wywijają koziolki. Jeszcze się nie bała, może po części dlatego, że mocno grzejące słońce trochę ją rozleniwiło. Czuliła się przede wszystkim znieważona. Powróciło to nieodpartą mocą podejrzenie, jakie już kiedyś nawiedziło jej umysł, że prawdziwy, realny wszechświat może być po prostu głupi. To podejrzenie zmieszało się całkowicie ze wspomnieniem śmiechu dorosłych – głośnego, beztroskiego, męskiego śmiechu wydobywającego się z ust wujów – starych kawalerów – który w dzieciństwie tak często doprowadzał ją do szału i od którego ucieczką były pełne niesamowitej powagi zebrania szkolnego kółka dyskusyjnego.

Ale w chwilę później naprawdę się przeraziła. Wysoka kobieta powstała. Wszyscy zaczęli się zbliżać. I nagle, w oślepiającej poświacie, z hałasem przypominającym huk płomieni, kobieta w ognistej sukni i gromada karzełków w czerwonych czapeczkach wtargnęli do domu. Byli już wewnątrz, w pokoju. Dziwna kobieta trzymała w ręku pochodnię, która płonęła straszliwym, oślepiającym blaskiem, skwiercząc i wydzielając chmurę gęstego czarnego dymu i duszący, żywiczny zapach. „Jeśli nie będą uważać, podpalą dom”, pomyślała Jane. Nie miała jednak czasu, by o tym dłużej myśleć, bo całą uwagę skupiła teraz na odrażającym zachowaniu karzełków, które zaczęły buszować po całym pokoju. W kilka sekund łóżko zmieniło się w chaos: zmięte prześcieradła na podłodze, poduszki fruwające w powietrzu, pierze unoszące się wszędzie.

– Przestań! Przestań! – zawołała Jane, bo olbrzymka zaczął a dotykać różnych przedmiotów płonąca pochodnią.

Dotknęła wazy stojącej na gzymsie kominka. Nagle wystrzelił z niej pióropusz barw, który Jane wzięła za płomień. Rzuciła się, by go ugasić, gdy ujrzała, że to samo stało się z obrazem na ścianie. Coraz szybciej i szybciej, teraz już wszędzie. Płonęły nawet pompony na czapeczkach karłów. I właśnie w tym momencie, gdy jej przerażenie dosięgło zenitu, dostrzegła, że to, co tryskało ze wszystkiego, czego dotknęła pochodnia, nie było wcale płomieniami, lecz roślinami.

Bluszcz i kapryfolium wyrastały z nóg łóżka, czerwone róże z czapeczek karłów, a zewsząd



pochylały się do jej kolan i kibici wielkie lilie, wyciągając do niej żółte jęczyczki. Te zapachy, ten żar, ten cały dziki tłum – to wszystko, co się wokół niej działo, sprawiło, że zasłabła. Nie miała wcale poczucia, że śni. Ludzie myślą sny z wizjami, ale nikt nigdy nie wziął wizji za sen...

– Jane! Jane! – rozległ się nagle głos pani Dimble. – Co to, na Boga, ma znaczyć?!

Jane usiadła. Pokój był pusty, ale pościel leżała w strzępach. Ona sama najwyraźniej przed chwilą leżała na podłodze. Było jej zimno i czuła się strasznie zmęczona.

– Co tu się stało? – powtórzyła pani Dimble.

– Nie wiem.

– Czy jesteś chora, moje dziecko?

– Muszę natychmiast zobaczyć się z Przewodniczącym – odpowiedziała Jane. – Nic mi nie jest.

Nie przejmuj się. Mogę sama wstać... naprawdę. Ale muszę zaraz zobaczyć się z Przewodniczącym.

\* \* \*

Świadomość Pana Bultitude'a była równie kosmata i nieludzka jak jego ciało. Nie pamiętał prowincjonalnego ogrodu zoologicznego, z którego wy dostał się podczas pożaru, paniki ucieczki, przybycia do Dworu i wszystkich długich etapów swojej znajomości z jego mieszkańcami: od początkowej podejrzliwości i nieporozumień do prawdziwego zaufania i miłości. Nawet teraz nie zdawał sobie wcale sprawy z tego, że im ufa i że ich kocha. Nie wiedział, że są ludźmi, nie miał też pojęcia, że sam jest niedźwiedziem. Prawdę mówiąc, nie wiedział nawet, że istnieje: wszystko, co kryje się za słowami „ja”, „mnie” czy „ty”, było jego umysłowi zupełnie obce. Kiedy pani Maggs dawała mu puszkę złocistego syropu, co robiła w każdy niedzielny poranek, nie rozróżniał w tym akcie ani dawcy, ani odbiorcy. Zdarzył o się coś dobrego, czuł tego smak – to wszystko. Jego upodobania i miłości można by, na upartego, opisać jako przejawy miłości interesownej; jej obiektem był pokarm i ciepło, pieszczące ręce, uspokajające głosy. Jeśliby jednak miłość interesowna miała oznaczać coś bardzo zimnego i wyrachowanego, to prowadziłoby to do całkowitego niezrozumienia odczuć tego zwierzęcia. Z ludzkiego punktu widzenia byłoby w równym stopniu trudno nazwać go egoistą, co altruistą. W jego życiu w ogóle nie było prozy.

Skłonności, którymi człowiek mógłby pogardzać, uznając je za interesowne, w jego świecie przeżyć były rozedrganymi pragnieniami pochłaniającymi całą jego istotę, wybuchami bezgranicznej tęsknoty, przerywanej błyskawicami lęku przed tragedią i promieniami wszystkich barw raj. Przedstawiciel naszego gatunku zanurzony na chwilę w ciepłej, rozedrganej, opalizującej sadzawce owej przed-Adamowej świadomości, wyłoniłby się z niej przekonany, iż dotknął absolutu, ponieważ stany poniżej poziomu rozumu i stany powyżej tego poziomu wykazują – poprzez ich wspólny kontrast ze znanym nam życiem – pewne powierzchowne podobieństwo.

Niekiedy powraca do nas z dzieciństwa wspomnienie jakiejś nienazwanej rozkoszy albo przerażenia, nie związane z żadną rozkoszną lub przerażającą rzeczą, niby jakiś mocny przymiotnik szybujący w pozbawionej rzeczowników próżni, czysta jakość. W takich momentach doświadczamy poczucia płycizny tej sadzawki. A jednak właśnie tam, nieskończenie głębiej niż może sięgnąć ludzka pamięć, w owej ciepłej i zamglonej niszy, upływało całe jego niedźwiedzie życie.

Tego dnia przydarzyło mu się coś niezwykłego. Dostał się do ogrodu bez kagańca. Kiedy go wypuszczano z domu, zawsze nakładano mu kaganiec, nie dlatego, że ktokolwiek mógł się obawiać jego niebezpiecznego zachowania, lecz ze względu na jego nieodparte skłonności do owoców i słodszych gatunków warzyw. Ivy Maggs wyjaśniła to Jane Studdock w następujący sposób: „Nie żeby był nieoswojony, tylko że on po prostu jest nieuczciwy. Nie zostawiłby nam ani jednego ogórka i ani jednej rzodkiewki, gdybyś my mu nie obwiązywali tego żarłocznego pyska”. Dzisiaj zapomniano

jednak o tym środku ostrożności i Pan Bultitude spędził bardzo miły ranek, dokładnie badając grządkę z rzepą. Teraz – a było już wczesne popołudnie – dotarł wreszcie do muru otaczającego ogród. Tuż przy murze rósł kasztanowiec, na który łatwo było mu się wspiąć, a z jego gałęzi równie łatwo mógł zsunąć się na drugą stronę muru.

Stał i wpatrywał się w drzewo. Pani Maggs opisał aby stan jego ś wiadomości słowami:

„Dobrze wie, że nie wolno mu opuszczać terenu ogrodu”. W rzeczywistości w jego umyśle nie pojawiło się nic podobnego. Nie znał zasad moralnych. Przewodniczący przekazał mu tylko pewne zakazy. W bliskości muru poczuł tajemniczy opór, jakaś chmura zaćmiła jego uczuciową pogodę, lecz czuł też wyraźnie impuls przeciwny: by przedostać się na tamtą stronę. Nie wiedział, oczywiście, dlaczego, nie był nawet w stanie postawić sobie takiego pytania. Gdyby nacisk tego impulsu przełożyć na język ludzki, byłoby to coś bardziej zbliżonego do mitologii niż myśli. W ogrodzie spotyka się pszczoły, ale nie natrafiło się nigdy na ul. Pszczoły zawsze wylatują poza ogród, ponad murem. Podążanie za pszczołami jest czymś oczywistym. W świadomości niedźwiedzia było jakieś poczucie – trudno to nazwać obrazem – niekończących się zielonych krain poza murem, niezliczonych pszczelich rojów, pszczoł wielkości wróbli, jakiegoś wyczekiwania na coś albo poszukiwania czegoś sączącego się, ściekającego, płynącego, czegoś lub kogoś bardziej kleistego i słodkiego niż sam miód.

Dzisiaj to niepokojące poczucie dawało mu o sobie znać silniej niż zwykle. Tęsknił za Ivy Maggs. Nie wiedział, że ktoś taki istnieje, i nie pamiętał jej w sposób, w jaki ludzie kogoś pamiętają, ale czuł jakiś nieokreślony brak. Ona i Przewodniczący byli – na różny sposób – dwoma głównymi czynnikami w jego egzystencji. Wyczuwał wyższość Przewodniczącego. Spotkania z nim były dla niedźwiedzia tym, czym dla ludzi jest przezycie mistyczne, bo Przewodniczący przywiózł ze sobą z Wenus cień utraconej przez człowieka skłonności do uszlachetniania zwierząt.

W jego obecności Pan Bultitude drżał cały na samym progu osobowości, myślał w sposób nie do pomyślenia i borykał się z czymś niemożliwym, przerażał się i zachwycał odbłaskami spoza swojego własnego welnistego świata, po czym odchodził znużony. Natomiast z Ivy czuł się swobodnie – podobnie jak dziki mieszkaniec dżungli wierzący w jakiegoś odległego Wielkiego Boga czuje się swobodniej, obcując z duchami lasu i wody. To Ivy go karmiła, przepędzała z zakazanych miejsc, pętała go i mówiła do niego przez cały dzień, ś więcie przekonana, że niedźwiedź „rozumie każde jej słowo”. Biorąc taką wypowiedź dosłownie, trudno się z nią zgodzić, ale w pewnym sensie oddawała ona część prawdy, bo skierowanymi do niego słowami wyrażała przede wszystkim uczucia, a nie myśli, i to uczucia, które Panu Bultitude nie były obce: jakieś skwapliwości, przytulności i fizycznej sympatii. Na swój własny sposób rozumieli się całkiem dobrze.

Trzykrotnie Pan Bultitude odwracał się i odchodził od drzewa i muru, lecz za każdym razem wracał. Wreszcie, bardzo ostrożnie i powoli, zaczął się wspinać na drzewo. Kiedy wszedł na rozwidlenie gałęzi, usiadł i siedział tam przez prawie pół godziny. Pod sobą widział trawiaste zbocze zbiegające do drogi. Pragnienie pobiegnięcia tym zboczem walczyło w nim coraz silniej z niejasnym poczuciem zakazu. Coś w jego świadomości błędziło i odbiegało od poprzedniego silnego doznania. W pewnym momencie prawie już zasnął, lecz w końcu, bez wyraźnego impulsu, zsunął się na ziemię po drugiej stronie muru. Kiedy stwierdził, że to naprawdę się stało, tak się przeraził, że usiadł na trawiastym poboczu, tuż przy drodze. Wówczas coś usłyszał.

Na drodze pojawiła się ciężarówka. Prowadził ją człowiek w uniformie służby Instytutu Badań Skoordynowanych. Drugi mężczyzna siedział obok niego.

– Hej!... Popatrz! – zawołał drugi mężczyzna. – Zahamuj, Sid. Co to jest, do cholery?

– Co? – spytał kierowca.

– Nie masz oczu?

– A niech to diabli! – zaklął Sid i zahamował. – Cholernie duży niedźwiedź. Słuchaj, czy to przypadkiem nie nasz?

– Daj spokój, przecież siedział w klatce dziś rano, sam widziałem.

– A nie przyszło ci do głowy, że mógł zwiać? Ale by się nam dostało!

– Przecież nie mógłby się tu znaleźć, nawet gdyby nawiał. Niedźwiedzie nie robią czterdziestu mil na godzinę. To nie leży w ich naturze. Ale może by go zwinąć?

– Nie otrzymaliśmy takiego polecenia – odparł Sid.

– No nie. I nie udało nam się też dorwać tego cholernego wilka.

– To nie nasza wina. Przecież sam byłeś świadkiem, Len, że ta stara, co mówiła, że go sprzeda, w końcu się rozmyśliła. Ale się staraliśmy, no nie, młody? Wstawialiśmy jej kit, że te doświadczenia w Belbury to nie to, co ona myś li. Ze zwierzak będzie tam miał jak w raju, że będzie ulubieńcem wszystkich i tak dalej. Jeszcze nigdy nie nałgałem tyle w ciągu jednego przedpołudnia.

Ale ktoś ją nastraszył.

– Jasne, że to nie nasza wina. Tylko że e szefa guzik to bę dzie obchodziło. Wyleje nas z Belbury na zbity pysk.

– Wyleje? – powtórzył Sid. – Sam bym chciał wiedzieć, jak to zrobić.

Len splunął przez ramię i przez chwilę zapanowało milczenie.

– A w każdym razie co nam da przywożenie im niedźwiedzia? – zapytał w końcu Sid.

– Pomyśl, chłopie, czy to nie lepsze niż wracać z pustymi rękami? Taki niedźwiedź kosztuje kupę forsy. Wiem, że chcieli mieć drugiego. A tego możemy mieć za friko.

– No dobra – zgodził się Sid. – Jak jesteś taki chętny, to wyskakuj i poproś go, żeby wlaź do środka.

– Szpryca – powiedział Len.

– Tylko nie z moim żarciem, dobra?

– Jesteś cholernie fajnym kumplem, nie ma co – rzekł Len, grzebiąc w zatłuszczonej torebce. – Masz szczęście, że nie jestem z tych, co donoszą.

– Już to zrobiłeś – odparł kierowca. – Znam dobrze te wszystkie twoje gierki.

Len wyjął kanapkę i skropił ją obficie jakimś mocno pachnącym płynem z butelki. Potem otworzył drzwi, zeskoczył i zrobił krok, wciąż nie puszczając drzwi. Był teraz jakieś pięć metrów od niedźwiedzia, który znieruchomiał, odkąd ich zobaczył. Rzucił mu kanapkę.

W kwadrans później Pan Bultitude leżał na boku uśpiony, ciężko oddychając. Nie mieli trudności ze związaniem mu pyska i wszystkich czterech łap. Musieli jednak bardzo się namęczyć, zanim zdołali go wciągnąć na ciężarówkę.

– Serduszko mi coś nawala – powiedział Sid, przyciskając dłoń do lewego boku.

– Szlag z twoim serduszkiem – warknął Len, ocierając pot z czoła. – Jedziemy.

Sid wspiął się z powrotem na siedzenie kierowcy i przez chwilę dyszał ciężko, mruczając co jakiś czas: „Jezu”. Potem uruchomił silnik i ruszyli w drogę.

\* \* \*

Życie Marka zostało teraz podzielone na okresy snu, dyż urów przy łóżku nieznanego śpiącego i pobytów w pokoju z plamami na suficie. Trudno opisać ćwiczenia w obiektywizmie, jakie miały miejsce w tym pokoju. Odwrotność naturalnych skłonności, jaką Frost starał się mu zaszcześcić, nie była ani specjalnie spektakularna, ani radykalna, ale szczegóły nie nadają się do druku, a cały program szkolenia miał w sobie coś z głupoty zajęć w przedszkolu. Mark często czuł, że jeden ryk

zdrowego śmiechu rozwiałby całą atmosferę tych ćwiczeń, ale w sytuacji, w jakiej się znalazł, nie było mu wcale do śmiechu. Kryła się bowiem w tym i groza – musiał wykonywać czynności, które jakieś głupie dziecko mogłoby uznać za śmieszne, a które w istocie były sprośne lub obrzydliwe, zawsze pod niezmiennie poważną obserwacją Frosta, z całym rytuałem doświadczenia naukowego, z mierzeniem czasu stoperem i notatkami. Podczas któregoś z ćwiczeń musiał wspiąć się na drabinę i dotknąć jednej z plam wskazanej przez Frosta: po prostu dotknąć jej palcem wskazującym i zejść z drabiny. Być może przez skojarzenie tego ćwiczenia z innymi albo dlatego, że naprawdę miało ono jakieś znaczenie, wydało się Markowi jakoś szczególnie nieprzyzwoite, a nawet najbardziej nieludzkie. I tak dzień po dniu, w miarę procesu szkolenia, idea „normalności” czy „prostoty”, która objawiła mu się podczas pierwszej bytności w tym pokoju, rozwijała się i utrwałała w jego umyśle, aż stała się czymś w rodzaju masywnej góry. Nigdy przedtem nie wiedział, co właściwie znaczy jakaś „idea”: zawsze myślał, że to coś, co rodzi się w mózgu. Teraz, gdy jego mózg był nieustannie atakowany i często całkowicie wypełniany lepkiem zepsuciem, ta „idea” piętrzyła się nad nim jak coś, co w sposób oczywisty istnieje całkiem niezależnie od niego, coś, co miało twardą jak skała powierzchnię, do której mógł przywrzeć.

Pomocą w przetrwaniu okazał się też „człowiek na łożu”. Odkrycie, że mówi po angielsku, doprowadziło Marka do bardzo dziwnej z nim znajomości. Trudno było zresztą powiedzieć, że ze sobą rozmawiali. Obaj coś mówili, ale wychodziło z tego coś, czego nie można było nazwać rozmową w tym znaczeniu, jakie Mark do tej pory nadawał temu słowu. Ten człowiek porozumiewał się w sposób tak aluzyjny (głównie za pomocą gestów), że o wiele mniej wyszukane sposoby komunikowania się, do jakich Mark przywykł, okazywały się tu prawie bezużyteczne. Tak więc, kiedy wyjaśnił mu, że nie ma tytoniu, mężczyzna wykonał z sześć razy pantomimę skręcania i zapalania papierosa, za każdym razem przekrzywiając śmiesznie głowę, a na jego twarzy pojawiał się wyraz takiej ulgi i rozkoszy, jaki Mark rzadko widywał na ludzkiej twarzy. Potem Mark spróbował mu wyjaśnić, że chociaż „tamci” nie są obcokrajowcami, to jednak są ludźmi bardzo niebezpiecznymi i najlepiej będzie, jeśli zachowa milczenie.

– Ach... Taa? – mruknął „pacjent”, ponownie przekrzywiając głowę, po czym, nie przykładając palca do ust, wykonał skomplikowaną pantomimę wyraźnie oznaczającą to samo.

Przez długi czas trudno było odciągnąć jego uwagę od tego tematu. Wciąż i wciąż powracał do sprawy milczenia.

– Eee tam, nic ze mnie nie wyciągną. Mówię ci. Nic ze mnie nie wyciągną. Eee? Mówię ci. Ty i ja, tylko my kapujemy. Eee?

W spojrzeniu, którym objął Marka, było tyle radosnej konspiracji, że Mark poczuł otuchę w sercu. Wierząc, że ta sprawa jest już dostatecznie jasna, przystąpił do drugiego etapu porozumienia.

– Ale musimy się zastanowić, co z nami... – zaczął, co wywołało kolejną pantomimę wyrażającą konieczność trzymania języka za zębami, zakończoną jak zwykle owym „Eee?”

– Tak, oczywiście – odpowiedział Mark, wiedząc już, że to „Eee?” oznacza żądanie potwierdzenia. – Znajdujemy się w niebezpieczeństwie. I...

– Aha. Zagranicznicy, ee?

– Nie, nie. Mówiłem ci już, że nie. Ale oni chyba myślą, że to ty jesteś nietutejszy. I właśnie dlatego...

– Tak jest – przerwał mu znowu mężczyzna. – Kapuję. Zagranicznicy, tak ich nazywam. Wiem. Nic ze mnie nie wyciągną. Ty i ja jesteśmy git. Aha.

– Spróbowałem opracować coś w rodzaju planu – rzekł Mark.

– Aha – mruknął mężczyzna.

– I zastanawiałem się... – zaczął Mark, ale mężczyzna nagle wychylił się do przodu i powiedział z niezwykłym naciskiem:

– Powiem ci.

– Co?

– Mam plan.

– Jaki?

– Aaa – odpowiedział mężczyzna, mrugając znacząco do Marka i drapiąc się po brzuchu.

– No mów. Co to za plan?

– A jakbyśmy tak... – rzekł tamten, siadając i przykładając lewy kciuk do prawego palca wskazującego, jakby wyliczał pierwszy argument w jakiejś filozoficznej dyspacie – a jakbyśmy tak machnęli sobie po kawałku smażonego sera?

– Słuchaj, mnie chodzi o plan ucieczki – powiedział Mark.

– Aaa... Mój stary, kapujesz? W życiu nie chorował. Ani przez jeden dzień. Eee? W porządku, co nie?

– To nadzwyczajne – rzekł Mark.

– Aaa. Można tak powiedzieć. Całe życie w drodze. I nigdy go nawet brzuch nie rozboleł. Eee?

I jakby uważał, że Mark nie wie, co to ból brzucha, wykonał całą serię bardzo żywych gestów, żeby mu pokazać, jak to wygląda.

– Pewnie służyło mu świeże powietrze – powiedział Mark.

– A czemu zawdzięczał takie zdrowie? – zapytał mężczyzna. Słowo „zawdzięczał” wypowiedział z naciskiem, wyraźnie rozkoszując się jego brzmieniem. – Ja się pytam, czemu zawdzięczał takie zdrowie?

Mark już szykował się do odpowiedzi, gdy mężczyzna dał mu do zrozumienia gestem, że pytanie miało charakter czysto retoryczny i że nie życzy sobie, aby mu przerywano.

– Zaw-dzię-czał swoje kochane zdrówko – ciągnął – smażonemu serowi. Wyciąga wodę z brzucha, ot co. Eee? Smażony ser to najlepsza wyściółka. I o to właśnie chodzi. Aa!

W trakcie kilku takich rozmów Mark usiłował dowiedzieć się czegoś o nieznanym, a zwłaszcza w jaki sposób znalazł się w Belbury. Nie było to łatwe, bo choć większość wypowiedzi włączyła wyraźnie autobiograficzny charakter, polegały one głównie na przytaczaniu jego własnych ciętych odpowiedzi, udzielonych w przeszłości, z tym, że nie bardzo było wiadomo, komu odpowiadał i na jakie pytania. Nawet wówczas, gdy wypowiedzi te nie były zbyt zawile, Markowi trudno było pojąć aluzje, bo nie znał życia włóczęgów, choć kiedyś napisał bardzo autorytatywny artykuł o włóczęgostwie. Starannie obmyślane i powtarzane kilka razy pytania doprowadziły jednak Marka do wniosku, że włóczęga został zmuszony do oddania swego ubrania jakiemuś nieznanemu, a potem zapadł w głęboki sen. Oczywiście nigdy nie użył aż tylu słów, aby to wyrazić. Mówił tak, jakby Mark już wiedział, jak to wszystko wyglądało, a próby wyciągnięcia z niego bardziej konkretnych informacji na temat tego wydarzenia kończyły się na serii znaczących mrugnięć i konspiracyjnych gestów. W każdym razie Markowi nie udało się dowiedzieć o tożsamości ani wyglądzie człowieka, który tamtemu zabrał ubranie. Po wielu godzinach rozmów i podstępnych pytań Mark dysponował tylko strzępami informacji zawartymi w takich sformułowaniach jak: „Aaa! To był gość!” albo: „Był taki, no wiesz, ee?”, albo: „Tak, niezły był z niego klient!” Wypowiedziom tym towarzyszył niesamowity entuzjazm, jakby ten, kto mu kradł ubranie, wzbudzał w nim najwyższy podziw.

Entuzjazm był zresztą najbardziej uderzającą cechą wszystkich jego wypowiedzi. Nigdy nie mówił niczego, co mogłoby choć przypominać moralną ocenę tego, co mu się w życiu przydarzało.

Nie próbował też w żaden sposób tego wyjaśniać. Zarówno wyraźne przejawy niesprawiedliwości ze strony ludzi, których spotykał, jak i to, co było po prostu niezrozumiałe, wydawał się przyjmować nie tylko bez urazy i złości, ale i z pewną satysfakcją, jeśli tylko samo wydarzenie było na tyle godne uwagi, by je w ogóle wspominać. Nawet jego obecna sytuacja wcale nie dziwiła go tak, jak Mark się spodziewał. Zdawało się to bezsensowne, ale w końcu ów człowiek wcale nie szukał sensu w tym, co mu się w życiu przydarzało. Uważał się nad brakiem tytoniu i uważał „zagraniczników” za ludzi niebezpiecznych, lecz było oczywiste, że obchodzi go przede wszystkim to, by napić się i najeść do syta – póki picie i jedzenie znajdowało się w jego zasięgu. I Mark stopniowo zaczął podobnie reagować na sytuację, w której się znalazł. Mężczyźnie cuchnęło z ust, do zapachu, jaki wydzielało jego ciało niełatwo było przywyknąć, a jadł w sposób, który trudno było nazwać cywilizowanym, ale Mark czuł się tak, jakby obaj urządzili sobie bardzo długi piknik, co przypominało mu beztroskie czasy dzieciństwa, kiedy to nie zważa się na żadne konwenanse. Każdy z nich rozumiał zaledwie jedną ósmą z tego, co mówił drugi, ale pogłębiała się między nimi jakaś szczególna zażyłość. Dopiero po latach Mark zrozumiał, że właśnie tutaj, gdzie nie było miejsca na próżność i gdzie zagrożenie czyhało na niego tak, jak na „dzieci bawiące się w kuchni olbrzyma”, stał się niepostrzeżenie członkiem jakiegoś „tajnego kółka”, do którego nikt z zewnątrz nie miał dostępu.

Co jakiś czas ich beztroskie *tete-a-tete* zakłócało wejście Frosta lub Withera, czasem obu jednocześnie. Za każdym razem towarzyszył im inny obcy mężczyzna, który zwracał się do włóczęgi w jakimś nieznanym języku, a nie doczekawszy się odpowiedzi, był wyprowadzany z pokoju. Pogodzenie się z tym, co niezrozumiałe, w połączeniu z pewną zwierzęcą przebiegłością, pozwalały włóczędze na zachowanie całkowitej obojętności podczas prób nawiązania z nim kontaktu. Nawet bez rady Marka ani razu nie wyprowadził swych prześladowców z błędu co do swojej tożsamości przez odezwanie się po angielsku. Wyprowadzanie kogoś z błędu było czynnością całkowicie obcą jego osobowości, a malujący się na jego twarzy wyraz niewzruszonej obojętności, bez najmniejszego śladu niepokoju lub zdziwienia, dopełniał obrazu, nie pozwalając jego interlokutorom na powzięcie choćby najślabszych podejrzeń co do jego prawdziwej tożsamości. Wither nigdy nie mógł odnaleźć w jego twarzy zła, którego w niej poszukiwał, podobnie jak śladów jakiegokolwiek cnoty, które dla niego byłyby sygnałem alarmowym. Włóczęga był typem człowieka, którego jeszcze nigdy nie spotkał. Nie był mu obcy typ naiwniaka, przerażonej ofiary, rywala, uczciwego człowieka z odrazą lub przerażeniem w oczach. Ten był dla niego zagadką.

Lecz w końcu pewnego dnia doszło do rozmowy, której przebieg był zupełnie inny.

\* \* \*

– To brzmi tak, jakby ożył jeden z mitologicznych obrazów Tycjana – powiedział Przewodniczący z uśmiechem, kiedy Jane opisała mu swoje przeżycia w Stróżówce.

– Tak, ale... – Jane zawahała się. – Tak – powtórzyła po chwili – to było coś takiego. Nie tylko ta kobieta i... te karły... ale ta poświata. Jakby płonęło powietrze. Tylko że zawsze mi się wydawało, że lubię Tycjana. Chyba nie traktowałam jego obrazów zbyt poważnie. To było tylko takie paplanie o „renesansie”, no wie pan...

– Chcesz powiedzieć, że kiedy obraz stał się rzeczywistością, przestał ci się podobać?

Jane potrząsnęła głową.

– Czy to naprawdę było rzeczywiste? – zapytała po chwili milczenia. – Czy takie rzeczy istnieją?

– Tak – odpowiedział Przewodniczący. – To było wystarczająco rzeczywiste. Och, w promieniu pół mili istnieją całe tysiące istot, o których nic jeszcze nie wiem. I ś miem twierdzić, że to obecność

Merlina wydobywa pewne rzeczy na jaw. Pó ki on tu jest, nie żyjemy dokładnie w dwudziestym wieku. Różne czasy częściowo na siebie zachodzą, ogniskowa jest nieostra. A ty... ty jesteś jasnowidzem.

Prawdopodobnie to spotkanie z nią było ci potrzebne. Ona jest kimś, kim i ty możesz się stać, jeśli nie staniesz się kimś innym.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Mówiłaś, że przypominała trochę Mamę Dimble. I miałaś rację. Ale była to Mama Dimble, której czegoś brakowało. Mama Dimble jest zaprzyjaźniona z całym światem, podobnie jak Merlin przyjaźni się z lasami i rzekami. Ale przecież sam nie jest lasem czy rzeką. Mama Dimble nie odrzuciła tego świata, ona go ochrzciła. To chrześć cijańska małżonka. A ty... ty nie jesteś chrześcijanką, nie jesteś też dziewczyną. Sama doprowadziłaś się do miejsca, w które musiałaś spotkać tę Starą Kobiętę. Odrzuciłaś wszystko, co stało się z nią od czasu, gdy Maleldil zstąpił na Ziemię, i ujrzałaś ją w jej pierwotnej postaci, taką, jaką zobaczyłaby i Mama Dimble, ale nieprzemienioną, demoniczną. I wcale ci się to nie podobało. Czy to nie była historia twojego życia?

– Chce pan powiedzieć – Jane mówiła bardzo powoli – że ja coś w sobie tłumiliłam?

Ransom wybuchnął śmiechem: owym głośnym, pewnym siebie, profesorskim śmiechem, który u innych tak często doprowadzał ją do pasji.

– Tak – powiedział. – Ale nie sądzę, że mówię o tłumieniu czegoś w sensie freudowskim. Freud znał tylko połowę faktów. Tu nie chodzi o jakieś zahamowania... o wszczepiony wstyd... wobec przyrodzonej żądzy. Obawiam się, że na śmiecie nie ma jakiegokolwiek niszy dla ludzi, którzy w końcu nie staną się ani poganami, ani chrześcijanami. Spróbuj sobie wyobrazić człowieka, który jest zbyt delikatny, aby jeść palcami, ale który nie chce używać widelca!

Jane zarumieniła się, a spowodował to bardziej jego śmiech niż słowa. Gapiła się na niego z otwartymi ustami. Przewodniczący w żadnej mierze nie przypominał Mamy Dimble, ale kiedy z pewnym zdumieniem zdała sobie sprawę z tego, że przynajmniej w tej sprawie stoi po stronie Mamy Dimble – że choć nie należy do tego barwnego, archaicznego świata, to jednak w jakiś sposób pozostaje w dobrych z nim stosunkach, z czego ona była wyłączona – odczuła to jak wymierzony sobie policzek. Jej dawne kobiece marzenie o znalezieniu mężczyzny, który „naprawdę rozumie”, zostało znieważone. Półświadomie zakładała, że jeśli chodzi o sprawy seksu, Przewodniczący jest chodzącą niewinnością, ale nie przypuszczała, że mimo to jego męskość pozostaje nie tylko w żadnej mierze nie upośledzona, lecz nawet manifestuje się silniej niż u przeciętnych mężczyzn. Mieszkając w tym dziwnym domu, zyskała już pewną wiedzę o świecie nadprzyrodzonym, a pogłębił ją strach o własne życie, jakiego doświadczyła tamtej nocy w kotlinie.

Ten nadprzyrodzony świat uważała jednak za „duchowy” w sensie negatywnym – jako pewną neutralną albo egalitarną próżnię, w której zanikają różnice, w której seks i zmysły nie tyle ulegają transcendencji, co po prostu przestają istnieć. Teraz zaczęła podejrzewać, że na drodze wiodącej wzwyż mogą się ujawniać różnice i kontrasty, i to coraz większe i gwałtowniejsze na każdym szczeblu. A jeśli to zawłaszczenie jej osobowości w małżeństwie, które odrzuciła, nie było, jak uprzednio podejrzewała, jedynie reliktem zwierzęcości albo patriarchalnego barbarzyństwa, lecz najprostszą formą jakiegoś szokującego kontaktu z rzeczywistością, który miałby się powtarzać – tyle że w coraz silniejszy i gwałtowniejszy sposób – na wyższych poziomach bytu? – Tak – powiedział Przewodniczący. – Nie ma ucieczki. Gdyby tu chodziło o dziewczęce odrzucenie płci męskiej, to Maleldil z pewnością by na to pozwolił. Takie dusze mogą ominąć płec męską na swojej drodze życia i iść dalej na spotkanie czegoś o wiele bardziej męskiego na wyższym poziomie, czegoś, czemu muszą się poddać w sposób jeszcze głębszy. Twój problem polega na czym innym.

Dawni poeci nazywali to *Daungier*. My nazywamy to dumą. Razi cię sama męskość: hałaśliwa, agresywna, zaborcza – złoty lew, brodaty byk – która przełamuje bariery i burzy małe królestwo twojej oschłości, tak jak owe karty zburzyły pieczołowicie posłane łóżko. Możesz uciec od samca, ponieważ istnieje on tylko na biologicznym poziomie. Lecz od męskości nikt z nas nie może uciec.

To, co jest ponad i poza wszystkimi rzeczami i istotami, jest tak męskie, że w stosunku do tego wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu kobiecy. Pozostaje ci tylko jedno: powinnaś szybko pogodzić się ze swoim przeciwnikiem.

– To znaczy... że powinnam zostać chrześcijanką? – zapytała Jane.

– Na to wygląda.

– Ale... nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z Markiem.

Być może nie było to do końca zgodne z prawdą. Wizja wszechświata, którą zaczęła postrzegać w ciągu ostatnich kilku minut, miała w sobie coś dziwnie gwałtownego. Była świetlista, agresywna i zniewalająca. Nagle pomyślała, po raz pierwszy w życiu, że starotestamentowa metaforyka oczu i kół może mieć jakieś głębsze znaczenie. A łączyło się z tym poczucie, że została zepchnięta na fałszywą pozycję. To ona powinna była mówić o tym chrześcijanom. To ona powinna była przeciwstawiać swój żywy, niebezpieczny świat ich szaremu, sformalizowanemu światu. To ona poruszała się szybko w tym żywym świecie, a oni utkwili w bezruchu, patrząc na świat przez swoje witraże. Do takiego przeciwieństwa przywykła. Tym razem, w nagłym rozblasku fioletu i purpury, przypomniała sobie, czym naprawdę są witraże. A gdzie był Mark w tym całym nowym świecie?

Tego jeszcze nie wiedziała. Na pewno nie w swoim dawnym miejscu. Coś, co do tej pory uważała za przeciwieństwo Marka, nagle gdzieś zanikło. Coś cywilizowanego albo nowoczesnego, albo akademickiego, albo (później) „duchowego”, co nie chciało nią owoładnąć, co ceniło ją za ten dziwny zbiór cech, który nazywała „sobą”, coś pozbawionego chwytliwych rąk i nie żądającego od niej niczego. Ale... jeśli czegoś takiego naprawdę nie ma?

– Kim była ta olbrzymka? – zapytała, chcąc zyskać na czasie.

– Nie jestem pewny, ale mogę zaryzykować pewne przypuszczenie. Czy wiesz, że wszystkie planety mają swoich przedstawicieli na każdej innej planecie?

– Nie, nie wiedziałam o tym.

– A tak właśnie jest. Nie ma takiego ojarsy w Głębinach Niebios, który nie miałby swojego przedstawiciela na Ziemi. Nie ma też planety, na której nie spotkałabyś małego, nieupadłego współnika naszego czarnego Archonta, czegoś w rodzaju drugiej jego jaźni. Dlatego był Saturn italski i Saturn niebiański, Jowisz kreteński i Jowisz na Olimpie. To te właśnie ziemskie widma wyższych inteligencji spotykali ludzie w dawnych czasach, gdy mówili, że widzieli bogów. To ich znali niekiedy tacy ludzie jak Merlin. Spoza Księżyca nic tak naprawdę nie zstąpiło na Ziemię. Jest też – i to już dotyczy bezpośrednio ciebie – Wenus ziemską i Wenus niebiańską: widmo Perelandry i sama Perelandra.

– I myśli pan, że...

– Tak. Wiem od dawna, że ten dom jest pod jej wpływem. Tu, w tej ziemi, jest nawet miedź. A ziemską Wenus będzie właśnie teraz szczególnie aktywna. Tej nocy naprawdę zstąpi na Ziemię jej niebiański archetyp.

– Zapomniałam – powiedziała Jane.

– Nie zapomnisz o tym nigdy, kiedy to już się stanie. Lepiej trzymajcie się wszyscy razem.

Może w kuchni. Nie wchodźcie na górę. Tej nocy przedstawię Merlina moim Panom, wszystkim pięciu: Viritrilbii, Perelandrze, Malakandrze, Glundowi i Lurdze. Zostanie otwarty. Moce w niego wstąpią.



– Co Merlin zrobi?

Przewodniczący roześmiał się.

– Pierwszy krok będzie łatwy. Nasi wrogowie w Belbury poszukują właśnie specjalistów od różnych archaicznych dialektów zachodnich, przede wszystkim celtyckich. Poś lemy im tłumacza!

Tak, na chw ałę Chrystusa, pošlemy im tłumacza. „Zesłał na nich ducha gorą czki, aby sami w pošpiechu wzywali swego niszczyciela”. [J. Milton, *Samson Antagonistę!* (1671), 1675.]

Zamieścili w prasie ogłoszenie! A po tym pierwszym kroku... no cóż, myślę, że wszystko pójdzie gładko. W walce z tymi, którzy służą diabłom, ma się zawsze przewagę, bo ich Panowie nienawidzą ich tak samo jak nas. Gdy tylko unieszkodlimy te ludzkie pionki na tyle, by stał y się bezużyteczne dla Piekła, ich Panowie dokończą za nas dzieło. Zniszczą ich narzędzia.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Grace Ironwood.

– Ivy już wróciła – powiedziała. – Myślę, że powinien pan się z nią zobaczyć. Nie, jest sama. W ogóle nie widziała swojego męża. Kara upłynęła, ale wcale go nie wypuś cili. Pošłali go do Belbury, na resocjalizację. Zdaje się, że nie potrzebowali nawet wyroku sądu... Ivy jest zupełnie rozbita.

Bardzo cierpi.

\* \* \*

Jane poszła do ogrodu, aby spokojnie pomyśleć. Przyjęła to, co powiedział jej Przewodniczący, lecz wciąż wydawało się jej to nonsensowne. Porównanie miłości Marka z miłością Boga (bo najwyraźniej chodziło mu o Boga) rodząca się w niej duchowość przyjęła jako coś skandalicznego i prześmiewczego. Przecież „religia” powinna oznaczać pewien obszar przestrzeni, w któ rym nękający ją kobiecy lęk przed kimś , kto potraktuje ją jak rzecz, jak przedmiot handlu, pożą dania czy posiadania, zostanie w końcu na zawsze uciszony, w którym to, co nazywała swoją „prawdziwą jaźnią”, wzbije się i rozwinie swobodnie w jakimś bardziej wolnym i czystym ś wiecie. Wciąż uważała „religię” za coś w rodzaju wyziewu lub wydechu, obłoku kadzidła, za coś emanującego z wybranych dusz ku oczekującym na to niebiosom. Potem zupełnie nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że ani Przewodniczący, ani Dimble'owie, ani Camilla nigdy nie mówili o „religii”. Mówili o Bogu. Obca im była wizja jakiejś mgły unoszącej się w górę, operowali raczej wizją mocnych, wprawnych rąk, sięgających z góry, by stwarzać i naprawiać, może nawet niszczyć. A może w ostatecznym rozrachunku jesteśmy rzeczami – rzeczami zaprojektowanymi i wynalezionymi przez Kogoś Innego, rzeczami, których wartość leży w czymś zupełnie innym niż to, co ktoś uważa za swoje „prawdziwe ja”? A może ci wszyscy ludzie, od wujó w-kawalerów poczynając, a na Marku i Mamie Dimble kończąc, którzy w tak irytujący sposób widzieli w niej tylko słodką i powabną kobietkę, podczas gdy ona pragnęła, by uważali ją też za osobę interesującą i ważną – może oni wszyscy mieli po prostu rację, może taka po prostu była? Może Maleldil zgadza się co do tego z nimi, a nie z nią? Przez chwilę towarzyszyła jej śmieszna i gorzka jednocześnie wizja świata, w którym sam Bóg nigdy jej nie zrozumie, nigdy nie potraktuje jej poważnie. A potem, na jednym z zakrętów ścieżki wiodącej między krzewami agrestu, przyszła zmiana.

To, co ją tam czekało, było przesycone uroczystą powagą graniczącą ze smutkiem. Nie wyrażało się w żadnej formie lub dźwięku. Czarnoziem pod krzewami, mech na ścieżce, niskie obramowanie z cegiełek – wszystko wizualnie było takie samo, jak przedtem. Lecz uległo zmianie.

Przekroczyła jakąś granicę. Znalazła się w jakimś świecie albo w Osobie, albo w obecności Osoby.

Stała wobec czegoś oczekującego, cierpliwego, nieubłaganego, a pomiędzy nią a tym Czymś nie było już nic, żadnej zasłony lub ochrony. W bliskości tego kontaktu rozumiała natychmiast, że

słowa Przewodniczącego wprowadziły ją w błąd. To nieubłagane żądanie, w obliczu którego teraz stała, nie przypominało zupełnie – nawet przez analogię – jakiegokolwiek innego żądania. Było źródłem wszystkich słusznych żądań i zawierało je wszystkie. W świetle tego żądania można było zrozumieć wszystkie inne, ale wszystkie inne żądania nie mówiły o nim nic. Nic nie mógł o się z nim równać. Nigdy się z czymś takim nie spotkała, a teraz było już tylko to. A przecież jednak wszystko zawsze takie było, tylko dzięki temu istniało. Na tej wysokości ci, w tej głębi, wewnątrz tej nieogarnionej przestrzeni, owa maleńka idea jej samej, którą nazywała dotąd swoim prawdziwym ja, nagle opadła i zniknęła w bezdennej otchłani jak ptak w przestrzeni, z której nagle uszło powietrze. Słowo ja było teraz imieniem bytu, którego istnienia nigdy dotąd nie podejrzewała, bytu, który jeszcze w pełni nie zaistniał, ale którego zaistnienia teraz żądano. Ten byt był osobą (choć nie tą, o której przedtem myślała), ale i rzeczą, rzeczą stworzoną, by podobała się Innemu, a w Nim podobała się wszystkim innym, rzeczą stwarzaną w tym właśnie momencie bez swego przyzwolenia, w kształcie, o którym nigdy nie marzyła. To stwarzanie odbywało się w czymś, co można było nazwać albo chwałą, albo smutkiem, albo i chwałą, i smutkiem jednocześnie, dlatego też nie potrafiła powiedzieć, czy źródłem owego odczucia są stwarzające ręce, czy modelowana bryła.

Próba wyrażenia tego słowami wymaga zbyt długiego czasu. W rzeczywistość ci uświadomienie sobie tego wszystkiego i pewność, że to już się stało, stanowiły jakby jedno nierozłączne przeżycie, ujawnione dopiero wówczas, gdy już przeminęło. To największe, najważniejsze wydarzenie w jej życiu znalazło dla siebie miejsce w momencie czasu zbyt krótkim, by w ogóle nazywać je czasem.

Jej ręka zacisnęła się jedynie na wspomnieniu tej chwili, a kiedy się zacisnęła, natychmiast, bez ostrzeżenia, rozległy się z każdego zakątka jej jaźni wyjące i skrzeczące głosy tych, którzy nie znają radości.

– Uważaj. Cofnij się. Bądź rozsądna. Nie poddawaj się – mówiły głosy. A z innego źródła: -

Miałaś przeżycie religijne. To bardzo ciekawe. Nie każ dy je ma. Och, jak o wiele lepiej zrozumiesz teraz siedemnastowiecznych poetów! – A z jeszcze innego źródła, bardziej słodko: – No, śmiało.

Spróbuj przeżyć to jeszcze raz. To się spodoba Przewodniczącemu.

Lecz jej mury obronne zostały już zdobyte i te kontrataki nie mogły zakończyć się sukcesem.

## Rozdział 15

### *Zstąpienie bogów*

Tylko dwa pomieszczenia w St Anne's nie były puste. W kuchni, trochę bliżej pieca niż zazwyczaj, siedzieli: Dimble, Denniston, MacPhee i kobiety. Pendragon i Merlin, oddzieleni od nich schodami i korytarzem, przebywali w Niebieskim Pokoju.

Gdyby ktoś chciał wejść na górę, do niewielkiego westybulu przed Niebieskim Pokojem, napotkałby przeszkodę i nie byłby to zwykły strach, lecz prawie fizyczna bariera broniąca mu wstępu. Gdyby udało mu się pokonać tę przeszkodę, znalazłby się w przestrzeni wypełnionej rozdygotanymi odgłosami, które z pewnością nie były głosami, a jednak wyraźnie zawierały jakąś artykulację. I gdyby w korytarzu było zupełnie ciemno, ujrzałby sączące się spod drzwi Niebieskiego Pokoju słabe światło, nie przypominające ani blasku ognia na kominku, ani poświaty księżyca. Nie sądzę, aby ktoś nieproszony zdołał dojść do samych drzwi. Już uprzednio miałby wrażenie, że cały dom się kołysze, przechyla i nurkuje, jak okręt podczas burzy w Zatoce Biskajskiej. Więcej: zapewne nie mógłby się oprzeć przerażającej myśli, że oto cała Ziemia przestała być stateczną podstawą jego świata, lecz jak wprawiona w obrotowy ruch, miotana porywistym wiatrem piłka pędzi z zawrotną prędkością, i to nie przez kosmiczną, wymarłą próżnię, lecz przez jakieś gęsto zamieszkane, poprzerastane skomplikowanymi strukturami środowisko. I wyczułby instynktownie, zanim oszalałe zmysły odmówiłyby mu posłuszeństwa, iż istoty wypełniające ten pokój przybyły tu nie po to, by zaznać spoczynku, lecz dlatego, że prześlizgując się, przetaczając i przeciskając przez gęstą rzeczywistość niebios (którą ludzie nazywają kosmiczną próżnią), skupić swoją rozedrganą energię w tym właśnie punkcie owej ruchomej kryjówki we wszechświecie, jaką jest Ziemia.

Druid i Ransom rozpoczęli oczekiwanie na tych gości wkrótce po zachodzie słońca. Ransom leżał na sofie. Merlin siedział przy nim lekko pochylony do przodu, ze splecionymi dłońmi. Od czasu do czasu kropla potu spływała mu powoli po szarym policzku. Najpierw chciał oczekiwać na klęczkach, ale Ransom mu na to nie pozwolił.

– „Nie waż się tego czynić! – powiedział. – Czyżbyś zapomniał, że i oni są sługami, tak jak my?”\*

Jedynym źródłem oświecenia pokoju były niezastłonięte okna; na początku, gdy rozpoczęli czuwanie, była to chłodna, czerwona zorza zachodu, a później światło gwiazd.

Długo przedtem, zanim cokolwiek zaczęło się dziać w Niebieskim Pokoju, na dole, w kuchni, nastąpiła pora wieczornej herbaty, którą we Dworze podawano zwykle o dziesiątej. Właśnie ją pili, kiedy zaszła w nich dziwna zmiana. Dotąd rozmawiali przyciszonymi głosami, jak dzieci znajdujące się w pokoju, w którym starsi zajęci są zupełnie wyjątkowymi, dla dzieci niepojętymi sprawami, takimi jak pogrzeb lub odczytywanie testamentu. Teraz nagle wszyscy zaczęli mówić głośno i jednocześnie, przerywając sobie nawzajem, choć – co było jeszcze dziwniejsze! – nie przypominało to wcale zbiorowej sprzeczki, lecz przeciwnie, sprawiał o każdym wyraźną przyjemność. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że wszyscy w kuchni są pijani, a raczej wesoło podchmieleni, zwłaszcza że oprócz podniesionych głosów słychać by o tym przesadne, podekscytowane gesty, zbliżenie głów i rozbiegane spojrzenia. O czym wówczas mówili, tego nikt z obecnych nie potrafił sobie później przypomnieć. Dimble utrzymywał, że były to głównie kalambury. MacPhee zaprzeczał, twierdząc, że nigdy nie bawi się słowami, nie mógłby więc tego robić i w tamtą noc. Wszyscy zgadzali się co do jednego – tej nocy byli niezwykle dowcipni. Jeśli nawet nie zabawiali się wymyślaniem kalamburów, to z pewnością bawili się paradoksami, anegdotami, niesamowitymi pomysłami i

fantastycznymi teoriami, które jednak (po zastanowieniu) okazywały się warte poważnego potraktowania. Wszystko to wpływało im z ust ze zdumiewającą łatwością. Nawet Ivy zapomniała o swoim zmartwieniu. Mama Dimble zapamiętała na zawsze Dennistona i swego męża, jak stali po obu stronach kuchennego pieca pochłonięci żartobliwym, intelektualnym pojedynkiem, raz po raz prześcigając się w błyskotliwych, szybkich ripostach, jak ptaki lub samoloty w powietrznym pojedynku. Nigdy dotąd nie słyszała podobnych rozmów, z takimi wykwitami elokwencji, z taką oszalałymi grą słów i podwójnych znaczeń, z takimi fajerwerkami metafor i aluzji.

I równie nagle jak to się zaczęło, niespodziewanie się skończyło. Uspokojenie nadeszło tak raptownie, jak cisza, gdy ktoś po marszu w silnym wietrze wejdzie za ścianę. Siedzieli, gapiąc się na siebie, zmęczeni i nieco zażenowani.

Na górze owa pierwsza zmiana wyglądała nieco inaczej. W pewnej chwili obaj, Ransom i Merlin, poczuli silne ożywienie. Ransom schwycił mocno poręcz sofy, Merlin swoje kolana i zacisnął zęby. Pomiędzy nimi przemknęła pałeczka światła o barwie niemożliwej do określenia lub wyobrażenia. Zobaczyli ją, lecz samo widzenie było najmniej ważną częścią tego, co doświadczyli.

Przeszło ich podniecenie: coś w rodzaju gwałtownego wrzenia umysłów i serc, wstrząsającego również ciałami. Wkrótce rytm tego wewnętrznego drgania nabrał tak oszalałej szybkości, że ogarnął ich lęk przed natychmiastowym rozpadem jaźni na tysiące fragmentów. A potem poczuli się tak, jakby naprawdę do tego doszło. Lecz już przestali się lękać, gdyż wszystkie te fragmenty – wyostrzone oczekiwania, krótkotrwałe radości, przenikliwe myśli – toczyły się tu i tam jak błyszczące krople rozlanej z wysoka rtęci, a potem łączyły ponownie w całość. Na szczęście obaj znali się na poezji. To mnożenie się, rozszczepianie i ponowne łączenie myśli, jakiego doświadczali, byłoby nie do zniesienia dla kogoś, kogo poezja nie nauczyła uprzednio sztuki myślowych i uczuciowych kontrapunktów, mistrzostwa podwójnej i potrójnej wizji. Dla Ransoma, który przez wiele lat obracał się zawodowo w świecie słów, była to niebiańska rozkosz. Miał wrażenie, że znalazł się w samym sercu języka, w rozpalonej do białości tkance mowy. Wszystkie fakty zostały roztrzaskane, rozszczepione w kaskady bryzgów, uchwycone, przenicowane, wymieszane i ugniecione jak ciasto, a następnie odrodzone w oślepiającym blasku znaczenia. Bo oto był z nimi sam Pan Znaczenia, herold, posłaniec, pogromca Argusa, anioł krążący najbliżej Słońca, Viritilbia, którego ludzie zwą Merkurym i Totem.

W tym czasie na dole, w kuchni, po orgii słów w wszystkich ogarnęła senność. Jane wzdrygnęła się, gdy książka wypadła jej z rąk, i rozejrzała się wokoło. Och, jak tu ciepło... jak przytulnie i swojsko... Zawsze lubiła palące się drewno, ale tej nocy zapach płonących bierwion zdawał się jeszcze miłszy niż zwykle. Cudowny, rozkoszny, przywodził na myśl zapach cedru lub wyszukanego kadzidła. I gęstniał z każdą chwilą. Zaczęły ją nawiedzać słowa łączące się z wonnościami: nard, balsam, kas ja, Arabia, ale w tej woni było coś jeszcze, coś nieporównanie słodsze i subtelniejszego... coś, co może doprowadzić do szaleństwa... dlaczego nie zakazanego?

Nie, raczej nakazanego. Była zbyt senna, aby to wszystko przemyśleć, by dociekać, kto sprawił, że tak się dzieje, i dlaczego oszołomienie nie jest czymś złym. Dimble'owie rozmawiali ze sobą, ale tak cicho, że nikt nie słyszał o czym. Ich twarze ukazały się jej odmienione. Już nie byli starzy – byli dojrzały jak pszeniczne pole w sierpniu, pogodne i złote, tchnące spokojem spełnionego pragnienia.

Spojrzała w drugą stronę: Arthur szeptał coś Camilli na ucho. Tu także e... Lecz gdy ciepło i słodycz owego wzbogaconego powietrza owładnęły nią całkowicie, nie była w stanie patrzeć dłużej na tę parę. Nie z zazdrości ci (od tego była teraz bardzo daleka), lecz z powodu oślepiającego blasku, jaki z nich promieniował, jakby ukryci w nich bóg i bogini zapłonęli poprzez ich ciała i ubrania, jaśniejąc w młodzieńczej, o dwoistej naturze, nagości różowo-czerwonego ducha. A wszędzie wokoło

tańczyły dziwne istoty, już nie owe wulgarne i ś mieszne skrzaty, które widziała tego popołudnia, lecz uroczyste i gorejące duchy o jaśniejszych skrzydłach i chłopięcych kształtach, gładkie i wiotkie jak różdżki z kości słoniowej.

W Niebieskim Pokoju Ransom i Merlin też poczuli, że robi się coraz cieplej. Nie zauważyli, kiedy i w jaki sposób otworzyły się okna, lecz nie ochłodziło to powietrza; przeciwnie, ciepło napływało właśnie z zewnątrz. Poprzez nagie gałęzie drzew, ponad ziemią, jeszcze niedawno stwardniałą od mrozu, napływał do pokoju mocny, gorący powiew lata, i to takiego lata, jakiego jeszcze nigdy Anglia nie zaznała. Ocieęzały jak wielkie barki zanurzone po burty w wodzie, ciężki od woni kwiatów rozchylających się o północy, kleistych żywic i mrocznych gajów, w których zapachy są tak gęste, że wydają się skraplać, przesycony chłodnym smakiem owoców letniej nocy, ów ciepły wiatr wtargnął łagodnie, lecz stanowczo do wnętrza, poruszył zasłonami, uniósł jakiś list leżący na stole i wzburzył włosy Merlina, które jeszcze przed chwilą spływały gładko na jego czoło. Pokój zakołysał się, jakby płynął po morzu. Ich ciała przeszły mrowienie i drżenie, jakby wzburzyła się w nich krew, zamieniona w zawiesinę pękających z cichym trzaskiem pęcherzyków.

Po policzkach Ransoma spłynęły łzy. On jeden wiedział, znad jakich mórz i wysp wiała ta ciepła bryza. Merlin tego nie wiedział, ale pod jej dotknięciem i w nim odezwał się owa nigdy nie zabliźniona rana, z którą rodzi się każdy człowiek. Staroceltyckie sylaby płynęły cicho z jego ust, dając wyraz jego litości nad sobą, lecz te westchnienia i roztkliwienia były tylko zwiastunami samej bogini. Kiedy długi snop całej jej mocy skupił się w tym punkcie pędzącej przez wszechświat Ziemi, coś twardszego, bardziej przenikliwego, coś spychającego ich w otchłań groźnej ekstazy pojawiło się w samym jądrze owej łagodności. Obaj zadrżeli: Merlin, bo nie wiedział, co nadchodzi, Ransom – bo to znał. I wreszcie nadeszło. Było to płomiennie, ostre, jasne, bezlitosne, gotowe zabijać, gotowe umierać, przesywające światło; była to dobroczynna Miłość, nie taka, jak ją sobie wyobrażają śmiertelni, nawet nie taka, jaką ujrzeli ucłowieczoną we wcieleniu Słowa, lecz Miłość będąca pozaksiężycową mocą, spadającą na nich prosto z Trzeciego Nieba, niczym nie złagodzona, niczym nie przysłonięta. Oślepiła ich, sparzyła, ogłuszyła. Zdawało im się, że spopieli ich kości. Zdawało im się, że nie zniosą jej dłużej. Zdawało im się, że nie zniosą, kiedy przestanie ich spalać. W ten sposób Perelandra, triumfująca wśród planet, ta, którą ziemianie zwą Wenus, zstąpiła, aby z nimi przebywać.

Na dole, w kuchni, MacPhee odsunął gwałtownie krzesło, aż zazgrzytało na podłodze z terakoty jak ołówki na tabliczce z łupku.

– Ludzie! – zawołał. – To hańba tak siedzieć i wpatrywać się w ogień. Założę się, że gdyby Przewodniczący sam nie dał się nabrać na te sztuczki, z łatwością znalazłby dla nas inne zajęcie.

Camilla spojrzała na niego płomiennym wzrokiem.

– Dalej! – powiedziała. – Mów dalej!

– Co masz na myśli, MacPhee? – zapytał Dimble.

– On ma na myśli walkę – powiedziała Camilla.

– Obawiam się, że jest ich trochę zbyt wielu jak na nas – zauważył Arthur Denniston.

– Może i tak! – rzekł MacPhee. – Lecz to, że siedzimy tu beczynnym, wcale nie zmniejsza ich przewagi. I czyż nie byłoby wspaniale zaatakować ich choć raz, zanim nadejdzie koniec? Mówiąc szczerze, czasami czuję, że nie bardzo mnie obchodzi, co się stanie. Jedno wiem na pewno: nie mógłbym spocząć spokojnie w grobie, gdybym nie spróbował dobrać im się do skóry, nawet wiedząc, że i tak zwyciężą. Chciałbym móc powiedzieć to, co podczas pierwszej wojny powiedział mi pewien stary sierżant po wypadzie na wroga pod Monchy. Po wypadzie, który skończył się atakiem kolbami karabinów, spytał: „Panie majorze, czy pan kiedykolwiek słyszał coś takiego, jak ten dźwięk, gdy pękały im czaszki?”

– To odrażające – obruszyła się Mama Dimble.

– Ta ostatnia część tak – powiedziała Camilla – ale... och, gdyby zaatakować ich tak, jak to dawniej bywało? Nie dbam o nic, jeśli tylko znajdę się na koniu.

– Nie mogę tego pojąć – odezwał się Dimble. – Nie jestem podobny do ciebie, MacPhee. Nigdy nie byłem zbyt dzielny. Ale kiedy mówiłeś o walce, poczułem, że wcale nie boję się śmierci ani ran. Nie tej nocy.

– To chyba może nas spotkać – powiedziała Jane.

– Dopóki będziemy trzymać się razem – odezwała się Mama Dimble – może to być... nie, nie mam na myśli czegoś bohaterskiego. .. ale to może być przyjemna śmierć.

I nagle ich twarze i głosy zmieniły się. Znowu się śmiali, ale był to inny rodzaj śmiechu.

Wiedzieli, że kochają się tak jak nigdy przedtem. Każdy patrząc na pozostałych, myślał: „Jakie to szczęście, że tutaj jestem! Mogę umrzeć z nimi!” A MacPhee rzucił pod wąsem:

– „Król Wilhelm rzekł, nie traćcie ducha, gdy jeden wódz wasz zginie”. [Z anonimowej pieśni irlandzkiej o bitwie pod Boyne, w której protestanci pod wodzą króla Wilhelma III Orańskiego pokonali katolików, którymi dowodził król Jakub II.]

Na górze z początku działo się podobnie. Merlin ujrzał oczami wyobraźni spłowiałe zbocze Badon Hill, długi sztandar Dziewicy powiewający nad brytorzyskimi pancerzami, złotowłosych barbarzyńców. Usłyszał krótkie warknięcia cięciw, głuchy stuk stalowych ostrzy uderzających w drewniane tarcze, bojowy wrzask, wycie, szczęk żelaza. Przypomniawszy też sobie wieczór, ogniska migocące u stóp wzgórza, świeże rany piekące na mrozie, odblask gwiazd w sadzawce skażonej krwią, orły krążące na tle bladego nieba. A Ransomowi stanęła przed oczami jego walka w jaskiniach Perelandry.

Lecz wkrótce wspomnienia się rozwiały. Splywało na nich coś krzepiącego i pełnego wigoru, coś orzeźwiająco chłodnego jak morska bryza. Zapomnieli, że istnieje lęk, krew popłynęła w ich żyłach szybciej jakby w rytm marszowej piosenki. Poczuli, że zajmują miejsce w uporządkowanym rytmie wszechświata, w rytmie niezawodnych pór roku i zorganizowanych w konsekwentne układy atomów, w hierarchii posłusznych serafinów. Uginając się pod niezmierną wagą posłuszeństwa, ich wola przeżyła się stanowczo i niewzruszenie jak ciała kariatyd. Uwolnieni od wszelkiej zmienności i wszelkich sprzeciwów stali krzepko, weseli, podniesieni na duchu, czujni.

Zostawili poza sobą wszelkie niepokoje i lęki: troska była słowem, które utraciło znaczenie. Życie polegało teraz wyłącznie na uczestnictwie w owym procesjonalnym, kosmicznym przepychu.

Ransom poznał – tak jak poznaje się żelazo, kiedy się je dotknie – wyrazistą, uporządkowaną, doskonałą świetność tego niebiańskiego ducha, który teraz zajaśniał między nimi. Oto przybywał wiecznie czujny Malakandra, dowódca chłodnej orbity, zwany przez ludzi Marsem, Mavorsem lub Tyrem, wkładając bez lęku dłoń w paszczę wilka.

Ransom powitał swych gości w języku niebios. Ostrzegł jednak Merlina, że dopiero teraz nadchodzi czas, w którym trzeba będzie zebrać w sobie całą odwagę. Ci bogowie, którzy już się pojawili w Niebieskim Pokoju, byli bardziej podobni do ludzi niż ci, których jeszcze oczekiwali. W Viritribii, Wenus i Malakandrze przejawiały się te dwa rodzaje duchów Siedmiu Rodzajów, które stanowią pewną analogię do biologicznego podziału płci i dlatego mogą być w pewnej mierze zrozumiałe dla ludzi. Nie można tego powiedzieć o tych dwu, które miały teraz zstąpić. I one należą do swoich rodzajów, lecz człowiek nie jest w stanie ich nazwać lub zrozumieć. Potężne energie, starożytne eldile, sternicy gigantycznych światów, nigdy jeszcze nie poddanych słodkiemu upokorzeniu życia organicznego...

– Poszturchaj te bierwiona w piecu, Denniston. Noc jest chłódna – powiedział MacPhee w

kuchni.

– Na dworze musi być niezły ziąb – odezwał się Dimble.

Wszyscy o tym pomyśl leli: o zeszywniałej trawie, o zimnych kurnikach, o ciemnych miejscach pośrodku lasu, o grobach. Potem o umierają cym Słońcu, o Ziemi w uś cisku ś mierci, duszącej się z braku powietrza w nieubłaganym zimnie, o czarnym niebie rozjaś nionym tylko ś wiatłem gwiazd. A potem o ś wiecie nawet bez gwiazd, o cieplnej ś mierci wszechświata, o ostatecznej koń cowej czerni niebytu, z którego przyroda nie zna powrotu. Jakieś inne życie? „Być może”, pomyślał MacPhee.

„Wierzę w to”, myślał Denniston. Lecz stare życie przeminęło. Przeminał czas, godziny, dni. Czy Wszechmoc może to przywrócić? Dokąd zmierzają lata, gdzie giną – i dlaczego? Człowiek nigdy tego nie pojmie. Złe obawy pogłębiały się. Może niczego nie można pojąć?

Saturn, którego w niebiosach nazywają Lurgą, zawitał do Niebieskiego Pokoju. Jego duch ogarnął dom, położył się cieniem na całej Ziemi, legł na niej zimnym ciężarem, który mógłby spłaszczyć teluryczną orbitę na opłatek. Pozostali bogowie, przytłoczeni ołowianym ciężarem jego starożytności, zapewne poczuli się młodo i efemerycznie. Był to niebotyczny masyw stuleci wznoszący się w górę od podnóża najdalszej starożytności, jaką człowiek może sobie wyobrazić – wciąż w górę i w górę, jak masyw, którego szczytu nigdy się nie dojrzy, którego ściany biegną wzwyż, lecz nie ku wieczności, gdzie myśl mogłaby odpocząć, ale w coraz cięższą gęstość czasu, w lodowate pustkowia i ciszę niemożliwych do nazwania liczb. Był mocny jak góra, jego wiek nie kojarzył się z grzęzawiskiem czasu, w którym wyobraźnia mogłaby zatopić się w zadumie, lecz raczej z żywym, samoświadomym przemijaniem, od którego struktur lżejsze inteligencje odbijały się jak fale odrzucane przez granitowe skały. Samo zaś pozostawało nietknięte i wiecznie żywe, zdolne uśmiercić każdego, kto zbliży się nieproszony. Ransoma i Merlina przenikało trudne do wytrzymania zimno, a wszystko, co w Lurdze było siłą, w nich stawało się smutkiem.

A jednak w tym pokoju nawet Lurgą musiał poddać się mocy większej niż jego własna. Bo oto zstąpił duch jeszcze potężniejszy – duch, którego wpływ powściągnął i prawie przetworzył zgodnie ze swoimi właściwościami zručność ruchliwego Merkurego, jasność Marsa, subtelne wibracje Wenus, a nawet paralizujący ciężar Saturna.

Jego nadejście dało się odczuć i w kuchni. Nikt później nie potrafił powiedzieć, jak do tego doszło, ale na płycie kuchennej znalazł się kociołek z gorącym grogiem. Uproszono Arthura – jedynego muzyka wśród nich – aby przyniósł skrzypce. Odsunięto na bok krzesła, uprzątnięto podłogę. Tańczyli. Co tańczyli, nikt później nie pamiętał. Był to jakiś korowód taneczny z przytupywaniem, klaskaniem i podskakiwaniem. Jedno jest pewne: gdy tań czyli, nikt nie widział w tym nic śmiesznego. Jeśli nawet ów taniec miał charakter nieco wiejski, co zresztą dobrze pasowało do tej kuchni, to duch, w jakim tańczyli, był zupełnie odmienny. Każdemu się zdawało, że kuchnię zapełnili królowie i królowe, że żywiołowość ich tańca wyraża bohaterską energię, a jego spokojniejsze części oddają atmosferę najbardziej uroczystych ceremonii dworskich.

Na górze jego potężny promień nappełnił Niebieski Pokój orgią światła. Przed innymi aniołami człowiek może uklęknąć, w obliczu tego – umrzeć. Lecz jeś li przeżyje to spotkanie, będzie się śmiał.

Wystarczy odetchnąć tylko raz tym, co z niego emanuje, by poczuć się wyższym i piękniejszym.

Kaleka zaczyna kroczyć dostojnie, żebrak będzie nosił łachmany jak magnackie szaty. Królewskość i potęga, odświętny przepych i dworska uprzejmość tryskały z niego jak iskry z kowadła. Środki, za pomocą których Ziemianie próbują przybliżyć jego cechy, są jedynie dalekimi symbolami: dźwięk dzwonów, dumne fanfary, łopotanie sztandarów. Jego zstąpienie przypominało raczej wielką, prześwieconą słońcem falę z kremową grzywą i szmaragdowym ł ukiem, która

nadchodzi z rykiem, grozą i niemożliwym do opanowania ś miechem. Było jak pierwsze dźwięki muzyki w przestronnych komnatach króla tak wielkiego i z okazji ś więta tak uroczystego, iż młode serca tych, którzy ją usłyszą, przenika drzenie graniczące z lękiem. Był to bowiem wielki Glund-Ojarsa, Król Królów, ten, dzięki któremu w głównej mierze dmie poprzez Pola Arbola radość tworzenia, znany starożytnym jako Jowisz, i pod tym imieniem, nieszczęśliwie, lecz z możliwych do zrozumienia powodów, błędnie utożsamiany ze swoim Stwórcą – tak mglista była ich wiedza o drabinie stworzonych bytów, której wiele jeszcze szczebli wznosi się ponad nim.

Kiedy nadszedł, w Niebieskim Pokoju zapanowało święto. Dwaj ś miertelnicy, porwani hymnem chwały, nieustannie wyśpiewywanym przez owe pięć wspaniałych Natur, zapomnieli o bardziej przyziemnym i bardziej bezpośrednim celu tego spotkania. Kiedy się opamiętali, cel został spełniony. Merlin przyjął w siebie moce pięciu niebiańskich duchów.

Następnego dnia wyglądał zupełnie inaczej, częściowo dlatego, że zgolił brodę, lecz głównie dlatego, że nie należał już do siebie. Nikt nie wątpił, że jego ostateczne odłączenie się od ciała jest już bliskie. Po południu MacPhee zawiózł go samochodem do Belbury i wysadził w pobliżu Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych.

\* \* \*

Mark siedział przy łożu włóczęgi pogrążony w drzemce. Nagle usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i otrząsnął się ze snu, szybko wracając do stanu czujności. Do pokoju wszedł Frost, a za nim Wither, prowadząc mężczyznę, którego Mark nigdy dotąd nie widział.

Nieznajomy miał na sobie zrudziałą sutannę, a w ręku trzymał czarny kapelusz z szerokim rondem, z rodzaju tych, jakie noszą duchowni na kontynencie. Sutanna jeszcze bardziej podkreślała jego niezwykły wzrost. Wielką, dokładnie wygoloną twarz pokrywała skomplikowana sieć zmarszczek i bruzd, a głowę trzymał nieco pochyloną. Mark osądził, że to jakiś poczciwiec z prowincji, być może członek jednego z zapoznanych religijnych bractw, polecony Witherowi jako znawca jeszcze jednego, jeszcze bardziej zapoznanego języka. W każdym razie wyglądał dziwnie pomiędzy tymi dwoma drapieżnymi ptakami – Witherem, jak zwykle wylewnym i schlebiającym, i Frostem, powściągliwym i wyczekującym na wynik kolejnego eksperymentu z zainteresowaniem naukowca, lecz także – jak zauważył Mark – z pewną chłodną odrazą.

Wither przemawiał do nieznajomego w języku, w którym Mark rozpoznał łacinę. „To na pewno jakiś duchowny”, pomyślał Mark. „Ale skąd się wziął? Wither zna przecież większość współczesnych języków. A może to Grek? Ale nie wygląda na Lewantyńczyka. To chyba Rosjanin”.

W tym momencie coś innego zwróciło jego uwagę. Włóczęga, który zamknął oczy, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi, nagle je otworzył, zobaczył tego nieznajomego i natychmiast ponownie je zamknął, po czym zaczął donośnie chrapać i odwrócił się do nich plecami. Nieznajomy zbliżył się do łoża i cichym głosem wypowiedział dwie sylaby. Włóczęga zadrżał, a potem powolnym, ciągłym ruchem, jak posłuszna sterowi łódź dokonująca zwrotu, obrócił się i znieruchomiał, z rozdziawionymi ustami wpatrując się w jego twarz. Z pewnych ruchów głowy i rąk oraz wymuszonego uśmiechu Mark wywnioskował, że włóczęga próbuje coś powiedzieć, a biorąc pod uwagę jego mimikę, mogła to być jakaś pokorna, podszyta lękiem prośba. To, co nastąpiło w chwilę później, zmusiło Marka do wstrzymania oddechu. Nieznajomy przemówił ponownie i wówczas, krzywiąc się niemiłosiernie, krztusząc, jękając i plując, włóczęga wypowiedział nienaturalnie wysokim głosem kilka sylab, potem oderwanych słów, a wreszcie całe zdanie w języku, który nie był ani angielskim, ani łaciną. Przez cały czas oczy nieznajomego utkwione były w jego oczach.

Nieznajomy znowu przemówił. Tym razem odpowiedź włóczęgi była o wiele dłuższa, a posługiwanie się nieznany językiem sprawiało mu wyraźnie mniejszą trudność, choć jego głos



nadał różnił się od tego, który Mark poznał w ciągu ostatnich kilku dni. Przy końcu swojej wypowiedzi siadł na łóżku i wskazał na Withera i Frosta. Nieznajomy zadał mu jakieś pytanie, a ten odpowiedział po raz trzeci.

Usłyszawszy odpowiedź, nieznajomy wzdrygnął się i przeżegnał kilka razy, okazując silne przerażenie. Odwrócił się i powiedział coś szybko po łacinie do tych dwóch, na co ich twarze gwałtownie się zmieniły: wyglądali teraz jak psy, które zwietrzyły trop. Nieznajomy krzyknął, podwinął sutannę i skoczył do drzwi. Uczni byli jednak szybsi. Przez następną kilka minut pod drzwiami trwała zaciekle szamotanina. Mark uchwycił spojrzeniem obnażone jak u zwierzęcia zęby Frosta i zmienioną, wściekłą twarz Withera, pozbawioną zwykłej maski uprzejmej wieloznaczności.

Mark mimowolnie zrobił krok do przodu, ale zanim zdołał podjąć jakąkolwiek decyzję, stary ksiądz wyrwał się z ich rąk i wycofał się do łoża wyraźnie przerażony, potrząsając głową i wyciągając przed siebie ręce. Włóczęga, który podczas walki pod drzwiami rozluźnił się, nagle zeszywniał ponownie i utkwiał spojrzenie w starcu, jakby oczekiwał rozkazu.

Znowu nastąpiła rozmowa w nieznanym języku. Włóczęga ponownie wskazał na Withera i Frosta. Nieznajomy odwrócił się i przemówił do nich po łacinie, najwyraźniej tłumacząc im słowa włóczęgi. Wither i Frost spojrzeli na siebie, jakby każdy oczekiwał reakcji drugiego. To, co nastąpiło później, wydało się Markowi czystym obłędem. Z trudną do opisaną ostrożnością, sapiąc i trzeszcząc w całej swojej roztrzęsionej zgrzybiałości, wicedyrektor osunął się na kolana, a w chwilę później, tyle że ruchem gwałtownym, niemal metalicznym, Frost uczynił to samo obok niego. Już klęcząc, spojrzął nagle przez ramię na Marka. Błysk czystej nienawiści w jego twarzy, lecz nienawiści tak skryształizowanej, że przestała już być uczuciem i nie miała w sobie żaru, przywodził na myśl dotknięcie metalu w Arktyce, gdzie metal parzy.

– Na kolana! – jęknął i natychmiast odwrócił głowę.

Mark nie mógł sobie później przypomnieć, czy po prostu zapomniał usłuchać rozkazu, czy też właśnie w tej chwili rozpoczął się jego bunt.

Włóczęga znów przemówił, ze spojrzeniem uwięzionym w oczach mężczyzny w sutannie. Ten przełożył jego słowa na łacinę i odsunął się na bok. Wither i Frost zbliżyli się na kolanach do samego łóżka. Włóczęga wyciągnął do nich swą owłosioną, brudną rękę z poobgryzаныmi paznokciami. Ucałowali ją. Teraz usłyszeli kolejne polecenie, na co powstali i Wither odpowiedział dłuższą przemową po łacinie, najwyraźniej starając się nakłonić włóczęgę, by wycofał swoje żądanie. Wciąż wskazywał na Frosta. Słowa *vema tua* (za każdym razem poprawiane na *venia vestra*) [ *Vema tua* – za twoim łaskawym przyzwoleniem; *vema vestra* – za waszym łaskawym pozwoleniem.] powtarzały się tak często, że Mark mógł je łatwo wyłowić. Włóczęga nie dał się jednak przebłagać i w chwilę później obaj uczeni opuścili pokój.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, włóczęga opadł jak przekłuty balon. Miotał się na łożu, mamrocząc:

– A niech to, psiajucha... We łbie się nie mieści. Po prostu mnie ścięto. Dokładnie ścięto.

Mark nie miał jednak czasu, by śledzić jego zachowanie. Nieznajomy zwracał się teraz do niego i chociaż Mark nie rozumiał słów, utkwiał w nim spojrzenie. Natychmiast chciał odwrócić wzrok, ale okazało się, że jest to niewykonalne. Miał już podstawy, by sądzić, że przywykł do strasznych twarzy, ale nie zmieniało to faktu, że ta napawała go przerażeniem. Zanim jednak zdał sobie z tego sprawę, poczuł się bardzo senny. W chwilę później opadł na krzesło i zasnął.

\* \* \*

– No i co myślisz? – zapytał Frost, gdy tylko znaleźli się za drzwiami.

– To jest... ee... niesłychanie zdumiewające – odrzekł wicedyrektor.

Szli korytarzem, rozmawiając przyciszonymi głosami.

– To naprawdę sprawiało wrażenie... mówię: sprawiało wrażenie – ciągnął Frost – jakby ten człowiek na łóżku został zahipnotyzowany, a ten baskijski klecha panował nad sytuacją.

– Och, z pewnością, mój drogi przyjacielu, byłaby to bardzo niepokojąca hipoteza.

– Bardzo przepraszam, ale ja nie stawiałem żadnej hipotezy. Opisywałem tylko, jakie to sprawiało wrażenie.

– W jaki sposób, przyjmując tę hipotezę... wybac mi, ale to jest hipoteza... jakiś baskijski duchowny mógłby spaść na to, że nasz gość to Merlinus Ambrosius?

– W tym właśnie problem. Jeśli nasz gość nie jest Merlinusem, to oznaczałoby, że ktoś inny, ktoś, kogo zupełnie nie braliśmy pod uwagę, a mianowicie ten kapłan, zna dobrze nasze plany.

– A to, mój drogi przyjacielu, oznacza, że nasz stosunek do nich obu musi cechować najwyższa ostrożność, ale i delikatność... przynajmniej do czasu, gdy się czegoś więcej dowiemy.

– Oczywiście trzeba będzie ich zatrzymać.

– Obawiam się, że to nie jest właściwe słowo. Ma pewne implikacje... Nie ośmielałbym się wyrazić jakiegokolwiek wątpliwości co do tożsamości naszego gościa. Nie ma mowy o żadnym zatrzymaniu. Przeciwnie, chodzi raczej o najserdeczniejsze przywitanie, o najbardziej drobiazgową uprzejmość...

– Czy mam rozumieć, że zawsze wyobrażałeś sobie wkroczenie Merlinusa do instytutu w ten właśnie sposób? Że będzie bardziej dyktatorem niż naszym kolegą?

– Jeśli już o to chodzi – odparł Wither – to moje wyobrażenia o osobistych, a nawet oficjalnych stosunkach między nami zawsze były bardzo elastyczne i gotów byłem na ich niezbędną adaptację.

Naprawdę, trudno byłoby mi znieść myśl, że pozwalasz się powodować jakimś wypaczonym pojęciem swojej godności, gdy... och, krótko mówiąc, jeśli on naprawdę jest Merlinusem...

Rozumiesz mnie?

– Dokąd mnie teraz prowadzisz?

– Do mojego apartamentu. Chyba pamiętasz, że proszono nas o dostarczenie naszemu gościowi jakiejś odzieży.

– To nie była prośba. To był rozkaz.

Wicedyrektor nic na to nie odpowiedział. Kiedy znaleźli się w jego sypialni, Frost zamknął drzwi i powiedział:

– To mnie nie zadowala. Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy z prawdziwego niebezpieczeństwa.

Musimy wziąć pod uwagę możliwość, że ten człowiek nie jest Merlinusem. A jeśli nie jest, to ten ksiądz wie o sprawach, o których wiedzieć nie powinien. Nie może na pozwolić, by jakiś oszust i szpieg chodził sobie swobodnie po instytucie. Musimy natychmiast wykryć, skąd ten ksiądz tyle o nim wie. I skąd właściwie go wytrzasnąłeś?

– Chyba ta koszula będzie najbardziej odpowiednia – rzekł Wither, kładąc ją na łóżku. – Tu są garnitury. Ten... ee... duchowny powiedział, że przybył do nas w odpowiedzi na nasze ogłoszenie w prasie. Pragnę uwzględnić twój punkt widzenia, mój drogi Froście, ale z drugiej strony... odrzucić prawdziwego Merlinusa... odciąć się od mocy, która jest integralnym czynnikiem w naszym planie... to przynajmniej takie samo zagrożenie. Nie jest nawet pewne, czy ten ksiądz byłby naszym wrogiem. A może miał zupełnie niezależne kontakty z makrobami? Może być naszym potencjalnym sprzymierzeńcem.

– Uważasz, że na takiego wyglądał? Jest księdzem, to przemawia przeciwko niemu.

– Teraz potrzebujemy tylko koloratki i krawata. Wybac mi, ale nigdy nie podzielałem twojego krytycznego stosunku do religii. Nie mówię o dogmatycznym chrześcijaństwie w jego prymitywnej

formie. Ale wewnątrz religijnych kręgów... kościelnych kręgów... od czasu do czasu pojawiają się niezwykle wartościowe typy duchowości. A kiedy się pojawiają, czasami ujawniają naprawdę wielką energię. Ojciec Doyle, choć może nie należy do osób zbyt utalentowanych, jest jednym z naszych najbardziej zagorzałych zwolenników, a pana Straika cechuje tak rzadkie w naszych czasach oddanie... ty pewnie wolałbyś termin: obiektywność. Nie można mieć ciasnych poglądów.

To nic nie daje.

– Więc co proponujesz?

– Musimy, oczywiście, natychmiast skonsultować się z Głową. Chyba rozumiesz, że używam tego terminu tylko dla wygody...

– Skonsultować się? W jaki sposób? Zapomniałeś, że dziś wieczorem ma się odbyć bankiet inauguracyjny, na którym będzie Jules? Może tu przybyć w ciągu godziny. Będziesz tańczył wokół niego do północy.

Przez chwilę twarz Withera stężała, rozdziawił usta. Rzeczywiście zapomniał, że ten marionetkowy dyrektor, naiwniak, przy pomocy którego manipulowali opinią publiczną, ma tu przybyć tego wieczoru. Kiedy sobie to uświadomił, zaniepokoił się bardziej niż Frost.

Przypominało to pierwszy podmuch zimy – pierwsze pęknięcie w konstrukcji tej jego drugiej osobowości czy też mentalnej maszyny, którą pieczołowicie zbudował, aby uporać się z problemami codziennego życia, podczas gdy on sam, prawdziwy Wither, błąkał się gdzieś daleko, na pograniczu widmowości.

– A niech mnie kule biją! – zawołał.

– Trzeba od razu zdecydować – powiedział Frost – co zrobić z tymi dwoma. Jeszcze tego wieczoru. Nie podlega dyskusji, że e powinni być na bankiecie. Był oby szaleństwem pozostawić ich samych.

– To mi przypomniało, że już zostawiliśmy ich samych... razem z tym Studdockiem... przez ponad dziesięć minut. Wracajmy.

– Bez żadnego planu? – przyciskał go Frost, ale wyszedł za nim z pokoju, gdy to powiedział.

– Musimy zdać się na bieg wydarzeń – zdecydował Wither.

Gdy wrócili, powitała ich błagalna mowa po łacinie wygłoszona przez mężczyznę w sutannie.

– Pozwólcie mi odejść – mówił. – Błagam was, na waszą miłość do matek, nie zadawajcie gwałtu staremu, nikomu nie zagrażającemu człowiekowi. Nikomu nic nie powiem, Bóg mi świadkiem, ale nie mogę tu zostać. Ten człowiek twierdzi, że jest Merlinusem, który powstał z martwych... To jakiś czciciel szatana dokonujący piekielnych cudów. Spójrzcie! Spójrzcie, co zrobił z tym biednym młodzieńcem, kiedy opuściliście pokój.

Wskazał na Marka wyciągniętego bezwładnie na krześle.

– Ucisz się i posłuchaj! – powiedział Frost w tym samym języku. – Jeśli zrobisz to, co ci każemy, nic ci się nie stanie. Jeśli nie, zniszczymy cię. Myślę, że jeśli zaczniesz sprawiać nam kłopoty, możesz utracić nie tylko duszę, ale i życie, a nie wyglądasz na męczennika.

Człowiek w sutannie wydał z siebie cichy jęk. Nagle, jakby bez udziału swojej woli, jak mechanizm sterowany przez kogoś innego, Frost kopnął go.

– Do roboty! – zawołał. – Powiedz mu, że przynieśliśmy takie ubrania, jakie dzisiaj się nosi.

Mężczyzna w sutannie nawet nie drgnął, gdy dostał kopniaka. Ten epizod zakończył się umyciem włóczędzy i ubraniem go w to, co przynieśli z pokoju Withera.

– On mówi, że teraz chce być oprowadzony po domu – powiedział mężczyzna w sutannie. -

Chce, aby mu pokazano wszystkie sekrety.

– Odpowiedz mu – rzekł Wither – że będzie to dla nas wielką przyjemnością i zaszczytem...

Ale włóczęga przerwał mu w swoim niezrozumiałym języku.

– On mówi – przetłumaczył ksiądz – że najpierw chce zobaczyć Głowę, zwierzęta i złoczyńców, którzy są tu poddawani mękom. Życzy też sobie, aby mu towarzyszył tylko jeden z panów. Pan, wielmożny panie – zwrócił się do Withera.

– Nie zgodzę się na takie warunki – powiedział Frost po angielsku.

– Mój drogi przyjacielu – rzekł Wither – naprawdę nie jest to odpowiedni moment... No i jeden z nas musi być wolny, aby powitać Julesa.

Włóczęga znowu przemówił.

– Proszę o wybaczenie – powiedział mężczyzna w sutannie ale powtarzam tylko to, co on mówi.

To nie moje słowa. Zabrania panom mówić w jego obecności językiem, którego nie może, nawet za moim pośrednictwem, zrozumieć. I mówi, że od dawna jest przyzwyczajony do tego, że go słuchają. Teraz pyta, czy chcecie, by był waszym przyjacielem, czy wrogiem.

Frost zbliżył się do pseudo-Merlina tak, że dotknął ramieniem sutanny prawdziwego Merlina.

Wither odniósł wrażenie, że jego współnik zamierzał coś powiedzieć, lecz zabrakło mu odwagi. W rzeczywistości Frost po prostu nie mógł znaleźć żadnych słów. Może był to skutek ciągłego przechodzenia z łaciny na angielski i odwrotnie, ale po głowie chodziły mu jedynie jakieś bezsensowne sylaby. Od dawna wiedział, że ciągły kontakt z istotami, które nazywał makrobami, może wyrzucić trudny do przewidzenia wpływ na jego psychikę. Nigdy nie opuszczało go przecucie całkowitego rozpadu osobowości. Ćwiczył się, by temu nie ulec. Teraz odniósł wrażenie, że ta chwila nadeszła. Przypominał sobie, że strach jest tylko zjawiskiem chemicznym.

Na pewien czas musi się wycofać z walki, odzyskać równowagę i wrócić wzmocniony wieczorem.

Bo przecież to nie koniec. W najgorszym razie to dopiero pierwsza zapowiedź końca. Możliwe, że ma przed sobą jeszcze całe lata pracy. Musi przetrzymać Withera. Zabije tego księdza. Nawet Merlin, jeśli to naprawdę jest Merlin, nie da sobie lepiej od niego rady z makrobami.

Usunął się pod ścianę. Włóczęga opuścił pokój w towarzystwie prawdziwego Merlina i Withera.

\* \* \*

Przed rozpoczęciem wizytacji Merlin zażądał jakiegoś godnego okrycia dla włóczęgi i Wither przyniósł mu togę doktora filozofii Uniwersytetu Edgestow. Tak wystrojony, krocząc niepewnie z przymrużonymi oczami, otepiał z wrażenia, wędrowny druciarz został oprowadzony po wszystkich piętrach instytutu. Pokazano mu pomieszczenia dla zwierząt i cele, w których trzymano skazańców. Co jakiś czas jego twarz wykrzywił grymas, jakby chciał coś powiedzieć, ale nigdy nie udało mu się wyrzec ani jednego słowa, chyba że prawdziwy Merlin zadał mu pytanie i poczekał na odpowiedź, wpatrując się w jego oczy. Oczywiście wszystko to było dla tego włóczęgi czymś zupełnie innym niż dla każdego wykształconego i bogatego człowieka owieka. Jemu to wszystko wydawało się po prostu wysoce „podejrzone” – najbardziej podejrzane z tego wszystkiego, co go dotąd w życiu spotkało. Przede wszystkim był czysty, cały czysty, i już to samo, niezależnie od purpurowej szaty i faktu, iż jego własne usta wydawały wciąż dźwięki, których nie rozumiał, i to bez udziału jego woli, było zupełnie niepojęte. Jeszcze nigdy nie znalazł się w sytuacji, której absolutnie nie potrafił pojąć.

Tymczasem w Obiektywnym Pokoju rozwój wypadków zmierzał do punktu krytycznego.

Kiedy tam weszli, Mark zobaczył, że stojący zwykle na środku stół został podsunięty do ściany. Na podłodze leżał ogromny krucyfiks, prawie naturalnej wielkości, dzieło hiszpańskiej tradycji, a więc upiornie realistyczne.

– Mamy pół godziny na przeprowadzenie ćwiczeń – powiedział Frost, spoglądając na zegarek.

I nie wdając się w wyjaśnienia, polecił Markowi, by podeptał krzyż i znieważył go w każdy sposób, jaki mu przyjdzie do głowy.

Podczas gdy Jane rozstała się z chrześcijaństwem we wczesnym dzieciństwie, razem z elfami i Świętym Mikołajem, Mark nigdy nie był człowiekiem wierzącym. W tym momencie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że ostatecznie nie można wykluczyć, iż coś w tym jednak jest.

Frost, obserwujący go uważnie, dobrze wiedział, jaki może być skutek tego eksperymentu. A wiedział, bo podczas jego własnych ćwiczeń makroby w pewnym momencie zażądały od niego tego samego. Nie miał jednak wyboru. Była to istotna część inicjacji i czy mu się to podobało, czy nie, nie mógł z niej zrezygnować.

– Ale... zaraz – powiedział Mark.

– O co chodzi? Proszę się pospieszyć. Mamy ograniczoną ilość czasu do dyspozycji.

– To tutaj – Mark wskazał z pewnym oporem na straszną białą postać na krzyżu – jest z całą pewnością czystym przesądem.

– No więc?

– Więc jeśli tak, cóż to za obiektywizm deptać po tej twarzy? Czy nie jest takim samym przejawem subiektywizmu plucie na tę twarz jak i oddawanie jej czci? To znaczy... a niech to wszyscy diabli... jeśli to jest tylko kawałek drewna, to po co w ogóle coś z tym robić?

– Patrzy pan na to zbyt powierzchownie. Gdyby pan był wychowany w niechrześcijańskim społeczeństwie, nie kazałbym panu tego robić. Oczywiście to przesąd, ale przesąd szczególny, narzucany naszemu społeczeństwu przez wiele stuleci. Można eksperymentalnie wykazać, że wciąż pozostaje dominującym systemem w podświadomości wielu ludzi, których świadomość wydaje się z niego całkowicie wyzwolona. Formalne, wyraźne działanie w przeciwnym kierunku jest więc niezbędnym krokiem ku prawdziwemu obiektywizmowi. To nie jest sprawa podlegająca dyskusji *a priori*. Stwierdziliśmy w praktyce, że nikt nie powinien być z tego zwolniony.

Mark był zaskoczony emocjami, jakich doznawał. Leżący przed nim symbol nie wywołał w nim żadnych uczuć religijnych. Zdecydowanie nie należał do owej idei „prostolinijności”,

„normalności” czy „psychicznej integralności”, która w ciągu ostatnich kilku dni stała się jego jedyną intelektualną ostoją przeciw temu wszystkiemu, co już wiedział o najtajniejszym kręgu Belbury. Straszliwy realizm tego udręzonego ciała był równie odległy od tej idei jak wszystko, co znajdowało się w tym pokoju. Ale nie był o to jedyne źródło jego oporu. Chociaż wiedział, że to tylko rzeźba, znieważenie takiej agonii wydawało mu się czymś odrażającym. Wraz z pojawieniem się tego chrześcijańskiego symbolu sytuacja uległa zasadniczej zmianie, jej rozwój był trudny do przewidzenia. Przeciwwstawienia, do jakich już przywykł – tego, co „normalne”, i tego, co „chore” – przestały się liczyć. Dlaczego położono tu ten krucyfiks? I dlaczego ponad połowa tych trujących obrazów na ścianach miała religijną treść? Miał poczucie, że do tego konfliktu włączyli się nowi gracze – potencjalni sprzymierzeńcy i wrogowie, których istnienia dotąd nie podejrzewał. „Jeśli zrobię krok w jakimkolwiek kierunku, mogę wpaść w przepaść”, pomyślał. Jakaś ośła determinacja, by wbić kopyta w ziemię i nie ruszać się z miejsca, przeszła mu przez myśl.

– Niech się pan pospieszy – powiedział Frost.

Spokojna natarczywość tego głosu i fakt, że tak często był mu posłuszny, o mały włos nie zmusiła go do uległości. Był już bliski spełnienia dziwnego polecenia, choćby po to, żeby mieć to już za sobą. Powstrzymała go bezbronność ukrzyżowanej postaci. To uczucie było całkowicie nielogiczne. Powstrzymał się nie dlatego, że jej ręce przybito gwoździami, lecz dlatego, że wyrzeźbiono je z drewna, przez co stawały się jeszcze bardziej bezbronne, dlatego, że cała ta postać, mimo ohydny realizm, była nieożywiona, a więc nigdy, w żaden sposób, nie mogła się obronić,

nie mogła oddać ciosu. Stała mu przed oczami twarz lalki – jednej z lalek Myrtle – którą w dzieciństwie poszarpał na kawałki. To wspomnienie, nawet teraz, napełniło go wzruszeniem.

– Na co pan czeka, panie Studdock? – rozległ się głos Frosta.

Mark był świadom narastającego zagrożenia. Jeśli nie będzie posłuszny, jego ostatnia szansa ucieczki z Belbury może nieodwołalnie przepaść. Może nie wyjdzie już z tego pokoju. I znowu zaatakowało go to przytłaczające uczucie. Poczł się tak bezbronny jak ten drewniany Chrystus.

Kiedy o tym pomyślał, odkrył, że patrzy na krucyfiks w nowy sposób – już nie jak na kawałek drewna ani pomnik zabobonu, lecz jak na kawałek historii. Chrześcijaństwo mogło być nonsensem, lecz nikt nie wątpił, że ten człowiek kiedyś żył i został ukrzyżowany przez Belbury tamtych czasów.

I to właśnie – Mark nagle zrozumiał – wyjaśniało, dlaczego to wyobrażenie, choć samo nie było symbolem „prostolinijności” czy „normalności”, było jednak przeciwieństwem zwodniczego, fałszywego Belbury. Był to obraz tego, co się stanie, gdy prostolinijność napotka fałsz – co stanie się z nim, jeśli pozostanie uczciwy. Był to, w sensie bardziej dosłownym, niż to przedtem rozumiał, właśnie krzyż: przekreślenie, przeciwieństwo, udręka.

– Czy ma pan nadal zamiar kontynuować szkolenie, czy nie? – zapytał Frost, spoglądając na zegar.

Frost wiedział, że tamci dokonują wizytacji i że Jules musi już dojeżdżać do Belbury, a więc że czasu jest coraz mniej. Wiedział, że w każdej chwili mogą mu przerwać. Jego decyzja o przeprowadzeniu Marka przez ten etap inicjacji właśnie teraz była po części skutkiem poddania się niejasnemu impulsowi (podobnych impulsów doświadczał ostatnio coraz częściej), a po części wynikała z oceny nieoczekiwanego rozwoju wydarzeń. On i Wither, a także prawdopodobnie (od teraz) Straik, byli jedynymi osobami w instytucie, które przeszły pełne wtajemniczenie. Na nich spoczywała odpowiedzialność za zrobienie jakiegokolwiek fałszywego kroku wobec człowieka, który utrzymywał, że jest Merlinem, oraz wobec jego tajemniczego tłumacza. Frost czuł, że jeśli tylko zachowa rozsądek, ma przed sobą szansę zdobycia przewagi nad pozostałymi, szansę stania się dla nich tym, czym oni byli dla reszty czł onków NIBS-u i czym NIBS był dla reszty Anglii.

Wiedział dobrze, że Wither czyha na każdą jego pomyłkę. W tej sytuacji jak najszybsze doprowadzenie Marka do punktu, z którego nie będzie już odwrotu, nabierało wielkiej wagi.

Poddanie się ucznia nie tylko makrobom, ale i mistrzowi, który go wtajemniczył, stawało się sprawą psychologicznej, a nawet fizycznej konieczności.

– Czy pan nie usłyszał, co powiedziałem? – zapytał ponownie.

Mark nie odpowiedział. Pochłonięty był intensywnym myśleniem, bo wiedział, że jeśli przestanie choćby na moment myśleć, sam lęk przed ś miercią pozbawi go możliwości podjęcia samodzielnej decyzji. Chrześcijaństwo to piękna bajka. Byłoby ś mieszne umierać za religię, w którą się nie wierzy. Ten właśnie Człowiek, na tym krzyżu, odkrył, że to bajka, i umarł, uskarżając się na Boga, któremu zaufał i który Go opuścił. Ten Człowiek odkrył, że wszechświat jest wielkim oszustwem. Ale ta refleksja doprowadziła Marka do pytania, którego sobie nigdy nie stawiał. Czy to jest właściwy moment, by odwrócić się od tego Człowieka? Jeśli wszechświat jest oszustwem, to czy istnieje powód, by stanąć po stronie wszechświata? A jeśli to, co „uczciwe”, zawsze jest bezsilne, zawsze i wszędzie narażone na szyderstwo, tortury i w końcu śmierć z rąk oszustów, co wówczas? Czemu nie iść na dno razem z okrętem? Zaczł odczuwać prawdziwe przerażenie, gdy sobie uświadomił, że jego zwykłe obawy zanikają. Były przecież jego zabezpieczeniem.. chroniły go przez całe życie przed podejmowaniem szalonych decyzji, takich wł aśnie jak ta, którą teraz podjął, gdy odwrócił się do Frosta i powiedział:

– To wszystko jest cholerną bzdurą i niech mnie szlag trafi, jeśli się zgodzę zrobić coś takiego.

Kiedy to powiedział, nie miał pojęcia, co teraz nastąpi. Ale Frost po prostu wpatrywał się w niego, a on we Frosta. Potem dostrzegł, że Frost nasłuchuje, i sam zaczął nasłuchiwać. W chwilę później do pokoju wpadli ludzie: mężczyzna w czerwonej todze (Mark nie rozpoznał włóczęgi), olbrzym w czarnej sutannie i Wither.

\* \* \*

W wielkim salonie w Belbury rozpoczęło się wyjątkowo niemiłe przyjęcie. Horacy Jules, dyrektor NIBS-u, przybył pół godziny temu. Zaprowadzono go do gabinetu wicedyrektora, ale wicedyrektora tam nie było. Pokazano mu jego własny apartament, mając nadzieję, że długo tam zabawi. Zabawił tam bardzo krótko. Po pięciu minutach był już na dole i znowu trzeba się było nim zająć, a nikt jeszcze nie zdążył się przebrać. Teraz stał plecami do kominka, popijając sherry, w otoczeniu grona czołowych członków instytutu. Konwersacja ciągnęła się jak sanie po grudzie.

Rozmowa z panem Julesem zawsze była trudna, ponieważ upierał się, aby go traktowano nie jako honorowego przewodniczącego zarządu, lecz jako prawdziwego dyrektora instytutu, a nawet twórcę większości jego idei i programów. A ponieważ jedyną wiedzą, jaką posiadał, była ta, którą mu wpojono ponad pięćdziesiąt lat temu na Uniwersytecie Londyńskim, a jedyną filozofię, jaką znał, zaczerpnął z pism Hoeckla, Josepha McCabe'a i Winwooda Reade'a, trudno było o rozmawianie z nim o tym, co naprawdę robiono w instytucie. Trzeba było odpowiadać na bezsensowne pytania i wyrażać entuzjazm dla idei, które były nieaktualne już wtedy, gdy powstawały. Dlatego też nieobecność wicedyrektora miała tak katastrofalne konsekwencje, bo tylko Wither był mistrzem tego stylu konwersacji, który całkowicie odpowiadał Julesowi.

Jules był typowym londyńczykiem. Bardzo niski, o nogach tak krótkich, że nazywano go Kaczką, miał zadarty nos i twarz, w której pierwotną jowialność pokryła przez lata warstwa zarozumiałości i skutków folgowania przyziemnym namiętnościom. Sławę zdobył najpierw dzięki swym powieściom; później, jako wydawca tygodnika „Chcemy wiedzieć”, osiągnął taką sławę i wpływy w całym kraju, że jego nazwisko było dla NIBS-u naprawdę niezbędne.

– Jak powiedziałem arcybiskupowi – mówił Jules – „Może ekscelencja nie wiedzieć”, tak powiedziałem, „ale według najnowszych badań świątynia jerozolimska miała rozmiary angielskiego wiejskiego kościółka”.

– O Boże! – jęknął cicho Feverstone stojący nieco na uboczu grupy otaczającej Julesa.

– Może napije się pan jeszcze trochę sherry, panie dyrektorze – zaproponowała pani Hardcastle.

– Cóż, nie mam nic przeciwko temu – odparł Jules. – Nie jest najgorsze, chociaż mógłbym wam polecić miejsce, gdzie można dostać coś lepszego. A jak pani idzie, pani Hardcastle, z reformowaniem naszego systemu penitencjarnego?

– Robimy prawdziwe postępy. Myślę, że pewna modyfikacja metody Pellotoffa...

– Zawsze się pytam – przerwał jej Jules – dlaczego nie traktować przestępstwa jak każdej innej choroby? Nie widzę żadnego pożytku z karanie. Chodzi o to, by wprowadzić przestępcę na właściwą drogę, aby umożliwić mu nowy start, aby zaszczepić w nim zainteresowanie życiem. To naprawdę bardzo proste, jeśli się na to spojrzy z tego punktu widzenia. Oś mielę się mniemać, że czytała pani moje krótkie wystąpienie w Northampton?

– Zgadza się z panem – powiedziała pani Hardcastle.

– Cieszę się. Powiem pani jednak, kto się ze mną nie zgadzał. Stary Hingest... notabene, cóż to za dziwaczna sprawa. O ile wiem, nie schwytała pani mordercy? Przykro mi z powodu jego śmierci, ale prawdę mówiąc, nie miałem okazji porozmawiać z nim sam na sam. Pamiętam moje ostatnie spotkanie z Hingestem, rozmawialiśmy właśnie o młodocianych przestępcach, i wie pani, co on powiedział? Powiedział: „Jeśli chodzi o sądy dla młodocianych, to kłopot polega na tym, że zawsze

zobowiązują ich do czegoś, podczas gdy naprawdę same powinny być zobowiązane wobec nich". Niezłe, prawda? Niemniej jednak, jak mówi Wither... ale gdzie on właściwie jest?

– Powinien tu być lada chwila – odpowiedziała pani Hardcastle.

– Mogę się założyć – rzekł Filostrato – że miał jakieś kłopoty z samochodem. Będzie niepokieszony, że nie mógł pana przywitać osobiście, panie dyrektorze.

– Och, nie powinien się tym tak przejmować – powiedział Jules. – Nigdy nie przywiązuję wagi do tych wszystkich formalności, choć sądzę, że mógłby tu być, skoro już przyjechałem. Drogi Filostrato, wyglądasz świetnie. Siedzę twoją pracą z wielkim zainteresowaniem. Widzę w tobie jednego z twórców nowej ludzkości.

– Tak, tak... to jest nasz prawdziwy cel. Już zaczęliśmy...

– Staram się pomóc wam, jak tylko potrafię, przynajmniej w sferze pozatechnicznej – przerwał mu Jules. – Prowadzę tę wojnę od lat. Cały ten problem z życiem seksualnym. Zawsze powtarzam, że wszystkie kłopoty znikną, gdy tylko wyciągnie się to wszystko na światło dzienne, kiedy stanie się to jawne. Całe zło bierze się z tej wiktoriańskiej pruderii. Z robienia z tego wielkiej tajemnicy.

Chcę, aby każdy chłopiec i każda dziewczyna w tym kraju...

– O Boże! – jęknął ponownie Feverstone.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł Filostrato, który jako cudzoziemiec nie zrezygnował jeszcze z prób oświecenia Julesa – ale nie sądzę, aby o to głównie chodziło.

– Wiem, co pan chce powiedzieć – przerwał mu Jules, kładąc tłusty palec wskazujący na rękawie marynarki profesora. – I śmiem twierdzić, że nie przeczytał pan mojej ostatniej pracy. Ale proszę mi wierzyć, jeśli pan zajrzy do pierwszego numeru z ostatniego miesiąca, znajdzie tam pan skromny artykuł wstępny, który ktoś taki jak pan mógł łatwo przeoczyć, bo nie używam w nim żadnych terminów technicznych. Niech pan jednak to przeczyta, to zobaczy pan, że tam wszystko jest wyłożone jak należy. I to w taki sposób, że zrozumie to każdy.

W tym momencie zegar wybił kwadrans.

– Właściwie o której ma być ta kolacja? – zapytał Jules, który lubił bankiety, a zwłaszcza te, na których musiał przemawiać. I nie lubił czekania.

– Za kwadrans ósma – odpowiedziała pani Hardcastle.

– Uważam – rzekł Jules – że ten stary Wither powinien jednak tu być. Chyba mnie rozumiecie, ja się nie czepiam, ale między nami mówiąc, jestem trochę urażony. Chyba mi przyznacie, że mamy tu do czynienia z sytuacją, której raczej trudno było się spodziewać...

– *Ecco* – powiedział Filostrato. – Ktoś właśnie przyszedł.

Do salonu rzeczywiście wkroczył Wither, lecz w towarzystwie, którego Jules na pewno nie mógł się spodziewać, a przy tym wicedyrektor miał z całą pewnością powody, by wyraz jego twarzy sprawiał wrażenie jeszcze większej nieobecności niż zazwyczaj. Został właśnie przepędzony przez własny instytut, jakby był czymś w rodzaju lokaja. Nie pozwolono mu nawet na wtłoczenie dodatkowej ilości krwi i powietrza do aparatury podtrzymującej życie Głowy, gdy odwiedzili komorę, w której ją przechowywano. „Merlin” (jeśli to był Merlin) nie zwrócił zresztą na nią specjalnej uwagi. Co gorsza, stawało się coraz bardziej oczywiste, że ów trudny do wytrzymania inkubus i jego tłumacz zamierzają wziąć udział w uroczystej kolacji inauguracyjnej. Nikt bardziej od Withera nie był świadom absurdalności przedstawienia Julesowi jakiegoś obszarpanego starego księdza, który nawet nie znał dobrze angielskiego, będącego na usługach kogoś, kto wyglądał jak somnambuliczny szympan ubrany w togę doktora filozofii. Prawdziwego wyjaśnienia Julesowi tej sytuacji – nawet gdyby sam wiedział, jak ją wyjaśnić – w ogóle nie brał pod uwagę. Jules był prostym człowiekiem, dla którego słowo „średniowieczny” znaczyło tyle, co „dziki”, a słowo



„magia” budziło jedynie wspomnienia po lekturze *Złotej gałęzi*. Od odwiedzin w Obiektywnym Pokoju musiał też znosić towarzystwo Frosta i Studdocka. Nie polepszył sytuacji fakt, że gdy zbliżyli się do Julesa i wszystkie oczy zwróciły się na nich, pseudo-Merlin opadł na fotel, mruczając coś pod nosem i natychmiast zamknął oczy.

– Drogi dyrektorze – zaczął Wither, mając pewne kłopoty z uregulowaniem oddechu – to naprawdę jedna z najszcześniejszych chwil w moim życiu. Niech mi pan wybaczy, że na skutek trudnych do przewidzenia okoliczności ci nie mogłem być obecny w momencie, gdy pan tutaj przybył... To zupełnie szczególny splot wypadków... Inna bardzo znamienita osoba przybyła tu w tym samym czasie. Pewien cudzoziemiec...

– Och – przerwał mu Jules nieco chrapliwym głosem – a któż to taki?

– Niech mi pan pozwoli... – rzekł Wither, odsuwając się nieco na bok.

– Ma pan na myśli to? – zapytał Jules.

Rzekomy Merlin siedział rozwalony w fotelu, z zamkniętymi oczami, z rękami zwisającymi bezwładnie po bokach, z głową przekrzywioną i słabym uśmiechem na twarzy.

– Czy on jest pijany? Albo chory? A niezależnie od tego, kim on jest?

– On jest, jak już nadmieniałem, cudzoziemcem... – zaczął Wither.

– No, ale to chyba nie upoważnia go do spania w chwili, gdy jest mi przedstawiany, prawda?

– Proszę... – powiedział Wither, biorąc Julesa pod ramię i wyprowadzając go z grupy gości. -

Są pewne okoliczności... byłoby niezmiernie trudno wyjaśnić je tutaj... Sam zostałem całkowicie zaskoczony i gdyby pan tutaj wówczas był, z całą pewnością skonsultowałbym to z panem. Nasz dostojny gość, muszę dodać, jest nieco ekscentryczny i...

– Ale kto to jest? – przerwał mu Jules.

– Nazywa się... ee... Ambrosius. Doktor Ambrosius, rozumie pan?

– Nigdy o nim nie słyszałem – wycedził Jules.

W każdym innym przypadku nie pozwoliłby sobie na taką uwagę, ale cały ten wieczór zaczynał znacząco odbiegać od jego oczekiwań i trochę go już poniosło.

– Niewielu z nas dotychczas o nim słyszało – odrzekł Wither – ale niedługo wszyscy o nim usłyszą. Właśnie dlatego, bez...

– A kim jest ten? – zapytał Jules, wskazując na prawdziwego Merlina. – Wygląda, jakby się nieźle bawił.

– Och, to tylko tłumacz doktora Ambrosiusa.

– Tłumacz? Czy on nie mówi po angielsku?

– Niestety nie. Żyje raczej w swoim własnym świecie.

– Nie mógł pan znaleźć kogoś innego? Duchowny... Nie chcemy tu takich ludzi. Halo! A kim pan jest?

Ostatnie pytanie zostało skierowane do Straika, który stanął przed nim z profetycznym błyskiem w oczach.

– Panie Jules – powiedział – jestem w posiadaniu orędzia, którego musi pan wysłuchać. Ja...

– Zamknij się – warknął Frost.

– Naprawdę, panie Straik, bardzo proszę... – powiedział Wither i przy pomocy Frosta odprowadził go na bok.

– Niech pan posłucha, Wither – rzekł Jules, gdy wicedyrektor wrócił przed jego oblicze. -

Muszę panu szczerze wyznać, że moje wrażenia są dalekie od satysfakcji. Jeszcze jeden duchowny... Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek przedstawiano mi tego rodzaju osoby, i naprawdę nie jestem w stanie tego znosić, rozumie pan? Zdaje mi się, że zaprosił pan tutaj te typy

poza moimi plecami i zamienił pan to miejsce w jakieś seminarium duchowne. A to jest coś, czego nie zniosę i czego nie zniesie cały naród brytyjski.

– Wiem. Wiem – powiedział Wither. – Doskonale rozumiem, co pan czuje. Naprawdę, czekam tylko na sprzyjającą chwilę, aby wyjaśnić panu całą sytuację. Tymczasem, skoro doktor Ambrosius sprawia wrażenie zmęczonego, a właśnie usłyszałem pierwszy dzwonek. .. Och, proszę mi wybaczyć. To jest doktor Ambrosius.

Włóczęga, czując utkwione w sobie spojrzenie prawdziwego maga, wstał z fotela i podszedł do Julesa, który niechętnie wyciągnął rękę. Doktor Ambrosius, patrząc gdzieś ponad ramieniem Julesa i szczerząc zęby w niesamowity sposób, uchwycił ją i potrząsnął z dziesięć lub piętnaście razy, sprawiając wrażenie człowieka, który myślamy jest bardzo daleko. Jules zdążył zauważyć, że cuchnie mu z ust, a jego ręka jest szorstka i twarda.

Doktor Ambrosius nie wzbudził w nim sympatii, podobnie jak masywna postać jego tłumacza, piętrząca się nad nimi.

### *Bankiet w Belbury*

Mark z wielką przyjemnością przebrał się znowu do kolacji, która miała być szczególnie wykwinna. Przy stole siedział między Filostratem po prawej stronie a jakimś niczego nieświadomym gościem po lewej. Nawet Filostrato wydawał mu się wzruszająco ludzki i przyjazny w porównaniu z dwoma wtajemniczonymi profesorami, a do gościa odczuwał instynktowną sympatię, jako do człowieka z zewnątrz. Zaskoczył go widok włóczęgi siedzącego przy honorowym stole między Julesem i Witherem, lecz starał się nie patrzeć w tym kierunku, bo włóczęga, gdy tylko uchwycił jego spojrzenie, podniósł swój kieliszek i mrugnął porozumiewawczo. Dziwny ksiądz stał spokojnie za jego krzesłem. Nie wydarzyło się nic godnego uwagi do czasu, gdy wypito toast za zdrowie króla i Jules wstał, aby wygłosić przemówienie.

Przez pierwsze pięć minut każdy, kto by przebiegł spojrzeniem po długich stołach, ujrzałby to, co się widzi zawsze przy takich okazjach: pogodne twarze starszawych *bons viveurs*, których dobre jedzenie i wino wprowadziło w stan owej błogości, jakiej nie są w stanie zniszczyć najdłużej trwające przemówienia; cierpliwe twarze biesiadników, którzy nauczyli się śledzić własne myśli, kontrolując jednocześnie na tyle uwagę, by w odpowiednim miejscu zareagować śmiechem lub okrzykami akceptacji; pochmurne twarze młodych mężczyzn, nie zachwyconych koniecznością picia portwajnu i marzących o zapaleniu cygara; nienaturalnie skupione, upudrowane twarze kobiet, znających swoje obowiązki wobec społeczeństwa.

Po jakimś czasie w tym zbiorowisku ludzkim, stanowiącym typowe audytorium uroczystych kolacji, zaczęły się jednak pojawiać oznaki nieoczekiwanej zmiany. Tu i tam twarze zwracały się w kierunku mówcy. Można było na nich dostrzec najpierw zdziwienie, potem skupioną uwagę, wreszcie niedowierzanie. W końcu w wielkim salonie zapanowała głęboka cisza, nie przerywana żadnym kasznięciem lub skrzypnięciem krzesła. Wszystkie oczy były utkwione w Julesie, wszystkie usta rozchyliły się bezwiednie w niemej manifestacji doznania, które mogło być tylko mieszaniną fascynacji i przerażenia.

Poszczególni członkowie audytorium zaczęli reagować w różnym czasie. Frost poczuł, że dzieje się coś niezwykłego, gdy usłyszał, jak Jules kończy zdanie słowami: „takim rażącym anachronizmem, jakim byłoby zawierzenie kalwarii we współczesnej wojnie”.

– Kawalerii! – zachnął się Frost prawie na głos. Czy ten głupiec nie mógłby zwracać uwagi na to, co mówi? Może... Ale... ejże! Co to było? Czyżby się przesłyszał? Bo usłyszał, jak Jules stwierdza, że „przyszła gęstość ludzkości zależy od implozji koni przyrody”. „On jest kompletnie pijany”, pomyślał Frost. A potem, krystalicznie czyste w artykulacji, nie dające możliwości pomyłki, padło zdanie:

– Madrigora kwaśnego soku musi być staltibianizowana.

Do Witherera wolniej docierało to, co się dzieje. Nigdy nie oczekiwał, by przemówienia miały w ogóle jakieś znaczenie, i przez długi czas znajome zbitki słów toczyły się przez salę, nie przecząc temu doświadczeniu. Odnosił, co prawda, wrażenie, że Jules wyjątkowo dziś bredzi i że wystarczy jeden fałszywy krok, by zarówno audytorium, jak i mówca przestali nawet udawać, że jego mowa ma jakikolwiek sens. Ale jak długo ta granica nie została przekroczona, przemówienie nawet mu się podobało, bo sam zwykł przemawiać podobnie. Potem pomyślał: „No nie! To już przesada! Nawet oni muszą zauważyć, że nie można mówić o akceptacji wyzwania przeszłości przez rzucanie rękawicy przyszłości”. Popatrzył uważnie po sali. Na razie wszystko jest w porządku, ale nie będzie,

jeśli Jules nie skończy jak najszybciej. W ostatnim usłyszonym zdaniu znalazły się słowa, których z całą pewnością nie znał. Cóż, do diabła, ma znaczyć słowo *aholibaf*? Jeszcze raz popatrzył po sali. Wszyscy słuchali zbyt uważnie, a to zawsze jest zły znak. A potem usłyszał zdanie:

– Surogaty semwszczepione w ciągłość porowatych odmian.

Mark z początku w ogóle nie słuchał przemówienia Julesa. Pojawienie się tego perorującego bubka w przełomowym punkcie jego własnej dramatycznej przygody uznał za niegodny uwagi przypadek. Czuł się zbyt zagrożony, a jednocześnie w jakiś ryzykowny sposób szczęśliwy, więc Julesem w ogóle się nie przejmował. Raz czy drugi wpadła mu w ucho jakaś fraza, wywołując rozbawienie. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na niezwykłość sytuacji, gdy spostrzegł zachowanie tych, którzy siedzieli najbliżej. Potem zauważył, że wszyscy prócz niego słuchają z najwyższą uwagą. Przyjrzał się twarzom i natychmiast sam zaczął słuchać.

– I nie uczynimy tego – mówił Jules – nie uczynimy, dopóki nie zapewnimy sobie erebacji wszystkich prostundialnych inklauz.

Znowu popatrzył po twarzach. Z całą pewnością cią to nie on zwariował: najwyraźniej wszyscy słyszeli ten dziwny bełkot. Jedynym wyjątkiem mógł być włóczęga, który siedział z powagą godną sędziego. Nigdy przedtem nie słyszał przemówienia jednego z tych elegantów i byłby zawiedziony, gdyby coś z tego zrozumiał. Nigdy też jeszcze nie pił markowego portwajnu i choć nie bardzo mu smakował, starał się zachowywać jak człowiek.

Wither ani przez chwilę nie zapomniał o obecności dziennikarzy. Na razie zbyt się nimi nie przejmował. Gdyby w jutrzejszej prasie ukazało się coś niewygodnego, mógłby temu z dziecinną łatwością zaprzeczyć, twierdząc, że reporterzy musieli się upić albo powariowali. Z drugiej strony mógł też pozwolić na rozpowszechnienie prawdziwej wersji. Jules był uciążliwy i ten epizod nadawał się doskonale, by go skompromitować i zrujnować mu karierę. W tej chwili nie to był o najważniejsze. Wither zastanawiał się, co powinien zrobić: czy czekać, aż Jules skończy, czy też powstać i przerwać mu kilkoma rozsądnymi zdaniami. Chciał jednak uniknąć skandalu. Byłoby lepiej, gdyby Jules sam skończył i usiadł. Atmosfera na sali ostrzegła go jednak, że nie można czekać zbyt długo. Zerknął na zegarek i postanowił poczekać jeszcze dwie minuty. Prawie w tej samej chwili zrozumiał, że popełnił błąd. W sali rozległ się nienaturalny, piskliwy śmiech: jakaś głupia baba dostała ataku hysterii. Wither natychmiast dotknął ręki Julesa i powstał.

– Ee?... Krostowaty pedello? – wybełkotał Jules.

Wither położył mu rękę na ramieniu i spokojnie, ale s tanowczo zmusił go do zajęcia pozycji siedzącej. Potem odchrząknął. Wiedział, jak to zrobić, aby wszystkie spojrzenia zwróciły się natychmiast w jego stronę. Kobieta przestała piszczeć. Ludzie poruszyli się i odprężyli. Wither popatrzył po sali w głębokiej ciszy, czując, że całkowicie panuje nad sytuacją. Ma ich wszystkich w garści. Nie będzie już żadnych hysterii. Potem zaczął mówić.

Tak jak przewidywał, w miarę jego wyjaśnień audytorium powinno się coraz bardziej odprężyć, powinien też zabrzmieć szmer pełnego powagi ubolewania wobec tragedii, jaka się właśnie wydarzyła. Wither był całkowicie pewien takiej reakcji. Jednak to, co w rzeczywistości nastąpiło, wprawiło go w stan osłupienia. Już po kilku jego słowach zapanowała taka sama, pełna napięcia cisza, jaka towarzyszyła przemówieniu Julesa. Kobieta znowu zaczęła się histerycznie śmiać – nie, już dwie kobiety. Cosser spojrział na niego z przerażeniem, zerwał się z miejsca, przewracając krzesło, i wybiegł z sali.

Wicedyrektor nie był w stanie pojąć, co się dzieje, ponieważ jego własny głos zdawał się wypowiadać ściśle to, co zamierzał powiedzieć. Audytorium słyszało jednak co innego.

– Wyplawy i błyskoludzie... będę forował, abyśmy wszyscy... ee... ostrowato odparli

defensywilne, chociaż wierzę, toaletowe Aspazja, która pomyka, aby wybrać naszego zbawionego inspektora, to oszuka. Byłoby to... ach... oszustliwe, bardzo oszustliwe, od czyjejkolwiek obligacji...

Śmiejąca się histerycznie kobieta gwałtownie wstała. Jej sąsiad usłyszał, jak mamrocze: „Wuud huuluu”. Nie wiedział dlaczego, ale zarówno ten bełkot, jak i nienaturalny wyraz jej twarzy rozwścieczył go. Podniósł się, aby pomóc jej odsunąć krzesło jednym z owych gestów fałszywej uprzejmości, które w naszym społeczeństwie często zastępują uderzenia. W rzeczywistość ci wyrwał jej oparcie z rąk. Kobieta wrzasnęła, zachwiała się i upadła. Sąsiad z drugiej strony dostrzegł wściekłość na twarzy pierwszego mężczyzny.

– Czyś przyklynty?! – ryknął, rzucając się na niego. Już z pięć osób podniosło się z miejsc w tej części sali. Wszyscy krzyczeli. Zrobiło się zamieszanie. Wielu kierowało się ku drzwiom.

– Tobolarze! Tobolarze! – zawołał Wither.

Zwykle, gdy podnosił głos i wypowiadał jedno autorytatywne słowo, potrafił opanować takie sytuacje. Tym razem nikt go nie słuchał. W tym momencie przynajmniej dwadzieścia osób próbowało zrobić to samo. Każdemu wydawało się oczywiste, że w tej sytuacji parę rozsądnych zdań, wypowiedzianych przez kogoś nowego, przywróci spokój. Jedno ostre zdanie, jakiś dowcip, coś spokojnego i znaczącego. W rezultacie z różnych miejsc rozlegał się bezsensowny szwargot.

Frost był jedynym z kierownictwa, który nie próbował przemówić. Zamiast tego napisał kilka słów na kartce, skinął na służącego i dał mu do zrozumienia gestami, by podał kartkę pani Hardcastle.

Zanim doręczono jej kartkę, na sali panował już straszliwy zgiełk. Markowi przywodził na myśl ożywiony zgiełk w zatłoczonej zagranicznej restauracji. Pani Hardcastle chwyciła kartkę i pochyliła głowę, by przeczytać wypisane na niej słowa. A słowa te brzmiały: „Przytęp durnostojków natychmiast do wskazanego bdelaroidu”.

Pani Hardcastle zdawała sobie sprawę już wcześniej, że jest porządnie wstawiona. Spodziewała się tego i robiła wszystko, aby ten stan osiągnąć. Wiedziała, że późnym wieczorem zjedzie do pomieszczeń dla więźniów i zajmie się swoimi zwykłymi sprawami. Miała tam nową zdobycz – małą, trzpiotowatą dziewczynkę, z rodzaju tych, jakie bardzo lubiła – z którą obiecywała sobie spędzić miłą godzinkę. Zgiełk bezsensownych słów nie wzbudzał w niej zaniepokojenia; stwierdziła, że nawet ją to podnieca. Frost najwyraźniej chciał, żeby zaczęła działać. Postanowiła to zrobić. Wstała, przeszła przez całą salę do drzwi, zamknęła je, schowała klucz do kieszeni i odwróciła się, by ocenić sytuację. Dopiero teraz zauważyła, że nigdzie nie ma ani doktora Ambrosiusa, ani jego tłumacza. Wither i Jules szamotali się ze sobą. Ruszyła ku nim.

Tyle już osób wstało od stołów, że przejście do dyrektorów zajęło jej sporo czasu. Sala nie przypominała teraz w niczym uroczystego bankietu; to, co się działo, bliższe było raczej scenom z londyńskiego dworca w przedświąteczny wieczór. Każdy chciał przywrócić porządek, ale też każdy bełkotał w sposób prawie całkowicie niezrozumiały dla reszty, co w rezultacie powodowało, że wszyscy coraz bardziej podnosili głos. Pani Hardcastle sama wykrzyknęła coś parę razy. Zanim dotarła do celu, nie darowała sobie też udziału w kilku bójkach.

Rozległ się ogłuszający huk, a po nim przez kilka sekund w końcu zapanowała cisza. Mark zauważył najpierw, że Jules pada na podłogę, i dopiero po chwili zorientował się, że pani Hardcastle po prostu go zastrzeliła. Teraz trudno już było przewidzieć, co może się wydarzyć. W panice, jaka ogarnęła salę, łatwo dałoby się zrealizować z tuzin pomysłów rozbrojenia mordercy, ale podjęcie jakiegoś zorganizowanego działania było po prostu niemożliwe. Wróżka wypaliła z rewolweru jeszcze kilka razy. Kiedy Mark wspominał tę scenę po latach, pamiętał najbardziej zapach: zapach prochu zmieszany z wonią krwi, portwajnu i madery.

Nagle wszystkie głosy zmieszały się w jedno wysokie i długie wycie. Wszystkich ogarnęła

jeszcze większa panika. Coś przemknęło po podłodze między dwoma stołami i znikło pod jednym z nich. Przynajmniej połowa gości nie zdołała dostrzec, co to było – uchwyciła tylko błysk czegoś czarnego i brązowego. Ale Mark dostrzegł to wyraźnie. To był tygrys.

Tego wieczoru wszyscy po raz pierwszy odkryli, jak wiele kryjówek zawierał salon w Belbury. Tygrys mógł być pod każdym ze stołów. Mógł schować się w jednej z wielu nisz okiennych, za kotarami lub za draperią zasłaniającą róg sali.

Byłoby błędem mniemać, że w takiej sytuacji nikt już nie zachowa resztek zdrowego rozsądku.

Wielu próbowało ugasić panikę, apelując głośno do wszystkich zebranych lub natarczywym szeptem do najbliższych sąsiadów. Starano się zorganizować uporządkowaną ewakuację z sali, wskazywano, jak wywabić lub wypłoszyć tygrysa z kryjówki, aby go zastrzelić. Niestety, klątwa niezrozumiałego szwargotu niweczyła wszystkie wysiłki. Nie można też było zapanować nad kolizją wynikłą ze zderzenia dwóch fal ludzi: większość nie zauważyła zamknięcia głównych drzwi przez panią Hardcastle i próbowała dostać się do nich za wszelką cenę, pozostali zaś, wiedząc, że drzwi są zamknięte, parli w przeciwnym kierunku, przekonani, iż salon musi mieć inne wyjścia, to używane przez służbę i to, przez które dostał się tygrys. Te dwie fale się cierały się na środku sali, tworząc kłębowisko przywodzące na myśl starcie dwu drużyn w meczu rugby – starcie najpierw hałaśliwe, gdy próbowano się jeszcze wzajemnie przekonać, a potem, gdy walka rozgorzała na dobre – prawie ciche, jeśli pominąć zdyszane oddechy, jęki, tupot obcasów i niezrozumiałe bełkot.

Czterech czy pięciu szepionych ze sobą mężczyzn gwałtownie zepchnięto na stół.

Przewracając się, ściągnęli obrus razem z całą zastawą: misami pełnymi owoców, karafkami, kieliszkami i talerzami. Wśród całego tego zamieszania nagle rozległ się ryk przerażenia i pojawił się tygrys. Wydarzyło się to tak szybko, że Mark ledwo zarejestrował tę scenę spojrzeniem. Ujrzał potworny łeb, płonące oczy, koci grymas pyska, z którego wydobywało się warczenie. Usłyszał strzał i tygrys zniknął po raz drugi. Pod nogi walczą cich upadło coś grubego, białego i zakrwawionego. Było to ludzkie ciało. Z początku Mark nie mógł rozpoznać, czyje to ciało, bo wykrzywiona w straszliwym grymasie twarz miotła się w obie strony. Potem znieruchomiała.

Poznał panią Hardcastle.

Withera i Frosta nigdzie nie było widać. Mark odwrócił się, bo tuż za sobą usłyszał stłumiony ryk. Był pewien, że to tygrys, lecz kątem oka uchwycił coś mniejszego i szarego. W pierwszej chwili pomyślał, że to owczarek alzacki. Jeśli tak, to pies musiał być wś ciekły. Biegł wzdłuż stołu z podwiniętym ogonem, tocząc ślinę z pyska. Jakaś kobieta, stojąca tyłem do stołu, odwróciła się, zobaczyła zwierzę i otworzyła usta, aby krzyknąć, gdy bestia skoczyła jej do gardła, powalając na ziemię. To nie był owczarek – to był wilk.

Filostrato wrzasnął i wskoczył na stół. Coś przemknęło między jego nogami, ześ liznęło się na podłogę i wystrzeliło płową błyskawicą między nogi tłumu, wzbudzając nową falę zbiorowej paniki. Był to jakiś gatunek węża.

Z każdą chwilą w salonie przybywało coraz więcej nowych zwierząt. Ponad bezładną mieszaniną dźwięków dał się w końcu słyszeć jeden odgłos, który ci, co zachowali jeszcze zdolność rozpoznawania dźwięków, powitali z ulgą. Bum – bum – bum: ktoś taranował drzwi z drugiej strony. Były to wielkie, dwuskrzydłowe drzwi, przez które mogłaby chyba przejechać mała lokomotywa, ponieważ salon miał być imitacją jednej z sal w Wersalu. Już w drzwiach pękły dwa panele, a huk doprowadzał do szaleństwa tych, którzy stłoczyli się najbliżej, i jeszcze bardziej rozwścieczał zwierzęta. Nie zatrzymywały się, by rozszarpać i pożreć ciała ofiar, najwyżej po to, by liznąć trochę krwi. Teraz wszędzie już było mnóstwo trupów i konających, bo ludzie ginęli również tratowani przez innych. Ze wszystkich stron dobiegały rozpaczliwe okrzyki tych, którzy usiłowali porozumieć

się z tymi, którzy byli na zewnątrz.

– Szybko! Szybko! Pospieszcie się!

Olbrzymi goryl wskoczył na honorowy stół i zaczął bębnić pięściami po włochatej piersi, a potem z rykiem runął w tłum.

W końcu drzwi puś ciły. Z ciemności wyłoniło się coś wężowatego i szarego. Zakołysało się w powietrzu, a potem zaczęło metodycznie wyłamywać potrzaskane resztki drzwi po obu stronach.

Potem zniżyło się, oplotło jakiegoś mężczyznę – to był chyba Steele – i uniosło go powoli w górę.

Dopiero wówczas przez otwór po wyłamanych drzwiach wkroczył do sali monstrualny, nieprawdopodobny, olbrzymi słoń. Miał małe, zagadkowe oczy i postawione sztywno uszy przywodzące na myśl skrzydła diabła. Przez chwilę stał nieruchomo, trzymając w pętli trąby wijącego się Steele'a, a potem zaryczał, rzucił go na podłogę i powoli rozdeptał. Wówczas podniósł głowę, jeszcze raz zatrąbił, zarżał chrapliwie i ruszył w głąb sali, trąbiąc i tratując – systematycznie miażdżąc ludzkie ciała jak dziewczyna rozdeptująca winogrona, ciężko, we wściekłym zapamiętaniu krocząc przez drgającą masę krwi i kości, ciał, wina, owoców i nasiąkniętych czerwienią obrusów.

Mark poczuł, że ten widok wzbudza w nim coś więcej niż tylko samo przerażenie. Pełna jakiejś niewysłowionej dumy i arogancji wspaniałość tego zwierzęcia, beztroska, z jaką zabijało, zdawała się miażdżyć jego psychikę tak, jak te masywne płaskie stopy miażdżyły kobiety i mężczyzn. Oto z całą pewnością przybył król świata... A potem nagle wszystko pochłonęła ciemność i stracił przytomność.

\* \* \*

Kiedy Pan Bultitude odzyskał zmysły, stwierdził, że znajduje się w ciemnym miejscu pełnym nieznanych zapachów. Nie było to dla niego jakimś wielkim zaskoczeniem i nie wzbudziło w nim strachu. Przywykł do tajemnic. To, co teraz się z nim działo, nie było przygodą bardziej godną uwagi od wetknięcia głowy do jednego z pustych pokojów w St Anne's, co czasami robił. Ogólnie rzecz biorąc, były to zapachy dość obiecujące. Rozpoznał gdzieś w pobliżu jedzenie i – co było jeszcze bardziej podniecające – samicę swojego gatunku. Wyczuwał również wiele innych zwierząt, ale to nie wzbudzało w nim większego zainteresowania. Postanowił wyjść, aby odszukać samicę i jedzenie. Wtedy właśnie odkrył, że ciemne miejsce, w którym się znalazł, otaczają z trzech stron ściany, a z czwartej krata. Nie mógł wyjść. Świadomość tego, w połączeniu z niejasną tęsknotą za ludzkim towarzystwem, do którego przywykł, wprowadziła go stopniowo w stan depresji. Zapadł w otchłań smutku tak dojmującego, jaki może znać tylko zwierzę – w toń bezbrzeżnego oceanu nieutulonej rozpacz, na którym nie kołysała się choćby najlichsza tratwa, jakiej można by się ucześcić. Pozwolił, aby w jego gardle narodził się skowyt, i na swój sposób zapłakał.

Niedaleko od niego inny więzień pogrążył się w prawie równej rozpacz. Tym więźniem był pan Maggs, siedzący w niewielkiej białej celi i przeżuwiający swą udrękę jak każdy prosty człowiek. W takich okolicznościach osoba wykształcona rozmyślałaby zapewne o tym, jak owa nowa idea zamiany kary na „leczenie”, tak humanitarna na pierwszy rzut oka, w rzeczywistości pozbawia skazańca wszystkich praw, a rezygnując z samego pojęcia kary, czyniła ów proces niekończącym się i nieodwracalnym. Pan Maggs myślał jednak tylko o jednym: że jest to dzień, na który liczył przez cały czas odsiadania swojego wyroku, że oczekiwał tak długo tego dnia, aby w domu napić się herbaty z Ivy (na pewno przygotowuje coś smacznego na powitanie), i że to się nie stało. Siedział nieruchomo i cicho. Co jakieś dwie minuty pojedyncza łza spływała mu po policzku.

Być może czułby się nieco lepiej, gdyby mu zostawiono paczkę papierosów.

Obu więźniów uwolnił Merlin. Opuś cił salę bankietową, gdy tylko rzucił na wrogów klątwę

wieży Babel. Nikt go nie zauważył. Wither usłyszał jego głos, wyrazisty i nie do zniesienia spokojny na tle zgiełku nonsensownego bełkotu:

– *Qui Verbum Dei contempserunt, eis auferetur etiam verbum hominis.* [Tym, którzy gardzą Słowem Bożym, odjęte zostanie i słowo ludzkie.]

Potem nie zobaczył już ani jego, ani włóczęgi. Merlin odszedł, aby zniszczyć jego dom.

Uwolnił zwierzęta i ludzi. Te zwierzęta, które już okaleczono, uśmiercił siłą swej nieziemskiej mocy, tak szybko i bezboleśnie, jakby ich poraziły dobroczynne strzały Artemidy. Panu Maggsowi wręczył list następującej treści:

*Najdroższy Tomie, mam nadzieję, że nic Ci się nie stało, a nasz Przewodniczący to porządny człowiek i mówi, żebyś jak najszybciej przybył tu, do Dworu w St Anne's. I cokolwiek zrobisz, nie idź przez Edgestow, Tom, ale jakąś inną drogą, myślę, że Cię ktoś podwiezie. Tyle na razie. Z wyrazami miłości zawsze Twoja Ivy.*

Innym więźniom Merlin pozwolił iść, gdzie zechcą. Włóczęga, dojrzwawszy z daleka plecy Merlina, zawahał się przez chwilę, a potem czmychnął, najpierw do kuchni, gdzie naładował sobie kieszenie jedzeniem, wreszcie w szeroki świat.

Wszystkie zwierzęta, prócz jednego osła, który zniknął w tym samym czasie, co włóczęga, Merlin posłał do salonu, oszalałe od jego głosu i dotyku. Zatrzymał tylko Pana Bultitude'a. Ten rozpoznał w nim od razu człowieka, przy którym siedział w Niebieskim Pokoju, tym razem trochę mniej miłego i przyklepnego, ale niewątpliwie tego samego. Nawet bez brylantyny było w Merlinie coś, co bardzo odpowiadało niedźwiedziowi. Druid położył mu rękę na łbie i szepnął coś do ucha, a mroczna świadomość zwierzęcia wypełniła się cudownym podnieceniem: od dawna zapomniane i zakazane uciechy zostały mu przypomniane z przyzwalającą siłą. Biegł za nimi truchtem długimi, pustymi korytarzami Belbury. Myślał o ciepłym, słonym smaku, o rozkosznym oporze kości, o rzeczach, które się chrupie, wysysa i rozszarpuje.

\* \* \*

Mark poczuł, że ktoś nim potrząsa, a w chwilę później zimna woda chlusnęła mu w twarz. Z trudem usiadł. Salon był pusty. Na podłodze leżały poszarpane martwe ciała. Nieruchome elektryczne światło spływało na ohydny mieszaninę krwi, resztek jedzenia, luksusowej zastawy i strzępów ciała.

– *Surge, miselle* [Wstań, niegodziwcze.] – rozległ się głos i czyjeś silne ręce pomogły mu wstać.

Był to rzekomy baskijski ksiądz. Mark wstał. Bolała go głowa, a na ciele miał kilka lekkich ran i potłuczeń. Mężczyzna podał mu wielki srebrny kielich pełen wina, ale Mark wzdrygnął się i odmówił bez słowa. Oszołomiony, spojrzał na nieznajomego i dostrzegł, że ten wtyka mu w rękę kartkę papieru. Odczytał:

*Twoja żona oczekuje Cię we Dworze w St Anne 's on the HM. Postaraj się przybyć tam jak najszybciej drogą. Nie zbliżaj się do Edgestow – A. Denniston.*

Spojrzał ponownie na Merlina i pomyślał, że ta twarz jest straszna. Merlin popatrzył na niego z władczą powagą, położył mu rękę na ramieniu i popchnął lekko, a potem powiódł przez ponurą, spustoszoną salę do roztrzaskanych drzwi. Dotyk jego palców wywoływał dziwne mrowienie.

Zaprowadził Marka do szatni, gdzie gestem nakazał mu włożyć czyjś płaszcz i kapelusz. Wyszli na zewnątrz, pod usiane gwiazdami niebo. Mogła być druga w nocy. Było zimno, na niebie jarzył się zielonkawy Syriusz, a w powietrzu wirowały rzadkie płatki suchego śniegu. Mark wzdrygnął się i zatrzymał. Nagle nieznajomy uderzył go otwartą dłonią w plecy. To uderzenie Mark zapamiętał na całe życie: utrwaliło się w jego kościach, które na samo wspomnienie reagowały krótkim, dojmującym bólem. W chwilę później biegł już tak, jakby znowu był chłopcem – nie ze strachu, po



prostu nogi same go niosły. Kiedy w końcu odzyskał nad nimi kontrolę, był już jakieś pół mili od Belbury. Obejrzał się i ujrzał łunę na niebie.

\* \* \*

Wither nie został zabity w sali bankietowej. Znał dobrze wszystkie możliwe drogi ucieczki i zdołał się wymknąć jeszcze przed pojawieniem się tygrysa. Bardziej od innych zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Zauważył, że głównym sprawcą straszliwego zamieszania jest baskijski ksiądz, i zrozumiał, że Belbury zostało zaatakowane przez moce potężniejsze od ludzkich.

Tak pomieszać języki mógł tylko ktoś, czyja dusza dosiadała samego Merkurego. A to oznaczało coś groźnego. To oznaczało, że jego mroczni Panowie całkowicie mylili się w swoich kalkulacjach.

Mówili mu o barierze, przez którą moce z Głębin Niebios nie mogą osiągnąć powierzchni Ziemi, zapewniali, że nikt i nic nie może się przedostać przez orbitę Księżyca. Cała ich strategia opierała się na przekonaniu o szczelnej blokadzie Tellusa, zdanego wyłącznie na ich i jego łaskę. Zrozumiał więc, że wszystko stracone.

Trudno uwierzyć, jak mało go to poruszyło. Przyczyna była prosta: Wither od dawna przestał wierzyć w wiedzę jako taką. To, co w jego odległej młodości było jedynie odrazą do rzeczywistości prymitywnych i wulgarnych, z roku na rok pogłębiało się i ciemniało aż do niewzruszonego odrzucenia wszystkiego, co w jakimś stopniu nie było nim samym. Przeszedł od Hegla do Hume'a, potem przez pragmatyzm, następnie przez pozytywizm logiczny, aby w końcu dojść do całkowitej próżni poznawczej. Tryb oznajmujący stał mu się zupełnie obcy. Z całego serca pragnął, by nie było żadnej rzeczywistości i żadnej prawdy. Teraz nawet bliskość własnej klęski nie mogła go obudzić.

Ostatnia scena *Fausta*, gdzie bohater szaleje i błaga o przebaczenie na skraju piekła, jest, być może, nieco zbyt teatralna. Ostatnie chwile przed potępieniem nie zawsze są dramatyczne. Często człowiek wie, i to bardzo jasno, że jakiś (wciąż możliwy) akt własnej woli mógłby go jeszcze uratować. Nie potrafi jednak z tej wiedzy skorzystać. Jakaś nałogowa zmysłowość, jakaś odraza do czynu, poddanie się jakiemuś fatalnemu letargowi wydają mu się w owym momencie ważniejsze od wyboru między totalną radością a totalną destrukcją. Z szeroko otwartymi oczami, wiedząc, że stoi u progu przerażenia, które nie będzie miało końca, a jednak (jeszcze przez chwilę) niezdolny do odczuwania lęku spogląda, nie czyniąc nic, aby się ratować, podczas gdy rozrywają się ostatnie więzi łączące go z radością i rozumem, a senne spojrzenie już dostrzega sidła, w które niebawem wpadnie jego dusza. Jakże często paraliżująca senność ogarnia tych, którzy schodzą z właściwej drogi!

Straik i Filostrato też jeszcze żyli. Spotkali się w jednym z owych chłodnych, jasno oświetlonych korytarzy, tak oddalonym od sali bankietowej, że odgłosy jatki były tu jedynie cichym gwarem. Filostrato miał poszarpaną prawą rękę. Nie potrafili się porozumieć – obaj wiedzieli, że to bezcelowe – szli w milczeniu ramię w ramię. Filostrato zamierzał obejść cały budynek, aby dostać się do garażu na tyłach; sądził, że będzie w stanie poprowadzić samochód, przynajmniej do Sterk.

Doszli do załamania korytarza i zobaczyli coś, czego już nigdy nie spodziewali się zobaczyć: wicedyrektora sunącego jak zwykle ze zgarbionymi plecami i nucącego pod nosem swoją posępną melodię. Filostrato nie miał ochoty mu towarzyszyć, lecz Wither, jakby dostrzegł jego ciężko zranioną rękę, zaoferował mu ramię. Filostrato spróbował odmówić, lecz z jego ust popłynęły tylko nonsensowne sylaby. Wither uchwycił go mocno pod lewe ramię, Straik złapał z drugiej strony.

Jęcząc i wijąc się z bólu, Filostrato musiał pójść z nimi. Czekały go jeszcze gorsze przeżycia. Nie należał do wtajemniczonych i nie miał pojęcia o ciemnych eldilah. Wierzył, że to jego sprawność zawodowa utrzymuje przy życiu mózg Alcasana. Dlatego, mimo straszego bólu, zawył z przerażenia, gdy spostrzegł, że tamci ciągną go przez komorę wstępną do komory Głowy, lekceważąc

przy tym wszystkie antyseptyczne zabiegi, do których on zawsze zmuszał swoich uczonych kolegów. Bezskutecznie próbował im wyjaśnić, że jedna chwila takiej lekkomyślności może zniszczyć całą jego dotychczasową pracę. Tym razem zaczęli się rozbierać już w komorze Głowy. Zdjęli z siebie wszystko.

Z niego też zdarli ubranie. Gdy prawy rękaw marynarki, sztywny od krwi, nie chciał zejść, Wither przyniósł z komory wstępnej nóż i odciął go. W końcu wszyscy trzej stanęli nadzy przed Głową – wychudły, grubokościsty Straik, przypominający roztrzęsioną górę tłuszczu Filostrato i Wither, chodząca obsceniczna demencja. Wówczas Filostrato znalazł się na krawędzi ostatecznego przerażenia, które miało mu odtąd towarzyszyć aż do końca. Stało się to, co zawsze uważał za niemożliwe. Nikt nie odczytał wskaźników, nikt nie wyrównał ciśnienia, nie otworzył dopływu powietrza i sztucznej śliny. A jednak z wyschłych ust głowy martwego człowieka wydobyły się słowa.

– Oddajcie mi cześć! – powiedziała Głowa.

Filostrato poczuł, że towarzysze zmuszają go do ruchu: do przodu, do góry, do przodu, w dół.

Podskakiwał i przyginał się rytmicznie razem z nimi w jakimś upiornym tańcu. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie zobaczył w życiu, były fałdy na szyi Withera, trzęsące się jak korale na szyi indyka, a jednym z ostatnich dźwięków, jakie usłyszał, był śpiew Withera, do którego wkrótce dołączył się Straik. A potem, ku swemu przerażeniu, stwierdził, że śpiewa razem z nimi: *Auroborindra!*

*Auroborindra!*

*Auroborindra ba-ba-hii!*

Nie trwało to jednak długo.

– Jeszcze jedną – powiedział głos. – Dajcie mi jeszcze jedną głowę.

Filostrato natychmiast zrozumiał, dlaczego pchają go do pewnego miejsca w ścianie. Sam to przecież wymyślił. Za dwuskrzydłowymi drzwiczkami było okienko, w którym – zamiast podnoszonej pionowo ramy z szybą – tkwiło szerokie, ciężkie ostrze. Ale przecież tej małej gilotyny nie powinno się używać w ten sposób! Nie tak! Chcą go zamordować bezsensownie, nienaukowo!

Gdyby on sam robił to z jednym z nich, wszystko wyglądałoby inaczej: wszystko byłoby przygotowane poprzedniego dnia, temperatura obu pomieszczeń właściwie dobrana, ostrze wysterylizowane, przewody gotowe tuż przed odłączeniem głowy. Obliczył nawet, jakie zmiany w ciśnieniu krwi dawcy wywoła spodziewany wzrost przerażenia; należało to uwzględnić, sterując wymuszonym przepływem krwi tak, aby dokonywał się on równomiernie, bez najmniejszych wahań wskaźnika pompy.

Ostatnią jego myślą było to, że nie docenił stopnia przerażenia dawcy.

Dwaj wtajemniczeni, ochlapani krwią od stóp do głów, wpatrywali się w siebie, dysząc ciężko.

Zanim tłuste nogi i pośladki Włocha przestały dygotać, obaj podjęli rytualny taniec.

*Auroborindra!*

*Auroborindra!*

*Auroborindra ba-ba-hii!*

Ta sama myśl przyszła im do głowy jednocześnie: „Zaraz zażąda nowej głowy”. Straik pamiętał, że Wither ma nóż. Straszliwym wysiłkiem uwolnił się od rządzącego jego ciałem rytmu, w piersiach poczuł ból, jakby je od wewnątrz rozrywały stalowe kleszcze. Rzucił się do drzwi.

Zdołał wpaść do komory wstępnej, lecz tam poślizgnął się na krwi Filostrata i to wystarczyło, aby Wither go dopadł, dźgając nożem. Nie miał siły przebić mu karku, ale ciosy w plecy były dostatecznie głębokie. Wyprostował się dręczony tęnym bólem starczego serca. Dostrzegł głowę Filostrata leżącą na podłodze. Przyszło mu na myśl, że powinien pokazać ją Głowie. Podniósł ją i

przeszedł do głównej komory, a wówczas uświadomił sobie, że w pomieszczeniu, które dopiero opuścił, coś się poruszyło. Czyżby nie zamknęli za sobą zewnętrznych drzwi? Nie mógł sobie przypomnieć. Weszli tu, wciągając między sobą Filostrata... może... wszystko było takie nienaturalne... Odłożył głowę Filostrata – prawie uprzejmie, nawet w takiej chwili – i zaczął się skradać do drzwi łączących obie komory. I nagle rzucił się do tyłu. W przejściu zobaczył olbrzymiego niedźwiedzia, który na jego widok stanął na tylnych łapach, z otwartym pyskiem i płonącymi ślepiami, z przednimi łapami wyciągniętymi do niego jakby do powitalnego uścisku.

Czy to ostatnia postać, w jaką przemienił się Straik? Wither wiedział (choć nawet teraz nie potrafił się tym przejąć), że znajduje się na samej granicy świata, w którym takie rzeczy są możliwe.

\* \* \*

Jedyną osobą w Belbury, która tego wieczoru zachował a trzeźwość umysłu, był Feverstone.

Nie był ani wtajemniczonym jak Wither, ani naiwną ofiarą jak Filostrato. Wiedział o makrobach, lecz te sprawy nie bardzo go interesowały. Wiedział, że to, co w Belbury zaplanowano, może się nie powieść, ale wiedział też, że gdyby tak się stało, zdąży stamtąd uciec. Miał przygotowane wiele wariantów odejścia. Nie dręczyły go żadne wyrzuty sumienia i nie bawił się w żadne sztuczki ze swoją samoświadomością. Nigdy nie posuwał się do oszczerstw wobec innych, chyba że chodziło o jego własną posadę, nigdy nie oszukiwał, chyba że chodziło o pieniądze, nigdy nie pogardzał ludźmi, chyba że go nudzili. Dość wcześnie się zorientował, że wydarzenia przybierają zły obrót.

Trzeba było tylko ocenić, jak dalece zły. Czy oznaczało to koniec Belbury? Jeśli tak, to powinien wrócić do Edgestow i oficjalnie zająć pozycję, którą sobie już wcześniej przygotował – pozycję obrońcy uniwersytetu przed zakusami NIBS-u. Z drugiej strony, gdyby istniała jeszcze jakaś szansa odegrania roli człowieka, który uratował Belbury w momencie groźnego kryzysu, dałoby mu to niewątpliwie lepszą pozycję. Postanowił zwlekać z decyzją tak długo, jak będzie to bezpieczne. I czekał długo. Znalazł okienko, przez które z korytarza kuchennego podawano gorące dania do sali jadalnej, przeszedł przez nie i spokojnie obserwował to, co działo się wewnątrz.

Nerwy miał jak ze stali i był pewny, że zdąży pociągnąć i zamknąć drzwiczki, gdyby jakieś niebezpieczne zwierzę zbliżyło się do okienka. Stał tam, obserwując masakrę na sali, z czymś w rodzaju uśmiechu na twarzy, paląc papierosy jeden po drugim i bębniąc palcami po parapecie.

Kiedy już było po wszystkim, powiedział do siebie: „A niech to diabli!” Z całą pewnością był świadkiem wydarzeń niezwykłych.

Wszystkie zwierzęta gdzieś się pochowały. Wiedział, że może się natknąć na któreś w korytarzach, ale musiał zaryzykować. Niebezpieczeństwo – zwłaszcza umiarkowane – działało na niego pokrzepiająco. Udał się na tyły domu, do garażu, bo wyglądało na to, że musi natychmiast dostać się do Edgestow. Samochodów było o wiele mniej, niż oczekiwał, a swojego nie znalazł.

Najwidoczniej wielu gości ci wpadło na rozsądny pomysł opuszczenia Belbury, kiedy to jeszcze był o możliwości. Bez żadnych skrupułów zaczął się rozglądać za jakimś innym wozem tej samej marki. W końcu znalazł i po dłuższym czasie zdołał uruchomić. Noc była zimna, pomyślał nawet, że pewnie zaraz zacznie padać śnieg. Po raz pierwszy tej nocy nachmurzył się: nienawidził śniegu. Było parę minut po drugiej.

Miał już ruszyć, gdy doznał dziwnego uczucia, że ktoś jest w wozie za jego plecami.

– Kto tu jest? – zapytał ostrym tonem.

Postanowił wysiąść i sprawdzić, lecz ze zdumieniem przekonał się, że jego ciało nie wykonało polecenia – zamiast tego wyprowadził o samochód z garażu i skierowało na drogę. Teraz śnieg

rzeczywiście padał. Stwierdził, że nie może obrócić głowy ani zatrzymać samochodu. Jechał bardzo szybko, stanowczo za szybko w tym cholernym śniegu. Nie miał jednak wyboru. Często słyszał, że można prowadzić samochód z tylnego siedzenia i wyglądało na to, że teraz coś takiego się dzieje.

Potem zauważył, że zjeżdża z drogi. Nie tracąc ani trochę szybkości, wóz podskakiwał na czymś, co okoliczni mieszkańcy nazywali Gipsy Lane, a ludzie bardziej wykształceni Wayland Street, a co w rzeczywistości było starą rzymską drogą prowadzącą z Belbury do Edgestow, zarośniętą trawą i pełną wybojów. „Co ja, do diabła, robię?“, myślał. „Może jestem zalany? Złamię kark, jeśli nie będę uważał!“ Ale samochód pędził dalej, jakby go prowadził ktoś, kto uważał ten zabytkowy trakt za wyśmienitą szosę i jedyną oczywistą drogę do Edgestow.

\* \* \*

Frost opuścił salę jadalną kilka minut po Witherze. Nie bardzo wiedział, dokąd pójść i co ze sobą zrobić. Przez wiele lat wierzył w teorię, że wszystko, co pojawia się w umyśle jako motyw lub intencja, jest tylko produktem ubocznym tego, co robi ciało. W ciągu ostatniego roku – od czasu swojego wtajemniczenia – zaczął jednak rzeczywiście przeżywać to, co uprzednio wydawało mu się tylko teorią. Jego działania w coraz większym i większym stopniu pozbawione były motywów.

Robił to i tamto, mówił tak a tak, nie wiedząc zupełnie dlaczego. Jego umysł stał się jedynie widzem. Przestał zresztą rozumieć, dlaczego ów widz w ogóle istnieje. Miał mu za złe to istnienie, chociaż wciąż utwierdzał się w przekonaniu, że takie uczucie jest również jedynie zjawiskiem chemicznym. Uczuciem najbliższym ludzkemu była zimna wś ciekłość i pogarda wobec wszystkich, którzy pokładali wiarę w ludzkim umyśle. Nie było w nim przyzwolenia na taką iluzję.

Nie ma i nie powinno być czegoś takiego jak ludzie. Lecz jeszcze nigdy, aż do tego wieczoru, nie odczuł tak dojmująco, że jedyną rzeczywistością jest ciało i jego ruchy, że jaźń zdająca się obserwować ciało opuszczające salę bankietową i zmierzające do komory Głowy, w rzeczywistości nie istnieje.

Tak więc Frost, którego egzystencji sam Frost zaprzeczał, obserwował swoje ciało, jak weszło do pierwszego pomieszczenia w komorze Głowy i wzdrygnęło się na widok nagiego, zakrwawionego ciała. Zaszła w nim reakcja chemiczna nazywana szokiem. Frost pochylił się, odwrócił ciało i rozpoznał Straika. W chwilę później jego binokle i zaostrzona bródka skierowały się w stronę komory Głowy. Nie zainteresowały go trupy Witherera i Filostrata. Jego uwagę skupiło coś poważniejszego. Konsola, na której zwykle tkwiła Głowa, była pusta, metalowy pierścień powyginany, a gumowe przewody poplątane i pozrywane. Potem dostrzegł na podłodze ludzką głowę. Nachylił się, zbadał ją i stwierdził, że to głowa Filostrata. Nie było jednak śladów głowy Alcasana, chyba że mogły nimi być jakieś ohydne szczątki pokrwawionych kości opodal czaszki Włocha.

Wciąż nie zastanawiając się, co powinien zrobić i dlaczego, Frost skierował się do garażu.

Wszędzie było pusto i cicho, na zewnątrz śnieg pokrywał już błonia grubą warstwą. Wyszedł z garażu, dźwigając bańki z benzyną. W Obiektywnym Pokoju zgromadził możliwie najwięcej łatwopalnych przedmiotów. Zamknął zewnętrzne drzwi na klucz. Coś zmusiło go do wyjęcia klucza z zamka i włożenia w otwór w drzwiach służący do porozumiewania się głosem. Popchnął klucz palcem tak daleko, że nie mógł już go dosięgnąć, a potem wyjął z kieszeni ołówki i popychał nim klucz jeszcze dalej, aż usłyszał, jak upada na podłogę z tamtej strony. Niepokonana iluzja, jego świadomość, jęczała w żalonym proteście, lecz ciało nie zwracało na to uwagi. Jak nakręcana lalka jego ciało – sztywne i zimne – wróciło na środek Obiektywnego Pokoju, rozlało benzynę, zapaliło zapałkę i rzuciło ją na zgromadzony uprzednio stos. Aż do tej chwili jego dysponenci nie pozwolili mu podejrzewać, że nawet śmierć może nie uleczyć człowieka z iluzji, jaką jest świadomość

posiadania duszy – ba, może nawet się okazać bramą do świata, w którym iluzja szaleje wiecznie, w którym iluzji nic już nie jest w stanie pohamować. Jeśli nawet jego ciało było już stracone, to jednak jego duszy pozostawiono jeszcze możliwość ucieczki. Był teraz w stanie zrozumieć (i natychmiast to odrzucił), że mylił się od samego początku. Był w stanie wiedzieć, że naprawdę istnieje dusza i osobista odpowiedzialność. Niewiele już rozumiał – całym sobą nienawidził. Męka ognia nie była tak straszna jak nienawiść wobec tego, że płonął. Ostatnim, najwyższym wysiłkiem rzucił się z powrotem w swą iluzję. W tym samym momencie pochłonęła go wieczność, podobnie jak w starych bajkach pierwsze promienie słońca pochłaniają takie istoty, zamieniając je na zawsze w kamień.

### *Wenus w St Anne's*

Szary świt zastał Marka pokonującego najwyższe wzniesienie w drodze do St Anne's. Na białej, wciąż pustej drodze widniały tu i tam czyjeś ślady, to ludzkie, to jakiegoś ptaka lub królika, bo śnieżna zadymka zamierała, choć w powietrzu wciąż wirowały płatki śniegu, teraz już większe i mniej dokuczliwe. Wielka ciężarówka, czarna i ciepła w tym krajobrazie, zatrzymała się tuż obok niego.

– Hej, koleś, walisz do Birmingham? – zapytał kierowca, wychylając głowę z szoferki.

– Ogólnie się zgadza – odrzekł Mark. – W każdym razie do St Anne's.

– A gdzie to jest?

– Na wzgórzu, za Pennington.

– Aha. Mogę cię podwieźć do zakrętu. Będziesz miał trochę bliżej.

Mark wszedł do kabiny z drugiej strony.

Było już całkiem jasno, gdy kierowca wysadził go na zakręcie, przy małej gospodzie. Śnieg pokrywał już wszystko i wciąż padał. Było niezwykle cicho. Mark wstąpił do gospody, gdzie powitała go uprzejma starsza kobieta. Wziął gorącą kąpiel, zjadł świetne śniadanie i zapadł w drzemkę w fotelu przed miło huczącym kominkiem. Obudził się o czwartej. Oceniał, że do St Anne's jest zaledwie parę mil, i postanowił przed wyjściem napić się herbaty. Za namową gospodyni zjadł do herbaty gotowane jajko. Dwie półki w małym salonie wypełnione były oprawionymi rocznikami tygodnika „The Strand”. W jednym znalazł powieść dla dzieci w odcinkach, którą zaczął czytać jako dziecko, ale przerwał w połowie, kiedy skończył dziesięć lat, bo uznał, że wstydem jest czytać takie rzeczy w tym wieku. Teraz przerzuczał szybko strony oprawionego rocznika, żeby ją dokończyć.

Była naprawdę dobra. Powieści dla dorosłych, które zaczął czytać po swoich dziesiątych urodzinach, teraz wydały mu się jakieś głupie. No, może z wyjątkiem *Sherlocka Holmesa*. „Chyba trzeba ruszać w drogę, i to zaraz”, powiedział do siebie.

Brak entuzjazmu, z jakim o tym myślał, nie wynikał z fizycznej słabości, przeciwnie, czuł się zupełnie wypoczęty. Prawdę mówiąc, tak dobrze nie czuł się już od kilku tygodni. Źródłem jego niechęci był pewnego rodzaju wstyd. Miał się spotkać z Jane, z Dennistonem i (prawdopodobnie) z Dimble'ami. Miał się spotkać z Jane w środowisku, które stało się (tak to teraz odczuwał) jej właściwym światem. Jej światem – ale nie jego. I pomyślał, że przez całe życie tak gorliwie pragnął dostać się do jakiegoś kręgu wtajemniczonych, a wybrał nie ten krąg. Jane do niego należała. Miał zostać przyjęty tylko z czystej uprzejmości, tylko dlatego, że Jane była na tyle głupia, by za niego wyjść. Nie czuł żalu, czuł wstyd. Ujrzał siebie samego takim, jakim musi być w oczach członków tego nowego kręgu – jeszcze jednym prostakiem w rodzaju tych wszystkich Steele'ów i Cosserów, lęklwym, wyrachowanym i pozbawionym uczuć nudziarzem i miernotą. Zaczął się zastanawiać, dlaczego taki jest. Dlaczego inni ludzie – tacy jak Denniston czy Dimble – z taką łatwością niespiesznie chodzą sobie po świecie, zrelaksowani, beztroskim spojrzeniem ogarniając horyzont, tryskając fantazją i humorem, wyczuleni na piękno, a nie są wiecznie spięci, nie mają się wiecznie na baczności? I w ogóle tego nie potrzebowali. W czym tkwi sekret tego wspaniałego, niewymuszonego śmiechu, którego w żaden sposób nie da się naśladować? Różnili się od niego pod każdym względem. Nawet siedząc w fotelu, manifestowali – ułożeniem ciała, ruchami – jakąś pańską wyższość, jakąś powolność czy ociężałość lwów. Mieli wokół siebie wolną przestrzeń. To były kiery – on był tylko pikiem. Ale przecież musi spróbować, musi się do nich zbliżyć...

Naturalnie Jane jest kierem. Musi zgodzić się na jej wolność.

Byłoby niesprawiedliwe sądzić, że jego miłość do Jane miała charakter głównie zmysłowy.

Miłość, jak mówi Platon, jest córką braku. Ciało Marka знаło swoje braki lepiej niż jego umysł.

Zmysłowe pożądanie było wykładnikiem czegoś, czego mu brakowało, a co Jane miała mu do ofiarowania. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w wyschłym i zakurzonej świecie jego umysłu, była czymś w rodzaju wiosennej ulewy. Otwierając się na nią, nie popełnił błędu. Pomylił się tylko w przekonaniu, że małżeństwo – samo w sobie – dało mu władzę lub tytuł do przywłaszczenia sobie tej świeżości. Teraz zrozumiał, iż równie dobrze można by mniemać, że nabywa się na własność zachód słońca, kupując pole, z którego jest widoczny.

Przywołał dzwoniem właścicielkę gospody i poprosił o rachunek.

\* \* \*

Tego samego popołudnia Mama Dimble i trzy dziewczęta przebywały w wielkim pokoju zajmującym prawie całe najwyższe piętro Dworu, który Przewodniczący nazywał Garderobą.

Gdyby ktoś zajrzał do tego pokoju przez uchylone drzwi, odniósłby zapewne wrażenie, że cztery panie buszują w jakimś bajecznym, tropikalnym lesie mienią cym się żywymi kolorami. A potem mógłby pomyśleć, że są w jednej z górnych sal jakiegoś wielkiego sklepu, gdzie stoją zrolowane dywany, a z sufitu zwieszają się bogate tkaniny, sprawiając wrażenie jedynej w swoim rodzaju puszczy. Bo w rzeczy samej mieściła się tu wielka kolekcja wspaniałych, uroczystych sukien, wiszących – każda oddzielnie – na drewnianych kolumienkach.

– W tej wyglądałabyś cudownie, Ivy – powiedziała Mama Dimble, unosząc jedną ręką fałdy soczycie zielonej sukni, ozdobionej misternymi złotymi spiralami. – No co, Ivy, nie podoba ci się?

Chyba nie zamartwiasz się wciąż o Toma? Czy Przewodniczący ci nie powiedział, że Tom znajdzie się tu jeszcze tej nocy albo najpóźniej jutro w południe?

Ivy spojrzała na nią ponuro.

– Nie o to chodzi – odparła. – Gdzie będzie sam Przewodniczący?

– Przecież nie możemy go tu zatrzymać, Ivy – odezwała się Camilla. – Nie widzisz, że wciąż cierpi? Zrobi to, co miał zrobić... jeżeli wszystko się uda w Edgestow.

– Bardzo tęskni za Perelandrą – powiedziała Mama Dimble. – To coś takiego, jak tęsknota za domem... Zawsze, zawsze... Widzę to w jego oczach.

– Czy ten cały Merlin jeszcze tu wróci? – zapytała Ivy.

– Chyba nie – odrzekła Jane. – Myślę, że i Przewodniczący tego nie oczekuje. No i jeszcze mój sen tej nocy... To wyglądało, jakby był w ogniu... To znaczy, nie płonął, rozumiecie, ale cały był skąpany w świetle, jakby różne rodzaje promieni o niesamowitych barwach wystrzelały z niego i pełzały po jego ciele. To była moja ostatnia wizja: Merlin stojący nieruchomo jak kolumna, a wokół niego to wszystko, ta jasność... I można było poznać po jego twarzy, że jest u kresu wyczerpania, że ledwo żyje, że rozpadnie się na kawałki, gdy tylko te niebiańskie potęgi pozwolą mu odejść.

– Słuchajcie, przecież miałyśmy sobie wybrać suknie na dzisiejszy wieczór.

– Z czego to może być? – zapytała Camilla, macając i wachając zieloną opończę.

Rzeczywiście, niełatwo było odpowiedzieć na to pytanie. Tkanina nie była przezroczysta, a jednak w jej bogatych fałdach gnieździły się najróżniejsze odmiany światła i cieni, a przelewała się przez palce Camilli jak struga wody. Ivy zainteresowała się suknią.

– Ojej! – zawołała. – Ile metrów musiało na to pójść!

– Poczekaj – powiedziała Mama Dimble i narzuciła na nią zwiewną suknię. – Och! Naprawdę, gdybyś się zobaczyła!...

Wszystkie trzy wpatrywały się w Ivy ze zdumieniem i zachwytem. Z jej postaci i twarzy nie znikło pospolite pochodzenie, lecz suknia jakby je uszlachetniła, tak jak wielki kompozytor bierze ludową melodię i wplata w nią swoją symfonię; podrzuca ją jak piłkę, czyni z niej coś cudownego, a jednak zachowuje jej melodię nieskażoną. Stała przed nimi „zuchwała czarodziejka” lub „zwinna driada”, promienista, lotna, żywa – a jednak wciąż rozpoznawały w niej Ivy Maggs.

– Ach, ci mężczyźni! – zawołała Mama Dimble. – W tym pokoju nie ma ani jednego lustra.

– Zdaje się, że nie mamy się oglądać w lustrze – powiedziała Jane. – Przewodniczący mówił, że wystarczy, jak będziemy lustrami jedna dla drugiej.

– Chciałabym tylko zobaczyć, jak wyglądam z tyłu – powiedziała Ivy.

– Teraz ty, Camillo – rzekła Mama Dimble. – Z tobą to całkiem proste. Ta jest oczywiście cie dla ciebie.

– Och, myślisz o tej?

– Ależ tak! – zawołała Jane.

– Będzie ci w niej cudownie – dodała Ivy.

Była to długa, powłóczysta suknia z tkaniny przypominającej barwą stal, lecz w dotyku delikatnej jak piana. Przylegała do bioder, a na dole kończyła się luźnym trenem. „Wygląda w niej jak rusalka”, pomyślała Jane, a potem: „Jak Walkiria”.

– Chyba powinnaś mieć do niej diadem – powiedziała Mama Dimble.

– Czy nie byłoby jednak lepiej...

Ale Mama Dimble już znalazła diadem, który wkładała na jej głowę. Wspólny wszystkim kobietom szacunek do klejnotów (nie należy sądzić, że jego źródłem jest zawsze wartość pieniężna) uciszył je na chwilę. Wydawało im się, że takich diamentów nie ma w całej Anglii. Ich przepych był wprost niewiarygodny, bajeczny.

– Na co się tak wszystkie gapicie? – zapytała Camilla, która zdążyła uchwycić tylko jeden błysk, gdy Mama Dimble wkładała jej diadem na głowę, i nie wiedziała, że cała jej postać jaśnieje teraz jak „gwiazda pośród łupów z prowincji”\*.

– Są prawdziwe? – zapytała Ivy.

– Mamo Dimble, skąd one pochodzą? – zapytała Jane.

– Skarby Logresu, moje kochane, skarby Logresu – odpowiedziała pani Dimble. – Może spoza Księżyca, a może sprzed potopu. A teraz Jane.

Jane nie potrafiła dostrzec nic nadzwyczajnego w sukni, którą dla niej wybrał y. Niebieski rzeczywiście był jej kolorem, ale myślała raczej o czymś bardziej surowym i dodającym powagi, a tę suknię nazwałaby „trochę zbyt strojną”. Kiedy jednak wszystkie aż zaklaskały, poddała się. Nie przyszło jej do głowy, aby postąpić inaczej, a chwilę później, gdy podniecone zaczęły szukać czegoś dla Mamy Dimble, cała sprawa uległa zapomnieniu.

– Tylko coś spokojnego – powiedziała Mama Dimble. – Jestem stara i nie chcę wyglądać śmiesznie.

– Ta by w ogóle nie pasowała – mówiła Camilla, przebiegając jak meteor wzdłuż długiego rzędu tych wszystkich wspaniałości mieniących się barwami fioletu, złota, szkarłatu, białego śniegu i nie dającego się określić jednym słowem opalu, wzdłuż futer, jedwabów, aksamitów, taft i brokatów. -

Ta jest śliczna, ale nie dla ciebie. Ale... och! Spójrzcie na tę! Ale nie... Nic nie widzę...

– Och, chodźcie tu i zobaczcie! Szybko! – zawołała Ivy, jakby się bała, że jej odkrycie gdzieś zniknie, jeśli wszystkie go nie zobaczą.

– Tak, tak! Tylko ta! – zgodziła się Jane.



– Ależ oczywiście! – potwierdziła Camilla.

– Włóż ją, Mamo Dimble – powiedziała Ivy. – Nie sprzeciwiaj się, masz ją włożyć i już.

Suknia miała prawie taki sam agresywnie płomienisty kolor jak ta, którą Jane widziała w swoim śnie w Stróżówce, ale była inaczej skrojona, z futrzaną lamówką wokół dekoltu, długimi rękawami i zwieszającymi się z nich draperiami, z kapturem zakończonym kilkoma ostrymi szpicami. Kiedy pani Dimble ją włożyła i spięła pod szyją wielką, miedzianą broszą, wszystkie wpatrzyły się w nią ze zdumieniem. Bo oto stała przed nimi już nie typowa prowincjuszka, nie zacna, bezpłodna, starsza pani z siwymi wł osami i podwójnym podbródkiem, lecz kapłanka, sybilla, służka jakiejś prahistorycznej bogini płodności – pradawna plemienna matrona, matka matek, uroczysta, dostojna i groźna. Długie berło z wyrzeźbionym wokół niego węzłem było najwyraźniej częścią tego stroju, więc zmusiły ją, by wzięła je do ręki.

– Czy wyglądam strasznie? – zapytała Mama Dimble, widząc ich zmienione twarze.

– Wyglądasz cudownie – powiedziała Ivy.

– Tak, ta pasuje idealnie – powiedziała Camilla.

Jane schwyciła jej rękę i ucałowała.

– Kochana – powiedziała – wyglądasz naprawdę strasznie, ale w dawnym znaczeniu tego słowa.

– A w co się ubiorą mężczyźni? – zapytała nagle Camilla.

– Już sobie ich wyobrażam w takich fantastycznych strojach – powiedziała Ivy. – I jak w nich gotują, nakrywają i podają do stołu. W każdym razie, jeś li to ma być nasz ostatni wieczór, to chyba musimy się jednak wziąć do robienia kolacji. Oni niech się zajmą winem. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co by zrobili z gęsią, bo mogę się założyć, że pan MacPhee nigdy w życiu nie upiekl żadnego ptaka, choćby nie wiem co mówił.

– Ale ostryg chyba nie zepsują – zauważyła Camilla.

– Racja. Ani puddingu ś liwkowego. Ale ja bym wołała zejść na dół i rzucić okiem na to wszystko.

– Nie radzę – powiedziała ze śmiechem Jane. – Wiesz, jaki on jest, kiedy ma dyżur w kuchni.

– Jego się nie boję – odrzekła Ivy i prawie pokazała język.

W sukni, którą teraz miała na sobie, taki gest byłby całkowicie nie na miejscu.

– Nie musicie się tak troszczyć o kolację, moje kochane – powiedziała Mama Dimble. -

Zobaczycie, że MacPhee robi to znakomicie. Pod warunkiem, że on i mój mąż nie wdadzą się w jakieś filozoficzne spory, kiedy będą mieli podawać. Nacieszmy się sukniami. Och, jak tu ciepło!

– Cudownie! – dodała Ivy.

W tym momencie cały pokój zadygotał – O Boże, co to było? – zawołała Jane.

– Gdyby wojna wciąż trwała, powiedziałabym, że to bomba – odrzekła Ivy.

– Chodźcie tu i popatrzcie – powiedziała Camilla, która opanowała się szybciej od swoich towarzyszek i teraz stała w oknie wychodzącym na zachód, na dolinę rzeki Wynd. – Och, popatrzcie! – powtórzyła. – Nie, to nie pożar. I nie reflektory. I chyba nie rozdwojona błyskawica.

Ojej! Jeszcze jeden wstrząs. A tam... Popatrzcie tam! Tam, za kościołem, jasno jak w dzień! Co ja mówię, przecież jest dopiero trzecia. Tam jest jaśniej niż w dzień. I to gorąco!

– Zaczęło się – powiedziała Mama Dimble.

\* \* \*

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Mark zł apał ciężarówkę, Feverstone wy dostał się ze skradzionego samochodu. Nie odniósł poważniejszych obrażeń, ale wciąż był oszołomiony.

Samochód leżał kołami do góry w głębokim row ie i Feverstone, który zawsze szukał we

wszystkim jasnych stron, pomyślał, że mogło być gorzej – mógł to być jego własny samochód.

Rów był pełen śniegu, a on sam miał przemoczone ubranie. Kiedy podniósł się i rozejrzał, spostrzegł, że nie jest sam. Kilka metrów przed nim stał wysoki, barczysty mężczyzna w czarnym surducie. Był odwrócony plecami i właśnie zaczynał odchodzić.

– Hej! – zawołał Feverstone.

Tamten odwrócił głowę i popatrzył na niego bez słowa, a potem ruszył dalej. Feverstone natychmiast poczuł, że to nie jest ktoś, kogo chciałby tu spotkać, przeciwnie, jego wygląd bardzo mu się nie podobał. Zresztą nawet gdyby chciał, to i tak by go nie dogonił w swoich rozerwanych, przemoczonych lakierkach, bo nieznajomy oddalał się wielkimi krokami, mając na nogach wysokie buty. Czarna postać zbliżyła się do bramy w polnym ogrodzeniu, przystanęła i wydała z siebie kilka dziwnych dźwięków przypominających rżenie, jakby porozumiewała się z koniem stojącym po drugiej stronie ogrodzenia. W następnej chwili (Feverstone nie zdołał dostrzec, jak to się właściwie stało) mężczyzna przesadził bramę i znalazł się na grzbiecie konia, który ry popędził galopem przez rozległe, mlecznobiałe pole podchodzące aż do horyzontu.

Feverstone nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Było oczywiste, że przede wszystkim powinien znaleźć jakąś drogę. Zajął mu to o wiele więcej czasu, niż się spodziewał. Zrobiło się cieplej i raz po raz wpadał w głębokie kałuże ukryte pod śniegiem. U podnóża pierwszego wzniesienia natrafił na takie mokradło, że musiał opuścić trakt i próbować drogi na przełaj, przez pola. Ta decyzja okazała się fatalna w skutkach. Co najmniej dwie godziny błądził po polach, wyszukując dziur w żywopłotach i wypatrując czegoś, co by przypominało drogę, lecz za każdym razem stwierdzał swoją pomyłkę. Zawsze nienawidził wsi, nie znosił brzydkiej pogody i nigdy nie widział niczego przyjemnego w pieszych wędrówkach.

Około południa znalazł wreszcie jakąś drogę bez znaków drogowych, która go doprowadziła do szosy. Dzięki Bogu panował na niej dość ożywiony ruch pieszy i samochodowy, choć tylko w jednym kierunku. Kierowcy pierwszych trzech samochodów nie zareagowali na jego znaki.

Zatrzymał się dopiero czwarty.

– Właż pan, szybko! – zawołał kierowca.

– Jedzie pan do Edgestow? – zapytał Feverstone z ręką na klamce.

– O Boże, nie! – odpowiedział tamten. – Tam jest Edgestow! – wskazał za siebie. – Jeśli naprawdę chce pan tam iść!

Wyglądał na zaskoczzonego i przerażonego.

Nie pozostawało więc nic innego jak wyruszyć na piechotę. Wszystkie pojazdy jechały w przeciwną stronę, ani jeden nie zdążył do Edgestow. Feverstone był tym nieco zaskoczony.

Wiedział, rzecz jasna, o zbiorowym exodusie (częścią jego planu było zresztą pozbycie się wszystkich mieszkańców z Edgestow), ale sądził, że już to się stało. A oto przez całe popołudnie, gdy brnął przez rozmokły, rozdeptany śnieg, uciekinierzy wciąż go mijali. Nie dysponujemy, oczywiście, żadną bezpośrednią relacją z tego, co stało się w Edgestow tego wieczoru, krąży jednak wiele opowieści o decyzjach ludzi w ostatnich godzinach poprzedzających tragedię. Przez kilka tygodni takie opowieści wypełniały szpalty gazet i przez kilka miesięcy były tematem prywatnych rozmów, a w końcu i dowcipów. „Nie, nie chcę słyszeć o tym, jak wyostałeś się z Edgestow” – często powtarzano. Nawet uwzględniając normalną w takich wypadkach skłonność do przesady, nie ulega wątpliwości, że zaskakująco duża liczba mieszkańców postanowiła w ostatniej chwili opuścić miasto. Ktoś otrzymał wiadomość od umierającego ojca, inny podjął nagłą decyzję (nie potrafiąc powiedzieć dlaczego) wyjazdu na urlop, ktoś inny wyjechał, bo popękały mu rury wodociągowe i doszedł do wniosku, że dobrze by było zmienić miejsce pobytu, dopóki nie zostaną naprawione.

Sporo ludzi popchnęło do wyjazdu jakieś błahe wydarzenie, które wydało się im ostrzegawczym znakiem: sen, stłuczony wazon, układ fusów w filiżance. Są też świadectwa ostrzeżeń nieco bardziej staroś wieckich. Ktoś usłyszał głos swego osła, ktoś inny kota, mówiących po ludzku: „Jaaazda! Jaaaz-da!” i „Nawieeewaj!” Setki ludzi opuściły miasto z bardziej umotywowanych, wcześniejszych powodów: zniszczono im domy, a ich prawa obywatelskie zostały zagrożone przez samowolę policji NIBS-u.

Około czwartej po południu jakaś siła rzuciła Feverstone'a twarzą w błoto. Był to pierwszy wstrząs. W ciągu następnych godzin wstrząsy powtarzały się z coraz większą częstotliwością.

Powłoka ziemi drżała, wybrzuszała się, zewsząd dochodził głuchy, narastający pomruk potężnych tąpnięć skalnych warstw. Robiło się coraz cieplej. Śnieg topniał szybko; od czasu do czasu Feverstone szedł po kolana w wodzie. Wilgoć zamieniała się w ciepłą parę. Kiedy dotarł do szczytu ostatniego przed Edgestow wzniesienia, nie mógł dostrzec miasta: dolinę wypełniała gęsta mgła rozświetlana niezwykle błyskami. Kolejny wstrząs powalił go jeszcze raz na ziemię. Teraz postanowił zawrócić, odnaleźć najbliższą stację i spróbować dostać się do Londynu. Zaświtała mu w głowie wizja parującej wanny w klubie i siebie samego przy kominku w palarni opowiadającego, co mu się przydarzyło. To nie byle co ująć cało z Belbury i Bractonu. Do tej pory wychodził cało z wielu opresji i wierzył w swoje szczęście.

W momencie podjęcia tej decyzji zszedł już kilka kroków w dół zbocza. Natychmiast zawrócił, by wspiąć się ponownie na szczyt wzgórza, lecz mimo wysiłków wciąż osuwał się w dół, jakby grunt pod nogami zamienił się w sypki żwir pokrywający zbocze stromej góry. Kiedy zdołał się w końcu zatrzymać, był już ze dwadzieścia pięć metrów niżej. Ponowił próbę. Tym razem natychmiast stracił równowagę i zaczął się toczyć po zboczu z coraz większą szybkością, pociągając za sobą lawinę kamieni, ziemi, wody i resztek trawy. Czuł się jak ktoś, kogo podczas spokojnej kąpieli porywa nagle potężna fala, tyle że była to fala ziemi. Jeszcze raz udało mu się stanąć na nogach i zwrócić twarz ku szczytowi wzgórza. Za nim dolina zdawała się przemieniać w piekło. Gruba warstwa mgły rozpaliała się od wewnątrz oślepiającym fioletowym blaskiem. Dochodził stamtąd ryk wody, trzask pękających ścian, wycie tłumu. To, co było przed nim, już nie przypominało wzgórza. Znikły ślady drogi, żywopłot, uprawne pole, a zamiast nich piętrzyła się pod niebo stroma, ruchoma, rosnąca w oczach zaporą świeżej ziemi. W chwilę później ta ziemna fala uniosła się jeszcze wyżej, załamała na szczycie, zadygotała i runęła na niego całym swym ciężarem.

\* \* \*

– Dlaczego Logres, panie Przewodniczący? – zapytała Camilla.

Było już po obiedzie i wszyscy siedzieli w jadalni wokół kominka, popijając wino. Jak przepowiedziała pani Dimble, mężczyźni spisali się w kuchni dzielnie. Dopiero, kiedy wszystko podali, a następnie posprzątaли ze stołu, przebrali się w odś wietne stroje. Teraz wszyscy czuli się swobodnie, a każdy pysznił się swym wyglądem nieco odmiennie: Ransom po prawej stronie, w koronie; Grace Ironwood naprzeciw niego, cała w czerni i srebrze. Zrobiło się tak ciepło, że pozwalali, by ogień ledwo się tlił. W blasku świec ich dworskie stroje zdawały się płonąć własnym światłem.

– Powiedz im, Dimble – rzekł Ransom. – Od tej chwili nie będę już wiele mówił.

– Czy jest pan zmęczony? – zapytała Grace. – Bardzo pana boli?

– Nie, Grace, to nie to. Teraz, kiedy już nadchodzi czas mojego odejścia, wszystko zaczynam odbierać jak sen. Szczęśliwy, dobry sen, mimo wszystko, nawet mimo tego bólu. Chcę poznać smak każdej kropli. Czuję się tak, jakby to wszystko miało się rozwiać, gdybym za dużo mówił.

– Czy na pewno musi pan odejść? – zapytała Ivy.

– A co innego mi pozostało, moja droga? Odkąd powróciłem z Perelandry, nie postarzałem się nawet o dzień. Nie mogę oczekiwać naturalnej śmierci. A tę ranę można uleczyć tylko tam, gdzie została zadana.

– To wszystko są ujemne strony niepodporządkowania się uznanym prawom natury – zauważył MacPhee.

– To wcale nie jest sprzeczne z prawami natury – odezwał się głos z kąta, w którym siedziała Grace Ironwood, prawie niewidoczna w cieniu. – Masz całkowitą rację, mówiąc, że praw wszechświata nie można złamać. Popełniasz błąd, jeśli owe drobne prawidłowości, obserwowane na jednej z planet od kilkuset lat, uważasz za prawdziwe, nienaruszalne prawa przyrody. To tylko odległe, mało istotne i nieco częściej spotykane skutki prawdziwych praw.

– Szekspir nigdy nie narusza prawdziwych praw poezji – wtrącił Dimble. – Będąc im posłuszny, przełamuje tu i ówdzie pewne przyzwyczajenia, które krytycy błędnie uważają za prawa. Nędzni krytycy nazywają to „licencją poetycką”, czyli przyzwoleniem. Ale to w żaden sposób nie pasuje do Szekspira.

– I właśnie dlatego – powiedział Denniston – nic w przyrodzie nie jest całkowicie prawidłowe. Zawsze są wyjątki. Dobra średnia jednolitość, ale nie dokładna.

– W polu mojej obserwacji nie zauważyłem wielu wyjątków od prawa śmierci – stwierdził MacPhee.

– A w jaki sposób – zapytała z naciskiem Grace – w jaki sposób, powtarzam, miałbyś się znaleźć przy wszystkich takich przypadkach? Czy byłeś przyjacielem Artura lub Barbarossy?

Znałeś Enocha lub Eliasza?

– Czy chce pani powiedzieć – głos Jane lekko drżał – że Przewodniczący... Pendragon... ma odejść tam, dokąd oni odeszli?

– To pewne, że spotka się z Arturem – rzekł Dimble. – Czy z innymi, nie wiem. Są ludzie, którzy nigdy nie umarli. Na razie nie wiemy dlaczego. Niewiele więcej wiemy, jak to się stało. We wszechświecie... mówię o tym samym fizycznym wszechświecie, w którym poruszają się nasze planety... jest wiele miejsc, w których organizm może trwać niemal wiecznie. Wiemy, gdzie jest Artur.

– Gdzie? – zapytała Camilla.

– W Trzeciej Sferze, na Perelandrze. Na dalekiej wyspie Alfalinie, której potomkowie Tora i Tinidril nie odnajdą przez wiele stuleci. Może jest tam tylko on?... – Urwał i spojrzał na Ransoma, lecz ten potrząsnął głową.

– I tu właśnie pojawia się Logres, tak? – zapytała znowu Camilla. – Dlatego, że tam jest Artur?

Dimble milczał długo, przekładając z miejsca na miejsce nóż i widelec do owoców na swoim talerzu.

– To wszystko zaczęło się wówczas – zaczął – kiedy odkryliśmy, że opowieść o królu Arturze jest w większości prawdziwa. Był taki moment w szóstym wieku, kiedy to coś, co od dawna próbuje wdrzeć się do naszego kraju, prawie odniosło sukces. Daliśmy temu swoją nazwę, Logres... Nazwa równie dobra jak każda inna. A potem... stopniowo zaczęliśmy patrzeć na całą historię Anglii w nowy sposób. Odkryliśmy to nawiedzenie.

– Co za nawiedzenie? – zapytała Camilla.

– Zrozumieliśmy, że to, co można nazwać Brytanią, jest wciąż nawiedzane przez coś, co można nazwać Logresem. Czy nie zauważyliście, że na tej wyspie są jakby dwa kraje? Po każdym Arturze nadchodzi Mordred, za każdym Miltonem stoi Cromwell. Naród poetów, naród sklepikarzy, ojczyzna Sidneya... i ojczyzna Cecila Rhodesa. Czy można się dziwić, że nazywają nas hipokrytami? Ale to, co

uznano za hipokryzję, jest naprawdę walką między Logresem i Brytanią.

Przerwał i upił nieco wina z kieliszka.

– Później – mówił dalej – w jakiś czas po tym, jak Przewodniczący wrócił z Trzeciej Strefy, dowiedzieliśmy się nieco więcej. Okazało się, że nawiedzano nas nie tylko spoza owej niewidzialnej bariery. Ransom został wezwany do Cumberlandu, do łoża śmierci pewnego starca.

Pominę jego nazwisko, bo i tak nic by wam nie powiedziało. Ważne jest to, iż był on Pendragonem, następcą Artura, Utera i Cassibelauna. Wtedy dowiedzieliśmy się prawdy. Przez te wszystkie lata w samym sercu Anglii wciąż istniało tajemnicze Logres: nieprzerwana sukcesja Pendragonów. Ten starzec był siedemdziesiątym ósmym następcą Artura. Nasz Przewodniczący przejął z jego rąk urząd i błogosławieństwo. Jutro albo jeszcze tej nocy poznamy osiemdziesiątego sukcesora.

Niektórzy Pendragonowie byli osobami dobrze znanymi z historii, oczywiście nie pod tym imieniem. O innych nikt nigdy nie słyszał. Ale w każdej epoce właśnie oni, wraz z owym małym Logresem, jak zawsze gromadzili wokół siebie, dawali impuls, czasem ledwo wyczuwalny, niezbędny do obudzenia Anglii z pijanego snu lub zapobieżenia ostatecznej hańbie, do jakiej kusila ją Brytania.

– Tej waszej nowej historii – przerwał mu MacPhee – trochę brakuje dokumentów.

– Jest ich wiele – odparł Dimble z uśmiechem. – Nie znasz języka, w którym są napisane. Kiedy historia ostatnich kilku miesięcy będzie zapisana w twoim języku, wydrukowana i nauczana w szkołach, nie będzie w niej wzmianki o tobie ani o mnie, o Merlinie, Pendragonie i planetach. A jednak właśnie w ciągu tych miesięcy Brytania zagroziła śmiertelnie Logresowi, a zwyciężona została naprawdę w ostatniej chwili.

– No cóż – mruknął MacPhee – może to i dobrze, że w tej historii nie pojawią się nasze nazwiska. Będę głęboko zobowiązany, jeśli ktoś mi wyjaśni, czego tu dokonaliśmy, oczywiście poza tuczeniem prosiąt i hodowaniem bardzo mizernych warzyw.

– Zrobiłeś to, czego od ciebie zażądano – odezwał się Przewodniczący. – Byłeś posłuszny i czekałeś. Tak będzie często się działo.

Jak powiedział jeden ze współczesnych autorów, ołtarz trzeba często budować w jednym miejscu, aby ogień z niebios mógł spaść gdzie indziej. [Charles Williams w *He Comt Down front Heaven* (1938), rozdz. 2.] Nie wyciągaj jednak zbyt szybko wniosków. Zanim minie miesiąc, możesz jeszcze mieć wiele do roboty. Brytania przegrała bitwę, ale na pewno się odrodzi.

– A na razie mamy Anglię, tak? – zapytała Mama Dimble. – I miotamy się wciąż między Logresem a Brytanią?

– Tak – odpowiedział jej mąż. – Czy tego nie czujesz? To jest właśnie tożsamość Anglii. Jeśli mamy osła głowę, to dzięki wyprawie do zaczarowanego lasu. Usłyszeliśmy coś lepszego niż to, na co nas stać, ale nie potrafimy całkiem zapomnieć. Czy nie dostrzegasz tego we wszystkim, co angielskie... jakiegoś niezdarne wdzięku, jakiejś prostackiej, komicznej niedoskonałości, czegoś, co wciąż domaga się uzupełnienia? Jaką słuszność miał Sam Weller, gdy nazwał pana Pickwicka aniołem w kamaszach! Tu wszystko jest albo lepsze, albo gorsze od...

– Dimble! – przerwał mu Ransom.

Dimble, w którego głosie dało się odczuć roznamietnienie, zamilkł i spojrzał na niego. Zawahał się i chyba zaczerwienił (tak przynajmniej wydawało się Jane), zanim przemówił ponownie.

– Ma pan rację – powiedział z uśmiechem. – Zapomniałem o tym, o czym mi pan radził zawsze pamiętać. To nawiedzenie nie jest naszą specjalnością. Anglia nie jest jakoś specjalnie uprzywilejowana pod tym względem, nie ma mowy o jakimś nonsensownym narodzie wybranym.

Mówimy o Logresie, bo mówimy o tym, co nawiedza nasz dom, o tym, co sami znamy.

– To wszystko – odezwał się MacPhee – wydaje mi się bardzo określonym sposobem stwierdzenia, iż wszędzie istnieją ludzie dobrzy i źli.

– Wcale nie mówię o tym – odparł Dimble. – Widzi pan, MacPhee, jeśli ktoś myśli po prostu o dobroci, abstrakcyjnie, to wkrótce dojdzie do fatalnej idei standaryzacji: jakiegoś wymyślnego, wspólnego wszystkim rodzaju życia, do którego powinny dążyć wszystkie narody. Oczywiście są pewne uniwersalne zasady, którym musi podlegać każde dobro. Ale to tylko gramatyka cnoty. To jeszcze nie wszystko. Bóg nie stwarza dwu jednakowych źdźbeł trawy, a co dopiero dwu jednakowych świętych, dwóch narodów, dwóch aniołów. Uzdrawienie Tellusa zależy od rozniecenia tej jednej małej iskierki, od wcielenia tego ducha, który wciąż żyje w każdym prawdziwym narodzie, i w każdym jest inny. Kiedy Logres napraw dę zapanuje nad Brytanią, kiedy bogini rozumu, boska jasność, naprawdę zasiądzie na tronie Francji, kiedy niebiański porządek będzie naprawdę przestrzegany w Chinach, wtedy, dopiero wtedy nastanie wiosna. Tymczasem jednak zajmijmy się naszym Logresem. Zmusiliśmy Brytanię do odwrotu, ale któż wie na jak długo? Edgestow nigdy już nie podźwignie się z ruiny, jaką stało się tej nocy. Będą jednak inne takie miejsca.

– Chciałabym zapytać o Edgestow – odezwała się Mama Dimble. – Czy Merlin i eldile nie załatwili tego trochę... no, powiedzmy... zbyt hurtowo? Czy całe Edgestow zasługiwało na zagładę?

– Kogo pani żałuje? – zapytał MacPhee. – Tej skorumpowanej rady miejskiej, której członkowie sprzedaliby własne żony i córki, byleby tylko sprowadzić NIBS do Edgestow?

– Cóż, o nich wiem niewiele. Ale był uniwersytet. No, nawet samo Bracton College. Tak, wszyscy wiemy, że to było okropne kolegium. Ale czy oni naprawdę wyrządzali tak wielkie szkody tymi swoimi denerwującymi, lecz w końcu drobnymi intrygami? Czy to wszystko nie było bardziej głupie niż złe?

– No tak – zakpił MacPhee. – Oni się tylko bawili. Kocięta, którym pozwolono udawać tygrysy. Tyle że skorzystał z tego prawdziwy tygrys i zabawa skończyła się wpuszczeniem go do środka. Nie mają powodu do uskarżania się, skoro myśliwy przy okazji naładował również i ich kiszki ołowiem. To ich nauczy, że nie należy przebywać w złym towarzystwie.

– Ale byli przecież członkowie innych kolegiów. A Northumberland, a Duke's College?

– Wiem, wiem – powiedział Denniston. – Można żałować takich ludzi jak Churchwood. Dobrze go znałem. To był bardzo miły staruszek. Wszystkie wykłady poświęcał wykazywaniu bezsensowności etyki, chociaż w prywatnym życiu przeszedłby dziesięć mil, aby oddać groszowy dług. Ale jednocześnie... czy możecie wymienić choćby jedną doktrynę praktykowaną w Belbury, której by nie głoszono z jakiejś katedry w Edgestow? Och tak, oczywiście cie, nikomu nie przyszło do głowy, że ktokolwiek mógłby postępować zgodnie z tymi teoriami! Nikt bardziej od nich nie dziwił się, kiedy to, o czym przez całe lata rozprawiali, nagle stało się rzeczywistością. Ale w końcu był – to powrót ich własnego dziecka, już dorosłego i trudnego do rozpoznania, ale przecież wciąż ich dziecka.

– Niestety, chyba masz rację – powiedział Dimble. – *Trahison des clercs*. [Zdrada klerków, tytuł dzieła Juliana Bandy (1867-1956), w którym oskarża on wykształcone warstwy o zdrady ideałów Oświecenia i przyzwolenie na nacjonalizm i irracjonalizm.] Nikt z nas nie jest bez winy.

– Cecilu, to przecież nonsens – powiedziała pani Dimble.

– Zapominacie o tym – wtrąciła Grace – że prawie wszyscy prócz bardzo złych i bardzo dobrych, którzy i tak dojrzeliby do sprawiedliwego spoczynku, już wcześniej niej opuścili Edgestow. Ale zgadzam się z Arturem. Ci, którzy zapominają o Logresie, pogrążają się w Brytanii. Ci, którzy wzywają nonsensu, w końcu doczekają się jego nadejścia.

Przerwał jej jakiś hałas. W ciszy, która zapadła, dało się słyszeć drapanie i popiskiwanie.

– Otwórz drzwi, Arturze – rzekł Ransom.

W chwilę później wszyscy zerwali się na nogi, witając okrzykami powrót Pana Bultitude.

– Och, naprawdę! – zawołała Ivy. – Biedactwo! Wezmę go do kuchni i dam coś do zjedzenia.

Gdzie się włóczyłeś, niedobry misiu?

No i popatrz, co ty z siebie zrobiłeś?

\* \* \*

Po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut pociąg szarpnął gwałtownie i stanął. Tym razem zgasły również wszystkie światła.

– To naprawdę robi się nie do zniesienia – powiedział ktoś w ciemności.

Czwórka pozostałych pasażerów przedziału rozpoznała po głosie wszystkowiedzącego jegomościa, który już zdążył udzielić każdemu informacji, gdzie powinien się przesiąść i dlaczego teraz przejeżdża się przez Sterk, omijając Stratford, i kto tak naprawdę rządzi tą linią kolejową.

– Dla mnie to poważna sprawa – powiedział ten sam głos. Powiniennem już być w Edgestow.

Właściciel głosu wstał, otworzył okno i spojrzął w ciemność, ale po chwili jeden z pasażerów zaczął się uskarżać na zimno, więc zamknął okno i usiadł.

– Stoimy tu już dziesięć minut – powiedział.

– Bardzo przepraszam, ale dwanaście – odezwał się inny pasażer.

Pociąg wciąż stał. Z sąsiedniego przedziału dobiegły głosy dwóch kłócących się mężczyzn, a potem znowu zaległa cisza.

Nagle silny wstrząs rzucił wszystkich na siebie w ciemności. Sprawiało to wrażenie, jakby maszynista nieumiejętnie zahamował pociąg jadący z dużą prędkością.

– Co to, do diabła, było? – zapytał ktoś.

– Trzeba otworzyć drzwi.

– To jakaś kolizja czy co?

– Wszystko w porządku – powiedział wszystkowiedzący pasażer tubalnym, spokojnym głosem. –

Doczepili nową lokomotywę. I zrobili to bardzo nieumiejętnie. Ostatnio zatrudnili wielu nowych maszynistów.

– Hej, jedziemy! – odezwał się ktoś inny. Pociąg powoli ruszył, zacinając się w biegu.

– Musi się rozpędzić – powiedział ktoś.

– Och, zaraz zobaczycie, że zacznie nadrabiać opóźnienie – oświadczył wszystkowiedzący pasażer.

– Ale dobrze by było, żeby znowu zapalili światło – odezwał się kobiecy głos.

– Wcale nie przyspiesza – zauważył ktoś inny.

– Zwalniamy. Do cholery, znowu stajemy?

– Nie, wciąż jedziemy, ale... och!

Jeszcze jeden wstrząs, silniejszy od ostatniego, zwalił jednych na podłogę, a innych wcisnął boleśnie w oparcia. Przez blisko minutę cały wagon kołysał się i podskakiwał z okropnym zgrzytem.

– To oburzające! – zawołał wszystkowiedzący, otwierając okno. Jakaś ciemna postać wymachująca latarką przeszła obok wagonu.

– Hej! Panie wagonowy! Panie strażniku!

– Już wszystko w porządku, proszę państwa, proszę zajmować miejsca! – odrzyknęła ciemna postać.

– Dość już tego zimnego powietrza, proszę pana – odezwał się pasażer siedzący przy oknie.

– Przed nami jest jakieś światło – oznajmił wszechwiedzący.

– Sygnał stop? – zapytał ktoś.

– Nie. To zupełnie coś innego. Całe niebo jest rozświetlone. Jak łuna albo reflektory.

– Jeszcze jeden wstrząs, po którym usłyszeli z oddali jakiś złowieszczy hałas. Pociąg znowu ruszył, wciąż bardzo powoli, jakby maszynista nie był pewien, co jest przed nim.

– Zrobię z tego sprawę – oświadczył wszechwiedzący. – To skandal.

Po półgodzinie za oknem pojawił się oświetlony peron Sterku.

– Mówi zawiadowca stacji – rozległ się głos. – Prosimy podróżnych o pozostanie na miejscach i wysłuchanie ważnego komunikatu. Słabe trzęsienie ziemi i powódź uszkodziły linię kolejową do Edgestow, czyniąc ją nieprzejezdną. Brak bliższych informacji. Pasażerowie udający się do Edgestow proszeni są...

Dobrze poinformowany pasażer, którym był Curry, pospiesznie opuścił przedział. Należał do ludzi znających wszystkich urzędników i parę minut później grzał się już przy piecyku w biurze zawiadowcy stacji, dopytując się o bliższe informacje na temat kataklizmu.

– Nie mamy jeszcze dokładnych informacji, panie Curry – mówił kolejarz. – Od godziny nic tędy nie przejechało. Ale jest niedobrze, bardzo niedobrze. Starają się nie wywołać paniki, ale jest źle.

Z tego, co słyszałem, jeszcze nigdy w Anglii nie było takiego trzęsienia ziemi. Wylały rzeki.

Nie, proszę pana, obawiam się, że po Bracton College nie pozostał o ani ś ladu. Ta cała część miasta zapadła się prawie od razu. Nie znamy jeszcze liczby ofiar. Jakie to szczęście, że w zeszłym tygodniu wyciągnąłem z miasta mojego starego.

W późniejszych latach Curry zawsze wspominał tę chwilę jako punkt zwrotny w swoim życiu.

Do tego czasu nie należał do ludzi wierzących. Kiedy jednak usłyszał o zagładzie Bractonu, pierwszym słowem, jakie pojawiło się w jego świadomości, było słowo „Opatrzność”. Bo jak to inaczej nazwać? Niewiele brakowało, a wsiałby do wcześniejszego pociągu, a wówczas... Całe kolegium starte z powierzchni ziemi! Trzeba je będzie odbudować. Będzie potrzebny nowy komplet członków, nowy rektor. Czyż można tego nie uznać za palec Opatrzności, jeśli z zagłady ratuje się jakaś jedna odpowiedzialna osoba? Oczywiście, to nie mogą być zwykłe wybory. Prawdopodobnie wizytator kolegium (czyli sam lord kanclerz) będzie musiał mianować nowego dyrektora, a następnie, w porozumieniu z nim, kilku nowych członków kolegium. Im bardziej nad tym rozmyślał, tym bardziej upewniał się w przekonaniu, że cały przyszły kształt kolegium zależy od tej jednej osoby, która przeżyła. To niemal tak, jakby był drugim założycielem. Opatrzność... Nic, tylko Opatrzność. W wyobraźni już widział portret tego drugiego założyciela w nowo wybudowanej auli, jego pomnik na nowym wewnętrznym dziedzińcu, długi, bardzo długi rozdział poświęcony mu w historii kolegium. I bez najmniejszej hipokryzji, posłuszny obyczajom i swojemu instynktowi, wyprostował ramiona, spojrzął na świat z błyskiem niewzruszonej powagi i nastroszył brwi – jak można się było tego spodziewać po człowieku, który usłyszał takie nowiny.

Kolejarz był zbudowany jego reakcją. „Widać było, że się bardzo przejął”, mówił później. „Ale zniósł to mężnie. To dzielny staruszek”.

– Kiedy będzie następny pociąg do Londynu? – zapytał Curry. – Muszę tam być z samego rana.

\* \* \*

Ivy Maggs, jak pamiętamy, opuściła jadalnię, żeby nakarmić Pana Bultitude'a w kuchni.

Dlatego wszystkich zaskoczyło, gdy wróciła po niecałej minucie z osłupiałą twarzą.

– Och, chodźcie tam szybko! – wysapała. – Chodźcie!

W kuchni jest niedźwiedź.

– Niedźwiedź? – powtórzył Ransom. – Ale to chyba oczywiste, że...



– Och nie, nie chodzi mi o Pana Bultitude'a! Tam jest inny niedźwiedź.

– Naprawdę?!

– Zjadł całą resztę gęsi, a teraz leży przy stole i pożera wszystko, co mu się nawinie pod łapę, miotając się od półmiska do półmiska i przy okazji tłukąc całą zastawę. Och, chodźcie tam, szybko!

– Ivy, a co na to Pan Bultitude?

– No właśnie, chciałabym, żeby ktoś to zobaczył. On wyprawia coś okropnego, proszę pana.

Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Najpierw chodził po kuchni w taki sposób, jakby... jakby tańczył, w każdym razie na pewno mu się zdawało, że tańczy. Ale później... wszedł na kredens, stanął na tylnych łapach, wydając z siebie najokropniejsze dźwięki... jakieś piski... i wbił sobie na głowę wieniec cebuli... i naprawdę, nie jestem w stanie nic z nim zrobić, naprawdę.

– To bardzo dziwne zachowanie. Czy nie są dzisz, moja ciroga, że ten przybysz może być niedźwiedzicą?

– Och, niech pan nie mówi! – zawołała Ivy z głęboką odrazą.

– Myślę, że to prawda, Ivy. Podejrzewam, że to właśnie jest przyszłość Pana Bultitude'a.

– To będzie teraźniejszość Pana Bultitude'a, jeśli będziemy dłużej tu siedzieć i gadać – odezwał się MacPhee.

– No i co my teraz zrobimy? – zapytała Ivy.

– Jestem pewien, że Pan Bultitude poradzi sobie w tej sytuacji – rzekł Przewodniczący. – Na razie ta dama sobie podjada. *Sine Cerere et Baccho*, [Fragment łacińskiego powiedzenia zaczerpniętego z pism Terencjusza: „Bez Ceres i Bachusa Wenus oziębnie”, tzn. „Bez jedzenia i picia miłość oziębnie”.] Dimble.

– Bez wątpienia, bez wątpienia – zgodził się MacPhee. – Byle nie w naszej kuchni.

– Ivy, moje dziecko – rzekł Ransom – musisz być stanowcza. Idź do kuchni i powiedz tej niedźwiedzicy, że chcę się z nią zobaczyć. Nie będziesz się bała, prawda?

– Bała? Nie ja. Zaraz jej pokażę, kto tu rządzi. I musi do tego przywyknąć.

– Co się dzieje z tym gawronem? – zapytał Dimble.

– Chyba chce wylecieć na dwór – odrzekł Denniston. – Mam otworzyć okno?

– I tak jest ciepło, więc możemy mieć okno otwarte – powiedział Przewodniczący.

Gdy otworzyli okno, gawron skoczył na parapet i za chwilę rozległy się stamtąd ożywione ćwierkania.

– Jeszcze jedna miłosna afera – powiedziała pani Dimble. To brzmi tak, jakby Jack znalazł swoją Jill... Cóż za wspaniała noc!

Zasłony wzdęły się i lekko uniosły w otwartym oknie, a do pokoju napł ynęła cała świeżość letniej nocy. Z oddali dobiegło rzenie konia.

– Hej! – zawołał Denniston. – Nasza stara klacz też jest podniecona.

– Ciiiicho! Posłuchajcie! – powiedziała Jane.

– To jakiś inny koń – stwierdził Denniston.

– To ogier – dodała Camilla.

– To się robi naprawdę nieprzyzwoite – oświadczył MacPhee z naciskiem.

– Przeciwnie – rzekł Ransom. – To jest przyzwoite, w dawnym znaczeniu tego słowa. A po łacinie wychodzi to jeszcze wyraźniej: *decens* znaczy i przyzwoita, i urocza, powabna. Urocza Wenus jest nad St Anne's.

– Zbliżyła się do Ziemi bardziej, niż miała to w zwyczaju [Niedosłowny cytat z *Otella*, V. 2, 113-1 14, gdzie Szekspir mówi o Księżycu.] – zacytował Dimble – aby doprowadzić ludzi do szaleństwa.

– Jest rzeczywiś cie bliżej, niżby się śniło jakimukolwiek astronomowi – powiedział Ransom.

Zadanie zostało wykonane, inni bogowie odeszli. A Wenus czeka. Kiedy powró ci do swojej sfery, będę jej towarzyszył.

Nagle w półmroku rozległ się ostry krzyk pani Dimble:

– Ojej! Uwaga! Cecil! Och, wybaczcie mi. Nigdy nie przyzwyczaję się do nietoperzy. Wkręca mi się we włosy!

Dwa nietoperze przelatywały nad świecznikami, popiskując cicho. Ich ruchliwe cienie sprawiały wrażenie, jakby nietoperzy było dwa razy więcej.

– Powinniście już iść, Margaret – powiedział Przewodniczący.

– Ty i Cecil. Wkrótce mnie tu nie będzie. Darujmy sobie długie pożegnania.

– Chyba naprawdę muszę iść – powiedziała Mama Dimble.

– Nie znoszę nietoperzy.

– Podnieś ją na duchu, Cecilu – rzekł Ransom. – Nie, nie zostawaj. Te pożegnania zawsze są takie głupie. Nie są ani radosne, ani smutne.

– Mamy odejść? – zapytał Dimble.

– Idźcie, moi kochani przyjaciele. *Urendi Maleldil*.

Dotknął ręką ich głów. Cecil podał ramię żonie i oboje opuścili pokój.

– Proszę, oto ona – rozległ się po chwili głos Ivy, która weszła cała rozpromieniona i zaczerwieniona, prowadząc niedźwiedzicę z pyskiem białym od twarozku i policzkami umazanymi dżemem agrestowym. – I... och, proszę pana...

– O co chodzi, Ivy?

– Pan wie, chodzi o mojego biednego Toma. O mojego męża. Jeśli pan nie ma nic przeciw temu, to...

– Mam nadzieję, że dałaś mu coś do jedzenia i picia?

– No... tak, dałam. Dałam mu trochę pasztetu i pikli... zawsze strasznie lubił pikle... trochę sera i butelkę porteru i nastawiłam imbryk, żebyśmy mogli... żeby mu dać kubek dobrej herbaty. Bardzo się cieszy... i powiedział... to znaczy, pyta się, czy nie miałby pan nic przeciw temu, żeby on tu nie przychodził i nie musiał się witać... bo on nigdy nie przepadał za towarzystwem, jeśli pan wie, o co mi chodzi... Przez cały czas niedźwiedzica stała nieruchomo z oczami utkwionymi w Ransomie.

Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po płaskim łbie.

– *Urendi Maleldil!* – powiedział. – Dobrze z ciebie zwierzę. Idź do swego towarzysza... ale oto i on!

Uchylone dotąd drzwi rozwarły się szeroko, ukazując nieco zaniepokojony pysk Pana Bultitude'a.

– Weź ją, Bultitude. Ale nie tu, nie w domu. Jane, otwórz drugie okno, to weneckie. Noc zupełnie jak w sierpniu.

Otworzono szeroko okno i para niedźwiedzici pogąrzyła się ochoczo w ciepłe i wilgocie ogrodu.

Wszyscy zauważyli, że zrobiło się jaśniej.

– Czy te ptaki powariowały, że śpiewają na kwadrans przed północą? – zapytał MacPhee.

– Nie – odrzekł Ransom. – Są zupełnie zdrowe. No, Ivy, widzę, że chcesz iść i porozmawiać ze swoim mężem. Mama Dimble umieściła was w tym małym pokoju w polowie schodów, nie w Stróżówce.

– Och, proszę pana... – zaczęła Ivy i urwała.

Przewodniczący wychylił się do przodu i położył rękę na jej głowie.

– No, przecież chcesz do niego iść, prawda? Nie miał jeszcze zbyt wiele czasu, żeby ci się przyjrzeć w tej nowej sukni. Nie chcesz go pocałować? – dodał, całując ją w czoło. – Więc chociaż ucałuj go ode mnie. No, nie płacz. Idź i ulecz tego mężczyznę. *Urendi Maleldil*. Jeszcze się kiedyś spotkamy.

– Co tam znowu tak piszczy i kwiczy? – odezwał się MacPhee.

– Mam nadzieję, że to nie prosięta. Przy tym domu i w ogrodzie jest tyle roboty, że wolałbym nie mieć nowych kłopotów.

– To chyba jeże – powiedziała Grace Ironwood.

– Dałabym głowę, że ten ostatni pisk dobiegł gdzieś z domu – powiedziała Jane.

– Posłuchajcie! – rzekł Ransom i przez chwilę wszyscy nasłuchiwali. – Ach, to tylko myszy za boazerią – dodał z uśmiechem.

– Tam też trwa zabawa. *So geht es in Snutzepeitzhdusel da singen und tanzen die Mausel!* [„I tak to jest w tancbudzie, gdzie śpiewają i tańczą myszki” [dziewczynki], z XVIII-wiecznej ludowej pieśni bawarskiej.]

– Wyrażę przypuszczenie – oświadczył oschle MacPhee – iż możemy uważać się za szczęśliwych, skoro żadne żyrafy, hipopotamy, słonie i inne podobne stworzenia nie znalazły tu dotąd... Wielki Boże, a cóż to znowu?!

Bo gdy mówił, spomiędzy zasłon wysunęła się długa, szara trąba i sięgnęła po wiązkę bananów ze stołu.

– W imię piekła samego, skąd te wszystkie zwierzęta tu przyłazą? – zapytał.

– To uwolnieni więźniowie z Belbury – odrzekł Ransom. – Zbliżyła się do Ziemi bardziej, niż miała to w zwyczaju. Perełandra jest wokół nas i ludzie nie są już osamotnieni. Teraz jesteśmy tacy, jakimi powinniśmy być: między aniołami, które są naszymi starszymi braćmi, i zwierzętami, które są naszymi blaznami, sługami i towarzyszami zabaw.

Odpowiedź pana MacPhee utonęła w ogłuszającym ryku zza okna.

– Słonie! Dwa słonie! – jęknęła Jane. – Och, nasze selery! I rabaty z różami!

– Za pozwoleniem, panie Przewodniczący – powiedział MacPhee chłodnym tonem – ale chyba będzie lepiej, jak zaciągnę te zasłony. Chyba pan zapomniał, że w pokoju są panie.

– Nie – rozległ się mocny głos Grace Ironwood. – Nie zobaczymy tam nic zdrożnego. Rozsuń je szerzej. Jak jasno! Jaśniej niż w pełnię księżyca, prawie jaśniej niż w dzień. Spójrzcie! Nad całym ogrodem unosi się wielka kopuła blasku. Patrzcie! Te słonie tańczą! Jak śmiesznie podnoszą nogi! I jak krążą! Och, jakie są uroczyste! To prawdziwy menuet olbrzymów. Nie wyglądają jak zwierzęta, raczej jak jakieś dobre demony.

– Odchodzą – powiedziała Camilla.

– Chcą zachować intymność, jak ludzie, którzy się kochają – zauważył Przewodniczący. – To nie są zwykłe zwierzęta.

– Myślę, że powinienem pójść do mojego biura i podsumować parę rachunków – rzekł MacPhee. – W końcu dobrze będzie, jeśli przynajmniej jedna osoba w tym domu nie straci głowy, bo wy wszyscy chyba powariowaliście. Dobrej nocy, miłe panie.

– Do widzenia, MacPhee – powiedział Ransom.

– Nie, nie – odparł MacPhee. Stał od Ransoma dość daleko, lecz wyciągnął rękę. – Nie będzie pan nade mną szeptał żadnego z tych swoich błogosławieństw. Jeśli kiedyś zbliżę się do religii, będzie to coś innego. Mój wuj był moderatorem Zgromadzenia Ogólnego Prezbiterianów. Ale oto moja dłoń. To, co pan i ja razem widzieliśmy... zresztą dajmy temu spokój. I powiem panu, doktorze Ransom, że przy wszystkich pana błędach... a spośród wszystkich żywych ludzi ja znam je najlepiej...

jest pan, ogólnie rzecz biorąc, najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem albo o jakim kiedykolwiek słyszałem. Pan... pan i ja... ale dość, widzę, że panie płaczą. Już odchodzę. Nie trzeba tego przedłużać. Niech pana Bóg błogosławi, doktorze Ransom. A paniom życzę dobrej nocy.

– Otwórzcie wszystkie okna – rzekł Ransom. – Pojazd, którym będę podróżował, jest już prawie w atmosferze naszego świata.

– Robi się coraz jaśniej – zauważył Denniston.

– Czy możemy być z panem do samego końca? – zapytała Jane.

– Ty, moje dziecko, nie powinnaś pozostawać tak długo.

– Dlaczego?

– Ktoś na ciebie czeka.

– Na mnie?

– Tak. Twój mąż oczekuje ciebie w domku przy furtce. Przygotowałaś swoją własną komnatę małżeńską. Nie chcesz do niego pójść?

– Ale... czy muszę iść teraz?

– Jeśli pozostawiasz decyzję mnie, to posyłam cię do niego właśnie teraz.

– A więc pójdę. Ale... ale... czy ja jestem niedźwiedzicą albo jeżem?

– Czymś więcej. Ale nie czymś mniej. Idź. Bądź posłuszna, a odnajdziesz miłość. Nie będziesz już miała tych snów. Obyś zamiast nich miała dzieci. *Urendi Maleldil.*

\* \* \*

Na długo przedtem zanim doszedł do St Anne's, Mark usławił sobie, że albo on sam, albo świat wokół niego jest w dziwnym stanie. Wędrówka zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał, musiał chyba raz czy dwa zabłądzić. O wiele trudniejsza do wyjaśnienia była upiorna luna na zachodzie, nad Edgestow, a także ustawiczne dygotanie i osuwanie się ziemi. Potem nastąpiło gwałtowne ocieplenie i wokoło płynęły potoki szybko topniejącego śniegu. Powietrze wypełniała gęsta mgła. Luna na zachodzie znikła, natomiast jasność zaczęła przeświecać przez mgłę nad nim, jakby jakaś fantastyczna kopuła śniegu zawisła nad celem jego wędrówki – nad St Anne's. Miał też wrażenie, że wokół niego prześlizgują się we mgle dziwne kształty o bardzo różnych rozmiarach.

Podejrzewał, że to jakieś zwierzęta. Może to wszystko było snem, może nadszedł koniec świata, a może już umarł? Pomimo tych wszystkich niezrozumiałych wrażeń czuł się jednak nadspodziewanie dobrze. Jeśli nawet pogodził się z łatwym wnioskiem, że coś jest nie w porządku z jego umysłem, to jego ciało tryskało młodzieńczą energią. Nie zastanawiał się, dlaczego źródłem przepelniającej go siły, młodości i radości wydawała się owa mglista poświata nad wzgórzem. I szedł naprzód, nie zawahawszy się ani przez chwilę.

Rozmyślał nad czym innym. Zdawał sobie jasno sprawę, że zmierza ku spotkaniu z Jane, i zaczęło się z nim dziać coś, co powinno było zdarzyć się wcześniej. To samo laboratoryjne podejście do miłości, które spowodowało, że Jane nie mogła się pogodzić z pokorą w małżeństwie, nie pozwoliło mu rozwinąć w sobie pokory kochanka już w okresie narzeczeństwa. Nawet jeśli w jakimś przebłysku mądrości obudziło się w nim poczucie „piękności zbyt dla nas bogatej, dla ziemi zbyt cennej”, [W. Szekspir, *Romeo i Julia*, 1. 5, 47.] odrzucał je ze wzgardą. Uleganie fałszywym teoriom, prozaicznym i fantazyjnym zarazem, sprawiło, że uważał je za jakiś przemijający nastrój – zbyt wzniosły, nierealistyczny i staroświecki. Teraz, kiedy już było za późno, kiedy wszystkie względy zostały już rozdane i roztrwonione, ogarnął go nieoczekiwany lęk. Próbował się z tego otrząsnąć. Byli przecież małżeństwem. Byli rozsądnymi, nowoczesnymi ludźmi. Cóż mogło być bardziej naturalne, bardziej zwyczajne?

Lecz wówczas pojawiły się w jego wyobraźni wszystkie momenty niezapomnianych zawodów i

niepowodzeń, jakich nie brakowało w ich krótkim małżeństwie. Dotychczas często myślał o tym, co nazywał jej „nastrojami”. Teraz pomyślał wreszcie o swoim własnym niezdarnym natręctwie i dokuczliwości. I już nie mógł się od tej myśli uwolnić. Stopniowo ujawniał się przed jego niechętnym krytycznym spojrzeniem gbur, błazen i prostak, jakim w rzeczywistości ci był wobec niej: nieokiełznany samiec ze stwardniałymi rękami i policzkami jak befsztyki, w podkutych ćwiekami butach, nie wdzierający się – bo z tym mogłaby sobie poradzić – ale wkraczający leniwym krokiem w rejony, w które nie odważyliby się zapuścić wielcy kochankowie, rycerze i poeci. Ujrzał w wyobraźni skórę Jane, tak gładką, tak białą (a w każdym razie tak ją sobie teraz wyobrażał), że pocałunek dziecka mógłby pozostawić na niej ślad. Jak śmiał? Jej niedosięga czystość, jej nieskazitelność, wdzięk wszystkich jej ruchów... jak śmiał? A śmiał bez poczucia, że śmie, z idiotyczną nonszalancją, jak beztroski głupiec! Już same jej myśli, jakie od czasu do czasu znaczyły jej twarz (gdyby tylko jego tępota nie wzbraniała mu tego dostrzec) tkwały wokół niej zasłonę, której tacy jak on nie powinni nigdy zuchwale rozdzierać. Tak, tak, oczywiście, to ona pozwalała mu przez nią przejść, być może z nieszczęsnej, błędnie pojętej litości. A on jak łajdak wykorzystywał jej szlachetny błąd, czuł się jak u siebie w domu w tym otoczonym murem ogrodzie, a nawet zachowywał się, jakby był jego właścicielem.

Wszystkie te refleksje mogłyby w normalnych warunkach budzić pewne onieśmienie i radość, lecz teraz rodziły udrękę, ponieważ przychodziły za późno. Odkrywał żywoplot, kiedy już zerwał różę, ba, nie tylko zerwał, ale porwał na kawałeczki i zgniótł w swoich gorących, tępych paluchach. Jak śmiał? I kto spośród tych, którzy to wszystko dostrzegali, mógł mu wybaczyć? Kim był w oczach jej przyjaciół? Kiedy o tym pomyślał – samotny we mgle – poczuł, że oblewa go fala gorąca.

Słowo „pani” nie istniało w jego słowniku; mogło się pojawiać jedynie w pozbawionym znaczenia zwrocie grzecznościowym albo jako kpina.

No cóż, uwolni ją od siebie, a ona odetchnie z ulgą, kiedy się go pozbędzie. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wyobraził sobie nieskazitelne panie w eleganckim salonie, rozmawiające z dystygowanym chłodem, przeplatające subtelną powagę srebrzystym śmiechem. Czyż mogłyby nie odczuwać ulgi po odejściu intruza, zbyt hałaśliwego lub bełkocącego prostaka, którego właściwe miejsce jest w stajni? Co by robił w takim salonie, gdzie jego komplementy mogłyby brzmieć jak zniewagi, a jego żalotne próby udawania powagi lub wesołości mogłyby ujawniać tylko jego tępotę? To, co kiedyś nazywał jej chłodem, wydało mu się teraz jej cierpliwością.

"Wobec czego? Wyłączył wyobraźnię. Bo teraz naprawdę ją kochał. Lecz wszystko już zepsuł, było za późno, by zabrać się do naprawy.

Nagle rozproszone światło rozjarzyło się i nasyciło czerwienią. Zmrużył oczy i dostrzegł przed sobą furtkę w murze, a w niej stoją całą wielką kobietę. Ale to nie była Jane. Była od niej o wiele wyższa... wręcz olbrzymia... To w ogóle nie mogła być kobieta, chociaż była do kobiety podobna, półnaga, do piersi owinięta tkaniną o barwie ognia. Bilo z niej światło. Twarz miała zagadkową, wydało mu się, że nawet bezwzględna, nieludzko piękną. Otwierała przed nim drzwi. Nie śmiał jej odmówić. („To oczywiście, musiałem umrzeć”, pomyślał). Wszedł i znalazł się w jakimś zacisznym miejscu, pełnym słodkich zapachów, blasku świec, jedzenia, wina. Zobaczył też bogato zasłane łóżko.

\* \* \*

A Jane wyszła z wielkiego domu z pocałunkiem Ransoma na ustach i jego słowami w uszach.

Wkroczyła w niemal płynną światłość i nadnaturalne ciepło ogrodu, szła po wilgotnej murawie (wszędzie było mnóstwo ptaków), mijając huśtawkę, cieplarnię i chlewy, ciągle w dół, do domku przy murze, zstępując po szczeblach pokory. Najpierw myślała o Przewodniczącym, potem o Maleldilu. Później o dzieciach, o bólu i o śmierci. I wreszcie pomyślała o Marku, o wszystkich jego

cierpieniach. Doszła do domku i zatrzymała się zaskoczona, bo okna były ciemne, a drzwi zamknięte. Dotknęła ręką klamki i zawahała się. A jeśli Mark już jej nie zechce – ani tej nocy, ani żadnej innej, ani w tym sensie, ani w innym? A jeśli mimo wszystko nie ma go tutaj? Kiedy to pomyślała, poczuła dziwną pustkę – i nie wiadomo, czy była to pustka ulgi, czy rozczarowania.

Zamarła z ręką na klamce. Potem spostrzegła otwarte okno. Na krześle stojącym blisko okna piętrzyły się ubrania rzucone tak beztrosko, że leżące na samej górze sięgały parapetu: rękaw koszuli – koszuli Marka – zwisał na zewnątrz. A przecież jest tak mokro... Jakie to podobne do Marka!

Trudno się dziwić, że natychmiast weszła do środka.

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Rozdział 1. 3](#)

[Rozdział 2. 18](#)

[Rozdział 3. 31](#)

[Rozdział 4. 46](#)

[Rozdział 5. 59](#)

[Rozdział 6. 76](#)

[Rozdział 7. 89](#)

[Rozdział 8. 103](#)

[Rozdział 9. 118](#)

[Rozdział 10. 134](#)

[Rozdział 11. 152](#)

[Rozdział 12. 164](#)

[Rozdział 13. 179](#)

[Rozdział 14. 195](#)

[Rozdział 15. 213](#)

[Rozdział 16. 229](#)

[Rozdział 17. 240](#)